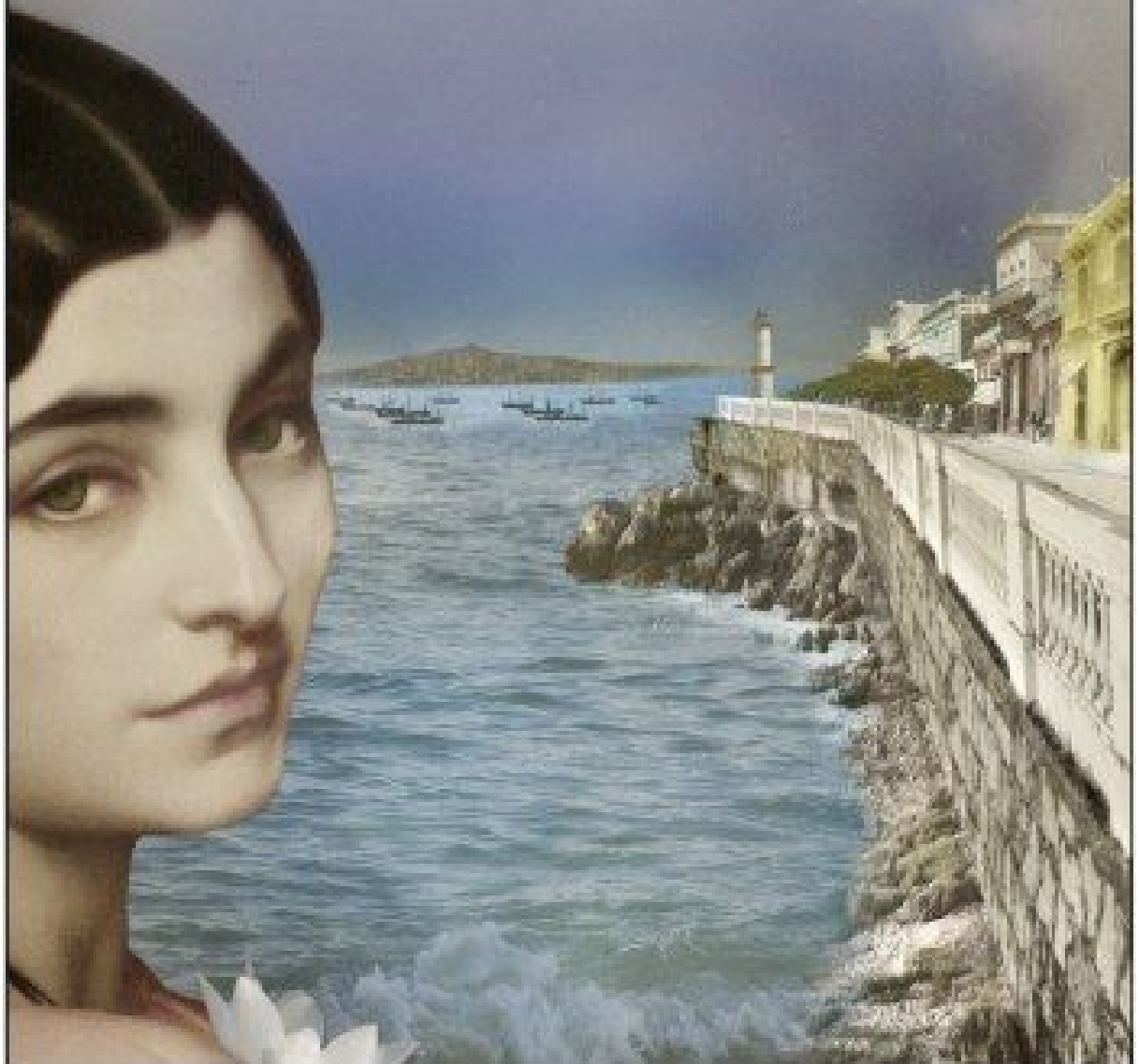


# de robertis

## NIEWIDOCZNA GÓRA



# Robertis Carolina de

## Niewidoczna góra

**Saga rodzinna ukazująca 90 lat mrocznej historii Urugwaju w XX wieku poprzez pryzmat losów trzech niezwykłych kobiet: zielarki i znachorki Pajarity, jej córki Evy, poetki, i wnuczki Salomé, członkini podziemnej organizacji prowadzącej walkę z wojskową juntą. Najlepsza powieść roku 2009 według "The San Francisco Chronicle", "The Oprah Magazine" i "Booklist". Porównywana z twórczością Gabriela Garcíi Márqueza.**

**W urugwajskim miasteczku Tacuarembó dorasta dziewczynka imieniem Pajarita. Odrzucona przez ojca, zaginiona, a potem cudownie odnaleziona w koronie wysokiego drzewa, trafia pod opiekę ciotki Tity, zielarki i znachorki. Wraz ze swoim mężem, włoskim imigrantem Ignazio da w przyszłości początek linii silnych, niezależnych kobiet. Historia o jej cudownym powrocie stanie się rodzinną legendą, przekazywaną z ust do ust, inspiracją dla kolejnych pokoleń.**

**Córka Pajarity Eva, obdarzona wielkim talentem poetyckim i ogromną wrażliwością, zostaje odesłana do pracy po ukończeniu dziesięciu lat. Zanim odnajdzie szczęście i wymarzoną miłość, przejdzie przez piekło - doświadczy ludzkiego okrucieństwa, fizycznych i duchowych cierpień.**

**Salomé, córka Evy, działaczka organizacji rewolucyjnej Tupamaros, aresztowana i poddana torturom przez wojskową juntę, rodzi dziecko, dla którego zrezygnuje z ucieczki i wolności...**



*A ty, przecz wracasz w nieszczęsne doliny?*

*Czemu nie śpieszysz na górę, rodzicę  
Wesela, gniazdo radosnej nowiny?*

Dante Alighieri, ***Boska komedia, Piekło***,

tłum. E. Porębowicz

*Cisza tak wielka, że rozpacz okrywa się wstydem.*

*Góry tak wysokie, że rozpacz okrywa się wstydem.*

Clarice Lispector, ***Soulstorm***

Pajarita

## UNO

### Dziewczyna, która ukazała się na drzewie

W liście, który Salomé zdecydowała się w końcu napisać do córki — wtedy już młodej, zupełnie obcej kobiety oddalonej o tysiące kilometrów — stwierdziła, że „wszystko, cośmy stracili, gdzieś istnieje”, tak jakby prawa fizyki potrafiły cofnąć czas i przyjść im obu z pomocą. Pamiętała ze szkoły, że energia ani nie ginie, ani też nie daje się stworzyć. Nigdy w gruncie rzeczy nie jest stracona. To samo dotyczy energii innych ludzi — jeśli nie można ich zobaczyć, znaczy to, że po prostu zmienili miejsce lub formę bytowania, a czasami i jedno,

i drugie. Oczywiście, wyjątkiem są czarne dziury, które wsysają rzeczy, nie pozostawiając po nich żadnego śladu, lecz długopis w rękach Salomé posuwał się po kartce niewzruszenie, jakby owe dziury w ogóle nie istniały.

Mokra spódnica oblepiała jej nogi, a długopis niemalże sam parł do przodu, jakby to nie ręka kazała mu kreślić wysmukłe „t”, „j” i „y”, supelki u podstawy „g”, zakola i zawijasy, które miały za zadanie powiązać z sobą i litery, i obie kobiety. W miarę pisania te pętelki stawały się coraz większe, jakby Salomé potrzebowała coraz więcej sznurka, aby związać to, co rozpadło się w niej, ale nie tylko — również w jej otoczeniu i zanim pojawiła się na świecie, za czasów jej matki i babki.

Można było odnieść wrażenie, że musi powiązać całą stertę historii, których co prawda sama nie przeżyła, lecz które przyszły do niej tak, jak zwykły nas nawiedzać historie — całą chmarą, nieproszone, czasami cicho i dyskretnie, a czasami z takim impetem, że mogłyby człowieka utopić albo wyrzucić aż pod niebo. Niektóre historie się nie zjawily, bo pozostały niewypowiedziane. Ich miejsce zajmowała głucha, wklęśła cisza. Jeżeli jednak uznać za prawdę twierdzenie, że wszystko, co zniknęło, ma gdzieś swoje miejsce, nawet one nadal oddychały i skrzyły się wewnętrznym blaskiem porzrucane po świecie.

Pierwszy dzień stulecia nigdy nie jest taki jak inne dni, a już na pewno nie w Tacuarembó w Urugwaju, mieścinie słynącej z tego, że każde stulecie zaczyna się tam jakimś zapierającym dech w piersiach cudem. Gotowi, ciekawi, drżący z podniecenia mieszkańcy i tego ranka nie zaznali rozczarowania, niezależnie od tego, co robili i w jakim stanie wyczekiwali pierwszych zdarzeń nowego wieku. Czy kto był pijany, czy oddawał się niecnym igraszkom gdzieś po krzakach, czy siedział na koniu, czy popijał z tykwy gorzką mate albo klepał pacierze, walcząc ze snem i wypatrując jutrzeńki nowego wieku — został nagrodzony.

Sto lat wcześniej, w 1800 roku, kiedy Urugwaj nie był jeszcze krajem, lecz zaledwie pasem skolonizowanej ziemi, przy kościelnym ołtarzu ktoś ustawił wielkie kosze jagód. Nie wiadomo, skąd się wzięły, dość, że wyglądały na pyszne i dojrzałe i że zebrano ich dwa razy więcej niż trzeba, by nasycić całe miasto. Ministrant zwany Robustiano był przy tym, jak ksiądz otworzył drzwi i znalazł u stóp Chrystusa parujące jagody. Odtąd przez całe lata Robustiano opisywał minę księdza na widok tych trzech szerokich jak pierś mężczyzny koszy, które pociły się w przeświecającym przez witraże słońcu, emanując zapachem, którym chciały chyba upić samego Pana Boga. Resztę dnia —

i resztę życia — Robustiano spędził na opowiadaniu o tym, jak to się odbyło. „Po prostu zrobił się blady jak kreda, potem poczerwieniał, postawił oczy w ślup i, *pâfate*, zwałił się na ziemię jak kłoda! Podbiegam, szarpie go, wołam: *Padrel Padre!*, ale gdzie tam, nawet nie drgnie". Po latach dodawał: „Zapachu nie wytrzymał. No, wiecie. Pachniało jak kobita, co ją właśnie chłop zadowolił. *El pobre padre*. Sam jak palec noc w noc, to było za dużo jak na niego, te jagody rozgrzane od słońca, w kościele, po prostu za dużo jak na biednego księżula".

Kobiety, gauczowie i dzieci zbiegły się na jagodową ucztę. Ławki pękały w szwach od tłumu. Jagody były drobne, napęczniałe, soczyste i cierpkie, całkiem inne od wszystkiego, co rosło na ich ziemi. Kiedy najedzeni ludzie zaczęli układać się do sjesty, osiemdziesięcioletnia staruszka wdrapała się na ołtarz, by przypomnieć im legendę ze swoich młodych lat — historię cudów zdarzających się w Tacuarembó w pierwszym dniu każdego nowego stulecia. „Mówię wam — zawołała — to jest nasz cud!". Purpurowy sok, dowód tego cudu, spływał po jej porośniętej włoskami brodzie. Cuda to cuda, powiedziała, nie da się ich ani przewidzieć, ani wytłumaczyć, i wcale nie ma gwarancji, że przyniosą człowiekowi akurat to, czego pragnie. A jednak z cudów trzeba korzystać, ponieważ nadają inny wymiar naszemu codziennemu życiu. Staruszka opowiedziała o tym, co wydarzyło się pierwszego stycznia 1700 roku, dokładnie sto lat wcześniej. Powtórzyła słowo w słowo wszystko, co jej przekazano, a nie istniał najmniejszy choćby powód, aby wątpić w prawdziwość tej opowieści. Otóż tamtego dnia przez całą dobę, od jednego wschodu słońca aż do następnego, w powietrzu brzmiały pieśni w starożytnym języku tupi-guarani. W żyłach przeważającej części mieszkańców płynęła indiańska krew i choć już wtedy większość z nich zapomniała języka przodków, ich serca rozpoznały dźwięki, których nie sposób było pomylić z niczym innym. Wszyscy

wsluchiwali się w gardłowe okrzyki i wołania urywane jak plusk kamieni wrzucanych w strumień, lecz nikt nie dostrzegwał śpiewaków: bezcielesna muzyka rozbrzmiewała z mocą, miotana podmuchami wiatru.

Pajarita nieraz słyszała o tym wszystkim w dzieciństwie —

o jagodach, o pieśniach i o zalanej sokiem brodzie staruszki. Nie miała pojęcia, jak może brzmieć język guarani. W domu poznała tylko miejscową wersję hiszpańskiego, buzowanie ognia, *staccato* noża krojącego cebulę, cichy szelest spódnicy ciotki Tiry, zgrzytliwe akordy wysłużonej gitary brata, krakanie wron, stukot końskich kopyt, pisk kurcząt, kiedy chciała je nakarmić, a poza tym składanie, szorowanie, zamiatanie, przycinanie, mieszanie w garnkach i przelewanie z naczynia do naczynia, czyli wszystko to, czym nieustannie zajmowała się Tía Tita. Ciotka prawie się nie odzywała, chyba że opowiadała jedną ze swoich historii pełnych najdrobniejszych szczegółów, płynących z jej ust jak rzeka, której nikt nie mógłby zatrzymać — i wówczas żądała od słuchaczy niepodzielnej uwagi. Snuła opowieści przy gotowaniu posiłków. Jej słowa pienily się, piętrzyły i rozlewały, wypełniając jedyną izbę ich chaty chybotliwymi sylwetkami zmarłych.

— Powinnaś się dowiedzieć — mawiała — dlaczego twój brat ma na imię Artigas.

Dla Pajarity był to sygnał, że powinna przyjść i zająć się krajaniem wołowiny, którą potem Tía Tita udusi z jarzynami. Znała zarysy tej historii równie dobrze, jak kształt noża, zanim go wzięła do ręki. Kiwała głową, podchodziła i otwierała szeroko uszy, jakby otwierała zaporę na rzece.

— Dostał imię na pamiątkę waszego pradziadka. Wiem, że niektórzy w to nie wierzą, ale moim dziadkiem był José Gervasio Artigas, wielki wyzwoliciel Urugwaju. To szczerza prawda. Był przywódcą Indian i gauczów w walkach o niepodległość

i wyzwolicielem niewolników. To akurat wszyscy wiedzą i o tym opowiem następnym razem. Ale José Gervasio zasadził też ziarenko w brzuchu córki pewnego gaucza o imieniu Ana-



lidia. Miała włosy długie do kolan i robiła najlepszą kaszanke po tej stronie Rio Negro. Liczyła sobie czternaście lat. Ludzie nic będą chcieli ci wierzyć, ale nie przejmuj się tym, nie możesz pozwolić, żeby ta historia umarła. *Mira*, Pajarita, krój mięso trochę drobniej. O tak.

Obserwowała bratanicę, dopóki się nie upewniła, że postępuje według jej wskazówek, po czym nachylała się nad paleniskiem i przewracała węgle. Za jej plecami unosiła się w powietrzu dziewczyna o wielkich oczach, kruczoczarnych włosach i półprzezroczystej skórze, której dłonie rytmicznie mieszały mięso na kaszanke.

— *Pues* w tysiąc osiemset dwudziestym roku nasz José Gervasio spędził w kryjówec jedną gorącą noc z Analidią, a zaraz potem poniósł klęskę z rąk Brazylijczyków. Uciekł w paragwajskie lasy i słuch o nim zaginął. Analidia wydała na świat zdrową dziewczynkę, Esperanzę, moją matkę. Pamiętałaś jej imię? Była silniejsza od rozjuszonego byka. Kiedy dorosła, jej serce zdobył El Facón, szalony gauczo, twój przyszły dziadek. W rzeczywistości nazywał się Ricardo Torres, ale w krótkim czasie zdobył sobie ten przydomek, który naprawdę odpowiadał temu, kim był. Nikt nie potrafił posługiwać się nożem *facón* tak, jak on. Nawet anioł z nieba by mu nie dorównał.

Przy siekaniu wołowiny Pajarita miała przed oczami obraz swojego dziadka jako młodego gacza. Jego wyciągnięty ku niebu fakon lśnił w słońcu, a z ostrza skapywały na ziemię krople krwi zabitego właśnie byka.

— W tamtych dawnych czasach, zanim ja i twój ojciec przyszliśmy na świat, El Facón sływał z łagodnego głosu, krewkiego usposobienia i tego, że nigdy nie chybiał. Swobodnie przemieszczał się po bezkresnych przestrzeniach zaopatrzone w fakon, *bolas* i *lasso*, pędził bydło, a potem zabierał mięso i skóry do portów na południu. Gdy wracał do domu, przywoził prezenty dla Esperanzy: ozdoby z Indii i z Rzymu kupione prosto ze statków, które właśnie przypląnęły z odległych krain. Jej jednak nie zależało na błyskotkach. Odkładała je na kupkę

w kącie chaty. Pragnęła tylko jednego: być blisko niego, a ponieważ to nie mogło się spełnić, cierpiała. Była sama, kiedy mnie rodziła. Doprowadzała się do szaleństwa, wróżąc z fusów ombu i ceibo, z których potrafiła wyczytać przerażające ostrzeżenia. Nic dziwnego. Wszędzie srożyła się wojna. Wraz ze zmianą pór roku pojawiał się nowy tyran, który zbierał wojsko, mordował inne wojsko, zagarniał władzę, by następnie ją stracić. Młodzi mężczyźni zabijali się wzajemnie i rzucali psom na pożarcie szczątki wroga. W ziemię wsiąkło tyle krwi, że aż dziw, iż nie zmieniła koloru na czerwony. Nie rób takiej miny, Pajarita. Patrz, woda się gotuje.

Pajarita kucała przy rozżarzonem palenisku i wkładała mięso do garnka. To było krowie mięso, nie ludzkie. Przedwieczne słońce rzucało ostatnie promienie na brudną podłogę, stół i skóry, które służyły w nocy za przykrycie — wkrótce trzeba będzie zapalić lampę.

— No i tak żyli sobie El Facón z Esperanzą na ziemi, na której co i rusz toczyły się jakieś walki. W końcu nastali bracia Saravia, Aparicio i Gumersindo. Tego Gumersinda naznaczył zły los. Przystąpili do formowania armii tu, w Tacuarembó. Koniecznie chcieli zrzucić jarzmo ostatniego tyra i byli pewni zwycięstwa. Twój *abuelo*, El Facón, wierzył w każde ich słowo. Poszedł za nimi jak w dym, poza granice Urugwaju, aż do Brazylii, hen, na pola bitew. Zobaczył tam rzeczy, o których nigdy nie chciał pisać ani słowa. Przysięgał, że nawet w piekle by o nich nie powiedział, bo diabeł by tego nie wytrzymał. Więc nie wiadomo, o co dokładnie chodziło, ale wiemy, że gołymi rękami wykopał grób dla Gumersinda, a potem musiał się przyglądać, jak wrogowie odkopują ciało, odcinają trupowi głowę i z nią paradują. W końcu po trzech latach wrócił do Esperanzы. Zbudowali *ranchito*, na którym teraz żyjemy, a potem urodził się twój ojciec, tak jak później urodził się tu twój brat Artigas. Taka jest historia imienia Artigasa.

Tia Tita pomieszała mięso w garnku i zamilkła. Pajarita

zajęła się zmywaniem misek i noży. W środku aż drżała na myśl o odciętych głowach, długich, długich włosach i zamorskich klejnotach.

Brat Pajarity, Artigas, dokładnie pamiętał dzień, w którym sprowadziła się do nich Tía Tita: to było w 1899 roku, kiedy Pajarita urodziła się po raz pierwszy, przed sprawą drzewa i przed cudem.

Tamtego roku skończył cztery lata, a jego matka, La Roja, zmarła w połogu. Zostały po niej morze krwi i dziecko o wielkich, czarnych oczach. Poprzedni poród też zakończył się śmiercią, tyle że wtedy zmarło dziecko, a Mamá przeżyła i dalej gotowała mu jedzenie, i śpiewała do snu. Tym razem przestała się ruszać. Krew przesiąknęła przykrycia ze skór, których rodzina używała do spania, tak że na pewno nie mogły się już do niczego przydać. Artigas ze zgrozą patrzył, jak jego ojciec, Miguel, ze szlochem szorował po nich twarzą, która umazała się na czerwono. Noworodek darł się wniebogłosy, ale Miguel nie zwracał na niego uwagi. Tej nocy nikt nie zmrużył oka w ich chacie. Rano zjawiła się Tía Tita i rozejrzała się po izbie. Obity krowią skórą taboret, na którym zwykła siadywać przy stole La Roja, zmienił miejsce. Miguel siedział na nim bez ruchu, twarzą do ściany, z rękami zaciśniętymi na siedzisku. Za jego plecami na skórach pokrytych skrzepniętą krwią zobaczyła skulonego Artigasa z wijącym się w spazmach noworodkiem. Palenisko było zimne i puste. Tía Tita przyniosła drewna na podpałkę, zeszkrobała plamy krwi ze ścian, przyrządziła *tortas fritas*, wyrzuciła zniszczone skóry i wyczyściła ubrania. W odległości czterech pagórków znalazła mamkę chętną wykarmić nienazwaną jeszcze dziewczynkę swoim mlekiem. *Esa bebida* — niunia — oto, jak o niej mówili ludzie w Tacuarembó, gdy przychodzili do studni po wodę.

Artigas był zadowolony, że Tía Tita, ciotka podobna do drzewa ombu z jego szerokim pniem, pełna życia, choć mil-

cząca, została z nimi. Zwijał się w kłębek w jej cieniu, oddychał równo przez sen, oparty o ciepłą korę jej ciała. Po zimie nastąpiły upały, a potem znowu przyszedły chłody. Miguel zrobił się twardy, jak za mocno uwędzone wołowe mięso. Nigdy nie dotknął dziewczynki. Pewnej nocy, kiedy zimowy wiatr świstał przez szpary w spękanych ścianach, a wierzchołki drzew kołysały się na wszystkie strony na tle nieba rozświetlonego przez księżyc tak okrągły, jakby zaraz miał się ocielić, dziecko zaczęło płakać w ramionach Tity.

— Ucisz ją, Tita — warknął Miguel.

— To przez wiatr. W dodatku zęby się jej wyrzynają.

— No to zabij tę małą dziwkę!

Artigas aż się skulił w kącie. Jego bezimienna siostra wpatrywała się w ojca wielkimi oczami.

— Miguel — powiedziała Tita.

— Zamknij się.

— Miguel. Uspokój się.

— Jestem spokojny. Powiedziałem, żebyś ją zabiła.

Tia Tita ścisnęła mocniej dziecko w ramionach i spojrzała na brata, a ten z kolei na dziecko, które w dalszym ciągu nie spuszczało z niego wzroku. Artigas poczuł, że boli go brzuch, nie mógł znieść wyrazu twarzy ojca, który wyglądał tak, jakby był zdolny posiekać ich wszystkich na kawałki. Ogień na palenisku zasyczał i przygasł. Miguel odwrócił się i odsunął skórzaną zasłonę przy drzwiach. Artigas wyobraził sobie ojca stojącego samotnie na dworze, z gwiazdami migoczącymi nad głową. W pewnej chwili usłyszał, że wsiada na konia i rusza przed siebie, przez równinę.

Rano dziecka już nie było. Mimo że wszyscy spali razem, nikt nie poczuł, kiedy zniknęło. Mimo że przeczesali każdy skrawek ziemi w okolicy, nie znaleźli kompletnie nic — ani śladów raczkowania, ani też małego ciała. Po tygodniu opinia publiczna w Tacuarembó ogłosiła, że dziewczynka nie żyje lub też, jak to ujęła *doña Rosa*, aniołki zabrały ją do nieba. Umarła z głodu. Umarła porzucona. Umarła w szponach sowy, bez-

imienna i niechciana. Miguel nie mówił nic, nie potwierdzał, nie zaprzeczał, nie płakał ani też się nie uśmiechał.

Jedna Tía Tita nie przestała szukać dziewczynki, wydeptując równym krokiem dziesiątki kilometrów, jak niezmordowana klacz. Zaglądała wszędzie: na zielone pola i niskie pagórki, między gęste krzaki, wysokie i cieniste drzewa, na spalone słońcem zbocze, które prowadziło do miasta, na główny plac, do kościoła, do trzech kamiennych studni, do domów i do innych, z rzadka rozsianych w przestrzeni *ranchitos*, owych byle jak skleconych pudełek z otworami okiennymi jakby wyrżniętymi nożem, gdzie kobiety na jej widok kłaskały językiem i rozkładały ręce. W nocy Tía Tita parzyła herbatę z liści ombu i ceibo. W ich gorących, mokrych kształtach szukała wieści o losie dziewczynki, o miejscu, w którym przebywa, a przynajmniej o tym, czy żyje, czy już umarła. Nic z tego nie wynikało, lecz ona nie dawała za wygraną.

Czasami zabierała z sobą na poszukiwania Artigasa. Jedna z tych wypraw wywarła na nim niezatarte wrażenie (jeszcze lata później, gdy jako dorosły mężczyzna przedzierał się przez dżunglę, zadawał sobie pytanie, czy gdyby nie tamten dzień, narażałby się w ten sposób, zamiast pędzić monotonne życie w Tacuarembó). Nadeszła niedziela i wybrali się do miasta na mszę. Artigas nienawidził tamtego kościoła w mieście, bo był on ostatnim miejscem, w którym widział swoją matkę przykrytą czarnym całunem i polnymi kwiatami. Ksiądz przemawiał z takim przejęciem, że aż ślina gromadziła mu się w kącikach ust. Artigasa rozbolały od klęczenia kolana. W drodze powrotnej ciotka ściągnęła wodze i bez słowa wyjaśnienia zmieniła trasę. Artigas patrzył na trawę, na wysokie eukaliptusy i na pasące się w oddali owce. Żadnego śladu po siostrze. Jechali w milczeniu, w palącym słońcu.

Minęła godzina. Artigas zaczął się niecierpliwić.

— Tía — zwrócił się do ciotki — jak długo jeszcze będziemy szukać? Ani nie odpowiedziała, ani nie zwolniła. Jej spódnica łopotiała

na wietrze, objijając się o koński grzbiet. Artigas pomyślał, że może jadać po jakieś specjalne korzenie, ząbkowane liście albo gorzkie pędy do uzdrawiających naparów i balsamów ciotki. Zawsze coś zbierała. W mieście znali ją z tego, że podkasywała spódnicę aż do ud, niosąc w niej zielska, które zwędziła z cudzej parceli. Chłopcy od Gardelów dokuczali mu: „Widzieliśmy twoją ciotkę, ona ma nogi całe w błocie, twoja ciotka to wariatka, szuka nieżywych dzieci”. Artigas wracał wtedy do domu podrapany, posiniaczony, ale zwycięski.

Tia Tita w końcu się zatrzymała. Ześliznęła się z konia i stanęła nieruchomo. Artigas zrobił to samo.

Stali na nieznanym polu. Na horyzoncie nie było ani krów, ani owiec, ani ludzi, nikt nie spuszczał z nieba małych dziewczynek, po prostu nie było tam niczego oprócz trawy i dwóch drzew ombu. Pustkowie. Sióstr nie znajduje się na pustkowiu. Mała dziewczynka nie mogłaby przeżyć w dziczy. Nawet gdyby wreszcie natknęli się na jakiś ślad, byłyby to tylko nędzne resztki, kości i niedojedzone wnętrzności, jak padlina owcy. Artigas usiadł i spoglądał na plecy ciotki z długim, ciemnym warkoczem biegnącym przez środek jak ozdobny szew. Zachowywała się nienaturalnie cicho. Czekał. Nic się nie działo. Słońce zaczęło się zniżać. Było mu gorąco. Miał ochotę uderzyć coś lub kogoś, plasnąć ręką w to nagie, jałowe pole, w ciężkie słońce albo w dziwne, nieruchome plecy Tity. Skoczył na równe nogi.

— Tia, co my tu robimy?

— Słuchamy. Słuchamy ptaków.

Artigas otworzył usta, aby zaprotestować przeciwko temu nonsensowi, lecz nie wydobyło się z nich żadne słowo, ponieważ w czasie między jednym a drugim oddechem okazało się, że jest już za późno — muzyka pól zalała całe jego jestestwo, ptasi śpiew buchnął z nieba i spomiędzy liści, jego ciało się otworzyło, w kościach miał rozswiergotane ptaki, w jego członkach byli ukryci niepozorni, maleńcy śpiewacy i wypowiadali wszystko, czego się nie da wypowiedzieć, cały ten lament

i krzyk, i kłaskanie, prawie nie do zniesienia, niezmordowane gardziołka, wielki, szeroki świat przekraczający wszelkie pojęcie, tajemnicza muzyka zdolna unieść go hen, daleko, skąd nigdy by nie wrócił. Przepęłiło go przerażenie i jeszcze jakieś inne uczucie, musiał zrobić siusiu albo się rozplakać, ale nie mógł, więc tylko ukrył buzię w pachnącej trawie i słuchał ptaków.

Tamtego dnia nie znaleźli dziewczynki. To nie Tía Tita ani leż nie Artigas, lecz Carlita Robles przygalopowała w Nowy Rok na placyk z nowiną. Artigasowi mignęły w locie jej kasztanowe warkocze, które miały dokładnie ten sam odcień i połysk, co maść jej konia, jakby się wykapały w kadzi z tą samą farbą. Moment był doskonale wybrany. Nowe stulecie liczyło sobie zaledwie dziewięć godzin. Kocie łby na placu odbijały poranne słońce, prażące maruderów, którzy jeszcze nic wrócili do domów po zabawie — pijaków, młodocianych kochanków, bezpańskie psy i Artigasa brzdąkającego na swojej wysłużonej gitarze. Pobożna *doña* Rosa wciąż jeszcze tkwiła w kościele, w którym klęczała od północy. Pościła od Bożego Narodzenia, aby Bóg zesłał im piękny cud, a nie jakąś masakrę, cholere, powódź albo zdradę małżeńską (nikt nie brał jej dewocji zbyt poważnie, bo odkąd trzy lata wcześniej jej syn zniknął ze zbuntowanymi oddziałami Aparicia Saravii, cały czas spędzała na postach i modlitwach, tak że gdy jej mężowi kiszki grały marsza, bo garnki stały puste, jechał prosto do kościoła i wywlekał stamtąd żonę, żeby mu ugotowała obiad. Ludzie nie mogli się nadziwić jego cierpliwości. Zostać rogakzem z powodu Pana Boga, co za los!).

— Widziałam! Widziałam cud! — krzyczała Carlita. — Widziałam dziecko na drzewie!

Artigas odłożył gitarę, młodociane parki przestały się ob-całowywać, a siedzący na ławce sklepikarz Alfonso uniósł ciężką od alkoholu głowę.

— Nie zdawało ci się?

— Gdzie tam! Słowo daję, widziałam cud!

— Chodźmy sprawdzić.

Najpierw wstąpili do kościoła, zawiadomić *doñę* Rosę. Cętkowane światło padało przez okna na ich głowy, na ławki i na pochylone plecy pobożnej kobiety. Carlita zamoczyła palce w wodzie święconej i pospiesznie się przeżegnała. Artigas nie odstępował jej na krok (była taka ładna).

— *Doña* Rosa — wyszeptała Carlita. — Jest cud. Widziałam dziecko na drzewie ceibo!

— Dziecko? — *Doña* Rosa uniosła wzrok znad różańca.

— Przecież mówię.

— Aha. Chwała Bogu.

Ruszyli konno zakurzoną ścieżką ku wschodniej granicy Tacuarembó. Artigas zaczął walczyć z sennością, która go dopadła pod wpływem miarowego ruchu zwierzęcia. Czuł się wyczerpany, a jednocześnie podniecony po bezsennej nocy. Nie zamierzał odpoczywać, był gotów jechać nie tylko na skraj miasta, ale i na skraj świata, jechać, jechać i jechać, przecież zaczęło się nowe stulecie, ukazało się dziecko — to co prawda niemożliwe, a jednak... Okolica raziła jego oczy jaskrawymi kolorami, letnie trawy były zielone i złote, poranne niebo błękitne, z drewnianych, ciemnobrązowych *ranchitos*, które mijali, coraz to dołączali do nich kolejni jeźdźcy. Kobiety w chustkach wystawiały głowy przez próg, aby zapytać, co się dzieje, po czym zostawiały rozżarzone węgle na paleniskach i biegły zobaczyć cud. Mężczyźni odrywali się od mate, odwiązywali konie i sadzali dzieci do siodeł.

Ich grupa podwoiła liczebność raz, potem drugi, zupełnie jak armia, która przetacza się przez kolejne miasta. Kiedy dotarli pod ceibo, słońce minęło już zenit i zaczęło się zniżać. Drzewo górowało nad studnią położoną we wschodniej części miasta, a na jego samym szczycie, jakieś trzydzieści metrów nad ziemią zobaczyli co najwyżej roczną dziewczynkę uczipioną cienkiej gałęzi.

Miała wystające kości policzkowe i zmierzwione włosy, które opadały na jej nagą pierś, jej skóra była o dwa tony jaśniejsza niż płynna czekolada. Okrągłe i wilgotne oczy dziewczynki



przypominały urodzinowe ciastka. Nie wyglądała na przestraszoną i nie przejawiała specjalnej ochoty, by zejść z drzewa.

Artigas zadarł głowę. Koniecznie chciał spotkać wzrok dziewczynki. *Mirame*, myślał.

— To czarownica — orzekła jedna z kobiet.

— Jakaś *bruja* przysłała nam *brujitel*

— Co za bzdury — uniosła się *doña Rosa*. — Ona jest aniołem. Zjawiała się tu po to, aby uświęcić Tacuarembó.

— A niby czym będzie święcić? Wodą deszczową czy sikami?

— To nie anioł, ale zwykłe dziecko.

— Tylko że brudne.

— Może to jest dziecko Garibaldiego, one ciągle łążą po drzewach.

— To synowie Garibaldiego łążą po drzewach.

— Ale oni wchodzą tylko na ombu.

— To prawda. Jak ktoś mógłby wejść po takim pniu? Szyje pięćdziesięciorga ludzi wyciągnęły się ku dziewczynce.

Drzewo zdawało się niebotycznie wysokie. Gdyby to było zwyczajne ombu z niskimi, zachęcającymi do wspinania się gałęziami, nikt nawet nie pomyślałby o cudzie ani o legendzie, którą można będzie opowiadać przez najbliższe dziesięćdziesiąt lat. Mieli jednak przed sobą najwyższe ceibo, jakie kiedykolwiek widzieli — najniższe gałęzie zwieszały się wiele metrów nad ziemią. Żaden dorosły z dzieckiem na ręku nie zdołałby się na nie wdrapać, nie mówiąc już o samym dziecku.

— Doskonale. *Doña Rosa* doczekała się cudu.

— Wszyscyśmy się doczekali.

— Cud to cud, co tu więcej gadać?

— Nic. Trzeba tylko Bogu podziękować.

— Skoro tak mówicie.

— A mówię, oczywiście, że mówię.

— Nie miałem na myśli nic złego.

— Aha.

— Słuchajcie wszyscy, nie ma co się kłócić.

— Musimy coś wymyślić, żeby sprowadzić ją na dół.  
— Przynieść drabinę!  
— Może by ją strącić z tej gałęzi?  
— Nikt nie ma takiej wysokiej drabiny, wiem coś o tym, przecież to ja wyrabiam drabiny dla całej okolicy.  
— Spróbuję się tam wdrapać.  
— Człowieku, ty ledwie potrafisz się wdrapać na swojego konia!  
— Może powinniśmy poczekać na jakiś znak?  
— I co jeszcze? Mamy ją tam zostawić na następne sto lat?  
Dziewczynka siedziała spokojnie nad całą tą wrzawą, prawie się nie ruszając. Artigas myślał: *Mirame*, ona zaś kręciła głową to w tę, to w tamtą stronę. W końcu ich oczy się spotkały. Ty. Ty. W ich spojrzeniach kryły się życie i moc, ich spojrzenia były żerdzią wyciągniętą między nimi, niewidoczną, lecz niemożliwą do złamania — tak przynajmniej się wydawało.  
— Znam ją! — zawołał. — To moja siostra. Pięćdziesiąt głów zwróciło się ku chłopcu.  
— Twoja siostra?  
— Co za siostra?  
— To znaczy... jemu chodzi o to...  
— Biedaczek.  
— Biedny chłopak.  
— Posłuchaj, Artigas. — Carlita Robles przykucnęła koło niego. — To nie może być ona.  
— Dlaczego nie?  
— Za wiele czasu upłynęło.  
— Niemożliwe, żeby przeżyła.  
— Taka mała dziewczynka nie mogłaby sama przeżyć.  
— Ale przeżyła — upierał się Artigas.  
Carlita i *doña Rosa* wymieniły między sobą spojrzenia.  
— A poza tym, jeżeli to nie ona, to skąd się wzięła ta dziewczynka?  
*Doña Rosa* otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Nikt się nie odezwał. Artigas znowu spojrzał w górę, na dziewczynkę

siedzącą na czubku drzewa. Ona też na niego spojrzała. Była daleko od niego, za to blisko nieba, lecz mógłby przysiąc, że widział jej oczy jak głębokie jeziora, szeroko rozwarte, z czerwonymi żyłkami na białkach. Wyobraził sobie, że szybuje w górę, aby się do niej zbliżyć.

— Poczekaj na mnie! — zawołał.

Wsiadł na konia i pogalopował w dół wzgórza.

Tía Tita, zajęta oskubywaniem kurczaka, siedziała przed chatą. Opowiedział jej szczegółowo o tym, co rano wydarzyło się na placu, o ludziach zebranych wokół ceibo, o dziewczynce na gałęzi. Ciotka słuchała go z twarzą zwróconą ku słońcu. Jej usta się poruszały, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. W końcu wytarła rękę w fartuch i zdjęła go z szyi.

— Idziemy — rzuciła.

Kiedy dotarli pod ceibo, zastali tam krąg złożony z większości mieszkańców miasteczka. Kobiety przyprowadziły dzieci, dzieci przyprowadziły dziadków, mężczyźni przyprowadzili żony, a bezpańskie psy z placu przyprowadziły się wzajemnie. Konie pasły się na trawie. *Doña Rosa*, nie zważając na to, że ubrudzi suknię, klęczała na ziemi i żarliwie się modliła, przesuwając palcami po paciorkach różańca, pobłogosławionego szesnaście lat wcześniej przez papieża. Syn sklepikarza wyciągnął drewniany flet. Psy na zmianę ujadły i powarkowały. Z ręki do ręki krążyły tykwy mate i koszyki wypełnione smakowitymi empanadas. Kłótnie na zmianę wybuchały i uspokajały się, by po chwili znowu rozgorzeć. Sprzeczano się o dziewczynkę, o jedzenie, o to, kto ile wypił, a także o to, co i z kim porabiał ostatniej nocy na placu. Dziewczynka przypatrywała się tłumowi spomiędzy gałęzi, które podtrzymywały ją jak opiekuńcze ramiona.

Tía Tita i Artigas zsunęli się z siodła, na którym razem siedzieli. Zapadła cisza. Tía Tita była niewysoka, ale wydawała się duża, miała mocną szczękę i zachowywała się władczo.

— Zostawcie nas same — powiedziała do ludzi, chociaż patrzyła na dziecko.

Nikt nie miał ochoty przerywać biesiady ani tracić widowiska,

trudno jednak było sprzeciwić się tej dziwnej kobiecie, która niczego się nie bała i którą wzywano w miasteczku na pomoc, kiedy starców bolały stawy albo żołnierzom płynęła z ust piana. Tłum się rozszedł, chociaż powoli i z ociąganiem. — Ty też, Artigas.

Zrobił, jak kazała. Czuł pod spoconymi udami leniwe ruchy stającego powoli konia. Powietrze było rozpalone, ciężkie i gęste. Stał przy gromadce, która zebrała się w cieniu ombu, i przekreślił się w siodle, by sprawdzić, co się dzieje za jego plecami. Tita i zawieszona między gałęziami dziewczynka nadal tam były, dwa ciemne punkty na tle niewzruszonego nieba. Tita uniosła ręce, jakby w oczekiwaniu, a wtedy czubek drzewa się poruszył, coś mignęło w powietrzu — i Tita zacisnęła ramiona wokół kształtu, który spadł na jej pierś. Artigas obserwował, jak ciotka odchodzi spod drzewa i pieszo kieruje się w stronę domu. Zanim wzeszedł księżyc, całe Tacuarembó znało już historię o upadku, który zamienił się w lot, czy też

o locie, który zamienił się w upadek. Nazwano ją Pajarita. Ptaszyna.

Nie każde życie zaczyna się w podobny sposób. Na przykład taki Ignazio Firielli. Nigdy nie zniknął ani się nie odnalazł, w żadnej wiosce ani miasteczku nie uznano go za nadprzyrodzone zjawisko. W jego życiu, kiedy był już dorosłym mężczyzną

i znalazł się z dala od domu, zdarzył się co prawda magiczny dzień, ale tylko jeden jedyny, a cała magia służyła temu, aby pchnąć go na drogę miłości. Tak przynajmniej opowiadał o tym lata później swoim wnukom, a zwłaszcza słuchającej go z uśmiechem Salome, przemilczając wszelkie nieprzyjemne szczegóły. Mówił o spojrzeniu pewnej kobiety, która uległa jego czarowi wytrzaśniętemu z rękawa. Był wtedy skromnym magikiem, występował wraz z wędrowną trupą w swoim jarmarcznym garniturze. Pamięć jest jednak mistrzynią zręcznych sztuczek: potrafi pięknie oświetlić wszystko, co miłe, a sprawy bolesne i niezręczne spycha w cień.

Zanim Ignazio odkrył magię, Urugwaj i kobiety, które rodzą się na drzewach, poznał Wenecję. Zapisła się w jego ciele — miał w sobie arterie jej kanałów, jej język melodyjny jak brzęk mosiądzu, zapach wody morskiej, bazylii i świeżo pociętego drewna w rodzinnym domu. A już przede wszystkim poznał gondole. Jego rodzina żyła z budowania gondoli wszelkich rozmiarów i stylów. Wygięte łukowato deski stały pod oknami; Ignazio pieścił je wzrokiem, wodził oczami po ich krągłościach i wiedział, że jest stąd, że przynależy do tego miejsca. Gondola sunie z człowiekiem po powierzchni wody, nie pozwala utonąć — on, Ignazio, nie musi bać się utonięcia, skoro wokół tyle pokładów i dziobów, i wiosła, tyle gondoli, z których jedne wożą ludzi na rynek, inne na śluby, inne służą do łowienia ryb, a jeszcze inne, te najważniejsze, odprowadzają zmarłych na wyspę San Michele.

Gondole łączyły Wenecjan z ich zmarłymi. Łączyły Ignazia z jego zmarłymi. W zakamarkach jego domu kryły się historie o zmarłych i o gondolach. Kiedy Ignazio miał jedenaście lat i siedział sam z dziadkiem w warsztacie, ten wyjawiał mu przeszłość. Zazwyczaj Nonno Umberto nie był zbyt rozmowny. Całe godziny spędzał przy oknie, kołysząc się w fotelu na biegunach, który zbudował kiedyś jako młody chłopak. Spokojny, cichy, składał na podolku kościste ręce i patrzył na odbicia domów na wodzie i na pościel łopoczącą na sznurach, choćby nawet z kuchni wydobywały się nie wiadomo jak głośne wrzaski. Był głuchy, a przynajmniej tak utrzymywał. Ignazio nigdy nie dowiedział się, jak rzecz się miała naprawdę. Szukał ciszy lub choćby jej namiastki, więc przychodził do dziadka i siadał na stołeczku u jego stóp. Pewnego dnia trafił na opowieść — tajemną, nieuchwytną, sekretną i żarliwą jak spowiedź.

Dawno temu, powiedział Nonno, rodzina Firiellich wypracowała sobie skromne źródło utrzymania — konstruowanie prostych gondoli. Zajmowała się tym od wieków, więc spodziewała się, że taki stan rzeczy potrwa przez następne stulecia. Kiedy Nonno się urodził, było oczywiste, że też będzie budował

gondole. Dorósł, ożenił się, spłodził siedmioro dzieci, które tak jak on kiedyś dorastały wśród stosów desek przygotowywanych do obróbki w słonej wodzie. Dla Wenecji nastał niedobry czas. Szalała cholera, nikt nie jadał do syta, na San Michele nie nadążano z grzebaniem zmarłych. „Austriacy”. Nonno Umberto chwycił spazmatycznie koc okrywający mu kolana. Ignazio pomyślał, że gdyby koc był żywy, musiałby krzyknąć z bólu. „Mieli krew na rękach. Ograbili nas i zostawili, żebyśmy zdechli”.

Promienie słońca kładły się na ścianach i na szkieletach łodzi, rozstawionych dookoła. Nonno patrzył przez okno. Ignazio skierował wzrok w tym samym kierunku i ujrzał Austriaków z dawnych czasów, rosnących mężczyzn o strasznych twarzach, w dziwnych czapkach, którzy płyną, półleżąc, gondolą i naśmiewają się po drodze z żebraków na mostach i nabrzeżach. W kuchni kłótnia trwała w najlepsze, rozległ się krzyk matki, potem ojca, następnie plaśnięcie, ktoś upadł, a później znowu dały się słyszeć krzyki.

Nonno mówił dalej: zaczęła się rewolucja. To był 1848 rok. Wenecjanie przepędzili Austriaków. Umberto i tysiące innych tańczyli na stopniach katedry aż do wschodu słońca. Miasto buzowało nadzieją. Zyskało wolność i niepodległość, będzie można przywrócić mu wielkość. Tak rzeczywiście było przez rok, a potem wrócili Austriacy. Cholera rozszalała się z nową siłą. W sześć miesięcy zabrała sześcioro dzieci Umberta. Cztery córki i dwóch synów. Jeden Diego przeżył („twój ojciec, Ignazio, tylko twój ojciec”). W noc śmierci swojej ostatniej siostry Diego zamilkł i nie odezwał się przez następne dwa lata i trzydzieści siedem dni. Tej samej nocy Umberto usiadł przy łóżku swojego milczącego syna, wymęczony jak wyżęta do ostatniej kropli szmata. Przyszedł grabarz, cały w czerni, z twarzą zasłoniętą kapturem z wyciętymi otworami na oczy. Spojrzał na Diega przez te szpary.

— Nie patrz na mojego syna — warknął Umberto.

— Nic mu się nie stanie.

— Nie patrz na niego.

Grabarz uniósł ręce. Umberto uderzył go, mężczyzna zatoczył się do tyłu, a Umberto zadawał ciosy, dopóki nie rozpląszczył mu kaptura na głowie.

— Oby gorączka strawiła twój dom! Obyście wszyscy zgnili! — krzyknął grabarz i powłókł się na dwór, nie zabrawszy ciała dziewczynki.

Później, tej samej nocy, Umberta obudził szelest u stóp łóżka. Zobaczył anioła. („Przysięgam, to był najprawdziwszy anioł, miał skrzydła i wszystko!"). Umberto siedział przez minutę w promienistej ciszy, po czym poprosił anioła, aby jego ostatni syn został oszczędzony. Anioł odrzekł: „Bóg słyszy to, co niesie się po wodzie". Koniuszek skrzydła musnął głowę Umberta, który od razu z powrotem zasnął. Rankiem wszedł do warsztatu i nic wychodził stamtąd przez trzy dni i trzy noce, dopóki nie zbudował żałobnej gondoli, tak pięknej, że aż sam był tym zdziwiony. Cztery kolumny podtrzymywały sklepienie wybite połyskliwym aksamitem. Wyrył w drewnie słowa modlitwy, na każdej kolumnie umieścił ozdobny krzyż opleciony winoroślą, kiście winogron, kwiaty lilii, putta z trąbkami, czarownicę wyrywającą sobie włosy z głowy, mitologiczne stworzenia splecione w miłosnym uścisku, Herkulesa roniącego łzy na szczycie góry, a przy sterze Orfeusza ze złotą lirą, gotowego śpiewać swą pieśń aż do wrót Hadesu. Kiedy gondola została spuszczone na wodę, by przyjąć ciało jego ostatniej córki, /wróciła na nią uwagę pewna księżna i zamówiła taką samą dla męża, który właśnie przeniósł się na tamten świat z powodu syfilisu. Odtąd gondole Firiellego służyły do przewozu najznamienitszych zmarłych Wenecji.

Oto, co opowiedział Nonno Umberto. Ignazio wysłuchał go, ale był przekonany, że to wszystko bajki. Nie wierzył, że dziadek, który teraz ledwie mógł donieść do ust widelec, potrafił wyrzeźbić w trzy dni taką piękną gondolę. Nie wierzył, że anioł stanął kiedykolwiek u stóp jego łóżka. Nie wyobrażał też sobie, aby jego ojciec, Diego, postradał jako mały chłopiec zdolność

mówienia, bo przecież teraz nie był ani mały, ani cichy. Ignazio zawsze kojarzył ojca z nadmiarem: olbrzym, który miał za dużo włosów, zbyt szybko opróżniał zbyt wielką liczbę butelek z winem, śmiał się za głośno w niewłaściwych momentach (jego śmiech był drapieżny i gdy się nasilał, atakował jak ostre pazury wściekłego ptaszyska). Wszyscy przy nim gaśli — Ignazio, jego bracia, jego siostry, jego szerokobiodra matka, kochająca swoje dzieci z impetem byka, i nawet Nonno ze swoim fotelem na biegunach, swoim oknem, pomarszczoną skórą, Nonno wycofany z życia do tego stopnia, że przestał rzeźbić, przestał nadawać kształt rzeczom i tylko przyglądał się, jak kołyszą się na wodzie lub toną w kanałach.

Pewnego wieczoru, latem, po kolacji, kiedy dom pozostawał jeszcze odrętwiały od upału, Ignazio, aczkolwiek niechętnie, rozstał się z dzieciństwem. Była środa. Miał dwanaście lat. Z kuchni dochodziło chlupotanie wody — to siostry zmywały naczynia. Ojciec zarzucił płaszcz na ramiona. Policzki miał czerwone od wina. Starsi bracia Ignazia uczynili jak ojciec i czekali z rękami w kieszeniach. Diego Firielli zwrócił się ku swojemu najmłodszemu synowi i gestem pokazał mu „chodź”. Bracia wybuchnęli śmiechem. Ignazio spiekł raka i rzucił się po płaszcz.

Gondola czekała na nich, kołysząc się obojętnie na wodzie. Ignazio wszedł jako ostatni. Wiatr śmigał po kanale, oni zaś posuwali się przed siebie w ciszy. Diego spojrział na Ignazia jakoś dziwnie, trochę wyczekująco, a trochę ironicznie. Burza rozpuszczonych włosów ojca zasłaniała Ignaziowi widok na miasto.

Było późno, nawet jak na Wenecję, ale dom, do którego przybyli, wypełniały światła, hałas i kobiety. Draperie z czerwonego aksamitu zwieszały się aż do podłogi, wino lało się strumieniami, ktoś wygrywał na akordeonie smętne tony, ale kobiety śmiały się żywiołowo, kołysały biodrami i ocierały się o mężczyzn. Ignazio stanął w kącie między zasłoną z aksamitu a ozdobną lampą. Starał się na nikogo nie patrzeć. Najbardziej życzyłby sobie, aby lampa zgasła, a on mógł po prostu wtopić się w mur. Odsunął się od kręgu światła, ale w tym momencie podszedł do niego ojciec z dziewczyną u każdego boku. „Zajmij się nim” — powiedział, popychając jedną ku synowi.



Na górze, na starym materacu, Ignazio dotknął drżącymi rękami kolana dziewczyny. Było zimne i gładkie. Ramiona miała obsypane piegami. Czarne pukle okalały jej twarz. Siedziała na wąskim łóżku, odchyłona lekko do tyłu. Ignazio czuł się niepewnie, bał się jej i jednocześnie był upokorzony własnym strachem. Dotknął rąbka jej sukni, a ponieważ nie posunął się dalej, dziewczyna zaczęła przewracać oczami, aż w końcu zabrała się do jego rozporka. Kiedy dwie minuty później zagłębiał się w nią, zza kotary po lewej stronie doszedł go głos ojca wydającego rytmiczne jęki. Uświadomił sobie, że i ojciec może go słyszeć. Przeraził się, że popełni jakąś niezręczność i zdradzi się dźwiękiem. Okazało się jednak, że jęknął we właściwym czasie, a zresztą ojciec go zagłuszył. Dziewczyna przez cały czas leżała spokojnie, jak rozgnieciona brzoskwinia, miękka, wilgotna i niepokojąca. Ojciec skończył. W szczytowym momencie Ignazio ugryzł dziewczynę w szyję — w całkowitej ciszy.

Wkrótce potem zaczęło się robić coraz gorzej i gorzej. Kiedy Ignazio skończył trzynaście lat, jego głos nabrał głębi, a ojciec złamał matce żebro. Gdy miał czternaście lat, wszedł pewnej nocy do kuchni, a widok, który zastał, przyprawił go o ciarki: ojciec siedział przy stole i bezgłośnie szlochał przy pustym kieliszku. Brodę miał mokrą od smarków i łez. Ignazio wycofał się cichutko i wrócił do łóżka, gdzie przewracał się bez wy-Ichnienia, słuchając chrapiącego Nonno, dopóki nie wstało słońce.

Piętnastoletni Ignazio przycinał, piaskował, drażył, zbijał i dopasowywał, aż jego dłonie zrobiły się szorstkie i twarde. Wstawał do pracy przed świtem, kładł się późno, a jednak warsztat Firiellich balansował na granicy upadku. Diego przyjmował nowe zamówienia, ale nie dotrzymywał zobowiązań.

Zrobione do połowy gondole czekały nie wiadomo na co. Mijały daty pogrzebów, rodziny zgłaszające się po odbiór łodzi odchodziły z niczym. Klienci przestawali ufać Firiellim, a wieczorny posiłek rodziny stawał się coraz skromniejszy. Kiedy Ignazio skończył szesnaście lat, jego rodzeństwo pożeniło się i powychodziło za mąż, zamówienia spadły o połowę, a uczucie głodu stało się mu równie znajome, jak chlupot wody uderzającej o wbite w dno pale.

Pewnej nocy Diego roztrzaskał w burdelu kandelabr i dwa krzesła. Został stamtąd wyrzucony, a na odchodnym usłyszał, żeby więcej się nie pokazywał. Już w następną noc nalegał tak bardzo, że Ignazio znowu przycumował gondolę u stopni wiodących do przybytku rozkoszy.

— Chodź ze mną.

Ignazio pokręcił odmownie głową.

Ojciec wygramolił się na ląd, pijany, ledwie trzymający się na nogach. Zastukał mosięzną kołatką o pomalowane na złoto drzwi i zaczął wrzeszczeć, żeby go wpuścić. Wyszło trzech strażników. Wymierzyli mu kilka ciosów, ściągnęli w dół schodów i wrzucili do gondoli, która zakołysała się gwałtownie pod jego ciężarem.

— Nie macie prawa! — zacharczał Diego.

— Zamknij gębę! — odwarknął jeden ze strażników. Ignazio nie mógł dojrzeć jego twarzy, chociaż ten zwrócił się ku niemu: — Nie potrafisz upilnować ojca? Na Boga, zadbaj o dobre imię rodziny.

Ignazio poczuł, że zalewa go fala gorąca. Najchętniej wskoczyłby do kanału, popłynął jak najdalej i już nigdy nie wrócił. Pokiwał tylko głową i zaczął wiosłować.

Pół roku później, w zimie, pewnej chłodnej nocy Diego roztrzaskał czaszkę swojej żony o ścianę i uciekł. Wody kanału burzyły się na wietrze. Ignazio widział z okna pokoju cień ojca na brzegu. Po chwili cień upadł, jakby dosięgła go niewidzialna pięść.

Ignazio przeleżał w ciszy na łóżku do czasu, aż z kuchni

dobiegły go biadania szwagierki: „Mamma nie żyje, mamma umarła!”. Zamknął oczy. Myślał o matce, o tym, jak go całowała, kiedy miał sześć lat i rozbił sobie kolano, ojej obfitych piersiach, w które chował głowę jak do wnętrza muszli, a one go otulały, tak że prawie nic nie słyszał; przypominał sobie jak podśpiewywała przy kuchennym stole, zgniatając ciasto na gnocchi, i jak patrzyła na niego podpuchniętymi oczami, gdy podobnie jak bracia zakładał w sieni płaszcz. Paliło go w piersiach. Gdyby ojciec sam nie rzucił się do wody, wtedy on zabiłby go gołymi rękami. Usłyszał, jak Nonno siada na swoim łóżku: „Co się dzieje?”.

Następne pięć godzin Ignazio spędził na obmywaniu ciała matki i usuwaniu śladów krwi ze ścian.

Dwa dni później ciało Diega wynurzyło się pod domem pewnego hrabiego, który kiedyś zamówił u niego gondolę, ale nigdy nie doczekał się realizacji zamówienia. Akurat na czas aby podróż na San Michèle odbyć razem z żoną.

Niebo było blade ze zgorzenia. Trumny płynęły otoczone gondolami żałobników — synów z żonami, córek z mężami, ich dzieci, ciotecznych babek i wujów w czerni. Wyspa San Michèle majaczyła przed nimi jak miasto grobów, ściągając ku sobie modlitwy i szlochania, które unosiły się nad wodą

Ignazio wiosłował jak we śnie. Świat nie był już dla niego światem, lecz obcą i niezrozumiałą atrapą. Rozpaczający ludzie wyglądali jak postaci z obrazu, które tylko udają, że są prawdziwe. Jeden Nonno Umberto zdawał się człowiekiem z krwi i kosei. Oddychał ciężko, tak że Ignazio słyszał jego sapanie wyraźniej niż zdrowaśki kobiet. Przy wysiadaniu Nonno wsparł się na jego ramieniu. Pachniał mieszanką mydła, octu i potu.

Polem były rzędy grobowców, modlitwy księdza, łzy ciotek i odsuwanie ciężkiej płyty, aby spuścić trumny. Ignazio patrzył lak doczesne szczątki jego rodziców (męża i żony, zabójcy i ofiary) powoli zagłębiają się razem w ciemności. Jego bracia wepchnęli płytę na miejsce, zamykając obydwójce na zawsze, zazgrzytał kamień.

— Ignazio — powiedział dziadek. — Przejdź się ze mną kawałek.

Zostawili rozmodlony tłum i odeszli brukowaną ścieżką. Dookoła pyszniły się zdobione rzeźbami groby bogaczy, z których każdy był dwa razy większy od kuchni w domu Firiellich. Napotykali spojrzenia sylfid, mitycznych bożków i zasmuconych aniołów. Potem zaczęły się skromne, usypane z ziemi groby. Nonno przystanął przy jednym z nich. Ignazio przeczytał nazwiska wyryte na marmurowej tabliczce: Porzia Firielli, Donato Firielli, Armino Firielli, Rosa Firielli, Eracla Firielli, Isabella Firielli. Powtórzył je sobie po cichu: Donato, Teresa, Francisco, Rosa, Emilia, Isabella. To byli jego wujowie i ciotki, nieznanym duchy, dzieci, których życie zostało tak wcześnie przerwane.

— Jeśli chodzi o twojego ojca — zaczął Nonno, wbijając wzrok w ziemię — musisz być inny od niego.

— Wiem.

— Ale musisz też się z nim pogodzić.

— Przecież umarł.

— No właśnie.

Ignazio kopnął kamyk, który skądś się napatoczył, i obojętnie kiwnął głową.

— Wyjedziesz teraz, prawda?

— Czy wyjadę?

— Wiesz, że nie możesz tu zostać.

Ignazio poczuł się tak, jakby był przezroczysty. A więc Nonno wszystko wiedział. Albo się domyślił. Matka zmarła, interes podupadł, starsi bracia walczyli jak sępy o to, co pozostało, siostry znalazły sobie mężów w innych miastach. Rodzinne gniazdo zamieniło się w dom cieni.

Nonno Umberto wyglądał na bardzo zmęczonego.

— Powinieneś wyjechać. Nasze imię jest przeklęte. A wkrótce we Włoszech wybuchnie wojna — dodał, nachylając się bliżej, tak że Ignazio czuł cierpki zapach jego białych włosów. — Posłuchaj: mam trochę pieniędzy schowanych pod podłogą, wyślę ci je do Nowego Świata, jeżeli przysięgniesz,

że będziesz coś tam budował. Może gondole, a może coś innego, potrzebnego akurat tam i wartego zachodu. Cokolwiek. Przysięgnij.

W tym momencie rozerwała się zasłona, która jeszcze parę chwil temu skrywała świat Ignazia — już nie śnił, rzeczy przestały być atrapami lub kształtami z obrazu. Poczuł, że stoi obydwoma nogami na ziemi, że co prawda otaczają go zmarli, ale jego ciało okrywa świeża, żywa skóra.

— Przysięgam — powiedział.

Kiedy wrócili w pobliże rodzinnego grobu, Ignazio spojrzął na wznoszącą się za wodą Wenecję. Miasto ukazywało ludzkim oczom swoje niezmiernie, ale czasami śmiertelnie niebezpieczne piękno. Gondole przecinały w ciszy zatokę, lecz on myślał już o szerokich rzekach i wzburzonych oceanach, które hen, daleko, opływają Bóg wie jakie lądy.

Cztery dni później, pierwszego lutego 1911 roku, Ignazio kupił bilet na parowiec. Statek płynął do Montevideo, miasta,

o którym nigdy nie słyszał, lecz chciał jak najszybciej wyjechać, a poza tym, mówił sobie, im mniej wie, tym lepiej. Wszedł na pokład, poukładał swój skromny bagaż, po czym zagadnął jednego z marynarzy o to, jak jest w Montevideo.

— Tanie dziwki i dużo ryb. To jest u ujścia La Platy. Ignazio pokiwał głową i spróbował się uśmiechnąć. Przepłynęli błękitny, oślepiający w słońcu Atlantyk. Włoscy

podróżni cierpieli na chorobę morską, cuchnęli i tylko starali się wymawiać swoje pełne nadziei słowa w taki sposób, aby brzmiały z hiszpańska. Dzieci wydzierały się wniebogłosy, a dorośli mężczyźni płakali jak dzieci. Ignazio usechłby z samotności, gdyby nie Piętro, szewc z Florencji, tak żywiołowy

i gadatliwy, że nawet kamienną rzeźbę potrafiłby skłonić do rozmowy. Gdy zobaczył go pierwszy raz, Piętro robił sobie skręta. Strzepnął bibułkę, która jakby tylko czekała, aby ułożyć się zgodnie z jego wolą, po czym skręcił oba końce, odcinając

tytoniowi wszelką drogę ucieczki (poddaj się, nie masz innego wyjścia, musisz się zapalić). Kiedy podniósł papierosa do ust, za jego plecami akurat zachodziło słońce i wyglądało to tak, jakby powoli zniżało się do jego kolan. Ignazio nie odstępował Pietra na krok. Chciał być jak on, niefrasobliwy, pewny siebie, niepomny przeszłości, i jak on chciał przechadzać się z dumą po pokładzie, jakby przyszłość była nagą kobietą, która czeka na niego z otwartymi ramionami.

Całe popołudnia spędzali oparci o barierkę. Patrzyli na ocean, zapalali papierosa, znowu patrzyli, palili, a gdy kończył im się tytoń, już tylko patrzyli, żując co się dało — rybią łuskę, strzępek materiału, gałązkę, która przyplątała się z lądu. Piętro traktował Ignazia jak zabawnego młodszego brata (był dziesięć lat starszy, miał dwadzieścia siedem lat lub coś koło tego), chociaż nabrał do niego trochę szacunku, gdy Ignazio pokonał go w kartach. Noce w burdelu uczyniły Ignazia dobrym graczem. Piętro uśmieł się serdecznie, gdy ten pokazał mu swoje pokerowe triki.

— Nieźle, całkiem nieźle. Przyda ci się w Nowym Świecie.

Nowy Świat. To brzmiało świeżo, imponująco — i onieśmielająco. Ignazio tasował karty, spoglądając raz po raz na horyzont, którego cienka, błękitna linia przylgnęła do nieba.

Po trzech miesiącach niedomyty i radosny Ignazio zszedł ze statku w Montevideo. W nozdrza uderzył go dziwny, lecz obiecujący odór, w którym zapach skóry wołowej mieszał się z zapachem potu, uryny i ostrego, zasadowego wiatru. Port pękał w szwach od statków, łopoczących banderami z całego świata: z Anglii, Francji, Włoch, Hiszpanii, Stanów Zjednoczonych i dziesiątek innych, których nie potrafił rozpoznać. Towarzysze podróży rozglądali się wkoło jak oszołomione dzieci. Ignazio sądził, że Piętro stoi tuż za nim, lecz gdy się obejrzał, nigdzie nie mógł dostrzec przyjaciela. Powietrze było ciężkie i wilgotne. W ogólnym harmidrze co chwilę rozlegały się skrzekliwe hiszpańskie słowa. Ludzi kłębiło się co niemiara: oprócz podróżnych po porcie kręcili się marynarze, wędrowni

handlarki i umorusane dzieci szukające zdechłych ryb. Jakiś chłopiec podniósł na niego głowę znad kosza ryb, które oskro-bywał z łusek. Miał szeroki, rozplaszczony nos, czarne oczy i niespotykane ciemną skórę. Piętro przekonywał Ignazia, że Urugwaj zamieszkują Europejczycy i potomkowie białej rasy. „To cywilizowany kraj” — mówił. Ignazio zajrzał chłopcu w oczy. Poczul — właśnie, sam nie wiedział co. Strach? Fascynację? Wstyd? Dotarł do niego oczywisty, a jednak niepojęty fakt, że oto znalazł się w dziwnej krainie, szmat drogi od domu. Poczul ucisk w klatce piersiowej, jakby nagle jego żebrom zrobiło się za ciasno. Zateśknął za swoim jedynym przyjacielem i rzucił się go szukać, roztrącając kobiety z wielkimi kosztami i marynarzy o ogorzałych twarzach. W końcu go znalazł — Piętro palił papierosa (skąd też go wytrzasnął?), oparłszy się nonszalancko o kawałek muru.

— Nie przejmuj się. Przyzwyczaimy się do wszystkiego — powiedział Piętro i zachichotał. — Masz, pociągnij sobie. Co byś powiedział na to, żebyśmy znaleźli jakieś miejsce, gdzie się pożywimy i może jeszcze przygruchamy sobie kobitkę? Pracą i mieszkaniem będziemy się martwić od jutra.

Klepnął Ignazia po plecach i powiódł go na wędrowkę po słonym labiryncie Montevideo.

*Monte. Vide. Eu.* „Widzę górę” — powiedział pierwszy Portugalczyk, który ujrzal tę ziemię z morza.

*Monte. Vide. Eu.* Ignazio nie zobaczył żadnej góry, tylko płaskie, wybrukowane ulice.

*Monte. Vide. Eu.* Miasto marynarzy i robotników, miasto wełny i steków wołowych, miasto szarych kamieni i lodowatych zim, tak wilgotne w styczniu, że w gorącym powietrzu można by pływać jak w wodzie. Miasto tych, którzy szukają. Port o stu banderach. Serce i zarazem sam kraniec Urugwaju.

Portugalczycy mieli na myśli El Cerro. Zobaczyli ze swojego statku El Cerro i ukuli nazwę dla miasta. *Monte. Góra. Gruba*

przesada. Pracując w porcie, Ignazio codziennie oglądał ten niski a wydłużony kształt po przeciwnej stronie zatoki, przypominający sadzone jajo. To doprawdy śmieszne i absurdalne nazywać górą coś, co na dobrą sprawę jest zaledwie pagórkem, wzniesieniem. Ktoś, kto tak jak on pochodził z kraju posiadającego Alpy, Dolomity, Apeniny, Wezuwiusza, Presanelę i Cor-nizzolo — wysokie, majestatyczne, olbrzymie, o tym był przekonany, chociaż sam ich nigdy nie widział — mógł tylko z pobłażaniem spoglądać na El Cerro z wysokości portowego żurawia, myśląc o tych głupcach, którzy jako pierwsi ujrzeli Urugwaj od strony morza.

Z żurawia wiele rzeczy wyglądało inaczej. Statki. Góry. Gładka toń wody na dole. Długi, męczący dzień pracy. Żurawie były w Montevideo nowością; pierwsze pojawiły się w tym samym tygodniu co Ignazio, który prędko nauczył się ich języka, układu krążków linowych, skrzywienia dźwigni, ostrożnego przemieszczania się wzdłuż wielkiego pyska maszyny. Nauczył się też znosić przeszywającą wilgoć i obezwładniający upał, podziwiać stalowe mięśnie nowoczesności i emocjonować tym, że potrafi podnosić w powietrze olbrzymie ciężary.

O zmierzchu Ignazio wracał ulicami o balkonach z kutego żelaza i ozdobnych drzwiach do La Calle Del Ejido, gdzie mieszkał w cieniu armat, które strzegły La Ciudad Vieja w czasach, gdy nie było jedynie Starym Miastem, lecz po prostu miastem. Dziwne, że pierwsi osadnicy otoczyli swoje miasteczko murem obronnym. Zbudowali też port, który rozsiadł się szeroko nad wodą, lecz jednocześnie blisko pól uprawnych. Jak wtedy wyglądało to miejsce? Po drugiej stronie muru, w nowszej części, ulice szybko się urywały i przechodziły w ubitą ziemię, na której wyrastały skromne drewniane domki, a zaraz za nimi zaczynała się nieujarzmiona, pusta przestrzeń. Dziwne to było miasto. Odbojniki przy drzwiach zrobiono z ametystu, stare budynki odgradzał od nowych mur, wszędzie, gdzie tylko się dało, używano skór zwierzęcych. Mieszkańcy mieli bzika na punkcie swojego prezydenta, który nazywał się



Battle y Ordoñez i przyrzekł im szkoły, poszanowanie praw robotników oraz szpitale (skandalicznie laickie, bez krzyży na ścianach). Wszyscy towarzysze pracy Ignazia — nawet imigranci, których było niemało — mówili o prezydencie tak, jak Włosi mówią o papieżu. Mieli jeszcze innego bzika — na punkcie mate, napoju z pokruszonych liści miejscowej rośliny, który zaparzali w wydrążonych tykwach, a pili przez metalową rurkę zwaną *bombilla*. Pili mate tak, jakby ich życie od tego zależało, i może rzeczywiście tak to odczuwali, kiedy siedząc wysoko na stalowych poprzeczkach, zalewali liście wodą w przerwach między kolejnymi partiami ciężarów do załadowania i przekazywali sobie tykwę z jednych spracowanych rąk do drugich. Ignazio, gdy zaproponowano mu napój po raz pierwszy, poczuł się urażony, że miałby dzielić to samo naczynie z innymi. Bądź co bądź, miał osiemnaście lat, był dorosłym mężczyzną. Odruchowo chciał odmówić, ale wołał, aby inni nie uznali, że przestraszył się picia herbaty. Tykwa grzała go w palce. Patrzył badawczo na mokrą, zieloną masę połyskującą w środku. Napój napełnił mu usta. Był orzeźwiający, zielony i gorzki. Smak Urugwaju, pomyślał.

Od czasu do czasu trafiał na rzeczy, które przypominały mu Wiochy: świeży makaron, dobre chianti, znajomą mowę, od której robiło się ciepło na sercu. Na parterze budynku, w którym wynajmował nędzny pokój, znajdował się bar El Corriente, zawsze było tam pełno imigrantów, grało rozstrojone pianino, a mocny alkohol, *grappa miel*, lał się strumieniami. Czasami, kiedy już nie mógł wytrzymać, nawet w środku nocy schodził tam posłuchać głośnych rozmów po włosku, mimo że mówiącym nieraz plątał się już język. Potrzebował tego. Te głosy wypełniały w nim brak, którego nie potrafiły wypełnić wizyty u prostytutek.

Pietro pracował u wspaniałego szewca, któremu ręce powykręcał reumatyzm. Spotykał się z Ignaziem w El Corriente nawet po kilka razy w tygodniu przez trzy lata, do czasu aż ożenił się z grubokościstą Sycylijką o łagodnych oczach. Ignazio

stał za jego plecami przy ołtarzu, kiedy panna młoda w jedwabnej sukni wchodziła do kościoła przy dźwiękach organów. Potem ksiądz coś mamrotał, kreślił znaki w powietrzu i pozwolił nowożeńcom się pocałować. Na schodach, na zewnątrz, Ignazio obsypał ich surowym ryżem i głośno wykrzyczał najlepsze życzenia, kiedy biegli do dorożki. Odjechali, nawet nie obejrzawszy się za siebie.

Potem już rzadziej widywał Pietra. W niektóre noce samotność i wyczerpanie powoli zaciskały pętlę wokół szyi Ignazia. Mijała godzina za godziną, on zaś leżał na cienkim sienniku i wpatrywał się w ciemność, starając się wyrzucić z głowy wspomnienia kanałów Wenecji. Miał jedzenie, parę groszy, pracę i pokój, czyli wszystko, czego trzeba, żeby przeżyć, lecz każdy dzień zdawał mu się podobny do skorupki małża — małż został zjedzony, a pusta skorupka nie była już nikomu potrzebna, nadawała się do wyrzucenia. Nie po to dziadek wyprawił go aż tutaj. Przywoływał przed oczy twarz Nonno, odmalowywał ją na czarnym suficie. Szczegóły traciły ostrość, a nie mógł pozwolić, aby ta twarz zatarła się w jego pamięci. Czasami, gdy ją sobie wyobrażał, zdawała się wielka, młoda i kanciasta, kiedy indziej szpeciły ją dziwaczne szramy. Zmieniała się wraz z porami roku i konsystencją nocy. Ignazio zapadał w sen, wpatrując się w nią, jak tonący wpatruje się w promienie słońca przeświecające przez wodę.

Pewnego listopadowego wieczoru, kiedy powiew już czwartej z kolei urugwajskiej wiosny przegnał chłodne dni, Ignazio poznał w El Corriente grupę mężczyzn. Gdy wszedł, rali w pokera, okropnie przy tym wrzeszcząc. Ich jaskrawe ubrania i niezwykajny wygląd od razu zwróciły jego uwagę: byli wśród nich krzepki olbrzym z podkreślonymi wąsami, mężczyzna ze złotymi kołami w uszach i czerwoną bandaną, identyczni, solidnie zbudowani bliźniacy, włochaty Hiszpan obwieszony biżuterią i karzeł o oczach rekina, który musiał stać na krześle, aby sięgnąć blatu. Robotnicy przy pozostałych stołach udawali, że ich nie widzą. Karzeł rozejrzał się i złapał spojrzenie Ignazia.

Masz ochotę zagrać na pieniądze? Ignazio przysunął sobie krzesło. Olbrzym rozdawał karty delikatnie i precyzyjnie. Ignazio czuł na sobie wzrok Hiszpana, który oceniał go tak, jak ocenia się mięso na targu. Co prawda starał się to robić dyskretnie, ale Ignazio i tak zauważył. Kiedy grał na pieniądze, nauczył się rejestrować najdrobniejsze szczegóły: badawczy wzrok, spadek temperatury przy stole w momencie rozdania, napięcie mięśni i oddechy pozostałych graczy. I'rzyprawiało go to o dreszczyk emocji, a umiejętność obserwacji stała się jego sekretną bronią. Rozłożył swoje karty. Olbrzym, który przegrał najwięcej, mruknął z irytacją. Reszta się roześmiała.

— Zagrajmy jeszcze raz — zaproponował mężczyzna z kolczykami.

Tym razem Hiszpanowi poszło całkiem nieźle. Ignazio wygrał następną kolejkę. I jeszcze jedną. Poczował koło siebie jakiś ruch: temperatura wzrosła, a powietrze naprężyło się jak naciągnięty kabel. Ludzie mniej się śmiali, za to częściej wymieniali spojrzenia i pociągali łyk z kieliszka. Ignazio podbił stawkę. Mężczyzna z kolczykami powiedział, że poczeka. Ignazio rozłożył rękę na stole i spojrzał w oczy przeciwnika. Były ciemnozielone, w siateczce zmarszczek, jakie robią się od śmiechu. Ignazio pomyślał, że wygląda jak pirat, chociaż nigdy prawdziwego pirata nie widział. Mężczyzna z kolczykami wyłożył karty. Miał królewskiego pokera. Wszystkie oczy zwróciły się na Ignazia.

Wystarczy sekunda, żeby taka sytuacja jak ta przekształciła się w bijatykę. Już nieraz obserwował coś takiego. Nachylił się ku zwycięzcy.

— Gratuluje.

— Jak się nazywasz? — Mężczyzna z kolczykami obracał w palcach świeżo wygrane monety.

— Ignazio. A ty?

— El Mago — odparł tamten, po czym dodał z emfazą: — El Mago Milagroso. Ale nazywają mnie też Cacho. Jesteś z Włoch?

— Z Wenecji. To tam, gdzie robią gondole.

Cacho wymienił zdziwione spojrzenie z olbrzymem. Ignazio otworzył usta, aby dostarczyć dodatkowych wyjaśnień, ale Hiszpan przysunął się do niego.

— *Che*, ty, Gondola — powiedział. Ignazio poczuł gryzący zapach jego brody.

— Chciałbyś u mnie pracować?

— A co miałbym robić?

— Potrzebuję stajennego. Ci tutaj — zrobił ruch w kierunku kompanów — występują w moim wesołym miasteczku. W przyszłym tygodniu wyruszamy na letni objazd.

— Nasz stajenny wczoraj zginął — parsknął karzeł. — Pojedynkował się na pistolety o dziewczynę.

Hiszpan uśmiechnął się, ukazując trzy złote zęby.

— Dobrze płacę — zapewnił, po czym wziął kilka kart i ułożył je w wachlarz. — No to jak?

Ignazio patrzył na czerwono-biały wzór na odwrocie kart. Był łapczywy, chciał mieć je wszystkie — kiery, trefle, walety pikowe i asy, ale przecież ani w życiu, ani w pokerze nie jest to możliwe. Człowiek musi wybierać, a potem trzymać się raz obranej drogi. Jeżeli wsiądzie na statek i zostawi za sobą Wenecję, potem jest już tylko ocean i nie ma powrotu. Jeżeli dobra karta wpadnie mu do ręki już choćby sekundę za późno, musi z niej zrezygnować i siedzieć cicho. Dlatego starał się zważyć wartość swojego miejskiego życia i porównać je z tym, które mu proponowano — twardym, ale pociągającym, nieznanym, niewiadomym, zapewne pełnym przygód, lecz całkowicie zależnym od tych obcych ludzi. To dopiero był hazard. Wszystko jest grą hazardową.

— *Bueno* — powiedział.

Hiszpan przypieczętował umowę skinieniem głowy.

Nie minęło sześć dni, a Ignazio ruszył na wschód z wesołym miasteczkiem Calaquita, złożonym z tuzina mężczyzn, ich żon i dzieci, a także ciągniętych przez konie niezliczonych wozów, do których zapakowano tyczki, namioty w stylu cyrkowym,

podłogi z pozbijanych desek, markizy, składane podesty, błyszczące koła do ruletki, wagi, lustra zniekształcające, upiorne maski, mąkę, ryż, trąbki, wędzoną wołowinę, gołębie, kurczęta i króliki w klatkach i wiele, wiele skrzyń z kostiumami. Konie wzbijały kurz na drodze, więc korowód przemieszczał się w brunatnym obłoku. Cóż to była za droga! Ignazio, który całe swoje życie przeżył w mieście, nie sądził, że miejskie mury mogą w pewnym momencie się skończyć i ustąpić miejsca bezkresowi. Wiedział oczywiście, że coś takiego istnieje, lecz zupełnie nie był przygotowany na spokój i bezmiar tak wielkiej przestrzeni, który wywoływał w jego duszy jakieś gwałtowne i nieznane pragnienia. Jechali i jechali, a przed nimi otwierał się bujny, dumny, nagi, pachnący, zielony aż po krańce krajobraz. Tylko z rzadka widywali skromne szalasy otoczone ciernistymi krzewami, od których dochodziły odgłosy zwierząt domowych.

Pando — *plaza* i kilka budynków dookoła — było ich pierwszym przystankiem. Miasteczko dopiero zaczynało żyć w rytm bożonarodzeniowej gorączki. Trupa przywiozła mieszkańcom mieszanek hazardu, okultyzmu i widowiska. Spocony Ignazio sprzątał i wynosił koński nawóz. Potem przebierał się w niebieski garnitur z cekinami i patrzył na sztuczki kolegów. W ich świecie wszystko było możliwe — potrafili sprawić, że święty dyszał żądzą rozkoszy, a grzesznik spowiadał się ze swoich przewin. Potrafili sprawić, że dorośli mężczyźni czepiali się ich wozów i błagali, żeby jeszcze się nie pakowali, nie odjeżdżali, nie znikali na tej szerokiej, spalonej słońcem drodze.

Przyjmowały ich kolejne miasta. Przemierzyli cały kraj — na zachodzie dotarli do Paysandu, na wschodzie zajechali przez Rocha do brazylijskiego Chuy, na północy do Artigas. Ignazio myślał o tym, że ludziom, którzy go oglądają, wydaje się na pewno całkowicie wolny, nieokiełznany i może nawet trochę niebezpieczny. Tak zresztą się czuł, kiedy zostawiał za sobą kolejne miasta i zaglądał z rozczuleniem w błyszczące oczy dzieci, mijał mężczyzn, którzy objeżdżali konno swoje pola,

i przysadziste kobiety dźwigające wodę w wiadrach. Zastanawiał się nad tym, czym właściwie jest dom. Szukał go na końskim grzbiecie, w podrygiwaniu wozu, w świetle gwiazd, w maté i w wódce pitej przy ognisku. Zaprzyjaźnił się z Cacho Cassellą, który okazał się magikiem, a nie piratem, nosił jaskrawe bandany i gromko się śmiał. Jego przodkami byli gau-czowie ze wschodu, którzy jedli brazylijskie *baurus* i mówili nadgranicznym dialektem *portuñol* będącym mieszanką portugalskiego i hiszpańskiego. Łączyło ich zamiłowanie do długiego przesiadywania przy ognisku. Przy rozżarzonych węglach Cacho wyśpiewywał tęskne ballady gauczów i uczył Ignazia sztuczek, które w oczach nieznających się na rzeczy widzów świadczyły o konszachtach z siłami nadprzyrodzonymi. Nauczył go też starej urugwajskiej gry hazardowej przy użyciu krowich kręgów — Ignazio lubił grać w te białe kości, które odznaczały się na tle ciemnej ziemi. Czasami kości rozkładały się *eon suerte*, czyli szczęśliwie, a czasami *pal culo* — do dupy. Niekiedy po prostu obaj z Cacho siedzieli w ciszy, przekazując sobie tykwę maté, dokładali drew do ognia i patrzyli na niebo, które z czarnego robiło się granatowe, dopóki nie zaróżowiła go wstążka zorzy.

— Tak właśnie wygląda noc prawdziwego gaucza — pouczał go Cacho.

Zdaniem Ignazia prawdziwa magia polegała na tym, że można — podobnie jak on — przyswoić sobie obcą kulturę, przejąć cudzy styl życia, jakby to był strój szyty na miarę, i to tak, aby nikt nie poznał, że to tylko przebranie.

Pewnego dnia, w trzecim miesiącu podróży, Cacho obudził się z tak straszliwym kaczem, że nie tylko nie mógł wystąpić jako El Mago Milagroso, ale w ogóle utrzymać się na nogach. Akurat spędzili pierwszą noc w Tacuarembó. Chmara ludzi kłębiła się w oczekiwaniu u wejścia do namiotu.

— Niech go diabli wezmą! — przeklął na zapleczu Hiszpan. — Jeżeli będziemy musieli odwołać występ, to ja go...

— Nie będziecie niczego odwoływać — powiedziała Con-

suelo, żona Cacha. Różowe cekiny na jej trykocie połyskiwały z każdym jej gestem. — Gondola go zastąpi.

— Przecież ja się nie znam na magii — odparł Ignazio.

— A Cacho niby się zna? Umiesz tyle samo co i on, obserwowałeś go już wiele razy. W dodatku akurat zmieścisz się w jego kostium. — Consuelo pełniła funkcję nadwornej krawcowej całej trupy i jej decyzje w sprawach strojów były nieodwołalne. Nazywano ją Mistrzynią Przebieranek. Przechyliła zalotnie głowę i dodała: — Kiedy będziesz mnie miał piłą, podpowiem ci z trumny, co masz robić.

— Ona ma rację — stwierdził Hiszpan. — Nic lepszego nie wymyślimy. Wkładaj kostium, tylko się pospiesz.

Dwadzieścia minut później Ignazio rozsunał drżącymi palcami aksamitną kurtynę. Zagrały trąbki, rozległy się oklaski. Na scenie panował iście piekielny upał. Zapach potu i orzeszków ziemnych doprowadzał go do mdłości. Tłum na widowni jawił mu się jako jedna wielka plama. Przebrnął jakoś przez słowo wstępne, próbując nawet dowcipów i kalamburów, które zapamiętał z cowieczornych popisów Cacho. Ku jego zaskoczeniu publika reagowała śmiechem i krzykami. Na scenę weszła Consuelo i dodała mu odwagi porozumiewawczym mrugnięciem.

W połowie drugiego numeru rozróżniał twarze widzów (już się uspokoił, wiedział, że wszystko pójdzie dobrze) i z tej masy ludzkich rysów wyłoniła się ona — młoda kobieta o wystających kościach policzkowych, spokojnym spojrzeniu i długich, czarnych warkoczach. Wyglądała tak, jakby właśnie przyleciała na ziemię z innej, lepszej planety. Siedziała spokojnie, uroczysta i uważna. Ignazio skierował wzrok w drugą stronę, ale ciągle miał przed oczami jej twarz, jakby była duchem.

Jego nieugruntowana jeszcze siła sceniczna zaczęła się chwiać. Zająknął się raz, potem drugi. Trójka chłopców z pierwszego rzędu naśmiewała się z niego. Najwyższy czas, aby znaleźć wśród publiczności ochotnika. Kto mi pomoże?

Wielu ludzi podniosło ręce, także chłopcy z pierwszego rzędu, ale Ignazio wskazał dziewczynę.

— A może *esa morochita*, która stoi w kącie?

Weszła na scenę. Po latach nie będzie pamiętał okrzyków zdziwienia, skrzyżowanych ramion wyrażających rozczarowanie ani skorupki orzechów laskowych rzuconych mu pod nogi przez publiczność, a jedynie fakt, że weszła na scenę. Żółta apaszka zniknie, on zaś znajdzie ją najpierw za uchem dziewczyny, a potem w swoim rękawie. Machnął ręką i apaszka rzeczywiście zniknęła. Tłum mruknął z aprobatą. Dziewczyna nadal patrzyła ze spokojem, który wytrącał go z równowagi. Stała tak blisko. Nachylił się ku niej (ten jej zapach) i wyciągnął apaszkę spod jej włosów. Widownia zaklaskała, ona zaś uśmiechnęła się leciutko, tak że ledwie rozwarła usta, ale jednak się uśmiechnęła. Apaszka znowu zniknęła. Ignazio wyprostował się i rzucił głośno: „Czy pani wie, gdzie ona się podziała?”. Wyznaczona przez niego ochotniczka przekrzywiła głowę. Triumfalnie wyszczerzył zęby i sięgnął do rękawa. Niczego nie znalazł. Zaczął gorączkowo szukać, ale na próżno. Zapasowa żółta apaszka ukryta w podszewce też się gdzieś zawieruszyła.

Ludzie zaczęli chichotać, gadać, wychylać się wyczekująco. Ignazio w panice spojrzał na dziewczynę. Nie mógł wydusić ani słowa, ona zaś podeszła blisko, wsunęła w rękaw palce, których dotyk parzył go jak ogień, i wysunęła je — o wiele za szybko — ściskając między nimi żółtą apaszkę jak złapaną w sidła zdobycz.

Publiczność szalała, drwiła z niego, za to wychwalała dziewczynę, którą wszyscy nazywali po imieniu — Pajarita. To imię wychodziło z ich ust, przepływało przez jego pusty rękaw i osiadało na jego zapadniętej piersi. Pajarita. Zostało tam przez dalszy ciąg występu, przetrwało piłowanie, a także numer z królikiem i gołębiami. Szeleściło, kiedy morze ludzkich głów wypływało z sali. Łopotało i tukało się o jego żebra, kiedy leżał pod gwiazdami, usiłując spać, choć miał szeroko otwarte oczy. Pajarita.



Gdy wreszcie zmógł go sen, przyśniło mu się, że leży nad brzegiem kanału i wyciąga jedwabne apaszki spod spódnicy jakiejś kobiety. Wyciągał jedną, zaraz pojawiała się następna, aż zrobiło się ich tyle, że spowiły go całego, tak że dookoła istniał tylko żółty jedwab.

Rano drżały mu usta, kiedy jadł chleb i pił pierwszą matę. Ucz celu włączył się po obozowisku. W końcu zajął się końmi; gracia tych zwierząt przypomniła mu wdzięk nieznajomej dziewczyny. Zwijał sznury, które kojarzyły mu się z jej warkoczami. Wpychał żerdzie głęboko w ziemię i myślał o tym, że musi ją odnaleźć.

W tak małym miasteczku nie było to wcale trudne. Po południu Ignazio, ściskając w ręce kapelusz, znalazł się przy wejściu do chaty Torresów. Modlił się o to, żeby wyglądać przyzwoicie i szacownie. Na jego spotkanie wyszła kobieta o ogorzalej twarzy i obwisłych piersiach. - Dzień dobry — powiedział, (icstem zachęciła go, aby wszedł do środka, za zasłonę ze zwierzęcej skóry. Kolejnym gestem wskazała miejsce przy stole. Już miał usiąść, kiedy się zorientował, że taborety wokół stołu to w rzeczywistości zwierzęce czaszki, w żaden sposób nieobrobione, żółtawe, z wielkimi oczodołami. W klepisku była dziura i palił się w niej ogień. Nie usiadł. Zebrał wszystkie siły, aby nie pokazać, że drży. Kobieta rzuciła mu spojrzenie z ukosa, po czym kucnęła przy palenisku. W końcu to ona przerwała ciszę.

Przyszedłeś do Pajarity — rzekła. Tak.

Poszła na targ. Ignazio podrapał paznokciami brzeg kapelusza.

Czy... czy pani mąż przyjdzie wkrótce? Chciałbym z nim porozmawiać o waszej córce.

Tak, jej ojciec przyjdzie. — Wrzuciła posiekaną pietruszkę do gotującej się wody. — Chcesz się z nią ożenić

Tak.

— Dlaczego?

— To najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Spojrzała na niego, jakby miała przed sobą ceber bielizny do prania.

— I co jeszcze?

— Nie wiem. — Przez jego głowę przemknęła myśl o żółtym jedwabiu. — Chciałbym... Chciałbym się ożenić. *Señora*, jestem dobrym człowiekiem, pochodzę z porządnej rodziny, z Wenecji. Robiliśmy gondy... łodzie. Budowaliśmy łodzie.

— Pajarita wróci o zmierzchu — oznajmiła, nie spuszczać z niego wzroku. — Możesz tu poczekać.

Usiadł na pniaku na zewnątrz i obserwował ciemniejące powoli niebo. Wszędzie panoszyły się gdaczące nieznośnie kury, które jak się zdawało zwrócone w jego kierunku, dziobały powietrze. Minęła godzina, dwie, może nawet więcej. Podniósł się, trochę postał, zrobił kilka kroków to w jedną, to w drugą stronę. Jego jedyne lakierki pokryły się złotawym kurzem. Poczuł swoją śmieszność. Cóż to za mężczyzna, w którego chłopcy na widowni mają odwagę ciskać łupinami orzechów? Uzurpator z niego. Smutne, samotne stworzenie. To głupota czekać tutaj. Powinien stąd odejść, zaraz stąd pójdzie.

Został.

W końcu ją zobaczył. Wiozła przytroczone do końskich boków kosze. Nie miała już w warkoczach zielonych wstążek, a jej suknia wyglądała tak, jakby uszyto ją dla kobiety dwa razy od niej większej. Pływała w niej. Pływała w powietrzu. Była cudowna.

Ignazio wstał i zdjął kapelusz. Wszystkie zgrabne zdania, które sobie ułożył, wyleciały mu z głowy. Była już blisko. Gdy zsiadała z konia, przeszył go ból. Chciał rzucić się ku niej i przycisnąć ją do swoich bioder tak mocno, że mógłby ją zmiażdżyć. Nie zrobił tego, tylko uklonił się i przywitał:

— Dobry wieczór, *señorita*.

Pajarita stała na tle gęstniejącego zmierzchu. Spojrzała na kobietę, która pokazała się w drzwiach.

— Tía Tita, co ten człowiek tu robi?

Ignazio pomyślał, że Tía Tita przyszła na świat, zanim jeszcze ludzkość nauczyła się mrugać powiekami. Wylała ręce w fartuch.

— Rzuciłaś na niego czar i teraz chce się z tobą ożenić. Może powinnaś mu powiedzieć, żeby został na kolację.

Ignazio opanował swoją niechęć do niezwykłych taboretów i usiadł przy chybotliwym stole. Tía Tita razem z Pajaritą obierały jarzyny, siekały, mieszały. Ignazio splótł dłonie, oparł je na stole, potem płasko rozłożył, znowu splótł, w końcu spuścił na kolana. Może należałoby zagać rozmowę? Cisza między obydwoma kobietami wydawała się jednak bardzo naturalna. Otulała je jak miękka narzuta. Podniósł rękę, zabębnił palcami o stół, przestał. Pajarita spojrzała na niego. Uśmiechnął się. Odwróciła wzrok.

Ojciec przyszedł, gdy jedzenie było już prawie gotowe. Usiadł na stołku z czaszki i spojrzał na obcego, który siedział w jego domu.

— Dobry wieczór, *señor*, nazywam się Ignazio Firielli.

— Miguel. — Mężczyzna kiwnął głową.

Ignazio poczekał, myśląc, że usłyszy coś jeszcze, ale ojciec Pajarity więcej się nie odezwał.

Kobiety podały posiłek. Ignazio spodziewał się, że znajdzie hałaśliwą chłopską rodzinę, pełną rozkrzyczanych dzieci, i wkupi się w ich łaski karcianymi trikami. Tymczasem żadnych dzieci nie było, tylko ich czworo. Jedli w ciszy, którą Tía Tita przerywała z rzadka pytaniami — jak wygląda Montevideo? Jak daleko jest stąd do Włoch? Co to znaczy „kanały zamiast ulic”? Początkowo Ignazio udzielał jak najprostszych odpowiedzi, ale w miarę upływu czasu zaczął je upiększać. Właśnie opisywał nieporównywalne z niczym piękno gondoli, licząc na to, że dzięki tej opowieści ukaże się w zupełnie nowym świetle, kiedy ojciec Pajarity niespodziewanie wstał i wyszedł.

Ignazio urwał w pół zdania. Usłyszał rzenie konia i stukot oddalających się kopyt. Kobiety nie skomentowały tego zajścia

ani słowem. Ignazio miał ochotę wyrznąć pięścią o ścianę, ale wyglądało na to, że ściana tego nie wytrzyma, a gdyby runęła, wraz z nią runęłyby zapewne i jego plany małżeńskie. Stracił szansę na rozmowę z ojcem, przeczuwał jednak niejasno, że w tej rodzinie panują zasady inne od tych, jakich się spodziewał, a może nawet inne, niż mógł sobie wyobrazić.

Ogień na palenisku dogasał. Powinien się pożegnać. Wstał, znowu ścisnął w palcach kapelusz.

— Dziękuję za wspaniałą kolację. Tia Tita kiwnęła głową.

— Czy mogę przyjść jutro?

Tia Tita spojrzała na Pajaritę, która obserwowała go z przechyloną głową. Poczul się jak na przesłuchaniu. Skinęła przyzwalająco.

Szedł przez porośnięte trawą pola w stronę obozowiska. Kiedy odwrócił się, aby spojrzeć ostatni raz na *ranchito*, w drzwiach — był tego pewien — mignęła mu twarz, przepiękna twarz, która zaraz schowała się do środka.

To nie jest świat, myślała Pajarita. To jest dom: tam stoi stół, a koło mnie śpi moja rodzina. Słyszę, jak oddychają. Przez okno wpada światło księżycy i tam, gdzie upadnie, maluje srebrne cienie. To miejsce jest moim domem. Dobrze mi tu. Ale to nie jest świat.

Ta myśl ją zaskoczyła. Była czymś zupełnie nowym, jak nieznanne ziółko rozgniecione na podniebieniu umysłu. Na świecie istniało mnóstwo rzeczy, które nie miały nic wspólnego z Tacuarembó. Pajarita wiedziała, że Tacuarembó stanowi zaledwie cząstkę Urugwaju, a Urugwaj cząstkę kontynentu i że kontynentów jest wiele, a każdy z nich leży na wielkiej wodzie zwanej morzem. O istnieniu mórz wiedziała od zawsze, bo jej *abuelo*, El Facón, pływał na nich i handlował egzotycznymi przedmiotami z dalekich krajów. Miała bransoletkę inkrustowaną nefrytem, którą dostała kiedyś od niego w prezencie

jej *abuella*. Wiedziała — nieraz jej to powtarzano — że Tacuarembó to tylko grajdołek, który jest niewart nawet kropki na mapie świata.

Nie czuła potrzeby o tym myśleć, żyjąc normalnym, codziennym rytmem. Na co dzień granice świata wytyczały znajome ścieżki, które biegły zawsze przez te same pola, wypełniały go znajome zapachy i dźwięki. Kręcił się w rytmie następujących zawsze w tej samej kolejności pór roku. Ten świat znała doskonale, żyła nim i nie potrzebowała do niego żadnej mapy.

Ale dzień, który się właśnie skończył, nie był normalny. Do jej drzwi zapukał mężczyzna. Nie mogła zasnąć. To na pewno wina księżyca, którego światło nie pozwala jej zmrużyć oka. Cóż to za dziwne uczucie, upajające i zarazem elektryzujące, jak wtedy, kiedy jako mała dziewczynka kręciła się w kółko wiele razy, potem nagle się zatrzymywała, a świat wirował jej w oczach. Wszystko tańczyło, ani jedna rzecz nie chciała ustać w miejscu. Ten mężczyzna przyniósł na swoich ustach inny kraj. Jego hiszpański przybierał dziwne formy i dziwnie brzmiał. Sporo wiedział o odległych miejscach, takich jak to miasto, które zamiast ulic przecinają rzeki. Nie do wiary. Kiedy Tía Tita zadawała mu pytania, jego różowa skóra różowiała jeszcze bardziej, ale dzielnie odpowiadał. Dla niej.

Oczywiście, mężczyźni już od dawna się jej przyglądali, kiedy ją spotkali na głównym placu albo na targu, gdzie taksowali ją takim samym wzrokiem jak wystawione na sprzedaż kury. Chłopcy, którzy chcieli wyglądać na dorosłych, proponowali jej pomoc przy niesieniu koszy. A jednak mimo swoich siedemnastu lat nie miała poważnych zalotników. Znano ją jako cudowne dziecko, tak silne, że samo, bez rodziny, zdołało przeżyć wśród wzgórz i wysokich drzew. Jak czułby się przy takiej kobiecie mąż? Nikt nawet nie próbował się tego dowiedzieć. Światło księżyca stawało się coraz bledsze. Wyglądało jak rozlane mleko. Tía Tita poruszyła się przez sen. Leżała zwrócona plecami do Pajarity, a twarzą do jej ojca. Zawsze sypiała między nimi, jak żywa bariera. Nigdy nie wyszła za

mąż. Była tak silna, że mogła jednocześnie unieść dwa wielkie wiadra wody. Trzema celnymi ciosami potrafiłaby powalić byka. Jej napary i maści leczyły wszelkie choroby. Uczyła Pajaritę wszystkiego, co sama wiedziała. Małżeństwo nie jest konieczne, ba, może nawet okazać się szkodliwe. Na przykład Carlita Robles — brutalność męża doprowadziła ją do takiego stanu, że sama nie może już nawet iść na targ. Albo choćby matka Pajarity — umarła, dając jej życie. Małżeństwo może oznaczać śmierć. Małżeństwo oznacza dzieci, przeprowadzkę, bliskość ciała mężczyzny. Ten obcy nie weźmie jej do żadnego pałacu ani do miasta z rzekami zamiast ulic, nie wywiezie jej do dalekich krajów. Może jednak poprowadzi ją w jakieś nowe miejsce, pokaże kawałek świata, co prawda mały, ale inny od tego, co już znajome.

Nie. Najchętniej rzuciłaby zasłonę na ten utrapiony księżyc. To jest jej dom. Zna tutaj wszystkich i wszyscy ją znają. Życie jest swojskie, zna je tak, jak język zna kształt każdego zęba. Potrzebuje przecież swoich zębów. I potrzebuje domu. Nie chce go opuszczać. To jednak nie była prawda. Jakaś ćmiąca tęsknota kazała jej raz po raz patrzeć na horyzont i zastanawiać się, co by się stało, gdyby wzięła konia i bez oglądania się do tyłu pogalopowała na skraj swojego ograniczonego świata, a stamtąd jeszcze dalej, przez pola i rzeki, które zmoczą jej suknię, smakując czarną moc rozgwieżdżonych nocy, tak jak zrobił to ten łobuz Artigas. Bardzo jej go brakowało. Jego obecność tworzyła coś w rodzaju żywego, rozedrganego kręgu, w którym mieścili się oboje, razem ze swoimi najskrytszymi myślami. Dzięki temu wyczuła, że ma zamiar wyjechać, na długo zanim się z tym zdradził. Kochał muzykę, nie mógł usiedzieć w miejscu i tęsknił do zmieniających się krajobrazów, śnił o bogatych *estancias*, wielkich posiadłościach otoczonych drutem kolczastym, i o spotkaniach z ich bogatymi właścicielami. Życie gauczów z każdym dniem stawało się coraz trudniejsze. Przyszłość w rodzinnej okolicy oznaczała, że na skrawku ziemi pracowałyby pod rozkazami jakiegoś pana i wiódł

ograniczone, ciasne życie. Dla jej brata byłoby to nie do zniesienia. Poza tym obydwój wiedzieli, choć żadne z nich nie mówiło tego głośno, że jeszcze większym ograniczeniem byłby dla niego wiecznie przygnębiony ojciec. Nie ganiła Artigasa. Pogodziła się z jego utratą, tak jak człowiek godzi się z brakiem wody w studni w czasie suszy.

- Wiem, co kombinujesz — oznajmiła, podając bratu drewniany klocek.

Artigas zamachnął się siekierą i rozłupał klocek. - Chcesz jechać do Brazylii.

- *Por Dios*, nie da się utrzymać przed tobą żadnego sekretu. Warkocze Pajarity zwieszały się na jej piersi jak sznury.

- Domyślam się, że nie mogę z tobą pojechać — powiedziała.

- Drogi są niebezpieczne. Rozumiesz: bandyci, jaguary, dżungla.

Właśnie. Potrzebujesz mnie, żeby cię chronić.

- Moim zdaniem to bandyci — znowu uniósł siekierę — potrzebują ochrony przed tobą.

Czy będziesz pisać listy?

- No pewnie.

- Arti, musisz mi to przyrzec, inaczej pojedę szukać cię w dżungli.

Wyjął drzazgę, która utkwiała mu w ręce. Za jego plecami łagodne, zielone pola rozciągały się aż po horyzont.

- Pajarita — powiedział, a jego głos spowodował, że wróciła ich niezwykła bliskość i znowu otaczał ich krąg wspólnych myśli. — Przyrzekam, że będę pisać.

Żaden list jednak nigdy nie nadszedł. Minęły dwa lata. Niemożliwe, żeby umarł. Oklejony cudzoziemskimi znaczkami list na pewno przyjdzie, jeśli nie dziś, to jutro, a w środku będą dobre wiadomości. Albo Arti we własnej osobie zjawi się w drzwiach, zakurzony, spocony, tryskający fantastycznymi opowieściami, żeby ją zabrać do pełnych muzyki miast. Jeżeli zaś się nie zjawi, noc w noc będzie tak leżała na starych skórkach,

które od lat służą rodzinie, nie mogąc zmrużyć oka, samotna i opuszczona. Chyba że i ona wyjedzie. Ale dokąd? Do Montevideo? Do tego miasta pełnego cudzoziemców? W Montevideo są brukowane ulice, a w porcie statki z całego świata; żeby tam się dostać, trzeba się przeprawić przez Rio Negro. Nigdy nie była na drugim brzegu rzeki, lecz nieraz słyszała o podróżnych, którzy potopili się z końmi i całym dobytkiem przy próbie przeprawy. To dawne historie, od tego czasu zbudowano już most, ale nawet teraz bardzo nieliczni mieszkańcy Tacuarembó zapuszczali się tak daleko. Jednak ten mężczyzna, ten magik, tam był.

Patrzył na nią, jakby była słońcem. I jakby chciał w nią wniknąć, aby zaznać tego słońca.

Tía Tita oddychała miarowo przez sen. Pajarita wsunęła rękę pod nocną koszulę. Przesunęła palcami po swoim brzuchu, po udach, po jedwabistych włosach między nimi. Jak tam gorąco.

Księżyc nadal wlewał do izby mleko, a Pajarita myślała o wszystkich innych izbach i o ciałach skąpanych w tym mleku dokładnie w tej chwili.

Ignazio szedł szybkim krokiem przez trawy, których zmysłowo pochylone główki ocierały się o jego kolana. To będzie jego druga wizyta, jutro opuści wraz z całą trupą Tacuarembó. Ostatnia szansa, pomyślał i podwinął rękawy, ale uświadomił sobie, że to nieeleganckie, i spuścił je z powrotem. Doszedł do *ranchito*, zapukał, uchylił zasłonę ze skóry.

Tía Tita wraz z Pajaritą kucały przy palenisku. Ignazio zdjął kapelusz.

— Pajarita — powiedziała ciotka — trzeba przynieść drew. Pokaż naszemu gościowi, gdzie leżą.

Poszedł za nią wydeptaną ścieżką, zanurzając się w powietrzu ciągle jeszcze przesyconym upałem. Zatrzymała się przy stosie narąbanych drew, który sięgał jej do piersi.

Nie myśl o jej piersiach. I nie drzyj tak.



Wyciągnął ręce. Podała mu polano, potem gałąź, jedną, drugą, potem dużo małych gałązek. Ryzykowne przedsięwzięcie. Wszystko jest ryzykiem.

— Pajarita.

Spojrzała na niego. Jej twarz opromieniało przydymione światło.

— *¿Qué?* — spytała.

— Czy ty, no wiesz, czy ty zechcesz za mnie wyjść? — Powinien uklęknąć, ale miał zajęte ręce i obawiał się, że jeśli uklęknie, wszystko mu się wysypie. — Jesteś taka piękna, po prostu wspaniała, aja mam dosyć bycia... no, po prostu chciałbym żyć razem z tobą w Montevideo. Jedź ze mną. Zostań mojażoną.

Nie potrafił niczego wyczytać z jej oczu, bo zupełnie nie zmieniły wyrazu. Czuł tylko piżmowy zapach letnich traw.

— Nie wiem, co odpowiedzieć.

— Czy kochasz innego?

— Nie.

— Czy kochasz mnie?

— Nie znam cię.

— Bo ja cię kocham, Pajarita. Wierzysz mi?

Zwlekała z odpowiedzią tak długo, że wydawało mu się, iż nigdy jej nie dostanie.

— Tak.

— Tak... że co?

— Tak, wierzę ci.

— Aha. — Głos mu się załamał. — Jutro wyjeżdżamy. Mógłbym zaoszczędzić trochę pieniędzy i wrócić tu jesienią. Może wtedy dasz mi odpowiedź?

— Może.

Zastanawiał się, co by tu powiedzieć na koniec — powinny to być szarmanckie i błyskotliwe słowa — lecz dziewczyna była już na ścieżce do chaty. Ruszył za nią, gubiąc po drodze gałązki. Kolacja minęła prędko i nadszedł czas, aby się pożegnać.

Tej nocy Ignazio spał niespokojnie i obudził się zmęczony. Nic mógł niczego przełknąć, nawet paru łyków mate.

— Ay. — Cacho przekazał tykwę karłowi Bajo. — Nawet mate odmawia. To mi wygląda na coś poważnego.

Złożyli namioty, stragany, scenę. Poszło im szybko, jako że wszystkie te konstrukcje były nietrwałe, przewidziane na zaledwie kilka dni.

— Nie przejmuj się, Gondola. — Hiszpan poklepał Ignazia po plecach. — Nie ona jedna na świecie.

Ignazio nie odpowiedział.

— Hej, popatrzcie! — zawołała ze swojego wozu Consuelo, wskazując wzgórze po zachodniej stronie.

Ignazio odwrócił się i ujrzał dwa konie na zielonym zboczu. Na jednym siedziała Tía Tita, na drugim, otoczona licznymi tobołkami, piękna jak anioł Pajarita. Podjechały do Ignazia. Nie schodząc z siodła, Pajarita spojrzała na niego. Jej oczy przypominały ciemną kipiel, w której mógłby się zatopić.

— Ksiądz jest w kościele — powiedziała. — Jeżeli teraz do niego pójdziemy, za godzinę będziemy mogli się pobrać.

Ignazio spojrzał na Hiszpana, który kiwnął przyzwalająco głową. Wskoczył na konia Pajarity, siadając za nią. Wjechali do miasta, a za nimi Tía Tita, Cacho, Consuelo i Bajo. Zanim dotarli na główny plac Tacuarembó, do korowodu dołączyły ze trzy tuziny miejscowych. W kościele ławki aż trzeszczały, tak się wiercili z ciekawości, kiedy Ignazio i Pajarita wymieniali przysięgę. „Na dobre i na złe — zaintonował śpiewnie ksiądz. — W zdrowiu i w chorobie”. „Tak”. I jeszcze raz: „Tak”. Z ławek dobiegły westchnienia. Cacho otarł łzy brzgiem skórzanego pasa. Siedząca w pobliżu dziewczynka zapiszczała z zadowolenia i z przejęcia aż zaczęła gryźć okładkę książeczki do nabożeństwa. Ksiądz ogłosił ich mężem i żoną.

Wrócili do obozowiska, gdzie jasnowłosi bliźniacy zagrali na trąbkach, siejąc popłoch wśród koni.

— *Señora Firielli* — zaczął uroczyście Hiszpan i ukłonił się pod wpływem wzruszenia. — Witamy w wesołym miasteczku Calaquita. Powiedzimy cię ku nowemu życiu. Zaraz

zrobimy miejsce na twoje rzeczy — dodał, sięgając po tobołki Pajarity.

— Ten chcę mieć przy sobie. — Zatrzymała go ruchem ręki.

— Aaa, rozumiem — odpowiedział niepewnie i wziął pozostałe bagaże.

Ignazio promieniał.

— Tía Tita, nie martw się — powiedział, patrząc na ciotkę zza głowy panny młodej. — Będę ją traktować jak królową.

— A żebyś wiedział. Musisz. — Siedząca na koniu tak jak oni Tía Tita wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Pajarity. Dotknęła worka, który jej bratanica zatrzymała przy sobie. Ignazio poczuł, że jego wybranka wzięła głęboki oddech, i zacisnął wokół niej ramiona. Zdawało się, że Tía Tita pożera Pajaritę wzrokiem. W końcu ściągnęła lejce i odjechała.

Trupa spędziła tego dnia wiele godzin w podróży. Pod wieczór zbliżyli się do spokojnych brzegów Rio Negro. Noc przed przeprawą do południowej części Urugwaju spędzili jeszcze po tej stronie. Consuelo, Mistrzynie Przebieranek, znalazła ustronny zagajnik i tam z krowiej skóry oraz niebieskiej kurtyny, która wisiała nad sceną w dniu, kiedy się poznali, urządziła nowożeńcom łożę, przystroiwszy je kwiatami polnymi.

Bochenek księżycy błyszczał na niebie, kiedy się kładli. Ignazio pocałował ramię Pajarity. Rozplótł jej warkocze, rozpuścił włosy i zanurzył w nich ręce. Były ciemne, gładkie i niebezpieczne jak głęboka woda. Przyciągnęła go do siebie. Miał zamiar sięgnąć po nią powoli i z szacunkiem, ale nie mógł nad sobą zapanować. Przyjęła go z westchnieniem, gotowa i otwarta. Potem pograżyli się w przepysznych snach.

Przebudził się. Leżała w jego ramionach. Była jeszcze noc. Zaczął słuchać cichego, wilgotnego pomruku rzeki, wciągał głęboko powietrze, a z nim zapach miłości, trawy, eukaliptusa, skóry, a nade wszystko jej zapach. Dumął o wydarzeniach ostatnich dni, aż w końcu pomyślał o tobołku, który Pajarita miała przy sobie nawet teraz. Pękaty, wypełniony nie wiadomo czym, leżał kilka kroków od nich. Ignazio wyczołgał się z łoża

i ostrożnie go otworzył. W środku były liście ceibo, ombu, eukaliptusa, a także inne rośliny, których nie znał. Kawałki kory, czarne korzenie, ostre, drobne pestki i ziarna. Mieszanka gryzących zapachów podrażniła jego nos i wyobraźnię. Ogarnęło go przerażenie — ożenił się z obcą, związał swój los z losem kobiety, o której nic nie wie. Ta myśl była jak uderzenie, dotkliwa, ale i emocjonująca. Poczował się tak, jak wtedy, kiedy opuszczał rodzinne Włochy. Gdy w końcu ponownie zasnął, przyśniły mu się gondole wypełnione po brzegi liśćmi ceibo. Sunęły w nieskończoność po Rio Negro.

## DOS

### Dziwne przewody i skradzione skarby

Montevideo, nieprzewidywalne, pełne nieokreślonych obietnic miasto labirynt było jak niegreplowana wełna.

*Monte. Vide. Eu.* „Widzę górę” — powiedział pierwszy Europejczyk, ujrawszy to miejsce. Pajarita nigdy nie widziała prawdziwych gór, ale nawet ona mogła stwierdzić, że w Montevideo na pewno ich nie ma. W mieście nie było nawet wzniesień. Chociaż właściwie to nieprawda: na płaskim terenie wszędzie wyrastały budowle, które pięły się do nieba. Gdyby naprawdę była ptakiem, nie tylko z imienia, wzbiłaby się nad miasto i zobaczyła — właśnie, co? Ludzki rój cisnący się wśród brukowanych ulic i murów, którym kres stawia morze. Nie, nie morze — rzeka, gładkie lustro jej wód obramowanych skałami. Gdzieś tam po przeciwnej stronie leży Argentyna. Szybując w przestworzach, zdołałaby może ją dostrzec.

Miasto sprzyja myślom o lataniu. Tak łatwo tu zapomnieć o ziemi. Na przykład w ich mieszkaniu w Ciudad Vieja wszystko jest bardzo wysokie: schody prowadzące do ich drzwi na piętrze, mosiężny stelaż łóżka, dzięki któremu siennik wisi w powietrzu, krzesła dwa razy wyższe niż bycze czaszki z pionowymi oparciami z drewna, stojący piecyk, zupełnie inny od paleniska, przy którym trzeba kucać. Wysokie jest okno, przez które się

przechyla, aby zobaczyć, co się dzieje na kamiennej Calle Sarandi. Po ulicy chodzą mężczyźni w czystych, czarnych kapeluszach i kobiety z koszykami, a ich krokom towarzyszą stukot końskich kopyt, cichy poszum drzew, słodkie zawrota akordeonu i ochrypy głos sklepiarza, który jej powiedział, że na świecie jest wojna.

Tej wiosny 1915 roku Pajarita spędzała długie godziny, obserwując z okna ulicę, w czasie gdy Ignazio pracował w porcie. Co noc odkrywała go na nowo, jak pole, które się zmienia w zależności od tego, czy wieje wiatr i w jakiej fazie wzrostu są zasadzone na nim rośliny. Nienasycony Ignazio. Smakowało mu wszystko, czym go karmiła. Co noc miał wilczy apetyt. Wracał do domu, gdy już było ciemno, słony jak morska woda, zmęczony, w sam raz w dobrym momencie, aby się najeść, kochać i zasnąć. Zawsze w tej samej kolejności. Taki był rytm ich życia: zapadający zmierzch, droga Ignazia do domu, krzątanina Pajarity w kuchni, skwierczące na patelni *milanesas*, wszędobylski zapach oleju i ich mieszkania. Wspólnie zasiadali przy małym, kwadratowym stole. Rozlegał się brzęk sztućców, chrupanie. Ignazio, któremu wołowina i wino przywróciły siły, zaczynał już odczuwać inny rodzaj głodu. Przykręcał lampę naftową i patrzył na żonę, ona zaś pozwalała mu na siebie patrzeć. Sięgał przez stół i jej dotykał. Jej widelec spadał na podłogę. Niósł ją półnagą do łóżka, w którym się kołysała, drżała i szlochała, jakby świat się rozdarł na pół, przecięty nożem ostrego światła.

Zanim nastał świt, wyślizgiwała się z jego ramion i przygotowywała stół do śniadania. Wychodził do pracy, zanim zrobiło się naprawdę jasno. Jakie to dziwne, myślała Pajarita, żyć tak blisko mężczyzny i rzadko oglądać go w pełnym świetle. Tylko w niedzielę mogli cieszyć się słońcem. Po mszy — albo zamiast mszy — spacerowali nad rzeką, grzęznąc po kostki w piasku. Trzymali się za ręce, byli mężem i żoną. Woda łagodnie pluskała, pozwalając zapomnieć o męczącej bliskości miasta. Wzdłuż brzegów leżały wygładzone przez wodę kamienie,

a gdzieniegdzie muszelki morskich żyłatek. Łodzie rybackie prażyły się w słońcu. W tym miejscu Pajarita z najwyższą łatwością wyobrażała sobie, że umie latać: wystarczył podmuch słonej bryzy i oto mknęła w górę, ku błękitnej koronie świata.

Słuchała słów Ignazia. Była trochę przy nim, a trochę tam, w przestworzach. Mówił o pracy. O tym, co mu się śniło.

O Wenecji, ale nie o swojej rodzinie. Nigdy nie wspominał ani o matce, ani o ojcu, ani o żadnych krewnych. Zdawało się, że w jego Wenecji nie było żywego ducha, a wytworne, rzeźbione gondole pływały same po mieście, zupełnie jak wodne stworzenia, chociaż zrobione z drewna. Mówił o nich obsesyjnie.

— Nie zawsze będę pracować w porcie, *mi amor*. — Schylił się po płaski, jasny kamień. — Dzięki gondolom możemy stać się bogaci. Czuję to. Zbuduję kilka gondoli, a potem spuścimy je na wodę, tutaj, na Rio de la Plata.

Zapatrzył się w wodę tak, jakby spodziewał się, że potwierdzi jego słowa. Puścił kaczkę — kamień podskoczył kilka razy i zatonął.

— Peso za kurs. Ludziom na pewno to się spodoba. Jak myślisz? — Ścisnął dłoń Pajarity. — Jakbym to widział: nasza mała flotylla sunie po wodzie. To będą nasze łódki i nasza woda.

Pajarita odwzajemniła mu uścisk. Poczowała bliznę na palcu Ignazia, który miał obcięty czubek. Nie wiedziała, w jakich okolicznościach ani kiedy go stracił. Pomalowana czerwoną, oblażącą farbą łódź rybacka podpłynęła blisko brzegu. Rybak wciągał na pokład sieć, prawie pustą — szamotały się w niej dwa, może trzy pstrągi. Zdarzało się, że widywała tutaj sieci, które prawie pękały od masy srebrnych stworzeń. Wodne głębiny żyły nieodgadnionym rytmem. W zły dzień cała setka czerwonych łodzi potrafiła wrócić z pustymi sieciami.

Ignazio otoczył ją ramieniem. Czowała na szyi stwardniałą skórę jego dłoni.

Ale najpierw zbuduję ci dom — powiedział.

I tak zrobił. Pożyczył pieniądze od Pietra, który był teraz właścicielem sklepu obuwniczego na ruchliwej ulicy koło Płaza de Zabala. Dzięki tej pożyczce kupił materiały: deski, cegły, piłę, gwoździe, młotki, klamki, szkło na szyby, tajemniczą nowość znaną jako „przewód elektryczny”, prawo własności skrawka ziemi na obrzeżach miasta w wiejskiej prawie dzielnicy o nazwie Punta Carretas, która trochę przypominała Pajaricie Tacuarembó, bo otwarta przestrzeń była tam płaska, porośnięta niewysoką trawą i tylko gdzieniegdzie stało małe *ranchito*. Różnica polegała na tym, że tutaj, kiedy szła zakurzoną ścieżką, jej włosy rozwiewał wiatr od morza. Pobliska latarnia morska wolno, bardzo wolno zataczała nocą świetlny krąg po okolicy.

— Mamy latarnię — mówił Ignazio — więc nigdy nie zgubimy się po ciemku.

Ich dom rósł, deska po desce. Wraz z każdą wmurowaną cegłą stawał się solidniejszy. Ignazio mierzył, mieszał zaprawę murarską, dźwigał i przybijał; Pajarita szła i obserwowała go. Mogło się przecież okazać, że nagle potrzebna mu będzie jakaś rzecz z jej koszyka — ciepła mate, szpinakowe *buñuelo*, *empanada* z szynką i serem zrobiona przez nią poprzedniego wieczoru, chustka do otarcia czoła, porcja gwoździ albo dodatkowych pieszczot. Pracował przez wiele miesięcy. Kiedy wbijał gwóźdź w drewno, czuł się tak, jakby wbijał w nie swe nadzieje. Każdy metr przewodów elektrycznych niósł w sobie modlitwy

o pomyślność tego domu. Każdy kąt budowali w pocie czoła i wypełniali marzeniami. Nikt wcześniej nie żył na tej przestrzeni, a więc mogli zostawić przeszłość za sobą i rozpocząć własną historię. Nie znali treści rozdziałów, które powstaną w tych czterech ścianach, nie wiedzieli, ile pokoleń będzie je pisało, jakie będą koleje ich losów, choć Pajarita wiele by dała, żeby móc choć trochę zajrzeć w przyszłość.

— To nasz pałac, *mi reinal* — zawołał Ignazio z dachu. — Wszystko stąd widzę!

— Uważaj, żebyś nie spadł! — odpowiedziała Pajarita.



— Ach, ci mężczyźni — odezwał się za jej plecami jakiś głos. — Zawsze wążą za wysoko i nie uważają.

Pajarita się odwróciła. Kilka metrów od niej stała kobieta z dużym koszem. Jej fartuch był zbryzgany krwią. Podeszła bliżej.

— Jestem Coco Descalzo. Żona rzeźnika — powiedziała, wskazując budynek z namalowanym ręcznie szyldem. — Jak się pani nazywa?

— Pajarita.

— Skąd pani jest?

— Z Tacuarembó.

— Naprawdę? Taki kawał drogi na północ! Pani mąż lakże? — Coco spojrzała w górę, tam gdzie pracował Ignazio.

— Nie. Mąż jest Włochem.

— Aaa. — Coco przełożyła kosz z jednego biodra na drugie. — Kiedy już skończycie dom, przyjdźcie do mnie do sklepu po *churrasco*. To będzie prezent, na dobry początek.

Pajarita i Ignazio pomalowali dom na kolor piaskowy. Do środka wstawili łóżko, trzy krzesła, ściany wyłożyli zielono-żółtą tapetą. Wysprzątali wynajmowane mieszkanie w Ciudad Vieja i opuścili je na dobre. Odtąd jedli *milanesas* z ryżem w swojej nowej kuchni, w rytm pulsowania latarni morskiej. Nawet w łóżku latarnia miała na nich wpływ: kiedy omiatał ich snop światła, zwalniali, a przyspieszali, gdy znikał.

Nazajutrz Pajarita przyrządziła mężowi śniadanie, wyprawiła go do pracy i poszła w stronę domu z napisem „Carniceria Descalzo”. W sklepie rzeźnickim stropy były niskie, a powietrze ostre i gryzące. Zastała tam dwie kobiety pogrążone w rozmowie, której zza lady przewodniczyła Coco. Pajarita postąpiła chwilę przy drzwiach, oglądając wołowinę. Mięso było dobrej jakości, czerwone, chude, ze świeżego uboju. Kobiety rozmawiały o wojnie. Najwyraźniej Anglicy byli górą: dama okrągła jak piłka futbolowa słyszała o tym na własne uszy. Pani w dużym kapeluszu przytoczyła opinię swojego syna o tym,

że wojna jest dobra, bo żołnierze potrzebują mundurów, a Urugwaj produkuje wełnę.

— *¡Por favor!* — odezwała się Coco. — Że niby powinniśmy być zadowoleni z wojny? Czy pani wie, ilu chłopców już zginęło?

— Na pewno niemało — powiedziała pani w dużym kapeluszu. — Ale w Europie. Tutaj mamy się całkiem dobrze.

— Uhm. Mamy się dobrze, ale sprawili to nasz prezydent José Batlle y Ordoñez, dobre szkoły, dobre płace, a nie wojna — oświadczyła Coco i wydeła wargi. — Pajarita, proszę bliżej!

Pajarita podeszła do lady.

— To nasza nowa sąsiadka. Obiecałam jej nasze *churras-quito*. — Schyliła się i zaczęła przebierać w cienkich płatach chudego mięsa.

— Nazywam się Sarita — przedstawiła się gruba kobieta, patrząc na Pajaritę z nieukrywaną ciekawością.

— No a jakie jest pani zdanie? — zwróciła się do niej dama w kapeluszu.

— Ale na jaki temat? — Pajarita spojrzała na nią niepewnie. Pod kapeluszem błyszcząły małe oczka, jak u myszy.

— Na temat Wielkiej Wojny! Czy to coś dobrego, czy wręcz przeciwnie?

Pajarita się zawahała. Te kobiety rozmawiały o rzeczach, które rozgrywały się bardzo daleko, w taki sposób, jakby wiedziały, co się tam dzieje, i miały praktykę w ocenianiu światowych spraw. Pomyślała o Europie, która była dla niej pojęciem tak mglistym, że nawet nie potrafiła jej sobie wyobrazić. Pomyślała o żołnierzach, bo mogła przynajmniej ich porównać do młodych mężczyzn, którzy stanęli po stronie rebeliantów w czasach jej dziadka, a potem wracali do Tacuarembó bez nóg, bez rąk, z wykrzywionymi ustami, udręczeni niespełnionymi nadziejami.

— Według mnie „wręcz przeciwnie”.

Sarita zachichotała, a pani w kapeluszu wydała okrzyk oburzenia, zabrała swoje sprawunki i wyszła.

Proszę się nią nie przejmować. — Sarita wyglądała, jakby Iriumfowała. Pachniała wanilią. — Ona uwielbia narzekać.

Witamy w Punta Carretas — powiedziała Coco, wręczając l'ajaricie owinięty czystym papierem pakunek.

Pajarita wróciła do sklepu następnego dnia i jeszcze następnego, i nie minął tydzień, a już codziennie w porze sjesty, kiedy *carnicería* była zamknięta, piła mate na pięterku, w mieszkaniu Coco i jej męża Gregoria, który wykorzystywał ten czas na to, aby porąbać, przygotować i pozawieszać na hakach mięso. Hegonia, córeczka Coco i Gregoria, raczkowała między ich nogami. Kobietom, które zaczynały pracę przed świtem i kontynuowały ją późno w nocy, sješta u Coco przynosiła wytchnienie, była chwilą wyrwaną codzienności, skradzionym skarbem. Salon Descalzów zapełniały bibeloty i piękne przedmioty, do których zaliczał się autentyczny angielski serwis herbaciany, ustawiony na gzymsie kominka jak relikwia. Coco była niezmiernie dumna ze swoich angielskich filiżanek i spodków, które zbierały kurz, kiedy ona podawała swoim gościom tykwę z mate. Nad serwisem wisiała fotografia José Batlle y Ordoñez, niedawnego prezydenta, który jak Pajarita mogła wywnioskować z rozmowy, dzięki swoim pomysłom, wprowadzonym przepisom i przemówieniom zmienił Urugwaj w nowoczesny, demokratyczny kraj. Na oprawionej w srebrną ramkę fotografii zażywny mężczyzna o okrągłych policzkach patrzył z powagą prosto w obiektyw. Zawsze można było liczyć na to, że na stole znajdzie się wielki półmisek *bizcochos*, rozpływających się w ustach ciasteczek, tak lubianych przez sąsiadki t Punta Carretas. Sąsiadki. Niezmiernie pachnąca wanilią Sarita Alfonsi, która w trakcie mówienia zawzięcie machała rękami, a jej śmiech przypominał dźwięk, jaki wydają miedziane garnki, kiedy je zderzyć. La Viuda, która owdowiała tak dawno temu, że nikt nawet nie pamiętał, jak się naprawdę nazywa. Zwykła siadywać w kącie i wyrażać aprobatę lub dezaprobatę ruchem dłoni. Maria Chamoun, której dziadkowie, przybywając do l Jrugwaju, przywieźli z sobą najrozmaitsze przyprawy z rodzin-

nego Libanu. Czasami pachniała leciutko tymi przyprawami, a Pajaricie zapach ten kojarzył się z letnim cieniem. Maria miała włosy jak grzywa pełnokrwistego rumaka, ciemne i lśniące. Do doskonałości doprowadziła sztukę przygotowywania *alfajores al nieve* — ciastek składających się z dwóch bisz-kopcików, które w jej wykonaniu były cienkie, lecz puszyste, połączonych nieprzesłodzonym kajmakiem i posypanych cukrem pudrem. Autorka tych pyszności z niekłamaną dumą obserwowała, jak znikają z patery. Wiedziała, że są niezrównane. Clarabel Ortiz, La Divorciada, pierwsza kobieta w Punta Carretas, która skorzystała z zagwarantowanego przez przepisy prawa do rozwodu, spotkania odbywała w pozycji półleżącej, oparta o poduszki na sofie. Status rozwódki przydawał jej w salonie Coco trochę skandalicznej sławy i tajemniczości. Była blada, a usta malowała na różowo. Figurę miała jak kołek w płocie. Clarabel od czasu do czasu urządzała seanse spirytystyczne w swoim świeżo opuszczonym przez małżonka domu. Część sąsiadek przyjmowała jej zaproszenia, a część pogardliwie je odrzucała.

— Phi! Krążące spodki, tak?

— Nie zawsze krążą, Sarita, przecież wiesz.

— No cóż. Ja tam wolę zostawić swoich zmarłych w spokoju. Nawet gdyby mogli zmartwychwstać, chociaż nie jest to możliwe, po co mam zawracać sobie nimi głowę?

— *Espera. Pero no.* — La Viuda uniosła dłoń. — Spirytyzm czy nie spirytyzm, zmarli to coś więcej niż zawracanie głowy.

W pokoju zapadła cisza. Coco przejęła z rąk Pajarity tykwę z mate. Doląła wody do środka i przekazała ją Marii Chamoun.

— Słyszałaś? — zapytała Maria. — Ludzie widzieli koło latarni morskiej wnuczkę Glorii. Leżała na skałach, a na niej jakiś chłopiec. Miała rozpiętą bluzkę.

— *¡Esa chica!*

— Od urodzenia były z nią kłopoty.

— Podobno dostała niezłe baty od ojca.

- Już nigdy nie będzie próbowała spotkać się z tym chłopcem.
- To trochę *exagerado*. A jeżeli to jej narzeczony?
- Clarabel! Ty masz dziwne pomysły.

Innym razem Clarabel nie mogła się nadziwić Pajaricie, że nie ma pojęcia o tym, iż w 1905 roku nastąpiła emancypacja kobiet, w związku z czym od dwunastu lat przysługują jej pewne prawa.

- Czy kobiety w Tacuarembó nie głosują? *¡Qué barbaridad!* — Clarabel rozejrzała się po salonie, pewna, że zbierze oznaki oburzenia. — Nie możemy się spodziewać, że mężczyźni przypomną nam o naszych prawach. No cóż. Następnym razem już zagłosujesz. Jest tyle ważnych spraw, na temat których należy się wypowiedzieć.

- Przygotujemy na głosowanie *mate* i *milanesas*.
- A Maria upiecze swoje *alfajores al nieve*, prawda, Maria?
- Nie pozwoliłabym wam zagłosować bez nich.
- Nie martw się, Pajarita, pokażemy ci, jak to się robi.
- Naszym kandydatem był Viera.

- Nie jest co prawda tak dobry jak Batlle, ale nikt już nie będzie taki jak on.

- Też mi coś! Próbował uniemożliwić przyjęcie ustawy

o ośmiogodzinnym dniu pracy. Na szczęście zabrał się do tego za późno.

Czy wiesz, Pajarita, że dwanaście lat temu głosowało zaledwie pięć procent ludności? A teraz spójrz na nas. To Batlle dał nam to prawo.

I szkolnictwo. I emerytury. I rozwody.

I pokój. — Dłoń La Viudy wzbijała się w powietrze jak kościsty ptak. — Wytchnienie od zamachów stanu i rozlewu krwi. Poprzednie stulecie było potworne. Pamiętam to.

Pajarita ze swoją ciemną skórą, chłopskim pochodzeniem i niezwykłym imieniem fascynowała te kobiety. Stale dopytywały się, jak żyją gauczowie i jak sama żyła w Tacuarembó —

wszystko to zdawało się im chyba dość romantyczne, na swój sposób dzikie, a przy okazji odrobinę nieapetyczne. Pajarita czuła się trochę jak angielski serwis do herbaty wystawiony na pokaz, tyle że podziwiano nie jej porcelanową kruchość, ale nieco zalatującą niegarbowaną skórą i piżmem szorstkość wiejskiego życia. Z kolei ona syciła się obecnością tych kobiet, tak jakby za ich pośrednictwem mogła poznać smaki miasta. Powoli zdała sobie sprawę z tego, że kobiety poprzez kontakt z nią dążą do kontaktu z ziemią. Tak to właśnie jest, myślała, mamy w sobie jakiś świat, ale pragniemy zakosztować świata drugiego człowieka. Nie możemy się do niego przenieść, ale go badamy, rozpoznajemy, oglądamy. Czasami ich zainteresowanie było dla niej zniewagą — ciekawiła je, bo miała ciemną karnację, a w dodatku nie umiała czytać. Tylko Coco zachowywała się inaczej. Starła się do niej zbliżyć, choć bardzo nieśmiało. Niekiedy, już po sjeście, Pajarita zostawała z nią sam na sam, pomagała posprzątać, a przy okazji słuchała jej paplaniny i zwierzeń. Dała Coco zioła na uśmierzenie bólów miesięczkowych i uspokojenie nerwów, a zwłaszcza głęboko skrywanego zniecierpliwienia mężem i córeczką. Potrzebną mieszankę sporządziła bez trudu z zapasów przywiezionych z Tacuarembó, do których dodała trochę liści i korzeni zbieranych już na miejscu. W zamian za tę pomoc Coco pomagała jej pisać listy do domu.

*Droga Tía Tita — dyktowała, a Coco posłusznie kreśliła litery, smakując coraz słabszą od ciągłego zalewania mate — jak się macie w domu? Tęsknię za tobą. Tej zimy w Montevideo jest chłodniej niż rok temu. I nigdy nie jest tak ciepło jak w Tacuarembó. Ignazio czuje się dobrze. Dostał lepszą pracę w porcie. Mówi, że ostatnio dobrze zarabia, za granicę wysyła się dużo towarów, dzięki temu, że...*

— Że w Europie jest wojna? Nie, nie pisz tak. To nie jest dobra wiadomość. Może: „dzięki temu, że ciężko pracuje”?

— Dobrze. *Jak Papá? Co nowego u sąsiadów? A w mieście? Jak kurczęta? Wszystkich serdecznie pozdrów ode mnie. Dzień-*

*kuję za welnę. I proszę, daj mi znać, jeśli przyjdzie wiadomość od Artigasa. Con cariño. Pajarita.*

Popołudniowe słońce zaglądało przez okno, powściągliwe i niespieszne. Pokój pachniał kulkami na mole, świeżą kiełbasą, i mydłem. Coco kończyła pisanie wybuchem swojego niczym niewytłumaczonego śmiechu, który brzmiał jak mosiężny dzwonek.

— *Mi reina* — spytał w łóżku Ignazio — nie smutno ci tak samej przez cały dzień?

— Nie — odpowiedziała Pajarita, owijając wokół palca włosy z jego piersi.

— Jak to „nie”? Nie kochasz mnie?

— Głuptas. Po prostu poznałam ludzi z sąsiedztwa, mam przyjaciół.

— Mężczyzn?

— Nie.

— Oj, chyba tak — droczył się, ale jakoś ponuro.

— Proszę, Ignazio, przestań.

Snop światła z latarni wtargnął w ciszę, zniknął i znowu się pojawił. Ignazio gwałtownie usiadł. Jego szerokie ramiona zasłoniły okno.

— Chciałbym, żebyś zaszła w ciążę.

Pajarita również usiadła. Zapaliła lampkę i poczekała, aż światło przestanie razić ich oczy. Już od jakiegoś czasu grała na zwłokę, czekając na właściwy moment, chociaż nie miała pojęcia, jak powinien wyglądać.

— Jestem w ciąży.

Twarz Ignazia zbladła, potem zmiękła, a następnie (tylko na moment) pojawił się na niej grymas cierpienia. Zaczął całować usta, policzki, całe ciało Pajarity. Światło zgasło.

Pajarita czuła się w ciąży tak, jakby zamieniała się w pomarańczę — jej skóra się naprężała, ona cała zaś stawała się coraz okrągłej sza i z każdym dniem dojrzała. To coś w jej

brzuchu ruszało się, kopało, przewracało nawet w środku nocy. Nie mogła się doczekać rozwiązania. Nastąpiło w dniu, kiedy gdzieś daleko, za oceanem, kilku ludzi podpisało dokumenty stwierdzające koniec wojny. Jedenastego listopada 1918 roku, kiedy na ulicach Montevideo rozbrzmiewały bębny i sypało się confetti, Pajarita rodziła w domu. Wszystko odbyło się dobrze, jeśli nie liczyć bury od doktora za to, że przydusiła trochę dziecko, kiedy nie było go w pokoju, bo wyszedł do kuchni porozmawiać z Ignaziem. Tam obaj usłyszeli płacz i pobiegli do sypialni, gdzie znaleźli Pajaritę, która była czerwona na twarzy, ciężko dyszała, a między jej udami pischczało mokre, sinoniebieskie dziecko.

Chłopcu nadali imię Bruno. Odwiedziła ich gromada przyjaciół: Cacho i Consuelo, która uszyła dla dziecka przyozdobione cekinami ubranka, Coco i Gregorio Descalzo z Begonią i jej młodszą siostrą, którzy przynieśli zeberka z całej krowy, kobiety z Punta Carretas z koszami wypełnionymi jeszcze ciepłym jedzeniem, Hiszpan i karzeł Bajo z żetonami do pokera, wreszcie wysoki, żywiłowy Piętro z żoną i dzieckiem. Mały domek Ignazia i Pajarity rozbrzmiewał śmiechem i rozmowami. Cacho pokazywał magiczne sztuczki, które Sarita oglądała z otwartymi ustami, za to Clarabel aż klepała się ze śmiechu po udach. Hiszpan przymilał się do La Viudy jak młody zalotnik, przyprawiając tę leciwą kobietę o pierwszy od dwudziestu lat rumieniec. Maria śpiewała dziecku arabskie kołysanki, a ono przysypiało na jej obfitej piersi. Bajo, ku swojemu niezmiernemu zadowoleniu, grał z Piętrem w karty i wielokrotnie go pokonał.

Nawet po wyjściu ostatniego gościa Pajarita nadal miała wrażenie, że słyszy głośnie rozmowy i śmiechy. Kłębiły się wokół niej, gdy leżała, kołysząc Bruna. Jej mąż zgasił światło w kuchni, przeszedł do pokoju i wśliznął się do łóżka obok niej. Nie ruszał się. Dotknęła jego ramienia.

— O czym myślisz?

— O tym, że jestem ojcem.



— Cieszysz się? — dała mu lekki prztyczek.

Nie odpowiedział. Odwrócił się. Wpatrywała się w linię jego pleców.

— Ignazio? Żadnej odpowiedzi.

Minęła minuta, potem druga. Bruno zaczął się wiercić i kwilić. Uniosła koszulę nocną i przystawiła go do piersi. Dziecko jadło w ciszy.

Tej nocy Ignaziowi śniło się, że nurkuje w jednym z weneckich kanałów w poszukiwaniu ciała kobiety. W pewnym momencie przydryfował ku niemu siny, spuchnięty trup ojca. Gnijące ramiona same się wyciągnęły, aby się z nim zewrzeć w uścisku. Próbował krzyczeć i stawiać opór, lecz kiedy otworzył usta, wypełniły się cuchnącą wodą.

W Punta Carretas zaczęto wznosić więzienie. Wyrastało w samym centrum, tuż obok Carnicería Descalzo, za sprawą dziwnych, terkoczących i trzęsących się maszyn. Wysoki mur z łukowatą bramą w samym środku, a za murem pudełkowaty budynek. Całość wyglądała imponująco, jak zamek obronny. W Punta Carretas nikt jeszcze nigdy nie widział tak majestatycznej budowli.

— Przynajmniej ładnie wygląda — stwierdziła Sarita, przechylając się przez ladę, żeby lepiej obejrzeć kielbaski.

— Ale to więzienie — powiedziała Coco. — Zasłania nam widok na latarnię morską. No i jakich my będziemy miały sąsiadów?

— Nie ma sposobu, żeby to zatrzymać. — La Viuda pokazała gestem, że wszystko stracone. — Całe *barrio* się zmienia. Punta Carretas to teraz miasto co się zowie.

Nie sposób było odmówić jej racji. Kamień i gęsta, śródmiejska zabudowa wdzierały się do Punta Carretas. Stolica

przywłaszczyła sobie *barrio*. Drzwi domu Pajarity nie wychodziły już na zakurzoną ścieżkę, ale na chodnik z kocich łbów. Kiedy urodził się Marco (niezwykle spokojne dziecko w porównaniu z Brunitem, który był żywym srebrem), Punta Carretas zmieniło się już nie do poznania. Wszędzie domy stykające się z sobą murami, brukowane ulice, w dodatku więzienie obok kościoła. Powietrze zgęstniało, latarnia morska przestała rzucać swe światło do domu Pajarity. Zgodnie z tym, co mówili burmistrz i prezydent, na tym właśnie polegał postęp: miasto się rozrastało, modernizowało i rozwijało. Montevideo było stolicą na miarę swojego kraju, owej Szwajcarii Ameryki Południowej, pełnej nadziei i obietnic.

Pajarita nieraz się dziwiła temu, jak bardzo świat potrafi się zmienić. Elektryczność, wysoka kuchnia, wysokie krzesła, wysokie łóżko — zdążyła przywyknąć do wszystkich tych rzeczy. Jak to się dzieje, że ziemia znika, bo pokrywają ją budowle i bruk, a mężczyzna najpierw zmienia się w męża, a potem — właśnie, w kogo się zmienia? Kim stał się Ignazio? Na pewno kimś zupełnie innym od młodzieńca, którego spotkała lata temu. Niekiedy wręcz zastanawiała się, czy to nadal jest ten sam człowiek. Wszystko zaczęło się wraz z narodzinami ich pierwszego syna, a pogłębiło, gdy na świat przyszedł następny. Jakaś słaba, obolała częśćka jego osoby z czasem zapanowała nad całą resztą, choć Ignazio nie chciał się do tego przyznać. Chował się w morzu wypijanej wódki, uciekał od żony. Mimo że w kraju zaczął obowiązywać ośmiogodzinny dzień pracy, wracał do domu coraz później, pijany, z twarzą tak ściągniętą, jakby był narowistym koniem, któremu jeździec przykrócił cugle, albo na odwrót — rozluźniał się ponad miarę, tak że wszystko w tej twarzy wydawało się rozbiegane, rozpadało się. Nie zasługuję na ciebie. Nie kochasz mnie. Za co miałabyś mnie kochać. Niby dlaczego nie. Przecież mnie kochałaś. Próbowwała mu odpowiadać, ale brakowało jej słów, a zresztą Ignazio nigdy nie zadawał jej prawdziwych pytań. Jego obsesją stała się myśl, że żona ma kochanka. Klócili się

o nieistniejącego mężczyznę. Bywały noce, kiedy walczyli z sobą tak długo i zażarcie, że w końcu padali sobie w ramiona ze zmęczenia. Jedynie wtedy Ignazio był taki, jaki chciał być, a Pajarita oddawała mu się w pełni, jedynie wtedy otwierali się na siebie wzajemnie, zlewali w jedno w gorącu i pocie. Kiedy jednak w pozostałe noce budził ją, starając się po omacku wsunąć do łóżka, a ona czuła odór alkoholu i kobiecych olejków, odsyłała go na podłogę w saloniku. Wolała leżeć swobodnie i w samotności tęsknić za jego ciałem.

Urodziła trzeciego syna. Dostał na imię Tomás. Był tak podobny do jej brata, Artigasa, że aż sprawiało jej to przykrość, gdy na niego patrzyła. Taka sama smukła budowa i błyszczące oczy. Chadzała na seanse spirytystyczne do Clarabel i za każdym razem pytała o brata, ale nigdy nie dostała odpowiedzi. Niemożliwe, żeby umarł, ale też niemożliwe, żeby żył i nie napisał.

Kupka pesos z tygodniowej wypłaty Ignazia topniała w oczach. Pieniądzy było tak niewiele, że z trudem wystarczały na wyżywienie chłopców. Pewnego niedzielnego poranka Pajarita dopadła męża przy stole.

— Ignazio, nie przynosisz do domu całej wypłaty. Masz trzech synów, *querido*. Musisz przestać.

Była pewna, że zacznie przeklinać, użerać się z nią, że podniesie głos, szczerka mu się zaciśnie i zacznie walić pięścią w stół. On tymczasem spojrzał na nią, a potem w okno, w kierunku, z którego dawniej dochodziło światło latarni morskiej, zasłoniętej przez prawie już skończone więzienie. Był spokojny. (zekała. Jego profil odcinał się ostro na tle pasiastej tapety.

Pamiętasz, jak było na początku, kiedy przyjechaliśmy do miasta? Chodziliśmy nad brzegiem rzeki i wydawało się nam, że nie ma końca. Że moglibyśmy tak iść i iść i że byłoby coraz więcej piasku, coraz większe fale, coraz więcej wody. Zawsze marzyłem o tym, żeby po tej wodzie pływały gondole. I doprowadzę do tego. Peso za jeden kurs. Będziemy mieć więcej pieniędzy niż trzeba, żeby nas wszystkich wyżywić.

Pajarita zaplotła ręce na podołku.

— Ile kosztowałyby budowa?

— Ileś. — Ignazio wzruszył ramionami.

— A skąd miałbyś na to wziąć pieniądze?

— Niech cię o to głowa nie boli!

Tej nocy pożądał jej żarłocznie, a gdy wbiła mu w plecy paznokcie i podrapała do krwi, stał się jeszcze bardziej namiętny.

Trzy dni później nastąpiła z wielką pompą inauguracja więzienia. Całe Montevideo przyjechało to zobaczyć. Nazwano je El Penal de Punta Carretas. Na stopniach pokazał się burmistrz i uroczyście odchrząknął.

— Szanowni *montevideanos*, zebraliśmy się dzisiaj, aby świętować postęp, świętować otwarcie tej wspaniałej budowli, a nade wszystko świętować rozwój naszego miasta. — Otarł pot z czoła i poprawił wełnianą marynarkę. — Montevideo jest jednym z najpiękniejszych i najnowocześniejszych miast na kontynencie. Nasz klimat, nasze plaże i nasza literatura nie mają sobie równych. W ciągu ostatnich dwudziestu lat zyskaliśmy międzynarodowe oblicze. Przybysze z Włoch, Hiszpanii, Francji oraz innych krajów obrali tę ziemię na swój dom. Ustanowiliśmy system demokratyczny, zainspirowany najwyższymi ideałami humanizmu, mówię o ideałach zrodzonego w sercu Urugwaju *batllismo*. — Tutaj tłum zaklaskał, burmistrz zrobił przerwę, po czym wydał pierś jak nastroszony wróbel i mówił dalej. — Tak, to prawda, mamy wielkie osiągnięcia. Sąsiadujące z nami państwa, Argentyna i Brazylia, jakkolwiek tak olbrzymie, mogą jedynie marzyć o podobnej stabilności. Może i jesteśmy niewielkim krajem, ale za to wzorowym, i głośno domagamy się uznania naszego miejsca w świecie! — Wymierzył w niebo palec wskazujący i utrzymał go w tej pozycji, dopóki trwał aplauz. — Dlatego, drodzy *montevideanos*, w ten dzień, w którym świętujemy w Punta Carretas otwarcie tej nowoczesnej budowli, pozwólmymy sobie wybiec w przyszłość. Skoro już zdołaliśmy tak wiele dokonać w tym stuleciu, pomyślmy tylko, co jeszcze nas czeka. Nasze dzieci i dzieci naszych dzieci będą budować na fundamentach, które

wznieśliśmy dla nich, i prowadzić kraj ku jego chwalebnemu przeznaczeniu. Jesteśmy miastem przyszłości. Przyszłość należy do Montevideo!

Hurmistrz, spływając potem, w powodzi oklasków przeciął czerwoną wstęgę. Stojąca za Pajaritą Sarita Alfonti głośno krzyknęła. Udzieliło się jej podniecenie tłumu, jego tęsknoty i duma. Strzeliły korki od szampana, zagrał akordeon. Mur El Penal wznosił się nad ludzkimi głowami — imponujący, jaśniejący kremowym kolorem, niewzruszony.

Ignazio nie wrócił tej nocy do domu. Pajarita obudziła się o czwartej rano i wpatrywała się w sufit, dopóki nie rozjaśniło go światło świtu. Wtedy wstała, by zrobić dzieciom śniadanie, składające się z grzanek, ciepłego mleka i resztek masła. To był dzień wypłaty Ignazia. Kiedy zjawi się z pieniędzmi, będzie miała na masło.

Nie zjawił się jednak ani tego dnia, ani następnej nocy, ani jeszcze kolejnej. Cebula — w domu zostało trochę cebuli. Mogła ją usmażyć na kolację i podać na chlebie. A na obiad chleb z majonezem.

Wrócił szóstej nocy, poszarzały i wymizerowany. Nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Bił od niego taki zapach, jakby dopiero co opuścił tereny ogarnięte wojną. Położył głowę na stole w kuchni i Pajarita przez dwie godziny musiała poić go mate, zanim zdołała odkryć, co zrobił.

Otóż po ostatniej nocy spędzonej w domu Ignazio zwrócił się do szefa o zaliczkę na następne dwa miesiące. Był uczciwym pracownikiem, więc jego prośba została spełniona. Pożyczka wynosiła jedną trzecią sumy potrzebnej do zbudowania gondolowej flotylli, o której marzył. Ledwie dostał pieniądze, poszedł z nimi do El Corriente, aby je potroić przy pokerze. Nie potroił. Przegrał wszystko.

Zaczął gładzić stół, który dzielił go od Pajarity. Wydawał się taki solidny — a przecież wystarczyłby jeden cios siekierą, aby go rozłupać. Trzask — i rozpadłby się na dwie części. Pajarita uchwyciła się brzegu stołu, jakby powstrzymywała

w ten sposób od rozpadu swój dom. Stracił dwa miesiące pensji, złożone z dni ziejących pustką jak głodne usta.

— Co my zrobimy? Nie odpowiedział.

— Ignazio...

— Zamknij się, kobieto! — Zerwał się tak gwałtownie, że przewrócił stół. Na nic się zdało przytrzymywanie go przez Pajaritę.

\_ Nie krzycz na mnie — powiedziała i też się podniosła.

Ignazio wyprężył się w łuk do tyłu, a gdy się odgiął z powrotem, z całej siły wymierzył jej pięścią cios w twarz. Odbiła się od ściany i skulona upadła na podłogę, chowając w rękach twarz, która ją paliła. Cały świat wirował razem z nią, pełen krzyku, gwiazd i ciszy. Zaczęła zapadać się w ciszę. Ból nieco osłabł. Była sama. Nie, niezupełnie sama. Słyszała Ignazia z saloniku. Powinna do niego pójść. Ale nie pójdzie. Zostanie tu, zwinięta na podłodze, a on niech tam płacze. Nie mogła jednak dłużej tak leżeć, bo krwawiła. Wstała, rozejrzała się za jakąś ścierką do otarcia twarzy. Na języku czuła smak żelaza. Zmoczyła ścierkę, wytarła się. Bogu dzięki dzieci już spały. Podniosła stół, ustawiła go z powrotem, zmyła krew z podłogi. Nadal była oszołomiona. Zaczęła nasłuchiwać, co się dzieje w saloniku. Nie dochodził już stamtąd żaden dźwięk. Poszła zobaczyć. Jej umazany łzami, pijany mąż spał jak zabity w bujanym fotelu. Minęła go i przeszła do sypialni.

Rano, kiedy się obudziła, bujany fotel był pusty. Ani śladu Ignazia. Upiekła chleb z resztek mąki. Miała jeszcze trochę sucharów. Dni mijały, Ignazio się nie pojawiał. Krakеры się skończyły. Jedyne, co zostało, to słoik majonezu. Przy każdej czynności trzęsły się jej ręce — kiedy zamiatała, składała ubrania, czesała Bruna, odpinała bluzkę, aby nakarmić Tomasa.

Uratowała ją Coco, która dała jej mięso i podsunęła pewien pomysł.

\_ Po pierwsze — oznajmiła, wkładając Pajaricie do ręki pokąży pakunek — weźmiesz to mięso. Nie obchodzi mnie,

co chcesz mi powiedzieć. Wiem, że twój mąż, ten *desgraciado*, poszedł sobie w siną dal.

Nie czekając na odpowiedź, usadowiła się przy stole Pajarity, klóra wlepiła wzrok w podarunek.

— Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

— Po drugie — Coco ciągnęła, jakby w ogóle jej nie słyszała — zajmiesz się swoimi ziołami. Są skuteczne. Powinnaś je sprzedawać.

— Sprzedawać?

— Tak, kobietom z *barrio*. Możesz zacząć w moim sklepie, będziesz siedziała ze mną za ladą. A kiedy rozejdzie się wieść o tym, że leczysz, w dodatku lepiej i taniej niż doktor, będziesz miała czym napęlić brzuchy swoich synów.

Pajaricie nigdy taka myśl nie przyszła do głowy, ale nie miała nic przeciwko temu, aby spróbować. Wzięła dzieci, wrzuciła do kosza swoje zioła, korzenie i korę i poszła do rzcznika. Chłopcy od razu wrócili do przerwanej zabawy w *gauczów*. Galopowali na wymagowanych koniach między zwisającymi z sufitu zwierzęcymi tuszami. Pajarita zajęła miejsce w rogu między kłosem do rąbania a hakami na mięso. Ustawiła lam dwa stołki i usiadła na jednym. Ignazio, pomyślała, miała-bym ochotę cię zabić. I całować. I poćwiartować na kawałki. Poczekaj, a zobaczysz, jak sobie dam radę bez ciebie.

Coco była dla niej żywą reklamą, tak że kobiety szybko zainteresowały się jej usługami. Część z nich potrzebowała tylko tego, żeby ktoś ich wysłuchał. Wyrzucały z siebie bez ładu i składu opowieści o tym, że ktoś umarł w rodzinie, o złośliwych teściowych, o braku pieniędzy, o mężach — niestałych, brutalnych i nudnych, o poczuciu opuszczenia, o kryzysach wiary, o wizjach Najświętszej Pani albo szatana, o niechęci do spełniania obowiązku małżeńskiego i o cielesnych pokusach, o fantazjach erotycznych, w których pojawiał się motyw siodła, rozszarpanych węgli i bata. Dostawały od hijarity herbatki, które miały je pocieszyć, chronić lub przynieść im szczęście. Inne kobiety skarżyły się na dolegliwości fizycz-

ne — łamanie w kościach, kolkę w boku, sztywność stawów, dzwonięcie w uszach, słabą pamięć, ból w kolanie, ból w krzyżu, ból serca, ból stóp, skaleczony palec, drżenie rąk, oparzenia, migreny, niestrawność, zbyt obfite krwawienia, niemożność zajścia w ciążę, przeciągającą się ciążę, złamania, popękana skóra, wysypki, których żaden lekarz nie potrafił zdiagnozować, i bóle, których żaden lekarz nie potrafił wyleczyć. Były wśród nich gospodynie, pomoce domowe, krawcowe o obolałych rękach, cudzołożnice o spoconych dłoniach, prababki kuśtykające o lasce i młode dziewczęta mdlejące z miłości. Pajarita uważnie wysłuchiwała każdej. Siedziała bez ruchu jak sowa, potem zaś wręczała pacjentce odpowiedni pakiecik i tłumaczyła, co jest w środku. Wieść o niej szybko się rozeszła. Zaczęły przychodzić kobiety z całego miasta. Ledwie mogła nadażyć ze zbieraniem ziół, które wrywała nawet ze szczelin w chodniku, z trawników w pobliskich parkach i z doniczek we własnym domu. Ku zadowoleniu Coco pacjentki razem z lekarstwem kupowały kawałek wołowiny na obiad. Pajarita brała tyle, co łaska. Jedne płaciły jej kilka peso, inne dawały koszyk chleba albo kilka motków wełny. Na stopniach swojego domu znajdowała czasem anonimowe dary — jabłka, słoik mate, ręcznie uszyte ubrania dla dzieci. Wystarczająco dużo, aby przeżyć.

Cieszyła się specyficzną sławą. Jej imię krążyło z ust do ust po kuchniach i straganach w całym Montevideo. „Pajarita mnie wyleczyła. Powinnaś do niej iść. Przecież ja prawie... Sama widziałaś. Gdyby nie ona...”.

Pajarita dziwiła się, że u podstaw tego wszystkiego jest coś tak zwykłego i znajomego, jak zioła — to one otworzyły przed nią nowy świat, ściągnęły na próg jej domu kobiety i ich historie, odsłaniając przy okazji zadziwiająca rzecz w niej samej: umiejętność docierania w nieznane krainy, zdolność orientacji w obcym terenie bez mapy, dar penetrowania dusz obcych ludzi. W ich ciemnościach szukała czegoś, co trudno znaleźć, co się pojawia, by zaraz zniknąć, i nie chce dać się oswoić, tak jest ulotne, pokrętne i płochliwe.



Pewnego dusznego popołudnia, kiedy słuchała pachnącej czosnkiem garbuski, która opowiadała o swojej miłości do nowego księdza, Pajarita poczuła, że coś się w niej rusza. Jej umysł automatycznie poszedł za tym ruchem. Jest w ciąży To będzie dziewczynka. Zalały ją wspomnienia nocy poczęcia — lej ostatniej, kiedy wczepiła paznokcie w spragnioną skórę Ignazia i rozdrapała ją. Odszedł. Omal nie pękła ze smutku

Pozwoliła kobiecie dokończyć i odprawiła ją z dobrym słowem, torebką ziół i kilkoma wskazówkami. Zaciągnęła zasłonę.

- Coco. *Si.*

- Kończę na dzisiaj. Wezmę dzieci i zrobimy na górze sjestę.

- Dobrze, Rita. Niedługo do was przyjdę.

Podeszła do dzieci. Bruno przykucnął za kłocem do rąbania mięsa. Był żołnierzem, trwała bitwa — trzymał w ręku karabin /. krowiej kości i mierzył w swojego brata Marca.

- Pif-paf! Nie żyjesz!

Marco upuścił swój karabin — kość udową.

- Oszukiwałeś! — burknął.

Niepewnie jeszcze trzymający się na nogach Tomás przydreptał i chwycił końcówkę kości. Wypadła mu z ręki i z trzaskiem uderzyła o posadzkę. Aż zagulgotał z zadowolenia.

Na uboczu, z dala od zabawy, siedział Andrés Descalzo i rysował, pokrywając kartki płataniną zielonych, pomarańczowych i czerwonych linii. „Mam syna, nareszcie!” — krzyknęła Coco, kiedy urodził się dwa lata temu. Ludzie nazywali go El Carnicerito - Mały Rzeźnik, bo jego przeznaczeniem było poprowadzić w przyszłości rodzinny sklep i uchronić go od przejęcia przez męża córki, co niechybnie by nastąpiło z braku męskiego potomka. Już wyglądał jak miniatura dorosłego mężczyzny, bo zazwyczaj miał poważną minę, jakby zajmowały go niezwykle ważne sprawy.

- Czas na sjestę. Zostawcie te kości.

Zaczęli głośno protestować, ale zrobili, jak powiedziała. Andrés schował kredki do pudełka. Pajarita wyjęła z koszyka nóż i jabłko, pokroiła je na cząstki i zaczęła podawać synom. Andrés też wyciągnął rączkę. Pomyślała o tym, że jest jedynym synem swoich rodziców, tak jak dziecko, które ona nosi w sobie, będzie jej jedyną córką. Kiedy dotknął jej dłoni, by wziąć cząstkę owocu, ni stąd, ni zowąd przyplątnęła do niej pewna bardzo stara opowieść o jabłku, kobiecie i ogrodzie.

Eva, pomyślała, idąc z dziećmi po skrzypiących schodach. Tak masz na imię i tak musi być. Choćbym chciała, i tak tego nie zmienię, bo to imię wybiera sobie dziecko.

Eva Dolores Firielli Torres urodziła się w roku, w którym na brzegu Rio de la Plata zaczęła powstawać La Rambla. Na przestrzeni wielu kilometrów hałaśliwe maszyny budowały wzdłuż plaży promenadę z kremowych i brązowych płytek, po której na granicy między miastem a wodą za jakiś czas miały się przechadzać tłumy *uruguayos*.

Eva była dzieckiem, które wszystko ciekawiło. Miała jasną skórę, podobnie jak jej nieobecny ojciec i panie z miasta, ale za to włosy czarne jak matka, w dodatku gęste, i to już od urodzenia. Przepadała za wszystkim, co błyszczy lub się mieni, toteż fascynowały ją nefrytowa bransoletka Pajarity, promienie słońca na wodzie i światło latarni morskiej omiatające nocą skały.

Eva miała niespełna dwa lata i sporo już mówiła, kiedy nadszedł list od Ignazia. Pajarita natychmiast pobiegła do Coco, aby go jej przeczytała.

*Mi Reina* — zaczęła Coco i od razu parsknęła: „Pfff! Też ma tupet!” — *mam wielką nadzieję, że dobrze się czujesz. Jestem pewien, że rodzinie lepiej się wiedzie beze mnie niż ze mną. Jeszcze trzy tygodnie temu przebywałem w podziemnym świecie, którego nigdy nie powinna zobaczyć żadna kobieta.*

*Nasi synowie też nie. Załączam trochę pieniędzy. Wyślę więcej, gdy tylko będę mógł.*

*Nie mam śmiałości myśleć, że kiedykolwiek mi przebaczysz ani że mi uwierzysz, iż zrobiłem to, aby Cię chronić. Kiedy uwolnię się od swoich demonów, wrócę do domu. Kocham Cię. Ignazio*

Listy przychodziły przez następne dwa lata — nieregularne, kochające, starannie złożone, z wsuniętymi do środka kilkoma pogniecionymi banknotami.

• • •

Burza nadeszła od wschodu. Wiatr zabębnił o dach. Grzmoty obudziły i przeraziły Evę, która wstała i pobiegła do kuchni, gdzie zastała matkę przy zmywaniu naczyń.

— Mamá! Mogę z tobą zostać?

- *Bueno.*

- Opowiedz mi coś.

- Była sobie kiedyś bardzo przyjemna chmura burzowa... Nie wierzę ci!

Dlaczego nie?

Chmury burzowe są niedobre. Nie wszystkie. Niektóre są miłe. Nieprawda! Ale dlaczego?

Przynoszą noc, deszcz i hałasują. Deszcz jest czasem potrzebny. Iwa nie wyglądała na przekonaną.

Deszcz podlewa rośliny, dlatego rosną. I co z tego? — Eva wzruszyła ramionami. Jak to „co z tego”? To, że...

Pukanie do drzwi. Dudnienie deszczu. Znowu pukanie. Spojrzały na siebie.

Może to chmura burzowa? — spytała Eva. Sprawdźmy. Trzymając się za ręce, podeszły do drzwi.

— *¿Quién es?* — zapytała Pajarita.

— Ignazio.

To niemożliwe. Niemożliwe. Drzwi pulsowały jak wielka drewniana bestia, oddychając w rytm deszczu. Otworzyła je. Stał tam, trzymając w jednej ręce parasol, a w drugiej bukiet róż. Żółtych, kremowych i czerwonych.

Wpuściła go. Stał niepewnie przy wejściu do saloniku.

— *Querida.*

Krople zbierały się na brzegu jego kapelusza i spadały na podłogę.

— Kto to jest, Mamá?

Ignazio popatrzył na dziewczynkę.

— *Evo* — powiedziała Pajarita — to jest twój Papá.

Oczy Ignazia się rozszerzyły, za to oczy Evy zrobiły się wąskie jak szparki. Zniżył się do niej, kucając. Wpatrywał się w jej twarz, równe ząbki i czarne warkocze.

— Nie wyglądasz jak mój Papá.

— A jak wygląda twój Papá?

— Nie wiem.

— Może tak jak ja?

— Po co ci te kwiaty?

— Myślałem... że ci się spodobają.

— Dlaczego chodziłeś po deszczu?

— Ja... *este...*

— Eva, wracaj do łóżka — poleciła Pajarita. — Jest bardzo późno.

Ignazio sterczał w progu, kiedy Pajarita otulała Evę do snu, nucąc kołysankę. *Arrorró mi nena, arrorró mi sol.* Czuła jego wzrok na nich obu, a także na łóżku Tomasa. *Arrorró pedazos, de mi corazón.* Deszcz nadal bębnił nad ich głowami, ale już nie grzmiało. Eva usnęła.

Przeszli na palcach do saloniku. Ignazio niezręcznie wyciągnął dłoń, w której trzymał bukiet.

Pajarita wzięła róże. Zaszleściła bibułka. Wyobraziła sobie, że wyjmuje róże, jedną po drugiej, i ciska nimi w tego męż-

czyzną, z którego ścieka woda na chodnik. Wyobraziła sobie, że zaplata ciasno ich łodygi wokół jego szyi. Wyobraziła sobie, że przesuwa nimi po swojej sukni i je rozgniata, nie zważając na kolce. Zamiast zrobić to wszystko, naląła wody do wazonu, który stał w kuchni, i ustawiła kwiaty na stoliku do kawy. Usiedli z bukietem między nimi, jak dwoje ludzi, którzy zwyczajnie rozmawiają w czasie burzy.

— Bardzo ładnie utrzymałaś dom.

Mąż. To jest mój mąż, pomyślała Pajarita, a głośno zapytała:

— Gdzie się podziewałeś?

— W starej części miasta. W czynszówce niedaleko Calle Sarandi. Żyłem... nie, to nie było życie — przerwał i zatrzymał na niej wzrok. — Jednej nocy Cacho znalazł mnie na ulicy. Byłem nieprzytomny, krwawiłem, ktoś pchnął mnie nożem. Uratował mnie. Zabrał mnie do siebie, umył, a potem wyszukał mi pracę i przypilnował, abym ją wziął. Piętro też mi pomógł. Zacząłem do ciebie pisać. Codziennie marzyłem o tym, żeby wrócić do domu.

— Ale nie wróciłeś.

— Nie mogłem. Byłem potworem.

— A kim teraz jesteś?

— Mężczyzną. I mężem.

— Czy ty masz pojęcie, co znaczy, kiedy twoje dzieci są głodne?

— Już nigdy więcej nie będą głodne.

— Prawda, nie będą, i to niezależnie od tego, czy zostaniesz tutaj, czy nie. Pracuję. Mamy wszystko, czego potrzeba.

Ignazio wyglądał na zdziwionego. Miała ochotę go spoliczkować, aby przepędzić tę minę z jego twarzy. Czowała się silna, żywa, rozpalona — triumfowała. Och, Ignazio, ty nędzny mężczyzno, nędzny łajdaku, kobieta, do której wróciłeś, nie jest tą, którą zostawiłeś. Nawet nie masz pojęcia, kim się stałam: suszę kilogramy ziół, moje napary leczą całe miasto i całe miasto zostawia mi na progu jabłka. Przepelniała ją świadomość własnej wagi, własnej substancji, czegoś większego od ciała.

Siedziała na swoim krześle jak królowa na tronie, łaskawie spoglądając na suplikanta.

— Chciałbym zostać — powiedział.

— Będziesz musiał się zmienić.

— Zmienię się.

— To potrwa.

— Poczekam. Będę spał na podłodze.

— Owszem, będziesz spał na podłodze.

Odsunął się. Siedzieli w półmroku. Pajarita pomyślała, że ten wieczór zawdzięcza deszczowi. Pada od dawna nieprzerwanie i tworzy potoki — jeden z nich porwał tego mężczyznę, by wyrzucić go na brzegu, z którego dawno odszedł. Róże wypełniały pokój zapachem, który przyprawiał o zawrót głowy. Płatki pyszniły się swoją urodą, niepomne na to, że już jutro zaczną więdnąć, nie mówiąc o tym, co wydarzy się pojutrze czy w następne dni. Ignazio pochylił się do przodu. Pajarita знаła tę minę — wyrażała uniesienie. Zawsze tak wyglądał, kiedy coś budziło jego nadzieję. Dotknął jej ręką, która głaskała jej synów, gdy się rodzili, poruszała się w jej ciele i zbudowała dach nad ich głowami, chroniący ich od deszczu. Jakże jej brakowało tej szorstkiej ręki, która potrafiła zwinąć się w pięść (raz) i sięgać po butelkę (wielokrotnie). Ręki, która potrafiła tak wiele.

— Pajarita.

Tak bardzo tęskniła za tym, by zwinąć się w kłębek obok niego, i jednocześnie niczego nie chciała bardziej, niż wyrzucić go na zewnątrz, na deszcz. Wstała, zniknęła na chwilę, po czym wróciła z dwoma kocami i poduszką.

— Możesz to wziąć.

— Dziękuję — powiedział zgnębiony.

— Dobranoc, Ignazio.

— Pajarita.

Wyszła z pokoju, nie obejrzawszy się. Przez miesiąc spał na podłodze. Codziennie rano wstawała z myślą, że sobie poszedł, że być może zaraz znajdzie od-

rzucony, skopany koc i nic więcej. Codziennie rano zastawała go jednak w tym samym miejscu, śpiącego w bladym świetle świtu. Kiedy przygotowywała śniadanie, celowo tłukła garnkami, żeby go zbudzić. Spodziewała się, że będzie musiała składać po nim koce, tymczasem robił to sam, ledwie wstał z podłogi. Dzieci nigdy nie widziały jego prowizorycznego legowiska. Chłopcy byli podekscytowani powrotem ojca. Wspinali się na niego jak na konia, śmiali się ze wszystkich jego żartów, rywalizowali o uwagę, tak jakby wrócił z długiej, ale całkowicie uzasadnionej podróży, za to Eva czepiała się matczynej spódnicy i tylko niepewnie łypała na niego okiem. Nie minęły jednak dwa tygodnie, a wkradł się w jej łaski za pomocą porozumiewawczych uśmiechów i starych włoskich piosenek. Brał ją na kolana, powtarzał „moja słodka, moja księżniczka”, a Eva promieniała, zachwycona przemianą w książęcą wysokość. Czulość, która aż się z niego wylewała, doprowadzała Pajaritę do szału. Nie dotknęła go ani razu. Za dnia szedł do w pracy w porcie, ona zaś obejmowała swoje stanowisko w sklepie rzeźnickim. Wieczorami bawił się z dziećmi, kiedy ona zmywała po kolacji. Swoje posłanie rozkładał dopiero po trzech godzinach od chwili, w której usnęły. Czasami zamykała się w sypialni, pozwalając, żeby sam spędził te godziny, czasami natomiast udawało mu się ją nakłonić, żeby czekała razem z nim. - Powiedz mi o swojej pracy.

Już ci mówiłam.

Ale powiedz coś więcej. U rzeźnika nie udało mu się ukryć zdumienia na widok pakunków Pajarity i kolejki kobiet czekających na jej poradę. Słuchał chciwie, jakby te opowieści odkrywały przed nim coś nowego. Wydawał się zagubiony. Był jak statek bez kotwicy zabłąkany na wodach nieopisanych na żadnej mapie, niepewny, jak sterować, aby nie zatonać.

Kiedy wpuścisz mnie z powrotem?

Już cię wpuściłam.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Dobranoc, Ignazio.

Nie znajdowała odpowiedzi na jego pytanie, tak jak nie do końca mogła uwierzyć, że się odnalazł. Właściwe wyjaśnienie tego, co się wtedy działo, znalazła dopiero po latach, przy okazji zupełnie innego powrotu do domu. Otóż kiedy jako siwowłosa kobieta będzie próbowała zrozumieć swoją wnuczkę Salomé, trzymając jej wychudzoną rękę w rozklekotanym autobusie po czternastu latach nieustannego drżenia o jej życie, wróci myślami do roku 1930, roku powrotów, i przyjdzie jej wtedy do głowy, że musi istnieć jakiś niewidzialny, kosmiczny magnes, który zamiast działać na garnki i gwoździe, przywiódł kiedyś do domu prawie w tym samym czasie dwóch najdroższych jej mężczyzn, a w końcu pozwolił na powrót Salomé. Takie rzeczy po prostu się zdarzają. W każdym z nas leżą jakby złoża różnych metali, o których nie mamy pojęcia. Coś nas popycha, coś nas dokądś ciągnie, choć sami nie wiemy co. Czasami czerpiemy z drzemających w nas bogactw, choć wcale nie robimy tego świadomie. W 1930 roku, roku powrotów, dwa tygodnie przed zjawieniem się Ignazia, Pajarita uklękła przed glinianą figurą świętego Antoniego, aby orędownać w sprawie Coco. „Święty Antoni, patronie rzeczy zagubionych, spraw, żeby się odnalazł czerwony szal Coco, który zrobiła jej *abue-lita*”. Zapaliła świeczkę i wrzuciła do skrzynki ofiarę. „I proszę też, żebym ja również odnalazła wszystko, co zgubiłam. Zdrowaś Mario. Amen”. Najwyraźniej Antoni zamachał świętymi nadgarstkami i poruszył kosmiczny magnes.

Pewnego wieczoru, całkiem już późno, ktoś zastukał do drzwi. Ignazio, który był w domu od miesiąca, siedział z Pajaritą w saloniku, wsłuchując się w bębnienie zimowego deszczu.

— Spodziewasz się kogoś?

Pokręciła przecząco głową. Znowu rozległo się pukanie. Ignazio wstał i zawołał niepewnie:

— Kto tam?

— Pajarita?



Głos zza drzwi uderzył w Pajaritę, kazał się jej poderwać, chwycić za klamkę i szarpnąć nią z całej siły. Artigas. Przemoczony i wstrząsany dreszczami pod zbyt małym parasolem. Za długie włosy lepiły mu się do głowy. Trzymał za rękę może pięcioletnią dziewczynkę, mulatkę, która miała orzechowe oczy, całkiem jak on. Też była cała mokra i wpatrywała się w Pajaritę.

— Możemy wejść? — spytał Artigas.

Odsunęła się, żeby ich przepuścić. Strużki wody spływały z jej brata i wsiąkały w chodnik. Natychmiast wróciły do niej wspomnienia zielonej równiny Tacuarembó, gorących i suchych wiatrów, zapach mięsa duszącego się na palenisku, trzask drewnianych klocków rozłupywanych siekierą Artigasa, jego zapach, jego głos, jego cień w ciemnościach.

— *Hermana*.

Padła mu w ramiona, nie zważając na to, że jest mokry. Ignazio stał i przyglądał się temu przystojnemu mężczyźnie, dziecku i swojej żonie, na której ubraniu rysowały się teraz wilgotne plamy. Ja śnię, myślała Pajarita. Zaraz albo się obudzę, albo zacznę latać, albo się zamienię w patelnię.

— Artigasie, to mój mąż. Ignazio, to mój brat...

— A to jest Xhana. Moja córka. — Artigas ścisnął dłoń dziewczynki, która przywarła policzkiem do nogawki jego spodni.

— *Hola, querida* — powiedziała Pajarita. — Na pewno jesteście przemarznięci.

Xhana przytaknęła.

— No to musicie się osuszyć. Obydwoje. Zostaniecie przecież na noc.

— A możemy? — zapytał Artigas. — Macie dość miejsca?

Pajarita przeprowadziła w myślach szybki rachunek. Ma pięć łóżek, w tym cztery zajęte przez dzieci. Xhanę położy razem z Iwą: jeden plus jeden równa się jeden. Artigas mógłby się przespać na podłodze w saloniku (szóste, prowizoryczne łóżko), tylko że miejsce jest już zajęte przez jej męża. No i co on by sobie pomyślał, widząc Ignazia na ziemi?

— Oczywiście. O ile nie przeszkadza ci spanie na podłodze.

— Uwielbiam tak spać.

— Ignazio, możesz przynieść dodatkowe koce?

W ciągu pięciu minut Pajarita odgrzała *milanesas*, zrobiła gorącą czekoladę i znalazła suche ubrania dla gości. Ignazio przyszykował tymczasem legowisko w saloniku. Artigas ułożył córkę obok Evy.

— Ona szybko zasypia — oznajmił, gdy wrócił. Wszyscy troje stali w saloniku.

— Ignazio — zwróciła się do męża Pajarita — wiem, że jesteś zmęczony. Może położyłbyś się już do łóżka?

— *Este...* — zawahał się Ignazio. — Do łóżka? Kiwnęła głową, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

— Artigas, nie pogniewasz się? — spytał Ignazio.

— Oczywiście, że nie. Dobranoc.

Pajarita odprowadziła wzrokiem męża za drzwi sypialni.

— Jeszcze trochę czekolady, *hermano*?

Usiedli przy stole w kuchni. Artigas miał na sobie sweter Ignazia, za szeroki w ramionach i pachnący niezbyt świeżo po latach, które przeleżał w szufladzie.

Obserwował, jak siostra dolewa mu czekolady do filiżanki.

— Jesteś na mnie zła?

Odłożyła chochelkę. Patrząc na Artigasa, czuła się tak, jakby zaglądała do studni z przeszłością. Nie widać dna, echo przejmuje człowieka dreszczem, ale on i tak przechyla się przez cembrowinę, bo czegoś szuka, bo ma nadzieję, że dojrzy blask monet, które tam wpadły.

— Przyrzekłeś, że napiszesz.

— Wiem. Przykro mi.

Naprawdę było mu przykro. Mogłaby oczywiście zamknąć się w rozgoryczeniu, odmówić mu dostępu do siebie. Ale na zewnątrz szaleje ulewa, jest późna noc, a w jej dłoni dymi filiżanka czekolady. To czas na to, żeby popuścić więzy, poluzować je, otworzyć swoją kuchnię, w której stoją rzędy słoików z ziołami, zachwycić się cudem śpiących dzieci, męż-

czyzną o czarodziejskich rękach, który tak dawno temu zaprosił ją na scenę, a teraz zadaje sobie milcząco tysiąc pytań w jej łóżku — czas, aby zszyć z powrotem to, co się rozdarło. Przecież Artigas wrócił z krainy umarłych i patrzy na nią oczami, którymi wpatrywał się kiedyś w zdziczałą dziewczynkę na drzewie. Położyła dłoń na jego dłoni.

- Tęskniłam za tobą.

- Mój Boże, ja też za tobą tęskniłem. Cały czas powtarzałem sobie, że napiszę, kiedy będę gotów powiedzieć, że wracam albo przynajmniej przyjeżdżam w odwiedzin, czyli wkrótce, już za parę dni. Ale sprawy nie tak się ułożyły.

- A jak?

Artigas zaczął swoją opowieść dla siostry.

Kiedy puścił się konno razem z wiatrem, przeszło go poczucie wolności. Łańcuchy, którymi był przykuty do Tacuarembó, opadły w momencie, kiedy kopyta zwierzęcia zastukały na nieznaną ziemi. Wszystko go zachwycało — niewidziany nigdy wcześniej eukaliptus, chatka, koło której kręciły się obce kurczęta, kobieta, dla której jego twarz była nieznajoma! Nad jego głową rozciągał się bezkres gorącego, błękitnego nieba. A te dźwięki! Od kiedy skończył siedem lat, nigdy nie słyszał tak cudownej muzyki. Wiatr dmuchał, świszczął i szeleścił w koronach drzew. Koń parskał, wróble o czymś rozprawiwały, prowokując wrony do chrapliwych odpowiedzi. Świerszcze urządzały nocne koncerty. Pieśń drogi sączyła mu się do uszu i upajała go natrętną polifonią świata. Aż bolało go serce, którego do tej pory nic jeszcze nie zdołało poruszyć tak mocno. Muzyka. Oddawał się tej muzyce, kapał się w niej i przysięgał, że poświęci życie tajemnicy dźwięków.

Droga prowadziła go przez regiony Tacuarembó i Rivieri na północny wschód, w stronę Brazylii. Po drodze trafiał na ludzi, którzy ofiarowywali mu miskę gorącego rosolu *puchem*, pachnącego gotowaną długo cebulą, kilka łyków świeżej mate

albo skrawek podłogi do spania. Rewanżował się im muzyką. Śpiewał znane ballady, a całe rodziny śpiewały je razem z nim, nie przejmując się brakami w uzębieniu. Zdarzyło mu się również wymyślać piosenki dla tych, których spotykał — brzdąkając na swojej starej gitarze, opowiadał ich zmyślane przygody. Jedna rodzina zapamiętywała zwykle ze dwa wersy, więc jeśli takich rodzin zebrał się tuzin, mógł uznać, że jego piosenki żyją wśród ludzi. W jednym miasteczku zaprawiona w życiowych bojach wdowa tak bardzo wzruszyła się słuchaniem go, że zaofiarowała mu trzy bochenki chleba i rękę swojej córki (córka spłonęła rumieńcem, natomiast Artigas skwitował propozycję grzecznym uśmiechem). Nigdzie nie zabawił dłużej niż jedną noc. Pod koniec śniadania gospodarze zawsze zadawali zbyt wiele pytań o rodzinę, o to, jak mógł ją porzucić i kiedy do niej wróci. Odpowiadał wymijająco i czym prędzej wsiadał na konia, by wrócić na rozbrzmiewające muzyką pola.

Tuż przed granicą spotkał Bicho i Bronco, braci pochodzących z miasta Treinta y Trés. Rodzina wyparła się ich z niewiadomych powodów, których Artigas nie był ciekaw w najmniejszym stopniu. Dołączyli do niego. Byli szczupli, dużo się uśmiechali i fascynowało ich imię Artigasa. Na ich wyobraźnię działała zwłaszcza myśl o bohaterach, którzy u boku jego domniemanego przodka wzięli udział w wojnie o niepodległość.

— Jesteśmy jak tamci buntownicy z dawnych czasów — mawiał Bronco. — Hajda, prowadź nas w bój!

— Czy ty na pewno prowadzisz nas do boju? — dopytywał się Bicho, zerkając na Artigasa spod runda swojego kapelusza. — A może tylko do Brazylii?

— Nigdzie was nie prowadzę — odpowiadał Artigas. — My tylko jedziemy w tym samym kierunku.

Im bliżej było do granicy, tym droga stawała się trudniejsza, a okolica dziksza. Jechali skrajem lasu deszczowego, tak gęstego, wilgotnego i żyznego, że Artigas miał wrażenie, iż od samego oddychania wkrótce zamieni się w roślinę. Ósmego poranka w Brazylii obudził się już bez towarzystwa. Bracia

zniknęli. Zabrali jego konia, gitarę, kilka nędznych peso, ubrania na zmianę, a nawet fakon, który trzymał za cholewę butów. Gdyby ich dorwał, toby ich pozabijał. Był przerażony. Nie miał zupełnie nic, znajdował się w nieznanym miejscu, mógł zginąć od ukąszenia węża, wpaść w pułapkę lian, utopić się i zgnić w czyhającej gęstwinie lasu. Urnął dalej.

Przemieszczał się pieszo. Piosenki pomagały mu utrzymać się przy zdrowych zmysłach. Śpiewał wszystkie ballady, jakie znał, po kolei, jakby mogły utrzymać w bezpiecznej odległości śmierć, drapieżniki i głód. Nie śpiewał jednak zbyt głośno, bo jednocześnie, uważny na każdy dźwięk otoczenia, wsłuchiwał się w odgłosy istot żyjących na drzewach i między nimi. Trzeciego dnia stracił głos i już tylko słuchał. Zdawało mu się, że słyszy wilgoć, bujność, obfitość. W jego uszach eksplodowali) całe to zielone, niestrudzone życie, ptasi skrzek, drzenie lian, ryk jaguara jak leśny hymn.

Pił ze strumieni, jadł liście, a wkrótce nawet wpychał do ust garściami ruszającą się od robaków ziemię. Za pierwszym razem obrzydzenie pozwoliło mu przełknąć zaledwie kęs tej strawy, ule później oddał się lasowi, stał się jego częścią, więc po prostu klękał, nabierał ręką grudki i oblizywał palce, czerpiąc pożywienie z tego samego źródła co drzewa. Modlił się tylko o to, aby nie spożyć żadnej trucizny. Modlił się o życie. Nie wiedział, do kogo się modli, i nie obchodziło go to. Wiele dni później, kiedy dotarł na otwartą równinę, znalazł ocalenie: dwie żelazne szyny, które przecinały ją od krańca do krańca. Szyny kolejowe. Artigas wiedział, że istnieje coś takiego jak pociągi, widział, jak układano tory dla tych dziwnych, nowoczesnych maszyn, które potrafiły prześcignąć wierzchowca. Ukląkł, by ucałować błyszczący metal, po czym ułożył się obok i zamknął oczy. Mijał czas. W pewnym momencie nadstawił uszu. Nadjeżdżał pociąg — nadciągał od południowego zachodu, a zmierzał w stronę Rio. Łoskot i dudnienie się nasilały, wreszcie długi, masywny potwór zaryczał, wypuszczając z pyska kłęb

pary. Wagony mijały Artigasa i oddalały się nie wiedzieć kiedy, a od szybkich obrotów kół kręciło mu się w głowie. Nie miał nawet czasu pomyśleć „nie dam rady” — pomyślał tylko „muszę” i skoczył.

Jego uszy wypełniły się wiatrem i jazgotem. Przywarł do boku wagonu towarowego. Namacał stopą barierkę. Spojrzał w dół i natychmiast tego pożałował, bo zobaczył uciekającą ziemię. Jakiś metr od niego były przesuwane drzwi, na szczęście otwarte. Ostrożnie, powoli, zbliżył się w tę stronę, aż w końcu, wstrzymując oddech, rzucił się do środka.

Owionął go nieznośny smród. Wagon na wysokość trzech metrów wypełniały skrzynie z nawozem. Była pełnia lata i upał wydobywał z nich straszliwy zapach, który przenikał człowieka do szpiku kości. W pierwszym odruchu miał ochotę wyskoczyć z wagonu, ale przypomniał sobie widok uciekającego gruntu. W okamgnieniu przesiąkł odorem, który wdarł mu się nawet pod skórę. Zapisał się w wąski korytarzyk między skrzyniami, ale zapach wszędzie był taki sam, nie było od niego ucieczki. Z odrazą wyrzwał ręką w bok jednej ze skrzyń, a wtedy usłyszał czyjeś sapnięcie.

Napreżył się. Żałował, że nie ma przy sobie fakona, ale tak czy inaczej był gotowy walczyć. Uniósł pięści i obszedł ostrożnie róg.

Między skrzyniami siedziała cała rodzina: dwoje małych dzieci, krępy młody mężczyzna, kobieta z niemowlęciem w ramionach i stary człowiek o siwych włosach. *Indios*, sądząc po twarzach, na których malował się strach. Artigas opuścił pięści. Chłopiec przymknął powieki, za to dziewczynka odwrotnie, wlepiła w niego oczy wielkie jak spodki. Kobieta też patrzyła na Artigasa.

Mężczyzna wstał i zaczął błagalnym tonem mamrotać coś po portugalsku.

— Nie zrobię wam krzywdy — powiedział Artigas. — Ja niegroźny, nie — powtarzał te słowa, zwracając się do mężczyzny, który cały czas coś mu tłumaczył, gwałtownie ges-

tykuluje w kierunku swojej rodziny. W końcu dodał: — *No vor dcl Iren. Yo* — postukał się palcem w pierś — *no* — poruszał palcem na znak przeczenia — *tren* — zatoczył dookoła ręką.

Na twarzy tamtego pojawił się wyraz ulgi, a z jego ust popłynął potok niezrozumiałych słów. Kobieta pocałowała głowę niemowlęcia, chłopiec jęknął, starzec zaś rozchylił usta w uśmiechu, który odsłonił bezzębne dziąsła.

*/Quem são voce, então?* — mężczyzna znowu zwrócił się do Artigasa.

Artigas. A ty?

Galtero.

Rozmawiali mieszanką hiszpańskiego i portugalskiego. Okazało się, że Galtero i jego rodzina pochodzą z południowej Brazylii, z plemienia Guarani, które od pokoleń żyło na swoich terytoriach i żyłoby nadal, gdyby w zeszłym miesiącu nie pojawili się tam mężczyźni w dziwnych ubraniach. Oświadczyli oni, że są przedstawicielami Zaffari Supermarket Company i że ziemia zajmowana przez plemię należy do nich. Nie mieli co prawda żadnych aktów prawnych ani innych dowodów, lecz rząd ich nie zatrzymał. Ludzie z Zaffari zburzyli domy rdzennych mieszkańców, a pola manioku i kukurydzy zaorali, przez co pozbawili setki rodzin dachu nad głową i plonów i rozpędzili je na cztery wiatry.

Kobieta wyciągnęła tykwę do mate, napełniła ją zimną wodą i podała Artigasowi. Myśl o tym, że miałby cokolwiek spożyć w tym miejscu, napełniła go obrzydzeniem, ale nie mógł odrzucić tradycyjnego gestu przyjaźni. Był wzruszony jej hojnością, więc przyjął tykwę, przytknął do ust *bombille* i się napił. Napój miał smak łajna wdeptanego w trawę.

Noc spędził, leżąc na dudniącej podłodze obok dziewczynki. We śnie oparła głowę na jego zgiętym łokciu. Patrząc na jej grube, czarne warkocze, myślał o Pajaricie. Gdzie teraz jest jego siostra? Poczucie samotności zalało go i sprowadziło na niego sen. Śniły mu się wielkie, zielone pastwiska, które nagle pękały i spływały rzekami gnojówki.

Następny dzień znowu upłynął wśród łoskotu i smrodu. Historia indiańskiej rodziny cały czas wracała do Artigasa z regularnością żelaznego koła pociągu. Jej okrucieństwo było porażające. Podzielił się swoimi myślami z towarzyszem podróży.

— To nic nowego — stwierdził Galtero. — A jak jest w waszym kraju?

— Nie mamy takich problemów.

— Naprawdę? Nikt nie odbiera Indianom ziemi?

— Nie, bo... — Artigas chciał powiedzieć: „bo w Urugwaju nie mamy Indian”, ale nagle zrobiło mu się wstyd, więc dokończył: „...po prostu się nad tym nie zastanawiamy.”

— To dziwne — odparł Galtero — że twój lud nie musi się nad tym zastanawiać.

Artigas już otwierał usta, aby wyprowadzić go z błędu, lecz znowu się powstrzymał. Na jego rodzinnej ziemi nikt nikogo nie nazywa *indio*. Galtero się myli — ale czy rzeczywiście? Czyż skóra, włosy, nos i ramiona tego mężczyzny nie wykazują żadnych podobieństw do wyglądu Artigasa? To są echa, co prawda słabe, ale jednak niezaprzeczone. Coś zaczęło mu się tłuc po głowie i z zakamarków pamięci powróciła historia o cudzie z 1700 roku, sprzed dokładnie dwustu lat od chwili, kiedy jego siostra ukazała się w koronie drzewa — historia o tym, jak w powietrzu rozlegały się śpiewy ludu Guarani, od dawnie zapomniane. Przecież nigdy nie zastanowił się, dlaczego ta muzyka zaginęła i za jaką cenę. Echo rozbrzmiewało w nim coraz głośniejsze, krążyło w jego krwi, coś w nim otwierało.

Kiedy pociąg dojechał do Rio de Janeiro, Galtero i Artigas uścisnęli się mocno i serdecznie, po czym poszli w przeciwne strony, jeden z rodziną, drugi samotnie.

Ulice były strome i hałaśliwe. Artigas snuł się po nich, przyglądając się rojnemu miastu, otoczonemu zadziwiającymi zielonymi górami. Wśród gwaru, ryku i nawoływań ulicznych sprzedawców wyłowił muzykę — bębny i śpiew — która go zelektryzowała. Rzucił się w dół ulicy, w kierunku, z którego



dochodziły dźwięki, skreślił za róg, a wtedy stały się głośniejsze. To niejeden bęben grał, lecz kilka; ich rytmy nakładały się na siebie dramatycznie, rozdzierająco. Znowu skreślił za róg, ale zorientował się, że nie tam, gdzie trzeba, więc zawrócił i wreszcie znalazł grupę muzyków, którzy przygotowywali się do karnawału. W cekinach ich kostiumów pobłyskiwało słońce, dudnienie ich bębnów wstrząsało niebem, a z ich ust wydobywały się iście boskie głosy. Podbiegł do tych ludzi z otwartymi ramionami, spragniony śpiewu.

Rozstąpili się na boki z obrzydzeniem. Nagle stał sam, wokół niego było pusto.

- Ależ ty cuchniesz — warknął jakiś chudzielec. Ojej. — Artigasowi zrobiło się gorąco ze wstydu. — Przepraszam.

Idź sobie! I umyj się! — mężczyzna zrobił ruch ręką.

Artigas popatrzył we wskazanym kierunku i zobaczył z tyłu, za zatłoczoną plażą, rozciągającą się jak okiem sięgnąć masę wody. Ocean. Pobiegnął.

Ocean okazał się większy, bardziej niebieski i cudowniejszy niż wszystko, z czym dotąd się spotkał. Zapatrzył się w niego, ulonął w nim spojrzeniem. Padł na kolana w miejscu, w którym załamywały się białe fale. Kiedy ciągnęły do brzegu, okręzały go i lizały mu łydki, a wracając, zalewały, jakby chciały zabrać go z sobą. Na piasku było mnóstwo półnagich, dziwacznie poubieranych ludzi, którzy siedzieli grupkami. Śmiali się z niego, lecz zupełnie się nimi nie przejmował. Gdzieś na plaży znowu odezwały się bębny. Pulsowały, wzywały, ponaglały wybijanym mocno *si, si, si*. Artigas, który na czworakach wszedł do wody, poczuł na języku smak soli. Czysta, błękitna woda opatuliła go w całości. Zanurzył się z głową; fale huczały mu w uszach. Zagłębił się, dał się wciągnąć, był morskim stworzeniem, miał sól w ustach. Łajno odczepiło się od jego skóry i ubrań, oderwało od kości, smutek wypłynął z serca i rozpuścił się w bezkresie. Olbrzymie, tajemnicze ciało oceanu bujało go w mokrej kołysce. Wynurzył się i położył na plecach. Słońce

przypiekało, woda co chwilę zalewała mu brzuch i chociaż nie miał gdzie złożyć głowy na noc, nie miał złamanego grosza, żadnych przyjaciół i nie posiadał nic poza szmatami na grzbiecie i własną skórą, w jego umyśle pojawiło się zdanie, które najwyraźniej nie zamierzało zniknąć: "Jestem w domu". Tu jest jego dom.

Miał dwa cele: przeżyć i nauczyć się grać na bębnach. Bębny zostały przy nim, dudniły mu w głowie, niezależnie od tego, czy otaczał go uliczny hałas, czy cisza. Gitarę stracił w dżungli. Nie żałował jej, nie było sensu przynosić starej muzyki do miasta posiadającego tak wiele własnych rytmów. Umierał z chęci, by dotknąć skóry rozciągniętej na instrumentach tej ziemi.

Jeśli chodzi o realizację pierwszego celu, znalazł zaszczurzony pokój i pracę jako pomywacz. Drugi cel doprowadził go do Joao, wysokiego mężczyzny o rękach, które poruszały się jak skrzydła kolibra. Mieszkał w chatce na zboczu porośniętego bujną roślinnością wzgórza. Stojąc przed jego drzwiami, Artigas widział całe miasto, od zatykającego dech w piersiach szczytu Pao de Açucar po białe zakole Copacabany. Dwa razy w tygodniu wspinał się stromą ścieżką do jednoizbowego domu swojego nauczyciela, siadał na dworze w kręgu złożonym z kilku osób i uczył się skomplikowanych uderzeń, dźwięków jak zwinne, błyszczące rybki, które tak bardzo chciał łapać gołymi rękami. Słuchał w milczeniu opowieści, które snuli mieszkańcy wzgórza. Nie był taki jak oni: nie *negro*, nie Brazylijczyk, zaczynał zaledwie uczyć się portugalskiego oraz języka samby. Był intruzem, a jednak za każdym razem czekała na niego drewniana skrzynka, na której mógł usiąść. I bęben. I Ana Clara.

Ana Clara była jedyną córką Joao. Kiedy Artigas zobaczył ją pierwszy raz, wyszła właśnie z chaty z maczetą w ręku. Spowijała ją chusta w kolorze zmierzchu. Z gracją tapira podeszła do kępy trzciny cukrowej, która rosła obok domu. Uniosła maczetę, zamachnęła się. Twarda łodyga rozpekła się na pół. Ana Clara cięła ją na kawałki, które układała

na ziemi. Gruba łupina odsłoniła włókniste wnętrze, które czekało, aby wycisnąć z niego sok. Dłonie Artigasa uderzające o koźlą skórę potknęły się i zgubiły rytm. Ana Clara weszła z powrotem do domu.

Mijały miesiące. Artigas pracował i się uczył. Powoli zaprzyjaźnił się z Joao i jego sąsiadami, a także postanowił zaskarbić sobie miłość Any Clary. Zabrało mu to cztery lata, bo Ana Clara nie lubiła się spieszyć. Mówiła tylko to, co rzeczywiście myślała, a myślała to, co mówiła. Jeżeli milczała, to leż coś znaczyło. Jej uśmiech rozświetlał ciemność bardziej niż dwadzieścia świec, lecz uśmiechała się jedynie, kiedy była naprawdę szczęśliwa, więc Artigas postanowił uczynić wszystko, żeby wprowadzić ją w ten stan. Przynosił kwiaty i ananasy, swoje ballady, a nawet strzechę, aby naprawić dach. Wsłuchiwał się w jej słowa i jej milczenie. „Z pewnych rzeczy — powiedziała kiedyś — zwierzam się tylko oceanowi. Wracaj do siebie, idź stąd, zanim tobie zacznę się z nich zwierzać”. Podporządkował się rozkazowi i zszedł do swojego nędznego pokoiku, który nazywał domem. Położył się w ciemności i starał się nie myśleć o tamtym domu, w Tacuarembó, o rodzinie, o zimnym, złamanym przez życie ojcu i o bezpiecznych ramionach ciotki,

o siostrze, śpiącej teraz bez niego pod zwierzęcą skórą, śniącej być może o liście, którego nie doczekała się od niesłownego brata. Miał nadzieję, że jest raczej na niego zła za milczenie niż zraniona lub smutna, ale i tak nie czuł się wobec niej w porządku. Rozejrzał się w sąsiedztwie w poszukiwaniu kogoś, kto umiałby napisać list, i nawet znalazł człowieka, który potrafiłby sklecić pod dyktando kilka słów po hiszpańsku, ale nigdy się do niego nie zwrócił. Mówił sobie, że nie ma na to dość pieniędzy, ale przecież jakoś znalazł pieniądze na ananasy

i strzechę. W gruncie rzeczy nie chodziło o opłatę, lecz o coś innego — nie potrafiłby dobrać właściwych słów i zestawić ich we właściwym porządku, aby siostrze, której nie mógł ani zobaczyć, ani usłyszeć, ani dotknąć, przekazać wiadomość o tym, co się z nim dzieje. Jeszcze nigdy w życiu nie podyktował

żadnego listu, ale korespondencja wydawała mu się czymś szalenie formalnym — niemożliwe do wymazania słowa zajmowały w nieodwołalny sposób miejsce na kartce, którą należało powierzyć poczcie, by odbyła długą trasę konno lub koleją, autor zaś tracił nad nimi wszelką kontrolę. Im więcej mijało czasu, tym bardziej czuł, że list powinien być doskonały, dopracowany w najmniejszych szczegółach. Poza tym zdawało mu się, że powinien zapewnić siostrę o tym, iż wkrótce przyjedzie w odwiedziny, co przecież zawsze planował, ale teraz, kiedy już zainstalował się w tym mieście o ostrych granicach naturalnych, wewnątrz których człowiek płał się w słońcu, o które jednak mógłby się poranić, gdyby zechciał je przekroczyć, nie wyobrażał sobie drogi powrotnej. Oczywiście, zakładał, że napisze, po prostu — powtarzał to sobie noc po nocy i rok po roku — potrzebował tylko trochę więcej czasu.

Po czterech latach Artigas zdobył błogosławieństwo Joao, Ana Clara zaś zaczęła przychylnie przyjmować jego starania. Im więcej czasu spędzali wspólnie — na przykład kiedy trzymając się za ręce, spacerowali po plaży albo wspólnie wybierali dojrzałe owoce papai na straganie, tym bardziej jej imię przekształcało się dla niego w wartką melodię o niezliczonych wariantach. Pobrali się. Artigas dobudował drugi pokój do chatki Joao, gdzie z Aną Clarą kochali się i sypiali na podłodze, na wyplatanej macie. Jako że ojciec leżał tuż za ścianą, nie pozwalali sobie na głośne wybuchy namiętności. Artigas nauczył się rozpoznawać po innych znakach, że dostarcza żonie rozkoszy — po drzeniu jej ud, po drapiących go paznokciach, po takim wyrazie twarzy, jakby za zamkniętymi powiekami miała jednocześnie wizję Pana Boga i wszystkich demonów. Budził się do życia w te noce, gdy starał się zaspokoić jej i swoje zmysły, które płonęły takim ogniem, że mogłyby spalić całe sąsiedztwo. Kiedy spodziewała się dziecka, ich pieszczoty stały się łagodne jak kołysanie oceanu; według słów samej Any Clary zaczęły przypominać dotyk afrykańskiej bogini morza o imieniu Iemonja. Rozwiązanie nastąpiło w gorącą noc, którą

Artigas spędził u teścia, nasłuchując przez ścianę jęków żony oraz głosów towarzyszących jej ciotek i kuzynek. Leżał, nie mogąc zasnąć z przerażenia, dopóki nie usłyszał płaczu dziecka. Córce nadali imię Xhana. W ciągu następnych lat Artigas nauczył się, że miłość do żony i do dziecka jest bezdenną przepaścią, w którą człowiek wskakuje z własnej woli, gotów oddać swe życie, i to wielokrotnie. Nie ginie podczas skoku, bo ta otchłań nie ma ścian, o które mógłby się roztrzaskać, i nie ma też końca — po prostu ciągle się spada, spada i spada.

Miał tak wiele w tych latach: nową rodzinę, bębny, pracę, która pozwalała mu najeść się do syta przynajmniej raz dziennie, a także ocean, który sam dla siebie nazywał Iemonja. Wczesną wiosną 1930 roku zaczęły jednak chodzić niepokojące słuchy. Podobno na południu zbierały się oddziały zbrojne. Dowodził nimi niejaki Getúlio Vargas, najwyraźniej szykujący się do zamachu stanu. Należało się spodziewać, że wkrótce jego wojska zaleją północ.

- Polityka to szaleństwo — stwierdził Joao, zdrapując resztki mięsa ze skóry kozłęcia. — Dwóch bogatych białych panów skacze sobie do oczu.

— Prezydent jest skorumpowany — zareagowała Ana Clara, która kroila mięso w kostkę. Miała zaokrąglony brzuch, znowu spodziewała się dziecka. — Popatrz, jak wyglądały wybory.

— Były sfalszowane. — Jej ojciec wzruszył ramionami.

— Oczywiście, były sfalszowane. Gdyby nie to, możliwe, że wygrałby Vargas.

— Jakie to ma znaczenie? I tak żadne z nas nie mogłoby głosować.

— Tak nie powinno być.

— Ale jest.

— Pewne rzeczy mogą się zmienić, *Pai*. Vargas mógł spowodować zmiany na lepsze.

— Skąd wiesz?

— Chce poprawić los ludu.

— Akurat! Mówi tak, bo potrzebuje ludu.

Artigas, zajęty odcinaniem mięsa od kości, nie zabrał głosu. Nie miał pojęcia o brazylijskiej polityce, czuł jednak, że jej podstawy są grzaskie. Zdziwił go ton, jakim mówiła Ana Clara — rzadko była aż tak przejęta. Patrzył na świeże mięso, przygotowywane z okazji urodzin João. Od miesięcy nie mieli w ustach koźlęcia. Gdyby prezydent podniósł zarobki, być może częściej jadaliby mięso. Pomyślał o Gaitero, o przedsiębiorstwie, które za zezwoleniem rządu zniszczyło domy i plony jego plemienia. Może nowy przywódca chroniłby takich ludzi, podniósłby płace robotników i utworzyłby szkoły, a w jednej z nich jego Xhana nauczyłaby się czytać. Jeżeli rebelia oznaczałaby coś takiego — Ana Clara żywiła taką nadzieję — to na pewno dobra rzecz, więc powinien ją popierać. Niestety, myśl o żołnierzach i o walkach, do których doszłoby tutaj, w pobliżu jego córki i ciężarnej żony, napełniała go lękiem.

Trzy dni później na wzgórze pofatygowali się urzędnicy z dekretem. Artigas i Ana Clara stali wśród gromady sąsiadów, spoglądając na mężczyzn siedzących w ozdobnych siodłach. Jeden z nich rozwinął jakiś zwój i zaczął czytać: Vargas zbliża się ze swoją armią do Rio, zagrażając legalnemu rządowi Brazylii. Wszyscy cywile są wezwani do tego, aby chwycić za broń dla dobra kraju, toteż mają obowiązek w ciągu czterech godzin zgłosić się do komisji wojskowej.

Tłum stał cicho. Urzędnik na koniu zwinął papier, zakaszłał, ściągnął wodze i jako pierwszy zaczął jechać w dół, a za nim pozostali.

Dopiero gdy zniknęli, podniosły się gniewne głosy.

— Nie zamierzam za nich walczyć!

— Ja też nie.

— Dlaczego niby mielibyśmy nadstawiać karku?

— Jeżeli nie pójdziemy, zapłacimy za to życiem.

— Zapłacimy życiem, jeżeli pójdziemy.

— Jeżeli w ogóle mamy walczyć, to już raczej po stronie Vargasa.

Wśród tłumu rozszedł się pomruk aprobaty. Artigas mocniej oloczył żonę ramieniem.

Na wzgórze wbiegł zadyszany chłopiec.

Patrzcie, patrzcie! — wołał, pokazując na miasto w dole. Rio buntuje się przeciw prezydentowi!

Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. Zobaczyli tłum tak zwarty, że z daleka zdawał się jednolitą, płynną masą. W pewnym momencie dołączyła do niego grupa biegnących sylwetek. A na Clara odsunęła się od Artigasa. Ja też idę — powiedziała. Dokąd? Tam, na ulicę.

Nie idź! — Artigas chwycił ją za ramię.

Nawet nie próbuj mnie zatrzymać. To jest moje miasto. Idę! — Wyrwała się, tak że nie mógł jej dosięgnąć, i już sadziła susami po trawie. Na ostatnim zakolu, zanim zniknęła mu z oczu, zatrzymała się jeszcze i spojrzała w górę. Artigas chłonął len widok ze wszystkich sił, widok swojej upartej żony z okrągłym brzuchem, w czerwono-białej sukience powiewającej na wietrze, która machała mu na tle kotłującego się w dole miasta. Uważaj na Khanę! — zawołała jeszcze, po czym zniknęła za skałą i już jej nie było.

To były jej ostatnie słowa. Tysiące trupów zaścieliły tego dnia ulice. Policja otworzyła ogień, tłum wpadł w panikę, ludzie napierali na siebie. Ana Clara upadła, nikt nie zwrócił na nią uwagi. Dopiero jeden z krewniaków Joao natknął się na leżącą, ale było już za późno.

Ana Clara, Ana Clara, Ana Clara.

Rozpacz rozcięła duszę Artigasa jak nóż. Nie chciał żyć. Zamknął się w swoim pokoju i spędził tam sześć dni bez icdzenia i bez picia. Siódmej nocy, godzinę przed świtem, na brzegu maty ukazała mu się Ana Clara w swojej czerwono-białej sukience. Nie była w ciąży i się nie uśmiechała. Artigas.

Boże. Czy to ty?

— Obiecałeś, że będziesz się opiekował Xhaną.

— Ale, Ana... — Wyciągnął po nią rękę.

— Obiecałeś... — Znikała już w czerwono-białej mgle. Artigas przetarł oczy. Był sam. Wyczołgał się z pokoju

i znalazł swoją pięcioletnią córkę śpiącą w objęciach dziadka na jego macie. Ukląkł, by pocałować ją w czoło. Jej skóra pachniała topionym masłem kokosowym. Miała mały, kształtny, niewinny nosek, od czasu do czasu wzdychała przez sen. Ułożył się obok i wziął ją za rękę. Przyglądał się, jak oddycha, dopóki światło dnia nie wypełniło izby.

Obalenie rządu zajęło oddziałom z południa dwa tygodnie. Zbuntowana armia zalała Rio. Obwieszony medalami Vargas przybył na wielkim, czarnym koniu. Tłum znowu wyległ na ulice, tym razem radośnie świętując. Transparenty głosiły: „Nowa Brazylia!”, „Witamy Vargasa” albo „Nareszcie pokój”.

Joao i Artigas starali się nie opuszczać domu. Joáo próbował zajmować się Xhaną tak, jak robiłaby to matka. Artigas nieraz obserwował jego ręce, które bez końca niezdarnie zaplatały, rozplatały i znowu zaplatały jej warkocze. Ten widok panoszył się w jego mózgu, jak żołnierze panoszyli się na targu, a strach na ulicach Rio. Wszędzie stały porozstawiane działa, on zaś wszędzie trafiał na rzeczy, które przypominały mu o tym, co stracił. Ana Clara na zakrzywionej jak banan plaży, spragniona kąpieli. Ana Clara schodząca stromą ścieżką do miasta i wracająca do domu. Ana Clara, która właśnie zjadła mango i rozcina maczetą trzcinę cukrową. Każdy znajomy widok był dla niego nie do zniesienia. Zastanawiał się, czego właściwie Ana Clara szukała na tamtej ulicy, z jaką wizją umarła i czy coś z tej wizji przetrwało. W nocy śniły mu się pożary, które chciały strawić kontynent, on zaś rzucał się z gołymi rękami, by je gasić. Chciał wyjechać. Marzył o pustej drodze, o nowym początku, o takim miejscu, w którym nie będzie ani uzbrojonych młodych ludzi, ani ciężaru wspomnień.

Pewnej nocy obudził się na dźwięk, którym przyzywał go chyba jakiś duch. „Tu. Tuuuuu”. Wstał i wyszedł na zewnątrz.



„Tu. Tuuuuu". W skąpym świetle księżyca starał się znaleźć źródło tego głosu.

Gdzie jesteś?! — wołał. Z wierzchołka jednego z drzew dobiegł go śmiech. Na gałęzi siedziało dziecko: jego siostra, Pajarita, taka, jaką ją zobaczył wiele lat temu.

No to jak będzie, czy wrócisz?

Dokąd?

Mon-te-vi-de-o — wyskandowała. Na usta cisnęło mu się mnóstwo pytań, lecz zanim zdążył wypowiedzieć choćby jedno, miejsce dziewczynki zajęła sowa o upierzeniu w kolorze niepokalanie czystego piasku. „Tu — zagruchała. — Tuuuuu". Artigas zajął w jej duże, niezgłębione oczy. Wrócił do pokoju i pierwszy raz od śmierci żony mocno zasnął.

Tydzień później, otrzymawszy niechętnie udzielone przez Joao błogosławieństwo na drogę, Artigas i Xhana wsiedli do pociągu zmierzającego do Urugwaju. Drewniane siedzenia były niewygodne, zapach ludzkiego potu i kurcząt drażnił nozdrza, ale i tak były to rajskie warunki w porównaniu z jego poprzednią podróżą. Xhana przyciskała nos do szyby, wpatrując się w gęstwinę lasu deszczowego, wzdłuż którego jechali. Ani upał, ani gdakanie kur nie robiły na niej wrażenia. Artigas patrzył na nią z takim samym zachwytem, z jakim ona obserwowała świat. Jego córka, światło w ciemnościach. Skarb, który mu się dostał po długich staraniach.

Kiedy już znaleźli się w Montevideo, rozpoczął poszukiwanie siostry.

Pajarita naląła do filiżanki brata ostatnią chochelkę ciepłej czekolady.

- Cieszę się, że mnie odnalazłeś.

— To nie było trudne. W każdym sklepie ludzie słyszeli o Tobie. Szanują cię i nawet trochę się Ciebie boją.

Pajarita spojrzała na doniczki i słoiki z ziołami w swojej kuchni. Przemawiały do niej tajemnym językiem.

— Kiedy wyjechałem, byłaś jeszcze dziewczynką. — Przysunął się do niej. — Powiedz mi, jak tu trafiłaś.

— Nie tej nocy. Słońce już prawie wstało. — Zrobiła ruch w kierunku okna, które perlilo się kroplami mżawki widocznej w szarym świetle.

— Dobrze. To może jutro?

— Jak długo zostaniesz? — zapytała Pajarita, kiwając na potwierdzenie głową.

— To zależy.

— Od czego?

— Na przykład od tego, na jak długo będziemy mogli tu się zatrzymać.

— Arti, nie obrażaj mnie.

— Dziękuję. — Wziął ją za rękę. Po latach grania na bębnach miał stwardniałą dłoń. — Jeszcze twój mąż musi się zgodzić.

Pajarita pomyślała o Ignaziu uśpionym w jej łóżku.

— To już jest moje zmartwienie — powiedziała. Ułożyła na podłodze saloniku poduszkę i przykrycie dla

Artigasa, po czym przemknęła na palcach do sypialni. Przebrała się w koszulę nocną bez zapalania światła. W ciemnościach słyszała równy oddech Ignazia.

— Ignazio.

Oddech ucichł, za to zaszeleściły prześcieradła.

— *Si.*

Gołymi stopami czuła chłód ciągnący od podłogi.

— Artigas zostanie tu, dopóki nie znajdzie sobie domu. Ciemny cień poruszył się i usiadł.

— Pajarita.

— Słucham.

— Czy ty... czy ty... położysz się do łóżka? Zakołysała się lekko. Płótno koszuli dotykało jej nóg. Czuła

ich siłę, czuła, że mogłaby na nich stać przez całe dekady, gdyby było trzeba. Ale miała ochotę na odpoczynek.

Tak.

Usłyszała, że odchylił dla niej prześcieradło, i wsunęła się do środka. Otoczył ją ramionami, które były ciepłe i silne. A przynajmniej dzisiejszej nocy zdawały się silne. Poczowała hicie jego serca i dotyk dłoni, poczuła, że jej ciało topnieje w kontakcie z jego ciałem. Razem wypłynęli na otwarte wody snu.

Xhana?

**Si?**

Śpisz?

Nie.

Boisz się burzy?

Czasami.

Ja też. Zawsze chciałam mieć siostrę. ...ja też.

Czy możemy być siostrami? Tak.

Możesz tu zawsze ze mną spać. Dobrze.

- I będziemy jak siostry.

- **Si.**

- Na wieczność.

- **Si.**

Znowu tu jest. Artigas potoczył wzrokiem dookoła — stał na boisku do piłki nożnej, w środku porośniętej trawą mapy przedstawiającej Amerykę Południową. Granice między państwami były zaznaczone kredą. Cały kontynent znajdował się pod ostrzałem, to tu, to tam co chwilę rozbłyskiwał ogień. Artigas biegał ile sił w nogach z miejsca na miejsce i tłumiał pożar gołymi rękami. Zdusił jedno ognisko w Peru, przerzucił się na zachód, do Gujany, potem na południe, do Chile, po

czym wrócił do Brazylii. Płomienie rozjarzały się coraz częściej i mocniej. Cóż on znaczył sam jeden w porównaniu z całym kontynentem. Był wyczerpany, czuł, że nie da sobie rady. Przystanął, pokonany, a wokół buzowały płomienie. Spojrzał na północ — na horyzoncie jaśniała łuna. Zwrócił się ku południu, lecz i tam iskry spadały na mapę i przepalały ją.

Obudził się zlany potem. Języki ognia tańczyły mu przed oczami. Xhana! Pomacał podłogę i przypomniał sobie, gdzie jest. Xhanie nic nie zagraża, śpi obok ze swoją kuzynką. Kuzynka ma na imię Eva.

Na czworakach dotarł pod drzwi ich pokoju. Wszedł i przyjrzał się śpiącym dziewczynkom. Leżały twarzami do siebie, jedna obejmowała drugą. Światło dnia zaczynało już przenikać do pokoju, tak że dobrze widział ich buzie. Przypomniał sobie, że jako dzieci sypiali w ten sposób z Pajaritą, obejmując się pod jednym przykryciem i wzajemnie się ogrzewając. Dziewczynki wyglądały tak spokojnie, że musiały mieć przyjemne sny.

— Śpijcie dobrze, *mijitas*, tak wiele przed wami — szepnął, zamykając za sobą drzwi.

**Eva**

## TRES

Głosy, twarze, kieliszki do wina, stół, słowa

Kiedy Eva była mała, a jej świat był jeszcze łatwy i bezpieczny, uwielbiała spacerować koło więzienia w Punta Caricias. Odczuwała co prawda jakiś niejasny, dziecięcy lęk, ale zawsze zwalniała kroku, gdy tylko znalazła się w pobliżu, na przykład zdążając z rodziną do kościoła. Intrygowały ją te wysokie, jasne i grube mury, wielka metalowa brama, łuk nad wejściem, a także dziedziniec w środku. Wszystko tu było takie olbrzymie. I ładne — całość wyglądała jak zamek z bajki czy lorleca. Jej bracia budowali podobne z piasku. Za każdym razem Eva starała się zapuścić żurawia do środka i myślała o zamkniętych tam ludziach. To było męskie więzienie, ale wyobrażnia rządzi się swoimi prawami — nie na darmo uchodzi przecież za źródło wszelkiego buntu — więc Eva zawsze widziała tam kobiety. Złe kobiety, które popełniły nieczne czyny. Widziała je jako piękne istoty o gniewnych ustach pociągniętych karminem. Na pewno słyszały wszystko, co działo się na ulicy płacz dziecka u wrót kościoła, rozmowy przed wejściem do i zeźnika, wzbudzające podziw samochody i stukot końskich kopyt. Z El Penal nie dochodziły co prawda nigdy żadne dźwięki, lecz Eva czuła w powietrzu trochę chrapliwy śmiech łych kobiet. Ponieważ w więzieniu nie ma chyba nic zabawnego,

śmiały się zapewne z ludzi na zewnątrz. Widziała je z precyzją właściwą snom i marzeniom, kiedy w swoich więziennych strojach odchyłały do tyłu głowy i wypuszczały z gardeł zuchwałe, sugestywne dźwięki. (Cztery dekady później Eva nie będzie mogła pojąć, że kiedykolwiek miała takie wyobrażenie o więzieniu. Jedyłą wizją, jaką zdoła sobie stworzyć, będzie wizja własnej córki, która zostawia na pełnym ogniu sos ze świeżych pomidorów i ucieka, ucieka, ucieka).

Przechodzili pod więzieniem po drodze do kościoła, a jeżeli Papá miał dobry humor i dopisywało słońce, czekała ich potem długa przechadzka wzdłuż La Rambli. Snuli się po kremowo--brązowym chodniku wyłożonym szachownicą płytek wśród tłumu innych spacerowiczów i popatrywali na brzeg. Woda za każdym razem wyglądała inaczej. Raz była brązowa, raz zielona, spokojna albo wzburzona. Wybiegała na spotkanie chmur. Eva starała się wypatrzeć po drugiej stronie rzeki Argentynę, ale widziała tylko niekończącą się linię nieba i wody. Wiedziała, że gdzieś tam jest ten kraj, bo nauczyła się tego w szkole. W szkole powiedziano jej także, że Rio de la Plata zawdzięcza swoją nazwę pierwszym Europejczykom, którzy sądzą, że rzeka doprowadzi ich do złóż srebra i złota. Niestety, mocno się rozczarowali, tłumaczyła *señorita* Petrillo, wodząc po klasie oczami zmrużonymi jak u drapieżnego ptaka i poprawiając niesforne kosmyki, które wysuwały się z jej koka. Jakkolwiek nazwa się utrzymała, nie odpowiadała rzeczywistości, *no fue cierto. Cierto. Cierto*. Eva obracała w ustach to słowo. Było coś zmysłowego w głosce „sss” łaskoczącej podniebienie, po której następuje dramatyczne „ier”, zakończone mocnym, zdecydowanym „to”. Bardzo ją to ekscytowało, sama przyjemność z wymawiania czyniła różne słowa interesującymi, kiedy więc Eva spacerowała w niedzielę po La Rambli, niby tylko patrzyła, jak fale rozbijają się na piasku, lecz w rzeczywistości bawiła się słowami. Rzeka Srebra coś obiecała, ale to nie była prawda, to nie było *cierto*, jak *cierre, cielo, cerrado, siempre*: zamek,

niebo, zamknięty, zawsze. Mruczała do rytmu z falami: *cierre. Cielo. Cerrado. Siempre. Zamek. Niebo. Zamknięty. Zawsze.*

Jej zabawy ze słowami były głupiutkie, wiedziała to. Nie wspomniała o nich rodzicom. Zwłaszcza Papá zwykł jej zarzucać, że traktuje słowa zbyt poważnie. „W życiu są rzeczy ważniejsze od słów” — powtarzał. Na pewno wiedział, co mówi, skoro gołymi rękami zbudował dom, w którym mieszkali, li va kochała jednak słowa za to, że tańczyły z jej myślami tango, w którym myśli rozgrzewały się i pociły, a zwinne słowa emanowały gracją i błyszczały. Jeden Tío Artigas umiał zrozumieć jej sekretną zabawę. Był jak butelka, a muzyka była winem w tej butelce i czasami wylewała się z niej w postaci tang, ludowych piosenek, *candombe* i najróżniejszych melodii. Uwielbiała być w pobliżu, gdy nadchodził ten moment. Raz ułożyli wspólnie piosenkę: „Pająk poszedł na ryby, na łące pasie się koń, jestem mniejsza niż grzybek, ale większa niż słoń”. Grał ją potem dla niej bez końca na swojej gitarze. Niekiedy po całonocnych występach, przesiąknięty zapachem papierosów i *grappa miel* Arti zjawiał się o świcie, podchodził do łóżka Ewy i budził ją. Otwierała oczy, widziała nad sobą ogorzałą twarz wuja i słyszała jego szept: *¡Ché! ¿Quieres ir u pescar?* Zawsze odpowiadała twierdząco — tak, chcę iść na ryby. Chcę patrzeć, jak słońce rośnie nad wodą, która drży przez sen, chcę milczeć z wędką w rękę i nie przejmować się tym, że ryba nie bierze, chcę siedzieć z tobą na skale, kiedy światło wypełnia całe niebo.

Pewnego razu udało się jej złapać na skałach rybę. Xhana od razu ją wypatroszyła — rozcięła brzuch, zręcznie wyciągnęła trzewia. Poszło jej to tak sprawnie, jakby ryba od zawsze tylko na to czekała. Jej kuzynka taka właśnie była. Wiedziała, jak należy chwycić nóż, nie bała się rybich wnętrzności. Znała się na nożach i na piosenkach, o których rozmawiali dorośli muzycy. Miała siedem lat, kiedy przeczytała *Kapitał* Marksa. Eva próbowała ją naśladować, ale książka wydała się jej niezrozumiała, pełna dziwnie z sobą zestawionych podniosłych słów.



Dotarło do niej tylko to, że książka ma coś wspólnego z wolnością i chyba też z muzyką i że każdy człowiek na świecie ma prawo do tych dwóch rzeczy. Uznała, że kto jak kto, ale Artí i Xhana nie są ich pozbawieni. Mieszkali w Barrio Sur, blisko centrum. Na ich ulicy każdy dom zdobiły stare, rzeźbione, popękane na brzegach drzwi, a budynki lepiły się jedne do drugich jak nierozłączni przyjaciele. Od czasu do czasu ojciec i córka znikali bez uprzedzenia na miesiąc lub dwa i jechali do Brazylii, Paragwaju albo w Andy. Wracali z zapasem nowych historii do opowiadania, z dziurami w ubraniach, pogryzieni przez komary, a kiedyś również z fotografią, która przedstawiała Xhanę, jej dziadka Joao, malowane bębny i flety quena. Podczas każdej wyprawy Xhana uczyła się na nich grać.

Taki tryb życia nie mógł się wszystkim podobać. Coco Descalzo, żona rzeźnika, nie kryła dezaprobaty, kiedy tylko słyszała o tym, że Artigas znowu wyjeżdża.

— No proszę, wyjeżdża, i już! — Plaskała ręką w stos kiełbasy. — Włóczy z sobą tę biedną dziewczynę, a drogi takie niebezpieczne! Ona potrzebuje przyzwoitego, prawdziwego domu. *¡Qué barbaridad!*

— *Sí*, Coco. — Mamá nachylała swoje czarne warkocze tak nisko, że prawie dotykały mięsa. — Ale on się nie zmieni.

— Po co niby miałyby się zmieniać? — rzucała od drzwi Clarabel Ortiz, La Divorciada, trzymając w ręku kapelusz ozdobiony kwiatami z bibułki. Nawet Eva wiedziała, że Clarabel pała nieodwzajemnioną miłością do Artigasa. — Pomyśl tylko, jakie przygody im się przydarzają. Xhana ma szczęście, że ogląda świat!

— Tak, tak — odpowiadała Coco. — *Buenos días*. Wszyscy wiedzą, co myślisz i jak bardzo chciałabyś, żeby — w tym momencie zwracała palającą twarz ku Pajaricie i docierał do niej fakt, że Eva siedzi w rogu i słucha uważnie tej rozmowy — no, żeby ta podróż... Chcesz kiełbasy? Świeżutka.

— Nie, dziękuję. — Clarabel bawiła się płatkami kwiatu ze swojego kapelusza. — Przyszłam do Pajarity po radę.

Mamá i Clarabel przechodziły za skórzaną zasłonę rozciągniętą za ladą, a Eva za nimi. Z jednym Eva w pełni się zgadzała: Xhana ma szczęście. Komu to przeszkadza, że żyje w tak małym mieszkanku albo że jego oba okna są wybite? W drodze cały świat jest ich domem, świat pełen kurzu, fletów i tajemnic. I iva też miała ochotę oglądać świat, dlatego w swoich zabawach z Andresem Descalzo odgrywała rolę pirata. Był od niej starszy

o całe trzy lata, lecz od kiedy pamiętała, zawsze bawili się razem w sklepie. Był bystry, pomysłowy i chętnie pływał z nią po morzach. Połcie mięsa zwisające z haków były ich żaglami. Na niby podejmowali niebezpieczne wyprawy, pojedynkowali się i wydobywali spod podłogi skrzynie pełne skarbów. Ich przyjaźń narodziła się z drobnych wykluczeń — otóż siostry odmówiły Andresowi prawa wstępu do elitarnego świata lalek

i serwisów do herbaty, natomiast Eva nie mogła towarzyszyć braciom w meczach piłki nożnej, podczas których zawsze rozbijali sobie kolana. Co więcej, Andres niezbyt dobrze sobie radził z futbolem, Evę natomiast nudziło podawanie pustych filiżanek do herbaty wyimaginowanym gościom. O wiele przy-icmniej jej było zaciągnąć się na statek piratów i pływać po dalekich oceanach, przeżywając najdziksze przygody pod wodzą Andresa, kapitana z opaską na oku. Ta opaska z brązowego papieru zaczeraionego kredką denerwowała jego matkę („będzie cię od tego głowa bolała”), lecz ilekroć mu ją niszczyła, robił sobie nową. Eva jako pierwszy oficer słynęła z niesamowitego nosa, który potrafił wyniuchać najlepiej nawet schowane złoto i rubiny. Andres sterował statkiem. Eva zapewniała im bogac -Iwa, on natomiast wykorzystywał swoje odsłonięte oko do omijania wszelkich niebezpieczeństw: krokodyli, smoków, fal wielkich jak kamienice, wrogich galeonów z rzezimieszkami uzbrojonymi w noże, wystających skał, złośliwych syren, czarnoksiężników, którym cuchnie z ust. Unikał pułapek i prowadził żaglowiec do krain pełnych skarbów, które tylko czekały, żeby ktoś je wykopał i wydobył na światło dzienne. To było najprzyjemniejsze: poszukiwanie, wyjmowanie i oglądanie wspa-

niałych klejnotów — pierścionka z szafirem tak pięknym, że aż chciało się latać, naszyjnika, który nasłuchiwał się najskrytszych sekretów czyjegoś serca, bransoletek z przepysznych kolorowych cukierków, które można było lizać w nieskończoność, a i tak nigdy się nie kończyły, bo były zrobione z *Oro Dulce*, słodkiego złota, które stanowiło nagrodę dla nieustraszonych piratów.

Matka i Clarabel usiadły na taboretach. Clarabel już płakała. Eva patrzyła na zwisające z sufitu czerwone udźce, na zakrwawiony kłoc do rozbierania mięsa i ostre noże. Wiedziała, że gdy dorośnie, zostanie prawdziwym piratem. Będzie podróżować po dziwnych, niesamowitych krainach, będzie wykopywać skarby, a potem przywozić je do domu, do Punta Carretas. Mami dostanie od niej więcej złota, niż zdoła na siebie włożyć. Wszyscy ludzie z Montevideo zbiorą się na głównym placu i będą mówić: „Patrzcie tylko, co ta Eva Firielli przywiozła”. Urządzi wielką zabawę z toastami i serpentynami, zagra na niej Tío Artigas, Mamá i Papá będą tańczyć, ona zaś przez całą noc będzie miała zatknięty za uchem wielki kwiat magnolii.

A może jednak Papá nie będzie tańczyć. Nigdy nie wiadomo, co robi. Jest jak planeta, która ma własną atmosferę i podlega własnej grawitacji. Eva dowiedziała się o planetach, grawitacji i atmosferze od *señority* Petrillo. Każdą planetę otacza jakby jej tylko właściwy rodzaj powietrza i każda przyciąga rzeczy na swój własny sposób. Jej bracia — Bruno, Marco i Tomás — chyba też zrozumieli tę zasadę, bo kręcili się wokół ojca jak trzy żywiołowe księżycy i tak długo napelniali jego smutną nieco atmosferę okrzykami, dopóki nie złączyli się w jedno: Brunomarcotomás. Zresztą Mamá zawsze tak na nich wołała z ulicy: Brunomarcotomás! Ich obecność była czymś stałym i naturalnym, jak oddychanie. Zawsze znajdowali się w pobliżu, a mimo to ich klub i jego kody pozostawały zamknięte przed

Eva - bieg za piłką, smuga potu unosząca się w powietrzu, okrzyki i lawirowanie wokół ojcowskiej planety, na której tak często zmieniała się pogoda. Jednego dnia jej powierzchnia połyskiwała jak polana rumem, drugiego była tak wysuszona, jakby zaraz miała popękać. W suche dni najlepiej było pozwolić ojcu spokojnie siedzieć w fotelu na biegunach i kiwać się w przód i w tył. Mokre dni pełne były przekomarzania się, gazowej zasłony, która powstawała z dymu cygar, magicznych Irików dla Ewy i sztuczek pokerowych adresowanych do tria Mrunomarcotomás — za żetony służyły im muszle morskie (żadnego grania na pieniądze w domu; tej zasady Mamá pilnowała z żelazną konsekwencją) — i jeszcze gry polegającej na podbijaniu kamykami krowich kręgów. To była prawdziwa rozrywka gauczów, zresztą sam magik Cacho powiedział: „wasz Papi to *uruguayo* z krwi i kości”. Ta gra chyba przynosiła im najwięcej radości, sądząc po śmiechach, które dochodziły z saloniku w te dobre wieczory, kiedy Mamá zmywała naczynia, a Eva je wycierała i odkładała na miejsce. W każdym kąciку kuchni stały zioła, których słodkie aromaty mieszały się z powietrzem, spokojem i śmiechem. „Dobrze nam tutaj rosnać” — mrucały w swoim zielonym języku.

Mamá miała własne sposoby sterowania planetą ojca. Kiedy Eva skończyła dziewięć lat, Papá zaczął zabierać Brunomarco-lomása w miejsce zwane El Corriente. Wtedy Mamá wyciągnęła cały swój arsenał. Na początku sięgnęła po logikę. „*J°or Ih'os*, to przecież dzieci! Jaki ty im dajesz przykład?”. Potem posłużyła się pamięcią. „Czy już zapomniałeś? Naprawdę, zapomniałeś?”. W końcu wykorzystwała milczenie — i to była najcięższa broń. Eva obserwowała, jak matka zmienia ojca w męża widmo. Był, ale jakby go nie było, bo traktowała go jak powietrze. To nie on, lecz jakiś duch zjadał na śniadanie chleb i pił poranną mate. Mamá stawiała tykwę na stole, za którym nikt nie siedział.

*Querida* — mówił ten nikt.

Mamá nie odpowiadała, bo nie miała na co odpowiadać.

— *Por favor* — niczyje słowa rozplýwały się w powietrzu. Dziewiętnastego dnia mąż widmo nie wytrzymał i zaszlochał w swoją tykwę. To przywróciło mu fizyczną egzystencję. Do stołu wrócił Papá, nieprzezroczystry, dobrze zbudowany, trio Brunomarcotomás zaś ku swemu niepomiernemu zdziwieniu przestali chodzić do El Corriente.

Pewnej letniej nocy Papá nie wrócił do domu. Eva biedziła się w kuchni nad ułamkami, a Mamá szorowała każdy zakamarek i do późnej nocy przestawiała swoje doniczki z roślinami. Za piętnaście pierwsza Eva porzuciła ułamki i zajęła się dodawaniem i mnożeniem liczb, bo chciała, aby były większe, niż się pierwotnie zdawały. Nazajutrz przyszła ze szkoły bardzo zmęczona i od razu padła na łóżko. Gdy się zbudziła, w pokoju panowała ciemność nierozświetlona nawet światłem księżyca. Ktoś, od kogo biło ciepło, siedział obok niej.

— Pssst. Eva.

— Xhana, to ty?

— *Prima*, myślałam, że nigdy cię nie obudzę!

— Czy Papá jest w domu? — Eva strząsnęła ze swoich myśli sen.

— Wrócił. Ale znowu wyszedł. Mój Papá i twoja Mamá rozmawiają w kuchni.

— Ojej.

— Czy ty już wiesz?

— Co?

— Że twój tata stracił pracę.

Eva usiadła, opierając się na poduszkach. Zrobiło się jej duszno.

— Nie.

— To dlatego jest taki smutny.

— Czy wiesz, co się stało?

— Jest jakiś problem z naszą ekonomią.

— Aha.

— Mamy ekonomię, eks... no, jak to się mówi... eksportową.

Eva słyszała już wcześniej słowo „eksport”, bo było ono w nazwie firmy, dla której pracował jej ojciec. Zawsze myślała, że oznacza jakąś wielką skrzynię czy kontener.

— Co to jest?

Xhana przekreśliła wyłącznik lampki. Eva zmrużyła oczy od światła.

— Chodzi o to — wyjaśniła Xhana — że mamy dużo owiec i krów. My, to znaczy Urugwaj. ¿Ta?

— *Ta.*

— No i ludzie eksportują, czyli sprzedają za granicę to wszystko. A sprzedają do krajów, które są bogatsze od nas i lubią naszą wełnę. I wołowinę. I skóry.

Eva potaknęła. Xhana miała we włosach niebieskie wstążki dopasowane do bluzki. Ślicznie wyglądały.

— Tylko że pewnego dnia te bogate kraje obudziły się i stwierdziły, że wcale już nie są takie bogate. I powiedziały sobie, że nie będą już kupować od *uruguayos*. Więc *uruguayos* nie mają teraz pieniędzy. I dlatego ludzie nie chodzą do pracy.

— Rozumiem — odparła wolno Eva, chociaż niewiele rozumiała. Miała tylko przed oczami smutną, wysuszoną twarz ojca. Najchętniej zasnęłaby z powrotem, aby o niej zapomnieć. — Zostaniesz na noc?

- Nie wiem.

— A chciałybyś?

— Tak.

Iwa uniosła górne prześcieradło. Jej kuzynka zrzuciła buty i wśliznęła się do łóżka, tak jak stała, w bluzce, ze wstążkami we włosach. Sen otoczył i ukołysał je obie.

Jesień była zimna. Minął marzec, kwiecień, maj. Padały obfite deszcze. W domu Ewy zainstalował się nowy rodzaj ciszy — niedobrej, nieładnej, niepodobnej do ciszy porannego wędkowania na skałach. Ta cisza, kwaśna, lepka, wdzierała się we włókna chodników na podłodze i w kąty domu, rozpościerała na krzesłach, oblepiała widelce i serwetki. Była wszędzie,

potrafiła poplamić ręce i uszczypląć w kark. Żaden hałas nie mógł jej rozproszyć. Słowo, śmiech lub piosenka tylko przesłaniały ją na chwilę, zawisały w powietrzu, by wkrótce spaść w tę wielką ciszę. Życie toczyło się z nią w tle, wokół niej i w jej wnętrzu. Życie, to znaczy nieobecności ojca i jego pełne napięcia powroty, smętne rozmyślenia i bełkotliwe żarciki, rozpad Brunomarcotomása — z powodu pogody gra w piłkę była niemożliwa, więc Bruno jak szalony zajął się hazardem, tyle że grał o muszle, Marco zatopił się w książkach, a Tomás oprócz gry o muszle polerował nieużywane buty ojca. Tylko Mamá niewzruszenie parła do przodu jak dziób okrętu, niezależnie od tego, czy obsypywała bułką tartą kawałek mięsa, czy zaplatała rano swoje czarne warkocze. Codziennie napełniała koszyk świeżo uciętymi liśćmi i korzonkami i szła do sklepu Coco. Kobiety nadal zasięgały jej porad, chociaż rewanżowały się skromniej niż kiedyś. Eva widziała to wszystko ze swojego pirackiego statku, kiedy wykonywała polecenia kapitana Andresa — Niepokonanej Opaski na Oko. Obserwowała przez lunetę, jak siedzą w kolejce, zmęczone, z opuszczonymi rękami, wygięte jak znak zapytania.

W zimie, w czasie najobfitszych sierpniowych deszczy, Eva wynalazła sposób na to, aby uciekać z domu bez opuszczania go — polegało to na zajmowaniu się słowami. Otóż każda rzecz ma nazwę, a każda nazwa jest słowem, które może zawisnąć w powietrzu i przybrać rozmiary o wiele większe od samej rzeczy. Eva wzywała litery do zabawy pojedynczo, a one w mig potrafiły wypełnić swoją obecnością cały pokój. Pretekstem mogło być cokolwiek, na przykład trzaśnięcie drzwi, po którym ojciec chwiejnym krokiem wchodził do środka, a z jego kapelusza i swetra spływały krople wody.

Mamá witała go na końcu korytarza.

— Gdzie byłeś?

— Na dworze.

Eva siedziała na kolorowym chodniku, koło fotela bujanego. Bujak, SILLA. Litery były duże, lecz pełne gracji. Wężowe

„S”, pełzające, masywne, jak wygięty błękitny wąż boa („S” zawsze, ale to zawsze jest błękitne). Zauważyłam. To trwało trzy dni. Krople spływające z rękawów ojca utworzyły dwa ciemne kółka na chodniku.

Zostaw mnie w spokoju. („I”, wysoka kamienna wieża, w której zaczarowana księżniczka czeka na księcia. Albo wieża ze skarbem piratów). Jesteś pijany. Zostaw mnie w spokoju. („LL”, dwa wysokie brązowe mury, przedzielone wąską przestrzenią, idealną na kryjówkę. Można się tam bezpiecznie schować w ciemności, tylko trudno byłoby wyjść z powrotem).

Mamá cofnęła się, wyprostowana, ze skrzyżowanymi ramionami. Była znacznie niższa od ojca.

Jak możesz? Jak możesz? Teraz, kiedy mamy za mało nawet najedzenie dla dzieci!

Forsa! („A” jest bardzo silne, to litera, która rządzi. „A”, góra, której wierzchołek jest przysypany śniegiem). Tylko o to ci chodzi, o forse.

Nie. — Mamá rozkrzyżowała ramiona. (Jakże strome i urwiste są zbocza „A”. Nie dałoby się po nich wspiąć. Kto je tak wyciosał?). — Chodzi o to, że nie jesteś z nami.

W ciszy (kwaśnej i lepkiej), która zapadła, a nawet potem, kiedy ojciec się wyładował, Eva nie spuszczała oka z wypełniających pokój kształtów: węża, wieży, dwóch murów i góry. S - 1 — LL — A.

Migotały tajemnicą słów sprowadzonych do swej esencji, do cząstek elementarnych, bez których nie byłoby ani nazw, ani opowieści. Eva wchodziła do wnętrza liter, mierzyła je, próbowała znaleźć ich środek ciężkości i ukrytą substancję, która nadawała im znaczenie. Nigdy jej nie znalazła, ale w dalszym ciągu wywoływała litery, one zaś pojawiały się na jej wezwanie, lej zimy odkryła, że istnieją miliony rzeczy posiadających nazwy (KSIAŻKA i BAZYLIA, NARZUTA i DRZWI, KOŚĆ



wołowa i LAMPA naftowa, i gryzące wełniane SKARPETY), więc będzie miała czym zappełnić przestrzeń między podłogą a sufitem.

Wiosną Eva usłyszała swoje imię przez drzwi do sypialni rodziców. Akurat wstała na siusiu i szła korytarzem. Było pół do trzeciej w nocy.

— Eva? — powiedziała matka tak głośno, że Eva przystanąła, jakby ją zawołano.

— Ciiiiicho, Pajarita. To dla jej dobra.

— Ignazio...

— Poczekaj chwilę, *mi amor*. Posłuchaj, proszę. Chciałaś, żebym szukał, to szukałem. Proszę, siadaj.

Przerwa. Szuranie. Po drugiej stronie drzwi Eva wbiła palce stóp w chodnik i nie ślizgała się dzięki jego gruzelkom. Stała oparta o ścianę i myślała, nie pierwszy już raz: ŚCIANA.

— *Bueno* — rzekła Mamá. — Słucham.

— Piętro wszystko mi wytłumaczył. Ta praca u niego najlepiej nadawałaby się dla kogoś młodszego. Jest wiosna: wkrótce znowu mogą mnie potrzebować w porcie. Sklep dobrze prosperuje, stać go na to, aby opłacać pracowników, więc dlaczego mamy z tego nie skorzystać? On wie, że jesteśmy w potrzebie.

Evie zupełnie zgrabiwały palce u nóg. Chciała siusiu. A jednak nie mogła zaszeleścić choćby rąbkami różowej koszuli nocnej (którą szyła Mamá).

— Ale dlaczego Eva? Ma tylko dziesięć lat.

— Pewnie dlatego, żeby chłopcy mogli dalej chodzić do szkoły.

— Eva też chodzi do szkoły.

— Tak. *Pero mi amor*. Marco może zostanie lekarzem. A Eva wyjdzie za mąż. Zastanów się. To może być dobra rzecz.

Cisza. Łydki Evy zrobiły się lodowate z tyłu. Ramiona też. Różowa nocna koszula nie była wystarczającym okryciem dla kogoś, kto stał w korytarzu, w którym nie powinien stać.

Pajarita — odezwał się Papi — ty znowu zaczynasz. Pomyśl, jaka to może być pomoc dla całej rodziny. Nie będzie tego robiła. A właśnie że będzie.

Nie zmusisz jej, Ignazio, ja ci nie pozwolę.

Znowu cisza.

Przynajmniej pozwól mi z nią porozmawiać.

Szelesty — i więcej żadnych słów. Skrzypnięcie sprężyn, li wie odechciało się siusiać. Podreptała na palcach z powrotem tło łóżka i zaczęła wypatrywać sufitu, który wisiał gdzieś w górze, w ciemnościach.

Nazajutrz, kiedy chłopcy byli na dworze, próbując grać w piłkę w nieśmiałym słońcu, Mamá zaś poszła do *carnicerii*, liva, która siedziała w kuchni przy dzieleniu ułamek, usłyszała, że Papá ją woła.

- ¿*Si, Papá?*

— Chodź tutaj.

W saloniku słońce oświetlało półkę na ścianie, fotografię w ramce na parapecie i włosy ojca, zupełnie jakby Pan Bóg zanurzył każdą z tych rzeczy w słoiku z pozłotą. Usiadłszy, liva przez chwilę rozkoszowała się wizją swojego Papi, wierzgającego z nogami do góry w olbrzymich palcach Boga, z czubkiem głowy zanurzonym w płynnym świetle.

— Wiesz, że bardzo cię kochamy — zaczął ojciec z uśmiechem, który był szczery, lecz nieco smutny. — Wiesz o tym, prawda?

- *Si, Papá.*

- Kiedy byłem w twoim wieku, umiałem już zbudować gondolę. A stół mogłem zrobić z zamkniętymi oczami.

Eva czekała.

Mój przyjaciel Piętro ma dla ciebie pracę w swoim sklepie z butami. To duża... jak by to powiedzieć... okazja. Coś takiego nie trafia się łatwo w Montevideo. Twoja matka uważa, że ty nie zechcesz tam pójść, ale ja myślę, że zechcesz. A wiesz dlaczego? — Chwila ciszy. — Dlatego że z ciebie jest mądra

dziewczynka. Wiesz, że uczyć się można w różnych miejscach, nie tylko w szkole. Pomyśl, ile nauczysz się w pracy. — Położył rękę na jej ręce. — Ale to nie jest główny powód. Wiesz, jaki jest główny powód?

Eva pokręciła głową. Nie wiedziała.

— Kochasz swoją rodzinę. I chcesz jej pomóc. No bo chcesz, prawda?

— Si.

— Ano właśnie! Wszyscy chcemy. A ty teraz masz okazję to zrobić.

— Na czole ojca perlily się kropelki potu. — To oczywiście zależy od ciebie.

Eva patrzyła na fotografię na parapecie. Przedstawiała rodziców — młodych, dopiero co po ślubie, od niedawna w mieście, ustawionych obok siebie na gładkim tle. Ojciec miał trochę krzywy uśmiech, jasna twarz matki pozostała poważna. Zdjęcie pochodziło z czasów, kiedy nawet jej braci nie było na świecie. Mamá wstawiła je w ramkę, gdy Papi pierwszy raz wrócił do domu (mgliście przypominała sobie, jak zmoczony deszczem pan z kwiatami zjawił się w domu i powiedział, że on to Papi). Długo nie mogła znieść tej fotografii, bo przypominała jej o dziwnym fakcie, że kiedyś nie było jej na świecie.

— Czy będę musiała zostawić szkołę?

Papá kiwnął głową. Eva ponownie spojrzała na fotografię. Miała ochotę ją podeptać albo spalić, albo owinać w jedwabną chusteczkę i ukryć w czarodziejskiej wieży z kamienia, gdzie leżałaby schowana przed światem. Ojciec — ten prawdziwy, nie ten za szkiełkiem — przeciągnął dłonią po siwiejących włosach. Światło przygasło, słońce nie oświetlało już jego głowy.

— Pójdę... — powiedziała.

— To bardzo... — przerwał jej ojciec.

— ...jeżeli przysięgniesz, że przestaniesz pić.

— Co?

— Tylko jeżeli przestaniesz pić.

Rozejrzył się po pokoju, jakby go widział pierwszy raz.

Czy ty wiesz, o co prosisz? A ty wiesz?

Oczy i usta ojca otworzyły się szerzej. Jego wargi formowały słowa, których nie wypowiadał. W końcu zacisnął je, a potem otworzył. Parsknął.

*Carajo*, jesteś całkiem jak twoja matka. — Pokręcił głową. — *La puta madre*.

Milczeli przez kilka minut, które dłużyły się jak godziny. Ojciec spojrział w okno. Ostatecznie odwrócił się do Evy i wyciągnął rękę. Wzdrygnęła się, lecz on tylko potargał jej włosy swoją ciepłą dłonią, szorstką po latach pracy w porcie. Przytuliła się do niego.

Dobrze — obiecał.

Przysięgasz?

Czuła przez ubranie, jak mocno pulsuje w nim krew. Tak.

Tej nocy Eva długo rozmyślała w łóżku. Miała przed oczami obraz matki, która do późnego wieczora stoi nad dymiącymi garnkami i udaje, że wcale nie czeka na męża. Miała przed oczami obraz *señority* Perrillo, jej ostre rysy, skromny koczek, u także dzień, w którym nauczycielka zabrała całą klasę na wycieczkę nad brzeg rzeki; zdawało się, że woda włożyła pogniecioną brązową suknię. Na przyszły miesiąc zaplanowano kolejną wycieczkę, ale jej już nie będzie wśród dzieci. *Cierre. Cielo. Cerrado. Siempre. Zamek. Niebo. Zamknięty. Zawsze.*

Wstała cichutko, aby nie obudzić Tomasa. Wzięła świecę z salonu, zamknęła się w łazience, zapaliła zapałkę i otworzyła sama przed sobą serce, przyjrzała się swoim uczuciom. Napisała: *Jutro koniec szkoły*. Słowa ześlizgiwały się po jej piórze, zanim zdołała je pomyśleć, rozpoznać, zorientować się, skąd pochodzą. *Chcę chłonąć życie*. Pióro biegło po kartce coraz szybciej. Ręka ledwie mogła za nim nadążyć. *Chcę się go mocno uchwycić. Chcę się go mocno uchwycić*. Koniec. W zdziwieniu przesunęła dłonią po stronie. Poczowała coś gładkiego, pełnego, jak szklanka wypełniona wodą. Sama naląła tutaj tej

wody. Zrobiło się jej lżej na sercu. Będzie dobrze, ma przecież to coś — czy to wiersz? czy można to tak nazwać? — ma paciorki słów, które będzie powtarzać w głowie i starannie ukrywać w szufladach.

• • •

Wyruszyła do Ciudad Vieja. Mijała po drodze dumne, stare budynki, ich hiszpańskie balkony i rzeźbione kamienie aż ciężkie od historii. Przystanęła naprzeciw sklepu z cygarami Cabana i wciągnęła w nozdrza zapach starego miasta, w którym dominowały spaliny samochodów i oleju do smażenia. Na ulicach panował ruch i gwar; tramwaje elektryczne skrzypiały, sunąc wzdłuż zawieszonych wysoko przewodów; mężczyźni nawoływali się wzajemnie i unosili palce do kapeluszy w geście powitania; wielkie budowle stały niewzruszenie, jakby pełniły straż nad głównymi arteriami miasta.

Sklep z butami przycupnął w wąskiej uliczce nieopodal La Plaza de Zabala, na parterze trzypiętrowej kamienicy, na której dachu siedziało mnóstwo kamiennych amorków. Eva niepewnie nacisnęła klamkę i znalazła się w pomieszczeniu pełnym stojaków z butami. Powietrze było przesycone zapachem skór — czarnych, czerwonych, brązowych, kremowych, beżowych. Napis na tabliczce w pobliżu kasy głosił: „Tylko najlepsze urugwajskie skóry, tylko najlepsze włoskie wzory”. Z niewidocznego gramofonu płynęły zgrzytliwe dźwięki tanga.

Zza stojaków wynurzył się Piętro z dwiema parami trzewików.

— Eva, witaj! — Ucałował ją pospiesznie (pachniał miętą) na powitanie. — Właśnie robię porządek po ostatnim kliencie. Rozgość się.

Usiadła w pluszowym fotelu przy oknie i poczekała, aż Piętro powkłada buty do pudełek. Był wysoki i miał przyjemny uśmiech. Fałszywie pogwizdywał pod nosem tango. Eva trochę się uspokoiła. Niewiele wiedziała o tym panu, oprócz tego, że ma żonę i trzy córki, a ojciec wyraża się o nim z niezmiennym

szacunkiem („To dobry człowiek — powiedział wczoraj przy kolacji — *bueno, pero bueno*”), bo to jego najstarszy przyjaciel, poznany na parowcu, który przywiózł go z Włoch. Wyobraziła sobie, jak Papá i Piętro stoją na pokładzie, trzymając się relingu. Śmieją się, a ich peleryny łopoczą na atlantyckim wietrze, co nadaje im obu wygląd dzielnych bohaterów z książek rysunkowych o Jankech, które tak lubią jej bracia.

- *Bueno*. — Piętro wrócił do niej. — A teraz pokażę ci sklep.

Tego popołudnia Eva zdobyła podstawowe wiadomości o sklepie: przyjrzała się stojakom z butami stojącymi karnie jak żołnierze w szeregu (trzewiki, mokasyny ze sprzączką, sznurowane półbuty, czółenka na cienkich obcasach), obejrzała wyściełane krzesła, na których klienci siadali do przymierzania (kiedy schylała się, aby wsunąć but na nogę eleganckiej klientki, jej włosy ocierały się o rąbek sukni takiej damy), poznała magazyn z jednym wąskim przejściem i niezliczonymi półkami na pudełka, oświetlony przez dwie gołe żarówki. Pracy było mnóstwo. Czyjeś stopy czekały na to, aby je obsłużyć, a ludzie przypisani do tych stóp zasypywali ją mnóstwem pytań. Stopy pudełek czekały na to, aby je posortować i ułożyć w magazynie, przy czym trzeba było wspinać się na drabinę (wysoko, tak jakby się stało na stole, co w domu było absolutnie zakazane). Pod koniec dnia należało zamieść podłogę, w czasie gdy Piętro rozkładał rachunki w pokoju na zapleczu, podliczał utarg i przy włączonym gramofonie sączył mate.

- Jak ci się podobał ten pierwszy dzień? — spytał.

- Bardzo, *señor*, dziękuję.

Możesz mówić do mnie Piętro. Będzie nam się dobrze pracowało, jak sądzę. Wyglądasz mi na rezolutną dziewczynę. - Obrócił się w stronę gramofonu. — Lubisz tango? Potaknęła.

A umiesz tańczyć? I'okręciła przecząco głową.

— Mogę cię nauczyć. Jutro, po zamknięciu. Chciałabyś? Eva, zajęta zmiataniem, nie oderwała oczu od szczotki, ale znowu potaknęła.

Przez całą kolację tego wieczoru Gak było w pracy? — dobrze, mamó) i podczas śniadania nazajutrz (nie zapomnij sweterka — nie, mamó) rozmyślała o tangu z jego nieco brutalnym urokiem. Kiedy przechodziła przez Parque Rodó przy Avenida San Salvador, usłyszała melodię płynącą z gramofonu i przystanąła, by posłuchać. Carlos Gardel, król tanga, śpiewał głosem, który przyprawił Evę o gęsią skórkę. Dźwięk dochodził zza drzwi pomalowanych na krwistoczerwony kolor. Obok wisiała przytwierdzona do kamiennego muru mosiężna tabliczka z napisem La Diablita. Eva przesunęła palcami po literach. Tío Artigas wspominał jej o tym modnym miejscu zebrań artystów i miejscowej elity. Ci ludzie przesiadywali tu godzinami, śmiali się, mówili mądre rzeczy, rozkoszowali się włoskim makaronem, poezją i winem i słuchali muzyki w oparach gryzącego dymu z papierosów. „Wyglądasz mi na rezolutną dziewczynę”. Głos Gardela zamienił się w żalną skargę. Powietrze nagle stało się chłodne i przejrzyste. Eva pomyślała, że gdyby tak mogła stać się niewidzialna, weszłaby do kawiarni i rozpułyłaby się w dymie i w tej tęsknej muzyce.

Piętro dotrzymał obietnicy. Nastawił głośniejsz gramofon i zatańczył, trzymając w ramionach wyimaginowaną partnerkę.

— Gotowa? — zapytał i klasnął w dłonie.

Zaczęli kręcić się po pomieszczeniu. Nogi Ewy podążały za jego zdecydowanymi krokami, rytmicznie skandowanym „pam, pam, pam, pam” oraz instrukcjami. Na kolejnych muzycznych wirażach przyciągał ją bliżej, nie jak dziewczynkę, ale jak damę, dorosłą, piękną, żywiołową, pełną gracji. Piosenka się skończyła. Stanęli zadyszani. Na koszuli Pietra znać było ciemne ślady potu. Eva odsunęła się od niego. — Masz wrodzony talent — stwierdził. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nagle powietrze zrobiło się dziwnie gęste i migotliwe.

Myślisz o rodzicach? Że nie pochwalaliby tego? Kiwnęła głową.

Ale tobie to się podoba? Spuściła wzrok na swoje niezgrabne buty, obuwie uczennicy, nic damy.

Tak.

Milczał, ona zaś myślała o tym, że napyta sobie kłopotów, bo Papá zaraz zmarszczy brwi, a Mamá najpierw posłucha, a potem pokręci głową i będzie koniec z tangiem, koniec / wirażami i z migotaniem.

Nie martw się. Nic im nie powiem. — Piętro wzruszył ramionami.

I nie powiedział. Lekcje, które odbywały się po kilka razy w tygodniu, obejmowały skomplikowane kombinacje kroków, obroty i przechylenia tak głębokie, że widziała pokój do góry nogami. Ciało Pietra dawało jej znak, kiedy będzie obrót, a kiedy *nclio*, czy poprowadzi ją w lewo, czy w prawo, w przód czy w tył. W tańcu Eva stawała się kimś więcej niż tylko sobą, rosła, była większa niż życie, upodobniała się do tych kobiet / plakatów w witrynach teatrów, które melancholijnie tkwią w objęciach bohaterów. Czowała przy tym trudny do określenia ból - coś w rodzaju gorącej, przesywającej aż do kości tęsknoty, która rozlewała się po całym jej ciele, i jednocześnie chciała się z niego wyrwać. To było porywające i straszne, taniec czynił ją też odrobinę podobną do eleganckich klientek sklepu Pietra, które wsuwały stopy w mięciutkie czółenka i chętnie przeglądały się w lustrze, a ich uniesione przez wysoki obcas kostki wyglądały tak zgrabnie — bo przecież te panie mc spędzały całych dni przy zlewie kuchennym ani na twardym stołku w sklepie rzeźnickim. Co dziś robiłaś w pracy?

To co zwykle. Zrobiłam porządek na półkach, sprzedałam kilka par, pozamiatałam.

Mamie wyraźnie cisnęły się na usta jeszcze inne pytania, ||C ich nie zadała. Ojciec mrugnął do niej porozumiewawczo.



Siedzieli przy stole, a on pił tylko wodę. Eva spuściła oczy na talerz i zagłębiła nóż w mięsie.

Nastał grudzień. Półki wypełniły się letnimi pantoflami. Eva skończyła jedenaście lat. Z tej okazji w domu były tort ze świeczkami, piosenki i życzenia i jeszcze zielona sukienka uszyta przez mamę. Następnego dnia Piętro zaproponował, żeby zapaliła z nim papierosa.

— Nie mów, że nigdy nie miałaś ochoty spróbować. — Dymiący papieros podskakiwał w jego ustach przy każdym słowie. Piętro wyglądał jak starzejący się marynarz, wysmagany przez wiatry mórz i oceanów. Uniósł brwi.

Eva z wahaniem sięgnęła po papierosa, którego jej podał. Włożyła go do ust, a Piętro przechylił się przez biurko i podał jej ogień.

— Zaciągnij się.

Zaciągnęła się. Gorzki, gęsty dym wypełnił jej płuca. Zaczęła kaszleć.

— Za mocny? Pokręciła głową.

— Z ciebie jest jeszcze młoda dziewczyna, no nie?

Przez chwilę palili razem, a dym wznosił się znad rozżarzonych pomarańczowych końcówek i układał w esy-floresy. Zrobiłam to, pomyślała. Umiem palić. Gramofon zaczął nową piosenkę, *Caminito*, pełną przeciągłych, żarliwych westchnień. Piętro puścił ją głośniej, zgasił papierosa, a także odebrał i zgasił papierosa Ewy. *Caminito que el tiempo ha borrado, Que juntos un día nos viste pasar* — jedną ręką chwycił ją za dłoń, drugą otoczył jej plecy i popłynęli dookoła sklepu. Trzymał ją blisko, sterował po niewielkim pomieszczeniu, przyciskając mocno — *una sombra ya pronto serás*. Było gorąco, pudełka wirowały razem z nią — *una sombra lo mismo que yo* — znowu taniec stał się potężny, przerastał ją. Głos piosenkarza, obroty, ostra woda kolońska, kwaśny zapach i wilgoć potu — wszystko zlało się w jedno w rytmicznym pulsowaniu i zmierzało do jakiegoś obezwładniającego finału, kiedy nagle Piętro wraził w nią swe

palce, zatrzymał się, przyciągnął do siebie tak blisko, jak tylko mógł — *yo atu lado quisiera caer* — poczuła coś twardego — *y que el tiempo nos mate a los dos* — i piosenka się skończyła. Piętro nadal trzymał Ewę w żelaznym uścisku. Próbowwała się wysunąć, lecz on dziwnie jęknął i przyciągnął ją jeszcze bliżej, i jeszcze, i znowu jęknął — aż w końcu puścił. Zrobiła krok do tyłu. Nie patrzyła na niego. Oddychał chrapliwie, lecz następne tango zagłuszyło jego oddech. Eva, która nadal nie podnosiła oczu, usłyszała, że podszedł do biurka i zapalił następnego papierosa.

Stałaś się niezłą tancerką.

Huty. Wlepiała wzrok w swoje buty. - Idź do domu.

Eva minęła rzędy pudełek, otworzyła drzwi i wyszła na balsamiczne letnie powietrze. Zmierzch dopiero zaczynał rozmiękczać kontury budynków. Gdzieś niedaleko zaskrzypiał niewidoczny tramwaj, za to tuż obok przemknął na rowerze jakiś chłopiec, tak blisko, że omal jej nie potrafił. Wciągnęła w nozdrza mocny, mięsny zapach pieczeni dochodzący z balkonu na górnym piętrze. Żołądek się jej ścisnął. Zanim skręciła za róg, obejrzała się jeszcze na sklep z jego błyszczącymi witrynami i mosiężną kołatką, a potem podniosła głowę w stronę dachu, gdzie kamienne putta grały na trąbkach wśród gołębi. Jedne się uśmiechały, inne kierowały oczy ku niebu w niemej prośbie. Rozpacz jednego z nich wydawała się szczególnie wielka. Najchętniej wzniosłaby się na jego wysokość, a może i jeszcze wyżej, tak by zupełnie zniknąć wśród chmur.

Oj, dzieci, dzieci — westchnął Artigas. — Rośnecie jak na drożdżach. Kiedy w końcu przestaniecie?

Eva wzięła go za rękę i kołysała nią w rytm kroków. Jej buty stukały o gorące płyty La Rambli. Otaczała ją rodzina: Artigas z jednej strony, Xhana z drugiej, a kilka metrów z przodu cała reszta — Mami, Papi, Brunomarcotomás i sympatia Bruna.

Z lewej szeroka La Plata toczyła leniwie swe wody. Tysiące drobinek światła skrzyły się na powierzchni, jakby rzeka postanowiła w dzień Nowego Roku przywdziać odświętną suknię z cekinami.

— Ale muszę przyznać, że wygląda na szczęśliwego — dodał Artigas.

Miał na myśli Bruna, który szedł pod ramię z Mirną, prześliczną dziewczyną z burzą wspaniałych włosów. Szli, nachyliwszy ku sobie głowy, jakby nasłuchiwali jakiejś wróżki, która szeptała im do ucha (albo bzyczenia muchy). Bruno skończył szkołę średnią i oficjalnie uderzył w konkury. Był mężczyzną. Obok ojciec otoczył ramieniem matkę, a ona wsparła się na nim. Z przodu Marco i Tomás szli w sposób, który wskazywał na to, że spierają się o piłkę nożną: zwawo i zdecydowanie. Marco zalał matę ciepłą wodą z termosu i puścił w obieg tykwę z lekceważącym przechyleniem głowy. Inne rodziny spacerowały tak jak oni. Chmara dzieci zbiegała właśnie po schodkach na piaszczystą plażę, kobieta w żałobie, wsparta na ramieniu syna, słuchała z przejęciem plotek, które opowiadała jej przyjaciółka, jakaś para usiadła na ławce, odwinęła z papieru *empanadas* i zaczęła zajadać je ze smakiem. Montevideo zwabiło tłumy mieszkańców na brzeg rzeki.

Artigas był tego dnia w refleksyjnym nastroju, skłonny do wynurzeń.

— W Nowy Rok zawsze myślę o waszej matce. Wiecie, że jest dzieckiem cudu.

Xhana przewróciła oczami, tak by zobaczyła to Eva.

— Dziękuję ci bardzo, moja córko, za szacunek do ojca. Przyłapaną na gorącym uczynku Xhana zachichotała.

— A nie mówiłem?

Eva odwzajemniła porozumiewawczy uścisk dłoni kuzynki, chociaż lubiła, kiedy wuj przywoływał tę historię, pulsującą tętnem rodzinnego życia („Nasza matka nazywała się La Roja i wszystko zaczęło się, kiedy umarła” — zawsze zaczynał w ten sposób). Od tygodni nie czuła takiego spokoju jak na

tym spacerze. Lekcje tanga się skończyły — tamta w dzień po jej urodzinach była ostatnia. Kiedy wracała do niej myślą, czuła się tak, jakby od stóp do głów oblewała ją gorąca smoła, a ona znikwała pod tą czarną powłoką. Z przodu Papi obrócił głowę, żeby coś powiedzieć, na co Mami zareagowała śmiechem. Jej ramiona wygięły się w łuk, warkocze zatańczyły wokół bioder. Tych dwoje miało zwyczaj odbywać ten spacer jeszcze w tamtych dziwnych czasach, kiedy Ewy nie było na świecie. Mówili, że wraz z upływem lat miasto znacznie się zmieniło. Trotuar La Rambli przykrył poszarpane skałki, a przy drodze od północnej strony wystrzeliły w górę budynki. Dla Ewy to miejsce zawsze wyglądało właśnie tak — były tu trotuar i zabudowania. Tylko woda, odwieczna i trwała, zapewne pozostała taka sama jak przed laty. Nieustannie oczyszczała, obmywała i nawet zabijała, tak jak zabiła ten stary rok, który właśnie zatonął w nurcie. Eva wyobraziła go sobie jako zwierzęcy zewłok niesiony przez wodę. Skoro fale rzeki potrafią nawet oczyścić czas, to może zabiorą, rozpuszczą i pochłoną także jej grzechy.

W styczniu robiła wszystko, żeby być wzorową pracownicą. Każdy bucik stał równo na drewnianym stojaku. Nadskakiwała każdemu klientowi. Po zamknięciu woda w czajniku gotowała się dokładnie w chwili, kiedy Piętro zaczynał mieć ochotę na mate. Żadnych tańców. Przez jakiś czas ten system funkcjonował. Piętro nie puszczał więcej tang, sprzedawał buty, uśmiechał się i nucił, kiedy skręcał papierosa. Przyszedł luty. Ulice wypełniły się uczestnikami karnawału: *murgas* w jaskrawych strojach i makijażu clownów, którzy na całe gardło śpiewali ballady wychwalające jednych polityków, a drwiące z innych, *comparsas*, którzy grali na sześćdziesięciu bębnach jednocześnie, i *latigueros*, którzy tego lata pokazali się pierwszy raz od śmierci Cariosa Gardela i obnosili się ze swoim teatralnym żalem. Muzyka wstrząsała miastem i przenikała je na wskroś.

Evo — zwrócił się do niej Piętro, stając za jej plecami przy oknie. — Podobają ci się?

Trzymał w ręku parę czerwonych pantofli na obcasie, wysokich, zgrabnych, najdroższych w całym sklepie. W zeszłym tygodniu pewna wytworna dama kupiła trzy takie pary: dwie dla siebie i jedną dla córki.

— Tak.

Zrobił ruch, aby je od niego wzięła.

— Nie, nie...

— Weź je. To za twoją ciężką pracę. Pokręciła głową.

Westchnął jak cierpliwy człowiek, który tłumaczy coś komuś, kto niczego nie rozumie.

— Nie możesz dłużej nosić tych butów dobrych dla uczennicy, bo to niedobre dla handlu. Powinniśmy reklamować nasze wyroby. — Uśmiechnął się. — Przecież zależy ci na pracy, prawda?

Potaknęła, on zaś ponownie wyciągnął w jej stronę czerwone pantofle. Przyjęła je od niego z ociąganiem.

— No, bardzo dobrze. — Zdawał się szczerze zadowolony, jak dziecko, które zasłużyło na nagrodę. — A teraz je załóż.

Założyła je.

— Przejdź się.

Zaczęła chodzić tam i z powrotem na chwiejnych nogach, nieprzyzwyczajaj ona do obcasów. Buty były miękkie, ale niestety wysokie. Z ulicy dochodziły męskie głosy śpiewające smętną murgę.

Piętro przechylił się na krześle i zapalił papierosa. Błyszczącymi oczami patrzył na kostki Ewy.

— Dalej, chodź.

Ewa chodziła dalej. Nogi jej drżały, ale się nie potknęła.

— Dobrze — powiedział miękko. — Bardzo dobrze. Wprawiaj się codziennie, a już niedługo będziesz się poruszać jak prawdziwa dama.

Mijały tygodnie. Ewę bolały nogi, ale doskwierał jej też inny ból, nieokreślony, trudny do nazwania, który pojawiał się, gdy Piętro patrzył na nią, a także wtedy, gdy leżała już w łóżku, niespokojna i ciągle jakby lepka od jego spojrzeń. Zalewało ją

gorąco, czuła strach, głód i obrzydzenie. Nie potrafiła tego /rozumieć, miała więc ochotę uciec, zniknąć, włożyć siedmiomilowe buty i pójść w nieznane, tam gdzie nikt by jej nie znalazł. Tak byłoby najlepiej — zniknąć z horyzontu, schować się przed wszystkimi. Nadawałyby się do tego właśnie buty z cholewami, które zakrywają kostkę i łydki, mocne, na grubych podszewkach, solidnie wyprawione, niezniszczalne. Mijały mijały. Pracowała. Usuwała się z widoku. Wsuwała się w ciemne wnętrza każdego buta przymierzanego przez klientów, wciskała się w skórzaną kryjówkę, och, gdyby tak zmieścić się w obcasie, lo dopiero byłby schowek, och, być dziewczynką, która potrafi się skurczyć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Jak było dzisiaj w pracy, Evo? Bardzo dobrze, mamo.

W maju przyszła dostawa butów zimowych. Ich długie korpusy leżały w magazynie jak zestrzelone ptaki. Eva, klęcząc na podłodze, układała je parami. W pewnym momencie przyszedł Piętro i pogłaskał ją po karku. Eva od razu wyobraziła sobie, że znajduje schronienie w bezpiecznej cholewce brązowego damskiego botka. - Chodź tutaj. Poczekaj. Muszę iść do łazienki.

Nie teraz — powiedział chrapliwym głosem, który brzmiał zupełnie jak nie jego. Pchnąwszy stertę butów, chwycił rąbek jej spódnicy, wsunął dłonie pod spód i zaczął nimi błądzić po jej udach. Broniła się, on zaś przyciskał ją coraz mocniej, trzymał jedną ręką za włosy, drugą zaś szarpnął jej figi i wcisnął w jej ciało. Jego piekący, bolesny dotyk rozrywał ją na kawałki. — Zamknij się, *puta* — chrypiał obcy głos, podczas gdy ona leciała w przepaść.

Szarpnęła się, co go na chwilę zdezorientowało, a wtedy wysunęła się spod niego, zrobiła kilka kroków na czworakach, szybko wstała, dopadła do drzwi i uciekła od głosu, który wolał, by wróciła. Biegła, chociaż uczono ją, że dziewczynki powinny spokojnie chodzić po ulicy, zrzuciła wysokie obcasy i pędziła dalej gołymi stopami po bruku, bez tchu, z uczuciem

piekającej rany między nogami, mijając wozy konne i wyglansowane samochody, nie zważając na zdziwione spojrzenia przechodniów, aż w końcu padła bez tchu przed matką. Ta uniosła brwi, odłożyła trzymaną w rękę łyżkę i nachyliła się nad nią. Eva przytuliła się do jej ciepłego ciała i zupełnie się jej poddała.

Leżała w łóżku i czuła ręce matki, które splatały jej włosy w warkocze, za to od piersi w dół nie czuła zupełnie nic. Ojciec stał w drzwiach z dziwną miną, trochę na zewnątrz, a trochę w środku, jakby powstrzymywały go niewidzialne więzy i jakby się bał, że w każdej chwili może go stąd wyrzucić podmuch wiatru. Przyglądał się jej, błądzący jak ściana.

— Co ty narobiłaś?

Powinna mu odpowiedzieć, chciała mu odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

— Ignazio — poprosiła Mami — daj nam trochę czasu. Zawahał się.

— Potrzebujemy trochę czasu, Ignazio. Zostaw nas same. Wyszedł.

— *Mijita*. — Mamá wyglądała na znużoną, ale Eva, która szukała na jej twarzy gniewu, nie znalazła go. — Powiedz mi, co się stało.

— Czy... czy rozmawiałaś z Piętem?

— Twój Papi rozmawiał.

— I co powiedział?

— Że flirtowałaś z klientami i ukradłaś parę butów.

— To nieprawda!

— *Bueno*. Co się stało?

Eva przyglądała się szczupłej i szczerzej twarzy matki, okolonej przez dwa grube warkocze. Nie widziała ich końcówek, ale wiedziała, że są ciemne i długie i że opadają z tyłu na jej plecy. Ze wszystkich rzeczy, które wiedziała o świecie, pewne były tylko te dwa czarne warkocze. Nie mogła ryzykować ich utraty. Niczego nie pragnęła bardziej, niż wyznać prawdę, ale nie mogła tego zrobić. Prawda była gorsza niż wersja Pietra: prawda to było tango po godzinach otwarcia i bliskie, zakazane

ruchy, jeden wypalony papieros, jej obecność, która sprawiła, że przyciskał ją do siebie i jęczał, w końcu czerwone buty na obcasach, które przyjęła i codziennie nosiła w sklepie, a także to przerażające uczucie gorąca w ciele. Wyobraziła sobie, że wypowiada to wszystko na głos. W jej życiu powstał odrażający rozdział, a ona jest zepsutą, zdeprawowaną dziewczyną, która popełniła niewyobrażalną, niewiarygodnie potworną zbrodnię. I llr./ykanie jej w tajemnicy to jedyny sposób na to, aby pozostać tak blisko matki, jej warkoczy i jasnej twarzy. Stracić Mami byłoby czymś gorszym niż stracić Pana Boga. Milczała.

Evita?

Nic.

*Hija...*

Mami, ja nie czuję nóg. Nie mogę nimi ruszyć, co mi się stało?

Jej nogi zniknęły lub raczej to ona z nich zniknęła. Były puste, niezamieszkane, niedosiężne jak lodowce na krańcach kontynentu. Kiedy Mami delikatnie ją szturchała, kiedy słońce zachodziło na odległym niebie albo noc zalewała jej pokój ciemnością, Eva wsłuchiwała się w to, co działo się w jej ciele od brzucha w dół — i nie czuła zupełnie nic. Ani bólu, ani ciepła, ani najlżejszego ruchu. Zasypiała i śniło się jej, że ma tylko głowę, ramiona i tors i wsparta na rękach sunie po korytarzu.

Nazajutrz wezwano doktora Zeballosa. Ze swoim wystającym brzuchem i jowialnością zawsze kojarzył się jej ze Świętym Mikołajem.

Nic jej nie dolega, jak mi się wydaje. Niewytłumaczalny paraliż. Francuzi nazywają to syndromem buntu.

Nie było lekarstwa na taką przypadłość. Eva leżała, a Mamá [i] pielęgnowała, przynosiła posiłki, zmieniała prześcieradło i trzymała ojca na odległość. Trzeciego dnia przyszedł z wizytą Piętro. Kiedy Eva ujrzała jego szeroko uśmiechniętą twarz nad bukietem różowych goździków, górną połowę jej ciała, która zachowała czucie, oblał jakby płynny krzyk.



— Evita, martwiłem się o ciebie. Patrz, przyniosłem goździki, twoje ulubione kwiatki, prawda? — zawiesił głos, czekając na odpowiedź, której się nie doczekał. — Dam ci jeszcze jedną szansę.

— Jesteś zbyt wielkoduszny wobec nas, Piętro — powiedział ojciec stojący sztywno pod ścianą jak żołnierz.

— *Por favor*, Gondola, przecież przyjaźnimy się nie od wczoraj, prawda? Myślisz, że mógłbym o tym zapomnieć? — Eva patrzyła na rzadką szczecinę pokrywającą jego brodę, raczej siwą niż czarną. — Twoja córka jest młoda, jeszcze może się czegoś nauczyć. Będę czekał. — Piętro omiółł wzrokiem pokój, rejestrując ręcznie robione narzuty, postrzępiony abażur, postać zmartwionej matki w drzwiach, po czym znowu zwrócił się do Evy: — Ach, przyniosłem ci buty. Nie przejmuj się tymi, które ukradłaś. — Uśmiechnął się miło, odsłaniając bladożółte zęby: — W końcu mam pełno butów.

Tej nocy Eva nie spała. Bardzo pragnęła, aby można było zapędzić z powrotem bezwzględną rzekę czasu tam, skąd przy płynęła, aby nigdy nie stało się to, co się stało. Księżyc rzucał na parapet blade światło, które wyglądało jak rozlane mleko. Nie ma prawa przebywać w tym pokoju, bo tu panoszą się różowe goździki, których poszarpane płatki rzucają na ścianę cienie w kształcie krokodyli. Ach, krokodyle — tysiąc lat temu kapitan Andres i ona tak dzielnie z nimi walczyli. To było w czasach, kiedy wierzyła w bajki i kiedy nie mieli z Andresem tylu zajęć — on nie chodził do szkoły, ona nie pracowała. Teraz prawie się nie widują, a nawet jeśli się spotkają, ona zaraz odchodzi, bo o czym miałyby rozmawiać z dawnym towarzyszem zabaw? Nie chce odpowiadać na jego pytania o to, gdzie się podziewa, jak spędza całe dni. Kiedyś zabijali razem krokodyle, ale to zdarzyło się w innej epoce, w której nie było księżycy rozlanego na parapecie, cieni goździków, zepsutej dziewczynki i tego palącego miejsca (twojawinatwojawinatwojawina) w środku. Wtedy nie miała uczucia, że czegoś jej brakuje — nóg, światła, słów w gardle, a teraz to uczucie rozlewa się wszędzie jak lepka maź i wszystko pochłania.

Mamá wydała wojnę temu poczuciu braku i nieobecności. Każdego ranka, a także o trzeciej po południu i wieczorem, kiedy już pozmywała naczynia, parzyła dla niej gorzkie ziółka, klórc postawiłyby na nogi nawet umarłego. Powoli, na siłę, leczyły ją od środka. Mamá pilnowała, aby napar został wypity co do kropelki, i pytała: „O czym myślisz? O czym teraz myślisz, powiedz mi”, ale nawet kiedy brak i nieobecność nie doskwierały już Evie tak bardzo, zaraz spod spodu wyzierała twojawinatwojawinatwojawina, na którą nie było lekarstwa. Muchała parą, wyciągała macki i chciała ją wciągnąć. Eva nie mogła sobie pozwolić choćby na chwilę nieuwagi. Chowala się do butów, które stały na podłodze pod szafą. Matka obserwowała, jak pije ziółka, tymczasem ona leżała zwinięta w kłębek w bucie. To samo robiła, kiedy ojciec wsadził głowę przez drzwi, tylko na chwilę, jakby miała chorobę zakaźną, która przeszłaby na niego, gdyby nie zachował bezpiecznej odległości. Wciskała się w te buty także wtedy, kiedy bracia udzielali jej pouczeń — Bruno o tym, jak należy zachowywać się wobec mężczyzn, Tomás o tym, jak nie martwić taty, a Marco o tym, że kradzież jest rzeczą niemoralną. Nikt nie mógł jej dotknąć ani zranić, nieobecność czyniła ją niewidoczną dla wszystkich. Nie całkowicie jednak: herbatki Mami (a także jej zatroskane spojrzenia i delikatne masaże) odniosły zwycięstwo nad nogami. Po dwóch tygodniach Eva mogła znowu ruszać palcami, po trzech mogła wstać, a po czterech chodzić — a wtedy nie miała już wymówki, by nie iść do pracy.

Kiedy tylko wróciła, Piętro na powitanie pokazał gestem magazyn. Po zamknięciu już się przed nim nie broniła.

Mijały dni. Tygodnie. Eva poznała wnętrza tysięcy butów. Nauczyła się uciekać od chwili obecnej jak ślimak, który wychodzi ze skorupki. Zwijała się w kłębek w jaskiniach ze skóry i starała się nie myśleć o tej części jej samej, która została w rzeczywistym świecie, wydana na powolne umieranie. Cza-

sami przychodziło jej to łatwiej, a czasami trudniej. W nocy śniło się jej, że wpada w czarną otchłań, rozdarta na pół przez wysoki obcas olbrzymiego buta. Niedziele stały się dla niej katorgą, bo wiązały się z odwiedzeniem konfesjonału. Musiała klękać i wymyślać drobne grzeszki, tak jakby była normalną dziewczynką o normalnej duszy i normalnych problemach. Ukrywanie prawdy i przyjmowanie ciała Chrystusa na pewno było śmiertelnym grzechem, ale Padre Robles zadawał jej kiedyś surową pokutę nawet za to, że myślała o niebieskich migdałach w czasie lekcji albo zjadła nienależną jej porcję ciasta urodzinowego. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co nakazałby jej teraz. Poza tym La Viuda powiedziała kiedyś w sklepie u rzeźnika, że Bóg i tak wszystko widzi. Jeżeli więc ktoś może wytrzymać prawdę, to właśnie jeden Bóg.

Na pewno zechce pomóc, bo przecież kocha jej matkę i nie dopuści do tego, aby nadal patrzyła na nią tak, jak teraz — poważnie i pytająco, jakby próbowała przebić się spojrzeniem przez zasłony rozciągnięte przez córkę, więc pewnie w końcu to się jej uda i odkryje schowaną za tymi zasłonami zgniliznę. Mamá nie dała jeszcze za wygraną, toteż byłoby znacznie lepiej, gdyby Eva, zanim pozwoli matce zwyciężyć, zanim się załamie i wszystko jej wyzna, odprawiła pokutę i oczyściła się przynajmniej troszeczkę, przynajmniej w oczach Boga, gdziekolwiek On jest.

Zwlekała przez dwa miesiące. W końcu zdecydowała się na wtorek, aby mieć cały kościół dla siebie. Było szare popołudnie. Pod kolanami czuła chłodne płytki, którymi wyłożone były stopnie konfesjonału.

— Ojcze, zgrzeszyłam.

— Wysławiajmy Pana — odparł mechanicznie Padre Robles przez kratki. — Wyznaj swoje grzechy, dziecko.

— Chodzi o mężczyznę, u którego pracuję. On... robi różne rzeczy. Myślę, że to przeze mnie się zaczęło.

— Jakie rzeczy?

— Dotyka mnie. I każe się dotykać.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

To bardzo poważna sprawa — odezwał się w końcu Padre Robles. — Musisz mi powiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. Pan Bóg musi usłyszeć wszystkie szczegóły.

I Jsta Evy się zacisnęły, ale zmusiła je, aby się otwarły. Wylała z siebie całą swoją historię — każde słowo i każde dotknięcie, a ksiądz pomagał jej w tym podpowiedziami. Wyrzucała z pamięci kolejne obrazy, z których każdy był jak uderzenie. Jej oczy na wysokości jego pasa. Jej głowa nad twardym blatem biurka, którego mocno się uchwyciła. Oba jej kolana rozstawione o wiele za szeroko. Umilkła, bo zdawało się jej, że słyszy coś dziwnego — nie, to niemożliwe — a jednak tak, zza kratki dochodził taki sam oddech jak u Pietra, krótki, ciężki, urywany. Zamarła. Żółć napłynęła jej do ust.

Mów dalej, moje dziecko... — polecił ksiądz, jej jednak nie było już przy konfesjonale. Zapomniała nawet przeżegnać się przed Jezusem w głównym ołtarzu. Na zewnątrz niebo rozpościerało się nad Punta Carretas jak szare prześcieradło. Za bramą więzienia strażnik podrapał się po kroczu i zmrużywszy oczy, popatrzył na obłoki, których nie rozjaśniał choćby promień słońca.

*Cierre. Cielo. Cerrado. Siempre. Zamek. Niebo. Zamknięty. Zawsze.*

W ciągu następnych dni, miesięcy, roku i jeszcze kolejnego roku Eva zaszywała się coraz głębiej w ciemnych jamach butów, które sortowała i układała w magazynie. To samo robiła ze swoją świadomością, każąc jej kurczyć się i zwijać w kłębek.

Coś w niej pękło, kiedy zobaczyła krew. Stała w ciasnej toalecie w sklepie i wpatrywała się w środek swoich majtek. Piętro nie dotykał jej tam co najmniej od tygodnia, a jednak na materiale widniała plama jak ząbkowany kwiat. Słyszała,

jak rozmawiały o tym kobiety u rzeźnika, to miało coś wspólnego właśnie z byciem kobietą. Tydzień wcześniej skończyła trzynaście lat, w domu było ciasto ze świeczkami, dostała też w prezencie niebieski sweter. Ciasto upiekła Mirna, żona Bruna, Mamą zaś uprzedła i ufarbowała wełnę, a potem jej wiecznie zajęte czymś ręce wy dziergały sweter.

Na dworze było zimno, zaciął deszcz, więc włożyła go dzisiaj. Był jednocześnie miękki i gryzący. Miała trzynaście lat i oficjalnie teraz stała się kobietą, lecz w rzeczywistości już dwa lata temu przestała być dziewczynką. Wpatrywała się w plamę. To nie ktoś inny spowodował, że wykwitła na materiale, tylko ona sama czy też jakaś tajemnicza siła ukryta w niej znalazła w ten sposób ujście. (La Viuda nazwała to kiedyś karą boską. Ale Clarabel, La Divorciada, wyśmiała ją i powiedziała, że nie ma powodu, aby słuchać, co księża opowiadają o kobiecych przypadłościach, bo się na nich nie znają. I miała rację).

Eva ostrożnie dotknęła plamy. Była ciepła. Cofnęła szybko palec. Spojrzała w lustro. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz naprawdę oglądała się w lustrze. Wyłaniała się z niego twarz o wystających kościach policzkowych, gładkiej skórze i ciemnych oczach. Urosła. Z jej ciała wyszedł płomyk krwi. Pomyślała o krwi i o płomieniach, i o wnętrzu swojego ciała, którego nie zna, które jednak niekoniecznie musi sprawiać ból. Zaraz trzeba będzie zamknąć sklep, musi się pospieszyć. Zabezpieczyła się papierem toaletowym i jeszcze szybko przebiegła w myślach dzień, aby ocenić, w jakim humorze będzie Piętro. Moment zamknięcia sklepu był groźny, zwłaszcza jeżeli sprzedaż szła słabo.

— Gdzieś ty się podziewała? — Łypnął na nią, kiedy wyszła. — Woda się zagotowała, musiałem sam zalać mate.

— Przepraszam.

— Uhm. — Poszedł bliżej. Czowała od niego alkohol. — Jesteś rozpalona.

Utkwiła wzrok na wysokości jego piersi.

Coś ty tam robiła?

- Nic.

- Nie kłam.

Napierał na nią, więc się cofnęła o krok, potem drugi, aż zatrzymała się plecami na krawędzi biurka. To coś w jego spodniach było twarde i nabrzmiałe. Obrócił ją twarzą do biurka.

- Nachyl się.

Pomyślała o czerwonej plamie i o krępującym papierze toaletowym. Nie zrobiła żadnego ruchu.

- Powiedziałem: nachyl się.

- Nie.

- Co takiego?

- Nie.

- Cholerna *puta!* — wrzasnął, chwycił ją za włosy i pociągnął do tyłu tak mocno, że zobaczyła rysy na suficie. — Rób, jak mówię. — Poluzował ucisk i położył dłoń na jej głowie. — No, dalej. Schyl się.

W tej samej chwili Eva zobaczyła broń, sekretną broń, która leżała w zasięgu jej ręki. Schyliła się powoli, rozpościerając ramiona. Piętro, zadowolony, puścił jej głowę i zaczął rozpinać spodnie. Na to tylko czekała. Szybkim ruchem chwyciła termos z mate, okręciła się na palcach, parująca woda poleciała na Pietra, który wrzasnął — ten obraz poparzonego, skulonego Pietra wrył się jej w pamięć na zawsze — i zaraz wybiegła na skapaną deszczem ulicę. Tym razem nie próbowała zrzucić butów na wysokim obcasie, ale pędziła w strugach wody, aż piekły ją płuca, nie do domu, lecz na Avenida San Salvador, pod pomalowane na krwistoczerwony kolor drzwi z napisem *l.a Diablita*. Dotarła tam zupełnie przemoczona, nacisnęła kłamkę i weszła do środka.

Była pora kolacji. Przywitał ją melanz zapachów rozmaitych potraw. Sztucce stukały łakomie o talerze jak perkusyjny podkład dla melodii głosów. Z pianina wydobywały się szarpane dźwięki fokstrota. Elegancko ubrani goście siedzieli w obłokach

dymu papierosowego. Dorodna młoda kelnerka przemykała pod wyłożonymi boazerią ścianami. Eva usiadła na czerwonym krześle. Starła się uspokoić oddech i wypatrywała poetów. Po kilku minutach kelnerka zwróciła się do niej uprzejmie, lecz bez uniżoności.

— Czy mam coś podać? — Była mocno umalowana, a jej twarz okalały starannie ułożone loczki.

— Ach, nieee, dziękuję — zająknęła się Eva. — Czy może szukacie kogoś do pracy?

— Niewykluczone. — Kelnerka spojrzała na nią uważniej. — Wyjeżdżam do Buenos Aires. Mam zamiar zostać aktorką. — Rozpromieniła się. — Chcesz porozmawiać z właścicielem?

Eva potaknęła. Kelnerka poprowadziła ją przez salę, obok baru, za zasłonę z koralików, gdzie właściciel biesiadował z czworgiem pijanych kompanów.

- *Ché, Pato.* Ta dziewczyna chciałaby tutaj pracować.

Pato, otyły, łysiejący mężczyzna, podniósł wzrok. Eva pomyślała, że na pewno nigdy niczego sobie nie odmawia. Ani kobiet, ani jedzenia, ani księżycy. Przyjrzał się Evie. Poczuli się niezręcznie w swoim dzierganym sweterku, w dodatku przemoczona. Przynajmniej dobrze, że ma wysokie obcasy.

— Czy już gdzieś pracowałaś?

— Tak, *señor*. Trzy lata.

— Gdzie?

— W sklepie z butami.

— Ile masz lat?

— Szesnaście — skłamała.

— A dlaczego chcesz tu pracować?

Przy stole zapadła cisza. Kobieta w czarnej sukni zapaliła cienkiego papierosa. Wszyscy patrzyli na Evę. Czuli się za mała, by udzielić dorosłej odpowiedzi, lecz nie mogła pozwolić, aby oni się o tym dowiedzieli, musiała się maskować. Wyprostowała się.

Wierzę w poezję. I w piękno. Chcę pracować w miejscu, gdzie ludzie są piękni i wolni. — Przywołała na twarz niewinny uśmiech. — To właśnie jest takie miejsce, prawda?

I cóż, Pato? — zaśmiała się kobieta w czarnych jedwabiach. — Czy to jest takie miejsce?

Pato najpierw spojrział na jej kieliszek, potem na ramiona i oh li ty dekolt, wreszcie przeniósł wzrok na Evę.

Jak się nazywasz? — zapytał.

Eva Firielli Torres.

Zgłoś się w sobotę o piątek. Znajdziemy dla ciebie jakieś zajęcie — powiedział, a następnie zwrócił się do swoich kompanów. Rozmowa była skończona.

Eva wróciła na Avenida San Salvador, która teraz, wraz z zapadnięciem nocy, wyglądała magicznie. Ruszyła w stronę domu. Minęła z siedem przecznic, gdy dopadł ją strach. ( oraz wolniej stawiała kroki. Mamy na pewno nie będzie — gra w kanastę u Coco, La Viudy albo Clarabel. Dokąd jednak mogłaby się udać? Może powinna skrócić do Parque Rodó i usiąść przy fontannie, gdzie zwykle obejmują się zakochane pary. Albo wrócić do La Diablity i pozmywać naczynia w zamian za szklanekę coca-coli. Albo pójść na promenadę i spacerować tam i z powrotem wzdłuż rzeki. W ten sposób może icdnak spędzić godzinę czy choćby całą noc, ale nie całe życie. Papier między jej nogami zupełnie przesiąkł, krwawiła, była zmęczona i przemoczona. Wymyśli jakąś historyjkę dla ojca.

Dochodząc do domu, miała w głowie z tuzin prawdopodobnych opowieści. Otworzyła drzwi i weszła. Papá, który siedział na sofie, skoczył na równe nogi i ruszył ku niej. Na stole zobaczyła pustą butelkę po grappie, której słodki, alkoholowy zapach wisiał w powietrzu. Ich spojrzenia się spotkały. Ojciec zacisnął pięści.

Rozmawiałem z Piętrem.

Nie jest tak, jak myślisz.

Dziwka.



- On kłamie.
- To dobry człowiek.
- Nieprawda.
- Ranisz moje serce.
- Papa...
- Lafirynda!

Otworzyła ramiona, by się do niego przytulić.

Pierwszy cios dostała w twarz. Zatoczyła się. W ustach poczuła smak żelaza. Uderzył ją ponownie, a wtedy upadła pod ścianę i zwinęła się w kłębek w oczekiwaniu następnych ciosów. Kiedy się posypały, była przygotowana, bezwładna i znajdowała się bardzo daleko od tego człowieka, który rozmawiał z nią przy użyciu siły. Kiedy przestał, poczekała, aby się upewnić, czy rzeczywiście się wyładował. Zapadła cisza. Uniosła głowę. Patrzył na swoją rękę i na zmianę zwijał ją w pięść i otwierał. Przeniósł mętne spojrzenie na Evę. Zdawało się jej, że chce coś powiedzieć, ale nie była pewna, bo w ustach wciąż miała wstrętny smak żelaza i kręciło się jej w głowie. Między ojcem i córką powstało pęknięcie, które pogłębiało się z każdą chwilą, odsłaniając czarną, ziejącą pustką rozpadlinę. Nie zamierzała w nią wpaść.

— Nigdy już się do ciebie nie odezwę — oświadczyła. Wstała i chwiejnym krokiem ruszyła korytarzem. Zawołał

za nią, ale nie brzmiało to jak hiszpański, a nie znała włoskiego. W łazience wymieniła zakrwawiony papier i obejrzała się w lustrze. Rozcięta, trochę pociemniała warga, ale wszystkie zęby na miejscu.

Położyła się do łóżka, walcząc z odrętwieniem, które starało się ją opanować. Znowu słabo czuła nogi, ale nie mogła pozwolić im zniknąć, bo co by się wtedy stało z jej nową pracą? Nie odchodźcie, nie znikajcie, nie umierajcie, musicie przy mnie zostać. Myśl o ojcu sprawiała jej ból, ale tłumaczyła sobie, że w końcu na nim świat się nie kończy. Starła się skierować uwagę na inne tory — myślała o tym, że poparzony Piętro na pewno odczuwa teraz ból, przypomniała sobie La

Diablić, ciepłe zapachy tego miejsca, krzątaninę, szum i gwar głosów, które przyzywały coś, co tkwiło w niej pod skórą (gęste, gotowe wybuchnąć), choć nie sądziła, że to coś kiedykolwiek będzie miało okazję rozkwitnąć.

Harwy kawiarni były jak ze snu — brąz drewnianych boazerii, brąz włosów połyskujących w świetle świec, brąz pianina, z którego wydobywały się cudowne dźwięki, czerń sukien, czerń lśniących klawiszy, które grały całą noc, czerń kresek podkreślających kształt kobiecych oczu, jasny dym z papierosów, jasne naszyjniki z pereł na jasnych dekoltach, czerwone krzesła, czerwone stoły, czerwone szminki, serdeczny, czerwony śmiech, ciemnoczerwone wino.

Eva chłoneła wszystkimi porami te barwy, światło i elegancję, łapała każdy okruch konwersacji. Nachylała się nad stolikami w laki sposób, aby razem z brudnymi naczyniami zebrać tych okruchów jak najwięcej. Oto kobieta o wyszukanej fryzurze chwaliła trochę podpitym głosem jakiegoś poetę. Lekko zaśliniony student wygłaszał tyradę na cześć rewolucji październikowej. Młodzi kochankowie spierali się z pasją o przyszłość leatru, z dłońmi splecionymi pod stołem. Eva przyswajała sobie to wszystko. Przyjmowała dziwne zamówienia: „martini” i „Dante Alighieri”, „jeszcze jedna kolejka *chianti chileno*” i „egzystencjalizm”. Długą listę dań z makaronu przeplatała tytułami książek. Kiedy już przyniosła do stolika jedzenie i wino, wpychała do biustonosza karteczki, które służyły jej później podczas wizyt w bibliotece w centrum miasta. Poplamione oliwą, pozalewane alkoholem fiszki nasiąkały zapachem jej piersi. To były mapy skarbów. Dzięki nim nawigowała w labiryncie regałów. Każda książka była jak dom o wielu pokojach wyposażonych w najrozmaitsze cuda, które z rozkoszą dotykała, głaskała, brała w ręce, oglądała pod światło, przy których zasypiała i śniła. Uwielbiała wślizgiwać się cichaczem do tych salonów.

Człowiek, który mienił się jej ojcem, był bardzo ciekaw jej sekretów. Chciał się dowiedzieć, gdzie pracuje, co robi, o czym myśli. Pierwszego wieczoru sześć razy pukał do jej sypialni — „Eva? Evita?” — równo co godzinę, aż do świtu. Myślała, że wejdzie, w końcu drzwi nie były zamknięte na klucz, ale ich nie otworzył. Następnej nocy zapukał tylko dwukrotnie, lecz już nic nie mówił. Trzeciej nocy, kiedy wróciła z pracy o trzeciej nad ranem, znalazła na łóżku kartkę zapisaną niezdarnymi literami, z których każda wyglądała jak balonik: „Będę czuwał. To twoja ostatnia szansa”. Podarła ją na kawałki i oblała moczem w toalecie.

Ojciec uniósł się dumą i chodził sztywny, jakby kij połknął. Mijali się, udając, że się nie widzą. Traktowali się wzajemnie jak powietrze. Rozmawiali ze wszystkimi, tylko nie z sobą.

— Marco, podaj mi *salsa golf*.

— Niech ci Papi poda, przecież stoi przed nim.

— Marco — warczała na brata.

— Jesteś śmieszna! Papá, twoja córka prosi o *salsa golf*.

— Ja nie mam córki. — Ignazio nadział ziemniaka na widelec. — *Zadna puta* nie jest moją córką.

Nie przejmowała się tym. Mógł myśleć to, co chciał. Była wolna. Matce powiedziała, że jest kelnerką, a nie *mujer de la calle*, mimo makijażu, późnych powrotów i nowej bluzki z większym dekoltem niż poprzednia.

— Pracuję w restauracji w Ciudad Vieja. Dobrze mi płacą. — Rozłożyła na stole banknoty, jak pokerzysta, który rozkłada zwycięskie karty. — Proszę, weź.

Pajarita nie przerwała czyszczenia zlewu i nie spojrzała na pieniądze.

— Co się zdarzyło między tobą a ojcem?

— Nic.

Mamá odwróciła głowę i wlepiła w niajedno z tych spojrzeń, które sprawiały, że Eva czuła się zupełnie przezroczyta.

— *Hija*, nie musisz robić tych rzeczy, są jeszcze inne prace. Eva wpatrywała się intensywnie w twarz matki, jej ręce

oparte na brzegu zlewu, chłoneła jej zapach. Pierwszy raz zobaczyła siwe pasma, które rozpanoszyły się w jej gładkich, długich włosach. Poczula wściekłość. To niedopuszczalne, żeby się zmieniały, żeby ich czerń wyblakła, to niedopuszczalne, żeby jej matka — czy w ogóle jakakolwiek kobieta — siwiała, nic założywszy przynajmniej raz w życiu jedwabnej sukni.

— Jakie na przykład?

— Mogłabyś pracować ze mną w *carnicerii*. Będę cię uczyć.

Poranne słońce, które sprawiedliwie oświetla wszystko, rzucało swe promienie, nie czyniąc żadnej różnicy, i na rozłożone banknoty, i na myjkę do naczyń, i na liście rozmarynu i szaławii, i na wyszczerbione doniczki. Na dworze mleczarz potrząsał dzwonkiem i pokrzykiwał na konia. Eva słuchała rżenia zwierzęcia z pobłażliwą rezygnacją. Wiedziała już, że istnieją dwa Urugwaje, nawet w tym domu, i że jeden z nich to kraj, w którym kobiety dorastają, sypiając na krowich skórkach, siadają na stołkach ze zwierzęcych czaszek i nikt ich nie uczy czytać, za to one same uczą się przyrządzać ziołowe herbatki dla innych zaniedbanych kobiet, które przychodzą na plotki do rzeźnika. (Ona, Eva, jest z innego kraju — nauczyła się czytać i dzięki temu poznała na przykład historię dziewczynki, która wpadła w króliczą jamę, co pozwoliło jej odkryć niesamowite rzeczy. Właściwie nawet czuje się podobna do tej dziewczynki, bo też znalazła w pewnym starym budynku niezwykle miejsce, w którym są płonące świece, rubinowe koraliki, importowane papierosy, czerwone wino i poeci. Koń mleczarza powlókł się dalej, stukając kopytami o bruk. Tak czy owak, Mami nie potrzebuje jej naprawdę. Ma teraz Mirnę, a jeżeli Marco ożeni się z tą głupią gęsią z La Blaqueada, na pewno doczekają się więcej córek, niż potrzeba, przyjemniejszych i czystszych niż ona.

- Nie. Nie zrezygnuję z tej pracy.

- Gdzie jest to miejsce?

- Nie mogę ci powiedzieć.

Czy jesteś tam bezpieczna? — Matka przyglądała się jej uważnie.

— Jak najbardziej. Kelnerki są dla mnie miłe i pomagają mi się wprawiać. — Koleżanki z pracy uczyły ją tajemniczej sztuki podawania alkoholi, różowania policzków i palenia papierosów jako sposobów na uwodzenie. „Mra — mówiła miękko Graciela — musisz wydać usta, o tak”. Z jej karminowych ust wydobywała się cienka smuga białego dymu, który układał się w esy-floresy. „No, spróbuj”. Eva próbowała, lecz wydychała dym byle jak, co wzbudzało śmiech Gracieli. Wiedziała jednak, że w końcu się nauczy. Jak mogłaby się nie nauczyć przy tych wszystkich dziewczynach, które były jak starsze siostry i aż paliły się do tego, aby ją trochę zepsuć? Przysłuchiwała się, jak wesoło obgadywały klientów. Słynny pisarz przy narożnym stoliku zawsze okłamuje swoje przyjaciółki. Zamożni przedsiębiorcy, którzy sączą chardonnay, lubią uchodzić za mecenasów sztuki, ale dają nędzne napiwki. Każdy student z cyganerii, która dyskutuje o Battle’u, Bolivarze i Marksie, dałby sobie rękę uciąć za jedną randkę z Evą. „Wszyscy wodzą za tobą oczami, *nena*. Słowo daję”. Evę ciągnęło jednak bardziej do grupki poetów, którzy pod koniec tygodnia spotykali się w pokoiku na tyłach, za zasłoną z koralików.

Tego wieczoru zebrało się ich dziewięciu, wszyscy młodzi, oprócz Słynnego Poety, który im przewodniczył. Mówił bardzo wolno, tak by *joven* zaopatrzony w mały niebieski notes zdążył zanotować jego słowa. To z całą pewnością byli prawdziwi poeci — wystarczyło spojrzeć na ich liryczne gesty przy paleniu papierosów. Eva rozstawiała powoli na ich stole kieliszki, gotowa złapać każdy strzępek rozmowy do zapisania na jednej ze swoich karteczek.

— Gdyby tak Hitler mógł usłyszeć twoją *Ode do walki...* — zabrał głos tyczkowaty młodzieniec. Znała ten głos. Przyjrzała się dokładniej zarośniętej twarzy; tak, to on, Andrés Descalzo. Rozmawia z poetami, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Chyba poczuł, że jest obserwowany, bo zanim zdążyła wypowiedzieć jego imię, odwrócił głowę. — Zwłaszcza wers o stopach wroga. To bardzo wyrazisty obraz.

Eva podała wino. Zrozumiała, że w tym pomieszczeniu Andres nie jest — i nigdy nie był — synem rzeźnika. Jego starannie wyprasowana koszula w kolorze kości słoniowej wydawała się może mało oryginalna w porównaniu ze strojami pozostałych uczestników spotkania, ale na pewno była ele-gantsza niż wszystkie ubrania jego ojca. Cicho przesunęła się za zasłonę z koralików.

Teraz patrzyła na stół poetów z większą odwagą. Skoro Andres zdołał przedostać się do ich świata, może i ona znajdzie na to sposób. Udała, że go nie poznaje. Kiedy znowu podeszła, żeby nalać im wina, uśmiechała się szeroko. Słynny Poeta odwzajemnił dyskretnie ten uśmiech.

— Czy mogę prosić o taniec?

— *¿Perdón?* — zapytała, przekonana, że w tym gwarze źle usłyszała nazwę jakiegoś napoju.

— Chciałbym zamówić taniec. A może „pokornie błagam” brzmiałoby lepiej?

Wszystkie oczy zwróciły się ku niej. Nie uważała, żeby Słynny Poeta był przystojny — śmiał się hałaśliwie, miał siwiejące włosy i węzlaste dłonie jak Piętro. Ale za to w jego spojrzeniu dostrzegła coś miłego.

Zadowolony z siebie zapalił papierosa.

— Owszem. „Pokornie błagam” brzmi lepiej.

Poeta się zaczerwienił. Udał, że nie słyszy drwiących chichotów.

— W takim razie błagam.

La Diablita nie miała wydzielonego miejsca do tańca. Ustawili się w rogu przy pianinie. Eva nie tańczyła od czasów lekcji w magazynie. Kiedy rozległa się muzyka, wstrzymała oddech. ( )parła się policzkiem o policzek Poety. Jej ciało samo zareagowało na dźwięk tanga i przyjęło właściwą postawę. Pianista .laimecito, porwany entuzjazmem, zawodził: *como ríe la vida, si lus ojos negros me quieren mirar*. Pamiętała, jak się tańczy, nadal umiała zrobić obrót, saccadę i okręcić się z precyzją. Słynny Poeta prowadził niezdarnie, ale to nie było ważne,

liczyło się piękno tańca, który miała w kościach i we krwi. Piosenka nabrała żywszych — *y un rayo misterioso* — i bardziej porywających tonów — *hará nido en tu pelo*. Ludzie zaczęli klaskać do rytmu, gwizdać, a poeta wreszcie przestał gubić kroki. Teraz ich ciała wiedziały jednocześnie, że nastąpi krok w bok albo kołyska. Jamencito pokusił się o ambitny finał, przekraczający nieco jego możliwości wokalne: *florecerá la vida, no existirá el dolor*. Potem był jeszcze żywiołowy pasaż po czarnych klawiszach i aplauz. Evie kręciło się w głowie. Czowała się zawstydzona. Graciela oklaskiwała ją, stojąc w drzwiach kuchni. Poeta promieniał.

— *¡Qué cosa!* Czy usiądzie pani z nami?

— Muszę pracować.

— Może chociaż na chwilę?

— Moja zmiana trwa do północy.

— Ach, w takim razie później. Nalegam.

O północy Eva przeszła za zasłonę z koralików, nie po to, by obsługiwać gości, lecz po to, by z nimi usiąść. Słynny Poeta przedstawił jej swoich kompanów, a byli to Joaquín, licealista, który tak pilnie robił notatki, Pepe, student literatury w koszuli ze sztywnym kołnierzykiem (zapewne odprasowanym przez służącą), Carlos, miły młody prawnik o wielkich uszach, Andres i Beatriz, płomienna *muchacha* o niesamowicie rudych włosach.

— Właśnie dyskutowaliśmy o nowym tomie Moradettiego — zawiadomił ją poeta. — Czy zna pani jego prace?

— *Por favor*. — Pepe poprawił mankiety koszuli. — Nie męcz naszej biednej kelnerki. Płacą jej za nakrywanie stołów, a nie za analizy trendów poetyckich.

— No cóż, teraz...

— Nie, on ma rację. — Eva zacisnęła pod stołem pięść. — Poeci nie płacą mi za to, że ich czytam. Nie muszą. Przeczytałam całego Moradettiego za darmo. — Uśmiechnęła się. — Co, czyżby panu zapłacił?

— Nie to miałem na myśli — odpowiedział Pepe, chrząkając.

Nie, oczywiście.

Następne trzy godziny spędziła w jakimś złotym śnie. Poeci rozmawiali, spierali się, przekomarzali, pili i gadali, gadali, gadali. Z Moradettiego dyskusja przeszła na Mussoliniego, z Mussoliniego na cel sztuki, z celu sztuki na modernizm (kontrowersyjny temat), a z modernizmu na wyrafinowanie francuskich deserów. Kieliszki się opróżniały, za to popielniczki wypełniały się bardzo prędko. Eva raz po raz wychylała się do przodu, by słuchać, lub też odchyłała, by przemyśleć to, co usłyszała. Była uważna, ożywiona, miała pełno pomysłów, które wyrosły w niej jak rośliny w szklarni — były już całkiem spore i wyglądały przez szybę.

Kiedy wracała do domu, bardziej poczuła, niż zobaczyła Andresa zmierzającego w tym samym kierunku po przeciwnej stronie ulicy. Przeszedł na jej stronę. Nie rozmawiali. Opuścili Ciudad Vieja i weszli w poprzecinany ulicami i zabudowaniami l'arque Rodó. Stara, żylasta kobieta paliła cygaro na żółtej werandzie. Eva zauważyła w jednym z mieszkań parę tańczącą powoli przy tęsknych, stłumionych dźwiękach gramofonu. Cienkie obcasy Ewy lekko stukały, kroki Andresa były cięższe, a jego buty szorowały o trotuar.

— Oni myślą, że gdzie mieszkasz? — zapytała.

— W Pocitos.

— Aha. Skręcili za róg.

— Pytali o twoją rodzinę?

— Mój ojciec importuje francuską biżuterię. Moja babka jest jędzą, która nie daje ludziom spokoju. Dzięki temu nie próbują urządzać w moim domu wieczorów literackich.

— Rozumiem. A co z poezją?

— ¿*Qué?*

— Czy piszesz wiersze?

Andres zwolnił. Eva poczuła, że zastanawia się nad odpowiedzią. Przestrzeń między nimi wypełniały jakieś trzaski i szmery.



— Nie wiem, czy to ja piszę wiersze, czy one mnie piszą. Czasem czuję się tak, jakby wszystko: świat, moje ciało, każdy mój ruch, zmieniało się w wiersz. To jest nieznośne, nie mogę oddychać, dopóki nie zacznę pisać. — Pochylił głowę, a ciemne, kręcone włosy opadły mu na policzek. — Na pewno myślisz, że to kompletne wariactwo.

— Wcale tak nie myślę.

— Z tobą jest tak samo?

Dotknął jej ramienia. Miał tak rozpaloną dłoń, że Eva wzdrygnęła się jak poparzona. Pomyślała o jedynym wierszu, jaki kiedykolwiek napisała. To było dawno temu, zanim zdarzyło się to, co się zdarzyło.

— Być może.

Szli dalej, mijając domy, które stawały się coraz brzydsze — pudełka z płaskim dachem przycupnięte jedno przy drugim.

— Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi?

— Bawiliśmy się w piratów...

— Tak...

— Szukaliśmy skarbów w podłodze!

— Skarby w podłodze sklepu rzeźnickiego — zaśmiał się nerwowo Andres. — Ależ mieliśmy wyobraźnię.

W srebrnym świetle księżyca ten mężczyzna (ten chłopiec), syn rzeźnika, urodzony po to, by odziedziczyć tasak, zakrwawiony fartuch i haki do mięsa, dla którego świat zmieniał się w wiersze, wyglądał eterycznie jak pozaziemska istota. Eva wsłuchiwała się w niejednorodne echo ich kroków.

Od jej drzwi dzieliło ich jeszcze kilka metrów, gdy Andres pocałował ją w policzek. Jego skóra była jak czyste płótno.

— Dobranoc. Przychodź do nas dalej. I nie daj się wystraszyć zarozumiałemu Pepe.

Eva przeszła przez uśpiony dom do swojego pokoju, gdzie z szuflady wyjęła pióro i papier, uważając, by nie zbudzić Tomasa, który spał obok. Weszła z przyborami do łazienki i obejrzała się w lustrze. Przed wyjściem z kawiarni zapomniała zmyć makijaż. Wyglądała dorosłe i kobieco, tańczyła na oczach

obcych ludzi, piła wino przy stole poetów, więc może i ona /dola wprowadzić w swoje życie poezję, cokolwiek to oznacza, a sądziła, że oznacza to coś czystego, niezgłębionego, siłę, która przeniknie jej świat i ciało, która będzie nią pisała, nigdy jej nie zrani i nie uczyni nic wbrew jej woli. Czuła mrowienie na policzku, tam gdzie pocałował ją Andrés. „Jestem poetką” — wyszeptała do lustra. Usiadła na toalecie, wzięła do ręki pióro i zaczęła pisać.

Mijały miesiące i lata, a ona nadal uwielbiała te zadymione, elektryzujące, soczyste noce, czerwony stół (z odpryskującym lakierem, błyszczący, a pod spodem lepki), poetów, którzy snuli jakieś rojenia, dowcipkowali, przechwalali się, powietrze, które po drugiej lampce wina zaczynało dziwnie się rozszerzać i drgać, rozmowy, które oscylowały między wojną, komentowaniem najnowszych esejów i ukrytym sensem życia. Te noce promieniowały nieuchwytnym blaskiem — znikał, kiedy tylko próbowała go określić zbyt dosłownie, lecz gdy po prostu mu się poddawała, głosy, twarze, kieliszki, stół i słowa złościły się jak miód. Nauczyła się mu wierzyć, ufać jego mocy, zdolnej trzymać z daleka monotonię, nudę, koszmary nocne, niechęć do domu, przerażenie na widok każdego sklepu z butami i czyny nazistów w dalekich krajach. Otaczał ją jak niewidzialny kokon, a wtedy czuła się wolna i życie było znośniejsze. Poeci zapewne leż odczuwali coś takiego — Joaquín, autor misternych wierszy, ze zmarszczonym czołem i arsenałem świeżo zatemperowanych ołówków, pachnący pastą do butów Carlos, który, pracując w firmie prawniczej ojca, wykorzystywał każdą wolną chwilę, aby gryzmolić ody na odwrocie akt, Słynny Poeta z rozczochraną siwą czupryną, Pepe o spiczastym podbródku, rekordzista w picciu martini, Andres ze swoją wyraźną wymową, cierpkimi uwagami i cierpkim uśmiechem, wreszcie Beatriz, której śmiech rozlewał się jak melasa, a wiersze ociekały rzewnymi westchnieniami pasterek wzdychających do niewiernych gauczów.

Eva mogłaby jeszcze znieść jej wiersze, gdyby Beatriz nie siadywała tak blisko Andresa.

— Zmieniamy świat, prawda? — zwróciła się właśnie do niego, wolno owijając swój rudy kosmyk wokół palca.

— Sama poezja nie zdoła zmienić świata — odparł. — Czym jednak byłibyśmy bez niej? Odarci z tajemnicy, z namiętności, z tego wszystkiego, co utrzymuje nas przy życiu mimo całego brudu i bólu istnienia. W świecie ogarniętym wojną potrzebujemy jej bardziej niż kiedykolwiek.

Joaquín i Carlos mruknęli z aprobatą. Słynny Poeta pokiwał głową, zaciągając się papierosem. Słowa Andresa zmieszały się z dymem wirującym wokół stołu. W świecie ogarniętym wojną. Eva pomyślała o zapachu spalenizny i olbrzymiej bryle pancernika Admiral Graf Spee. Niespełna miesiąc temu poranione cielsko tego niemieckiego okrętu dowlokło się w poszukiwaniu schronienia do portu w Montevideo, przynosząc z sobą zapach ognia i walki. Urugwaj zachowuje neutralność. Z Urugwaju jest daleko do Europy. Najeźdźcy nie napadli na Urugwaj tak, jak na Polskę wiosną ubiegłego roku. A jednak Graf Spee dopłynął do Urugwaju, podobnie jak okręty brytyjskie, które sprawiły, że stanął w płomieniach. Macki wojny sięgają daleko, rozciągają się nad Atlantykiem i wstrząsają jej miastem, tak jak zimne palce duchów potrafią przeniknąć przez szybę i potrząsnąć człowiekiem, który śpi we własnym łóżku. Właśnie tak się czuła — obudzona przez ducha — kiedy dotarł do niej głos ojca, który w korytarzu opowiadał Tomásowi o potężnym pancerniku: „a dym był gęsty jak... no nie wiem, jak wielka czarna płachta, zasłonił cały port, a my tam na górze w kabine żurawia dusiliśmy się od kaszlu, no a ja, proszę ciebie, patrzę i wiesz, co widzę? Ci cholerni faszyci stoją na pokładzie wyprostowani jak wykałaczki, jak gdyby nigdy nic, mówię ci, jakby wdychali alpejskie powietrze". Potem niemiecki kapitan poddał się, a okręt poszedł na dno. Evie śniło się, że ociekający wodą faszyci wybijają okno w jej sypialni, rzucają się na nią z odłamkami szkła i rozrywają jej skórę.

Andres napisał sonet zatytułowany *Duch Grafa Spee*. Przyszli) jej do głowy, że mógłby zrozumieć ten sen. Trąciła go nogą pod stołem. Nie spojrział na nią, ale się uśmiechnął.

Kiedy coś mówisz, wszyscy cię słuchają — zauważyła w drodze powrotnej do domu. — Wyrażasz się w taki sposób... To tylko słowa.

Jej zdaniem Andres docierał do samego sedna rzeczy, dotykał żywej tkanki rzeczywistości.

To znacznie więcej niż słowa.

Co noc wracali razem, ale zawsze rozstawali się kawałek drogi od domu. Nie chcieli, żeby ich rodziny się o tym dowiedziały. Doprowadziło to do tego, że wyprawy do rzeźnika po mięso na obiad stały się dla Evy katorgą, bo zawsze musiała wysłuchiwać biadoleń Coco: „Co się stało z moim synem? Powiedz mi, Eva! Przecież jego nigdy nie ma w domu”.

*Mówią nam, że świat jest utkany z szorstkiej, trwałej juty/ To nieprawda — świat jest ze zwojów delikatnej, nieskończonej gazy/Tak cienkiej, że pod światło prześwitują przez nią nasze palce* — pisał Andrés. Sam był światłem, latarnią morską, ale niepodobną do tej w Punta Carretas, która pracowała z niezmienną powtarzalnością. Był rozgorączkowany i nieprzewidywalny. Wdzierał się w ciemność jak nóż, jego słowa i myśli rozcinały ją na pół. Eva chciała zbliżyć się do źródła tego światła ukrytego przed światem, które wypływało, jak sądziła, z bólu i sekretów tak ponurych i smutnych, jak jej własne. Kontakt z nim dodawał jej sił. Kiedy o piątej rano zasiadała do pisania w łazience, potrafiła wznosić się na wyżyny i ryzykować słowa zaskakujące i znajome zarazem, słowa o wolności, o bólu, o palących pragnieniach, słowa, które zgrzytały zębami i gryzły się między sobą na stronie.

Minął drugi rok. Wszystko przesiąknęło dla niej poezją — bloczek do zapisywania zamówień, skóra jej rąk, skrawki papieru, które znajdowała potem w bieliźnie. Wiosną jej brat Marco ożenił się z dziewczyną z La Blaqueada, która, Eva

musiała to przyznać, była naprawdę miła i chciała mieć w niej siostrę. Storpedowała jednak starania bratowej, nie odwzajemniając jej telefonów. „Nigdy mnie nie zrozumiesz” — mogłaby powiedzieć, choć nigdy tego nie zrobiła. W następnym roku odważyła się wyrecytować głośno swój wiersz. Zdarzyło się to w bogato urządzonej salonie Pepe, gdzie podłogę wyścielały importowane dywany, a w wazonach stały świeże lilie. Niepotrzebnie spojrzała na te lilie. Przestraszyła się i straciła głos.

— Śmiało, Eva — zachęcał Carlos, który wspierał ją, jak mógł. Na jego kołnierzyku czerwieniła się plama po sosie pomidorowym i to dodało jej odwagi, chociaż i tak zdobyła się zaledwie na ochryply szept. Poeci uznali to za dodatkowy efekt dramatyczny i odpowiedzieli szczerym aplauzem.

— Całkiem nieźle — stwierdził ostrożnie Pepe. Odwrócił się i przemówił do zebranych, nie do niej. — Latarnia morska jako metafora wolności w okresie wojny. I wyraźna aluzja do tej Angielki, Woolf.

Eva nie myślała o wojnie podczas pisania tego wiersza (a mogła — Stany Zjednoczone dołączyły właśnie do aliantów, Żydzi w Europie byli zmuszeni do noszenia żółtej gwiazdy, ginęły setki tysięcy ludzi), a już zupełnie zapomniała o Virginii Woolf.

— Tak, dziękuję — powiedziała.

— Ten wiersz doskonale by pasował do następnego wydania „Expresión” — odezwał się Joaquín, marszcząc brwi. Niedawno został komunistą, to zresztą do niego pasowało, myślała Eva, zważywszy na to, że przez całe lata sumiennie sporządzał notatki. Z tego, co wiedziała, komuniści piszą mnóstwo deklaracji, dużo czytają i popijając zimne piwo, dyskutują o światowym proletariacie. — Powinnaś go tam zaproponować.

Kiedy jej wiersz ukazał się w „Expresión”, niezależnym czasopiśmie poetyckim, Eva zachowała dla siebie dwa egzemplarze: jeden włożyła pod poduszkę, a z drugiego wyrwała

kartkę, by ją nosić między piersiami. Papier codziennie nasiąkał potem i zapachem jej ciała. W zimie przetaił się i zaplamił, ale nie przestała trzymać go w tym miejscu, jakby to była jej sekretna broń.

Kiedy minęło pięć lat, odkąd Eva pracowała w La Diablicie, jej najmłodszy brat, który zdążył wydorosnąć, wziął ślub z córką Marii Chamoun, ognistą Carlota. Stał u stóp ołtarza w sztywnym garniturze, nagle jakby pomniejszony, i wpatrywał się w nadciągający ku niemu obłok z tiulu i jedwabiu. Eva siedziała w ławce, a obok niej Bruno, Marco i Mamá. Panna młoda dotarła do ołtarza. Padre Robles uczynił znak krzyża (nadal miał tłusciutki paluszek) i zaczął czytać tekst ceremonii. Carlota rzucała spod welonu promienne spojrzenia. Tomás uśmiechał się jak bohater komiksu. Drewniana ławka była niewygodna i Eva bez przerwy zakładała nogę na nogę, raz jedną, raz drugą. Wyobrażała sobie, że strzyka śliną w kierunku gigantycznego krucyfiks w ołtarzu.

Na przyjęciu — połowa mieszkańców Punta Carretas cisnęła się w salonie Chamounów — Eva i jej szwagierka Mirna podawały gościom jedzenie.

I co, Eva — Mirna przechyliła filuternie głowę — kiedy twoja kolej?

Nic doczekała się odpowiedzi. Eva rozejrzała się w poszukiwaniu ratunku. Po przeciwnej stronie pokoju Xhana rozmawiała z Cesarem, chłopcem, który zalecał się do niej. Spotkali się na uniwersytecie, gdzie obydwójce studiowali, aby zostać nauczycielami. César miał oczy jak anioł: mokre, wielkie, czarne jak niebo o północy i rozpalone, kiedy rozmawiał z Xhaną. Eva nie zdążyła jeszcze go poznać, bo starała się unikać wszelkich spotkań rodzinnych, aby zaoszczędzić sobie kontaktów z ojcem. Tęskniła jednak za kuzynką. Były teraz dla siebie prawie obce. Może powinna podejść, uśmiechnąć się i zwyczajnie przywitać.

Za plecami usłyszała głos ojca:

— Piętro, powiedz, jak idą interesy?

— Doskonale, doskonale.

Mima wręczyła Evie półmisek, którego ta omal nie upuściła.

— Zatrudniłeś u siebie córkę, tak?

— *Si.*

— Mam nadzieję, że nie masz z nią takich kłopotów, jak kiedyś z moją.

— Ech, Gondola — zaśmiał się uprzejmie Piętro.

Eva chwyciła długi, upstrzony szpinakiem nóż z półmiska, na którym leżała *pascualina*. Najchętniej zatopiłaby go w piersiach ich obu i przerwała ten śmiech. Na tę myśl oblała ją fala gorąca. Przeciągnęła ostrzem po półmisku — raz, drugi, trzeci. Za trzecim zaczęła niechcący o resztkę ciasta i strąciła je na podłogę.

Mirna patrzyła na nią ze zdziwieniem.

— Muszę się przewietrzyć — oznajmiła Eva i wyszła. Tej nocy śniła, że to ona jest panną młodą i kroczy przez

kościelną nawę. Trzymała w rękach snop goździków tak wielki, że musiała wyciągać szyję, aby widzieć, dokąd idzie. Gdzie pan młody? Muzyka organowa rozdzierała półmrok. Gdy zbliżyła się do ołtarza, rozległ się straszliwy trzask, który z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy. Upuściła kwiaty. Naprzeciw niej stała gigantyczna porcja *pascualiny* na nogach z patyczków i pod muchą, również z ciasta. „Pan młody” śmiał się i śmierdział zgniłymi jajami. Eva krzyknęła, a on śmiał się jeszcze głośniej. Krzyczała ze wszystkich sił i w końcu się obudziła, zlana potem. Światło świtu sączyło się przez zasłony. Wstała i rozsunała je. Niebo przybrało kolor popiołu. Najchętniej wyleciałaby przez okno, stała się ptakiem, szarą plamką, która potrafi się wznieść wysoko, wysoko, tak by zniknąć w przestworzach. Ten dom, ciasny, ciemny i zagracony niewypowiedzianymi słowami, jest jak pułapka. Ma osiemnaście lat. W jej wieku matka była już od roku mężatką. Co prawda ani nie pragnęła żyć tak jak matka, ani nie zależało jej na małżeństwie,

kto jednak chciałby się z nią związać? I z kim ona chciałaby żyć tak blisko w tym trudnym świecie? Tylko z jednym mężczyzną. Nie zasługuje na niego i nigdy nie będzie go godna. Może jednak powinna spróbować...

łydzień później nadal brakowało jej odwagi i szukała odpowiednich słów. Jak się okazało, zwlekała za długo. Była w pracy, akurat wyszła z kuchni, aby posprzątać ze stołów. Pod ścianą, obok pianina, zobaczyła Andresa całującego się z Beatriz. Ich usta były szczelnie złączone. Każde trzymało dłoń we włosach drugiego.

Nie upuściła pełnej brudnych naczyń tacy, choć była bardzo ciężka, o wiele za ciężka do uniesienia. Pobiegła w stronę kuchni i zniknęła za jej drzwiami.

• • •

lwa skończyła dziewiętnaście lat i nadal nie było mowy o jej zamążpójściu. Kiedy patrzyła na Andresa i Beatriz siedzących obok siebie, kiedy Beatriz z władczą miną głaskała Andresa po karku, robiło się jej niedobrze. Usiłowała ich ignorować, ale stale miała ich obraz przed oczami, jakby za długo patrzyła w słońce.

Ostatni rok w La Diablicie spędziła, pracując najwięcej, jak tylko się dało. Zaoszczędzone pieniądze składała pod materacem, gotowa skorzystać z nich jak z tratwy ratunkowej, gdyby przypadkiem w jej zamkniętym świecie otworzyła się jakaś szluga.

Nastąpił koniec wojny i w Montevideo zaczął się przedwczesny karnawał. Ewę zbudziły bębny, śpiewy i okrzyki dochodzące z ulicy. Przez ścianę słyszała radio od sąsiadów, które ekstatycznie obwieszczało: „Nareszcie pokój... Kapitulacja Niemiec... Nigdy więcej wojny...”. Szybko się ubrała i pobiegła do kuchni, gdzie zastała ze ścierką w rękumatkę stojącą nieruchomo, która wpatrywała się w tę samą ścianę, jakby nagle



wykryła niewidoczne dotąd pęknięcie. Eva mimo woli poczuła, że rosną jej skrzydła nadziei. Świat się zmieni. Już się zmienił: kuchnia przestała być zwykłą kuchnią, a stała się chatką na brzegu ludzkiej rzeki, która przepływała pod ich drzwiami, świętując nastanie pokoju. Podeszła do matki i objęła ją od tyłu.

— Mamo...

Pajarita wsparła się na córce. Po jej policzku biegł jeden mokry ślad — czyżby łza? Nie to Eva chciała zobaczyć i nie takiego uścisku pragnęła. Cofnęła się ku drzwiom. Mamá spojrzała na nią w sposób, którym przypieczętowała jej decyzję

o ucieczce.

— Wychodzę.

Na ulicy otworzyła się cała na ten głośny, świeży pokój, który krążył dookoła i ściągał coraz większy tłum. Poszła razem z nim wzdłuż murów więzienia i długich schodów kościoła na centralną arterię miasta, Avenida 18 de Julio. Poruszeni ludzie cieszyli się i wznosili okrzyki. Wykonawcy murgi w błyszczących kostiumach wyśpiewywali na całe gardło swoje pieśni, jakiś chłopiec siedział na ramionach ojca i z powagą żuł brzeg urugwajskiej flagi, para młodych ludzi tańczyła ogniste tango, co chwilę wpadając między tłum, na każdym zakręcie strzelały korki od szampana, mieszały się różne rodzaje muzyki — tutaj grały bębny *candombe*, tam akordeon, kawałek dalej śpiewano

i klaskano w dłonie. Każdy dźwięk zachęcał Evę do tego, żeby zatańczyć i dać się porwać eksplozji entuzjazmu. Ktoś krzyknął: „Pokój!”, więc też zawołała: „Pokój!”, rozpychając się wśród tłum. Czyjaś ręka podała jej kieliszek szampana. Wzniosła toast ku niebu — za nowy świat — i wypila. Tłum zagęszczał się, otaczało ją coraz więcej ciał, ich zapachów i emocji. Bawił ją ten ścisk, do momentu gdy poczuła, że jedno z tych ciał przywarło zbyt mocno do jej pleców. Zamarła. Piętro G<sup>e</sup>g<sup>o</sup> ręce, oddech, jego napór) przeszył ją jak lodowata błyskawica. Ten człowiek miał erekcję i starał się w nią wcisnąć. Znowu czuła zapach Pietra, słyszała jego głos. Powinna krzyczeć,

uciekać, tymczasem stała bez ruchu i pozwalała się obmacywać. Kiedy uniósł jej spódnicę, mdłości podeszły jej do gardła.

*¡Ché!* — ryknął mężczyzna stojący przed nią. Gapiała się w wymiociny na jego płaszczu i twarz wykrzywioną obrzydzeniem. Ręce i członek tamtego zniknęły, zostało puste miejsce w tłumie za jej plecami. Rzuciła się tam, aby uciec od mężczyzny, którego ubranie zanieczyściła, uciec z miejsca podwójnej zbrodni — dokonanej na niej i przez nią. Biegła. Przedzierała się wśród rozbawionych ludzi, aby przedostać się na mniej zatłoczone ulice, dopóki klucie w boku nie zmusiło jej, aby iść wolniej. Dokąd zmierza? Dzień miał teraz smak żółci. Weszła w nieznaną ulicę z zabudowaniami z cegły, wąską i wilgotną. Jej miejsce to obcas buta, nie ma żadnego innego, nigdzie nie przynależy. Mogłaby spłynąć rynsztokiem, rozpuścić się i zniknąć, nikt by po niej nie płakał. Jest śmieszna, właściwie przekroczyła już wiek, w którym można znaleźć męża, jest kelnerką i trzeciorzędną poetką, własny ojciec uważa ją za dziewczkę i oto właśnie jej rodak w dniu zakończenia wojny uznał, że ma prawo zajrzeć jej pod sukienkę. Nadal czuje gorycz wymiocin. Musi gdzieś się opłukać. W pobliżu jest Parque Kodó, a w nim fontanna. Doszła do placyku w centrum parku i tam skierowała się ku fontannie. Nie zwracała uwagi na ludzi siedzących na ławkach, którzy obserwowali, jak polewa sobie sukienkę wodą.

Eva?

Odwróciła się. Naprzeciw niej stał Andrés Descalzo. Spojrzał na jej moką pierś i odwrócił wzrok. Ja... oblałam się szampanem. Aha. *¿Estás bien? Claro. Claro.* Doskonale. Cieszysz się z kapitulacji? Z czego?

Z kapitulacji Niemiec.

No tak, z kapitulacji. — Eva patrzyła na swoje stopy, spod których wyglądały smoki, kolorowe rybki i rozpołowiony

owoc granatu pełen ziaren: wzór na kafelkach. — Oczywiście. Nie może być lepiej.

— Teraz wiele się zmieni.

— *Si.*

— Czy ty na pewno się dobrze czujesz?

— *Sí, sí.*

— Jesteś jakaś odmieniona.

— Jestem zmęczona.

— Czym?

— Wszystkim: moją rodziną, głupimi poetami, Montevideo i każdym facetem w tym przeklętym kraju!

Andrés się roześmiał. Na jego usta padł promień słońca.

— Ja też.

Usiedli razem na brzegu fontanny. Niebieskie kafelki chłodziły ją przez sukienkę.

— Co słyszeć u Beatriz?

— Zerwała ze mną.

— Ojej.

— Teraz jest z Pepe.

— Przykro mi.

— I tak nie pasowaliśmy do siebie. — Andrés wzruszył ramionami. Spojrzał na nią szczerze, a ona się zaczerwieniła. — Nie jest taka jak ty. Z tobą można naprawdę porozmawiać.

Eva odwróciła wzrok. Był tak blisko. Wdychała to samo powietrze, które przed chwilą wypełniało jego ciało.

— Muszę coś ci powiedzieć. Wstrzymała oddech.

— Wyjeżdżam.

— Co takiego?

Andrés pokiwał głową. Eva zmięła w ręce brzeg sukienki.

— Muszę opuścić Urugwaj. — Patrzył na drzewa obojętne na wszystko. — Mój ojciec chce wycofać się z interesu, więc jeżeli tu zostanę, będę musiał przejąć sklep. Czy ktoś kiedyś widział poetę śmierdzącego wołowiną? Wojna się skończyła. To jest znak. Czas, żebym to zrobił.

Dokąd pojedziesz?

Do Buenos Aires. Buenos Aires zawsze kojarzyło się Evie z tancerką o wyzywających ruchach, otoczoną aurą skandalu. Jej mniejsza i o wiele mniej efektowna siostra — Montevideo — nigdy nie odważyłaby się tak tańczyć.

Do Buenos Aires — powtórzyła.

Tam była rewolucja społeczna i dzieją się dobre rzeczy. — Splótł, a następnie rozplótł ręce. — I są jeszcze inne powody.

Jakie na przykład? — zapytała Eva, a że Andres zaczął uważnie się jej przyglądać, zerknęła w prawo, skąd gdzieś zza drzew dochodził płacz dziecka.

Cóż, dla pisarza to najlepsze miejsce po Paryżu, nie sądzisz? Po Paryżu sprzed bombardowań.

Nic nie powiedziała. Buenos Aires to niewątpliwie najlepsze miejsce po Paryżu.

Jak chcesz tam się dostać?

Mam akurat tyle pieniędzy, ile potrzeba na prom i na przeżycie mniej więcej tygodnia. Znajdę sobie pracę. Na początek jestem gotów przyjąć dowolną pracę.

Kiedy wyjeżdżasz?

Jutro rano.

- Nie... — Eva chwyciła go za nadgarstek. Miał tak delikatną skórę, że gotowa narobić mu siniaków. — Nie możesz tego zrobić.

Rozluźnił rękę, która nagle spoczęła miękko w jej ręce. Będzie mi ciebie brakować.

A mnie ciebie. Jesteś moją najbliższą przyjaciółką. — Spuścił wzrok i patrzył na kafelki i ich fantastyczne wzory. - Kocham cię, *chiquilina*. Nie martw się, będę pisać. Przyślę ci swój adres.

Tego wieczoru Eva w milczeniu panierowała u boku matki *milanesas*. Starannie rozłożyła na stole talerze i widelce, a każdy jej ruch był maleńkim aktem rozszerzania przestrzeni swojej

wolności. Przy kolacji przeżuwała powoli każdy kęs, nie zwracając uwagi na braci rozprawiających o kapitulacji Niemiec ani na wtrącenia ich żon, ani na ojca stale sięgającego po dolewkę wina. Kiedy już leżała w łóżku, na zmianę rozmyślała i poddawała się uczuciom, poddawała się uczuciom i rozmyślała, wyobrażała sobie, jak wygląda Buenos Aires i jak będzie wyglądało Montevideo bez Andresa, a także powtarzała sobie jego słowa — „Kocham cię, *chiguilina*”. Nie zmrużyła oka. Zanim świt rozbielił ciemności jej pokoju, sięgnęła pod materac po swoje oszczędności. Włożyła je do tekstylnej torby razem z ubraniami, swoją tanią biżuterią, notesami i książkami. Ubrała się. Skreśliła kilka słów do matki. Dochodziła piąta.

Weszła cichutko do kuchni i zostawiła kartkę przy zlewie, tam gdzie Mamá od razu ją zobaczy. Kuchnia, pełna doniczek z ziołami, których przeznaczenia Eva nigdy się nie nauczyła, emanowała obecnością matki, nawet kiedy fizycznie jej tu nie było. Minie wiele lat, zanim Eva znowu tu się zjawi, i minie ich jeszcze więcej, zanim będzie z desperacją wyskrobywała z garnka spalony sos pomidorowy, nie czując ani tego garnka w rękach, ani zapachu spalenizny, niezdolna do jakiegokolwiek myśli poza: „nie, Salomé, nie, nie”. W tym momencie jednak, przygotowując się do przeprawy przez rzekę, myślała tylko o matce. Może gdyby wzięła bardzo głęboki oddech, jej płuca wypełniłyby się esencją matczynej obecności, którą zabrałaby z sobą. Spróbowała, lecz miała ściśniętą klatkę piersiową i nic to nie dało. Wyszła na dwór.

Było nadal ciemno. Mur więzienia rzucał na ulicę szeroki cień. Ledwie mogła rozróżnić jego ozdobne zwieńczenie upodabniające budowlę do zamku z bajki, które tak zachwycało ją w dzieciństwie. Przeszła po kocich łbach, minęła więzienie i znalazła się przy stopniach kościoła. Czowała łydkami ich chłód i gładkość, kiedy na nich usiadła, twarzą do sklepu rodziny Descalzo. Zaczęło się czekanie.

Na ulicy panował absolutny spokój. Jej oddech wprowadzał jedyny element ruchu. Niebo przejaśniło się nad domami na

wschodnim krańcu ulicy. Zaraz powinien wyjść. Z każdą minutą ciemnozielony prostokąt drzwi do sklepu Descalzów odznaczał się coraz wyraźniej na tle muru. Niemożliwe, aby przegapiła jego wyjście — chyba że wstał wcześniej niż ona. Szarpał nią niepokój — wiedziała przynajmniej, że nie uśnie. Oby tylko matka nie wstała do toalety. Jasność ogarniała coraz większe połacie nieba. Domy Punta Carretas stały przyciśnięte jedno do drugich jak rząd pudełek. Było tak późno, że rodzice mogli zbudzić się lada chwila i odkryć jej ucieczkę. Wyobraziła sobie, że wybiegają na ulicę w piżamach. Przesunęła się o jeden stopień w dół.

Drzwi Descalzów otworzyły się i wysunęła się zza nich wysoka postać. Eva pobiegła na jej spotkanie. Ciiii, Andrés. Zesztywniał z wrażenia. Eva, co ty tu robisz?

- Jadę z tobą. Musisz mnie wziąć. — Miała nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco nieustępliwie i przekonująco.

Nie mogę.

Dlaczego nie? Chcę po prostu wyrwać się stąd tak jak ty. Kręcił głową, ale jej słuchał.

- Mam swoje pieniądze. Pomogę ci. Chcę jechać do Buenos Aires, chcę być poetką i chcę być z tobą. Przecież mnie kochasz? Chyba to powiedziałeś?

Zapadła ciężka cisza. Eva postanowiła spróbować innego sposobu.

Słuchaj... Tak czy inaczej, mam tak samo obciążone konto jak ty.

To znaczy? — zapytał, przygryzając wargi.

Z powodu piractwa. Z jego ust wydobył się chichot, który zabrzmiał prawie jak szczeknięcie. Zaraz znowu spowaźniał. Ich oczy się spotkały.

O mój Boże. — Zwrócił głowę w kierunku więzienia. — Jesteś spakowana?

Wzięłam najpotrzebniejsze rzeczy.

— Na pewno?

— Tak.

Popatrzył na nią tak, jakby była listem, który wreszcie zrozumiał po wielokrotnym przeczytaniu.

— Prom wkrótce odpływa, lepiej się pospieszmy. Zanim skręcili za róg, Eva rzuciła ostatnie spojrzenie na

ulicę swojego dzieciństwa: na łuk przy wejściu do kościoła, na długi mur więzienia, na kocie łby, na dęby wyrastające z chodnika i na dom w kolorze piasku, w którym spała jej rodzina. Zbyt wiele było tych szczegółów, aby jej zmęczony umysł mógł je wszystkie zarejestrować. Odwróciła się i ruszyła w stronę rzeki.

## CUATRO

### Sztuka zaczynania od nowa

To miasto. Buenos Aires. Świetlny olbrzym. Hałaśliwe, rozległe, strzelające w górę skalnymi ścianami. Eva stała u wylotu Avenida Nueve de Julio i patrzyła. Właścicielka jej pokoju zapewniała ją, że to najszersza ulica na świecie. Zadarła swój spiczasty podbródek i dokładnie tak powiedziała. Eva nie miała powodu sądzić, że istnieje aleja szersza od tej i że gdziekolwiek zmieści się więcej hałaśliwych samochodów i ludzkich stóp. Świeciło nad nią dumne jesienne słońce. Serce miasta przesywał obelisk na środku arterii, długi biały palec skierowany ku niebu autorytatywnie i zarazem obiecująco. Ludzie też mieli w sobie gładkość wypolerowanego kamienia. Smukłe kobiety z przepięknymi torebkami, mężczyźni w świetnie skrojonych paryskich garniturach. Tłum wylewał się zewsząd i wcale się nie przerzedzał. Eva skręciła na Avenida Corrientes. W kiosku na rogu pomarszczony sprzedawca reklamował tytuły gazet i pozostałe towary: „Perón broni nowego planu Partii Pracy! Papierosy! Czasopisma! Guma do żucia!” — chrypiał między icduym pociągnięciem cygara a drugim. Nic dziwnego, że stracił głos, jeśli robił to od wielu godzin. W końcu była trzecia nad runem, choć zaledwie część miasta udała się na nocny spoczynek. Nie zwalniając kroku, Eva minęła kiosk i parę całującą



się pod latarnią. Kilku mężczyzn o wybrylantynowanych włosach wyszło z baru; ciągnął się za nimi zapach alkoholu i wody kolońskiej. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi do lokali tanecznych, dochodziły stamtąd dźwięki tanga. W zatłoczonej kawiarni jakaś kobieta siedziała sama przy małym stoliku i z ponurą miną pisała coś na delikatnym, różowym papierze. Tyle się działo w tym mieście, że Eva czuła się przytłoczona. Oparła się o szybę zamkniętego sklepu i stała bez ruchu, aż udało się jej wyłowić spośród wielu dźwięków nieustający, buczący szum — rytm metropolii. Rezonował w jej ciele — ożywiał ją, pobudzał nerwy, wskazywał drogę, wypełniał każdy centymetr miasta, od ludnego centrum aż po jej nędzną czynszówkę w San Telmo, gdzie farba odchodzi od murów pomalowanych na jaskrawe kolory, gdzie bary, w których tańczy się tango, mają popękane ściany, gdzie wyjścia ewakuacyjne na wypadek pożaru to balkony, na których można się kołysać w rytm skradzionej muzyki, i gdzie oddycha się lepiej niż w małych, zawilgoconych pokojach. Ten szum towarzyszył jej nawet w domu, to znaczy w ruderze, w której wynajmowała pokój. Nie przeszkadzały jej karaluchy na podłodze, poplamiona pościel, fakt, że ilekroć szła korytarzem do wspólnej łazienki, wstrzymywała oddech, żeby nie czuć smrodu, ani to, że przez ściany cienkie jak z tektury słyszała wszystko, co działo się u prostytutki obok, rozróżniała kroki i odgłosy wydawane przez poszczególnych klientów, ani to, że w pojedynczych pokojach mieszkały pięcio-, sześć- lub nawet dziewięcioosobowe rodziny, ani bójki nożowników w pobliskiej ulicy. Była u siebie, opromieniona blaskiem miasta, a łóżko przesunęła spod ściany sąsiadującej z pokojem prostytutki pod tę, za którą mieszkał Andres.

Postukała trzykrotnie opuszkami palców w szybę sklepu i ruszyła dalej. Najważniejsze, że odbyła tę rozmowę w sprawie pracy —jedenastą z kolei. Poszło całkiem nieźle, powinna być zadowolona. Don Rufino, właściciel restauracji, w której na stołach leżą czyste obrusy i lśnią srebrne sztuce, obiecał jej

dobrą pensję. Gładko odpowiadała na jego pytania i tylko trochę zdenerwowała się tym, jak swoim zdrowym okiem popatrywał na jej biust, podczas gdy drugie, szklane oko, było skierowane gdzieś na ścianę. „Nauczysz się, co trzeba robić, od innych dziewcząt — powiedział. — Na pewno dasz sobie radę”.

Da sobie radę, to oczywiste. Tymczasem to już Librería Libertad, gdzie umówiła się z Andresem w dziale poezji. Kiedy pchnęła drzwi księgarni, spod jej palców posypały się iskry. Na tych półkach można znaleźć chyba wszystkie książki, jakie kiedykolwiek napisano w Ameryce Południowej (a także we Francji i w Hiszpanii). Jak widać, wielu ludzi zamiast spać, przychodzi tu zgłębiać literaturę. Minęła wystawione nowości, dział filozofii i znalazła się w zakamarku, gdzie Andrés siedział na stołku pochylony nad książką. Spojrzała na jego usta, które rytmicznie zaciskały się i rozluźniały, zaciskały się i rozluźniały w miarę czytania.

Andrés. Podniósł głowę.

Dostałam pracę.

Aha. Świetnie.

Jak było dziś w kabarecie?

W porządku. Pracowałam. Za jakiś czas będzie mnie stać na to, żeby coś tu kupić. Co znalazłeś?

Ano na przykład to. — Przywołał ją gestem. — Wspaniałe wiersze miłosne pewnego *boliviano*.

Naprawdę? — Schyliła się nad książką, jej włosy musnęły jego ramię. Byli tak blisko siebie, że nawet piorun trafia czasem ludzi stojących w trochę większej odległości.

O, proszę. — Położył swój długi, smukły palec przy jednym z wersów. Kremowa kartka była zrobiona z gruboziarnistego papieru. — Posłuchaj: *Wysączyć cię w tysiącu haustów*. Co o tym sądzisz?

Tak.

Co „tak”?

— Tak, podoba mi się.

— Mnie też. — Pokręcił głową. — I jeszcze wiersz o wojnie, zaraz go znajdę. — Zaczął przerzucać kartki.

— Nie przejmuj się, jeżeli go nie znajdziesz.

— Masz rację. Tyle tu rzeczy do czytania. Usiadła na podłodze u jego stóp.

*Kochana Mamo*

*Piszę, jak obiecałam. Jestem w Buenos Aires - adres zamieszczam poniżej. Żyje mi się tu bardzo dobrze. Pracuję w eleganckiej restauracji. Mieszkam w domu, który jest pomalowany na zielono. To piękne miasto. Napisałam kilka nowych wierszy, które też załączam. Mam nadzieję, że Ci się spodobają. Proszę, nie pokazuj ich nikomu innemu (oprócz Coco, oczywiście, która Ci je przeczyta). Proszę, nie gniewaj się. I proszę, nie tęsknij za mną. Wkrótce znowu napiszę.*

*Ucałowania.*

*Eva.*

Po trzech tygodniach nadeszła paczka. W środku były zawiniątko z grubego płótna oraz list:

*Kochana Evo*

*Dziękuję za list. Cieszę się, że jesteś zadowolona. Nie masz jednak prawa rozkazywać mi, abym za Tobą nie tęskniła. Jeżeli jeszcze raz to powiesz, pogniewam się. Dopóki sama nie zostaniesz matką, nie zrozumiesz tego.*

*Coco pisze dla mnie ten list. Mówi, że powinnam się cieszyć, bo wiem, że moje dziecko żyje. Prosi, żebym Ci przekazała, że Andrés zniknął tej samej nocy co i Ty. Jeżeli tylko wiesz coś o nim, błagam, daj znać, co się z nim dzieje. To mówię ja, Coco.*

*Teraz znowu Pajarita. Pij herbatę z ziół, które Ci wysyłam. Dwa razy dziennie. Możesz też dosypywać je do mate. W następnym miesiącu znowu Ci przyślę.*

*Proszę, pisz do mnie.*

*Mami*

Eva otworzyła zawiniątko. W środku leżały suszone liście i czarne korzenie o dymnym, gorzkim zapachu. Mami — jej dłonie trzymające słoik, pozłoczone słońcem w kuchni. Zawiązała z powrotem supeł i rzuciła go za łóżko. Za ścianą rozległ się jęk, a potem seria postękiwań niemłodego zapewne klienta.

Nie potrzebowała już takich zawiniątek. Mieszkała w najbardziej kosmopolitycznym mieście świata. Chodziła na wieczory poetyckie, gdzie nikt, ale to zupełnie nikt nie miał pojęcia, że jest kelnerką, córką robotnika, dziewczyną, która kiedyś c łowała się ze strachu w cholewach skórzanych butów, straciła władzę w nogach i odzyskała ją dzięki dziwnym naparom. Teraz mogła stworzyć siebie od nowa, jak ta aktorka radiowa o tym samym imieniu, która została metresą ministra pracy. Eva Duarte. W szufladzie, pod stanikami, trzymała jej fotografię wyciętą z gazety. Przestudiowała każdy szczegół tego wycinka: blond włosy, drogie kamienie na szyi i triumfalny uśmiech dziewczyny z ludu. Nosiła brylanty, ale nadal upominała się o dobro ubogich. Za ścianą stary mężczyzna osiągnął szczyt rozkoszy i ucichł. Po chwili nastąpił szelest wciąganych spodni, brzęk paska i monet. Eva wróciła myślą do fotografii. Upnie swoje ciemne włosy w wysoki kok. Wyskubie i narysuje ołówkiem brwi. Będzie przeglądać się w lustrze i zachwycać tym, jak wspaniale potrafiła się przemienić w kogoś nowego.

Budzić się w pokoju Andresa — było w tym coś magicznego. Nie chodziło o to, żeby po prostu wstać z łóżka — nadal sypiała sama, w swoim pokoju — lecz o to, żeby przejść obok i powoli

wspólnie witać dzień nad kolejnymi rundami mate. Kiedy siadała obok niego na łóżku, miał jeszcze rozczochrane włosy i powieki nabrzmiące snem.

Słabe światło zajrzało przez zakurzone okno. Eva w milczeniu zalała liście wodą.

— Jeszcze trochę, Andrés?

— No pewnie.

— *Yerba* jest tu okropnie gorzka — stwierdziła, podając mu tykwę.

— Mnie smakuje.

— Pójdiesz dziś na czytanie poezji do Libertad?

— Muszę pracować.

— Aha.

— Idź sama. Nie czekaj na mnie.

Eva kiwnęła głową. Wiedziała, że i tak nie pójdzie. Ostatnim razem, kiedy była tam sama, zaczął ją jakiś mężczyzna o podkreślonych wąsach (podawał się za malarza). „Chciałbym posłuchać pani wierszy”. Rozjaśniła się na moment. „I chciałbym namalować pani akt”. Tamtego wieczoru pierwszy raz zatęskniła za La Diablita. Nawet pozer Pepe wzbudził w niej ciepłe wspomnienia.

— Może następnym razem — powiedziała.

— Tak, następnym razem. — Andrés pociągnął przez *bombille* tyk mate.

Jakże chciałyby podążyć językiem za tą metalową słomką. Tak bardzo pragnęła, aby chwycił ją za nadgarstki, przycisnął do ściany, aby ocierał się o nią, zdierał z niej ubranie i przytulał ją, błagając, żeby zechciała się z nim kochać, błagając, żeby pozwoliła dotykać się po nogach, między nogami i wyżej. Przekonałyby się o jego pożądaniu i otworzyłyby się jak kwiat, szeroko, z radością, cudownie, bo to byłby cud. Byliby dla siebie prośbą i jej spełnieniem, grzechem i zbawieniem. Potem już by się nie rozstali, bo on chciałby z nią pozostać, to stałoby się oczywiste. Na razie trudno go rozszyfrować, jest grzeczny, zachowuje się po dżentelmeńsku. Szanuje ją, tymczasem ona

marzy, aby nabrał odwagi. Jeszcze nie pora, myśli, tymczasem mijają tygodnie. Już zima, ulice są mokre od deszczu. Może la pora nadejdzie, kiedy obydwoje mocniej staną na nogach.

— Czy nie myślałeś o tym, żeby napisać do domu? — zapytała pewnego październikowego popołudnia.

Ulewa bębniła o szyby. Na podłodze stało wiadro, do którego kapała woda z sufitu. - Nie.

— Dlaczego nie?

Coś zadziwiającego stało się z jego twarzą — po prostu się zapadła czy też może spadła z niej maska i Eva zobaczyła ciemność. Andres wbił wzrok w swoje dłonie. Z sufitu kapały brązowe krople.

Eva pomyślała o liście pełnym wtrąceń Coco, który leżał w jej szufladzie.

— Twoja matka bardzo się martwi.

Andrés się odwrócił. Widziała teraz tył jego głowy i fale ciemnych włosów przyklepione do skóry. Po ścianie tuż za nim piał się karaluch, zygzakami, jak pijany. Nie odgradzaj się ode innie, prosiła Andresa w myślach.

Kiedy ponownie na nią spojrział, miał swoją zwykłą minę, lakby nikt nigdy nie uczynił w tym pokoju wzmianki o jego malce.

Czy uwierzysz, że Perón został aresztowany? Eva podjęła temat, byle tylko utrzymać atmosferę swobodnej rozmowy. Nie mogła przecież zostać sama w tym olbrzymim mieście, wołała więc dyskutować o tym, że Perón trafił za kraiki, że związki zawodowe, które tak popierał, były tym wzburzone i że Eva Duarte wezwała je swoim radiowym głosem do protestu („Perón was kocha, robotnicy, bo jak inaczej mógłby kochać mnie?"). Kiedy masowo przemaszerują przez bulwary z iransparentami, skandując: „Wolność dla robotników, wolność dla l'cróna", Eva wesprze ten naelektryzowany tłum okrzykami w/noszonymi ze swojego okna, lecz nie starczy jej odwagi, by zejść i manifestować na ulicy, sama w morzu obcych.

Peróna w końcu zwolniono. Wiosna objęła miasto w swe dorodne, wilgotne ramiona. Klienci, spragnieni chianti i dobrze przyprawionego *churrasco*, licznie przesiadywali przy nakrytych obrusami stołach u Don Rufina. Eva pracowała do coraz późniejszych godzin wieczornych, a żeby zapomnieć

o Don Rufinie, podobnie jak inne kelnerki pociągała na zapleczu gin. Te wiejskie dziewczyny usiłujące zadomowić się w mieście śmiały się z jego dowcipów i uśmiechały, gdy obmacywał je w kuchni. Eva umiała sobie z nim radzić. Do mistrzostwa opanowała sztukę robienia szybkich uników z sympatyczną miną, udając, że jest zbyt pochłonięta pracą, by ją przerwać, kiedy zbliżał swoje łapska. Najwyraźniej jednak zaczynał się niecierpliwić i nie wiadomo było, jak długo jeszcze zechce ją trzymać. Poza tym jak długo sama zechce u niego zostać? Zadawała sobie to pytanie, wlewając do ust alkohol prosto z piersiówki, schowana za workami z ryżem i fasolą. Jest w Buenos Aires od czterech miesięcy

i przez ten czas ani nie opublikowała żadnego wiersza, ani nie doczekała się od Andresa choćby słowa miłości. Po co tu przyjechała? Po to, żeby męczyć się razem z nim, by starczyło na czynsz, i odpierać zakusy kolejnego pracodawcy, podczas gdy kochany przez nią mężczyzna wyrabia Bóg jeden wie co w kabarecie, gdzie kobiety — nie byle jakie kobiety, ale piękne i efektowne *porteñas* — cieszą się jego dowcipem i urodą? Tymczasem ona jak idiotka czeka na gest z jego strony, jakby była niewinną białą lilią w bukicie. W dodatku prawie przestała pisać. Zdjęła z półki butelkę ginu i napełniła piersiówkę. W korytarzu słychać było gromkie pokrzykiwania kucharzy. Ostatni haust — i z powrotem do pracy. Dzisiaj przestanie czekać.

Kiedy Eva dotarła do San Telmo, na niebie pysznił się księżyc, a na ulicy jarzyły się lampy. Wydekoltowane prostytutki czekały na klientów, mężczyźni przesiadywali na balkonach, grajek z bliznami na rękach grał na akordeonie. Weszła po skrzypiących schodach. Przez szparę pod drzwiami Andresa

sączyło się światło. Kiedy jej otworzył, poczuła zapach kabaretu - mieszanek perfum, papierosów i potu.

- Mogę wejść?

- Oczywiście. Usiądź na szezlongu. — Wskazał gestem zardzewiałe łóżko. Wyglądał na zmęczonego. — Jak ci się dziś pracowało?

- Dobrze, tylko że za długo. A tobie?

- Tak samo.

- Wymagający klienci z tych *argentinos*.

- To prawda.

- Szefowie też są tu wymagający.

Przytaknął. Wziął szmatkę i zaczął polerować swoje czarne buty. Zręcznie przesuwiał palce po wszystkich zaokrągleniach. Eva pomyślała, że na pewno ma ciepłe ręce.

- I co, trafiły ci się dziś jakieś miłe *porteñas*!

- One są przekonane, że cały świat do nich należy. Mówię o tych bogatych, bo pozostałe są miłe.

- Chodzi mi o to, czy kogoś poznałeś.

- Ja? Nie. A ty?

- Nie.

- Mnie nie trafiła się żadna miła *porteña*, ale tobie może się trafił jakiś miły *porteño*!

Zachichotała. Andrés wypolerował obcasy obu butów.

- Wiem, co miałeś na myśli, *jbandido*! Nie, żaden *argentino* nie wpadł mi w oko. — Nachyliła się w jego stronę. — Dobrze wiesz, że już dawno temu ktoś inny w nie wpadł.

- Coś takiego?

- Tak. Pewien *uruguayo*.

Postawił buty na podłodze i przez chwilę nie odrywał od nich oczu. W końcu ostrożnie usiadł obok Ewy na łóżku. Patrzył na nią pytająco, sondował ją, jakby chciał otrzymać odpowiedź na jakieś ważne pytanie. Była wreszcie blisko, zbliżała się do jego tajemnic, do czystego, cudownego ognia, który w nim płonął. Namacała jego dłoń i przykryła ją swoją dłonią. Zrobił taką minę, jakby zaraz miał się rozplakać. Pod-



niosła jego palce do swojej twarzy i wodziła nimi po policzku, na którym zostawiała ślad ciepła i pasty do butów.

— Eva — wyszeptał. — Jesteś niemożliwie piękna.

Ich usta najpierw się musnęły, potem przywarły do siebie i rozchyliły. Miał mokre, pachnące piżmem wargi, których wilgoć powoli przenikała do jej ust. Zanurzył rękę w jej włosach. Porozpinała mu guziki, włożyła ręce pod koszulę. Miał gorącą, jędrną skórę, której bardzo pożądała.

— Eva.

— Andrés.

— Poczekaj.

Puścił jej włosy, zdjął jej dłonie ze swojej piersi i przytrzymał je. Wyglądały jak dwa bezsilne ptaki. Zaczął:

— Ja... — urwał, lecz po chwili dokończył: — Nie chciałbym, żebyśmy zrobili coś, czego będziemy żałować.

— Ja nie będę tego żałować.

— Co raz się stanie, już się nie odstanie — powiedział.

— I co z tego? Już to robiłam. — Zawstydziała się, kiedy zdała sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało. — To znaczy... w moim sercu. — Andrés stał nieruchomo. Zabrała ręce i spytała: — Nie chcesz?

— Nie, nie o to chodzi...

— A o co?

— Chodź tutaj.

Otoczył ją ramionami i przycisnął do serca, którego rytm słyszała teraz w uchu. Czuła się niepewnie, nie rozumiała, co Andrés ma na myśli i co się dzieje, więc postanowiła stawić mu opór, lecz jej ciało zdradziecko przywarło do niego, spragnione i chętne do kapitulacji. W tym momencie zobaczyła twarz i ręce swojego ojca — bezwzględnie przyciągały małą dziewczynkę, która właśnie zgodziła się pracować w sklepie z butami. Coś w niej się poruszyło, podeszło do gardła i zaczęło nią wstrząsać z siłą, nad którą nie mogła zapanować. Szlochała jeszcze bardziej, kiedy z przerażeniem zorientowała się, że wysmarowała smarkami pierś Andresa.

- Cicho, cicho — uspokajał ją. — *Ya, ya*. Płakała, dopóki nie zabrakło jej łez. Wtedy oparła się na jego mokrej piersi i zasnęła.

Zbudziły ją we własnym łóżku wrzaski dochodzące z parteru. U mieszkającej tam pary znowu wybuchła kłótnia. Ktoś cisnął o ścianę lampą, krzesłem czy — nie daj Boże — dzieckiem. Łół rozsadzał jej czaszkę. Usiadła, półprzytomna. Zza ściany po prawej też coś było słychać — to klient sąsiadki krakał jak gawron. Wiedziała, że jedyne lekarstwo na takiego kaca to duża ilość mate. Może Andres zdążył już zagrzać wodę. Andres — przypomniał się jej wczorajszy wieczór.

Wstała. Pod jej drzwiami leżała wsunięta koperta. W środku znalazła sześćdziesiąt peso i kilka zdań.

*Querida Eva*

*Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałem. Zostawiam Ci tych parę groszy, może Ci trochę pomogą. Przykro mi, że to wszystko następuje tak niespodziewanie. Przepraszam, jeśli kiedykolwiek przeze mnie cierpiałas.*

*Bądź dla siebie dobra, chiquilina.*

*Twój*

*Andres*

Słowa rozbijały się o jej zmartwiały umysł. Pobiegła do pokoju Andresa. Stała tam — pusta kobieta w pustym pokoju. Zdarła prześcieradło z materaca, ale nic nie znalazła, otworzyła icdną szufladę — też nic, otworzyła drugą — nadal nic. Zatrzasnęła ją tak mocno, że cała komoda uderzyła o ścianę, wydając dziwny dźwięk. Eva patrzyła na mebel z wyszczerbionym blatem i krzywymi nogami. Spod spodu wytoczyła się inkaś tubka w kolorze miedzi. Szminka do ust. Podniosła ją. Wiedziała, że mężczyźni miewają kobiety — jej ojciec miał kochanki, ojciec Andresa również — ale czy to jest powód,

aby ją okłamać i zostawić? Otworzyła szminkę, która okazała się krwistoczerwona. Rzuciła ją na podłogę i patrzyła, jak się turla i znika pod meblem. W środku czuła straszliwy chłód, kruchość i chłód. Była tak krucha, że mogła się złamać w każdej chwili.

Wszystko może się przetoczyć przez powierzchnię życia i zniknąć: ciepła mata w dżdżyste poranki, zapomniana szminka, szczupłe palce jedyne go przyjaciela, dziewczyna, która w myślach porównywała się do lilii, i ten kawałek Buenos Aires, miasta labiryntu, który się uważało za dom.

*Sola. Sama.*

Osunęła się na podłogę. Zaraz się zapadnie pod ziemię, zniknie, ucieknie od tego chłodu i miasta, które napiera na nią ze wszystkich stron. Bardzo łatwo jest zniknąć, kiedy jest się niczym. Zapadnie się w ciemną, skórzaną jamę, przyczai się między jej wilgotnymi ścianami, bo jama nadal istnieje. Nadal doskonale pamięta, jak tam trafić.

Zwinęła się w kłębek i przywarła do podeszwy. Natychmiast otoczyli ją ojciec i Piętro, ale nie mogli jej dosięgnąć. Przekrwiona twarz ojca sprawiała wrażenie, że krzyczy, lecz z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Piętro się śmiał i patrzył pożądliwie, jego twarz zlewała się w jedno z twarzą ojca, a następnie od niej oddzielała, potem znowu się zlewała i tak w kółko.

Struna czasu napięła się do granic wytrzymałości.

Piętro, Papá, Piętro —jeden przechodził w drugiego, potem zmieniali się w Andresa, który knykciami wielkości ludzkiej głowy wciskał ją w obcas buta. W oddali Beatriz zanosila się śmiechem. Siedziała w La Diablicie, Eva czuła dochodzące stamtąd ciepło, słyszała głosy poetów, którzy się spierali, coś śpiewali i też ryczeli ze śmiechu, bez ustanku, bez końca, aż wreszcie ich wesołość przerodziła się w okrzyk przerażenia, bo zaczęły na nich spadać niemieckie bomby. Ich wrzaski przenikały do skórzanej jamy, zalewały ją, były rozszalałą rzeką, zdolną utopić i porwać z sobą Evę.

Jakiś głos przedarł się przez ciemność.

— *Señorita*. Słyszysz mnie pani? To nie jest pani pokój! Usiadła. Już dawno zapadła noc. Zmrużyła oczy i zobaczyła właścicielkę domu, a raczej rozpoznała jej przypudrowane zmarszczki i ptasie oczy.

— Przepraszam.

Dwa karaluchy spacerowały jak gdyby nigdy nic po jej ramieniu.

— Naprawdę? Proszę iść do swojego pokoju, zanim i stamtąd panią wyrzucę.

Eva wstała i zataczając się, podreptała do siebie. Głowa jej pękała. Spojrzała na zegarek — dochodziła dwunasta w nocy. Już od czterech godzin powinna być w pracy. Zmieniła bluzkę najszybciej, jak mogła, i pobięła.

Don Rufino na powitanie puścił jej w nos kłęb dymu z cygara.

— Kogo to ja widzę? Księżniczka Eva!

— *Señor*, bardzo przepraszam...

— Przepraszasz? Zostawiasz mnie bez pomocy w noc, kiedy jest najwięcej klientów?

— Zdarzył się wypadek. To już się nie powtórzy.

— Na pewno się nie powtórzy, bo cię zwalniam — powiedział i zbliżył się do niej. Jego szklane oko patrzyło w podłogę, a białko zdrowego oka zaczerwieniło się, bo jak sam zwykł mawiać, był w połowie diabłem. Naparł na nią brzuchem. — Oczywiście jest sposób na to, żebyś naprawiła swoje winy.

Eva wstrzymała oddech, aby nie czuć jego zapachu.

— *¿Sí?*

— Powiem ci jutro, o co chodzi. Przyjdź do mnie po południu, będę w magazynie. — Dotknął jej jak potencjalny kupiec, który sprawdza towar na targu. — Zobaczymy, co da się zrobić.

Eva wróciła do siebie i usiadła na łóżku. W obu sąsiednich pokojach panowała cisza. Nie miała ochoty myśleć, nie dopuszczała do siebie żadnych rozważań o jutrze. Położyła się i pozwoliła, aby zmógł ją sen.

Obudziła się, kiedy było jasno. Spróbowała usiąść, ale udało się jej tylko unieść na łokciach. Poklepała się po udzie. Nic nie poczuła. Jej nogi zamarły. Były puste, niezamieszkane, niedosiężne. Nie będzie żadnego spotkania w magazynie ani szklanego oka, ani stołów nakrytych białymi obrusami, ani pieniędzy. Nie wstanie z łóżka. Świat może sobie czekać, żeby się podniosła i zaśmiała mu w nos. Nie robi tego. Jest sparaliżowana, nie może się ruszyć, decyzja zapadła. To całkiem łatwe: już ona tak to urządzi, żeby było łatwe. Po prostu schowa się w głębokim czarnym bucie, odgrodzi od hałasów Buenos Aires, ucieknie od łańcucha niepowodzeń, od pustego pokoju, w którym została jedynie szminka do ust. Będzie leżeć i czekać na śmierć.

Czas mijał — przyspieszał, potem się włókł i tak na zmianę.

Słońce doszło do zenitu i zaczęło schodzić coraz niżej.

Nastąpiła rozgorączkowana, jakby naładowana elektrycznością noc.

Świt przyniósł światło, które powoli rozprostowywało członki, by następnie z równą powolnością zamienić się w noc.

Eva wyszła ze swojego ciała. Nie była już młodą kobietą w zardzewiałym łóżku, lecz przezroczystą, rozproszoną mgłą. Nie działały na nią ani chłód, ani gorąco. Jedyne, co się liczyło, to zapomnienie, niezwykła lekkość bycia niczym. Wznosiła się wyżej i wyżej, przez sufit do nieba, kołysana prądami powietrza, jasnego i skłębionego, ciemnego i spokojnego, powietrza, w którym rysował się świetlny prześwit. Przepłynie tamtędy na drugą stronę, by spotkać tam — kogo? Może Boga? Zresztą wszystko jedno.

— Eva.

Poruszenie, szelest. Drzewo, a na drzewie Pajarita, ciemnowłosa i ciemnooka.

— Co ty tutaj robisz?

— Umieram, Mami. Już prawie umarłam — popłynęły słowa bardziej odczute niż wypowiedziane.

— Ale dlaczego?

— Za dużo.

- *Mija* — Pajarita wysunęła głowę zza gałęzi. — Nie bądź głupia. Nie wpuszczę cię.

- Nie dam rady. Sama. Całkiem sama.

- Sama? — Rozległ się śmiech matki. — Ależ ty masz pomysły.

Poruszenie, szelest. Twarz Pajarity odpływa. Drzewo się rozmazuje. Prześwit się zamyka, zostaje po nim tylko nitka światła. Powietrze opada, ona opada wraz z powietrzem, wszystko i nic wpada na siebie i zmienia się w coś twardego.

Eva otworzyła oczy. Spokojne światło poranka zalewało ściany. Nagle odezwała się cała masa odczuć: ból karku i ramion, głód, pragnienie, ból głowy ciężkiej jak ołów. Poruszyła szyją i palcami, aby się przekonać, czy nadal może to zrobić. Mogła; od pasa w dół nic nie czuła — za to od pasa w górę czuła ból i głód, była żywa.

- *Socorro*. — Zabrzmiało to jak skrzeczenie żaby. Po-slanowiła zmusić klatkę piersiową do tego, aby się otwarła. Spróbowała raz jeszcze: — *Por favor...* na pomoc...

W końcu ktoś cicho zastukał do drzwi.

- *¡Ché!* Wszystko w porządku?

- Wejdz, proszę.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich sąsiadka prostytutka z różowym ręcznikiem przewieszonym przez ramię i szczoteczki do zębów. Żylasta, chuda kobieta z workami pod niebieskimi oczami.

Zdawało mi się, że... do licha, co z tobą?

- Nie mogę się ruszyć. Zadzwoń do szpitala.

Poszła poszukać miejsca, z którego mogłaby zadzwonić. Eva przekreśliła się twarzą do ściany. Kiedy tak czekała, stanął jej przed oczami — bardziej niż się przypomniał — obraz siebie wrzucającej za łóżko zawiniątko pełne liści i korzeni. Wyciągnęła je spod ściany i położyła przy swoich nieruchomych nogach.

Umieścili ją w białym pokoju o nagich ścianach. Za oknem majaczył budynek szpitala, sterylny, nieprzyjazny, nieznany, olbrzymi. Następnego dnia obudziły ją kroki na korytarzu. Do jej drzwi zbliżała się grupa ludzi.

— Tutaj mamy dość zastanawiający przypadek — usłyszała jakiś głos. — Częściowy paraliż, odrętwienie, gorączka, odwodnienie, niedożywienie, bóle o niewyjaśnionej etiologii, histeria, urojenia.

Do środka weszło stadko białych ptaków w fartuchach laboratoryjnych. Wykładowca pierwszy, za nim studenci. Eva poczuła ich wzrok na swoich zmierzwionych włosach, spoconym ciele i porzucanych notatkach do niedokończonych wierszy na stalowym pulpicie ustawionym w poprzek łóżka. Oparła się o poduszki.

— *Buenas tardes* — powiedziała.

Studenci zaszurali nogami. Jej ciało domagało się wody.

— W trakcie badania proszę zwrócić uwagę na wszelkie drobne nieprawidłowości — polecił lekarz, łysiejący mężczyzna o mocnych szczękach. — Czy są jakieś pytania?

Pokręcili głowami.

— Panie doktorze? — spytała Eva.

— W takim razie zaczynamy. — Lekarz odrzucił prześcieradło, którym była przykryta. Przystawił stetoskop do jej piersi, potem obmacał kark, ramiona, dłonie i pas, cały czas przekazując studentom swoje komentarze. Ucisnął jej uda. — Czuje coś pani?

— Nie.

— Proszę unieść prawą nogę. Spróbowała, ale noga została na materacu.

— Lewą nogę. Nadal nic.

— Interesujące. — Zrobił krótki wpis w jej karcie choroby. — No dobrze. Zajmie się tym doktor Santos, który zbada pacjentkę dziś po południu.

Pióra w rękach studentów gryzmoliły coś na podkładkach do pisania.

Idziemy — zarządził wykładowca i tłumek się rozproszył. Panie doktorze! — zawołała Eva. Odwrócił się.

- Słucham?

Czy mogę prosić o wodę?

- *Bueno*. Pielęgniarka się panią zajmie. — Uśmiechnął się nerwowo i tyle go widziała.

Eva oparła się o wykrochmaloną, białą poduszkę. Powinna być wdzięczna za to, że znalazła się w tym czystym pokoju, choć była to aseptyczna, nieprzyjemna klatka, do której zaglądali nieproszeni goście. Była zdana na ich łaskę i niełaskę. Nie wypytywali zanedo o jej życie, ona zaś nie paliła się do lego, aby o nim opowiadać. Nie musieli nic wiedzieć o ucieczce Andresa, o jego zasmarkanej piersi, o matce w świetlnym prześwicie i o ojcu w bucie. Mogą sobie nawet myśleć, że zwariowała, ona i tak wie, kim jest — żywym człowiekiem, nadal oddycha i to jest cudowne. Znowu zacznie chodzić. Być może zacznie chodzić. A jeśli zacznie, wyrwie się jak strzała ku przyszłości, pobiegnie w przód i nigdy nie obejrzy się za siebie. Nie wiedziała, dokąd dojdzie, ale na pewno wyruszy ku nowym lądom, zaciśnie zęby i będzie szukać cudu, bo miała już. dosyć karaluchów, zdrad, chowania się do butów. Nagi pejzaż świata rozpościerał się wokół niej, kiedy tylko zamykała oczy. Wróciła do poezji. Słowa strzelały z niej jak iskry, nawet gdyby chciała, nie mogłaby ich zatrzymać. Wers po wersie wypalały kartki przyniesione przez uprzejmą pielęgniarkę. Pióro przesuwano się po papierze i zostawiało na nim ślady, które ją samą zadziwiały. Nie miała nic poza tymi wierszami i ziołami od matki, które wsypywała ukradkiem do mate, tak żeby pielęgniarki się nie zorientowały.

Znowu wzięła pióro i napisała: *Mam tylko ciebie, ogniu. Naga podchodzę do ciebie.*

Tak bardzo chciało się jej pić. Ktoś szybko chodził tam i z, powrotem po korytarzu. *Ogarnij mnie całą, niebieski języku, głodna podchodzę do ciebie.*



Wyrwała kartkę z notesu i upuściła ją na podłogę. Następna strona. *Przeszukałam dzikie ostępy/ Strumienie przerażenia, nieoznaczone drogi/ Bo chciałam osiąść tajemne imię.*

Dzień za oknem nabierał barwy złota. Następna strona. *Nadzieja jest wszędzie tam/ Gdzie jest poezja.*

Za drzwiami rozległ się kobiecy śmiech jak rechot czarownicy. *Wiersze jak igły budzą cię z rojeń/ Wiersze przenoszą kobietę do nieba.*

Pukanie do drzwi. Weszła pielęgniarzka z wózkiem inwalidzkim.

— Pójdziemy do doktora Santosa — oznajmiła takim tonem, jakby chodziło o audiencję u papieża.

Eva najpierw dostała wody do picia, potem została obmyta gąbką, a w końcu posadzono ją na wózku i powieszono przez wąskie korytarze. Wszędzie byli jacyś ludzie: pielęgniarzki, mężczyźni w fartuchach, mężczyzna z zabandażowanym torsem i udręką w oczach, kobieta pod kroplówką, która nucila coś cichutko, szlochając. Eva przejechała przez szare dwuskrzydłowe drzwi. Znowu pojawili się studenci w białych fartuchach. Między nimi stał trzydziestoparoletni mężczyzna z dużym nosem i zaokrąglonym brzuchem, który wręcz promieniował autorytetem.

— Panie doktorze, przywiozłam pacjentkę.

Doktor Santos spojrzał na Evę znad trzymanej w ręku podkładki do pisania. Jego wzrok wyrażał chłodny spokój.

— *Señorita Firielli*, tak? — powiedział uprzejmym, opanowanym tonem. — Jak się pani czuje?

— Nie najlepiej.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Niełatwo być chorym.

— Niełatwo być w szpitalu.

Białe fartuchy poruszyły się niespokojnie. Doktor Santos przyjrzał się Evie.

— Naprawdę?

Powiedziała za dużo. Zaczerwieniła się.

— Tak.

Mogę spytać dlaczego?

Z powodu lekarzy. Nie szanują pacjentów.

Wyraz jego twarzy pozostał niezmienny, ale Evie się zdawało, że drgnęły mu kąciki ust.

W takim razie, *señorita*, proszę przyjąć ode mnie przeprosiny. Mam nadzieję, że zdołamy poprawić swoją reputację. — Zjrzał do jej historii choroby. — Przyjęto panią z objawami paraliżu, wysokiej temperatury, rozległych bólów, w tym ostrego bólu głowy. Czy tak?

Kiwnęła głową.

Teraz panią zbadam.

Studenci stworzyli wokół nich milczący krąg. Lekarz dotykał jej karku, opukiwał ramiona, uciskał plecy. Miał ciepłe, delikatne palce. Poruszały się wzdłuż jej kręgosłupa jak po dobrze znanej klatce schodowej.

Doktor Santos pokiwał głową sam do siebie i wpisał coś do dokumentacji. Studenci ruszyli za nim do pokoju obok na omówienie badania. Kiedy stamtąd wyszli, Santos trzymał w ręku jakąś fiolkę.

Proszę zostawić mnie samego z pacjentką.

Białe fartuchy posłusznie opuściły salę. Lekarz przysunął luboret do wózka Evy i usiadł.

Proszę posłuchać. — Jego nos był podobny do ptasiego dzioba. Obok niej siedział wielki biały ptak i coś mówił. — Na niczym nie zależy mi bardziej niż na tym, aby pani pomóc. — Pokazał jej fiolkę pełną różowych tabletek. — To lekarstwo jest najnowszym osiągnięciem medycyny. Potrafi wiele zdziałać dokładnie w takich przypadkach jak pani. Jeżeli będzie je pani przyjmować regularnie, poczuje się pani lepiej. A chce pani poczuć się lepiej, prawda?

Sondował ją wzrokiem. Miał taki biały, nakrochmalony fartuch. Przytaknęła.

Chcę, żeby pani zaczęła leczenie. — Położył na jej dłoni trzy tabletki. Prawie nic nie ważyły. — Proszę to zażyć. Odtąd zacznie pani zdrowieć.

Eva zacisnęła dłoń. Nie jest wariatką, nie jest zgubiona, znajdzie jeszcze swoją drogę. Nie spuszczać oczu z lekarza, wsunęła do ust tabletki. Pomóżcie mi, pomyślała i połknęła je. Dostała znak. Zaczął się proces jej zdrowienia. Będzie zdrowa.

•••

Doktor Roberto Santos umieścił swój zbliżający się ślub w szufladce z napisem „rzeczy słuszne, do wykonania”. Bezsprzecznie było to bardzo rozsądne zaszufadkowanie. Nie miał wątpliwości, że wyniknie z tego trochę szczęścia, nie tylko dla Cristiny Caracanes, która zdążyła już sprowadzić kilometry weneckiej koronki (pod żadnym pozorem nie mógł jej zobaczyć), ale również dla jego rodziców. Nazwisko rodziny nie ucierpi na tym, wręcz przeciwnie. Ożenek był postrzegany w jego rodzinie jako możliwość odejścia od tradycji, z którą rodzice doktora przez całe życie pragnęli zerwać. Jego matka, Estela, obsesyjnie wręcz pragnęła, aby „skończyć z przekleństwem”, i zawsze mówiła o tym w taki sposób, jakby ich życie toczyło się za bramami jakiegoś zamku strzeżonego przez smoki i jakby sama była Śpiącą Królową, kiedy Reynaldo Santos znalazł ją wachlującą się nieopodal niedokończonych torów kolejowych pośrodku pampy. Owszem, była córką właściciela New World Railroad Co., a Reynaldo inżynierem zatrudnionym przez tę spółkę do nadzorowania budowy dróg żelaznych. Urzekły go cienkie kosmyki, które wysmyknęły się z jej koka i powiewały na wietrze. Był wykształcony, ale nie posiadał żadnego majątku ziemskiego. W jego żyłach płynęła błękitna krew, pochodził ze starej hiszpańskiej rodziny, jego drzewo genealogiczne sięgało kuzyna króla Ferdynanda Aragońskiego, lecz rodowe nazwisko splamił ojciec Reynalda, zwany Llanto, ostatni Mazorca. Llanto dołączył do tej organizacji w 1848 roku, kiedy dyktator Juan Manuel de Rosas starał się pomnożyć liczbę swoich zbirów, aby utrzymać ludność w nieustającym terrorze. Mazorca mieli tak wiele zadań, że nowych członków rekrutowali wśród własnych synów. Llanto dołączył do nich

w wieku szesnastu lat. Bardzo prędko nauczył się podcinać jednym pociągnięciem ręki gardła dwunastu klęczących nieszczęśników. Nauczył się, jak zmusić skrzypka, żeby nie mylił nut, kiedy wokół niego leje się krew. Lubował się w nabijaniu głów na zastrzone kije, które potem przez tydzień straszyły na Plaża de Mayo. W dniu dwudziestych urodzin miał na swoim koncie ponad dwie setki zabitych mężczyzn i kobiet oraz osiemdziesięcioro siedmioro dzieci. Kiedy dyktator został obalony, Llanto wycofał się w niesławie na równiny w okolicach Rosario. Gdy dobiegł sześćdziesiątki, wrócił do Buenos Aires, by znaleźć sobie przyzwoitą żonę. Znalazł Talitę, dwudziestodwuletnią wdowę, i spłodził pierwsze prawowite dziecko, Reynalda, przyszłego inżyniera. Reynaldo dorastał w cieniu rodzinnej spuścizny z silnym postanowieniem, że zmieni ją swoim życiem, tak jakby można było zeszkrobać krew i wstyd z nazwiska i jakby działania potomków mogły podzielać jak szczotka druciana. To dlatego ożenił się z najczystsza młodą panną, jaką kiedykolwiek spotkał — a spotkał ją z wachlarzem przy lorach, po których nie jeździł żaden pociąg. Pokochała go szczerze i nie czuła obciążenia historią Santosów, dopóki nie minął ich miesiąc miodowy w Rio de Janeiro.

Roberto Santos wiedział o plamie na nazwisku rodowym. Był zdeterminowany, by kontynuować wysiłki swojego ojca, który zwykł mawiać:

*Mira, Roberto. W życiu liczą się tylko trzy momenty. Wiesz jakie?*

Tak — odpowiadał Roberto i czekał na ciąg dalszy.

Narodziny, ślub i śmierć. To wszystko. A z tych trzech który od ciebie zależy? Tylko ślub. Więc postaraj się o naprawdę dobry wybór.

Przez całe lata Roberto nie miał jednak ochoty wybierać. Decyzja zdawała mu się zbyt poważna, ciężka jak lokomotywa, która pociągnęłaby za sobą setki wagonów. Nagle dźwigałby na swoich barkach całą historię rodziny. Dlatego wolał zająć się nauką. Najpierw był przodującym uczniem i studentem,

potem stał się cenionym lekarzem i wybitnym badaczem w dziedzinie medycyny. Nazwisko Santos napawało narodową dumą naukowców, intelektualistów, a w ostatnim czasie również elity z otoczenia Peróna. Tego wszystkiego było jednak rodzicom za mało. Chcieli, żeby ich jedyny syn się ożenił.

W końcu Roberto zdecydował się na ślub. Wybrał Cristinę Caracanes z jej doskonałą ondulacją, kurtuazyjnym uśmiechem, wytwornymi herbatkami i balami charytatywnymi na rzecz sierot, które mają ogolone głowy i żebrzą, wyciągając do przechodniów metalowe puszkę. Jej rodowód był bez zarzutu, podobnie jak plisy jej sukienek. To ojciec zasugerował Robertowi ten wybór. Wyglądało nawet na to — sądząc z przebiegu herbatki w jej salonie, kiedy to gawędzili w popołudniowym świetle — że Cristina go lubi. A przynajmniej że z przyjemnością przeczytała doniesienia o swoich zaręczynach, jakie ukazały się na kolumnach towarzyskich gazet. Najmłodsza z trzech sióstr w wieku dwudziestu czterech lat wprost nie mogła doczekać się zamążpójścia. Miała trochę końską urodę, za to śmiała się jak wróbelek. Była schludna, świeżo wyprasowana i nudna, dokładnie odwrotnie niż ta *uruguaya*, która urządziła na niego najazd w swoim wózku inwalidzkim i strzela wierszami jak z karabinu maszynowego.

Los ma doprawdy dziwne poczucie humoru, absolutnie nie do przyjęcia w nobliwym towarzystwie, skoro przysłał do niego tę pacjentkę — idealny obiekt do prowadzenia interesujących badań, tyle że pod postacią kobiety niebezpiecznej jak odłamek szkła. Wiadomo, że najlepiej go nie dotykać, a jednocześnie człowiek czuje tym większą pokusę, aby przesunąć palcem po ostrej krawędzi.

Zajął się nią z zaangażowaniem, którego nie potrafił z siebie wykrzesać od lat. Nie powinien podawać jej trzy razy dziennie własnoręcznie pigułek. Nigdy nie robił tyle dla żadnego pacjenta. To z powodu jej skóry, tak gładkiej. Nie, to przez jej oczy. Nie. To przez jej ruchy. Szpitalna koszula nocna z burego płótna wygląda na niej jak satyna (ależ ona jest pewna siebie,

co za tupet). A może to dlatego, że jest taka krucha. A może to przez jej język. Codziennie liczył minuty dzielące go od chwili, kiedy dotknie jej ciepłego języka.

— *Señorita*, pigułki. — Czekał, aż podniesie głowę znad swojej pisaniny.

Uśmiechała się i otwierała usta.

Palce swędziały go i piekły, kiedy układał na poduszce jej języka trzy małe pigułki. Odczekiwał moment, po czym z wahaniem zabierał rękę, ona zaś chowała język i przechylała głowę, aby popić, odsłaniając naga szyję.

*Gracias* — mruczała. — Jest pan bardzo uprzejmy.

Cały czas zawzięcie pisała. Obserwował ją niekiedy z korytarza — wsparta na poduszkach, z brwią zmarszczoną w pełnym napięcia natchnieniu, zaczerniała kolejne strony. Cóż za fascynujący przypadek. Objawy, które u niej obserwował, nie były typowe dla żadnej choroby. Eva przypominała dzikiego kota: była zgrabna, niespokojna i zmienna — a także inteligentna, inteligentniejsza od Cristiny z jej banalnymi plotkami, zresztą nie wyobrażał sobie Cristiny leżącej w łóżku zasłanym własnoręcznie napisanymi wierszami. Skądinąd nie wyobrażał sobie w wózku inwalidzkim, otoczonej najbiedniejszymi, najbardziej dotkniętymi przez los mieszkańcami miasta.

Ilekcroć zastanawiał się nad pochodzeniem Ewy, czuł się nieswojo. Starał się nie myśleć zbyt wiele o świecie, w którym z vi i jego pacjenci poza szpitalem, o jego brzydocie i zamęcie. Nawet teraz, jeśli chodzi o tę kobietę, wolał widzieć ją tu i teraz. Czasami porównywał ją do pstrąga morskiego — szpital był brzegiem, na który wyrzuciło ją morze; rzucała się na piasku, wzywając pomocy. On mógł jej tej pomocy udzielić, a przy tym nie musiał wchodzić do słonej wody ani ryzykować, że utonie. Należeli do dwóch różnych światów, które się z sobą nic mieszały. To było absolutnie nie do pomyślenia. Nigdy. To dlatego *argentinos* z jego klasy społecznej — a może jeszcze bardziej ci, którzy należeli do klasy Cristiny — byli tak zdegustowani tydzień temu, kiedy Perón poślubił Evę Duarte. Wziąć

taką kobietę na kochankę to jedno, ale ożenić się z nią? Miałyby zostać pierwszą damą, gdyby wygrał wybory?

— Doprawdy — jęknęła Cristina, stawiając z brzękiem porcelanową filiżankę na spodku — zastanawiam się, dokąd zmierza nasz kraj?

Cristina uczepiła się tematu, a Roberto Santos grzecznie jej potakiwał. Też się zastanawiał. Czy Eva była już czyjąś kochanką?

Otóż to, myślał sobie, kiedy przemierzał szpitalne korytarze, czytał wykres temperatury lub opukiwał bolące plecy pacjentki, to jest cała odpowiedź. Wszystkie jego rozterki brały się z czysto cielesnych odruchów. Gdyby zrobił z niej swoją kochankę — gdyby miał dość szczęścia i tupetu — uwolniłby się od gorączki, która go paliła. W czasie swoich wizyt we Flor de Oro wybierał dziewczęta podobne do niej w taki czy inny sposób. Kiedy taka dziewczyna leżała pod nim w jednym z pokoi na piętrze, wyobrażał sobie, że to Eva. Na próżno. Gdy budził się rano, jego myśl natychmiast biegła w stronę okropnego szpitalnego łóżka, gdzie leżała na pół sparaliżowana (Boże, pomóż), a tak olśniewająca, tak pociągająca, że mógłby ją zjeść jednym kęsem. Nie, sam siebie oszukuje. Przecież chce więcej niż te namiastki z Flor de Oro. Chce poznać Evę. Poznać — ale co dokładnie? Przecież nie jej przeszłość, już raczej kształt jej piersi, kiedy śpi, i zakręty jej myśli. Kryło się w niej coś zagadkowego, co czyniło z niej dziwną kobietę. Jej słowa były odpryskami tego, co tkwiło w jej wnętrzu. Chciał dowiedzieć się więcej. Desperacko wręcz pragnął przeczytać każdy z tych zapisanych na świstkach wierszy. Pielęgniarki zbierały je dla niego, kiedy Eva spała, a potem odnosiły na miejsce, zanim się zbudziła. Tłumaczył, że to na potrzeby jego badań. (To też go niepokoiło, bo pielęgniarki są bardzo domyślne. Co się stanie, jeżeli zaczną go podejrzewać? Co się stanie, jeżeli zaczną o tym rozpowiadać? Buenos Aires to może i duże miasto, ale wystarczająco małe, aby w mig rozeszła się plotka o ładnej młodej pacjentce i o lekarzu, który stara się zmyć hańbę

z imienia rodziny). Sumiennie kopiował treść tych świstków do historii jej choroby. Zachwycały go. Nie mógł się od tego powstrzymać. Każda strona była datowana drobnymi cyferkami w górnym prawym rogu, nawet jeżeli zawierała tylko jedno słowo, jak na przykład:

Absolut

albo

(sznurówka) albo

śpiewaj śpiewaj śpiewaj.

Bywały też dłuższe fragmenty:

Płonąc płonąc wspinam się

Porwij mnie w górę sprowadź w dół.

Albo tak dziwaczne sformułowania, jak:

Wynoś się z mojej klatki piersiowej Piracie rzeźniku szaleńcze.

Nogi się pod nim ugięły, kiedy przeczytał ten dwuwiersz:

Spadałam z krawędzi świata I wtedy zesłano mi Santosa.

Zrobiło mu się gorąco; rozpiął kołnierzyk koszuli. Szczęście i lupct — oto, co jest mu potrzebne. Poranek mijał spokojnie. Miał do swojej wyłącznej dyspozycji pokój lekarski, tymczasem siał w magazynku obok i czytał te urywki w świetle słabej żarówki. Poczul się głupio z powodu tych absurdałnych, aczkolwiek koniecznych środków ostrożności.



Ktoś zbliżał się do pokoju lekarskiego, słyszał kroki i instynktownie zamknął drzwi. Naprawdę to śmieszne tak się kryć między półkami z maskami chirurgicznymi. Trudno byłoby mu się z tego wytłumaczyć w zadowalający sposób.

— Parę łyków kawy i idziemy dalej. — To głos doktora Vasqueza. Szuranie stóp idących w stronę stolika z kawą, stłumiony brzęk kubków. — No i co pan sądzi o tej dziewczynie, tej poetce?

— Dziwny przypadek, panie doktorze — odezwał się głos należący zapewne do jakiegoś studenta. — Nigdy się nie zetknąłem z czymś podobnym.

— Sądzę, że hipoteza Santosa jest słuszna.

— Czy pacjentka się o tym dowie?

— Nie.

Nalewanie kawy, dzwonienie łyżeczek.

— To szaleństwo, panie doktorze.

— Wiem, wiem. Nie można jednak ujawnić pacjentowi, że dostaje placebo. Tak czy inaczej, jej szaleństwo jest nieszkodliwe.

— Co jeszcze można zrobić w takich przypadkach?

— Nic. Dzięki nim możemy jednak testować najnowsze leki. — Robertowi wydawało się, że wyczuwa drwinę w głosie kolegi. Miał ochotę wyrznąć pięścią w perkaty nos Vasqueza. Dwa kubki stuknęły o stalowy zlew i obaj mężczyźni wyszli.

Roberto otworzył drzwi i wziął głęboki oddech. Jednak znacznie wygodniej jest korzystać z pokoju lekarskiego, z jego nowoczesnymi krzesłami, dzbankiem do kawy, fikusem o pocętkowanych na brązowo liściach. Tutaj wszystko stoi na swoim miejscu, w należyтым porządku. Wszystko jest czyste, rozsądne i puste.

Propozycja doktora Santosa nie zdziwiła Evy. Podczas trzech spędzonych w szpitalu tygodni nie brakowało jej czasu na myślenie. Zdążyła zajrzeć w najgłębsze zakamarki swojego umysłu i stwierdzić z całą oczywistością pewne rzeczy — to mianowicie, że doznała wstrząsu, że mogła umrzeć i że nie ma

żadnych planów na przyszłość. Wobec Andresa zachowała się po prostu głupio, jak zasmarkane dziecko. Teraz jednak jej nogi znowu potrafią chodzić — na polecenie doktora sześć razy dziennie spaceruje po pokoju, między oknem a drzwiami. Wkrótce zostanie wypisana, będzie mogła iść, dokąd zechce, ly lko — właśnie — dokąd? Oczywiście nogi mogą zaprowadzić ją z powrotem do San Telmo, tam, skąd przyszła, do następnej nory pełnej szczurów i karaluchów i do następnego Don Rufina. Może też wrócić do domu, do Montevideo, z pustymi rękami i w zniszczonych butach, i skonfrontować się ze smutkiem matki, pretensjami ojca oraz przyjemnym, uregulowanym życiem swoich braci. Chyba wolałaby się utopić w Rio de la Plata. Pod jej stopami czai się jednak pustka, przepastna, ciemna otchłań. Jeśli tam wpadnie, nie wydobędzie się stamtąd już nigdy. Z kolei jeśli ma się ustrzec od upadku, nie może być taka, jak była.

Dowiedziała się również pewnych rzeczy o doktorze Santosie — tego, że studenci słuchają go w nabożnym skupieniu, że jest zaręczony (z panną Caracanes, szepnęła jej jedna z pielęgniarek), że drżą mu palce, kiedy kładzie na jej języku tabletki, że odwiedza ją z punktualnością zegarka, że mieszka w domu pełnym wytwornych przedmiotów i że ma wzrok wygłodniałego psa. Wiedziała, że nie jest złym człowiekiem — łatwo w końcu odróżnić tego, kto jest zły, od tego, kto jest głodny. Całymi liniami rozmyślała o jego wzroku i głodzie. I o swoim języku, mokrym, miękkim mięśniem, który doprowadzał go do drżenia. Doktor Roberto Santos drżał z jej powodu, mimo że był taki sławny i poważany.

Ostatniego dnia jak zwykle czekał w milczeniu, aż wysunie język, po czym położył na nim trzy różowe tabletki i zostawił słonawy smak swoich palców. Powiedział: To już ostatnia dawka.

Połknęła je bez popijania, przyglądając się Santosowi kartkującemu historię jej choroby.

Wszystko się ustabilizowało. Odzyskała pani w pełni zdolność chodzenia. Jutro zostanie pani wypisana ze szpita-

la. — Pokazał gestem okno. — Może pani wrócić do normalnego życia.

Eva spojrzała w okno, za którym wszystko wyglądało tak jak zwykle.  
— Rozumiem.

— Cieszy się pani?

Okno było jakby za małe i zbyt kwadratowe.

— Dlaczego miałabym się nie cieszyć?

— Cóż... — Nachylił się nad łóżkiem, tak że poczuła mydlany zapach jego wody po goleniu. — Muszę o coś spytać. Czy pani ma w ogóle jakiś dom, do którego może wrócić?

Złożyła ręce jak do modlitwy.

— W pewnym sensie.

— Jeśli dobrze rozumiem, przepraszam za śmiałość, nie jest to pewne miejsce?

— Niezupełnie.

— W takim razie mam pewną sugestię. A raczej propozycję. Patrzyła na swoje ręce i czekała.

— Załatwię dla pani mieszkanie.

— Nie sądziłam, że szpital prowadzi tego rodzaju programy!

— Nie, skądże. Nie mówię w imieniu szpitala. — Zakaszła. — Zajmę się tym osobiście.

Eva wiedziała, że istnieją różne rodzaje ciszy — pusta i pełna. Ta, która zapadła między nimi, obfitowała w niedopowiedzenia. Doktor Santos poprawił kołnierzyk. Spojrzał na zamknięte drzwi, a następnie na Evę, która powoli dobierając słowa, jak do układanki, zapytała:

— Czy proponuje mi pan, abym sprzedała swoją cnotę? Zamrugał.

— Nie, oczywiście, że nie. Ja tylko... cenię panią bardzo jako pacjentkę. Pani dobro obchodzi mnie w najwyższym stopniu.

— Rozumiem.

— Evo, niech pani pozwoli sobie pomóc. — Głos mu się załamał. — Chciałbym tylko, jeśli nie będzie pani miała nic

przeciwno temu, odwiedzać panią, aby się upewnić, że wszystko idzie dobrze. — Przerwał na chwilę. — Zależy mi na tym, aby dobrze się pani czuła.

Jego twarz była zupełnie obnażona. Eva się uśmiechnęła.

— Ja też chcę dobrze się czuć.

Doktor Santos wpatrywał się w jej oczy, usta, szyję, włosy i znowu w oczy. Zamknął historię choroby.

— Dobrze. — Jego fartuch zaszeleścił, kiedy wstawał. — W takim razie można uznać, że to załatwione.

Następnego ranka razem ze śniadaniem Eva znalazła na tacy białą kopertę. W środku był klucz, sześćset peso i niepodpisana wiadomość: „657 Avenida Magenta, mieszkanie numer 10. Proszę wziąć taksówkę. Zobaczmy się jutro”.

Pakując rzeczy do torby (dwie sukienki, zawiniątko od mamy, majtki, szminkę, jeden stanik, plik papierów), czuła się tak, jakby właśnie nadano jej tytuł księżniczki. W taksówce przycisnęła nos do szyby i obserwowała eleganckie ulice. Kierowca zatrzymał się przed otynkowanym na brązowo budynkiem. Eva przemknęła obok portiera o złotych guzikach, truchlejąc na myśl, że mógłby zawołać: „Ejże, a dokąd to?”, tymczasem on nawet się do niej uśmiechnął. W windzie zastanawiała się, co zrobi, jeżeli klucz nie będzie pasował do zamka. Oczami wyobraźni widziała już, jak snuje się po ulicach z torbą w ręce, zagubiona, porzucona, bezbronna, bez mężczyzny i nawet bez płaszcza, który uchroniłby ją od zimna.

Klucz pasował do zamka. Drzwi otworzyły się, nie stawiając najmniejszego oporu. W mieszkaniu przywitały ją tapety w ama-i autowe różyczki i złotą kratkę, bordowa sofa, mahoniowe meble i kremowe prześcieradła rozciągnięte na szerokim materacu w sypialni. W środku panował miły zapach lawendy pomieszanej ze świeżo ściętym drewnem. Od razu spodobała się jej kuchenka wyłożona jasnobrązowymi płytkami, w której wisiały dwie szafki pełne szklanek, filiżanek i delikatnych talerzy. Wszystko było funkcjonalne, wszystko było na swoim miejscu. Żadnego robactwa, żadnych ścian z kartonu i dziur

w suficie. Sypialnia wychodziła na mały balkon, w sam raz dla jednej osoby (ostatecznie dla dwóch, jeżeliby się ścisnęły). Stała na nim i chłoneła wszystko — niebo nad sobą, wypolerowane samochody na ulicy, filary i anioły z kamienia zdobiące sąsiednią rezydencję, uśmiechy kobiet wyrzeźbionych na fryzach. Akurat otwarły się drzwi tamtego domu i pokazała się kobieta w żałobie, w nałożonym ukośnie kapeluszu i wdowim woalu. Wyglądała jak cienka czarna kreska na chodniku. Na krańcu budynku mieściła się piekarnia, co głosił rzeźbiony drewniany szyld. *La Parisierme. Dzisiaj na kolację zje rogaliki francuskie. Przyniesie sobie do swojego nowego domu papierosy, wino i rogaliki. Pomyślała o doktorze Santosie, o jego poważnych brwiach, słonych palcach i roju wpatrzonych w niego studentów. Doktor Santos, jego arystokratyczna narzeczona i sekretny klucz. Dzięki niemu ogląda teraz piękną stronę miasta. Dzięki niemu ma dom i porcelanowe filiżanki. Dał jej słowo, że jutro ją odwiedzi. Dzisiaj to wszystko należy do niej, ale jutro może nie mieć niczego, jeśli on się nią znudzi. Kochanki lądują w rynsztoku i nikt ich już więcej nie ogląda. Tylko żony zachowują na całe życie wyściełane jedwabiem pokoje. Ona wie, co to jest rynsztok, dowiedziała się o tym, kiedy mieszkała z Andresem. Tak, Andresie, gdziekolwiek jesteś teraz w tym wielkim mieście, które oglądam z wysokości tego balkonu, zwrócona ku południowym dzielnicom, w których żyliśmy jak robactwo, możesz sobie iść do diabła i spłonąć w piekle. Możesz się zwęglić jak suszone makuchy, aja przyjdę i rozsypię twoje popioły. Nie będę zwracała sobie tobą głowy. Nie załamie się, będę się pięła w górę, poczekaj tylko i patrz, a ja ci pokażę, kim naprawdę jestem. Ktoś nastawił w pobliżu adapter. *Alma mía, ¿con quién soñas?* Zakołysała lekko biodrami w rytmie tanga. *He venido a turbar tu paz.* Pod domem wdowy zatrzymał się samochód. Kierowca wysiadł i okrążył auto, aby otworzyć tylne drzwi. Kobieta spojrzała w górę i Eva poczuła, że patrzy na nią oskarżycielsko spod czarnego woalu. Przestała się kołysać, ale zaraz znowu zaczęła, jeszcze mocniej niż przed*

chwilą, wytrzymując ukryte spojrzenie wdowy. *La noche porteño te quiere besar*. Wdowa stała jeszcze chwilę sztywno jak kij owinięty wytworną czarną materią. W końcu musnęła ręką kapelusz, jakby chciała przegonić muchę, i schyliła się, aby wsiąść do auta. Drzwi się zamknęły, zahuczał silnik, samochód potoczył się aleją, po czym zniknął Evie z oczu.

Z pierwszą wizytą przyszedł o trzeciej po południu, na sam początek sjesty. Dyskretnie położył kopertę na stoliku obok drzwi. Trzymał w obu dłoniach kapelusz i przesuwiał kciukiem po jego brzegu.

— Panie doktorze, proszę, niech pan usiadzie.

Usiedli razem na bordowej sofie. Wydawało się, że zupełnie nie wie, co powiedzieć. Nigdy go takiego nie widziała — był niepewny i zdenerwowany jak chłopiec, który pierwszy raz wyruszył na łowy na obcych terenach.

— *Este*. Podoba się pani mieszkanie?

— Jest piękne. Jeszcze raz dziękuję.

— Ma pani wszystko, co potrzeba?

— Tak. Tylko czuję się wyczerpana.

— Aha. Wyczerpana.

— *Claro*. To dopiero drugi dzień po szpitalu. Trudno się przestawić.

— *Sí, claro*. No dobrze. — Pot perlił się na jego czole, tuż pod linią włosów. — Czy mam już iść, żeby pani mogła odpocząć?

Była żywa, a nawet więcej niż żywa: jego spojrzenie umocowało ją w rzeczywistości. Był gotów zjeść ją całą, razem z ubraniem. Udała, że tego nie widzi.

— Dziękuję, panie doktorze. I proszę się nie gniewać. Nic nie powiedział.

— Na pewno wkrótce poczuje się lepiej.

— Nie wątpię w to.

Siedzieli bez ruchu. Santos sięgnął po kapelusz. Odprowadziła go do drzwi.

— Proszę przyjść jutro, dobrze?

Przyglądał się jej. Miał miłą twarz belfra albo mola książkowego.

— Oczywiście.

Następnego popołudnia Eva czekała na niego z całym oprzyrządowaniem — przygotowała srebrną tacę, fdiżanki, spodki, dzbanek do herbaty, śmietankę, cukier i ciasteczka z La Parisienne. Włożyła nową sukienkę kupioną za pieniądze z wczorajszej koperty. Sukienka była niebieska w kremowe kropki, z paskiem z tego samego materiału.

— Pięknie pani wygląda.

— Jest pan bardzo miły.

— Czy samopoczucie już lepsze?

— O wiele — odparła Eva, podając mu ciasteczka.

— Przepyszne.

— Miałam nadzieję, że będą panu smakować.

Eva naląła gościowi herbaty. Obydwoje słuchali cichego plusku napoju wpadającego do fdiżanki ciemną strugą.

— Cukier?

— Poproszę.

— Śmietanka?

— Tak.

Przyglądał się jej, kiedy dodała do herbaty śmietankę i zamieszała ją dla niego. Było gorące, wilgotne popołudnie, które aż prosiło się o jakiś chłodny napój. Para unosząca się z obu filiżanek tworzyła między nimi zwiewny mur.

— Jak minęło przedpołudnie? — zapytała Eva.

— Byłem bardzo zajęty.

— Proszę mi opowiedzieć, co pan robił. Umieram z ciekawości.

Wypił trochę herbaty, sięgnął po czekoladową ekierkę. Zaczął mówić. Usłyszała o pacjencie, który zmarł w otoczeniu swoich dziewięciu córek odmawiających różaniec przy jego łóżku. Zamknął powieki tego człowieka, co przyszło mu tak łatwo, jakby były z rozmiękczonego masła. Eva słuchała uważnie,

więc doczekała się dalszego ciągu opowieści — o tym, że wszystkie córki miały spódnice z tego samego zgrzebnego ciemnoczerwonego materiału, i o tym, że stały spokojnie pod ścianą, kiedy pielęgniarka przykryła ciało białym prześcieradłem. Tego ranka wielu nowych pacjentów zgłosiło się do szpitala w tym samym czasie, korytarze były pełne. Santos powiedział jej też, że około południa rozboleły go nogi od ciągłego chodzenia i odwiedzania chorych w ich salach. W porze obiadowej czterech studentów posprzeczało się o to, jaki jest najlepszy sposób podawania środków przeciwbólowych. Zwrócili się do doktora Santosa o rozstrzygnięcie sporu, przez co nie mógł skończyć kanapki z salami. Mówił bez przerwy. Światło popołudnia nabierało powoli coraz głębszych odcieni. Dowiedziała się niejednego o studentach — o tym, którzy są pracowici, a którzy leniwi, o tym, że część z nich uczy się na pamięć, w sposób całkowicie mechaniczny (niestety, nie przyjmują do wiadomości faktu, że medycyna jest również sztuką) i że trafiają się też okropni lizusi, których zżera ambicja. Zwierzył się jej ze swoich fantazji o tym, jak to zostaje zupełnie sam w wielkim, pustym szpitalu — bez żadnych lekarzy, pielęgniarek i chorych. Eva słuchała go z brodą opartą na ręce, potakując od czasu do czasu. Po dwóch godzinach historie zaczęły mu się wyczerpywać. Spojrzał na zegarek.

Powinienem już iść.

Tak wcześnie?

Zmarnowałem ten czas.

Wcale nie. To było fascynujące.

Jest pani zafascynowana?

Chyba każdy by był. Doktor Santos wbił wzrok w patere, na której zostało trochę okruszków i jedna babeczka z truskawkami.

Ale nie jest.

Trudno mi w to uwierzyć. Chciał dotknąć jej uda, lecz wstała dokładnie w tym momencie, tak że tylko ją musnął. Obydwoje nie wiedzieli, czy to było dotknięcie, czy nie.



— Wielka szkoda, że musi pan iść, było tak przyjemnie. Wstał niepewnie jak mężczyzna, który wypił więcej ginu, niż zamierzał. Podeszli do drzwi i zatrzymali się w progu. Dzieliła ich taca pełna okruchów.

— W takim razie do jutra, czy tak?

— Do jutra.

Przy swojej trzeciej wizycie wszedł z większym zdecydowaniem. Eva podała herbatę, dodała śmietanki, znad filiżanki unosiła się para.

— Miło pana widzieć, doktorze.

— Panią również. — Tego dnia usiadł bliżej.

— Jak minął ranek?

— Nie chcę myśleć o tym, co było rano.

— Nie?

— Myślę o pani.

— Jak to mi...

Przycisnął usta do jej ust, położył na niej swoje wielkie dłonie. Odstawiona po omacku filiżanka stuknęła i trochę gorącego płynu oblało jej palce. Wędrował ręką po jej ciele, przesuwał językiem po jej zębach, przypierając ją do sofy. Masował jej piersi, po czym szybkim, zachłannym ruchem chwycił brzeg jej spódnicy.

— Roberto.

— Tak?

Odsunęła się odrobinę i powiedziała:

— Ja nie mogę.

— Co?

Jego twarz była blisko, Eva czuła jego oddech na policzku.

— Proszę to zrozumieć, jestem pańską dłużniczką i chciałabym, abyśmy mogli... — urwała. — Naprawdę bym chciała. Jestem jednak uczciwą kobietą. Pan o tym wie, prawda?

Zamrugął. Jego usta się poruszyły, ale nic nie powiedział.

— Jest pan zaskoczony. — Spuściła wzrok, jakby poczuła się urażona.

— Czekam na mężczyznę, za którego będę mogła wyjść za mąż.

Dłoń Roberta pociągnęła za rąbek spódnicy, który nadal trzymał w palcach.

— Ja wiem, że tu, w Argentynie, jest inaczej niż w moim kraju. Powinnaś być o tym pamiętać.

— Evo — powiedział ochryple. — Szanuję cię. Ale musisz wiedzieć, że cię pragnę.

Patrzył tak, że mógł ją prześwidrować wzrokiem. Poczowała ulgę. Wiedziała już, że nie użyje siły. Gdyby to zrobił, przegrałaby i tę bitwę, i całą wojnę. Był jednak dobrym człowiekiem, przestrzegał nakazów przyzwoitości. Chciał, aby sama się otworzyła i mu oddała — z wdzięczności lub z poczucia zobowiązania. Wiedziała już, co powinna zrobić, jak ma wyglądać następny krok tego tańca.

— Mój drogi doktorze — pociągnęła ręką po jego policzku — chciałabym, aby to było możliwe. Ale to niemożliwe.

Doskonale się jej udał pierwszy akt tego melodramatu i zwrot akcji, która wcale nie potoczyła się po myśli męskiego bohatera. W kinie w tym momencie odezwałyby się rzewne skrzypce, im jednak nie towarzyszyły żadne instrumenty, a jedynie warkot samochodu i szczekanie psa na ulicy. Eva ujęła twarz Roberta w obie dłonie. Siedzieli blisko, oddychali tym samym naelektryzowanym powietrzem.

— Dziękuję — wyszeptała.

— Za co?

— Za szacunek. Nic nie powiedział.

— Napisałam dla ciebie wiersz. Zamknął oczy.

— Czy chcesz go usłyszeć?

Kiwnął głową. Ofiarowała mu swoje słowa. Jego twarz się rozluźniła, jak u dziecka, które słucha kołysanki. Zmierzwiała mu włosy. Nie były to kręcone włosy Andresa, nie odskakiwały od jej palców jak sprężyny. Były proste i cienkie. Nałożona i ano brylantyna nie trzymała już tak mocno, wystarczyło zaledwie kilka karesów, aby ułożyły się w wybranym przez nią

kierunku. Eva zadała sobie pytanie, jak upływałyby jej lata u boku tego mężczyzny, gdyby udało się jej wygrać wojnę i zdobyć go jako trofeum. Jak by na nią patrzył, jak brał w ramiona i dotykał, kim by się stała, przebywając w jego domu. Ukryty w nim chłopiec, subtelny i samotny, był aż nadto widoczny. Nie miała już więcej wierszy do odczytania, więc w milczeniu zajęła się fryzurą doktora.

Przychodził od poniedziałku do soboty. Jej dni kręciły się wokół jego wizyt. Rano pisała, paliła i próżnowała na balkonie, udając, że nie wypatruje kobiety w żałobie — nigdy więcej się nie pokazała — i że nie spogląda ku południowym dzielnicom Buenos Aires. W południe odwiedzała La Parisienne, kupowała dla siebie kanapkę na obiad i wybierała z gabloty ciastka dla Roberta. Po powrocie zaczynała grzać wodę na herbatę i stawiała tacę w kuchni pod oknem, przez które wpadało tyle światła, że oblewało jak złoty strumień jej ręce. Wyczekiwała na pukanie do drzwi, które zawsze rozlegało się nerwowym *staccato*, bez żadnych ozdobników. Udzielała w tym mieszkaniu audiencji, jakby należało do niej, a to, czy kogoś przyjmuje, czy nie, wynikało z jej łaskawości. Dawała Robertowi okruchy siebie: miękkie słowa, słuchające uszy, podolek, na którym mógł złożyć głowę, udo, po którym mógł przejechać ręką, i usta do ucałowania, gdy wychodził. Czowała w sobie moc, zwiniętą między biodrami jak długie lasso, które zarzucała na niego ruchem zręcznego gaucza łapiącego zwierzę, chociaż czasem można by się zastanowić, czy to nie zwierzęta łapią swoich gauczów. Bardzo ją to ekscytowało. Każda wizyta Roberta była zwycięstwem nad prawem odwiecznym jak siła ciężenia i niezmiennym jak prawo pięści: nad prawem, na którego mocy zamożny mężczyzna kupuje sobie kobietę. Zmieniała to prawo, wywracała świat do góry nogami i rozbijała go na drobne kawałki, które opadały jak płatki sztucznego śniegu w szklanej kuli.

— Weź jeszcze kawałek tarty.

— Nie mogę.

— Możesz — prowokowała go. Podała mu patelnię, a on podniósł rękę na znak, że się poddaje, i wziął kawałek tarty z gruszkami. Obserwowała, jak schludnie je, nagryzając ciasto przednimi zębami.

— Jak się miewa twoja narzeczona?

Przestał jeść. Rozgniół palcami kilka okruchów.

— Ja oczywiście wiem.

— Miewa się świetnie.

— Na pewno jest bardzo ładna.

— Moi rodzice ją lubią. — Jego oczy były takie jasne. — Mam pewne zobowiązania.

— Wobec niej? Wzruszył ramionami.

— Wobec rodziców?

Roberto zamknął jej dłonie w swoich dłoniach, które lepiły się od słodkiej gruszki i maślanych okruchów.

— Pragnę cię. Nieustannie o tobie myślę.

— Roberto...

— Ale nie mogę.

— Czego nie możesz?

— Ożenić się z tobą.

Spojrzeli na siebie. Słońce późnego popołudnia złociło meble. Zatrzyma to wszystko dla siebie, i meble, i słońce, i tego mężczyznę. Powoli, ze smutkiem pokręciła głową.

— *Querido*. Co z nami będzie?

Pochylił się nad nią. Jego oddech pachniał czarną herbatą. Zostań tutaj. Bądźmy razem. Będiesz miała wszystko, czego ci potrzeba.

Pocałował ją mokrymi, słodkimi ustami. Opadła na oparcie sofy. Leżał na niej, był podniecony. Roberto. Mmm... Nie możemy.

— Dlaczego nie? — zapytał głosem skrzywdzonego dziecka.

— Wiesz dlaczego. — Czuła jego sztywny członek. — Dlatego, że nie jesteśmy małżeństwem.

Rzucił się na nią, zaczął rozpinąć jej bluzkę. Rozchyliła nogi pod naporem jego kolan i prawie się poddała, dlaczego nie, dlaczego nie, przecież czekał tak długo, kiedy jednak przymknęła oczy, zobaczyła brudną ulicę, biegające szybko szczury i siebie w podbitym wiatrem płaszczyku w zimny dzień. Odepchnęła go. Nie przestał. Odepchnęła go jeszcze mocniej, tak że całym swoim ciężarem poleciał do tyłu. Z cichym stęknięciem wylądował w przysiadzie obok sofy.

— Roberto?

Nie patrzył na nią. Jego garnitur odbijał się na tle ozdobnych ścian w amarantowe różyczki i złotą kratkę.

— Roberto.

— Muszę iść. Zniknął za drzwiami.

Przez następne trzy godziny myśli Evy wypełniał straszliwy zamęt. Wypiła całą butelkę wina, obserwując ze swojego pięknego domu, jak szarzeje niebo nad miastem. To nie był jej dom. Przegrała. Roberto się zniecierpliwiał. Nie będzie więcej dyskretnych kopert ani spania w satynowej pościeli, ani wymownych spojrzeń, ani chwytania na lasso, ani cukru w angielskiej herbacie. Zapadł wieczór; w pokoju, do którego dochodziło jedynie słabe światło latarni ulicznej, zrobiło się ciemno. Powinna była przystać na jego propozycję, zostać kochanką, utrzymać to, co dostała, i zaspokoić go, zamiast znowu wykładać wszystkie karty na stół. Jeśli dałby jej jeszcze jedną szansę, uchwyciłaby się jej, ale prawdopodobnie jest już za późno. Będzie musiała spakować manatki. Nie ma ich wiele. Nie ma też dokąd pójść. Buenos Aires rozciągało się jak okiem sięgnąć w całej brutalnej wspaniałości, sycząc triumfalnie: nie jesteś stąd i nigdy nie będziesz, jesteś nikim. W ciemnym kącie pokoju zobaczyła swojego ojca; był przezroczysty i świecił fosforyzującym światłem. „Dziwka! — krzyczał. — Głupia

dziwka!". Wyszczrzyła zęby, jakby chciała go ugryźć, a on rozpląnął się jak odbicie na wodzie, kiedy ktoś rzuci kamieniem. Była cała obolała. Nie mogła dłużej o niczym myśleć, miała kompletny mętlik w głowie. Przymknęła oczy.

Ocknęła się, słysząc znajome stukanie do drzwi i szuranie kroków. Roberto stał w przedpokoju.

— Zostawiłem kapelusz.

— Wejdz.

Zrobił krok po ciemku.

— Przepraszam, zapalę światło.

— Nie, nie zapalaj. — Jego sylwetka zbliżyła się do niej. Pachniał papierosami. Nigdy nie widziała, żeby palił. — Evo.

Skuliła się.

— Wszystko w porządku. Pobierzemy się. Przestała oddychać.

— Powiedz „tak”.

— Tak.

Milczeli obydwoje. Na dworze przejechał z piskiem opon samochód; kierowca spieszył się może na wystawne przyjęcie albo na drinka do baru. Roberto zanurzył dłonie we włosach livy, która wdychała zapach jego nakrochmalonego kołnierzyka. Całował jej policzki, brodę, szyję.

— Kiedy?

— Niedługo — powiedział tak cicho, że ktoś, kto siedziałby w rogu pokoju, nie usłyszałby go. — Naprawdę niedługo.

Nazajutrz Roberto zerwał zaręczyny i zamówił ślub w kościele na sobotę za dwa tygodnie. Evie wręczył listę sklepów. Spodziewają się ciebie jutro.

Nie pytała, jak przebiegło spotkanie z Cristiną, lecz w duchu rozważała rozmaite możliwości: Cristina wpadła w szal, ciskała drogimi wazonami o ścianę, przeklinała Roberta i jego przyszłe potomstwo lub też padła na kolana, roniła łzy i przyciskając rękę do serca, błagała, aby jeszcze się zastanowił. Nie. Przy-

wołała na twarz wyniosły, sztywny uśmiech, wycedziła kilka słów („ach, biedna dziewczyna, bardzo to uprzejme z twojej strony”) i odprawiła Roberta skinieniem głowy. Przygotowywała się nawet na to, że Cristina Caracanes zjawi się u jej drzwi, rozpalona, gotowa ją pobić, ale nic takiego nie nastąpiło. Nawet kroniki towarzyskie poświęciły skandalowi związanemu z doktorem Santosem zaledwie dwa krótkie akapity, były bowiem zbyt zajęte Peronem i jego żoną. Juan Perón wygrał właśnie wybory prezydenckie, a więc Evita szykowała się do funkcji pierwszej damy. Gazety bez końca spekulowały na temat przyszłości, obwieszczały nastanie nowej ery i rozpuszczały plotki o sukni, którą pani Perón włoży na uroczystość objęcia urzędu przez męża. Cóż. Dwa akapity to i tak wystarczająco dużo, aby zamieścić kilka zabójczych zdań. „Panna Caracanes została zastąpiona przez nieznaną młodą osobę, prawdopodobnie podejrzanej proveniencji”. Eva siedziała rano na podłodze i raz po raz czytała to zdanie. W końcu zgmiotła w rękę artykuł i zaczęła go drzeć na coraz mniejsze kawałki, prawie tak małe jak pyłki kurzu. Pozbierała je, wyszła na balkon i zdmuchnęła je w kierunku domu po przeciwnej stronie ulicy. Opadały powoli i bezładnie. Wróciła do pokoju i wyjęła czystą kartkę.

*Kochana Mami*

*Przepraszam, że długo nie pisałam, ale dzisiaj mam wspaniałą wiadomość: wychodzę za mąż. Mój przyszły mąż to doktor Roberto Santos. Jest bardzo szanowanym człowiekiem. Poza tym jest odpowiedzialny i miły.*

Pióro zatrzymało się na chwilę, ale zaraz wróciło do pisania.

*O naszych zaręczynach piszą w gazetach, obok zdjęć Evity! Ślub za dwanaście dni. Trzeba przygotować mnóstwo rzeczy, jak się domyślasz. Roberto chce sprawić mi całkiem nową garderobę. Jest bardzo hojny. Oto mój adres do czasu ślubu: 657 Avenida Magenta, mieszkanie*

*numer 10. W tym mieszkaniu są pozłacane tapety i piękne filizanki (bardzo by się podobały Coco). Wysyłam trochę pesos w prezencie od nas. Kocham Cię.*

*Eva*

Zajęła się przygotowaniami. Spędzała całe poranki w szykownych butikach ukrytych za barykadami lśniących witryn, które przedtem wydawały się nie do sforsowania. Uwielbiała oświetlenie tych miejsc, które dodawało jeszcze blasku jedwabiom, perłom i wymyślnej biżuterii. Sama chciała błyszczeć jak kamienie jubilerskie, posiadać zwiewność muślinu, szeleścić jak haftowana halka. Pracujące w tych miejscach kobiety traktowały jej poważnie, przymierzały, podginały i przypinały tkaniny, nachylając się do jej kostek (doskonale pamiętała, jak wygląda świat oglądany z klęczek). Mogła wskazać dowolną satynową suknię, skinąć głową — i suknia należała do niej. Tonem chłodnej kurtuazji pytano ją, czy brylant ma być oprawiony w złoto, czy w platynę. W złoto. W beczelnie jaśniejące złoto. (Chciała czuć je na skórze w czasie pierwszej kolacji z rodzicami Uoberta.

Dom Santosów należał do miejsc, w których z sufitu zwieszają się kryształowe żyrandole, aksamitne draperie zasłaniają okna, a przepastny hol odsyła echo kroków. Posiłek spożywano w pełnej napięcia ciszy, przerywanej jedynie delikatnymi stuknięciami sztuców o białą zastawę. *Señora Santos*, sztywna, lakhy kij połknęła, w zasłaniającym szyję koronkowym kołnierzu, spoglądała od czasu do czasu na *Ewę* z nieskrywanym sceptycyzmem. *Señor Santos* koncentrował się na zupie, a między kolejnymi ruchami łyżki potrzasał głową, jakby w rytm ataku jakiejś opery tragicznej, słyszanej tylko przez niego. *Eva* przerywała ciszę konwencjonalnymi komplementami. Cóż za piękny dom.

Hrzdek, brzdek.

Ten portret jest niezwykle udany.



Brzdęk.

— Zupa była wyśmienita, dziękuję.

Roberto siedział po jej prawej stronie z głową spuszczoną nad talerzem, jakby się modlił albo odprawiał pokutę. Nikt się nie odzywał. Służąca bez słowa zbierała półmiski i dolewała wina. Tuż przed daniem głównym (*boeuf au vin*, ziemniaki z ziołami) Eva dała za wygraną i też zamilkła. Sos był smakowity, dobrze przyprawiony, gęsty; popijała go długimi łykami wina. Najchętniej wyczyściłaby talerz chlebem, ale wiedziała, że zostałyby to źle odebrane. Zdawało się, że jej kieliszek napęlnia się sam z siebie (służąca była zwinna i nie zwracała na siebie uwagi; wyglądała trochę jak Mamá na starych fotografiach — podobne włosy i błyszczące, czarne oczy). Eva czuła, że *señora* Santos śledzi spojrzeniem czerwoną strugę wlewaną do jej kieliszka. Wyprostowała się. Panowała namacalna cisza, rozciągała się wzdłuż stołu jak mięsień, przeżyła się i wyginała. Mus czekoladowy podano w kryształowych czar-kach. Eva uniosła srebrną łyżeczkę. Dotrwa do końca. W życiu musiała zmierzyć się z niejednym wyzwaniem, więc przeżyje i mus czekoladowy. Ta myśl ją rozśmieszyła — wyrwał się jej krótki, ostry rechot. Cha, cha, cha. Cała trójka — ojciec, matka, Roberto — zwróciła na nią oczy. Roberto poczerwieniał, matka skrzywiła się, ojciec rozdziawił usta. Spodziewała się, że ziemia się pod nią rozstąpi, tymczasem poczuła tylko ciężar złotego naszyjnika na piersi. Podniosła wyżej głowę (na pewno dobrze widzieli, jak naszyjnik skrzy się w blasku świec).

— Przepadam za czekoladą. A państwo?

Spróbowała łyżeczkę musu, który był słodki i ciężki. *Señora* Santos odesłała swój deser do kuchni.

— Nie przejmuj się — powiedziała Eva Robertowi, gdy wiózł ją z powrotem do domu. — W końcu mnie zaakceptują.

Oparła się o jego ramię. Zzaakceptują, bo nie będą mieli innego wyjścia. Roberto wziął ją za rękę i splótł swoje palce z jej palcami.

Ich plany ślubne przedstawiały się skromnie: ceremonia w kaplicy w obecności najbliższej rodziny Roberta i jednego

przyjaciela, doktora Caribe z żoną. Był on mentorem Roberta podczas studiów medycznych, a kiedy zostali kolegami po lachu, spędzali czas na długich dyskusjach o pracy. Antonio ('aribe należał do tego gatunku ludzi, którzy nawet zranionego wróbla biorą w obie ręce i otaczają opieką. Ksiądz, welon, przysięga, obrączki, małżeński pocałunek. Przyjęcia nie planowali. Zaraz po ceremonii mieli zamiar wyruszyć w podróż do wiejskiego domku na południe od Mar del Plata.

W przeddzień ślubu Eva dostała paczuszkę z prezentem owiniętym w kawałek tkaniny i list.

*Kochana Evo*

*Gratuluje. Chciałabym go poznać. Chciałabym, aby Wasze małżeństwo było szczęśliwe.*

*Proszę, przyślij zdjęcia. Każdy z nas chciałby je obejrzeć. Artigas często dopytuje się o Ciebie, jest w dobrym zdrowiu, codziennie gra na bębnach, czasami gra z nim César, narzeczony Xhany. On też jest wspaniałym bębniarzem, na pewno go pamiętasz? Pobierają się iv przyszłym miesiącu. Xhana jest nauczycielką historii i jedną z najlepszych tancerek karnawału. Gdybyś mogła ją zobaczyć!*

*Oto pozostałe wiadomości: Mima urodziła drugiego chłopca, więc znowu zostałaś ciotką. Wnuczki Coco dorastają, będą z nich piękne dziewczyny. Też powinnaś je zobaczyć. Tak, Evo, to już są prawie muchachitas, w dodatku takie śliczne, nawet sobie nie wyobrażasz, jaką jestem szczęśliwą babcią. Tylko szkoda, że ich wuj Andrés to takie ladaco, w ogóle nie pisze do domu. Jeżeli spotkasz mojego syna (muisz coś o nim wiedzieć!), powiedz, że złamał nam serca i że powinien wrócić tam, gdzie jest jego miejsce.*

*Teraz znowu piszę w imieniu Twojej Mami.*

*Ja nie miałam ślubnej sukni, córko, więc nie mogę Ci jej wysłać. W zamian wysyłam Ci coś innego. To coś jest*

*niebieskie i bardzo stare. Uszyłam to z zasłony, która była moim ślubnym łóżem. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Twojego ojca, wyszedł na scenę właśnie zza tej zasłony. No cóż. Brakuje nam Ciebie. Cuídate. Twoja kochająca*

*Mami*

Eva odwinęła tkaninę i znalazła podwiązkę z niebieskiego aksamitu i koronki w kolorze kości słoniowej. Była starannie uszyta, ale prostacka w porównaniu z bielizną, którą nosiła teraz, w swoim nowym życiu. Powąchała ją: pachniała kamforą i cynamonem — pachniała Urugwajem. Koronka połaskotała ją w policzek, jak echo utraconego dotyku. Wyobraziła sobie spotkanie matki Roberta z jej matką, kobietą zwaną Pajaritą, szwaczką podwiązek, zbieraczką kory, panną młodą, która spędziła noc poślubną pod gołym niebem, na brzegu Rio Negro, między koźmi i kuframi kostiumów. Widziała *senorę* Santos, jej wyraz twarzy i nachylenie szyi tak dokładnie, jakby siedziała obok. Założyły tę podwiązkę. Nikt tego nie zobaczy. Wsunie ją pod wielki obłok sukni, żeby drapała ją w uda, jak dotyk pamięci i utraconych światów, gdy będzie szła do ołtarza. Życie jest pełne utraconych światów. Człowiek przemierza setki kilometrów krętych dróg, myśli o tym, jak bardzo się oddalił od wszystkiego, co znał, aż nagle natyka się na coś, co właśnie stamtąd pochodzi. Trzydzieści lat temu pewna dziewczyna leżała na trawie wśród koni, na brzegu rzeki. Wszystko przeminęło — te lata, dziewczyna i konie. Eva pstryknęła palcem w podwiązkę. Nikt nie usłyszy, jak będzie się ocierać o halkę jej sukni. Ludzie zauważą tylko kilometry weneckich koronek i ciszę białych róż, które będzie dzierżyć w ręku jak broń.

## CINCO

### Przez czarne wody i sekretne morze

Jej życie wypełniły wspaniałe rzeczy: dom w La Recoleta z kolumnami przy wejściu oraz idealnie przystrzyżonym żywopłotem, czterodaniowe obiady gotowane przez wyszkolonego w Tuluzie kucharza, cztery szkatułki z biżuterią, ciepłe nogi leżące w nocy obok jej nóg, adamaszki, srebrne półmiski, krzesła w stylu Ludwika XIV, wszystko, czego potrzeba do szczęścia — a właściwie nawet więcej.

Eva zaszyła się w domu jak w wielkim kokonie. Wiedziała, że leszcze zdąży bywać w świecie, a na razie chciała pozwolić sobie na luksus unikania go. Mąż spędzał dni w szpitalu, ona tymczasem przesiadywała w pełnej słońca bibliotece, w rozkosznym według niej zapachu starych książek. Pochłaniała epopeje, powieści i książki historyczne dopóty, dopóki mogła złapać choć Irochę dziennego światła. Potem wracał Roberto i zasiadali przy długim stole w jadalni. Opowiadał jej, co mu się przydarzyło, ona zaś kiwała głową i uśmiechała się, słuchając o jego sukcesach, i marszczyła współczująco czoło, kiedy się skarżył. Potem, na piętrze, zdejmował z niej ubrania, jakby rozpakowywał drogocenny podarunek. Przyciśnięta jego ciężarem czuła się tak, jakby żaden wichur nie mógł jej zagrozić, jakby nie istniał taki sztorm, który mógłby przesunąć tę kołyszącą się nad nią kotwicę.

Z czasem zaczęła wychodzić z domu, wystrojona jak dama, cała w jedwabiach i złocie. Spędzała długie godziny w modnych kawiarniach na pisaniu wierszy. Bywała na przyjęciach, na których goście sączyli Veuve Clicquot, i włączała się do konwersacji. Szybko nauczyła się dawać celne riposty politykom, intelektualistom i arystokratycznym kobietom o lśniących włosach. Niektórzy zachowywali się wobec niej dość sztywno, ona jednak nosiła wysoko głowę i nie traciła pewności siebie. Cóż w końcu mogli zrobić? Nastaly nowe czasy, nawet żona prezydenta kraju wywodziła się z biedoty i choć w wyższych sferach uważano ją za kobietę lekkich obyczajów, i tak dostała się na szczyt. Evita Perón nie usprawiedliwiała się przed nikim. W domu Eva słuchała przez radio jej przemówień. „Perón jest wszystkim — duszą, siłą i nadzieją Argentyńczyków. Jestem tylko zwykłą kobietą, która żyje po to, aby służyć Peronowi”. Mało brakowało, a bogate umeblowanie i dywany zajęłyby się ogniem od tego rozpalonego głosu. Eva już prawie widziała tańczące płomienie. „Niczego nie da się dokonać bez fanatyzmu! Warto, abyśmy poświęcili swoje życie!”. Gazety przynosiły niezliczone fotografie: Evita w swoim biurze, do którego codziennie ściągaly z całego kraju tłumy biednych ludzi, by prosić o pomoc i otrzymać pieniądze, protezę, jedzenie, uśmiech, buty, maszynę do szycia, zabawki, importowany dywan albo narzutę wraz z obietnicą, że dalsze wsparcie nadejdzie później, Evita w strojnych paryskich kreacjach, jaśniejąca brylantami i uśmiechająca się do aparatu, Evita przy mikrofonie, w ferworze przemówienia, z uniesionymi rękami, nie wiadomo, czy dlatego, że macha do tłumu, czy dlatego, że klaszcze. Eva wycinała te fotografie i chowała je między bielizną do szafy, tak by Roberto ich nie widział, bo nie lubił Peróna i jego żony.

— To faszyci — mówił, zawiązując krawat przed wyjściem do pracy. Eva potakiwała bez przekonania.

— Ich kontrola nad wszystkim codziennie się rozszerza. Eva poprawiała mu kołnierzyk.

— Ale musimy uważać i udawać, że stoimy po ich stronie

— Oczywiście, *mi amor*.

Czasami śniło się jej, że jest Evitą i że w jej sypialni kłębi się gromada dzieci. Nie miały butów. Po dzieciach przychodziły kobiety. Trącała wtedy Roberta, ale nie dawała rady go zbudzić. Kobiety i dzieci wyciągały ręce proszącym gestem. Między nimi była również Mami. Nie patrzyła na Evę, tylko wyjmowała nożyczki i zaczynała ciąć na paski jej pościel. Eva próbowała zebrać wokół siebie prześcieradła, chciała krzyczeć, ale nie mogła. Dzieci rosły w oczach, nagle okazywało się, że to młodzi mężczyźni, którzy rzucali się do jej pościeli z wyciągniętymi rękami. Cieszyła się, jeżeli zdołała się obudzić, zanim się do niej dobrali.

Po dwóch latach małżeństwa Eva urodziła syna. Dali mu na imię Roberto. Robertito. Jego krzyki rozdzierały powietrze. Eva chciała ukoić go swoim ciałem, nakarmić własnym mlekiem, lecz jej mąż postanowił inaczej. Dziecko zostało odesłane do pokoju obok, w którym zajmowała się nim mamka.

— Proszę się niczym nie martwić — powiedział lekarz położnik, który się nią zajmował — i tylko odpoczywać.

Całymi miesiącami Eva tęskniła za synem. Kiedy spał, wysiadywała przy kołysce. Mamka miała na imię Maria. Była to dorodna młoda kobieta, łagodna i pełna ciepła, które dziecko, nie otrzymawszy go od matki, doskonale rozpoznawało. Piersi Ewy zamieniły się w ziemię jałową. Była damą, musiała grać swoją rolę, w której brakowało miejsca na takie fizjologiczne funkcje. Jej syn rósł, a ona prawie go nie знаła. Zachowała na pamiątkę jego bućki, nie mogła się powstrzymać, to było silniejsze od niej, zresztą i tak zrobiła to w sekrecie, więc nikt nie mógł jej niczego zarzucić. Ze swojej roli wywiązywała się bez zarzutu. Była *senorą* Santos, żoną pana doktora, uroczą damą, doprawdy czarującą poetką, czy czytali państwo jej nowy wiersz w „La Nueva Palabra”? Drzwi elitarnych salonów w końcu stanęły przed nią otworem, tylko że nawet jej wiersze musiały pasować do roli, którą odgrywała. Nie była już anonimową

dziewczyną, emigrantką, kelnerką, która nikogo nie obchodziła. Zyskała znaczenie, pozostawała na widoku, jej słowa mogły zaważyć pozytywnie bądź negatywnie na karierze męża, więc nawet swoje wiersze wtłoczyła w ramy tematów godnych dobrej żony: radości życia domowego, pełna oddania miłość małżeńska, rozkosze macierzyństwa. Starannie usuwała wszystko, co mogłoby mieć wydźwięk antyperonistowski. Niejeden pisarz i wydawca wyjechał wtedy na emigrację. „Jeżeli będę musiała pięć razy dziennie użyć siły dla szczęścia Argentyny — krzyczała Evita — zrobię to!”. Wiersze Evy były przystrzyżone jak żywopłot wokół jej domu.

Nie żaliła się nawet sama przed sobą. Należało tak robić. Kiedy czuła pokusę napisania zbyt płomiennego wiersza, brała zimną kąpiel.

Wybrałam takie życie, myślała, szczękając zębami w zimnej wodzie. Wybrałam, więc będę żyła takim życiem.

Kafelki w jej łazience lśniły ze wszystkich stron niepokalaną bielą.

Drugie dziecko Eva urodziła w bólach, które niemalże rozrywały ją na pół. Dziewczynka, cała czerwona, przyszła na świat z okropnym krzykiem, a że Eva też krzyczała, ich głosy zlewały się w poszarpaną fugę. Pielęgniarka owinęła maleństwo w pieluszki i zabrała je. Eva uspokoiła oddech. Poczekała, aż wszyscy, oprócz jednego studenta medycyny, wyjdą z pokoju.

— Pssst... Podszedł do niej.

— Proszę mi przynieść moje dziecko.

Rozejrzał się, jakby się bał, że ktoś ich podsłuchuje.

— Proszę pana.

— To wbrew zasadom.

— Wiem.

— To może trochę potrwać.

— Nie szkodzi.

Młody człowiek przyglądał się jej przez chwilę. Miał szeroką, poważną twarz, którą powinien staranniej golić. Wyszedł. Eva czekała. Kafelki na suficie już nie falowały jak przed chwilą. Patrzyła na ich idealnie równe rzędkie. Student szybko wrócił — wpadł do pokoju jak złodziej z cennym łupem. Położył Evie na piersi kocyk, z którego wystawała mała, pomarszczona, umyta już do czysta buzia, tak delikatna, że aż trochę dziwna, obca. Dziecko miało zamknięte oczy, różową skórę i poruszało palcami, jakby badało konsystencję powietrza, rzecz dotychczas mu nieznaną.

Czy wybrała już pani imię?

Tak — odparła Eva, która już miesiąc wcześniej, czytając sztukę Oscara Wilde'a, wybrała imię na wypadek, gdyby urodziła dziewczynkę. „Jestem spragniona twego piękna i żadna powódź ni wodospad mej namiętności nie ugasi”. Te słowa bohaterki zrobiły na Evie wielkie wrażenie, tak jakby ich zadaniem było zrównoważyć potworność tego, co zdarzy się w dalszej części tragedii. — Salomé.

Salomé? — Zmarszczył czoło. — Czy to nie ona pozbawiła głowy Jana Chrzciciela?

Ona.

Zna pani tę historię? Tak.

Spojrzał na nią ciekawie. Ktoś przechodził korytarzem, ale kroki się oddaliły. Przeniósł wzrok na dziecko. Był całkiem przystojny. Eva zadała sobie pytanie, czy był to pierwszy poród, przy którym asystował.

Salomé — powiedział wolno, jakby smakował każdą sylabę. — Ciekawe, co zrobi nasza Salomé.

Jak to: co zrobi? — Eva ułożyła wygodniej dziecko na piersi.

Ze swoim życiem. Taki czysty potencjał życia: czy to może jest coś dziwnego?

Eva nie odpowiedziała. Student przymknął oczy i położył dłoń na główce dziecka, które przyjęło ją z całkowitym zaufaniem.



— Salomé, możesz zrobić wszystko. Dosłownie wszystko. Wszystko jest możliwe.

Eva była jednocześnie wyczerpana, zachwycona i trochę zażenowana, tak jakby znalazła się na prywatnej uroczystości kogoś obcego. Najchętniej wessałaby Salomé z powrotem do swojego wnętrza albo wrzasnęłaby na tego żółtodzioba, żeby się nie wtrącał, zostawił je same — i żeby na zawsze przy nich pozostał. Wprowadził tu atmosferę intymności, która była prawie nie do zniesienia. Salomé poruszyła buzią, zakwiliła, na co Eva uniosła koszulę i przyłożyła ją do piersi. Małe usteczka zaczęły szukać po omacku.

— To może trochę potrwać, zanim pojawi się mleko — uprzedził student.

Dziecko znalazło brodawkę, ale nie doczekało się pożywienia, więc zaczęło płakać.

— Proszę mi pozwolić. — Młodzieniec sięgnął do piersi Ewy, zaczął ją lekko uciskać i szczypać, przemawiać do dziecka: „o już, tutaj, tutaj”. Kiedy małe usteczka znowu uczepliły się właściwego miejsca, a z ciała Ewy wypłynęły pierwsze krople, odwrócił wzrok gdzieś w kierunku ściany.

— Jak pan ma na imię?

— Ernesto.

— A na nazwisko?

— Guevara.

— *Señor* Gue...

— Proszę do mnie mówić Ernesto.

— Dziękuję, Ernesto. Kiwnął głową i powiedział:

— Powinienem odnieść ją z powrotem, kiedy już się naje.

— Oczywiście.

Poczekali, aż Salome odczepi buzię od piersi matki. Eva podniosła córeczkę i podała Ernestowi. Znowu dotykał główki dziecka, co było konieczne, aby nie opadła, lecz Eva miała wielką ochotę zawołać: „Przestań, złodzieju!”.

— Czy zgasić światło?

— Tak, proszę. — Opuściła koszulę i odprowadziła ich wzrokiem. Na niebie wstawało słońce, całe w różach i fioletach, nie zauważyła tego przy sztucznym świetle. Czowała się pusta. Zamknęła oczy, obróciła się na lewy, potem na prawy bok, z nadzieją, że zaśnie. Kiedy wreszcie zasnęła, przyśnił się jej ten student. Stał na dachu i trzymał w rękach jej córkę. Powiedział: „wszystko jest możliwe, dosłownie wszystko” i zaczął ryczeć jak lew, zamienił się w lwa, gotowego rozszarpać maleństwo na strzępy. Krzyczała, rzuciła się w ich stronę, a on wtedy uniósł ku słońcu dziecko, któremu urosły skrzydła. Wiedziała, że dziewczynka zaraz wzbije się w powietrze i albo się zgubi, albo spłonie w słońcu, jej dziecko, maleńki Ikar. „Nie! — krzyczała — Nie, nie!”, biegła, trzepała łokciami jak głupia kura, ale nie potrafiła latać. „Nie martw się — rzekł lew — wszystko jest możliwe”.

Osiem tygodni po urodzeniu Salomé, a tydzień przed wyjazdem na emigrację Eva z mrowieniem w piersiach weszła do pałacu prezydenckiego. Noc była gęsta, w powietrzu wisiał deszcz. La Casa Rosada górowała nad otoczeniem ze swoimi niezniszczalnymi murami, mnóstwem oświetlonych okien i wysokim holem strzeżonym przez nimfy o nagich biustach i marmurowych twarzach, z których jedne wyrażały tęsknotę, inne zaś rozbawienie. Przechodząc pod rzeźbami, Eva wstrzymała dech. Goście tłoczyli się przy wejściu, gdzie mieszały się zapachy wytwornych perfum i wód kolońskich. Mrowienie się nasiliło; Eva mocniej ujęła mężowskie ramię.

W szatni zdjęła futro z lisów, odsłaniając suknię czerwoną jak zwisające z jej uszu rubiny. Wybrała odważny kolor, ale odpowiadał on charakterowi chwili — pierwszy raz od urodzenia dziecka udzielała się towarzysko. Zdażyła już zeszczupleć na tyle, aby zmieścić się w wąską, usztywnioną fiszbinami toaletę, która pasowałaby do niej idealnie, gdyby nie jeden problem: nieznośnie ścisnęła ją w biuście, wypychając mleko,

którego nie powinna już mieć. Elegancka dama od dawna przestałaby karmić. Eva spojrzała na Roberta, który stał u jej boku, ale zdawał się nieobecny. Uśmiechnęła się.

— Idziemy?

Potwierdził kiwnięciem głowy. Wyglądał na zmęczonego. Miał podkrążone oczy, trochę się zgarbił, widać było jego zmarszczki wywołane ambitną, niekończącą się pracą. Kiedy wróca do domu, postara się go rozluźnić, choćby musiała użyć całego swojego arsenału. Wymasuje mu stopy, będzie recytować wiersze (poezja ma na niego usypiający wpływ), włoży czarny peniuar, jakkolwiek ostatnio, musiała to przyznać sama przed sobą, nawet peniuar nie odnosił żadnego skutku. Zastanawiała się, co takiego zrobiła, że do tego stopnia stracił nią zainteresowanie. Urodziła dziecko. Nadmiernie się zaokrągliła. Nie dziwiła się jego zachowaniu, kiedy była w ciąży, ale teraz nadal spędzał czas z dala od niej, pracował do późnej nocy, jadał kolacje poza domem. Taka praca, mawiał, ona zaś potakiwała, taka praca, naturalnie.

Eva poprawiła przekrzywioną muszkę męża. Odpowiedział uśmiechem, który był zaledwie zmarszczeniem kącików oczu. Tęskniła za jego ciężkim, miękkim ciałem. Wziął ją pod rękę i poprowadził do sali balowej, która otworzyła przed nimi szerokie, pełne przepychu ramiona. Wszystko się skrzyło: kobiety obwieszone biżuterią, wojskowi obwieszeni medalami, tace z przystawkami, rzewnie grająca wiolonczela. Z sufitu spływały żyrandole i echa rozmów prowadzonych przez dwie setki gości. W pobliżu kolega Roberta opowiadał właśnie jakąś historię, która trzymała w napięciu kilka osób. Roberto skierował się w ich stronę, Eva poszła za nim. W połowie drogi poczuła tak silne pieczenie piersi, że położyła na niej rękę, aby się uspokoić.

— Roberto, muszę przypudrować nos. Zaraz wrócę.

W łazience w podwójnych kryształowych wazonach stały podwójne lilie: jedne na marmurowej posadzce, a drugie w lustrze, w którym Eva męczyła się, aby wydobyć na wierzch piersi

z fiszbinowej sukni bez ramiączek. Dwa ciepłe strumienie wystrzeliły z jej ciała i opryskały lustro. Spomiędzy zacieków białego mleka spoglądała na nią dama. Nadal niewątpliwie była damą. Nawet jeżeli pod nieobecność mamki ukradkiem podkładała dziecku swoje piersi. Ustąpiła przed zwierzęcym ssaniem warg Salome i uczuciami, jakich doświadczała, kiedy ciepły płyn przepływał z jej dużego ciała do ciała córki. Wyjęła kawałek tkaniny upchnięty w staniku sukni, który ją zabezpieczał przed wypłynięciem na widok publiczny dowodów przestępstwa. Owinęła nią ciasno biust jak bandażem. Ścisnęła jeszcze mocniej. Myślą powędrowała do córki, która leżała leraz w kołysce — chyba że Maria przystawia ją właśnie do piersi. Strużki mleka spłynęły już z lustra na marmurową półkę. Wytarła je. Ślady przestępstwa zniknęły w toalecie w czeluściach kanalizacji. Powietrze pachniało mlekiem, potem i liliami. Poprawiła ostatni raz stanik sukni, sprawdziła fryzurę i wróciła na przyjęcie.

Pod jej nieobecność tłum jeszcze zgęstniał. Wyprasowane smokingi mieszały się z mundurami generalicji i sukniami we wszelkich możliwych kolorach — koralowym, liliowym, szmaragdowym, kremowym. Szmery, szemrania, śmiechy, istna sonata smyczkowa. Roberto był pogrążony w dyskusji z innym cenionym naukowcem, łysiejącym i podobnym do papugi. Eva dołączyła do nich, stanęła z uśmiechem przy mężu i zaczęła szukać wzrokiem ludzi, z którymi mogłaby porozmawiać. Kieliszki szampana zbliżyły się na srebrnej tacy. Chwyciła jeden, upiła łyk, a wtedy po przeciwnej stronie sali zauważyła Lucia Bermiazaniego, wydawcę. Nigdy go nie spotkała, ale z kolumn literackich czasopisma „Democracia” znała jego pulchną twarz i uśmiezek — w zeszłym roku przy okazji debiutu Soledad Del Valle został gwiazdą tego działu. Był tym bardziej widoczny, że wizerunku samej poetki nie zamieszczono. Ta kobieta stanowiła dla dziennikarzy zagadkę i przedmiot rozmaitych spekulacji — trudno, aby ich nie budziła niewidoma *paisana*, która pisze wiersze gdzieś wśród łąnów

pszenicy na pampie, stroni od ludzi, jest prostaczką, a jednak, choć jej stopa nigdy nie powstała w stolicy, zachwyca literacką elitę. Jej wiersze buzowały tłumioną pasją, aż parzyły palce przez papier... Eva syciła się nimi aż do późnej nocy, długo po tym, jak pożegnała męża na dobranoc.

W tej chwili Roberto kwitował kiwnięciami głowy pochwały, którymi jego rozmówca obsypywał politykę Peróna wobec Związku Radzieckiego. Eva mruknęła: „Panowie wybaczą” i ruszyła na drugą stronę sali.

Istniała jakaś magia w takich wieczorach jak ten i w fakcie, że mogła w nich uczestniczyć. Mimo że minęło tyle czasu, nadal czuła się jak w bajce. Była nadzwyczaj świadoma swojego ciała, ruchów, hebanowego połysku włosów, perfum, którymi pachniała. Elegancja otaczała ją aurą mocy. Mężczyźni usuwali się jej z drogi, kobiety prostowały plecy, śledziły ją dziesiątki oczu, podbródki poruszały się na jej widok albo zwracały ku innym podbródkom, szepcząc coś. Była kimś znacznie więcej niż kobietą, która w popłochu wyciera swoje mleko z marmurowej półki; zauważano ją, miała swoją wagę, potrafiła mówić znaczące rzeczy.

Lucio Bermiazani rozmawiał z generałem Penalozą.

— Ach! — wykrzyknął generał. — *Señora Santos!* Jak się pani miewa?

— Oszałamiająco dobrze, generale.

— Wygląda pani również oszałamiająco — odpowiedział ten zwalisty mężczyzna, szczerząc zęby. — Lucio, czy znasz doktorową Santos?

— Nie miałem jeszcze okazji poznać. — Lucio się wyprostował.

— *Señora*, to jest Lucio Bermiazani. A to *señora* Eva Santos, żona doktora Roberta Santosa. Na pewno znasz jego dokonania.

— Oczywiście. — Lucio uniósł brwi. — Pani mąż wiele zdziałał dla Argentyny.

— Dziękuję. — Eva uniosła kieliszek z szampanem. — Pan również. Podziwiam pańskie serie wydawnicze.

Lucio pokraśniał. Eva odniosła wrażenie, że wyrasta mu pawi ogon.

— Czytuje pani poezję?

— Kocham poezję.

— Naprawdę? Dlaczego?

Generał Penaloza, który wytropił w tłumie Juana Peróna, opuścił ich.

Eva zakołysała swoim kieliszkiem; szampan zapienił się lekko na brzegach.

— Dlaczego? — Przyjęcie, noc, morze klejnotów i sukien sprowadziło się do tego jednego momentu, do tego punktu, do chwili uwagi ze strony niskiego, pulchnego mężczyzny. — *Dlaczego oddychać? Dlaczego kochać?/Dlaczego czekać na świt?/Wiersze to nic innego jak skrzydła/Co wyrastają w umyśle każdego człowieka.*

Wydawca rozpostarł swój lśniący, choć niewidoczny pawi ogon.

— Soledad Del Valle.

— Ona naprawdę pisze pod wpływem natchnienia.

— Chwileczkę... Eva Santos. Czytałem pani wiersze w „La Nueva Palabra”.

— Niewiele ich opublikowałam.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli, były całkiem dobre.

— Jest pan zbyt uprzejmy.

— A więc lubi pani poezję kobiecą.

— Między innymi.

— Poetek przybywa z każdym dniem.

— Na to wygląda.

— Czy wydała pani jakiś zbiór?

— Nie. — Uśmiechnęła się. — Ale po moim domu wala się mnóstwo wierszy! Dzięki temu sprzątanie jest u mnie interesującym zajęciem.

Cóż, mam nadzieję, że zanim pani wiersze trafią pod miotłę, zechce mi pani przysłać kilka. — Sięgnął do kieszeni smokinga po wizytówkę.

— Chętnie przejrzę maszynopis.

— Och, dziękuję.

— To będzie dla mnie przyjemność. — Ukłonił się. — A teraz, droga pani, proszę wybaczyć, że ją opuszczę.

Lucio odszedł, ona zaś została sama, smakując zwycięstwo. Chciała jak najszybciej powiedzieć o wszystkim Robertowi. Ruszyła ku niemu z powrotem, ale nie zrobiła więcej niż trzy kroki, bo oto w całej okazałości pojawiła się przed nią Evita, jaśniejąca w satynowej sukni jak brylant. Śmiała się z czegoś, co do niej powiedziano; jej usta były szerokim, czerwonym łukiem, a włosy złotą koroną. Wychudła, a więc pogłoski o chorobie zapewne pokrywały się z prawdą, ale nieważne — zdrowa czy chora, błyszczała tu pełnym blaskiem, Evita, narodowy klejnot, święta, małżonka, rzeczniczka ludu, spoiwo łączące naród z Peronem. Po chwili stała już sama na tle męskich pleców odzianych w czarne smokingi, zadziwiająco niska, ale widząc ją, widząc te czerwone usta, Eva była skłonna wierzyć w to, w co tak bardzo chciała wierzyć: że obietnic nie złożono na próżno, że Perón jest półbogiem, że biedni też mogą zaznać dostatku, mieć piękne domy i ubierać się w brokaty, że rząd bezgranicznie kocha lud, że dawne kelnerki-imigrantki mogą zachować swoje drogie kamienie i publikować zbiorki poetyckie. Nie umieraj, pomyślała. Nie waż się umrzeć. Evita odwróciła głowę, a wtedy ich oczy spotkały się na moment. Eva włożyła w to spojrzenie całą duszę, lecz Evita zaledwie skinęła jej machinalnie z uśmiechem, który był znany z portretów popularnych w całym kraju, jej wzrok powędrował gdzie indziej — i wszystko się skończyło.

Roberto mógł usłyszeć od niej najnowsze nowiny dopiero kilka godzin później, już w samochodzie. Wreszcie lunął deszcz, który tak długo wisiał w powietrzu. Padało bardzo mocno. Eva chwyciła męża za rękę.

- Lucio Bermiazani chce zapoznać się z moimi wierszami.

Myślę, że je opublikuje.

Roberto pocałował ją w czoło i powiedział:

— Zgoda.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Mąż był dobrym człowiekiem, tak wiele dla niej zrobił. Zburzył swoje dotychczasowe życie i odbudował je w zupełnie innym kształcie, tylko po to, aby być z nią. Obydwoje mieli świadomość, że ten dług jest zbyt wielki, aby można go kiedykolwiek spłacić. Ścisnęła jego dłoń i spojrzała przez okno na przemoczone Buenos Aires. Bogato zdobione drzwi otwierały się przed elegancko ubranymi ludźmi, klórzy szukali schronienia przed deszczem. Para młodych kochanków szła ciasno spleciona pod jednym parasolem, przekomarzając się ze śmiechem. Dumnie wyprostowane latarnie uliczne rzucały światło spod okrągłych kloszy. Eva wyobraziła sobie wspaniałe szczegóły związane z wydaniem jej książki: grzbiet tomiku, stronice z kremowego papieru, uroczystą premierę. Będą kwiaty, szampan i mnóstwo ludzi. Może zjawi się sama Soledad Del Valle. — „Eva Santos, poetka, która wywabiła z ukrycia Soledad Del Valle” napiszą gazety. Buenos Aires będzie wznosić toasty na jej cześć. Za oknami samochodu zmieniał się wygląd ulic — wjechali już między wielkie wille w La Recoleta. Deszcz bębnił o dach nad ich głowami.

Padło od dwóch dni. Ulewa chwilami się wzmagała, chwilami się uspokajała, by znowu się rozszaleć za jakiś czas. Doktor ('aribe zjawił się u nich w trzecią noc deszczu, piętnaście po pierwszej. Obydwoje niezmiernie się zdziwili, gdy Maria, inamka Salome, zapukała do ich sypialni, aby powiedzieć, że ktoś dzwoni do drzwi. Właśnie udawali się na spoczynek. Eva klęczała na podłodze, poluzowując sznurówki w drugim bucie męża. Spojrzała na niego w przyciemnionym świetle. - Spodziewasz się kogoś? Oczywiście, że nie.

Sznurówki zostały powtórnie zawiązane, kołnierzyk zapięto z powrotem i obydwójce zeszli po szerokich, czerwonych schodach (jakaż to walkę musiała stoczyć z mężem o ten czerwony dywan; Roberto chciał mieć dywan beżowy, smętny i bez wyrazu, ona jednak zapała się i wygrała. Po cichu nazywała tę czerwień „diablita”, na pamiątkę krzesel, dzięki którym



pierwszy raz poczuła się poetką). Eva zatrzymała się na ostatnim stopniu i poczekała, aż mąż podejdzie do drzwi.

— Kto tam?

— Antonio.

Roberto otworzył doktorowi Caribe, który stał pod czarnym parasolem, ściskając rączkę tak mocno, jakby to była jedyna rzecz zdolna utrzymać go na powierzchni ziemi.

— Wejdz, proszę.

— Przepraszam za najście — powiedział Caribe, zamykając parasol.

— Nonsens. Jesteś zawsze mile widziany. Czy wszystko w porządku?

— Nie.

— Coś z żoną?

— Żona ma się świetnie. Dzieci też. Nie mogłem zasnąć. To jedyne miejsce, do którego mogłem przyjść.

Roberto odebrał od przyjaciela płaszcz i kapelusz, po czym wręczył je Evie, która z kolei zawiesiła je na wieszaku.

— Napije się pan czegoś? — zapytała.

W salonie naląła koniaku do trzech bombiastych kieliszków i usiadła na sofie obok Roberta. Antonio Caribe opadł na małą kanapkę naprzeciwko nich. Miał mokre włosy, szklany wzrok. Ostatni raz widziała go cztery miesiące temu, kiedy obchodził sześćdziesiąte urodziny. Wzniesiono wtedy wiele życzliwych, krasomówczych toastów, z których każdy przyprawiał go o rumieniec. Teraz był bardzo blady; wydawał się stary, zmęczony, zgnębiony. Eva poczuła w piersiach łaskotanie niepokoju.

— Rozglądaliśmy się za tobą w La Casa Rosada, ale cię nie było — odezwał się Roberto.

Caribe nic nie odpowiedział.

Znowu zapadła ciężka, niezręczna cisza. Jedyne białe róże na dzielącym ich stoliku do kawy stały, nie przejmując się niczym. Eva wpatrywała się we wzór na tapecie — francuskich wieśniaków tańczących pod złotymi drzewami na tle zieleni i fioletoów. Deszcz bębnił o szyby.

- Czy czytujecie „Democracię”? — zapytał doktor Caribe.

— Czasami — odparł Roberto. Jego przyjaciel spojrzał na Evę.

— Tak.

— A więc widziała to pani. — Wyciągnął z kieszeni kawałek gazety ze zdjęciem młodego człowieka o szczupłej, poważnej I warzy. Nagłówek artykułu głosił: „Udaremniono haniebny spisek przeciwko Peronowi! Policja aresztowała zdrajcę podczas strzelaniny”. Zdjęcie przedstawiało zdrajcę, studenta, który wdał się w konszachty z ambasadą Stanów Zjednoczonych w celu obalenia prezydenta. Eva czytała ten artykuł dwa dni temu, bo jej uwagę przyciągnęło nazwisko studenta. Ernesto Bravo. Przyjrzała mu się nawet dwa razy, aby się upewnić, że nie chodzi o studenta medycyny, którego spotkała, to jednak był ktoś inny.

— Słyszałem o tym. — Roberto pokiwał głową. — Policja aresztowała jakiegoś młodego człowieka pod zarzutem zdrady.

— Tak się mówi oficjalnie, ale to kłamstwo. — Doktor Caribe wpatrywał się w swój koniak. Miał wydęte usta, jakby trzymał w nich jakieś trujące słowo. Pociągnął jeden łyk, potem drugi.

— Panie doktorze, co się stało? — spytała łagodnie Eva. Opróżnił kieliszek i zaczął mówić:

— Pięć tygodni temu wezwała mnie policja, leczyć osoby zatrzymane, czyli złodziei, morderców i prostytutki. Byłem pewien, że chodzi właśnie o taki przypadek. Nieważne. Zgłosiłem się na komisariat, a oni poprowadzili mnie do sekcji specjalnej policji federalnej. Nigdy jeszcze tam nie byłem. — Przerwał na chwilę. — Otworzyli jakieś drzwi, a tam w ciemnej ciii, na betonowej podłodze leżał chudy *joven*. Nieprzytomny, cały we krwi, z głęboką raną w głowie. Miał tak posiniaczoną twarz, że daję wam słowo, własna matka by go nie poznała. Zbadałem go, miał złamane żebro i dwa palce. Stracił dużo krwi. Polecono mi, żebym go umył i udzielił mu pomocy, ale bez transportowania go do szpitala. Oświadczyłem, że to niemożliwe, bo jest w stanie krytycznym i wymaga leczenia

szpitalnego. Wtedy jeden z policjantów się wściekł i warknął, że mam go po prostu przywrócić do przytomności. Drugi policjant wziął mnie na stronę. Powiedział: „Sprawa wygląda tak, że bicie więźniów jest co prawda niedozwolone, ale konieczne, nie możemy jednak tego rozgłaszać. On musi tu zostać aż do czasu, gdy będzie, hm, nadawał się do pokazania ludziom. A to już należy do pana”. Zaprotestowałem, ale słabo. Spytałem, co się stanie, jeżeli tego nie zrobię. Wtedy on się zniecierpliwił i burknął, że być może nikt tego nie zrobi. — Dolna warga doktora Caribe zadrżała.

Roberto odwrócił taktownie wzrok. Eva poczuła klucie w pełnych mleka piersiach. Miała ochotę przechylić się nad stolikiem i przycisnąć do nich tego mężczyznę jak dziecko, które rozbiło sobie kolano na chodniku.

— Doktorze, nie zrobił pan nic złego.

— To nie wszystko. — Popatrzył na swoje ręce. — Ze wstydem przyznaję, że zostałem tam, ale ten chłopiec potrzebował nie jednego, lecz pięciu lekarzy. Gdybym odszedł, nie wezwaliby nikogo innego. Więc zacząłem go myć. Trwało to całą noc. W pewnym momencie usłyszałem zza drzwi dyskusję tych dwóch policjantów. Jeden chciał zabić chłopca i upozorować wypadek drogowy, drugi był niezdecydowany. Rozmawiali tak, jakby chodziło o jakiś stary grat, którego trzeba się pozbyć. Omal nie zwymiotowałem. W tamtym momencie powinienem był odejść. I już nigdy tam nie wrócić. Tymczasem zacząłem się zastanawiać, co ze mną zrobią. I co zrobią z tym chłopcem. Boże, zachowałem się jak tchórz. — Doktor Caribe patrzył gdzieś ponad ramieniem Ewy, tak jakby cela z betonową posadzką znajdowała się właśnie tam. — Ten chłopiec zawładnął mną. W stanie czuwania myślałem tylko o nim, gdy spałem, był w moich snach i czasami zamieniał się w mojego syna; są z grubsza w tym samym wieku. No cóż. Po czterech dniach odzyskał przytomność. Policjanci zabandażowali mu oczy, żeby nie mógł mnie zobaczyć. Nadali mi pseudonim, którego używali w obecności chłopca. Zamierzali wywieźć go z więzienia, ale

nie przetrzymałby tego. Musiało minąć jeszcze pięć dni, żeby jego stan ustabilizował się na tyle, by nadawał się do transportu. Pojechaliśmy z nim do domu pod miastem. To takie zakonspirowane miejsce używane przez policję do... do własnych celów. Tam miał dojść do siebie. W miarę jak jego twarz się goiła, robił się coraz bardziej podobny do mojego syna. Nigdy ze mną nie rozmawiał, chyba że prosił o jedzenie, o wodę albo o to, żeby zmienić mu pozycję na łóżku, do którego był przykuty kajdankami. Zabroniono mu rozmawiać ze mną, a mnie z nim. Dręczyło mnie to, że na pewno mną pogardza, bo uważa mnie za jednego z nich. Chciałem mu wyjaśnić, kim jestem, i nadal chciałem stamtąd uciec. Ale postępowałem tak, jak mi nakazano. Minęły trzy tygodnie. W końcu przyszedł rozkaz, aby go zwolnić. Skończyło się. Pomyślałem, że go uratowałem i że uratowałem też siebie. Chciałem zamknąć ten rozdział i zapomnieć. Wróciłem do domu, a gdy się położyłem, spałem dwadzieścia dwie godziny. Następnego dnia rano wziąłem do ręki „Democrację” i omal nie upuściłem na podłogę swojej mate. To wtedy poznałem nazwisko tego chłopca. — Wziął do ręki wycinek z gazety. — Ernesto Bravo.

— Nie rozumiem — powiedziała Eva. Bolały ją przepiękne mlekiem piersi, drażnił ją dotyk wkładek.

- Niemożliwe, żeby Bravo zaatakował policję. — Caribe potrząsnął wycinkiem. — Był w tym czasie pod moją opieką. Został w to wrobiony.

Eva oparła się o sofę. Próbowwała niczego nie przełykać — ani śliny, ani powietrza, ani tego, co wypełniało przestrzeń między nimi. Wieśniacy na tapecie tańczący pod złotym drzewem tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku, wyglądali śmiesznie. Śmiesznie, a jednak chciałyby być jak oni, nie przerywać tańca, trzymać się jasnej strony życia, jego koloru. Tymczasem w jej domu coś pękło. Znamienity lekarz siedział załamany obok wazonu z różami, młody człowiek został pobity nie do poznania, a pień drzewa, wokół którego tańczyli wieśniacy, usychał pod złotą farbą.

— To okropne — wyjąkała.

— Nie wiem, co zrobić. — Caribe rzeczywiście miał teraz głos małego chłopca, który rozbił sobie kolano.

— Antonio — nachylił się ku niemu Roberto — zapomnij o tym.

— Nie mogę. Wszystkiemu się sprzeniewierzyłem: swojemu zawodowi i swojemu sumieniu. Nawet żonie, która cały czas się zastanawia, dlaczego nie mogę spać. Jeżeli nie zrobię czegoś, żeby odkupić to zło, ta historia mnie zniszczy.

Wyglądał tak mizernie, że Eva nie miała co do tego wątpliwości.

— Co zamierzasz zrobić? — spytał niepewnie Roberto.

— Muszę opowiedzieć o tym innym ludziom, nie tylko wam. Potrzebuję rady, jak to zrobić.

— Nie! — Roberto prawie wstał z sofy. — Sprowadzisz niebezpieczeństwo na siebie, na swoją rodzinę, na wszystkich.

— Wiem.

Eva czuła się tak, jakby ją przypiekano żywym ogniem — z powodu gościa, z powodu młodego Ernesta Bravo, z powodu maleństwa, które spało piętro wyżej w różowym łóżeczku.

— A gdyby pan napisał list i sprawił, że trafi tam, dokąd trzeba?

— Evo... — W głosie Roberta była nuta ironii.

— Oczywiście anonimowo — dodała. Roberto już całkiem otwarcie wysłał jej wzrokiem ostrzeżenie, ale udała, że nie widzi.

— Nie mogę — odparł Caribe. — Próbowałem. Nie mogłem znaleźć słów. Tak jakby wielki głaz zagradzał mi drogę. — Spróbował uśmiechnąć się do Ewy, pierwszy raz tego wieczoru. — Nie wszyscy mają taki dar jak pani.

— Nic nie szkodzi — powiedział Roberto. — Mógłbyś napisać całe tomy, ale to i tak nic by nie zmieniło. Co się stało, to się nie odstanie. — Splótł ciasno ręce, a Eva czuła, że jest przestraszony. — Ostatnia rzecz, jakiej potrzeba Argentynie, to kolejny porządny człowiek, który wyjeżdża na emigrację.

— Może masz rację.

— A tak przy okazji — Roberto machnął ręką — czytałem twój artykuł o tradzie. Fascynujący.

Rozmowa zboczyła na inne tory, zmieniała się, rozbrzmiewała terminami medycznymi, których Eva nie rozumiała. Wierciła się niespokojnie — był już najwyższy czas, by uwolnić skrepowane piersi i pójść do Salome.

Przeprosiła i udała się na górę.

Salome Ernestina Santos spała z piąstkami w górze. Eva wyjęła jej z buzi smoczek, a wtedy dziewczynka otworzyła oczy, zapłakała i wyciągnęła rączki do matki. Eva odsłoniła pierś. Małe, ciepłe usteczka przyczepiły się do niej żarłocznie. Salomé uszczypnęła ją. Ssanie dziecka było oznaką jej wielkiej mocy — mogła dawać coś, co było potrzebne drugiej istocie. Starła się nie myśleć o Erneście Bravo, dwukrotnie zmasakrowanym przez policję, ani o kobiecie, która kiedyś wykarmiła go własnym ciałem; starła się również nie myśleć o małżeństwie Peronów, o ich różowym pałacu, o peanach na ich cześć nadawanych przez radio, o tym, jak budzili w ludziach nadzieję, o gazetach drukujących kłamstwa, o ich jakże złożonej, niezrozumiałej egzystencji, pełnej paradoksów, które zrozumieć mogłby chyba tylko Einstein. Starła się nie myśleć o sobie,

o tym, co będzie jutro, pojutrze i popojutrze, o tym, czy odtąd będzie szła przez życie, niosąc w sobie tę tajemnicę — że jest szacowną damą, zadbaną i bezpieczną, właścicielką drogiej biżuterii, kryształowych pucharków i atlasowych prześcieradeł, a jednocześnie pozwala na to, aby inni ludzie wykrwawiali się na betonowej posadzce. Już w tej chwili czuła do siebie obrzydzenie. Uścisnęła mocniej Salomé, która prawie podskoczyła

i z powrotem zajęła się ssaniem. Miałyby wiele rzeczy do przekazania córce, przygotowywała się do tego, aby je powiedzieć — mała dowiedziałyby się, kim naprawdę jest ta karmiąca ją kobieta z obnażonymi piersiami, która marzy o tym, aby być dzielną, wściekłą, odważną, i chce wierzyć, że tamten student miał rację i że wszystko jest możliwe. Tymczasem dziecko

puściło pierś i się oblizało. Eva położyła je z powrotem, zanuciła kołysankę—*aroró mi niña, aroró mi sol*—i mała od razu zasnęła. Wróciła do salonu. Obaj mężczyźni stali.

— Już pan wychodzi? — Rozłożyła ręce, aby okazać rozczarowanie.

— Nie jest to pora na popołudniową herbatkę.

— Nie szkodzi! Proszę pozwolić, że przynajmniej odprowadzę pana do drzwi. Roberto — dotknęła ramienia męża — na pewno jesteś zmęczony. Może od razu pójdziesz do łóżka?

Tak właśnie zrobił, a minutę później, kiedy Caribe wychodził na deszcz, Eva szepnęła:

— Niech pan wróci rano, gdy Roberto będzie w pracy. Pomogę panu.

— Jak? — Doktor rzucił jej spojrzenie z ukosa. Deszcz bębnił o jego parasol.

Eva wychyliła się do przodu, a na jej czoło spadło kilka kropli.

— Słowami — odpowiedziała.

Sprawy potoczyły się szybko. Nie minęły trzy dni, a Roberto wpadł do salonu jak burza.

— Eva!

Spojrzała znad notesu, w którym właśnie napisała „ty płoniesz, a...”. Przysunął twarz do jej twarzy. Miał zaciśnięte usta, zmarszczone brwi. Zaszczute zwierzę.

— Co się dzieje?

— Powiedz mi prawdę. Co robiłaś z Antoniem?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Chodzi mi o tamtą noc. O to, co nam opowiedział. Wśród polityków krążą teraz odbitki powielaczowe, był przeciek do prasy.

Eva odłożyła notes na stolik do kawy.

— Na jakiej podstawie twierdzisz, że mam z tym cokolwiek wspólnego?

— Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie masz.

— Te odbitki na pewno są anonimowe.

— Nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego, do czego oni są zdolni. — Roberto miał szalone oczy, jak jaguar zamknięty w klatce. Eva pomyślała, że nagle się zestarzał. — Dostałem dziś tajemniczy telefon, ktoś sugerował, żebyśmy wyjechali z kraju. A teraz może mi powiesz, droga żono, dlaczego dostałem taki telefon?

Świdrował ją spojrzeniem. Nie chciała odwracać oczu, nie chciała też pytać, jak to możliwe, jakim cudem mogli się dowiedzieć.

— Pomogłaś mu! Wbrew mojej woli! Wstała.

— Nie tylko do twojej woli się stosuję.

To nastąpiło bardzo szybko: ręce wczepione w jej barki, jej głowa, którą te ręce brutalnie potrząsnęły, i nagle została pchnięta na ścianę wyłożoną francuską tapetą, a mężczyzna, który był jej mężem, zaryczał:

— Coś ty zrobiła?!

Nie mogła oddychać, zresztą wcale nie potrzebowała, bo już oddzieliła się od siebie i uniosła w powietrze, ach, gdyby tylko odnalazła ten prześwit...

Puścił ją. Oparła się o ścianę. Bolała ją skóra na szyi, pod naszyjnikiem. Roberto stał kilka kroków dalej, plecami do niej. Widziała po jego zgarbionych plecach, że jest mu przykro. Salon otaczał go jak wysmakowana dekoracja — antyczny stół, aksamitne zasłony, miękki dywan utkany rękami perskich kobiet. Kocha mnie, powtarzała sobie w duchu.

Wyjeżdżamy — powiedział. — Jutro. Przygotuj dzieci. Evo, wiesz... Wiem.

Postał chwilę bez ruchu, po czym wyszedł, nie oglądając się.

Następnej nocy, o godzinie drugiej, Eva patrzyła z okna samochodu na wody Rio de la Plata. Ciemne i spokojne, rozstępowały się przed wyrzuszonymi korpusami łodzi na nabrzeżu. Z tyłu słyszała nawoływania mężczyzn, wyjmujących



z ich bagażnika walizki, które wypełniały ubrania, gotówka, fotografie, nieopublikowane wiersze i nawet pudełko z dziecięcymi bucikami (były niezwykle ważne, prawie najważniejsze, nie umiałyby ich zostawić ani wyrzucić). Salome leżała na jej kolanach, Robertito opierał się sennie o nią, ściskając Papagonię, ukochanego pluszowego królika. Wciągnęła w nozdrza słodko-cierpki zapach syna, zapach talku i oliwki do włosów. Gdyby mógł już zostać takim miękkim, pachnącym trzylatkiem, gdyby tak można się przeciwstawić prawom pędzącego czasu... Zdziwił ją swoją inteligencją; choćby dzisiaj — zasypał ją niezliczonymi pytaniami o to, dokąd wyjeżdżają („do kraju, z którego pochodzę”) i na jak długo („zobaczymy”). Jej mąż siedział na brzegu tylnego siedzenia i patrzył na miasto. Nie odezwał się przez całą drogę. Może to i lepiej. Eva poprawiła apaszkę, która skrywała siniaki na jej szyi.

Zastanawiała się nad tym, jak i kiedy ludzie odkrywają, że uciekli: studenci Roberta w szpitalu, pacjenci darzący go skrywanym, lecz szczerym uwielbieniem, Maria, hojna karmicielka. Początek opowieści będzie taki: była sobie rodzina, która pewnej nocy 1951 roku po prostu zniknęła. Chyba przestało padać. Chmury najwidoczniej zadowolily się niedawną ulewą i odpłynęły, być może definitywnie, a w każdym razie nie wrócą zaraz, kiedy czyste niebo tyle dla nich znaczy. Nie ma co się martwić o to, jakie będzie jutro.

Do portu wpłynęła łódź. Drzwi samochodu otworzyły się, mężczyzna w kapturze dał jej znak, żeby podeszła. Postawiła stopę na pokładzie. Woda rzucała ciemne błyski. *Cierre. Cielo. Cerrado. Siempre. Zamek. Niebo. Zamknięty. Zawsze.*

Zakapturzona załoga wyprowadziła łódź na pełne wody. Łąd zniknął, lecz Eva wiedziała, że znowu się pojawi. Przecież żyła na nim, chodziła po nim i wdychała jego zapach jeszcze sześć lat temu. Montevideo. Miasto rozbrzmiewające echem. Miasto zbyt wielu sklepów z butami. Miasto, w którym na rogu jest sklep rzeźnicki, w pewnej kuchni rosną zioła, a znad duszonego mięsa unosi się zwykłe ciepło. Wracała do przeszłości i po raz

pierwszy od piętnastu lat modliła się pod osłoną nocy: za syna Roberta i za Salome, za swoje małżeństwo obciążone nowym, nienazwanym balastem, za doktora Caribe z rodziną, który w tej samej chwili też wyruszał na wygnanie, za Ernesta Bravo, za jego matkę, za Evitę i Juana Peronów, za Argentynę, która ich kocha i się ich boi, za zaczarowaną, znękaną, srogą Argentynę. Modliła się za Urugwaj, za matkę, za swoich braci, ich dzieci i żony, za wszystkich poetów z La Diablity, za Coco z jej listami i zaginionym Andresem; modliła się o to, by fale nadal pluskały przy La Rambli, a urugwajska wełna przedła się na krosnach, modliła się za ojca — tak, za ojca i nawet za Pietra, *śi*, o Boże, który jesteś w niebie lub w jakimkolwiek innym miejscu, za Pietra też, bo gdzie miałyby się modlić, jeśli nic tu, między dwoma brzegami, między domami, na tej rzece, która przedziela dwa światy.

Po paru godzinach z ciemności, sponad czarnej wody, zaczęły się wynurzać morelowe światła Montevideo.

*Monte. Vide. Eu.* „Widzę górę” — powiedział kilkaset lat temu pewien kapitan, kiedy dostrzegł ze statku niewielki pagórek. Wpływał na rzekę, która miała go doprowadzić do pokładów srebra. Miasto fałszywych nazw. Miasto małych rzeczy. Miasto przesycone zapachem skór, świeżej wełny, miasto słonego wieczornego wiatru.

Wrócić tu znaczyło tyle, co cofnąć się w czasie. Każdy kamień i każdy krok przynosiły wspomnienia. Pierwszego dnia omal nie upadła przy fontannie w Parque Rodó. Z wody wynurzyło się widmo jej samej z końca wojny i schyliło się, aby zmyć z bluzki wymiociny. Przyskoczyło do niej brudne, powalane, rzuciło się na nią z pazurami. Wycofała się, pobięła w stronę drzew i rozciągającej się za nimi ulicy.

Jednocześnie wszystko było inne, choć w mieście nie zaszły zmiany; to ona musiała dostosować wzrok i pozostałe zmysły do tutejszego światła, a także przyzwyczać się do widm, do

poniższej skali i do spokoju. Nawet w samym centrum Montevideo nie było wielkich bulwarów ani oszalałych klaksonów. Tutaj samochody jeździły jakoś ciszej. Zamieszkali w Ciudad Vieja, przy Avenida San Salvador. Z ich balkonu z kutego żelaza widać było inne ozdobne kamienice, brukowaną aleję, rozkołysane liście starych drzew i La Diablité. Jeszcze sześć lat temu, zanim poznała Buenos Aires, mieszkanie w tej okolicy wydawało się jej szczytem elegancji. Teraz mogła powiedzieć, że mają solidne, choć nieforniowane łóżko, że dywany są czyste, chociaż nie czerwone, a zasłony całkiem ładne, chociaż nie z aksamitu. Wstawiała w nocy (cichutko, żeby nie obudzić Roberta) i na palcach wysuwała się na balkon, w pantoflach i w futrze. Z tej bezpiecznej wysokości, paląc papierosy, obserwowała, jak czerwone drzwi otwierają się i zamykają za gośćmi. Ich trzaśnięcia były jak wołanie, gdyby przebiegła przez ulicę i stanęła na progu La Diablity, z całą pewnością wróciłyby noce wypełnione pracą i marzeniami — przypomniaby sobie, kim jest. Przez te trzaśnięcia czuwała całymi nocami, a kolejne papierosy w jej palcach zamieniały się w popiół.

Ten powrót nie będzie prawdziwym powrotem, dopóki nie odwiedzi Punta Carretas. Nie mogła jednak iść do domu, w którym się wychowała. Nie mogła zobaczyć ojca. Myślała

o tym, próbowała sobie wyobrazić tę sytuację i słowa, które mogłaby wypowiedzieć, wszelkie wyobrażenia kończyły się jednak obrazem ślubu Tomasa, śmiechem ich dwóch — ojca

i Pietra — i *pascualiną*, ciastem, które upuściła na podłogę. Ten gruby kawałek *pascualiny* zdążył spleśnieć, a pleśń potrafi tak łatwo przedostać się do organizmu człowieka. Bała się, że mogłaby znowu nie wstać z łóżka, nie ucałować swoich dzieci, a gdyby jeszcze raz spróbowała *pascualiny*, zabiłaby kogoś. Tkwiła w impasie, ale impas jest lepszy niż wojna. Tyle że oprócz ojca ma jeszcze matkę. Musi zobaczyć się z matką.

Poszła do sklepu Descalzó w. W środku odnalazła znajomy, gryzący zapach, choć nie było tam dziewczynki ani chłopca

bawiących się w piratów i nikt się nie śmiał. Sam sklep jednak się nie zmienił, Coco też nie: ta sama okrągła twarz, żółta chustka, schylone plecy, kiedy układała kielbasy w gablocie.

Roberto wiercił się i czepiał matczynej spódnicy, wiedziała, że nadchodzi pora jego drzemki. Od czasu przyjazdu stał się bardzo kapryśny. Eva, nagle onieśmielona, czekała, aż Coco zwróci się do niej. Też najchętniej schowałaby się pod wielką matczyną spódnicą. Dwie muchy krążyły wokół mięsa, tak samo jak dawniej — to też się nie zmieniło. Coco zasunęła szybę gabloty, gotowa obsłużyć klientkę, jakąś zamożną panią z trzyletnim może chłopcem i drugim dzieckiem w wózku.

— Czym mogę służyć, *señora*?

— Przyszłam zobaczyć się z matką.

Coco zamrugnęła. Obejrzała Evę od stóp do głów, dwa razy.

- Eva? Eva Firielli? — wycedziła, jakby uruchamiała nieużywany od dawna silnik.

Zza zasłony rozciągniętej za ladą wynurzyła się Pajarita. Stała bez ruchu w swojej wełnianej sukni, posiwiła, z szeroko otwartymi oczami. Eva poczuła, że otwiera się w niej zamknięta dotąd muszla.

- Mamá... — Zanim zdążyła osunąć się na kolana, by błagać o przebaczenie, chwyciły ją mocne ramiona, szorstka wcina drapała ją w policzek, w nozdrzach czuła zapach bazylii i gorzkich korzeni.

Tyle czasu... — powiedziała Mamá. Eva poddała się uściskowi. Matka była drobna, ale przyciskała ją z taką siłą, że ledwie mogła oddychać. Ramionami l'ajarity wstrząsnął szloch. Eva miała ochotę się odsunąć, ale się powstrzymała.

Mamá! — To Roberto ciągnął Evę za spódnicę.

*Hola, precioso.* — Pajarita wreszcie cofnęła się i przykucnęła przy chłopcu.

Roberto, to jest twoja *abueta*, powiedz „dzień dobry”.

Dzień dobry, Abuela — powtórzył grzecznie. Zaczął

przyglądać się tej kobiecie, która miała wilgotne oczy, nieładną sukienkę i przesuwała ręką po jego ręce, twarzy i włosach.

— A to jest Salomé. — Eva pokazała gestem wózek. Pajarita zajrzała do środka. Salomé poruszyła się, spojrzenie

babki przebiło się przez ciekłą warstwę jej snu. Pajarita wzięła ją na ręce i przyłożyła do piersi. Dziewczynka chwyciła jej srebrnoczarny warkocz jak sznur ratunkowy i pociągnęła z całej siły. Pajarita nawet nie drgnęła, nie zareagowałaby nawet, gdyby Salomé chciała wyrwać jej włosy z cebulkami.

— Jest silna — wyjaśniła przeprasza jąco Eva.

— Ależ oni są podobni do ciebie, Pajarita — stwierdziła Coco zza lady. Zdażyła już otrząsnąć się z szoku i przyglądała się badawczo Evie. — Patrzcie no, prosto z Buenos Aires. — Te dwa ostatnie słowa zaakcentowała w taki sposób, że trudno było orzec, czy więcej w nich podziwu, czy uprzedzenia. — Nie poznałabym cię.

Eva uśmiechnęła się niepewnie. Czowała się jak dziecko, które się przebrało w dorosłe ubrania. Zaczynała się dusić w tym sklepie z powodu zapachu krwi i metalu, z powodu wspomnień, a także właścicielki, która stała z założonymi rękami. Coco potrafiła być bardzo serdeczna, ale nie zapominała łatwo uraz, a zapewne oskarżała Evę o to, że uciekła z jej synem, a potem tak długo dręczyła własną matkę milczeniem. Eva łatwo mogła sobie wyobrazić, jak Coco i Mamá przesiadywały przez te lata w saloniku na górze, sącąc mate, która miała dla każdej smak smutku.

— Gdzie twój mąż? — spytała Coco.

— W pracy.

— W pracy? Przyjechał na wakacje i pracuje?

— Nie jesteśmy na wakacjach. — Eva śledziła wzrokiem syna, który zbliżał się niebezpiecznie do gabloty z wołowiną. — Przyjechaliśmy na dłużej.

— Na dłużej? — Pajarita spróbowała spojrzeć jej prosto w oczy, co niezupełnie się jej udało, bo nadal miała głowę przekrzywioną w kierunku Salomé.

— Tak. Musieliśmy... — Nie mogła wyznać, że uciekali w ciemnościach na łodzi, którą sterowali mężczyźni w kapturach. — Musieliśmy bardzo szybko się zdecydować. Dlatego nie uprzedziłam.

Roberto przycisnął nos do szyby. Na pewno zostawi smugi.

— Rozumiem. A kiedy przyjdziecie na kolację? — zapytała l'ajarita.

Właśnie tego pytania Eva się obawiała. Nie mogła przystać na powitalną kolację z całą rodziną, z górą *empanadas*, z dwoma tuzinami ludzi, którzy będą się przekrzykiwać, z biegającymi bratankami, z winem i *biscochos* — i z ojcem.

— Och, jeszcze nie wiem — odpowiedziała z nadmierną beztróską. — Jesteśmy bardzo zajęci wieczorami. — Wymówka była żenująca, więc dodała: — Ale wrócę tu jeszcze i spotkam się z tobą.

Pajarita patrzyła bez złości, ale nie dawała za wygraną.

— Co mam powiedzieć twojemu ojcu?

Eva przestąpiła z lewej nogi na prawą, potem z prawej na lewą. Roberto dwa razy pacnął ręką w szybę. Naturalnie, Mamá będzie się starała przywiązać ją z powrotem do rodziny, tak jakby rodzina była krosnem tkackim, a ona zerwaną nicią. Wyobrażała sobie, że wystarczy wyciągnąć rękę, zrobić supełek, wstawić córkę w odpowiednie miejsce i w tkaninie nie będzie dziur, powstanie miękka, gładka materia, tak jakby świat nie używał nożyczek.

— Nie wiem.

— Aha. — Pajarita nareszcie wyprostowała głowę, którą uwolniła od uchwytu Salomé.

Zapadła cisza. Coco zaczęła kaszleć. Roberto stukał paznokciami w szybę — puk, puk, puk, puk, puk, puk, puk.

— Przestań, *querido*. — Eva odsunęła go od gabloty i wzięła na rękę. Robił się ciężki, musiała użyć wszystkich sił, żeby go udźwignąć. — Muszę już iść, to dla niego pora sjesty.

— Wróc wkrótce — poprosiła Pajarita.

— Wrócę jutro — obiecała Eva.

Coco chwyciła ją za ramię przy wyjściu.

— Posłuchaj, chodzi mi o Andresa. Na pewno coś wiesz, powiedz mi cokolwiek.

Eva patrzyła na jej dłoń upstrzoną plamami wątrobowymi.

— Razem wyjechaliśmy. Był ze mną w Buenos Aires mniej więcej przez cztery miesiące. Potem zniknął i odtąd więcej o nim nie słyszałam.

Oczy Coco się zwięziły.

— Czy narobił ci kłopotów i odszedł? — zapytała.

— Nie. Zachowywał się po rycersku. On nie... Nic między nami nie było.

Coco nie wyglądała na przekonaną. Zapach surowej wołowiny nagle zgęstniał w powietrzu.

— Przykro mi.

— Chciałabym tylko wiedzieć, że żyje.

Eva wyobraziła sobie, że Andres wykrwawił się na śmierć w ciemnej uliczce w San Telmo albo zmarł w samotności na zapalenie płuc, lecz przecież równie dobrze mógł na przykład wyjechać do Paryża. Może jest tam teraz i śmieje się z nich obu.

— To zrozumiałe.

— Wiesz, zmieniłaś się. Nie chodzi tylko o strój.

Tyle rozmaitych warstw, do których się wraca, myślała, paląc tej nocy papierosa na balkonie. Człowiek daje nura w przeszłość, czyli robi coś, co jest proste i zarazem nieskończenie złożone, niemożliwe. Daje nura w ciemność. Na dole otworzyły się czerwone drzwi i do La Diablity weszła młoda dziewczyna. Czyżby kelnerka? A może kandydatka na poetkę? Eva powiedziała sobie, że jednak tam nie pójdzie. Wystarczy już tych powrotów. Położyła papierosa na balustradzie. Jakiś mężczyzna w długim czarnym palcie spacerował po ulicy tam i z powrotem. Jego twarz zasłaniało nisko opuszczone rondo fedory. Miała pewność, że ten człowiek na coś czeka — na czyjeś przyjście albo na załatwienie jakiejś sprawy. Zapaliła następnego papierosa i poczekała na tę sprawę czy może na prostytutkę, albo

sekretną transakcję. Papieros wypalił się powoli. Nic się nie wydarzyło.

Wróciła do sypialni. Roberto pochrapywał cicho, leżąc na wznak. Jakże łatwo znalazł pracę — szpitale rywalizowały

o niego i nie zadawały żadnych pytań o powód przeprowadzki. Nie zapalając światła, obejrzała swoją szyję w lustrze nad toaletką. Siniaki zniknęły. Przechyliła się, tak by dosięgło jej światło latarni ulicznej. Tak, zupełnie zniknęły. Milczenie między nią a Robertem wypełniały tymczasem rozmaite zwroty grzecznościowe w rodzaju „dzień dobry” albo „pozwól, że wezmę twój płaszcz”, ale była to tylko powłoka. Żadne z nich nie wybaczyło drugiemu czy też może żadne nie wybaczyło sobie — ani odbitek powielaczowych, ani wygnania, ani chwil spędzonych bez tchu przy ścianie.

Eva wzięła do ręki notes i pióro. Zaczęła pisać. W ciemnościach litery skakały po stronie, ale nie miało to znaczenia. Pisała szybko i spontanicznie, wrywała kolejne strony, aż wyrzuciła z siebie wszystko, co się w niej nagromadziło. Wtedy otworzyła szufladę, pozbierała kartki i wrzuciła je na stos nicukończonych wierszy.

Minęły trzy lata. Spokojne lata. Eva tęskniła niekiedy za hałasem i ożywieniem Buenos Aires, lecz ku swojemu zaskoczeniu odkrywała nowe aspekty Montevideo i jego codzienny liryzm, nawet w sklepie Descalzów w dni, kiedy zbierało się tam dużo kobiet, z których każda pachniała potem, olejkami i każda przynosiła swoje zwierzenia. To były wciąż te same kobiety, jak dawniej kupowały mięso i plotkowały, tylko że teraz, ich rozmowy polegały w znacznej części na przechwałkach nu lemat wnucząt. La Viuda też przychodziła. Była chyba starsza od samego Pana Boga. Czasami brała sobie stołek, stawiała go przy drzwiach i witała wszystkich wchodzących radami w iście apokaliptycznym tonie. Kobiety chętnie ucinały sobie z Evą pogawędkę, wypytywały o wszystko, co zdarzyło się w minio-



nych latach, a także o Peróna, bo przecież z każdym rokiem do Urugwaju ściągало coraz więcej Argentyńczyków, więc chciały wiedzieć, czy rzeczywiście stosował represje, o jakich pisały rozmaite lewicowe pisma. Eva odpowiadała, a one traj-kotały, no bo cóż to za populistą, skoro robi takie rzeczy własnemu narodowi, ach, gdyby wszyscy prezydenci byli jak nasz Batlle, świeć Panie nad jego duszą. Nadal sporo kobiet ustawiało się w kolejce po poradę Pajarity. Część z nich przekraczała zasłonę z grubego płótna z kamienną miną, lecz wynurzały się stamtąd we łzach, część zaś wchodziła z płaczem, ale za to wychodziła z promienną miną. Eva pilnowała dzieci, czasami zapakowała kawałek mięsa albo przetarla ladę. Pozwalała, aby jej umysł zanurzył się z powrotem w świecie jej matki.

Od czasu do czasu robiły z matką wypad na La Ramblę, gdzie spacerowały i przyglądały się, jak popołudniowe słońce rzuca refleksy na wodę. Towarzyszył im wielki spokój i właśnie w tym spokoju można było wypowiedzieć trudne rzeczy.

— Mami?

— Hm?

— Mam nadzieję, że nie jesteś zła, no, wiesz, o to, że nie przychodzę do domu.

Eva wsłuchiwała się w pluskanie fal. Matka patrzyła na strzępek lądu, na którym stała latarnia morska. Opowiedziała kiedyś Evie o tym, że w czasach, gdy wybudowali z jej ojcem dom, światło latarni zaglądało do nich przez okna.

— Nie zmieniłaś zdania?

— Nie.

— I nie namówię cię, żebyś je zmieniła?

— Nie.

Szły dalej. Mamá była smutna. Jej profil przemieszczał się na tle jasnego nieba.

— Cóż, wolę mieć cię chociaż trochę niż wcale.

Z resztą rodziny spotykała się partiami: Tomás i Carlota odwiedzili ją u rzeźnika, a Bruno i Mirna zaprosili do siebie

na kolację. Przy *buñuelos* i gotowanych ziemniakach starała się zaspokoić ich ciekawość w sprawie Argentyny, podczas gdy dzieci zabawiały się puszczaniem drewnianej kolejki. Marco, który został aptekarzem w Buceo, robił sobie przerwy w pracy, by wypić z nią mate na ławeczce w parku; przy okazji męczył ją o to, by odwiedziła ojca.

— Powinnaś się z nim zobaczyć — namawiał. — Obydwoje jesteście za bardzo uparci.

Eva uśmiechała się tylko i patrzyła, jak wiatr bawi się jego lokami. Jej schronieniem była kuchnia w domu Xhany, która wraz z mężem i ojcem mieszkała w Barrio Sur, jedną przecznicę od rodziców Cesara i dwie przecznice od rzeki, w pobliżu niezbyt licznej czarnej wspólnoty Montevideo. Stół przykrywał zwykły obrus w kratkę, talerze, kubki i sztucce stały na wierzchu. Mieszkanie często wypełniało się bębniarzami i ich muzyką. Przychodząc, Eva przynosiła zwykle grubą paczkę mięsa ze sklepu Coco, które zamieniało się w farsz do *empanadas*, w smażone *milanesas* lub jeden ze składników *churrasco*. Xhana królowała w swojej kuchni, śmiała się serdecznie, gotowała jak szatan, a przy okazji tłumaczyła swoim przyjaciołom różne aspekty nowych przepisów prawnych lub na przykład strajku w fabryce. Eva uważała, że nie straciła nic z tamtej dziewczyny sprzed lat, która umiała bez zmrżenia oka wypatroszyć rybę i pożerała teksty Marksa. Kiedy miały kuchnię tylko dla siebie, potrafiły gadać do późnej nocy, a dziewczęce lata zdawały się tak blisko, że Eva z niedowierzaniem patrzyła na swoje ręce, aby się upewnić, czy na pewno osiągnęły damski rozmiar.

Jak to dobrze znowu cię mieć — mawiała Xhana, nalewając kolejny kieliszek wina. — Za długo cię nie było.

Dobrze, że zostałam zmuszona do wyjazdu — odpowiadała Eva, wydmuchując dym z papierosa.

Nie tylko z Argentyny, ale już wcześniej. Byłaś nieobecna leszcze na długo przed Argentyną.

— Wiem — mówiła Eva, sięgając po popielniczkę, w której piętrzyły się zgniecione niedopałki.

— Jesteś moją jedyną siostrą. Tęskniłam za tobą.

Z salonu słyhać było, jak Tío Artigas nuci starą gauczowską balladę. Eva pamiętała ją z dzieciństwa. César odpowiadał mu powolnym, giętkim rytmem *candombe*. Eva gasiła papierosa i zapalała następnego. Spodziewała się, że zaraz padnie pytanie, na które nie miała ochoty odpowiadać, lecz to pytanie nigdy nie zostało zadane.

— Ale teraz jestem tutaj — podkreślała.

Nieraz po wizycie u Xhany Eva nie kładła się aż do wschodu słońca i pisała. Wiersze — intymne, żywiołowe, obfite — przychodziły nie wiadomo skąd. W tajemnicy zdążyła zapełnić już trzy szuflady słowami, które łowiła w ciemnościach. Każde słowo było soczewką, która skupiała jakiś fragment jej świata. Głód. Świt. Miasto na brzegu rzeki. Dwoje cudownych dzieci, które uparcie rosły i stawały się małymi, niezależnymi osobami. Pogrzeb jaskółki w Parque Rodó urządzony przez Salomé i Xhanę (wrażliwe serduszko Salomé, która szlochała, jakby od lat znała tego ptaszka). Radość przytulania się do Roberta w deszczowe noce (do młodego Roberta, który był mądry i poważny, nie do starszego). Pisała o uśpionej urodzie Montevideo, o tym, jak za dnia chłonie ją przez skórę, i o tym, że drobiazgi — ruch wody w zakolu rzeki, kobieta, która płacze na balkonie, oparłszy głowę o balustradę, czerwony aromat wołowiny smażącej się na ruszcie w narożnym barze — potrafią ją poruszyć, otworzyć na świat i przypomnieć, że i ona ma w nim swoje skromne miejsce. Chociaż jednak pisała tak wiele, nie wspominała ani słowem o nawiedzających ją nocą demonach. Nieraz, zadyszana i mokra od potu, zrywała się z łóżka z poczuciem dojmującej samotności, choć obok niej leżał, pogrążony w głębokim śnie, pewien lekarz. Nie pisała również o tym lekarzu, obcym mężczyźnie w swoim łóżku, ani o zdawkowych uprzejmościach, które ich od siebie odgradzały. Nie wiedziała, dokąd doprowadzą ją te słowa, dlaczego je zapisuje

i co naprawdę znaczą. Wystarczało jej to, że pióro porusza się po kartce, że dobiega do jej brzegu i nadaje kształt bezkształtowi. Pióro samo szukało swojego domu.

- Roberto na pewno tęskni za domem — wyraziła przypuszcz/enie *señora Caribe*. — Jeśli o nas chodzi, bardzo tęsknimy.

Eva upiła łyk herbaty z delikatnej filiżanki. Już nie pamiętała, kiedy ostatni raz Robertowi udało się wrócić przed północą. Owszem, tęskni — powiedziała. Żona doktora Caribe spojrzała na sufit, na którym wentylator miedlił ciężkie powietrze.

Kiedy czytam gazety, mówię sobie czasami, że Perón nie utrzyma się już długo. Stał się nieobliczalny. Czternastolatka? Cóż to za prezydent, który bierze sobie czternastoletnią kochankę?

Eva zacisnęła usta i pokręciła głową z dezaprobatą. Evita przewróciłaby się w grobie, gdyby miała normalny grób, a nie była zabalsamowana.

Najbardziej chciałabym zobaczyć swoją siostrę, zanim umrze. Mam tylko nadzieję, że zdrowie pozwoli jej przetrwać l'cróna. Czasami śni mi się, że umarła i wzywa mnie przez rzekę. Słyszę jej wołanie, ale nie mogę odpowiedzieć. Budzę mę zlaną potem. Pani pewnie myśli, że zwariowałam. Nie, wcale nie. *Señora Caribe* spojrzała z wdzięcznością i zapytała:

Pani też miewa złe sny? Eva założyła nogę na nogę, po czym ją wyprostowała. Tak — odparła.

No to polecę pani świetne lekarstwo. — Spojrzała ponad ramieniem Ewy, jakby sprawdzając, czy w serwantce z porcelaną nie schował się jakiś szpieg. — Kto myje pani włosy?

Sama je myję — odpowiedziała Eva, która nie tego się spodziewała.

Kto jeszcze?

— Mój fryzjer.

— To znaczy?

— Mój fryzjer z Pocitos.

— Ano właśnie, musi pani iść do mojej fryzjerki. W całym mieście nie ma lepszej. Jej szampon potrafi zmyć wszelkie troski.

Eva uśmiechnęła się do gospodyni.

— Naprawdę, nie żartuję. Potem znacznie lepiej śpię. Poza tym ona doskonale strzyże. — Dotknęła swoich srebrnych loków. — Podam pani jej telefon.

Tego wieczoru Eva, kiedy już położyła dzieci do łóżek i pozmywała po kolacji, otworzyła na balkonie karteczkę, którą dostała od doktorowej Caribe. Musiała nateńczyć wzrok, aby w świetle latarni odcyfrować odręczne pismo. Zolá Zapateada, 35-53-99.

Mężczyzna w czarnej fedorze znowu kręcił się na dole. Był środek lata, a on nosił nisko opuszczony kapelusz i długi płaszcz. Czyżby naprawdę spodziewał się znaleźć na ulicy jakąś zgubę? Co może skłonić człowieka do tego, aby przez trzy lata z rzędu krążył jak potępieniec w tym samym miejscu? Może to jakiś udręczony artysta, zawiedziony kochanek, bandyta czyhający na okazję albo szaleniec, który nie ma dokąd pójść... A może po prostu dryfuje sobie po świecie, który zmusza do dryfowania dusze nieszczęśników, bez uprzedzenia i bez powodu zrywa kotwice, które je trzymały. Eva wróciła do sypialni i do pustego łóżka. Wsunęła się pod prześcieradło, zamknęła oczy. Zolá Zapateada, cóż to za nazwisko? Zasnęła.

Umówiła się na następny tydzień. Fryzjerka mieszkała w eleganckim wieżowcu z windą obsługiwaną przez boya w uniformie z błyszczącymi guzikami. Eva wysiadła na piętnastym piętrze i zapukała do drzwi z numerem 1555.

— Chwileczkę! — odezwał się miękki głos po drugiej stronie.

Otworzyła jej wysoka, szczupła kobieta.

— *Buenas...* — powiedziała i umilkła.

Czy to Zolá? — Tak, proszę.

Eva weszła i rozejrzała się po pomieszczeniu. Marmurowe konsolki, ściany w kolorze kości słoniowej, kryształowy wazon z żywymi kwiatami. Zolá miała na sobie perły i fioletowy jedwab, do tego usta pociągnięte ciemnoczerwoną szminką. I'rzyglądała się Evie z intensywnością, która graniczyła z impertynencją.

— Jakie ładne mieszkanie.

— Eva... Nie pamięta mnie pani?

— Czy pamiętam?

Ta twarz, wyrazista, przyjemna, rzeczywiście wyglądała znajomo. Eva nie potrafiła jednak jej umiejscowić. Zaczęła przeszukiwać zakamarki pamięci — te rysy, włosy, oczy... Oczy. Coś ścisnęło ją w piersi, nie mogła mówić. Popatrzyły na siebie.

Minęła długa chwila. Evę zaczęły palić policzki i dłonie, (iospodyni pierwsza odwróciła wzrok.

— Może podam mate? Eva stała bez ruchu.

— Proszę czuć się jak u siebie w domu.

Kiedy Zolá zniknęła w kuchni, by zagrzać wodę, Eva usiadła na kanapce z gniecionego weluru. Pokój, ozdobiony obrazami w złotych ramach i bujnymi roślinami doniczkowymi, był duży i widny dzięki oknom, które sięgnęły od podłogi do sufitu. Po prawej stronie Evy, naprzeciw okrągłego lustra, stało krzesło fryzjerskie, a z lewej rozciągał się widok na domy usytuowane nad rzeką. Wyobrazila sobie nagle, że wypada z tego wielkiego okna, wypada z rzeczywistości, po to by zanurzyć się w podwodnym świetle. Zolá weszła z tacą, na której stały *bizcochos* i mate.

Eva, która miała ochotę śmiać się, płakać i krzyczeć, powiedziała:

— To nie do wiary.

Nie patrząc na nią, Zolá podała jej tacę. Eva wzięła do ręki ciastko i przyjrzała się mu. Wyglądało całkiem normalnie.

— Od kiedy zajmujesz się obcinaniem włosów?

— Od siedmiu lat. Po przemianie uczyłam się w Buenos Aires, ale tam jest duża konkurencja, więc wróciłam. — Podała Evie mate. — W Urugwaju jestem jedną z najlepszych.

Eva upiła łyk z tykwy. Gorzki smak wypełnił jej usta.

— I to dlatego mnie zostawiłaś?

— Dla obcinania włosów?

— Wiesz, o czym mówię.

— Naprawdę bardzo mi przykro. Wkrótce po naszym rozstaniu poszłam do szpitala. Nie chciałam cię porzucić, ale nikt nie mógł się dowiedzieć.

— I co ci tam... to znaczy... Zolá wygładziła spódnice.

— Możliwy jest pewien rodzaj operacji, wtedy to była absolutna nowość. W Berlinie jeszcze w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym pewien malarz poddał się takiemu zabiegowi. Słyszałam o tym od chłopców w La Diablicie. Domyślasz się, że nie pochwalali tego. Ale przynajmniej wiedziałam, że coś takiego istnieje, więc pojechałam do Argentyny. Znasz Buenos Aires. W tym mieście ludzie gonią za nowinkami.

Eva potwierdziła kiwnięciem głowy. Następne pytanie uwieź-ło jej w gardle.

— Nie krepuj się. Pytaj, o co chcesz.

— Dlaczego?

Zolá milczała, Eva zaś przestraszyła się, że ją obraziła. Zaczęła gorączkowo się zastanawiać, czym by tu wypełnić ciszę, ale wszystkie słowa, które przychodziły jej do głowy, wydawały się nie do wypowiedzenia.

— Po to, żeby być prawdziwym.

Światło wlewało się obficie do tego pokoju o wysokich oknach, załamywało się w kryształowych wazonach, otrzepywało z kurzu wspomnienia, przestawiało rzeczy, które wydawały się pewne i wiadome. Eva przekazała tykwę w ręce Zoli. Obserwowała ją (ją!), jak dolewa wody i kładzie usta dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą były usta Evy.

— A ja przez cały ten czas sądziłam, że uciekłaś z inną kobietą.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Znalazłam kredkę do ust pod komodą w twoim pokoju.

— Do kogo twoim zdaniem należała? Eva patrzyła i nic nie mówiła.

— Pracowałam w kabarecie, pamiętasz, prawda?

— Tak.

— To podejrzanе zajęcie. Ten zawód bardziej mi odpowiada. Eva przypomniała sobie, jak Andres odprowadził ją po raz

pierwszy z La Diablity do domu. Rzeczywiście w świetle księżyca wydał się jej taki eteryczny, jakby nie z tego świata. Na pewno zupełnie nie pasował do sklepu rzeźnickiego.

— Nie masz pojęcia, jak za tobą tęskniłam.

— Ja też...

Spojrzały sobie w oczy, jak dwie obce i zarazem znajome osoby.

— Doskonale wyglądasz — stwierdziła Eva.

— Ty również.

Eva odwróciła wzrok i spytała:

— Czy boisz się, że ktoś może cię rozpoznać?

— Ty mnie nie rozpoznałaś, prawda? — Zolá odpowiedziała uśmiechem, w którym było trochę dumy. — Rzeczywiście trzymam się z dala od Punta Carretas, chociaż większość ludzi, których dawniej znałam w Montevideo, nie korzysta z usług takich fryzjerów jak ja. Moje klientki są raczej... jak by to powiedzieć...

— Podobne do mnie?

— Właśnie, *señora* Santos. — Zolá wymówiła to nazwisko z ironiczną emfazą. — Są podobne do ciebie. A teraz powiedz mi, kim jesteś.

Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

— Dlaczego?

Bo nie wiem, kim jestem.



— W takim razie powiedz, co się z tobą działo przez ten czas. Eva zrelacjonowała swoją historię, z początku metodycznie,

potem coraz bardziej chaotycznie. Mówiła o paraliżu spowodowanym wyjazdem Andresa, o aseptycznym szpitalu, o szczególnej trosce doktora Roberta Santosa i o jego różowych pigułkach, o mieszkanku z tapetą w różyczki i o uwodzeniu,

o domu z białymi kolumnami, o narodzinach dzieci, o nieregularnych publikacjach swoich wierszy, o wizycie zlanego deszczem lekarza, o odbitkach powielaczowych, które zmusiły jej rodzinę do wyjazdu, o balkonie, na którym obecnie spędza noce, patrząc na drzwi do La Diablity, o wieczorach u Xhany i o dniach u Coco, o mężu, który żyje jakby z dala od niej, o pełnych życia dzieciach i o szufladach, do których chowa swoje wiersze. Sam fakt mówienia o tym poruszył w niej kalejdoskop pamięci. Słowa padały z jej ust jak kolorowe szkiełka, a siedząca naprzeciwko kobieta zachłannie ich słuchała. W końcu Eva zamilkła.

— Czyli jesteś teraz szczęśliwa?

— Nie wiem. A ty?

— Tak — odpowiedziała Zolá, unosząc brew. — Ale też poniosłam wielkie straty.

— Jakie na przykład?

— Na przykład straciłam matkę.

W pokoju pojawiła się nagle Coco, jej mocne ręce, dźwięczny śmiech i biodra jak mury fortecy.

— I ciebie.

Eva spojrzała w okrągłe lustro, w którym odbijało się zachmurzone niebo, za to Zolá wbiła wzrok w stolik do kawy, jakby nagle czymś ją zaintrygował.

— Czy jesteś zniesmaczona?

Za oknem światło nabrało złocistego odcienia, a jego okruchy wpadały do połyskliwej rzeki. Przynajmniej rzeka była ta sama co zawsze, długa i szeroka. Całymi latami marzyła o tym, aby się przez nią przeprawić, zanim w końcu do tego doszło. O świcie weszła na statek ze swoim najlepszym przyjacielem,

dwudziestoletnia, spragniona jego ciała i jeszcze wielu innych rzeczy, pewna swoich pragnień i jednocześnie wszystkiego niepewna. Może duch tamtej dziewczyny nadal unosi się na lalach. Nad dachami przefrunęła mewa, by po chwili zniknąć.

— Nie.

Na twarzy Zoli pojawiła się ulga.

— Ale mam jedno pytanie.

— Słucham?

— Czy zrezygnowałaś z poezji?

— Nie. Jako poetka występuję pod pseudonimem.

— Aha.

— Jestem dziewczyną ze wsi, żyję gdzieś w pampie.

— No nie...

— W dodatku jestem niewidoma.

— Zolá, poczekaj. Chyba nie jesteś Soledad Del Valle?

— Pomyśl chwilę: jak taka skromna pustelnica, w dodatku ślepa, która żyje gdzieś daleko w pampie, mogłaby kiedykolwiek przyjechać do miasta?

Eva sięgnęła po ciastko, ale zamiast je zjeść, zaczęła metodycznie rozdzielać je na warstwy.

— O czym myślisz?

— O tym, że świat to jeden wielki żart.

— Wesoło ci?

— Czy ja wiem...

Zolá uśmiechnęła się i zaproponowała:

— Może umyję ci włosy?

Wypadki na piętnaste piętro stały się jej skrzętnie skrywaną tajemnicą. Wysoko, jeszcze wyżej, aż do orlego gniazda Zoli, gdzie było tyle rzeczy, które tak lubiła: dużo światła, wonne lilie, gładki marmur i lustra. Lubiała nawet swoje czarne, cienkie włosy na podłodze. Za każdym razem spadały trochę inaczej. Zolá co chwilę zanurzała palce w jej czuprynie.

— Eva?

— Hm?

— Czy to jest przyjemne?

— Bardzo. To najprzyjemniejszy sposób mycia głowy na świecie.

— Ja to nazywam masażem głowy.

— Nazywaj to, jak chcesz, choćby niebiańskim głaskaniem. —

Zapadła się w fotelu i pozwoliła splukać sobie głowę ciepłą wodą o różano-migdałowym zapachu. Wprawne palce przesuwwały się po jej włosach tak, jakby szukały w nich drobinek złota.

— Nic dziwnego, że kobiety to uwielbiają. Ale musisz przyjąć ode mnie zapłatę.

— Nie chcę o tym słyszeć.

— Przecież w ten sposób zarabiasz na życie!

— Pewne rzeczy są ważniejsze od pieniędzy. Ciiiicho, odpreź się.

Eva zamknęła oczy. Zolá delikatnie ujęła jej głowę i rozprowadziła piankę o zapachu kwiatowo-orzechowym. Eva sama poczuła się jak kwiat, kwiat odrobinę zwierzęcy, na przykład anemon morski, mokry i śliski, który faluje, otwiera się i poddaje instynktom.

— Och, dziękuję.

— Za co?

— Za to, że... że dzięki tobie czuję się jak syrena.

— Uważaj, bo ci ogon wyrośnie — zaśmiała się Zolá. Miała te same ręce co dawniej, z tą różnicą, że teraz jej

paznokcie zdobił ciemnoczerwony lakier. Zdawało się, że przesiewa nimi wyimaginowane złoto, zapisuje nowe stronice, przewraca kartki już zapisane, ociera łzy. Eva знаła te ręce i one też ją znały, może nawet lepiej niż sama siebie, takie przynajmniej czasami odnosiła wrażenie. Ślizgały się po jej głowie, potraçały sznur pereł na szyi i kolczyki. Kontakt tych palców z zakamarkami jej skóry był prawie nie do zniesienia; czuła się tak, jakby zbroja, którą sobie ukuła, miała lada chwila rozpuścić się w misce pachnącej wody, jakby nic nie mogło

się ukryć przed nimi — i jakby żadna rzecz nie chciała pozostać w ukryciu. Bywały takie dni, kiedy nie troszcząc się o to, czy się odsłania, czy nie, poddawała się im łapczywie, wolna i swobodna. Pragnęła obmyć się w tej wodzie, urodzić się od nowa, powtórnie otrzymać chrzest w sekretnym morzu.

Kiedy Zolá przystępowała do ścinania jej włosów, Eva miała wrażenie, że się przeistacza. Wchodziła tu jako kobieta nieukończona, silna, lecz o zamazanych konturach, jak z fotografii zrobionej przy użyciu filtru zmiękczającego. Nożyczki Zoli nadawały jej wyrazistość i ostrość. Uświadamiała sobie, że można z siebie zrzucić wszystko, co powierzchowne, tak jak zwierzę zrzuca sierść. Ciach! — i pozbywała się części balastu. Ciach! — i poszerzała sferę swojej wolności. Ciach, ciach! — śpiewały żwawo nożyczki, tańcząc na linii jej karku.

Po pierwszym strzyżeniu Eva wybrała się na przechadzkę La Ramblą, po której stąpała tak, jakby była zrobiona z czystego złota. Po drugim strzyżeniu wróciła do domu i płakała przez siedem godzin. Zachowywała się cicho, więc dzieci nie mogły jej usłyszeć ze swoich pokoi ani nawet wtedy, kiedy jadły przy stole pod opieką sąsiadki z dołu, *seño/y* Hidalgo, która z jednej strony była osobą troskliwą i odpowiedzialną, a z drugiej dość opryskliwą. Równo co godzinę *señora* Hidalgo pukała do drzwi sypialni.

— *Doña* Eva? Czy jeszcze będę potrzebna?

— Jeśli pani taka uprzejma...

— Czy pani na pewno dobrze się czuje?

— Tak, *señora*, dziękuję.

Wdowa wolnym krokiem odchodziła od drzwi, Eva zaś wylewała jeszcze więcej łez.

Po trzecim strzyżeniu również wróciła do domu i odszukała wszystkie swoje wiersze. Powyciągała je z szuflad, torebek, szaf, spod łóżka i nawet z nienoszonych od dawna butów, rozłożyła na łóżku i zaczęła porządkować, wyławiając z chaosu pewne powtarzające się motywy.

Zaniosła je do Zoli.

Przeczytaj jeszcze jeden, proszę.

— Zolá, naprawdę muszę iść — powiedziała z ociąganiem. — Czeka na mnie opiekunka do dzieci, już jestem spóźniona.

— Rozumiem — odpowiedziała z żalem Zolá. Skuliła się na sofie, oparłszy brodę na rękach. — Są piękne. Dlaczego, do licha, zostaliśmy poetkami?

— Dlatego że jesteśmy szalone.

— Dlatego że kochamy życie?

— Dlatego że nie mogłyśmy postąpić inaczej.

— Chyba tak. — Zolá pokazała gestem stos papierów na stole. — Czy mogę je zatrzymać na jakiś czas?

— Zgoda.

Nadchodziła jesień, a z nią zimne wiatry i poranne deszcze. Dla Evy ta pora roku miała w sobie czarodziejski urok. Zdarzało się, że szła ulicą, w każdej ręce trzymając rączkę dziecka, i nagle zalewało ją poczucie szczęścia. Pragnęła wtedy puścić się biegiem, skakać po kałużach i rozgniatać butem zbrązowiałe liście, po to by słyszeć, jak skrzypią. Na pozór po prostu szła chodnikiem, a jednak ileż wspaniałych doznań się z tym wiązało. „Salome, ten jest dla ciebie!” — mały kalosz rozgniatał liść, chichot matki (która też miała trzy lata) mieszał się z trzaskiem liścia. „Roberto, a ty się nie bawisz?”. Główka w wełnianej czapce z pomponem, wydzierganej przez babkę, kręciła się przecząco. Kiedy on tak urósł? I dlaczego jest taki poważny? Musiała rozbryznać niejedną kałużę, żeby w końcu się uśmiechnął, ale warto było czekać, tak jasny okazywał się ten uśmiech.

Trudno ukryć nieskrepowaną radość.

— Co się dzieje? — Xhana złożyła ręce na fartuchu.

— O co ci chodzi?

— Wystarczy tylko spojrzeć na ciebie.

Eva zatopiła zęby w *empanadzie*. Znad pierożka uniosła się wstążka pary.

— Papá, czy twoim zdaniem Eva się zmieniła? Tío Artigas grał na stole jak na bębnach.

— Gdybym jej nie znał, tobym powiedział... że się zakochała!

Xhana uniosła triumfalnie podbródek.

— To skandal — oświadczyła Eva.

— Naprawdę? — zapytał Artigas.

Eva rozłożyła ręce i rozejrzała się wokół z miną fałszywie oskarżanego niewiniątka. Szukała kogoś, kto by się za nią ujął. Na gorącej patelni syczał olej, z obrazu na ścianie wynurzała się jakaś morska boginka, z której rąk sypały się gwiazdy; bębniarz i jego córka patrzyli na Evę badawczo. Nic zamierzali ustąpić, toteż spuściła głowę, udając, że się poddaje.

— Macie rację. Jestem zakochana... w swoich cudownych dzieciach.

Po jej obu stronach rozległy się prześmiewcze okrzyki.

— Nie wątpię! — zawołała Xhana. — Nie musisz o tym przekonywać ani nas, ani swojej rodziny.

— Otóż to — włączył się Artigas. — Ale nie jesteśmy ślepi. Chętnie powiedziałyby im więcej, lecz było to niemożliwe.

W jej życiu pojawiły się nowe obszary, których nie potrafiła nazwać słowami. Zadziwiające, jak wiele takich obszarów może się zmieścić w jednym mieście, nawet tak spokojnym jak to. Za drzwiami każdego domu kryje się osobne Montevideo. A może kobiety są jak miasta — mają w sobie pełno ciemnych pokoi, od czasu do czasu wchodzą do jednego z nich i odkrywają nowe światy.

Evo. — Głos Zoli przebił się przez szum wody i wyrwał IH z rozmarzenia. — Muszę ci coś wyznać. Przekazałam twoje wiersze pani Sosomie.

Żonie wydawcy? Zolá przybrała na poły skruszoną, a na poły rozbawioną minę. Kropla wody zostawiła ciemną kropkę na jej żółtej bluzce, un wysokości biustu.

Jest stałą klientką. Bardzo jej się podobały twoje prace. Zresztą podobały się obojgu. Obawiam się, że zechcą cię opublikować.

Eva nigdy nie spotkała małżeństwa Sosomów, ale знаła ich

serię wydawniczą — eleganckie tomiki wydawane poza Montevideo w celu, jak to sami ujmowali, udzielenia głosu kobietom.

— Mówisz poważnie?

— Czy mi wybaczasz?

— Tylko tym razem. Muszę uważać. Za dobrze dotrzymujesz sekretów.

— To prawda. Ale potrafię też podzielić się sekretem. — Zolá przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy. — A teraz, moja droga, przechyl się.

Eva poddała się dłoniom Zoli. Jej włosy były trawą morską, a palce Zoli szukały w nich pereł. Jaśniała od pereł, miała ich w nadmiarze. Kryło się w niej tyle skarbów!

Wiadomość o upadku Peróna dotarła do Evy przez radio 20 września 1955 roku. Głos pijanego historyą spikera rozlał się po kuchni, po kafelkach, wszędzie. „W Buenos Aires przedstawiciele nowej junty wojskowej ogłosili, że Perón złożył urząd... nie wiadomo, gdzie przebywa... Tutaj, w Montevideo, część emigrantów już pakuje bagaże i szykuje się do powrotu”. W jego głosie brzmiała euforia, która udzieliła się też Evie, napełniając ją nadzieją dla Argentyny — dopóki nie dotarł do niej sens słów „nowej junty wojskowej”. W myślach widziała już, jak rodzina doktora Caribe prasuje koszule, wrzuca do walizek grzebienie i filiżanki, zdejmuje ze ścian fotografie i obrazy. Wyobrazila sobie Roberta, który stoi przy łóżku chorego dziecka, a w jego głowie kłębią się wizje powrotu. Wyłączyła radio. Dzieci były w przedszkolu, w domu panowała cisza. Na stoliku do kawy leżała ulubiona układanka Salome: przyjaźnie uśmiechnięty tygrys z niedokończonymi łapami i głową.

Tego popołudnia u Zoli Eva uważnie obserwowała w lustrze nożyczki, które cięły jej wilgotne włosy. Zolá, uczesana w wysoki kok, pracowała z uwagą. Obie mówiły niewiele.

— Krócej, Zolá.

— Na pewno?

Eva kiwnęła głową. Potrzebowała lekkości.

— Dobrze, tylko się nie ruszaj. — Szczęknęły nożyczki. — Czy sprawa książki posuwa się do przodu?

— Tak, wszystko idzie doskonale.

Powiedziała prawdę — wydawca zachowywał się nadzwyczaj uprzejmie, teksty były prawie gotowe, jeszcze tylko wieczorami ustalała ich kolejność, układając z nich coraz to nowe mozaiki — ale dzisiaj nie miała ochoty się tym zajmować.

— To dobrze.

— Słuchałaś dziś wiadomości?

— Tak. Spadek cen wełny. Dalszy wzrost bezrobocia.

— I Perón.

Nożyczki nie zatrzymały się ani na chwilę.

— I Perón.

Lustro odbijało światło koloru ananasa, które wpadało przez szyby i oblewało sofę, kominek, różową suknię Zoli, perły na szyi i całe jej ciało, napięte i ustawione pod kątem, tak by móc jak najlepiej pracować przy włosach Ewy.

— Co powiedział Roberto?

— Jeszcze go nie widziałam.

— Na pewno będzie zadowolony, gdy wróci do domu.

— Do domu? On nie bywa w domu! — krzyknęła mimo woli Eva. —

On mnie zdradza.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście!

— Nie ruszaj głową. — Ich oczy spotkały się w lustrze: oczy rozniewanej kobiety z mokrą głową i drugiej, pracującej /. uniesionymi nożyczkami.

Zolá wróciła do strzyżenia.

— Nie jestem zazdrosna.

— Nie?

— Nie. Przynajmniej nie o nią, kimkolwiek jest. Jestem zazdrosna o niego.

— Dlaczego?

— Dlatego, że robi to, na co ma ochotę.



— A ty nie.

— Ja nie.

— Dlaczego nie?

— Z kobietami jest inaczej, wiesz o tym, Zolá.

— I to cię powstrzymuje? — Zolá nadal skupiała się na swojej pracy.

— Częściowo.

— A pozostała część?

— To już inna rzecz. — Eva czuła w dole karku zimny dotyk nożyczek, za to jej skóra była rozpalona. — No a ty?

— Co ja?

— Czy robisz to, co chcesz? Zolá powiedziała do lustra:

— Częściowo.

Znowu patrzyły sobie w oczy. Eva oddychała z trudem. Zapadła cisza, która trwała nawet po tym, jak oderwały od siebie wzrok. Nie spojrzały już na siebie przez resztę strzyżenia ani w trakcie suszenia i modelowania. W końcu Eva wstała. Obejrzała w lustrze fryzurę.

— Bardzo ładnie.

Zolá zajęła się porządkowaniem butelek z szamponami i olejkami. Wypchnęła do przodu zielony flakonik, potem schowała go z powrotem w tylnym rzędzie.

— Czy przyjdiesz się pożegnać, kiedy będziesz wyjeżdżać?

— *Por favor*. — Eva sięgnęła po płaszcz i zaczęła zapinać guziki, nie odrywając od nich wzroku. — Jeszcze się zobaczymy.

Wracając do domu, Eva nadłożyła drogi i zahaczyła o Plaza de Zabala, gdzie skrzyła w wąską ulicę zabudowaną wysokimi kamienicami.

Oczywiście, nadal tam był.

Na dachu siedziały te same kamienne putta, zabrudzone gołębimi odchodami. Te same balkony, a w dole drzwi z mosiężną kołatką. W witrynach rzędy skórzanych butów w najróżniejszych kolorach — czarne, czerwone, brązowe i kremowe. Postąpiła chwilę na rogu, gotowa do ucieczki. Żadnego ruchu.

Nie miała po co się zbliżać ani też uciekać. Zapadał zmrok i robiło się chłodno. Na pobliskiej ulicy zagrzecotał samochód, czyjeś podeszwy stuknęły szybko o trotuar; Montevideo wracało do domów. Zmieniła się. Miała trzydzieści lat, nie była już dziewczynką. Płytkie zmarszczki w kącikach oczu; dwoje dzieci; małżeństwo oparte na fantazjach, maskach i żarliwych staraniach; tomik wierszy w toku; jedna kuzynka, matka i trzech braci; ręce, które dotykają jej głowy w strumieniach wody; coś, co tkwi pod jej skórą — coś ciemnego, śliskiego i ciężkiego, jak głaz zatopiony w morzu.

Za szybą sklepu poruszył się jakiś kształt. Eva jednym susem znalazła się za rogiem, poza zasięgiem wzroku tej osoby. Zrobiła to. Nie ma takiego zakamarka w mieście, w którym nie mogłaby przebywać, oddychać i być prawdziwą. Być prawdziwą — niczego bardziej nie chciała.

Roberto przekręcił klucz w zamku o pół do drugiej. Eva słyszała, jak zdjął i powiesił płaszcz, zakaszłał, po czym skierował się do sypialni. Usiadł na łóżku. Na kołdrze utworzyły się załamania. Eva patrzyła na jego zgarbione plecy, gruby kark i haczykowaty nos. Prawie połowę włosów miał siwych. Kiedy to się stało?

- Dobry wieczór. — Czekał. Teraz jej kolej. Powinna zapytać: „Jak minął dzień?” i uklęknąć, aby rozwiązać mu sznurówki. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Spojrzał na nią z lekkim zniecierpliwieniem. — Na pewno znasz ostatnie wiadomości.

- O Peronie?

- Oczywiście. — Po chwili wahania Roberto schylił się, by zdjąć buty. — W pracy podarowano mi butelkę szampana. — Sznurówki wysunęły się z dziurek z niemal chirurgiczną precyzją. Ewie to się nie udawało, za mocno je naciągała. — Czy po wiedziałaś dzieciom?

- O czym?

— Że jedziemy do domu.

— Roberto. — Usiadła przy nim. — Muszę ci coś wyznać. Jego twarz stężała.

— Chciałabym tu zostać.

— Co takiego?

— Nie chcę wracać do Argentyny.

— Oczywiście, że wracamy do Argentyny.

— Pozwól mi coś powiedzieć.

— Nie, nic nie mów — rozkazał zbyt głośno. Wyciągnęła do niego swoją chłodną dłoń.

— Posłuchaj tylko...

— Nie, to ty posłuchaj! — Zerwał się na równe nogi. — Nie chcesz wracać do Argentyny. Nie masz ochoty. Może już zapomniałaś, dlaczego stamtąd wyjechaliśmy? Albo gdzie wziąłem z tobą ślub? Gdzie zrobiłem z ciebie to, kim jesteś? — Twarz nabiegła mu krwią. Wymierzył w Evę swój pulchny palec. — Wszystko ci oddałem. A co dostałem w zamian? Wygnanie, a teraz jeszcze to. Żonę, która nie ma chęci wracać.

Eva wstała. Ta wisząca w powietrzu, namacalna złość przyniosła jej ulgę.

— Zawiodłam cię.

— A może nie?

— Jak ona się nazywa?

— Kto?

— Twoja kochanka. Odsunął się.

— Chyba że masz ich zbyt wiele, żeby je spamiętać? Twarz Roberta nie wyrażała teraz niczego. Eva zbliżyła

się do niego. Czowała przyjemny, świeży zapach jego wody kolońskiej.

— Może i jestem złą żoną, ale przynajmniej wierną. Nigdy nie dotknęłam innego mężczyzny — oświadczyła, a w duchu dodała „ani kobiety”. — Przynajmniej tyle mogę powiedzieć.

Popatrzył na zaciągnięte zasłony, a do Evy dotarło wreszcie, jak mało solidnym miejscem jest pokój, w którym się znajdują.

Ściany ugiwały się od najlżejszego nawet naporu. Powietrze było ostre, szczypało jej skórę.

Rozległo się pukanie. Eva otworzyła i w drzwiach ukazała się buzia Salome, bardzo drobna, nawet jak na czterolatkę. Dziewczynka miała zaspane oczy, a jej rozpuszczone włosy opadały na koszulę nocą w kolorze lawendy. Eva przykucnęła.

— *Hija*, dlaczego nie jesteś w łóżku?

— Coś mnie zbudziło.

— Wszystko jest w porządku. — Eva usiłowała nadać swojemu głosowi uspokajający ton.

— Przestraszyłam się.

— Widzę. Ale nie ma się czego bać.

— Mogę z wami spać?

— Nie dzisiaj.

— Proszę...

— Następnym razem, przyrzekam. — Eva poklepała córkę po policzku. — Wracaj do łóżka.

Salome pokiwała głową, choć nie wyglądała na przekonaną. Eva poczekała, aż zniknie w swoim pokoju, po czym zamknęła drzwi.

— A więc naprawdę nie chcesz wyjeżdżać — powiedział Roberto ze zmęczoną miną.

— Nie.

Pokiwał głową, tak jakby spodziewał się tej odpowiedzi. Wyjął z szafy parę butów i rzucił je na łóżko.

— Co robisz?

— Odchodzę.

— Ciiii. Dzieci...

— Odchodzę — powtórzył ciszej. Krążył tam i z powrotem między szafą a łóżkiem.

— Teraz?

— Owszem.

— Dokąd pójdziesz?

— Jakże to ma znaczenie?

— Do niej do domu?

- A jeżeli tak, to co?
- Czy wrócisz?
- Po co? Zachwiała się.
- Mamy dzieci.
- Nie zapomnę o nich.

Na łóżku piętrzyła się góra swetrów, pasków i porządnie wyprasowanych koszul. W takim momencie jak ten inna kobieta padłaby na kolana, błagałaby, sięgnęłaby po pochlebstwa, słowem, zrobiłaby wszystko, aby zatrzymać męża i skłonić go do zmiany decyzji. Eva jednak — myśl ta uderzyła jej do głowy jak mocny alkohol — nie chciała tego. Po prostu nie chciała. Była zbyt pijana i pragnęła jeszcze większego upojenia, gotowa mu się poddać, pójść stromą ścieżką, a jeśli będzie trzeba, nawet spaść z tej ścieżki.

Roberto wyjął z szafy walizkę i zaczął ją metodycznie pakować. Nawet w ogniu emocji nie tracił zamiłowania do porządku. Ta myśl rozczuliła ją nieco, tak że byłaby nawet gotowa go pocałować (wcale nie po to, aby go zatrzymać), ale taki gest zdawał się nie na miejscu. Zamiast tego wyszła na balkon pooddychać świeżym powietrzem. Avenida San Salvador była jeszcze całkiem ożywiona. Z pobliskiego okna dochodziło stare tango; w dole spacerowały spokojnie pary, jakaś kobieta zanurzyła rękę we włosach towarzyszącego jej mężczyzny i on zrobił to samo; na chodniku przed La Diablita stały stoliki, przy których siedzieli niezrażeni chłodem goście. Eva zapaliła papierosa i obserwowała, jak rozżarzona końcówka zbliża się do jej ust. Mężczyzna w fedorze zjawił się pod swoją latarnią. Jak zwykle ciasno owinał się płaszczem i nisko spuścił kapelusz. Smutny i absurdalny. Jeżeli jest udreńczonym artystą, powinien wrócić do domu i zająć się sztuką. Jeżeli jest zawiedzionym kochankiem, powinien rozejrzeć się za nową miłością. Jeżeli jest szaleńcem — no cóż — czy nie mógłby znaleźć innej scenerii dla swojego szaleństwa? Dziwny alkohol buzował tej nocy w żyłach Ewy.

— *Señor* — zawołała — kim pan jest? Czego, do cholery, pan tu szuka?

Mężczyzna znieruchomiał. Również jakaś młoda para, która akurat wyszła z La Diablity, zatrzymała się z ciekawości.

— Eva — odpowiedział. — Witaj.

Omiał się nie oparzyła papierosem. Znała ten głos. Mężczyzna zdjął kapelusz. W świetle latarni widać było jego siwe włosy, w odcieniu trochę jaśniejszym od kamiennej fasady budynku, który stał za nim. Uśmiechał się nerwowo, obracając fedorę w palcach. Widziany z tej wysokości, wydawał się mały, jak miniatura ojca.

— Ja... to znaczy... nie chciałem ci się narzucać.

Eva zgmiotła papierosa i rzuciła go na ulicę. Chciało się jej śmiać, otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

— To byłeś ty, przez cały ten czas?

Ignazio potwierdził wzruszeniem ramion. Młoda para nadal ich obserwowała z ledwie skrywanym zaciekawieniem. Spojrzał na nich, a wtedy odwrócili wzrok.

— Może byśmy gdzieś poszli i napili się czegoś?

— Nie — odparła Eva. — Akurat jestem w trakcie załatwiania pewnej sprawy. — Tym razem śmiech przyszedł jej bez trudu, a był to śmiech szalonej kobiety. — Może jutro, o piątej?

— Dobrze. — Włożył z powrotem kapelusz. — Do jutra.

— Do jutra.

W sypialni zastała Roberta trzymającego w rękach dwie pary skarpetek.

— Czy to był twój ojciec? — spytał z niedowierzaniem. Eva pomyślała o jego ojcu, któremu nigdy by nie przyszło

do głowy sterczeć nocami na ulicy jak jakiś plebejusz. Nie zrobiłby tego ani dla własnej córki, ani dla nikogo innego. Tylko bardzo dziwny człowiek, chory lub pełen pasji byłby /dolny do czegoś takiego.

— Tak — odparła, dopowiadając w duchu: to on, to mój ojciec.

Nazajutrz Eva zbudziła się w pustym łóżku. Słońce przebijało się przez zasłony. Zdało się jej, że w pokoju panuje zaduch, że powietrze jest ciężkie od słów i oddechów. Światło, oddechy, niewypowiedziane słowa i ona — sama w pościeli, pusta, przestraszona, w euforii. Sięgnęła po papier i pióro, zaczęła pisać. Jej wiersz mówił o kobiecie, która straciwszy nogi, postanowiła je odzyskać. Zacisnęła zęby i czołgała się na knykciach. Kiedy usta kobiety zatkał kurz ziemi, Eva przestała pisać, podarła kartkę i zaczęła inny wiersz, którego bohaterka w środku nocy przeprowadza się z jednego brzegu rzeki, zwanego Brzegiem Kłamstwa, na drugi, zwany Brzegiem Prawdy. Na Brzegu Prawdy rosło dzikie wino, w którego liściach śpiewały ptaki o barwie ognia. Nie potrafiła przerwać pisania nawet wtedy, gdy usłyszała za drzwiami tupot dzieci. Wiedziała, że powinna wstać i przygotować im śniadanie, lecz pióro nie chciało oderwać się od kartki, więc mogła tylko za nim podążać. Dzieci odeszły spod drzwi i słychać je było w kuchni, ale po jakimś czasie stopki wróciły i odezwał się głos:

— Mami.

Do sypialni weszła Salome z wielką tacą, która sprawiała, że dziewczynka wydawała się jeszcze mniejsza, niż rzeczywiście była. Za wszelką cenę starała się trzymać ją prosto. Na tacy leżały liście mate, termos z ciepłą wodą i grzanki. Jak oni zdołali sami to zrobić? A gdyby tak się poparzyli?

— Dzień dobry — powiedziała niepewnie Salome.

— *Ay, hija.* — Eva podniosła się na łóżku, a gdy Salome podeszła bliżej, przejęła od niej tacę. Popatrzyła na córkę i przypomniało się jej, jak wyglądała ostatniej nocy, tak ufna i nieskończenie delikatna. Ta dziewczynka odczuwała każdy powiew wiatru, odbierała wszystko z niezwykłą ostrością, a przy tym była całkowicie bezbronna i potrzebowała kogoś, kto będzie stanowił barierę ochronną między nią a światem. Myśl o wymaganiach macierzyństwa i o niebezpieczeństwie porażki przerażała Evę. Zasepiła się, ale wtedy i Salomé zrobiła smutną minę, więc musiała zaraz się uśmiechnąć. — Co za niespodzianka! To bardzo, bardzo miłe.

Salomé rozpogodziła się nieco.

— Czy jesteś głodna? — spytała Eva.

Córeczka potaknęła, a wtedy uniosła kołdrę, aby wpuścić ją do łóżka. Salomé przylgnęła do niej jak zwierzątko. Jakim cudem z jej ciała wyszło tak dziwne i doskonałe dziecko?

— Gdzie jest twój brat?

Dziewczynka wzruszyła ramionami. Eva zawołała Roberta, który natychmiast przybiegł, ubrany w piżamę z Kaczorem i Donaldem, z połową grzanki w ręce. Wyglądał na trochę przestraszonego, a trochę zaciekawionego, jakby przeczuwał, że zaczyna się coś nowego. Będą razem dorastać i żyć nowym życiem we troje. Ludzie mogą sobie do woli kręcić głowami i wydymać z dezaprobatą usta. To jest jej życie, nie ich.

— Chodźże tu, chodź — powiedziała.

Podzieliła grzankę na nierówne części i oto siedzieli we troje, przyciśnięci do siebie, z poplątanymi nogami, spokojnie icdząc grzanki i rozsypując okruchy.

Tego popołudnia Eva po raz pierwszy od dziesięciu lat przekroczyła próg La Diablity. Czerwone krzesła, żywa muzyka i ciemne ściany od razu przywróciły jej wspomnienia. Zobaczyła siebie, wchodzącą tu z zapartym tchem jako trzynastolatka, która ledwie może utrzymać równowagę na wysokich obcasach. Wkrótce potem przestała odzywać się do mężczyzny, który teraz siedzi obok niej — swojego ojca.

Wybrali miejsce w pobliżu pianina. Kelnerka, która przyjęła ich zamówienie, miała włosy jak skrzydła kruka, ulizane, jakby przyklejone do głowy. Ignazio rozejrzał się dookoła. Jego twarz znaczyły głębokie bruzdy, których przedtem nie widziała. - To tutaj pracowałaś?

liva kiwnęła głową. Wyjęła papierosa. Ignazio podał jej ogień, potem też zapalił. Dym układał się w esy-floresy. Eva spodziewała się, że ojciec pierwszy coś powie, lecz on po prostu siedział, palił papierosa i uderzał czubkami palców prawej ręki



w lewy kciuk. Za jego plecami jakaś tleniona blondynka nachyliła się niedyskretnie ku swojej przyjaciółce, najwyraźniej po to, aby poplotkować.

— Ileż to czasu minęło — odezwał się w końcu ojciec. Eva strąciła popiół do popielniczki.

— Twoje mieszkanie wygląda bardzo przyjemnie. Przynajmniej z zewnątrz.

— Zdaje się, że dobrze je znasz od tej strony.

— Naprawdę nie zamierzałem cię niepokoić. — Rozłożył ręce. — Nie umiem tego wyjaśnić. Po prostu chodziłem nocą ulicami i w końcu trafiałem pod twoją kamienicę.

— Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby zapukać?

— Nie sądziłem, że mogłabyś mi otworzyć. Zastanowiła się nad tym. Kelnerka przyniosła wino i naląła

je do kieliszków. Napili się, ale nie wzniesli żadnego toastu. W pomieszczeniu unosił się ogólny szmerek, grała jakaś płyta jazzowa, ktoś śmiał się za głośno, czyjeś perfumy pachniały zbyt mocno.

Ignazio wodził palcem po brzegu kieliszka.

— Nie wróciłaś do domu. — To nie było pytanie, ale nawet gdyby je zadał, nie miałyby na nie odpowiedzi. — W rodzinie jest wyrwa.

Tleniona blondynka oparła łokcie na stoliku i kiwając obutą w lakierek nogą, wyciągała od przyjaciółki zwierzenia.

— Czy ty mnie nienawidzisz? — zwrócił się do czerwonej serwety.

Eva zakołysała winem w kieliszku. Pociągnęła łyk, który rozgrzał jej gardło.

— Nie.

Zapalił kolejną zapałkę. Oświetliła na moment jego twarz pełną takiej nadziei, jakby był młodym chłopcem. Kiedyś rzeczywiście był chłopcem, dawno temu, we Włoszech, a nawet jeszcze wtedy, kiedy zupełnie sam wyprawił się parowcem do Urugwaju, tak daleko od domu.

— Niedługo umrę — oznajmił.

— Jesteś chory, Papá?

— Nie, tylko stary.

— Nie taki znowu stary.

— Mój ojciec nie dożył tego wieku.

Zaszokował ją wzmianką o dziadku, o którym właściwie nic nie wiedziała.

— Być starym a umrzeć to dwie różne rzeczy. Wzruszył ramionami.

— Chciałbym, żebyś mi przebaczyła.

— Co dokładnie?

Znowu przejechał palcem po brzegu kieliszka.

— Wszystko. To, że nigdy nie wysłuchałem twojej wersji wydarzeń.

Zgniotła papierosa, który wypalił się aż do filtra.

— Czy mógłbym ją teraz usłyszeć?

Dotknęła od spodu blatu stolika. Był zimny i lepki, wiedziała, że pobrudzi sobie rękę.

— Nie.

— To może zostawmy ją przeszłości.

— Tak będzie lepiej.

Ignazio wpatrywał się w popielniczkę, jakby chciał odczytać w popiele jakiś zaszyfrowany przekaz.

— Czy przyjdiesz do domu?

Tym razem Eva sama zapaliła papierosa. Ostry śmiech ponownie przeszył powietrze, po czym nagle ucichł, złapany w pajęczynę głosów.

— Tak.

— I przebaczysz mi?

Wypuściła dym z ust, znowu się zaciągnęła.

— Dlaczego nie.

Zakaszłał. Podziwiał jej palce i starannie polakierowane paznokcie.

— Tak ładnie wyglądasz. *Este...* jak się miewa twoja rodzina? Zaśmiała się. Czowała się lekka, pijana, ale nie z powodu wina.

— O, doskonale. Mąż właśnie mnie opuścił.

— Dokąd wyjechał?

— Opuścił mnie.

— Co?!

Uśmiechała się. Kobieta z tlenionymi włosami już sobie poszła, została po niej tylko zgnieciona serwetka na krześle.

— Zamieszkać z nami.

— Mam dobre mieszkanie — odparła odrobinę za szybko.

— Ale pamiętaj. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała. Jedzenia, pieniędzy, dachu nad głową.

Eva pomyślała o domu w kolorze piasku, o zagraconych pokojach, o ciepłe i rozgardiaszu, o stole ciężkim od półmisków, przypomniała sobie każdy kąt.

— Dziękuję.

— Jeszcze trochę wina? — zapytał ze wzruszeniem ramion. Eva wjechała na piętnaste piętro.

— Cóż za niespodzianka! — zawołała Zolá, otwierając drzwi.

— Jesteś wolna?

— Całkowicie.

Weszła. Ubrana w liliową bluzkę Zolá wyglądała pięknie, jak rzadki cieplarniany kwiat, skomplikowana hybryda.

— Roberto wyjechał do Buenos Aires.

— Tak szybko?

— Beze mnie.

— Och, przykro mi.

— Niech ci nie będzie przykro. Nie po to przyszłam.

— Chcesz się uczesać?

— Zolá — powiedziała Eva, podchodząc bliżej. Nie wiedziała, jak zacząć. Dotknęła policzka Zoli, której oczy rozszerzyły się, jakby sprawiła jej ból. Coś zaskowyczało, a potem nic już nie miało znaczenia. Całowały się, ich wilgotne usta przyciskały się do siebie. Zolá tuliła się do Ewy, przesuwała dłoń po jej włosach, ciepła, jędrna, oczekująca, spragniona.

Eva pozwoliła Zoli się obejmować, a potem sama wodziła rękami po jej ciele jak zwierzę szukające pokarmu.

— Czy to możliwe? — zapytała Zolá. — Czy to dzieje się naprawdę?

— O tak. Naprawdę — odpowiedziała.

Niebo, pomyślała Eva, nie jest w niebie, ale pod skórą, na skórze i w skórze...

Leżały obok siebie w ciemności, kochały się w ciemności i z ciemnością, która trzymała je jak wielkie, złożone w kielich ręce. Nie chcę już nigdy stąd wychodzić, myślała Eva, chcę mieszkać w tym miejscu przesyconym naszymi zapachami, w którym odcisnęliśmy nasze ślady, wśród tych ścian, które słuchały naszych głosów. Chcę zostać na zawsze ciałem zjednoczonym z drugim ciałem, chcę, żebyśmy odkrywały swoje krzyki, zakamarki i wklęsłości, w których pożądanie czeka, aby wybuchnąć feerią sekretnych barw.

— Chcę tu zostać na zawsze.

— Więc zostań.

— Chodzi mi o to, że muszę iść. Dzieci. Ale zostawię tu siebie. Mój pot zostanie na twoich prześcieradłach.

— Mmmmm.

— I nigdy cię nie opuszczę.

- Mmm.

- Zolá, twoje ciało...

- Ciiii.

- To cud. Eva.

- To prawda. Eva.

Bądź zawsze ze mną. Zawsze.

— Płaczesz?

— Zawsze, zawsze, zawsze.

Powoli zaczęła nowe życie, które sama dla siebie wybrała. Znalazła pracę w kawiarni trzy kamienice dalej. Zarabiała niewiele, ale miała wesołe koleżanki, a szef, hojny siedem-dziesięciolatek, codziennie wręczał jej przed powrotem do domu pudełko z rogalikami, ciastem z guajawy albo pierożkami dla dzieci. Zjadali te dary na śniadanie, obiad lub kolację, czasami nawet nie zadając sobie trudu, aby wyjąć je z białego, zatłuszcz-czonego olejem kartonika. Siedzieli przy stole kuchennym i pałaszowali, oblizując palce. Roberto był najbardziej metodyczny z ich trojga; zdawało się, że zanim spróbuje, chciałby sprawdzić zawartość każdego kawałka, za to Salomé zamykała oczy przed każdym kęsem, jakby smakowanie nadzienia stanowiło akt wiary. Nieraz w ogóle się nie odzywali. Od wyjazdu ojca dzieci zrobiły się małomówne. Na początku Roberto stale pytał, gdzie jest tatuś, a odpowiedzi „nadal w Buenos Aires, nie, nie planuje powrotu, teraz będziemy tylko we troje” nie zadowalały go. W końcu jednak zmęczył się powtarzaniem stale tych samych słów, pytania się skończyły, a ich miejsce zajęły spokojne odgłosy przeżuwania i stukania łyżeczkami.

Nie zawsze jadali w domu. Eva zaczęła zabierać dzieci do rodziców, do Punta Carretas. Za pierwszym razem, kiedy jej ojciec witał się z wnukami, stała w saloniku, powtarzając sobie: „nie mam już ani dziesiętnastu, ani jedenastu lat, nie jestem dzieckiem, które z czymś walczy, nie uciekam znikąd w środku nocy”. Dzieci tak przyłgnęły do dziadka Ignazia, jakby od zawsze wzrastały w ciepłe jego uczuć. Nie minęło pięć minut, a już je rozśmieszał i obiecywał magiczne sztuczki po kolacji, jeżeli zjedzą całą marchewkę. Roberto potakiwał skwapliwie, Salomé promieniała. Przy stole Eva patrzyła, jak dzieci zaczynają jedzenie od jarzyn — nigdy jeszcze coś takiego się nie zdarzyło. Kiedy pomagała matce sprzątać po posiłku,

Ignazio przeszedł z nimi do saloniku, gdzie miało się odbyć przedstawienie.

— Pokochały go — powiedziała Eva, siląc się na obojętny ton.

— Jest dziesięć razy bardziej podekscytowany niż one — odparła z uśmiechem Pajarita.

Zmywały naczynia — Pajarita je szorowała, a Eva wycierała i odstawiła. Filiżanki, sztućce i garnki nadal zajmowały te same półki kredensu co dawniej — były u siebie, miały swoje miejsce, gdzieś przynależały. Na parapetach i blatach w dalszym ciągu stały doniczki oraz słoiki pełne ziół zdolnych przynieść pocieszenie wyczerpanej gospodyni domowej i przywrócić władzę w nogach córce domu. Eva nie wiedziała, co odpowiedzieć matce, ale to chyba było bez znaczenia; zapadła między nimi niekrępująca cisza, przerywana pluskiem wody, szcękaniem talerzy i śmiechami dzieci, które docierały aż do kuchni.

Czasami spędzała wieczory u Xhany, a wtedy z dziećmi bawili się Artigas i César. Układali piosenki o księżniczce Salome uwięzionej w wieży, którą uwolnił dzielny gauczo, i o księciu Robercie, który bronił ubogich wiosek przed złym królem. Jeżeli piosenka nie podobała się dzieciom, mogły ją zmienić, ale musiały to zrobić, śpiewając. Uwielbiały ciepłą atmosferę tego domu i jego muzykę, a więc bębny i śpiewy.

Cała rodzina zasiadła do kolacji przy stole nakrytym obrusem w kratkę; Tía Xhana kroїła mięso na małe kawałki dla Salome i opowiadała o historii Urugwaju: o rewolucji *indios*, która wyzwoliła niewolników, o prezydencie, który budował szkoły otwarte dla wszystkich, o fabrykach, w których ludzie, mimo że dobrzy i dzielni, musieli przerywać pracę, bo byli nieszczęśliwi — to oni zbudowali stół, przy którym mogła zasiąść cała lodzina, i oni wytwarzali żywność.

Pozwól im jeść w spokoju, *querida* — poprosił César.

Nie zaszkodzi, jeżeli przy jedzeniu poznają trochę historii. Prawda, *chicos*?

Roberto wpatrywał się w porcję tłuczonych ziemniaków na swoim talerzu. Eva ponagliła go, aby odpowiedział.

— Tak — odezwał się w końcu.

— Tak — zawtórowała Salomé. Wyglądała na urzeczoną opowieściami Xhany, podobnie zresztą jak jej matka, która myślała o tym, że w porównaniu z historią Argentyny, gdzie jeden dyktator zastępował drugiego, historia Urugwaju zdawała się wyjątkowo harmonijna. Była dowodem na to, że w Ameryce Łacińskiej może istnieć zdrowa demokracja, związana z dostępem do szkoły, prawami pracowników i powszechną opieką zdrowotną, a skoro udało się to w Urugwaju, dlaczego w innych krajach miałyby być inaczej? W końcu wypowiedziała swoje myśli głośno, lecz zgromadzeni zareagowali na jej słowa dość sceptycznie.

— Chciałabym, abyś miała rację — usłyszała od Xhany — ale to nie takie proste. Ta legendarna stabilność może wkrótce się skończyć.

— Niewykluczone, że już się skończyła — dodał Artigas.

— Jak to? — Eva odłożyła widelec.

— Pomyśl o tym, co zaszło, od kiedy skończyła się wojna w Korei. Stany Zjednoczone nie potrzebują już naszej wełny na ubrania dla swoich żołnierzy ani naszej wołowiny, aby ich wyżywić.

— To prawda.

— A my mamy inflację, spadek płac i wzrost kosztów. Nie możemy eksportować, za to jesteśmy nadal zmuszeni do importowania.

— Oparcie krajowej gospodarki na wojnie okazało się wielkim błędem — rzucił César. W jego głosie było tyle pasji, że nawet Roberto podniósł wzrok znad talerza.

— *Sí, querido*, ale jakie mieliśmy wyjście? Jesteśmy małym narodem. Czy mogliśmy przeżyć dzięki czemuś innemu niż sprzedaż gigantom naszych towarów?

- I to jest dobre pytanie — powiedział Artigas. — Musimy znaleźć lepsze rozwiązanie. Pomyśl o tegorocznych niepoko-

jach, o strajkach i o aresztowaniach przywódców związkowych. Rząd już nie stoi po stronie robotników.

Nie może stać po ich stronie, jest zbyt podzielony.

Jest skorumpowany.

To musi się zmienić.

Ale się nie zmieni. - No to lud go zmieni — rzuciła Xhana. Salomé słuchała z taką uwagą, że aż mięso spadło jej z widelca. Trzymała go z nieobecną miną, dziobiąc nim powietrze. Iivą targwały sprzeczne uczucia — z jednej strony cisnęła się jej na usta odpowiedź, że to niemożliwe, bo Urugwaj jest silny, |iiz nieraz przetrwał trudne czasy i na pewno przetrwa je i tym razem, a z drugiej strony najchętniej pchnęłaby rozmowę na nowe tory, tak aby dzieci nie słuchały więcej o zagrożeniach, klórc mogą na przykład spowodować konieczność opuszczenia domu, bo przecież już raz musiały opuścić dom. Podziwiała zaangażowanie Xhany, udział w zebraniach komórki komunistycznej i przygotowaniu ulotek wzywających do strajków i jej bezkompromisową analizę problemów społecznych, sama jednak była rozdarta między instynktowną chęcią uczestniczenia w tym a równie instynktowną potrzebą chronienia swojej rodziny. Była teraz z dziećmi sama i miała znacznie mniej pieniędzy niż dawniej. To prawda, że na razie nikt nie musi emigrować z Urugwaju i prawdopodobnie nigdy nie będzie takiej potrzeby, co jednak, gdyby taka konieczność się pojawiła? I epiej, aby wspierała słuszną sprawę tak jak do tej pory, na odległość, z królestwa poezji. W końcu to poezja liczy się dla niej naprawdę, jej bronią są słowa.

Zrobiło się późno i dzieci położono spać w łóżku Artigasa. I'va i Xhana zostały same w kuchni.

Zjedz coś jeszcze, Eva.

Dziękuję, jestem naprawdę pełna.

Jakieś wieści od Roberta?

Napisał list. Wrócił bez przeszkód, urządził się. Myślę, że wszystko u niego w porządku.



— Rozwodzić się?

— Nie możemy.

— Dlaczego?

— W Argentynie rozwody są nielegalne.

— A więc nie możesz powtórnie wyjść za mąż.

— Nie mam takiego zamiaru.

— A w przyszłości?

Eva wahała się długo — o wiele za długo — co odpowiedzieć. W końcu rzuciła:

— Moja przyszłość jest związana z dziećmi.

— Możesz jeszcze poznać jakiegoś mężczyznę.

Nie chciała reagować śmiechem, próbowała go stłumić, ale dźwięk podobny do rechotu czarownicy sam wydobył się z jej gardła.

— Na to bym nie liczyła.

Nie myślała o powtórnym małżeństwie ani o żadnym kochanku oprócz Zoli, którą widywała po kilka razy w tygodniu, po pracy, przed pracą albo w czasie zabiegów fryzjerskich, kiedy dzieci zostawały pod troskliwą opieką dziadków. Chciała zestarzeć się z Zolą, dowiedzieć się, jak będzie odczuwać jej dotyk na swojej pomarszczonej skórze, w jaki sposób upływające lata zmieniają ich nagie ciała. Chciała dotrzeć do wnętrza Zoli, zagnieździć się tam i nigdy już stamtąd nie wyjść. Chciała, aby Zolą stale ją wypełniała swoimi pieścizotami i aby mogła chodzić po ulicach, nosząc na sobie ślady jej kochających palców i języka. Każda spędzona z nią chwila była skradziona światu, zawsze przebywały z sobą za krótko. *Mów do mnie jeszcze. Powiedz mi całe swoje serce. Urodziłam się po to, by cię dotykać, by oddać za to życie.* Kiedyś, wiele lat temu, chciała umrzeć; teraz rozpaczała, że zostało jej za mało życia, że nie spędzi z Zolą całego tysiąclecia i że pewnego dnia okaże się, iż wyczerpały już limit swoich dni. Miały do dyspozycji tylko okruchy czasu, jak drobne monety, które nieustannie wydawały, choć zanim się ich pozbyły, polerowały je z uwagą i nadawały im blask. Eva myślała o tym, że nareszcie wie, co

czuje kochająca kobieta: czuje głód, chce, aby życie trwało jak najdłużej, i potrafi za wszelką cenę dochować tajemnicy. Budzi się w niej zwierzę i to zwierzę zazdrośnie strzeże swojego szczęścia.

Jesień zasypała ulice liśćmi. Eva, zmuszona po nich deptać, robiła to czasami z miłością, jakby podeszwy jej butów były przekaźnikami powolnych, ciężkich pieszczot, a czasami brutalnie — wyobrażała sobie, że stawia je na twarzy Roberta. Mąż zapomniał wysłać jej pieniądze. Tak przynajmniej powiedział, kiedy do niego zadzwoniła. Tak, tak, zapomniałem, wkrótce przyślę. W jego głosie czaiło się napięcie, najwyraźniej chciał jak najszybciej odłożyć słuchawkę; w tle słychać było kroki kobiety, która odebrała telefon. Eva uwierzyła, że rzeczywiście zamierzał to zrobić, tylko jakoś wyleciało mu to z głowy, bo Montevideo coraz bardziej oddalało się od sfery jego zainteresowań. Kopnęła kupkę liści. Termin zapłaty czynszu przypadał za cztery dni, nie miała dość pieniędzy.

O drugiej w nocy zwierzyła się z tego Xhanie w jej kuchni.

- Zadzwoń do niego.

- Już to zrobiłam.

To dzwoń codziennie. Ta kobieta najwyraźniej mnie nie cierpi. Jakie to ma znaczenie? To jego obowiązek. Nie potrzebuję jałmużny. Oczywiście, że nie. To są jego dzieci. To są moje dzieci — powiedziała Eva, zapalając papierosa.

Xhana patrzyła na wznoszące się kłęby dymu.

Mogę ci pożyczyć na czynsz — zaproponowała. Dziękuję.

Siedziały w milczeniu, podczas gdy Eva paliła. Nie chciałabym go potrzebować. Możesz się przeprowadzić.

— Dokąd?

— Tutaj byłabyś mile widziana, ale u twoich rodziców jest więcej miejsca.

— Nie mogę tego zrobić.

— Dlaczego nie?

Eva wzruszyła ramionami.

— Często widzisz teraz ojca, prawda?

— Tak.

— I wszystko jest w porządku?

— Ogólnie tak.

— A co nie jest?

— W każdej chwili spodziewam się, że stosunki się popsują.

— Może się nie popsują.

— Może — powiedziała Eva, gasząc papierosa.

— Co z książką?

Uczucie ucisku w gardle stało się mniej dotkliwe i Eva odpowiedziała:

— Jest prawie gotowa.

Tomik, zatytułowany *Najszersza rzeka świata*, miał się ukazać już za trzy tygodnie. Prosta okładka — narysowana cienką kreską sylwetka nagiej kobiety na brzegu — a w środku nie tak znowu dużo wierszy. Mówiły o głodzie, o świtach, o ukochanych miastach, o piersiach pełnych mleka i o bezsennych nocach, o nienazwanych namiętnościach i o niewytłumaczalnym pięknie, o młodym człowieku, który wykrwawia się na śmierć w więzieniu w Buenos Aires, i o marzeniach komunistów zebranych przy stole nakrytym kraciastym obrusem. Kiedy pierwszy raz wzięła do ręki egzemplarz, pomyślała o dziewczynce, którą zabrano ze szkoły w wieku jedenastu lat, i pokraśniała z dumy. Ta dziewczynka żyła na tych stronach, podobnie jak wszystkie pozostałe dziewczęta i kobiety, które w niej mieszkały; wynurzały się zza tych wersów jak duchy. Eva nie zdziwiłaby się, gdyby nagle okazało się, że te stronicie są wilgotne od ich oddechów. Nie liczyło się dla niej to, czy tomik przeczytają zaledwie dwie osoby, czy może dwa tysiące. Najważniejsze, że powstał.

Xhana wraz z Pajaritą zorganizowały w Punta Carretas przyjęcie z okazji jego publikacji. Gotowały aż kilka dni, napełniły cały dom żywymi kwiatami; nie chciały pomocy ze strony Ewy i stanowczo wypraszały ją z kuchni. Czuła się trochę jak panna młoda, którą mogłaby zostać, gdyby wzięła tradycyjny ślub tutaj, w domu. Gdy nakładała na usta szminkę przed lustrem, wyobraziła sobie jednak, że dzisiejszego wieczoru w wieku trzydziestu lat będzie panną młodą i że w swojej sukni z czerwonego jedwabiu poślubi poezję. Szybko zdała sobie sprawę z absurdalności tej myśli i nawet się roześmiała, lecz kobieta, którą widziała w lustrze, mimo wszystko miała poważne oczy. Przyjrzała się jej uważniej.

— Cóż — wyszeptała, śledząc ruch swoich ust — a gdyby nawet tak było?

Dom pękał w szwach od gości. Znała ich doskonale — byli wśród nich Bruno, Marco, Tomás, Xhana, Artigas, Coco, Cacho, wszystkie kobiety z sąsiedztwa z rodzinami, lecz zjawili się również niedawno poznani poeci, a także starzy znajomi, z którymi nie utrzymywała kontaktu od lat: Beatriz, Joaquín oraz Słynny Poeta. Tych troje przyszło razem. Aż wyli z radości, kiedy się z nią witali, zwłaszcza Beatriz zdradzała szczególną chęć do rozmowy. Znacznie się zmieniła: miała teraz włosy w naturalnym odcieniu brązu, wyszła za Joaquina i założyła stowarzyszenie poetek. Może Eva chciałaby do niego przystąpić?

— Bardzo chętnie.

— Wspaniale. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy wreszcie przeczytam twój tomik.

— Dziękuję.

— Powiedz mi — Beatriz ściszyła głos — czy ty naprawdę uciekłaś z Andresem?

— W pewnym sensie — odpowiedziała Eva, bębniąc palcami w swój kieliszek.

— Tak właśnie myślałam. Gdzie on teraz jest?

— Tego nie wie nikt.

— Rozumiem — powiedziała Beatriz. Eva wyczuła w jej głosie nutkę rozczarowania.

— Niektórzy uważają, że zaczął nowe życie w Paryżu.

— Ach, Paryż!

Eva nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

— Ale kto to może wiedzieć... — dodała.

W dalszej części wieczoru uległa żądaniom tłumu i przeczytała głośno kilka wierszy. Stała w obramowaniu okna saloniku, na tle ścian więzienia wznoszącego się po drugiej stronie ulicy, i prawie płakała, wzruszona aplauzem. Wypiła już za dużo wina, a oklaski i okrzyki działały na nią jak słodki, gorący napój. Po lekturze ktoś nastawił muzykę i zaczęły się tańce. Najpierw zatańczyła z ojcem, potem z Artigasem, następnie z Xhaną, później w kółku zaprzyjaźnionych poetów, a w końcu zaczęła tańczyć sama wśród rozkołysanych par. Czerwony jedwab sukni pieścił jej ciało. Czerwony jedwab, myślała, zamknąwszy oczy, biorę ślub w czerwieni, nie w bieli jak za pierwszym razem; jestem szalona i prawdziwa, a ty, ty, poezjo, jakim jesteś oblubieńcem? Nadal nie wiem, kim jesteś i co mi obiecujesz, wiem tylko, że nigdy mnie nie opuściłaś, ani w złym, ani w dobrym; zawsze byłaś ze mną, w mojej skórze, w moim sromie, w moich rękach, w moim umyśle, w moich nocach, wtedy, kiedy nic nie miałam i byłam nikim; więc jeżeli to jest ślub, mówię: tak, tak, po trzykroć tak; wszystko zniosę, jeżeli będę mieć ciebie, Zolę i dzieci. Otworzyła oczy. W pokoju nadal było mnóstwo ludzi, oczywiście oprócz Zoli, która nie mogła ryzykować tym, że ktoś ją rozpozna. Eva odczuwała tę nieobecność bardzo nieprzyjemnie, trochę tak, jakby miała rozdartą suknię, ale przypominała sobie słowa wypowiedziane przez Zolę poprzedniego wieczoru, jakże zaskakującego — sypialnia tonęła w świetle świec, a łóżko było zasłane żywymi różami: „Będę tam, bo zawsze jestem z tobą”. Rozejrzała się za dziećmi. Roberto i jego dwaj kuzyni, Félix i Raúl, zgodnie pałaszowali *empanadas*. W koszuli i krawacie syn wyglądał poważnie, jak miniatura dorosłego mężczyzny. Ale gdzie Sa-

lomé? Nie widziała jej. W domu byli sami dobrzy ludzie, nie miała powodów, aby panikować, a jednak ścisnął ją instynktowny lęk. Przecisnęła się między gośćmi i wpadła do kuchni, gdzie Pajarita smażyła *buñuelos*, nie wiedziała więc, dokąd poszła Salomé. Eva pobiegła sprawdzić każdy pokój. Wreszcie otworzyła drzwi swojej dawnej sypialni i znalazła tam śpiącą córkę.

Przycupnąwszy na brzegu łóżka, tak długo przyzwyczajając oczy do ciemności, aż mogła rozróżnić jej wygięte ciało, rozrzucone włosy i pogniecioną wyjściową sukienkę. Uspokoila oddech i nawet uśmiechnęła się ze swojego przerażenia, gdyby nie to, że nie chciała zakłócić snu Salomé.

Damy sobie radę. Wszyscy. Ta myśl podziałała na nią kojąco. Możemy przeprowadzić się do tego domu i będzie nam tu dobrze. Noc była piękna, wszystko zdawało się możliwe, pragnienia i ich zaspokojenie, świat sprawiał wrażenie szerszego niż zwykle, olśniewającego, jak ocean, w którym istnienia kobiet i mężczyzn zacierają ku brzegowi niczym fale, i żadna fala (żadna książka, żadna zarwana noc, żaden sekret powierzony ciemności) nie może się zmarnować, bo każda staje się pożywką dla przyszłości. Miała ochotę przycisnąć do siebie tę śpiącą dziewczynkę, upewnić ją, że jest bezpieczna i wolna, czyli cieszy się tymi dwiema wartościami, których jej matka nie zaznała, gdy sypiała w tym samym łóżku, i że oprócz bezpieczeństwa i wolności otacza ją jeszcze tak gorąca miłość, iż nic nie może jej przeszkodzić w osiągnięciu szczytów przeznaczenia. Eva nie chciała jednak budzić córki, więc powiedziała jej to wszystko w myślach.

A Salomé spała spokojnie, kołysząc się hen, daleko, na tratwie snów.

# Salome

## SEIS

Wiele jest rąk,  
które sterują światem

Niektórych pytań nie należało zadawać, jak chociażby tego: jakim cudem Papá może być tuż za rzeką, skoro jeśli spojrzeć za rzekę, nie widać nic oprócz nieba? Pytania o niebo, o ojca i jeszcze o wiele innych rzeczy dało się tylko obracać na karuzeli oddechu: wdech — nie wiesz nic, wydech — nadal nie wiesz. Nigdy nie traciły nic ze swojej intensywności, a jednak lepiej było nie zasmucać mamy, nie gasić śmiechu, który rozrywał powietrze na złote strzępy, ani jej zapachu — mieszanki kwiatów, potu i migdałów — nie zakłócać spokoju, kiedy paliła papierosy, opierała się o krzesło, pisała, tworzyła sekretne wiadomości dla Pana Boga albo dla jakichś obcych ludzi. Toteż Salome nie zapytała o powód przeprowadzki. Tak czy owak, nie miała nic przeciwko niej: lubiła dom dziadków, więzienie w kolorze kości słoniowej po drugiej stronie ulicy, wiatr poruszający liście dębów, zapach smażonej cebuli i rozmarynu suszącego się w kuchni, a także wodę kolońską dziadka, którą wciągała w nozdrza, kiedy ją przytulał. Abuela układała góry jedzenia na białych talerzach w drobne różowe kwiatki. Abuelo Ignazio opowiadał w czasie jedzenia najróżniejsze historie: o swojej pełnej przygód młodości, o długiej podróży, o palącym słońcu, o grach hazardowych, o włoskich ulicach, po których



płynie woda, o budowanych przez siebie łodziach i jeszcze

o tym, jak skradła mu serce pewna piękna panna, którą wybrał do pomocy przy sztuczkiach magicznych.

— Słowo daję: wyciągnęła mi serce z rękawa i nigdy go nie oddała! — Pokazywał palcem Abuelę Pajaritę. — O, to właśnie ona. Wynurzyła się z tłumu jak czarodziejka.

Abuela się uśmiechała. Zdawała się malutka i stara. Salomé wyobrażała ją sobie trzymającą lasso, w błyszczącym stroju czarodziejki.

— Jedz, Salomé — mówił dziadek. — Musisz rosnać.

Po kolacji bawił się z nimi z takim entuzjazmem, jakby sam był dzieckiem. Pokazywał im mnóstwo rzeczy: jak grać w pokera, jak stawiać zakłady przy użyciu krowich kości, a także triki, którymi popisywał się kiedyś na scenie. Nonszalancko tasował karty, które fruwały w powietrzu i rozciągały się w łuk, a potem rozkładał je na stole i kazał wybrać jedną. Salomé wybierała, zaglądała, jaka to karta, odkładała z powrotem, znowu następowało tasowanie, podczas którego dziadek snuł opowieść albo zadawał zagadki, rozkładał karty na stole, znów kazał jedną wybrać, Salomé posłusznie wykonywała polecenie

i — o dziwo — dziadek zawsze wskazywał tę właściwą. Uśmiechał się, widząc minę wnuczki, i przysuwał się bliżej, a przy tym jego oddech pachniał trochę winem.

— Chcesz wiedzieć, na czym polega ten sekret? Salomé kiwała głową.

— A przyrzekasz, że nikomu nie powiesz?

— Przyrzekam.

— Chodzi o to, żeby ludzie, którzy cię obserwują, skupili się na twojej jednej ręce, a w tym czasie ty drugą ręką wykonujesz czarodziejską sztuczkę.

Salomé chłonęła te nauki. Nie przypuszczała, że po latach, kiedy w ciemnym pokoju będzie ukrywać broń, ich wspomnienie wynurzy się czasem jak boja.

Podczas pakowania Mamá potrafiła zastygnąć w połowie gestu z książką, półmiskiem albo pudełkiem w ręku i zapatrzeć się w przestrzeń, tak jakby nagle do pokoju wszedł ktoś, kto był widoczny tylko dla niej. Mogła tak stać dość długo, nie reagując na wołania Roberta ani Salomé.

W dniu przeprowadzki dzieci wstały wcześniej, bez żadnych oporów, i razem z matką zajęły się przygotowywaniem grzanek. W salonie piętrzyły się pudła z opisaną starannie zawartością. Salome miała już pięć lat, a więc była wystarczająco duża, aby włożyć chleb do opiekacza, chociaż nie potrafiła go jeszcze stamtąd wyjąć; umiała też wlać do mate odrobinę zimnej wody, podczas gdy Roberto nalewał sam wrzątek. Obydwoje zanieśli tacę do pokoju matki. Stała w koszuli nocnej na balkonie, plecami do nich.

— Mamá! — zawołał Roberto.

Zaraz się odwróciła. Była piękna, nawet z tym nieobecny spojrzeniem, z którego nic nie dało się wyczytać. Unieśli tacę jak ofiarę dla bogini, po której wiele sobie obiecywali.

— Ojej, dziękuję wam bardzo. Dzień dobry.

Bracia matki pomogli nosić i rozpakowywać kartony. Dzieci wkroczyły do domu w Punta Carretas wśród tupotu i nawoływań. Dziadkowie czekali na nie z lemoniadą. Tío Marco podszedł do ich matki z wielkim, nieoznaczonym pudłem.

— Co tu jest?

— Nic.

— Cholernie ciężkie to „nic”.

— To pójdzie do mojej szafy — powiedziała szybko Mamá. Salomé zadała sobie pytanie, co też może znajdować się

w środku. Podreptała za wujem i zobaczyła, że wstawia pudło na półkę, niestety, zbyt wysoko, aby mogła do niego sięgnąć. Po drodze złapała karton z zabawkami i zaciągnęła go do swojego pokoju. Rozejrzała się. To tutaj dorastała Mami, w tym pokoju z dużymi oknami nad łóżkiem, z którego był widok na samotne drzewo, z lampą o postrzępionym abażurze i z szufladami, które skrzypiały, gdy się je wysuwało. Próbowwała

wyobrazić sobie mamę w tym łóżku, kiedy miała tyle lat co ona, nie umiała jednak uwolnić się od jej obecnego obrazu — w wyobraźni dziewczynki wyglądała więc tak jak teraz, z tą różnicą, że była znacznie mniejsza, ale i tak paliła w pościeli papierosa.

— To cudowne — oznajmił Abuelo tego wieczoru. — Dom znowu ożył. Nie lubię, gdy jest pusty.

Salome pomyślała, że to dziwne, bo przecież w domu zawsze było pełno. W niektóre wieczory aż pękał w szwach, kiedy przyszli wszyscy wujowie: Bruno, Marco, Tomás, ciotki: Mirna, Raquel, Carlota, a także kuzyni i kuzynki: Elena, Carlos, Raúl, Javier, Aquiles, Paula, Félix, Mario, Carmencita i Pilar. Abuela Pajarita też dokonywała wtedy cudów, tylko innych niż dziadek: stół nagle się wydłużał, ściany cofały i dla wszystkich robiło się miejsce. Było gwarno od żartów, plotek, przekomarzań, toastów, wybuchów śmiechu, chłopięcych okrzyków. Całe góry jedzenia zamieniały się w mig w stertę okruchów. Do późnej nocy grano w karty. Salomé obserwowała swoich wujów przy pokerze i grała w gauczów z kuzynami (Aquiles był handlarzem skór, Carmencita znachorką, Félix niedobrym *estanciero*). Czasami, kiedy potrzebowała spokoju, chowała się do kuchni i tam rysowała przy brzęku zmywanych naczyń.

— Patrzcie na naszą Salome — mawiała Tía Mirna. — Jaka to dobra dziewczynka. A jaka spokojna i cicha.

— To prawda — odpowiadała Mamá, trochę skonsternowana. — To bardzo dobre dziecko.

Spędzała samotnie długie godziny, pogrążona w zabawach. Guziki z babcinego koszyka z przyborami do szycia potrafiły ją oczarować na wiele dni. Sortowała je według kolorów, wielkości, kształtu i faktury, urządziła im parady i zakładała rodziny. Tworzyły wioskę małych, okrągłych przedmiotów, w której zdarzały się rozmaite dramaty i przygody. Wszystkie metalowe guziki trudniły się kupiectwem — byli wśród nich właściciele sklepów spożywczych, rzeźnicy, handlarze wełną. Zielone odznaczały się mądrością, różowe były bardzo koch-

liwe, małe łatwo padały ofiarą napadów, ale wtedy przychodził im z pomocą największy guzik, welurowy weteran ze starego płaszcza. Każdy miał swoją historię, każdy miał swoje miejsce. Te epickie dzieje miłości i walk pozostawały tajemnicą dla reszty rodziny. Znała je tylko jedna grzeczna dziewczynka, która nikomu nie wadziła i w ciszy przesuwiała guziki.

Salomé i Roberto lubili ciszę jeszcze jednego miejsca: moczarów na obrzeżach miasta, za ostatnim przystankiem autobusu. Jeździli tam czasem zaopatrzeni w kanapki i drobne na bilet powrotny. Mamá zwykła mówić, że jeżdżą tam złapać trochę powietrza, a trzeba przyznać, że powietrze w tym miejscu było świeże, chłodne i przesycone zapachami. Salomé rysowała, obserwowała kaczki ślizgające się na wodzie, trzciny poruszane wiatrem i zadziwiające trajektorie owadów. Roberto łapał żaby, szturchał je patyczkiem i wypuszczał z powrotem na błotnisty brzeg.

— Co ty robisz?

— Prowadzę badania — odpowiadał, notując coś w zeszycie. Wpatrywała się w powierzchnię wody i zastanawiała, co

też takiego mógł odkryć. Roberto na pewno będzie słynnym naukowcem, tak jak Papá. „Twój brat to geniusz — powiedział nauczyciel, kiedy pierwszy raz poszła do szkoły. — Zobaczmy, jak ty się będziesz spisywać”. Nie wiedziała, co to znaczy „spisywać się”, ale bardzo chciała to zrobić. Słuchała uważnie lekcji, odrabiała zadania, po drodze do i ze szkoły powtarzała sobie alfabet — co krok to litera. Tylko przy „z” robiła trzy kroki, na szczęście. Wkrótce podpisywała się drukowanymi literami. Wycinała serduszka, które starannie ozdabiała malowanym makaronem i zebranych nad rzeką muszelkami. Nauczyła się, jak dodawać dwie liczby, tak by otrzymać w wyniku inną liczbę; pod koniec roku szkolnego potrafiła czytać. Czarne linijki pełne literek zamieniały się w jej głowie w dźwięki. Chciała móc wszystko przeczytać: tabliczki z nazwami ulic, czytanki, a także książkę z wierszami mamy, którą można było znaleźć na półkach księgarń w mieście. Popołudniami uczyła

się w kuchni, obok brata, dopóki nie nadeszła godzina, kiedy trzeba było nakryć do stołu.

— Wy się za dużo uczycie! — narzekał Abuelo. — Roberto, może byś poszedł pograć w piłkę? A może byś trochę narozrabiał, co?

Zbity z tropu Roberto nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Papá — upominała ojca Eva.

— Ja tylko mówię, że dziecko powinno trochę się rozerwać.

— On ma rozrywki — mówiła Eva.

— Jemu potrzeba mężczyzny, żeby mu pokazał, że...

— Dosyć tego — ucinała Eva. Przy stole zapadała cisza, przerywana tylko szczękaniem misek, półmisek i widelców, które wytrwale wędrowały od ust do talerzy, brzdęk, brzdęk. Eva powoli odkładała nóż.

— Roberto — zwracała się do wnuka Pajarita. — Lubisz szkołę?

— Tak.

— A ty, Salome?

— Tak.

— No to w czym problem?

Eva patrzyła z wdzięcznością na matkę.

— Mają doskonałe stopnie. Kiedyś pójdą na uniwersytet i wybiorą sobie taki zawód, jaki zechcą. Obydwoje.

Ignazio wpatrywał się w wino w swoim kieliszku.

— Oczywiście — odpowiadał.

Salome nawijała na widelec nitki makaronu. Uniwersytet. Musi minąć jeszcze dużo czasu, ale uniwersytet już majaczył na horyzoncie jak wielki zamek. Pewnego dnia wejdzie do środka, zostanie kimś — kimkolwiek zechce — i zaczną się wspaniałe rzeczy.

•••

Pewnego dnia Mamá wróciła do domu smutna, bo szef skrócił jej godziny pracy. Zrobił to dlatego, że — jak powiedział — nastaly ciężkie czasy i ludzie mają mniej pieniędzy. Salome

wyobraziła sobie kieszenie płaszczy i spodni i kieszonki koszul, z których w tajemniczy sposób znikają monety i banknoty, tak że wszyscy kręcą tylko ze zdziwieniem głowami i zastanawiają się, gdzie też podziały się ich peso.

Kiedy tydzień później Salomé i Roberto wrócili ze szkoły, Mamá czekała na nich w kuchni.

— Musimy porozmawiać, zanim zaczniecie odrabiać zadania.

Usiedli.

— Chodzi mi o moczary. Nie wolno już wam tam jeździć.

— Dlaczego? — zapytał Roberto z rozpaczą.

— Dlatego, że to niebezpieczne.

Salomé pomyślała, że może kaczki zaczęły szczypać albo błoto zrobiło się bardzo śliskie.

— Co to znaczy „niebezpieczne”? — drążył Roberto.

— To miejsce zamieniło się w *cantegril*.

Salomé słyszała to słowo pierwszy raz w życiu. *Cantar* to „śpiewać” — może tam teraz za dużo śpiewają?

— Co to znaczy? — zapytała.

Mamá się zawahała. Miała na sobie białą bluzkę z perłowymi guziczkami. W koszyku z przyborami do szycia były trzy takie guziki, trzy rozmarzone stare panny zakochane w wielkim welurowym guzie.

— To coś nowego. Tam teraz mieszkają ludzie, ale to nie jest... To nie jest dobre miejsce.

— To dlaczego tam mieszkają?

— Bo nie mają dokąd pójść.

To z kolei wydało się Robertowi niepojęte.

— Ale...

— Roberto, nie ma o czym dyskutować. — Skrzyżowała ramiona na piersi. — Nie pójdziecie więcej na moczary.

Tej nocy, leżąc w łóżku, Salomé próbowała wyobrazić sobie *cantegril*. Niedobre miejsce. Widziała mężczyzn, którzy siedzą na progu i płaczą, rodziny smętnie pochylone nad churrasco, dzieci, którym piłka uciekła na ulicę, kobiety śpiewające rzewne

piosenki przy rozwieszaniu prania. Spojrzała przez okno na uparcie świecący rogalik księżycy, który wyzierał zza gałęzi dębu. Księżyc na pewno wszystko widzi: łzy jej matki, *cantegril*, ulice, rzekę, która tak chętnie odbija światło. Ona też chciała wszystko widzieć. I rozumieć. Łamanie zasad jest niedobłą rzeczą, lecz w przeciwnym razie nigdy się niczego nie zobaczy ani nie dowie. Sen nie nadchodził. Przewracała się co chwilę na drugi bok, aż niebo za oknem zmieniło kolor na szafirowy. Przy każdym obrocie kołdra ocierała się o jej ciało z cichym szelestem. To Abuela Pajarita uszyła tę kołdrę w niebieskie i zielone trójkąty. Materiał marszczył się w miejscach połączeń, jakby babcia porozsypywała tam swoje zioła. Salome wyobraziła sobie, jak do tego doszło: Abuela była w kuchni, jednocześnie zajęta szyciem i gotowaniem. W jednej ręce trzymała chochlę, w drugiej igłę, a zioła — ziarna, korzenie, suszone liście — spadały na tkaninę ze szklanego słoika. Salomé poczuła, że teraz sypią się na nią, przykrywając ją grubą, wonną kołdrą. Zasnęła.

Dwa dni później wsiadła sama do autobusu jadącego na moczary. Im bliżej obrzeży miasta, tym bardziej autobus pustoszał. Dzień był słoneczny, Montevideo wyglądało tak pięknie ze swoimi brukowanymi ulicami, płaskimi dachami z suszącą się bielizną i sklepikami ze skrzynkami owoców przy wejściu. Dojeżdżając do moczarów, kierowca autobusu zerknął w lusterko wsteczne i zorientował się, że jedyną pasażerką jest mniej więcej siedmioletnia dziewczynka.

— *Che, chica*, a ty dokąd jedziesz?

— Na następny przystanek.

— Ja ci nie pozwolę tam wysiąść.

— Dlaczego?

— To niebezpieczne.

— Ale tam mieszkają ludzie.

— Właśnie dlatego. Czy twoja mama wie, że tu jesteś? Salomé zrobiło się gorąco.

— *Señor*, bardzo proszę, niech się pan zatrzyma. Ja tylko popatrzę przez okno.

Kierowca zmarszczył krzaczaste brwi grubości kciuka. Zatrzymał się, ale drzwi nie otworzył. Salomé wyjrzała przez szybę.

Spodziewała się znaleźć ludzi płaczących na progu, ale tu nie było żadnych progów ani domów, ani brukowanych ulic, na które może wypaść piłka. Moczary wcale nie zniknęły, tyle że między nimi wznosiły się teraz budy z tektury i blachy falistej (wystarczy, że wiatr zawieje, a przewrócą się, pomyślała). Trzciny stały zanurzone w kałużach odchodów. Czowała cuchnący zapach przez szparę w oknie. Wszędzie kręciło się pełno ludzi: bosa dziewczynka w obszarpanej spódnicy składała na kupkę gazety, aby rozpaść ognisko, nagie dziecko raczkowało po gnijących odpadkach, mężczyzna z nagim torsem podawał zabiedzonemu koniowi siano, patrząc nieprzyjaźnie na autobus i na Salomé. Odwróciła wzrok, ale zdążyła zobaczyć wystające żebra konia i jego właściciela. Miała ochotę wymiotować. Zahuczał silnik i autobus ruszył.

W domu Salomé nie potrafiła skupić się na odrabianiu lekcji. Cyfry na kartce zamieniały się w ludzi — siódemka w wychudzonego mężczyznę, czwórka w bosonogą dziewczynę, trójka w całą rodzinę z tekturowego domu. Nie mogła zaznać spokoju. Złamała zakaz, niebo powinno się jej zwalić na głowę, ze zdziwieniem stwierdzała jednak, że nic takiego nie nastąpiło, ale za to zmienił się świat, w którym żyła. Czowała ekscytację, było jej gorąco, wstydziła się i triumfowała. Miała ochotę wykrzyknąć to, co widziała, odsłonić swój sekret.

Mamá była u fryzjera, wkrótce należało spodziewać się jej powrotu.

Salomé prześliznęła się do pokoju matki i przystawiła krzesło do szafy. Niepodpisane pudło stało wysoko, lecz Salomé zaczęła powolutku przysuwać je do siebie. W końcu mogła je chwycić w obie ręce, ale musiała uznać, że jest zbyt ciężkie, aby zdołała zejść z nim na podłogę. Wepchnęła je z powrotem na miejsce.

Była za słaba. Jeszcze przez jakiś czas.



Wiadomości z Kuby napływały w Nowy Rok 1959. Kuba — krótkie, treściwe słowo, naładowane energią, jak zwinięta sprężyna, która nagle wystrzeliła w powietrze. Kuba, Kuba, powtarzano w kółko w radiu i w prywatnych rozmowach. Salomé nie wiedziała, co kryje się za tym słowem, ale czuła wielką siłę w głosach płynących z radia, w hałaśliwych deklaracjach wypowiedzianych w mieście o nazwie Hawana, a także w ludziach, którzy zgromadzili się w kuchni jej ciotki Xhany. Kiedy wszyscy już sobie poszli i nawet Xhana z Cesarem położyli się do łóżka, Mamá i Tío Artigas nadal pozostali przy odbiorniku. Zaczęło świtać. Leżąc w łóżku Artigasa Salomé powinna była oczywiście spać, ale obudził ją dochodzący z kuchni ostry śmiech matki. Wstała, uchyliła drzwi do sypialni, uklękła i zaczęła podsłuchiwać.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— A jednak to prawda — powiedział z zapalem Tío Artigas. — To dopiero pierwsza rewolucja, po niej nastąpi wiele innych.

— Tak sądzisz?

— Przekonasz się. — Jakiś napój popłynął do szklanek. — Ogarną cały kontynent. Zastanów się tylko: dlaczego spadają płace? Dlaczego związki strajkują?

— Z przyczyn ekonomicznych.

— A co powoduje, że ekonomia jest taka, a nie inna? Salomé przeniosła cichutko ciężar ciała z jednego boku na drugi.

— Rynek.

— Jankesi.

— Och, nie jestem pewna...

— Słowo daję, to prawda. Nie przyjmują naszej wełny, wskutek czego chłopci są bez pracy. ¡*Páfate!* Potem pożyczają nam pieniądze i co wtedy się dzieje? Mówią naszemu rządowi, co może, a czego nie może zrobić dla swojego narodu. Czy myślisz, że Eisenhower troszczy się o *cantegriles*?

— Nasza sytuacja nie jest tak rozpaczliwa jak na Kubie.

Nie mieliśmy dyktatora, który panowałby nad nami przez prawie sześćdziesiąt lat. Tu nie ma co porównywać.

— Oczywiście, że jest, tylko tego nie widzisz, bo nadal wierzysz w sen o *batllismo*.

— Och, wujku, to nie fair.

W radiu jakiś mężczyzna wznosił okrzyki. Salome nie mogła zrozumieć słów, czuła tylko naładowaną atmosferę miejsca, w którym przebywał.

— To chyba jest jakiś *argentino*.

— To prawda. Naprawdę nazywa się Ernesto Guevara.

— Czy ty żartujesz? — roześmiała się Mamá.

— Nie.

— Poznałam go, zaraz po urodzeniu Salomé. Salomé poczuła, że jej dłonie robią się gorące.

— Che wyjechał, aby być użyteczny. Tak jak ja teraz.

— Co takiego?

— Wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Na Kubę.

— Kiedy?

— Wkrótce.

Mami zapadła w pełne gniewu milczenie.

— Eva, zastanów się. Tutaj nikomu nie jestem potrzebny.

— Nie pomyślałeś o Xhanie?

— Xhana mnie kocha, ale nie potrzebuje. A na tę chwilę czekałem od lat — rzucił trochę zaczepnie. — Ty też mogłabyś pojechać.

Salomé zobaczyła statek; na pokładzie stali Tío, Mamá i ona. Wyruszyli w daleką podróż. Statek był świeżo pomalowany białą farbą i wyglądał tak solidnie, jakby żadna fala nie mogła mu zagrozić.

— Jestem potrzebna tutaj — odpowiedziała zwięźle Mamá.

— Oczywiście. Wiem. Masz dzieci — powiedział i dodał, jeszcze bardziej prowokująco: — i swojego fryzjera.

— Tío...

— Tak? Cisza.

— Eva, ja cię nie osądzam, naprawdę.

Nadal cisza. Salomé ścierpły nogi, ale się nie ruszyła.

— Co zamierzasz tam robić?

— Wszystko, co będzie potrzebne. Mogę budować, pracować. Pojadę na południe, jeżeli mi tak każą. Już kiedyś udało mi się przeżyć w dżungli.

— To było wieki temu. Teraz masz sześćdziesiąt trzy lata.

— Cóż, to idealny wiek, aby wyjechać na emeryturę na Karaiby. No, Eva, nie bądź smutna.

Mami westchnęła, Salomé zaś poczuła się tak, jakby to westchnienie wydobyło się z jej własnej piersi.

— Będzie mi cię ogromnie brakowało. Spróbuj tylko do nas nie napisać!

Sprawy potoczyły się szybko. Tío Arti spakował się w jedną noc, potem jeszcze dwa dni zajęło mu znalezienie statku, którym mógłby dopłynąć na Kubę. W noc odjazdu Salomé żegnała go wraz z tłumem krewnych w porcie w Montevideo. Machała chusteczką, kiedy stał już na pokładzie. On też machał, a potem robił się coraz mniejszy i mniejszy. Była wilgotna letnia noc, wszyscy mieli spocone czoła. Po powrocie do domu uczucie lepkiego gorąca nie pozwalało Salomé zasnąć. Leżąc, przypominała sobie to, o czym zawsze mówiła Tía Xhana — jej opowieści o odważnych ludziach, którzy walczą za swój kraj. Wtedy wyobrażała sobie, że otaczają ją wielkim kręgiem, uważni, trochę podobni do duchów, i że cały czas jedni wstają, a drudzy siadają, bo w ten sposób, w tym bezgłośnym tańcu, walczą za kraj i tworzą historię. Teraz zaczęli się wynurzać z ciemności. Widziała ich dokładnie, wyciągali do niej ręce. „Dokąd się wybierasz?” — pytali, ona zaś odpowiadała: „Na Kubę”. Poklepywali ją, a ona wzbiła się w powietrze, by w końcu wylądować w lesie. Tam spotkała uśmiechniętego Che; był spocony i cały brudny od błota. „Czekałem na cię od chwili, kiedy się urodziłaś” — powiedział. Podał jej tykwę

z mate. Napiała się. Las był wilgotny, gęsty i ciemny. Zza liści wynurzył się Tío Artigas, również ubłocony, z przewieszoną przez ramię strzelbą. Gdy ją dostrzegł, zapytał: „Salome, jesteś gotowa do powstania?”. Kiwnęła głową. Podał jej broń. Przewiesiła ją przez ramię i nagle też była ubłocona, rozpromieniona, nieustraszona, nieskończenie silna. Wtedy Che nachylił się, by złożyć na jej czole ojcowski pocałunek, i powiedział: „Chodźmy”.

Latem Mamá wybrała się z Salomé i Robertem na plażę. Spakowali ręczniki, książki i oto wszyscy troje szli La Ramblą w stronę kamiennych schodów prowadzących na brzeg. Schodzenie na plażę było najprzyjemniejszą częścią wyprawy — moment, kiedy rozpościerała się przed nimi olbrzymia przestrzeń piasku, który tylko czekał, aby ugiąć się pod ich stopami, zmuszając ich przy okazji do zdjęcia sandałów i zagłębienia palców w drobniutkie, blade, rozgrzane słońcem ziarenka. Czytali spokojnie, rozciągnięci na ręcznikach, dopóki upał nie zagnał ich do wody, gdzie ochlapywali się wzajemnie, tocząc ciche, zaimprovizowane wojny.

Wydarzenia na Kubie odbiły się w mieście szerokim echem. Świadczyły o tym zarówno wieści, które przekazywano sobie na ucho, jak i głośnie pochwały, debaty radiowe, flagi kubańskie i napisy „Życzymy powodzenia rewolucji” w oknach. Mamá też była jakaś odmieniona. Pisała bez przerwy — wiersze dosłownie wylewały się z niej i zaścielały podłogę; wszędzie zalegały świeże wersy.

- O czym ty, do licha, piszesz? — pytał Abuelo Ignazio.
- O wszystkim. O polityce, o zmianach, o tym, jak być powinno.
- Ale po co?
- Jak to: po co?
- Dlaczego to zapisujesz?
- Pisanie jest potrzebne do życia.
- Hm. Wierszem się nie najesz.

Zaczeła się szkoła. Salomé nauczyła się czytać pełne linijki tekstów. Nauczyła się też dzielić pomarańcze na połówki i ćwiartki, które można dodawać i odejmować. Pewnego dnia — był zimny czerwiec — Tía Xhana wpadła do domu dziadków. Zrzuciła z siebie płaszcz, szalik i czapkę. Za oknem dęby omiatały gałęziami mury więzienia.

— Napisał! — Xhana dzierżyła w ręku kopertę. Połyskiwała tak, jakby ktoś ją wypolerował. — Papá napisał!

Zebrali się przy stole kuchennym. Abuela Pajarita wyjęła z pieca *empanadas*. Abuelo akurat czytał „El País”. Obok niego Roberto ślęczał nad arytmetyką (zmieniał się — wyrósł nagle, a jego głos załamywał się niepokojąco w połowie długich słów). Abuela stanęła bez ruchu z blachą do pieczenia w ręku. Xhana zaczęła głośno czytać.

*Droga Rodzino*

*Pozdrawiam Was, tęsknię za Wami ponad wszelkie wyobrazenie. Dojechałem na miejsce cały i nadal jestem cały. Pracuję w pocie czoła, nie śpię i jestem zadowolony. Pracy mam dużo. Głównie pomagam zamieniać kasyna na szkoły i prywatne fabryki na państwowe. To, co należało do bogaczy, teraz jest w rękach ludu. Stany Zjednoczone są niezadowolone, zobaczymy, jak długo będą kupować od nas cukier. Chcą odzyskać swoje firmy. Wszystko jest niepewne, ale trzeba mieć nadzieję. I oczywiście pracować. Poznaje muzykę Hawany. Mówię Wam, co to za muzyka! Rytm są afrykańskie, podobne do naszego candombe, ale inne. Wszystko jest jednocześnie i podobne, i inne.*

*Proszę, dbajcie o siebie wzajemnie.*

*Całuję mocno.*

*Artigas*

— Bogu dzięki — powiedziała Abuela. — Ten człowiek wreszcie nauczył się pisać do rodziny. — Postawiła na stole *empanadas*, po które natychmiast sięgnięto ze wszystkich stron.

— Wygląda na to, że jest mu dobrze — stwierdziła Mamá.

— Dobrze? — parsknął Abuelo. — Tylko że się zapracowuje, a po co?

— Po to, żeby zbudować lepszy kraj — odparowała Mamá. Abuelo chciał odejść od stołu, ale Xhana powstrzymała go ruchem ręki.

— Po pierwsze, Pajarita, twoje *empanadas* są przepyszne. — Rozległy się pomruki aprobaty. — W tej sprawie jesteśmy jednomyślni. Tío, pomyśl o tym w ten sposób. Pomyśl o Urugwaju. O ile zmniejszono emerytury?

— Dużo.

— Czyli niewiele zostawiono starym ludziom.

— Ano niewiele.

— Wystarczy może na worek kartofli.

Chcąc nie chcąc, Abuelo potwierdził skinieniem głowy.

— Dlaczego tak jest, twoim zdaniem?

Abuelo sięgnął po kolejny pierożek. Siedzący obok Roberto wrócił do równań.

— Czasy są trudne. Nasz przemysł musi walczyć o przetrwanie.

— I co jeszcze?

Ignazio wzruszył ramionami.

— Zadłużenie u jankesów, Tío.

— To prawda. — Mamá wychyliła się do przodu, rzucając cień na zeszyt Roberta, który trochę za mocno przycisnął ołówek do kartki. — Odbiera się chleb własnemu narodowi po to, by dawać tym, którzy i tak mają dużo.

— Długi należy spłacać — powiedział Abuelo.

— Ale nie kosztem robotników — rzuciła Mamá.

— Pfff.

— Jak mamy rozumieć to „pfff”?

— Tak mówią komuniści. Mamá zastygła bez ruchu.

— Oczywiście — odparła Xhana. — Jestem komunistką. Ignazio spojrzał na Ewę.

— A ty, córko?

— Jeszcze nie jestem pewna.

— Gdzie się podział nasz stary dobry *batllismo!* — westchnął Abuelo Ignazio.

— Nasi przywódcy sprzedali go temu, kto lepiej zapłacił — oświadczyła Xhana.

— Pajarita, czy ty wiedziałaś, że twoja bratanica jest ko-munistką? — zwrócił się do żony Ignazio.

— No pewnie.

— I co o tym myślisz?

— Mam nadzieję, że zostanie na kolacji.

— A co myślisz o swojej córce?

— Też mam nadzieję, że zostanie na kolacji.

Mami zachichotała, a jej ojciec wzruszył ramionami w geście przerysowanej rezygnacji.

— Zostanę z przyjemnością — powiedziała Xhana.

Miała jedenaście lat. Była dobrą, zwyczajną dziewczynką z cienkimi warkoczykami, które smętnie opadały jej na ramiona, mimo nieustrudzonych wysiłków matki, aby wzmocnić jej włosy płukankami, pachnącymi szamponami i kompresami z oliwy, po których pachniała jak sałata. Wszystko na nic. Nieraz zastanawiała się nad przyszłością, która ją ciekawiła, trochę przerażała i ekscytowała. Najchętniej zmieniłaby skórę, tak jak czternastoletni Roberto, który już prawie nie chciał się z nią zadawać, był właściwie mężczyzną i musiał się rano golić. Nie rozumieli się już tak jak dawniej, została sama. Nie umiała zjednywać sobie przyjaciół, chociaż niektóre dziewczynki w szkole zwracały się do niej o pomoc w odrabianiu lekcji. W ich domach widywała ich matki, tęgie, przepasane fartuchem, z niedbale zaczesanymi włosami, jakby chciały przez to powiedzieć, że zajmują się ważniejszymi rzeczami niż fryzurą. Te matki piekły, sprzątały, czekały na swoich mężów i najwyraźniej nie miały żadnych sekretów ukrytych w szafie ani pilnych spraw do załatwienia wczesnym rankiem. Rzadko

chodziła do tych domów, za to ciągle czytała. Wiele z tych bardzo starych historii z książek mówiło o dziewczynkach, które nie były prawdziwymi dziewczynkami, ale leśnymi duchami; ich domem był pień drzewa, kępa trzcin albo rzeka. Salomé zdarzało się rozglądać po ulicach miasta — tego miasta, którego obrzeża zamieszkiwali coraz liczniej *cantegriles*, co prawda żyjący z dala od jej domu, ale ich nędzne budy nadal śniły się jej po nocach — w poszukiwaniu wrózek, duszków albo czarownic, zdolnych otworzyć przed nią tajemne powietrzne szlaki.

Za dobre wyniki, podobnie jak Roberto, zdobyła stypendium pozwalające jej wstąpić do prywatnej szkoły. Mamá bez uprzedzenia złożyła w imieniu córki podanie i pokazała dopiero zawiadomienie o przyjęciu.

— Cieszysz się, prawda?

Salomé kiwnęła głową. Pomyślała o Crandon — wielkiej, białej budowli porośniętej bluszczem. Dotychczas widywała ją tylko przez prześwity w żelaznym ogrodzeniu.

— Chodź tu, *hija*.

Pozwoliła się przytulić. Włosy matki pachniały migdałami. Obie udawały, że jeszcze nie jest za duża, aby usiąść na matczynych kolanach.

— Czy wiesz, że kiedy miałam tyle lat co ty, musiałam przerwać naukę?

Nie wiedziała.

— Pracowałam w sklepie.

Usiłowała sobie wyobrazić, jak Mamá sprzedaje marchew czy też koszule albo zabawki, a lekcje leżą nieodrobione.

— Ale ty możesz zostać tym, kim zechcesz — powiedziała, głaszcząc ją po głowie.

W dniu, w którym miała po raz pierwszy iść do Crandon, obudziło ją tango śpiewane przez matkę. Wstała i poszła za muzyką. W saloniku natknęła się na niezwykły obrazek: Mami zajęta prasowaniem, w dodatku z dużym skupieniem. O wpół do szóstej rano. Miała na sobie tę samą niebieską sukienkę co poprzedniego dnia. *Yun rayo misterioso, hará nido en tu pelo.*



Żelazko tańczyło na sztywnej bluzie nowego mundurka. *Florecerà la vida*. Mami wygładziła kołnierz, mankiety i rękawy i zabrała się do trudno dostępnych przestrzeni między guzikami. *No existirá el dolor*. Salomé poczuła, że jest świadkiem bardzo intymnej rozmowy między tą kobietą, żelazkiem i mundurkiem. Wycofała się na paluszkach i wróciła do łóżka. Na dworze niebo miało kolor włosów bardzo starej kobiety.

Do szkoły obydwój z Robertem pojechali autobusem, przez całe miasto. Plisowana spódniczka drapała Salomé w kolana. Za żelazną bramą chłopcy o ulizanych włosach i schludne dziewczynki spacerowali po idealnie przystrzyżonym trawniku. Klasy pachniały sztucznym cytrynowym zapachem charakterystycznym dla starannie wysprzątaných pomieszczeń. Okna wyglądały jak wypolerowane ramki przygotowane specjalnie po to, aby mogło się w nich odbijać niebo. Salomé miała teraz nauczycielkę angielskiego, która nie nosiła samodzielnie wydzierganego wełnianego swetra, lecz żakiet i dopasowaną do niego spódnicę. Mówiła staranną, olśniewającą angielszczyzną.

— Nauczycie się mówić... jak obywatele... Stanów Zjednoczonych. Co to są Stany Zjednoczone? Kto mi powie?

Prac domowych było co niemiara. W klasie wszyscy mówili po kolei, nikt nikogo nie przekrzykiwał. Korytarze odsyłały echo jej własnych kroków, a także chłopców o ulizanych włosach i schludnych dziewczynek.

— No i co? — spytała Mamá po pierwszym dniu w nowej szkole. — Jak było?

— Świetnie — odparł Roberto.

— Dobrze — dodała Salomé.

— Dużo zadań?

— Tak.

Salomé uczyła się od podstaw nowego języka i dziwnych, kanciastych słów na oznaczenie znajomych rzeczy. Poznawała geografię Stanów Zjednoczonych, leżących daleko na północ od jej kraju, wkuwała na pamięć nazwy pięćdziesięciu stanów, od Alabamy do Wyoming, olbrzymich, większych nieraz

od całego Urugwaju. Nauczyła się przeliczać dolary na centy i porównywać do peso. Potrafiła wyrecytować nazwy wszystkich stolic europejskich. Dowiedziała się, że istnieją zagraniczne firmy, które chętnie najmują do pracy urugwajskie dziewczęta, jeżeli tylko są bystre, staranne i potrafią pisać po angielsku na maszynie. Poznawała biologię, geometrię i historię wojen światowych. W domu uczyła się zaprasowywać plisy spódnicy i zwracać po angielsku do matki, która aż klaskała z uciechy na wszystkie jej *please, of course* i *what a lovely pair of shoes*.

— Myślałam, że nie będziesz lubiła angielskiego — powiedziała kiedyś Salomé.

— Dlaczego niby miałabym go nie lubić?

— Bo to język jankesów.

— I co z tego?

— Jest wrogi rewolucji.

— Cóż za głupstwa! — zawołała Mamá. — Język nie może być niczym wrogiem.

Patrzyły na siebie w milczeniu. Było późne popołudnie, słońce rzucało niski cień na ściany.

— Tak czy owak, musisz zrozumieć, że to jest język życiowych szans.

Roberto znalazł sobie przyjaciela w Edgarze, piegowatym chłopcu zafascynowanym chemią. Edgar przychodził czasami na kolację, a wtedy nieodmiennie zjadał z talerza wszystko co do okruszynki, niezależnie od tego, ile dokładek dostał od Abueli, i grzecznie odpowiadał na pytania Abuela. „Tak, mój ojciec jest prawnikiem, nie, mieszkamy w Malvín, tak, chyba nieźle gram w piłkę, oczywiście kibicuję Peñarol”. Salome zastanawiała się, jakie to uczucie: przyprowadzić do domu przyjaciela. Dziewczęta ze szkoły różniły się od niej pod każdym względem. Były zawsze ładnie uczesane, każda miała w ogrodzie basen, codziennie nosiły na szyi inny łańcuszek ze złota, śmiały się subtelnie i elegancko. Staraly się ją ignorować, co przyjmowała z ulgą. Ignorowały również Leonę Wołkową. Leona zawsze siedziała ze złączonymi kolanami, nigdy nie

zakładała nogi na nogę. Nigdy też nie uśmiechała się w klasie, w której była jedyną Żydówką. Miała łagodny głos i zachowywała się bardzo uprzejmie, przynajmniej do dnia, kiedy palnęła znieścacka, że Trocki nie był szaleńcem.

W klasie zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszystkie oczy zwróciły się na Leonę, która stała ze splecionymi kurczowo dłońmi.

Panna Magariños zrobiła taką minę, jakby właśnie zaaplikowano jej czopek.

— Słucham?

— On nie był szaleńcem, proszę pani — powtórzyła Leona.

— Młoda damo, nikt cię nie pytał o zdanie.

— To prawda, panno Magariños, ale nie mogę milczeć. Dzięki niemu moja rodzina mogła wyjść z Rosji żywa. — Leona patrzyła na nauczycielkę, a ta gdzieś na ścianę. W końcu niezgrabnie usiadła.

Panna Magariños zakaszłała i podrapała się po ręce. Klasa wróciła do pisania, ale ciężka, napięta atmosfera utrzymała się aż do dzwonka.

Po lekcji Salome wyszła za Leoną na korytarz.

— Zachowałaś się odważnie — powiedziała.

Leona się nie obejrzała. Jej ciemne loki wymykały się spod opaski na głowie.

— Tak myślisz? — spytała.

— Oczywiście.

— To nic takiego. Nic w porównaniu z odwagą innych.

— Na przykład Trockiego?

— Tak.

Przeszły się razem kawałek po świeżo skoszonym, pachnącym trawniku. Lew. Leona.

— Twoje imię... to na jego cześć?

Słońce odbijało się w okularach Leony, zasłaniając jej oczy.

— Skąd wiesz?

Salome wzruszyła ramionami. Ścisnęła mocniej książki, które trzymała pod pachą.

— Mam na drugie imię Ernestina. Moja mama mówi, że to na pamiątkę Che.

— Ale dlaczego?

— Podobno spotkała go w Buenos Aires w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, kiedy się urodziłam.

Leona się zaśmiała. Kiedy się śmiała, wyglądała inaczej, była wręcz ładna (po latach zatrwożona o jej życie Salome właśnie tak będzie ją wspominać — jako roześmianą dziewczynkę ze słońcem odbijającym się w okularach).

— I co, wierzysz mamie?

— Czasami tak. A ty?

— Tak. — Leona znów spoważniała. Zniżyła głos. — Wiesz, że Che ma przemawiać na uniwersytecie?

— No pewnie.

— Moja siostra tam studiuje. Ma na imię Anna. Obie pójdziemy go posłuchać.

Leona miała duże oczy, nosiła się prosto, pachniała mandarynkami i pastą do zębów. Salome doszła do wniosku, że przyjaźń z tą dziewczynką w wyprasowanym mundurku, z którą stoi teraz w pełnym słońcu na skraju trawnika, byłaby czymś bardzo dobrym.

Leona rozejrzała się dookoła i zatrzymała wzrok na gromadce koleżanek w białych bluzkach.

— Też chciałabyś przyjść? — spytała.

— No pewnie.

Białe bluzki ruszyły przez trawnik.

— Ale będę musiała poprosić mamę o pozwolenie. Kiedy poprosiła, matka, która akurat ją cesała, z wrażenia podrapała ją grzebieniem.

— Oczywiście, że nie możesz tam iść.

Wyznaczyła przedziałek na środku głowy Salome, podzieliła jedną połowę włosów na trzy części i energicznie zaczęła pleść warkocz.

— Ale, Mami, dlaczego nie? Przecież chodzyliśmy już na odczyty.

— To nie będzie normalny odczyt. To kontrowersyjna rzecz...

— No i co?

— I właśnie to! — Palce Evy ciasno trzymały warkocz córki. Były szybkie, zręczne, tak dobrze czesały. — Tam będzie dużo policji i dużo emocji. — Końcówka prawego warkocza została ściśnięta gumką. Eva puściła go i zajęła się lewą stroną.

Salomé miała ochotę ją odepchnąć.

— A czy ty tam pójdziesz?

- Nie. To jest wieczór, kiedy Tía Carlota organizuje grę w karty.

Druga gumka zacisnęła się na drugim warkoczu.

W wieczór, kiedy Che miał wygłosić odczyt, dzieci zjadły kolację bez matki. Abuelo zabawiał je przy jedzeniu starymi, dobrze znanymi opowieściami, w których dla urozmaicenia pozmieniał pewne elementy: o mężczyźnie, który uzależnił swoją przyszłość od tego, co przyniesie udział w spektaklu magicznym, i o dziewczynce uznanej za zmarłą, która ukazała się pewnego dnia w koronie drzewa. Jego historie były nierzeczywiste, absurdalne, potężniejsze od życia. Ale niby dlaczego się ograniczać do rzeczy małych? Chęć wywarcia wrażenia na słuchaczach czy wyrażanie swej duszy w barwnych opowieściach to w końcu żadne przestępstwo. Może zresztą bajania Ignazia nie były większe niż życie. Może w ciągu bieżącego stulecia po prostu zmienił się świat — zmałał, skurczył się, a to, co należało kiedyś do sfery fantazji, zbliżyło się do rzeczywistości. Salomé sprzątała ze stołu, kiedy zadzwoniła Tía Carlota.

— Salomé, gdzie jest twoja Mami?

— Wyszła.

— Dokąd wyszła? Zawahała się.

— Grać w karty — powiedziała.

— Co? Z kim? Gdzie ona zje przy kartach lepsze *picadillos* niż u mnie?

— Nigdzie, ciociu, tego jest pew...

- No właśnie, *pues nadie*. Naprawdę nie wiesz, gdzie ona może być?
- Nie mam pojęcia — skłamała Salomé.
- Cóż, poproś, żeby do mnie zadzwoniła.
- *Claro*.

Tía Carlota się rozłączyła. Salomé stała dłuższą chwilę w korytarzu ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Poszła. Na pewno tam poszła. Jej matka jest w tym momencie na spotkaniu z Che, podczas gdy ona wsłuchuje się w monotony sygnał wolnej linii telefonicznej. Odłożyła słuchawkę dopiero w momencie, gdy sygnał zaczął brzmieć agresywnie. W kuchni Abuela Pajarita szorowała żeliwną patelnię. Jej siwo-czarne warkocze kołysały się leciutko, jakby zamiatały górę jej bluzki. Salomé zajęła się wycieraniem naczyń, starannie przesuwając ścierką po ich zaokrąglonych brzegach. To było takie proste: mycie, suszenie, odkładanie na miejsce. Człowiek coś robił, ale nie zostawał po tym żaden ślad.

Kiedy skończyła, cichutko wśliznęła się do pokoju matki i zamknęła za sobą drzwi. Księżyc wkładał przez okno swe srebrne ramiona, więc nie musiała zapalać światła. Była już wystarczająco wysoka i silna, nie bała się też złamać zakazu — a nawet gdyby się bała, nie pozwoliłaby na to, aby strach całkowicie nią zawładnął. Potrzebowała tylko krzesła, więc przyciągnęła je pod szafę. Pudło nadal stało na półce. Wspiąwszy się na palce, cierpliwie zaczęła je ciągnąć ku sobie. Było ciężkie i duże na całą szerokość jej ramion. Postawiła je na podłodze. Gdy uniosła jedną klapkę, poczuła zapach eukaliptusa. Druga klapka, trzecia, wreszcie ostatnia — i już w bladym świetle księżyca rysowała się przed nią zawartość pudła. Buty. Dziecięce buty. Jej szkolne pantofle i sznurowane półbuty Roberta, z których wyrósł w zeszłym roku. Każda warstwa zawierała coraz mniejsze rozmiary, a na samym spodzie leżały pantofelki niemowlęce, jedno przeznaczone najwyraźniej dla chłopców, zwykłe, bez ozdób, drugie w kwiatki. W każdym bucie leżały po trzy liście eukaliptusa — nigdy ani mniej, ani

więcej, tylko trzy. Salomé miała ochotę zanurkować w tych butach, w tych ciemnościach, przeniknąć tajemnice umysłu matki, dowiedzieć się, po co ten eukaliptus, czy też w ogóle dowiedzieć się czegokolwiek. Powąchała jeden liść, roztarła go między palcami, jakby nigdy w życiu nie trzymała czegoś takiego w ręce, jakby w jego żyłkowaniach i na suchej powierzchni został zapisany jakiś sekretny kod. Zrobiła to za mocno, liść złamał się na pół, ona zaś wzdrygnęła się, widząc, że narobiła szkód. Wsunęła go z powrotem na miejsce, ułożyła buty tak, jak były, zamknęła klapki, odstawiła karton na półkę, a krzesło pod ścianę. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Tej nocy przed zaśnięciem rozmyślała o pudełkach,

o drzwiach, o aulach uniwersyteckich, o butach i o tym, że bardzo, bardzo chciałaby wiedzieć pewne rzeczy.

•••

Odczyt Che skończył się zamieszkami. Usłyszeli o tym w radiu następnego ranka. Ktoś oddał strzał, powstał tumult, kilkadziesiąt osób zostało rannych. Abuelo zaczął wyrzekać na socjalistów, którzy stają się nieprzewidywalni i sieją zamęt. Mamá piła swoją mate, nie podnosząc wzroku.

Leona przez dwa dni nie pojawiała się w szkole. Salomé wyobrażała już ją sobie w gipsie, pokiereszowaną, z siniakami

i obrzękami na twarzy, kiedy jednak wróciła, nie tylko była cała, ale nawet się uśmiechała. Podąła Salome karteczkę, na której napisała po angielsku: *let 's talk*. W przerwie obiadowej zaszyły się pod eukaliptusem na trawniku. Salomé była tak żądna wiadomości, że aż nie mogła jeść kanapki.

— To było niewiarygodne. — Leona zdjęła okulary i zaczęła czyścić szkła brzeżkiem spódnicy. Jej oczy błyszczały. — Powiedział mnóstwo rzeczy. Że walka na Kubie to jest nasza wspólna walka, że to sprawa o charakterze duchowym, która przekracza granice państw, i że wkrótce rozszerzy się na wszystkie te miejsca, w których ludzie cierpią głód. Miał na głowie czarny beret, a kiedy mówił, cały czas gestykulował i nawet

z daleka było widać, że w rzeczywistości jest przystojniejszy niż na zdjęciach. — Leona umilkła na moment, bo mijały je trzy dziewczęta ze starszej klasy, które przekazywały sobie ploteczki, przesłaniając rękami usta. — Powiedział, że nie chodzi o to, aby nienawidzić imperialistów, bo wtedy staniemy się tacy jak oni; powinniśmy tylko być silni i myśleć o zwycięstwie. *¡Victoria!* Tak właśnie powiedział: *¡Hasta la Victoria!* A wtedy całe audytorium oszalało.

Salomé pomyślała, jak cudownie byłoby dać się ponieść rozentuzjanzmowanemu tłumowi.

— A kiedy wybuchły zamieszki? — zapytała.

— Wkrótce potem, ale gazety kłamią. To nie Cheje wywołał. Wszyscy staliśmy i biliśmy brawo, a wtedy rozległ się strzał i w stronę Che poleciała kula. Tłum wpadł w panikę, wkroczyła policja, tak jakby to była interwencja w czasie bójki, tylko że nikt oprócz policji się nie bił. Ludzie próbowali się stamtąd wydostać, a oni ich pałowali. Mojej siostrze złamali ramię. Ja zarobiłam tylko kilka siniaków. — Zrolowała rękaw i pokazała Salomé brunatnofioletowe ślady. — I tak niewiele mnie to kosztowało.

Salome potaknęła, rozważając w myślach słowa Che. Chciała na zawsze zachować w pamięci te tajemnicze, brzmiące jak przepowiednia zdania. Siniaki Leony lśniły na jej skórze jak odznaczenia.

Leona i Salome spędzały dużo czasu pod eukaliptusem. Zjadały tam kanapki, przyglądając się starszym uczniom, którzy dyskutowali na trawniku, albo uczyły się po lekcjach. Czasami zamykały zeszyty i rozmawiały o książkach — nie o lekturach obowiązkowych, ale o tych, które Leona pożyczyła od siostry, studentki uniwersytetu. Anna miała na półce *Kapitał* Marksa, *Moje życie* Trockiego, historię wielu krajów Ameryki Łacińskiej, teksty Bolívara, Artigasa, Batlle'a, Bakunina, Lenina, Castro i Che. Salome owijała te książki w papier ze sklepu



rzeźnickiego, tak by żaden z nauczycieli nie zorientował się, co to za lektury, i nie próbował interweniować. Nie były łatwe w czytaniu, więc cieszyła się z podkreśleń lub gwiazdek, którymi Anna opatrywała ważne słowa. Te najważniejsze zasługiwały jednocześnie na podkreślenie i gwiazdkę, wzmocnione jeszcze przez *¡Sí!* na marginesie. Na początku spróbowała zrewanżować się poezjami swojej mamy, lecz Leona przeczytała je tylko z grzeczności.

— Poezja — rzekła w końcu — nie ma zastosowania praktycznego.

Salome przejechała palcem po okładce tomiku mamy („wierszem się nie najesz” — powiedział kiedyś Abuelo) i schowała go do teczki. Korespondencja od wuja Artigasa spotkała się z cieplejszym przyjęciem: Leona tak szczegółowo wypytywała Salome o treść każdego nowego listu, że ta w końcu zaczęła je kopiować, słowo po słowie, kiedy tylko nikt nie mógł jej na tym przyłapać. Cóż to były za listy! Miało się wrażenie, że pachną potem i świeżo ściętą trzcina cukrową. Tío Arti, wdowiec od trzydziestu trzech lat, znalazł ponownie miłość w osobie Constanzy, osiemdziesięciolatki z Matanzas, która siłą umysłu potrafiła wprawiać w ruch patelnie i talerzyki. Twierdził, że kiedy całowali się pierwszy raz, natarł na nich stół kuchenny, tak że nagle zostali przyciśnięci do jasnożółtej ściany. Ustalili, że spędzą razem resztę życia. Artigas mieszkał trochę w Hawanie, a trochę na wsi; nigdy się go nie widywało z pustymi rękami — zawsze nosił i rozdzielał podręczniki szkolne albo maczety i broń, albo bandaże. Rząd był surowy, jak twierdził, lecz istniały ku temu powody. Leona chłonęła łapczywie każde słowo. Salomé lubiła ten jej głód. To właśnie była przyjaźń — prawdziwa, żywa, nastawiona na spotkanie, rozumiejąca tęsknoty, pasje i bóle, zdolna wypełniać treścią puste miejsca, wspólnie poszukiwać sensu. Tęsknoty i pasje Leony były tak oczywiste dla Salomé, że wcale nie musiała wyrażać ich słowami. Wystarczyło, że siedziały spokojnie ramię przy ramieniu i patrzyły, jak cień gałęzi przesuwają się po trawie.

Salome skończyła trzynaście lat. Wiele się zmieniało w Urugwaju: ludzie tracili pracę, zamykano fabryki i obcinano emerytury. W Montevideo mnożyły się strajki. Co chwilę na ulice wychodzili a to pracownicy zakładów mięsnych, a to rolnicy, a to szewcy albo ludzie pracujący w telefonach, w przemyśle naftowym i w przedziałniach wełny. Salomé co prawda nie oglądała ich na żywo, ale „El País” publikował zdjęcia tych ludzi z otwartymi do krzyku ustami i wysoko wzniesionymi transparentami. Rząd wprowadził godzinę policyjną i cenzurę prasy, strajkujących bito, otwierano do nich ogień i przeprowadzano wśród nich aresztowania. W przemówieniu radiowym prezydent Giannattasio oświadczył, że są to działania doraźne w celu zachowania bezpieczeństwa. Na uniwersytecie pojawiły się ulotki w obronie strajkujących. Roberto, świeżo upieczony student, narzekał na to w domu przy kolacji.

— Są wszędzie, na podłodze, na stolikach, poprzyklejane do ścian, mówię wam, coś okropnego.

— Jednak strajki są uzasadnione — zareagowała Mamá. — Działania rządu godzą w nasze prawa obywatelskie.

— Czy Castro nie robi tego samego?

— To co innego.

— Dlaczego?

— On to robi dla dobra rewolucji.

Roberto nic nie odpowiedział, tylko nałożył sobie więcej ryżu.

— Chłopak ma rację. — Abuelo Ignazio podniósł widelec, jakby to było berło. — Uniwersytet powinien służyć wyłącznie do studiowania.

Mamá zmarszczyła czoło. Salomé, patrząc na jej stylowo upięte włosy, pomyślała, że ze swoimi strączkami nie może nawet marzyć o takiej fryzurze. Dziwne, że przy takich trudnościach z pieniędzmi Mamá pozwala sobie na modne uczesania, to dosyć mieszczańskie jak na nią. Salomé spróbowała raz poruszyć ten temat, ale matka ucięła rozmowę: „Dostałam zniżkę, znam się z tą fryzjerką od dawna”. Teraz zareagowała na słowa swojego ojca, mówiąc:

— Być może dzisiejszy świat również zasługuje na to, aby go studiować.

Wiosną — radio nadawało akurat pierwsze piosenki Beatlesów — zadzwonił telefon. Dzwoniła Leona, cała w emocjach, tak że ledwie mogła mówić.

— Salome?

— Słucham — odpowiedziała Salome, zachodząc w głowę, co mogło spowodować ten telefon: czyjaś tragiczna śmierć, nagle zakochanie, pierwsza miesiączka Leony (jeśli tak, pocieszy ją, że to nie jest aż tak straszne, wie coś o tym od zeszłego roku).

— Zerwaliśmy z Kubą.

— Co?

— Nasz rząd zerwał stosunki dyplomatyczne z Kubą.

— Ojej.

— To poważna sprawa. Stany oficjalnie tego zażądały. Nasz rząd jest im winny pieniądze, więc zrobił tak, jak kazały. — W słuchawce na chwilę zapadła cisza. — Tchórze. — Leona znów zamilkła, ale po drugiej stronie słuchawki rozległ się jakiś trzask czy szelest. — Poczekaj. Przeczytam ci to.

— Czekam.

— Dobrze. O, jest. Oto, co powiedziały Stany: „Wasz rząd uczestniczy w szerzeniu komunizmu na kontynencie, co jest niedopuszczalne”. Wyobrażasz sobie? Nie rozłączaj się.

Salomé usłyszała w tle głos Anny.

— Wiesz co, porozmawiam z tobą później, dobrze?

— Oczywiście.

— Widzimy się jutro. — Leona odłożyła słuchawkę, zanim Salomé zdążyła się z nią pożegnać.

Na Plaza de Independencia urządzono demonstrację. Salomé słuchała o tym w radiu, wyobrażając sobie okrzyki, pałki policyjne, strzały, aresztowania, wreszcie Leonę i jej siostrę, które ryzykowały życie. Przyszło jej do głowy, aby wymknąć się z domu i do nich dołączyć, lecz okazało się to niemożliwe, bo Mamá siedziała w saloniku i nie spuszczała z niej oka. Salomé

udawała, że odrabia zadania. Dwie godziny później do domu wpadł Roberto, rozgorączkowany i nagle jakby o wiele starszy.

— Nie jesteś na zajęciach? — spytała Mamá.

— Nie mogłem się dostać do sali, uniwersytet jest zajęty.

— Przez kogo?

Mamá i Salomé patrzyły na niego w napięciu.

— Przez setki studentów, a sędzę, że są z nimi i wykładowcy. Zajęli wszystkie budynki. Mają transparenty i wznoszą okrzyki. To z powodu Kuby.

— A policja?

— Otoczyła budynki.

— Jest uzbrojona?

— Tak.

Mamá powoli wstała, pobladła. Z czerwoną szminką i czarnymi włosami wyglądała jak Królowna Śnieżka, która właśnie ugryzła zatrute jabłko.

— Tak myślałam. Żadne z was nie wyjdzie z domu, dopóki to się nie skończy. Salomé, masz przerwę w szkole.

— Ale...

— Słyszałaś, co powiedziałam. Zostajesz w domu. Salomé pochyliła się nad książkami. „Zostajesz w domu”

oznaczało, że nie spotka się z Leoną, nie dostanie bieżących informacji i nie usiądzie pod eukaliptusem, aby posłuchać najnowszych wieści z ulicy. Z podręcznika wyzierały tępe formuły matematyczne, hieroglify pozbawione jakiegokolwiek związku z aktualnymi wydarzeniami. W kuchni Abuela kroїła marchew albo ziemniaki; w powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli. Za czterema ścianami tego domu świat nabierał przyspieszenia, wirował popychany tysiącami rąk, napędzany okrzykami, śpiewami, marszami, zebraniem w przepelnionych salach i palącymi marzeniami — ona zaś nie mogła w tym wszystkim uczestniczyć, mimo że tak bardzo by chciała.

Niepokoje wstrząsały miastem jeszcze przez wiele dni. Sa-

Salomé pilnie śledziła wszelkie relacje radiowe. Przedłużała się okupacja uniwersytetu. Trzeciego dnia kubańscy dyplomaci pojawili się ze swoimi spakowanymi naprędce bagażami na lotnisku Carrasco, gdzie na znak solidarności żegnał ich spory tłum. Jak doniosło radio, doszło do starć: policja użyła pałek i nie odłożyła ich nawet wtedy, kiedy ludzie zaczęli padać, krew połała się na asfalt i zbryzgała szklane drzwi lotniska. Leona nie zatelefonowała ani razu. Może była na lotnisku, może to jej krew umazała szyby. Kto wie, może rewolucja dotarła już do Urugwaju i zatacza teraz coraz niższe kręgi jak olbrzymi jastrząb. Rewolucja to coś wzniosłego, coś, co nie ma granic i rzuca wielki cień, właśnie jak ptak wybierający skrawek ziemi, na którym wylądować. Historia zapamięta tych, którzy przygotowali dla niego miejsce. Salomé aż rwała się, aby przygotować miejsce. Chciała wykazać się odwagą i nadażyć za obrotami kuli ziemskiej. Dziś nie mogę, wydano mi zakaz i nie mam jak uciec, myślała, ale ty, wielki, krążący w powietrzu cieniu, wiedz, że kiedyś będę cała dla ciebie. Jeżeli świat mnie zapamięta, to dlatego, że przyłożę rękę do zmian. Jeżeli uda mi się teraz wstrzymać oddech na trzydzieści sekund, to przypieczętuje przysięgę. Spojrzała na zegar i wstrzymała oddech.

W korytarzu zadzwonił telefon. Odebrała Abuela.

— ¿HOLA? Co? César, tak. Ojej. Oczywiście. Tak mi przykro. Czy ona...? Naturalnie.

— Co się stało? — odezwał się głos matki.

— Xhana jest w szpitalu.

— Co z nią?

— Połamane żebra i zranienia głowy. Mamá wydała z siebie głuchy jęk.

— Byli na lotnisku.

— Muszę ją odwiedzić.

— Idź, ja zostanę z dziećmi.

Salomé myślała o połamanych kościach ciotki i jej krwawiącej głowie, nad którą pastwiła się policyjna pałka. Miała niczym

nieuzasadnioną nadzieję, że Mamá zaproponuje, aby poszły razem. Tak oczywiście się nie stało. Słyszając, jak matka chwyta torebkę i wybiega z domu, poczuła się jak zwierzę w klatce.

Xhana leżała w szpitalu od pięciu dni, kiedy nastąpiło otwarcie uniwersytetu i wznowienie zajęć. Salomé dostała nareszcie pozwolenie, aby ją odwiedzić. Przy łóżku żony siedział Tío César. Nigdy go jeszcze nie widziała tak zmęczonego. Xhana podniosła się na poduszkach, a jej wzrok rozjaśnił się na widok przyniesionych przez Salomé goździków.

— Jakie ładne — powiedziała. Uśmiechnęła się, a wtedy Salomé zobaczyła, że brakuje jej dwóch zębów.

Przez cały następny rok Salomé pilnie przysłuchiwała się wszelkim rozmowom, jakie tylko docierały do jej uszu — kiedy uczyła się chemii i historii sztuki, poznawała pisarstwo Hemingwaya, naradzała się z Leoną w cieniu eukaliptusa, w ciągu dni pełnych zajęć, a także w domowe wieczory w Punta Carretas. Zmieniała się w szpiega — w przebiegłego, rzutkiego szpiega, który zrobi wszystko, aby dotrzeć do źródła każdej wiadomości, rozeznac się w chaosie świata, rozsypać splątane wątki. Jakże różne bywały te rozmowy, ukradkowe, prowadzone ściszym głosem, pełne troski, zadumane albo wręcz przeciwnie — krzykliwe, podekscytowane, mentorskie w tonie. Nadstawiała uszu i starała się być niewidzialna. Na korytarzach Crandon, na ulicy, w sklepie u Coco, w kuchni Xhany, w kuchni u babki, za zamkniętymi drzwiami pokoju matki, na przystanku autobusowym — wszędzie łowiła słowa i robiła z nich układankę.

Wszystko się pozmieniało.

To przejdzie.

To katastrofa.

W praktyce to już dyktatura. Och, przesadzasz.

Ty przesadzasz. Przyjrzyj się policji. To prawda. No widzisz?  
Gospodarka jest w katastrofalnym stanie.  
Zawsze jakoś odbijaliśmy się od dna.  
Tym razem jest inaczej.  
Naród jest twardy. I stabilny.  
Nasz kraj to Szwajcaria Ameryki Południowej.  
To już przeszłość.  
Przeszłość nigdy nie umiera.  
Nie wiem, w jakiej ty rzeczywistości żyjesz.  
Związki zawodowe są potężne.  
Bieda też.  
Brutalność policji nie ma granic.  
Szczerze mówiąc, trudno mi uwierzyć, żeby była aż tak brutalna.  
To nie leży w charakterze Urugwajczyków. Teraz już leży.  
Będziemy protestować, jak reszta świata. Spójrz na Kubę.  
Spójrz na Europę, na Chiny, na Wietnam. Spójrz na Missisipi. Spójrz  
na Tupamaros. Tupamaros? A kto to, do licha, jest? Nie wiem dokładnie,  
ale rozrzućli na uniwersytecie ulotki. Zdaje mi się, że kilka dni temu to  
oni podłożyli bombę. Tak, naprzeciw budynku marynarki wojennej  
Stanów Zjednoczonych.  
Hm! Mili ludzie.  
Podobno na murze napisali *gringos piratas*. Podobno nazwali się tak  
na pamiątkę Tupaca Amaru. Podobno obrabiają banki. Podobno mają  
broń.  
Podobno zbierają pieniądze na rewolucję. Podobno dzielą się łupami z  
biedotą.

Podobno są ramieniem zbrojnym partii socjalistycznej. To ludzie bez czci i wiary. To bohaterzy.

Ludzie, którzy nami rządzą, też są bez czci i wiary, więc jaka różnica? Przesadzasz. Jesteś naiwna. Biją strajkujących. Zachowują się zbyt radykalnie. Zbyt radykalnie dla kogo? Dziennikarze są zwalniani z pracy. I co z tego? Wszyscy tracą pracę. Potrzebujemy rewolucji. Tego by tylko brakowało. Jesteśmy na skraju dyktatury.

Dajże spokój, nie jesteśmy krajem, w którym byłaby możliwa dyktatura. To już się zaczęło. To się nie może zdarzyć. To się na pewno zdarzy. Właśnie że nie.

Mówię ci, że to już jest dyktatura.

Jeżeli ludzie okażą cierpliwość, wszystko da się załagodzić. A jeżeli nie? To wtedy... Co wtedy?

• • •

Piętnaste urodziny dopadły Salome znienacka, chociaż zwykle dziewczęta z zapartym tchem czekają na *quinceañera* i z drzeniem planują uroczystość. Tymczasem to matka i babka musiały przypomnieć jej o tej dacie i już z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem zajęły się szyciem sukienki. Salonik zamienił się w ocean białych falbanek. Czy wolisz tak, czy tak, a może dodamy tu jeszcze więcej warstw, co o tym sądzisz? — pytały,



Salomé zaś kiwała głową na znak odmowy albo aprobaty i pozwalała im przyczepiać szpilki, fastrygować, obracać powoli dookoła własnej osi, krytykować albo zachwycać się jej wyglądem. Czuła się jak tyczka przystrojona falbankami; kanciasta, z długimi kończynami była zaledwie zapowiedzią kobiety. Poza tym prezenty, które jej uroczyście wręczono jako symbole przejścia do świata kobiet, okazały się mocno rozczarowujące: pierwsza różowa szminka kleiła się do ust, Salomé nie potrafiła utrzymać równowagi na wysokich obcasach i nawet długie białe rękawiczki czepiały się materiału sukni. Oczywiście, dostała jeszcze inne podarki, bardziej zachęcające do podjęcia zagadkowego brzemienia dorosłości.

Samo przyjęcie oszołomiło ją upałem, tłumem gości, hałasem i taką ilością *biscochos*, *empanadas*, *alfajores*, *pascualiny* i *churrascos*, że można by nakarmić nimi całe Montevideo. Każde ciasto dawało się podzielić chyba na tysiąc kawałków. Goście po kolei mówili jej, jak ślicznie wygląda, co wprawiło ją w zażenowanie i jednocześnie napełniło pewną podejrzliwością. Tak czy inaczej, kiedy już wypita dwa kieliszki szampana i zaczęły się tańce, poddała się elektryzującemu uczuciu przyjemności. W końcu w jej żyłach zaczęła krążyć radość — gorąca, gęsta, wartka. To samo najwyraźniej dotyczyło gości, sądząc po ich tańcach: Tía Xhana i Tío César wyginali się w żywiołowym tangu, siwe włosy Coco i Gregoria zlały się w jedno, gdy się do siebie przytulali, dziadek tak prowadził mamę, że cały czas robiła obroty, przy czym ona się zaśmiewała, on zaś otwierał szeroko oczy, jednocześnie trochę zakłopotany i przestraszony; nawet Roberto stanął na parkiecie, by kiwać się nieśmiało w rytm *Do you want to know a secret* Beatlesów razem ze swoją sympatią, Flor, kuzynką Edgara. Jej rozpuszczone włosy miały kolor żółdzi, była wiotka, rozpromieniona i spokojna. Salomé wiedziała, że nigdy nie będzie podobna do Flor, reprezentującej typ kobiety, która podoba się wszystkim mężczyznom, potrafi nimi sterować i bez jednego słowa wciągać ich w swoją orbitę. Nie przejmowała się tym. Nie chciała być

śliczna i pusta jak Flor, kiedy dookoła świat rozpadał się i przeobrażał. Uśmiechała się do gości, żałowała jednak, że nie ma wśród nich Leony. Przyjaciółka była ostatnio bardzo zajęta i markotna, podobno z powodu choroby ciotki. Jakież mogła mieć powód do kłamstwa, i to wobec kogo — wobec niej, Salomé, która dotychczas dzieliła się z nią wszystkim? Przy takiej bliskości mówienie nieprawdy było trudne i niezręczne i prawdopodobnie dlatego Leona odwracała wzrok, kiedy biadała nad długą chorobą ciotki, i spoglądała gdzieś w kierunku szkolnej bramy, daleko, po przeciwnej stronie trawnika.

Długie białe rękawiczki zaczęły ją drapać. Pewne sekrety wyjawia się łatwo, lecz inne, kiedy ubrać je w słowa, potrafią wybuchnąć z niebezpieczną mocą. Jeżeli rzeczywiście stałam się prawdziwą kobietą, myślała, jeżeli te falbanki, szampan i tańce przegnały resztki dzieciństwa, chcę zobaczyć to, co widzi Leona, chcę zajrzeć w różne tajemnicze miejsca — co prawda nie wiem, czy Leona je zna, ale sądzę, że tak — w te miejsca najeżone niebezpieczeństwami, których nawet nie potrafię nazwać ani sobie wyobrazić, a które z całą pewnością nie są przeznaczone dla dzieci, lecz dla mężczyzn, no i może dla kobiet w rodzaju: „jestem prawdziwą kobietą i nie boję się zmierzyć ze swoim losem”.

Trwało to dwa miesiące. Pewnego dnia Salomé znalazła się z Leoną w rzadko używanej łazience w piwnicy, pachnącej rdzą i wilgocią. Na dworze padał deszcz. Salomé miała przy sobie nowy list od Artigasa.

— Posłuchaj: „Jeszcze się nie pozbieraliśmy po wyjeździe Che. Niektórzy mówią, że porzucił sprawę rewolucji. Ale ja myślę, że wyjechał, aby rozprzestrzenić ją na inne kraje w Ameryce Łacińskiej. Kto wie, gdzie wybuchnie następna”.

Salomé podniosła wzrok na Leonę, której czoło świeciło się od potu.

— Co o tym myślisz?

Leona bębniła palcami w umywalkę. Coś najwyraźniej ją

męczyło, może zbliżający się egzamin, a może po prostu kamyk w bucie. W końcu zapytała:

— A ty co o tym myślisz?

— Myślę, że to prawda. Że rewolucja się rozprzestrzenia. — Salomé nabrała w płuca stęchłego powietrza. — Chciałabym się do tego przyczynić.

— Jak bardzo?

— Ty wiesz, że bardzo — powiedziała drżącym głosem. Leona przysunęła się do niej. Jej twarz, szczególnie szczęka, miała ostry, nieprzyjemny wręcz wyraz.

— Całą swoją istotą? — zapytała.

— Tak.

Leona przyjrzała się uważnie przyjaciółce. Była uczesana w koński ogon, ale kilka niesfornych kosmyków ułożyło się w kręconą grzywkę.

— Byłabyś gotowa oddać za to życie?

Salomé przestała oddychać. Piwnica nie miała okien, jedyne światło sączyło się ze słabej żarówki, która wisiała tuż nad nimi, oświetlając ich czoła, podczas gdy ich szyje pozostawały w cieniu. Dwie uczennice, które plotkują w łazience. Dwie młode kobiety, które nadają określony kierunek swojemu życiu. Salomé słyszała w oddali deszcz uderzający w kolejnych porywach wiatru o budynek. Deszcz, zęby, pałka policyjna wybijająca te zęby — to był świat, w którym żyła, uczennica i zarazem kobieta, podekscytowana, ciekawa i przestraszona. Przyglądała się przyjaciółce, przysłuchiwała się pragnieniom, które wypływały gdzieś z głębi jej istoty, myślała o przyrzeczeniu, które złożyła z zapartym tchem jeszcze w dzieciństwie — co do tego, że kiedyś będzie silna. Czy jednak jest już wystarczająco silna? I co to znaczy „wystarczająco”? Pewne kroki są nieodwołalne, człowiek nie może się już wycofać, choć wcale nie wie, czy naprawdę jest gotów, i nie zna czekającej go drogi. Stara się przeniknąć wzrokiem ciemność, w której ewentualnie czasem rozbłyśnie jakieś nikłe światełko, nasłuchuje ech dalekich wybuchów i tylko próbuje ocenić — pobieżnie, z grubsza — koszt swojej decyzji.

— Tak — odparła Salome.

Leona spojrzała na nią z uśmiechem. Wyjęła z plecaka papier i napisała coś, używając ściany jako podkładki. Następnie wcisnęła kartkę Salomé i wyszła.

Salomé przeczytała: *Spotkamy się jutro dokładnie za dziesięć szóstą przy El Chivito Sabroso. Bezwzględnie upewnij się, że jesteś sama. Natychmiast zniszcz tę kartkę.*

Nazajutrz po powrocie ze szkoły Salomé pospiesznie odrobiła lekcje. Nie miała czasu się przebrać, uznała, że może zostać w mundurku.

— Wychodzę — rzuciła, kierując się ku drzwiom.

— Dokąd? — spytała Mamá znad książki.

— Na spotkanie z koleżanką.

— Z którą? — Starannie narysowana brew matki lekko się uniosła.

Salomé błyskawicznie znalazła odpowiedź. *Hasta la Victoria.*

— Z Victorią.

— Z Victorią? Czy też uczy się w Crandon?

— Tak.

— A skończyłaś zadania?

— Tak.

Mami zmiękła, natomiast Salomé poczuła lekkie ukłucie w sercu z powodu kłamstwa, ale szybko oddaliła od siebie wszelkie skrupuły, przypominając sobie wieczór spotkania z Che Guevarą na uniwersytecie. Mami też wtedy skłamała — jakoby wcale tam nie poszła.

— Wrócisz na kolację?

Nie miała pojęcia, wołała więc odpowiedzieć, że nie.

— Baw się dobrze. Nie wracaj za późno.

Za dwanaście szóstą Salomé znalazła się już w pobliżu El Chivito Sabroso. Przestało padać. Zmierzch powoli zamazywał kontury budynków. Salome starała się nie myśleć o najbliższych godzinach, które były jedną wielką niewiadomą. Za szybą restauracji trzech mężczyzn siedziało melancholijnie nad dzbanem piwa. Samotna kobieta zatopiła zęby w kanapce, z której

natychmiast powypadały składniki — stek, jajko sadzone, szynka, bekon, ser. Kelner obojętnie obserwował salę. Po przeciwnej stronie ulicy, na rogu, przystanęło dwóch policjantów. Hałaśliwie przetoczył się autobus pełen zmęczonych robotników. Policjanci ruszyli przed siebie, przy czym jeden nie wiadomo po co dotknął wiszącego w okolicy biodra pistoletu.

Na rogu pojawiła się Leona. Salomé uniosła rękę na powitanie, lecz przyjaciółka minęła ją, jakby w ogóle się nie znały. Zwolniła tylko kroku, choć wcale się nie obejrzała. Salomé ruszyła za nią, utrzymując bezpieczną odległość. Doszły do końca budynku, potem w prawo, minęły jeszcze dwa budynki i znowu skręciły w prawo. Znalazły się na spokojnej, bocznej uliczce, przy której wznosiły się słabo oświetlone, skromne domy. Leona zatrzymała się przy pralni samoobsługowej. Światła były wyłączone, na drzwiach wisiała wywieszka z napisem „Zamknięte”. Zapukała. Drzwi się otworzyły, Leona prędko weszła do środka. Salomé znalazła się sama w pustej uliczce, śmierdzącej trochę kanalizacją, bo niedawno padał deszcz. Podeszła do drzwi. Otworzyły się, zanim zdążyła zapukać. Leona wciągnęła ją do środka i poprowadziła przez ciemności, koło niewidzialnych pralek, na zaplecze. Salomé przejechała ręką po ścianie. Namacała jakieś drążki, chyba kije od szczotek. Leona zapukała w niewidzialne drzwi po lewej, które znowu się otworzyły.

Weszły do ciasnego pomieszczenia bez okien, w którym znajdowały się cztery osoby: kobieta o podłużnej twarzy, w okularach w złotej oprawce — była to Anna, siostra Leony, młody mężczyzna w koszuli ze sztywnym kołnierzykiem, inny mężczyzna, o kwadratowej twarzy i bujnej brodzie, koło trzydziestki, a także masywny, potężny *muchacho* o opadających na twarz włosach, trochę starszy od Salomé, może siedemnastoletni. Skądś go znała, ale nie wiedziała skąd, a nie mogła się nad tym zastanowić, bo wszyscy ją obserwowali.

Leona dała jej znak, by usiadła. Salomé ostrożnie usadowiła się na lodowatej podłodze. Żałowała, że tak bardzo się spieszyła,

że wyszła z domu w sięgającej zaledwie do kolan spódnicy od mundurka. W pomieszczeniu paliły się dwie lampy naftowe, wydzielające charakterystyczny zapach, który mieszał się z oddechami sześciu osób. Brodacz dał głową znak Leonie, a wtedy ta zamknęła drzwi.

— A więc nazywasz się Salomé — powiedział. Potaknęła. Nadal patrzyło na nią pięć par oczu.

— Czy naprawdę można ci ufać? Leona zdecydowanie kiwnęła głową.

Brodacz świdrował Salomé wzrokiem. Miał ciemnozielone oczy, przysłonięte częściowo przez obfite brwi.

— Co wiesz o Tupamaros? — zapytał. Chrząknęła. A więc to oni.

— Chcą wyzwolić Urugwaj — odparła.

— Gdzie to słyszałaś?

— Czytałam w gazetach...

— Gazety wyrażają się znacznie mniej pozytywnie.

— ...i mówiło się o tym u mnie w domu.

Masywny chłopak uśmiechnął się, a ona wiedziała już, skąd go zna — to wnuk Cacho Casselli, magika, z którym w młodości pracował jej dziadek. Tinto Cassella. Dyskretnie puścił do niej oko.

Brodacz indagował ją dalej:

— A co ty myślisz o Tupamaros?

Przez cały dzień obracała w myślach to pytanie.

— Odgrywają ważną rolę. I są dzielni — odpowiedziała.

— Załóżmy, że spotkałabyś jednego z Tupamaros. Co byś mu powiedziała?

Leona wyciągnęła szyję i wychyliła się do przodu, co Salomé zauważyła kątem oka. Pomyślała o ich miejscu pod eukaliptusem.

— Podziwiam to, co robicie, i chciałabym do was przynależeć.

Nie zrobiło to wielkiego wrażenia na brodaczu, który kontynuował:

— A gdyby ten Tupa odpowiedział, że wyzwolenie mogą przynieść tylko czyny, co może się łączyć z użyciem siły, jeśli to konieczne?

To wtedy dostrzegła broń, słabo widoczną w półmroku: karabiny w kacie i pistolet na kolanach Anny. Widywała już wcześniej broń przy pasie policjanta czy żołnierza albo na fotografiach rewolucji kubańskiej, ale nigdy z tak bliska, nie u studentki, nie w zasięgu ręki rozmawiającego z nią człowieka. To ją zmroziło. Broń jest jednak konieczna, prawda? To brzydka konieczność, jak załatwianie potrzeb naturalnych — nikt tego nie lubi, a jednak nie sposób z tego zrezygnować. Pomyślała o Che, o świetlanym Che, który w jej śnie całował lśniący karabin. Powietrze w tym niewietrzonym pokoiku było ciężkie, aż gęste.

— Zgodziłabym się z nim.

— Ile masz lat? — Brodacz wychylił się w jej stronę.

— Piętnaście.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, czego się od ciebie żąda?

— Tak.

— Nie uważasz, że jesteś za młoda?

— Nie.

Mężczyzna pogłaskał się po brodzie.

— Czy ktoś chce coś powiedzieć? — Rozejrzał się po obecnych.

Tinto podniósł rękę.

— Znam ją. Nasi dziadkowie się przyjaźnią. To dobra dziewczyna, można na niej polegać.

— Ręczę za nią, nawet gdyby moje życie od tego zależało — dodała Leona.

— To dobrze — powiedział brodacz. — Tak właśnie może się zdarzyć. Czy ktoś ma jakieś zastrzeżenia?

Cisza.

— Wszyscy są za?

Wszyscy unieśli ręce. Leona mocno uścisnęła Salome, mówiąc:

— Witaj, przyjaciółko.

Tupamaros wstali, by ją ucałować. Tinto miał wygolony, gładki policzek; brodacz — nazywał się Orlando — cmoknął ją całkiem serdecznie i przedstawił pozostałych: Tinta, Annę i Guillerma, mężczyznę w sztywnym kołnierzyku. Był dowódcą komórki, a co to dokładnie znaczyło, miała dowiedzieć się od Anny. Ta ostatnia uniosła więc okulary i przysunawszy się blisko, poinformowała Salome, że Tupamaros używają również nazwy Ruch Wyzwolenia Narodowego. Wszystko, o czym się dowie, poczynając od tej chwili, musi pozostać w najściślejszej tajemnicy. Urwała. Salome potaknęła. Anna podjęła przerwany wątek: organizacja jest podzielona na komórki, takie jak ta, do której trafiła Salome. W każdej komórce tylko jedna osoba zna jakichkolwiek innych Tupamaros. W ich komórce to Orlando ma kontakt z pozostałymi i przynosi wiadomości. Gdyby którykolwiek z członków został złapany w trakcie wykonywania zadania, wydałby zaledwie kilka nazwisk, nawet gdyby w śledztwie — Anna mówiła teraz powoli, jakby przyglądała się każdej sylabie — zastosowano środki przymusu. Ta szczupła, chłodna, precyzyjnie odmierzająca słowa dziewczyna miała w sobie ostrość noża. Chyba nie zawahałaby się nawet wtedy, gdyby musiała rozłupać świat na dwoje.

— Rozumiesz? — spytała.

Salome kiwnęła głową na potwierdzenie.

— No to bardzo dobrze — rzucił Orlando. — W takim razie kontynuujmy.

Salome przesiedziała w milczeniu resztę zebrania. Wszystko było uporządkowane, grzeczne, prawie banalne. Można by pomyśleć, że to jakieś konwersatorium, na którym studenci mówią o rezultatach swoich badań naukowych i o tym, co jeszcze pozostało im do zrobienia przed oddaniem pracy semestralnej. Kto stoi na czele banku federalnego? Jak ten człowiek spędza soboty i niedziele? Na przyszły tydzień potrzebujemy czterdzieści par zrobionych domowym sposobem kajdanków i dokładnych planów. Następne zebranie u wuja Guillerma,



w piwnicy jego domu. Aż trudno było uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Salomé pomyślała, że najchętniej zerwałaby się na równe nogi i wybiegła na ulicę, by wykrzyczeć do zamkniętych okien i nieba zgniecionego weluru: „Należę do Tupamaros!”. Zebranie było skończone.

— Salomé — powiedział Tinto, podchodząc do niej. — Ależ to niespodzianka.

Niezdarnie wstała z podłogi.

— Oczywiście przyjemna niespodzianka.

Zaskoczyła ją jego tęgość. Jako dziecko był taki szczupły. Nazywano go Tinto, bo miał długą, cienką szyję, jak butelka czerwonego wina. Nie zostało po tym ani śladu, chociaż nadal wyciągał szyję, jakby chciał w ten sposób więcej widzieć. Salomé ucieszyła się, że w pomieszczeniu przygasają lampy, bo zaczerwieniła się z emocji.

— Jak się czuje twój *abuelo!* — spytała.

— Ciągle jeszcze pracuje. Mówi, że gdy nie da rady zarobić na jedzenie, będzie już martwy. — Tinto odsunął kosmyk, który spadł mu na oczy. Nie zdało się to na nic, bo natychmiast opadł z powrotem. — A twój dziadek?

— Dobrze się czuje. Spojrzeli na siebie.

Leona pociągnęła Salomé za łokieć, mówiąc:

— Wychodzimy pojedynczo. Teraz twoja kolej.

— Do zobaczenia następnym razem. — Tinto ucałował ją pospiesznie.

— Tak, do zobaczenia — pożegnała się i ruszyła w stronę korytarza. Zawahała się na progu. Zupełnie nic nie było widać, na dworze zapadła tymczasem czarna noc. Jeszcze nigdy w życiu Salomé nie musiała poruszać się w tak całkowitych ciemnościach. Bardzo chciałaby dostać do ręki latarkę albo chociaż świeczkę, wiedziała jednak, że nie wolno jej o nic takiego prosić. Wyciągnęła przed siebie ramiona i przeszła po omacku przez pomieszczenie, w którym, jak wiedziała, pod ścianą stał rząd karabinów.

## SIETE

Stalowe kolby i pieśni,  
od których topnieje lód

Przygotowywali rewolucję. Mieli mnóstwo rzeczy do zrobienia: trzeba było zbierać fundusze, broń, pozyskiwać nowych członków, napadać na banki i kluby strzeleckie, wypłatać z miedzianego drutu kajdanki, które były wytrzymałe, a jednocześnie nie raniły. Salomé próbowała na sobie każdą parę. Wsuwała w nie nadgarstki i jeśli pozostawiały czerwone ślady, poluzowywała je. Oczywiście liczyła się z tym, że w kieszeni czy torebce jakiegoś nieznanego jej Tupamaro stracą pierwotny kształt, jednak swoją pracę wykonywała jak najlepiej. Pewnego dnia posłużą do skrępowania strażnika, pracownika banku, klienta czy recepcjonisty, a więc ludzi, których dobro Ruch miał na względzie. Spowodowanie obrażeń u zakładników było ostatnią rzeczą, jakiej życzyłaby sobie organizacja, toteż Salome przykładła się do pracy i wplatała w miedziany drut swoje najlepsze intencje. Podczas wszelkich operacji Tupamaros są grzeczni i mili. Uprzejmość to ich naczelną zasadą.

Salomé musiała się nauczyć bardzo wielu zasad. Powoli przesączały się do jej świata i umysłu. Zasada numer jeden: nienagannie wyglądać, tak by nie ściągać na siebie uwagi. To nie sprawiało jej żadnych trudności, była urodzoną aktorką, a do tej roli przygotowywała się przez całe życie. Zasada numer

dwa: być oddaną sprawie. Nie była za młoda, mogła pracować, zasługiwała na zaufanie, paliła się do tego, aby zajmować się czymś podniosłym i szlachetnym i pokazać, na co ją stać. Zasada numer trzy: dochować tajemnicy. To też potrafiła, chociaż czasami dopadały ją dziwne pokusy. Rozpierała ją świadomość nowej tożsamości, aż pękała z chęci, aby zakrzyknąć do kierowcy autobusu: „To ja ocalę nasz kraj!”. Mało brakowało, a szepnęłaby do zakonnicy, która siedziała w tylnym rzędzie: „Rozumiem siostrę doskonale, ja też złożyłam śluby”. Do starego dziadka, który bezczelnie gapił się na jej nogi, omal nie zawołała: „Uważaj, nie wiesz, kim jestem, nie widziałeś broni pod moim łóżkiem!”.

Broń ukryła starannie, dokładnie tak, jak jej przykazano. Należało umieścić ją pod materacem, a potem tak porządnie przykrywać łóżko kapą i zmieniać na czas pościel, aby nikomu z rodziny nie przyszło do głowy czegokolwiek tam szukać. W dniu, w którym Salome przyniosła do domu swoją pierwszą dostawę — dwa pistolety i strzelbę — układanie poduszki zajęło jej dwadzieścia siedem minut, a wygładzanie niebiesko-zielonej narzuty równo godzinę. Łóżko naprawdę wyglądało nieskazitelnie, chociaż nie, powinna jeszcze pociągnąć tkaninę parę milimetrów w dół po lewej stronie, ojej, po prawej zrobiła się zmarszczka, nie, to nie zmarszczka, ale zgrubienie w miejscu połączenia dwóch kolorowych trójkątów, masz ci los, poduszka opadła, a po poprawce wybrzuszyła się, jeszcze jedna maleńka poprawka narzuty, sprawdźmy, jak wygląda w głowach, chyba już dobrze, bez zarzutu, całkiem niewinnie.

— Salome. — Mamá zapukała do drzwi. — Kolacja czeka.

Przy stole głosy najbliższych wydawały się odległe i stłumione, jakby trzymała przy uchu morską muszlę. W pewnym momencie była przekonana, że oto wszyscy wstają z zamiarem udania się do jej pokoju — babka, dziadek, Roberto, na końcu matka. Już widziała oczami duszy, jak cztery pary rąk unoszą jej materac. Dopiero po chwili dotarło do niej, że cała rodzina

jak gdyby nigdy nic pałaszuje smażone *buñuelos*, śmieje się i postukuje szklankami z coca-colą.

Nauczyła się spać — a raczej czuwać w półśnie — leżąc na twardych pagórkach. Przez całą wiosnę i lato wierciła się w ciemnościach, usiłując znaleźć taką pozycję, w której nie będzie ich czuła, ale na próżno. Twarde zgrubienia uwierały ją w biodra, długie lufy dochodziły akurat do wysokości łopatek. Salome na zmianę drzemała i kontemplowała księżyc lub wypatrywała go w bezksiężycowe noce. Niekiedy udawało się jej zapomnieć

o niewygodzie na tyle, że zaczynała śnić — widziała wtedy siebie gdzieś w dziczy, w obcym miejscu, w otoczeniu sękatych drzew. Leżała na stosie broni i czekała na partyzantów, słuchając przenikliwych ptasich pisków. Czas upływał, stos pod nią rósł

i rósł, aż w końcu wynosił ją powyżej poziomu lasu. Słońce paliło tam niemiłosiernie, złociło czubki drzew i odbijało się w kolbach pistoletów. Spływała potem. Wtedy się budziła (spocona, leżąca na stosie broni) i natychmiast ścieliła łóżko. Brała prysznic i zakładała mundurek, starannie upychając bluzkę pod paskiem spódnicy. Potem jeszcze śniadanie — „Jak spałaś, Salomé?”, „Doskonale, mamó” — i szkolny autobus.

Trudno jej się było skupić na lekcjach, jakże odległych od tego, co obecnie zajmowało jej umysł. Była jednak silna i chciała tego dowieść. Wiedziała, że musi wywiązywać się ze swoich obowiązków bez zarzutu, toteż pisała obszerne wypracowania, wkuwała prawa fizyki i doskonaliła wymowę angielskich słówek. Wzorowe uczennice nie wzbudzają podejrzeń. Nikt nie mógł się domyślić, że nie jest już taka jak dawniej — nikt oprócz Leony, która również marzyła o rewolucyjnych wyczynach, spała na kupie żelastwa, w klasie zachowywała się przykładowo, pilnie robiła notatki i tylko czasami odpowiadała leciuteńkim wzruszeniem ramion albo niewidocznym prawie uśmiechem na porozumiewawcze spojrzenia Salomé. Leona — siostra duchowa, współniczka zbrodni, najbardziej szalona kobieta na świecie, choć pozornie tak opanowana. Ich bliskość pogłębiała się z czasem, zmieniając się w poczucie wspólnoty.

Każda wiedziała doskonale, jak wygląda życie tej drugiej — podwójne, złożone z warstw, z których jedna była wystawiona na widok publiczny, druga zaś toczyła się w ukryciu.

Salome musiała urosnąć, jeżeli chciała pomieścić w sobie tyle życia.

Zebrania odbywały się regularnie; były konkretne i aż ciężkie od treści. Orlando przekazywał wiadomości o najnowszych operacjach, takich jak napad na bank, zakup broni lub dostawa żywności dla mieszkańców *cantegril*. Rola Salomé sprowadzała się do wysłuchiwanie tych sprawozdań, przechowywania niewielkiej ilości broni, okazjonalnego wyplatania kajdanek. Jej uwagę rozpraszał niekiedy Tinto ze swoimi olbrzymimi dłońmi i ciemnymi włosami, wijącymi się na wysokości ostatniego guzika u koszuli. Na pewno ma też mocno owłosiony tors, ciekawe, jak dokładnie układają się te kędziory, które przykrywa materiał? Tacy młodzieńcy należą do ulubieńców starszych pań, które są zachwycone, gdy ktoś taki — miły, duży, trochę niedźwiedziowaty — pomaga im przejść przez ulicę. Tinto zapewne urósł szybko i niespodziewanie, sądząc po jego lekko opadających ramionach i niezdarnych ruchach, jakby był zawstydzony własną posturą. Salomé podobała się w nim właśnie ta masywność i niezgrabność; taki siłacz mógłby ją podnieść jednym paluszkiem. Ojej, cóż to za myśli przychodzą jej do głowy?

Po jednym z zebrań udało im się wykraść krótki moment na rozmowę.

— Wiesz, że to moja babka przygotowała łożę na noc poślubną twoich *abuelos!* — Tinto zaczął dziwną wymianę zdań. — Kiedyś wiedziałas o tym, ale może zapomniałaś.

— Wiem o tym.

— Aha.

— Mój *abuelo* uwielbia śpiew twojego *abuelo*. Tinto nie wydawał się przekonany.

— Słowo daję. Widocznie musiał być lepszy niż sam Gardeł. Tinto odpowiedział śmiechem, co wprawiało w ruch jego

jabłko Adama. Patrzył na Salomé, a ta, świadoma obecności pozostałych członków organizacji, starannie unikała ich wzroku.

— Teraz moja kolej, żeby wyjść — powiedziała.

— No tak. Do następnego razu.

Przez całe dni powtarzała sobie w głowie tę rozmowę, obracała w pamięci każde słowo. Tinto zapewne nie zauważył, jak jest pospolita i nieciekawa, może z powodu słabego światła w piwnicznym pomieszczeniu. Albo zauważył, lecz nie obchodził go jej wygląd. A może właśnie go obchodził i podobało mu się to, co widział. Nie, to nieprawdopodobne. Tak czy inaczej, to bez znaczenia — nic a nic to jej nie obchodziło, w końcu nie po to brała udział w zebraniach, a Tinto był po prostu dobrze wychowany.

Tinto znowu podszedł do niej po następnym zebraniu. Podjął rozmowę tak, jakby przerwali ją tylko na chwilę.

— Jak poznali się twoi rodzice?

— W Argentynie. W szpitalu.

— To ciekawe. Wzruszyła ramionami.

— Nie jesteś tego zdania?

— A twoi rodzice jak się poznali?

— To długa historia.

— I co z tego?

— Chyba musisz już wyjść — zauważył.

Wrzesień. Wiosna podnosiła głowę i pokazywała światu luźno rozpuszczone włosy. Przed opuszczeniem pralni samoobsługowej Tinto wcisnął jej do ręki karteczkę.

*Czy masz ochotę usłyszeć tę długą historię? Może jutro o dziewiątej wieczorem w Parque Rodó?*

Następnego wieczoru Salomé starała się przeniknąć wzrokiem parkowe ciemności — ścieżki, drzewa, okolice fontanny — i znaleźć Tinta. W końcu dostrzegła go na jednej z ławek, z matę i termosem. Usiadła obok. Podawali sobie tykwę z ręki do ręki. Ich milczenie było giętkie jak ciemność. Za plecami szemrała fontanna.

— Jestem ciekawa tej historii — powiedziała Salome.

— Ach, no tak.

Dowiedziała się, że jego ojciec, Joaco Cassella, przyszedł na świat między kuframi pełnymi kostiumów, w cyrkowym wozie, który przystanął na skraju drogi gdzieś w prowincji Rocha. Niejedna aksamitna zasłona nasiąknęła krwią rodzącej. Później rodzina osiadła w Montevideo, gdzie dziadek Tinta schował na dno szafy strój magika, by przedzierzgnąć się w stolarza i rozpocząć jakże mu obce miejskie życie. Za to matka Tinta, Magda, pochodziła z rodziny osiadłej w mieście już od sześciu pokoleń. Jej ojciec był krawcem, a zamówienie na garnitur złożył kiedyś u niego sam prezydent Batlle y Ordóñez. Joaca poznała w pobliskiej piekarni. Miała szesnaście lat i nie mogła wyjść z podziwu, jak zręcznie ten chłopak podrzucał dla zabawy monety, zanim wręczył je piekarzowi. On z kolei spojrział na nią w taki sposób, że wyszła ze sklepiku bez chleba. Gdy spotkali się drugi raz, Magda opuszczała już piekarnię z kilkoma bochenkami; spuściła oczy i nie widziała ani monet, ani nic innego. Za trzecim razem Joaco bawił się tylko jedną monetą. Ich spojrzenia się spotkały, a wtedy on przemówił:

— Mogę sprawić, że to peso pojawi się wszędzie, gdziekolwiek zechcesz.

— Co proszę?

— W moim rękawie. Na ladzie. W twojej ręce.

— Nie dam się nabrać — zaśmiała się.

— Nie wierzysz mi? — Joaco się przysunął. W wersji, którą po latach opowiadał rodzinie, wystarczyło, że powąchał włosy dziewczyny, a od razu wiedział, jaki będzie dalszy ciąg ich znajomości. — Popatrz tylko. Jeżeli mi się uda, odprowadzę cię do domu, zgoda?

— Zgoda.

Po latach Magda twierdziła, że oszukał ją, bo zataił zawód swojego ojca.

Tinto umilkł na chwilę, bo ścieżką zbliżała się niespiesznie

jakaś zakochana para. Poczekał, aż sylwetki tych dwojga znikną za drzewami.

Drogę do zakładu krawieckiego pana Quirogi Joaco i Magda odbyli prawie w milczeniu, choć obojgu cisnęło się na usta mnóstwo pytań. Dopiero na miejscu Joaco upewnił się, czyjej ojciec to Don Quiroga, krawiec. Dziewczyna potwierdziła, dodając, że mieszka na piętrze nad pracownią. Weszła do domu, Joaco zaś jeszcze długo kręcił się w pobliżu, patrząc na masywne drzwi i dumny szyld z mosiądzu. Tego wieczoru oświadczył swojej matce: „Spotkałem dziewczynę, która zostanie moją żoną, ale żebym mógł się o nią starać, potrzebuję garnitur, którego nie powstydziliby się sam prezydent Batlle”. Jego matka, Consuelo, Mistrzynie Przebieranek, odkurzyła maszynę do szycia i nakazała synowi oszczędzać pieniądze na elegancki materiał. Po dwóch miesiącach wyciągała już fastrygi z garnitur. Joaco wypastował porządnie buty, spryskał się wodą kolońską i poszedł do zakładu krawieckiego, w którym przywitał go uderzająco podobny do buldoga właściciel.

— Panie Quiroga, chciałbym ubiegać się o rękę pańskiej córki i proszę o pańskie przyzwolenie.

Don Quiroga wiedział, że córce nie brakuje urody, i miał już dla niej pewne plany. Uważał, że powinna wyjść jeśli nie za burmistrza, to przynajmniej za urzędnika. Oczami wyobraźni widział, jak popija do kolacji doskonałe wina, podróżuje za granicę i ma abonament w pierwszym rzędzie w Teatro Solis. Ten młodzieniec nie przyniósł żadnych referencji, lecz miał dobrze skrojony garnitur, mankiety, które wystawały z rękawów akurat tyle, ile trzeba, i wyraz determinacji na twarzy. Może nie warto z góry dawać mu kosza.

— Decyzję pozostawię córce — powiedział.

Pobrali się po dwóch latach. Tinto urodził się w sypialni o podłodze zasłanej trocinami. Zanim skończył siedem lat, zdążył już zbudować cztery stoły.

— A co teraz? — spytała Salome.

Teraz jego ojciec pracuje godzinami za obniżone stawki,



a matka dokonuje cudów, by rozmnożyć jedzenie i nakarmić całą rodzinę. Consuelo, Mistrzynie Przebieranek, umiera na raka w dużym pokoju. Tinto przynosi jej rankiem mate, a w południe zupę i suchary. Wiek i cierpienie zmieniły ją w zrzędliwą sklerotyczkę. Tak długo nalegała, że pewnego dnia zdjął ze ściany jedyny obraz, jaki mieli w domu, akwarelę przedstawiającą port w Montevideo, by na jego miejscu powiesić jej stary różowy trykot. Potrafi wpatrywać się w niego godzinami, czasami z obrzydzeniem, a czasami z takim zachwytem, jakby nagle objawił się jej anioł.

Salome pomyślała, że mogłaby słuchać Tinta aż do wschodu słońca, głośno powiedziała jednak, że musi już iść.

— Ja też — odparł. Żadne z nich się nie ruszyło.

— Może byśmy znowu się umówili, co ty na to? — zasugerował Tinto.

Ławka w parku stała się ich własnością. Zawsze spotykali się po zmroku. Pewnego wieczoru Tinto zapytał Salome o to, jak trafiła do organizacji, ona zaś opowiedziała mu o Leonie, o rozmowach w cieniu eukaliptusa, o potajemnym spotkaniu w łazience. Następnym razem to on opowiedział jej o swoim członkostwie i o tym, jak wstąpił do partii socjalistycznej pod wpływem ulotki, którą ktoś wcisnął mu do ręki na ulicy, podczas strajku robotników pracujących przy uprawie trzciny cukrowej. Zjechali wtedy do stolicy z położonych na północy plantacji, on zaś przyglądał się im, stojąc na krawężniku, zlany potem z powodu upału. Myślał o dziadku Cacho, który przecież również pochodził ze wsi, z tamtych okolic, i może nawet był dalekim kuzynem któregoś z tych mężczyzn o powykręcanych artretyzmem dłoniach. Poszedł na zapowiadany przez ulotkę miting, podczas którego poznał mężczyznę o imieniu Orlando. Ten obserwował go przez cały rok, zanim powiedział: „Chodźmy się czegoś napić, Tinto”. Salome również opowiedziała mu niejedną historię: o człowieku, który przybył do Montevideo z Wenecji w czasach, kiedy zarówno on, jak i urugwajska

stolica byli bardzo młodzi, o tym, że życie przepełniały wtedy wielkie nadzieje, o małej dziewczynce, która zniknęła z domu, w którym jej nie kochano do tego stopnia, że nie miała nawet imienia, i o tym, jak w tajemniczy sposób udało się jej przeżyć. Dziewczynkę podobną do dzikiego ptaka odnaleziono pewnego dnia w koronie drzewa, skąd zstąpiła na ziemię jak na skrzydłach lub też spadła — wersje różniły się w zależności od tego, kto o tym opowiadał i w jakim momencie. Jej dzieciństwo upłynęło wśród nieogrodzonych jeszcze żadnymi płotami pól, na których zdobyła głęboką znajomość roślin i ich właściwości, choć kto wie, może znała je tak dobrze dlatego, że sama narodziła się ponownie na gałęzi drzewa. W każdym razie zachowała tę wiedzę na całe życie i nawet zdołała dzięki niej wykarmić w ciężkich czasach całą swoją rodzinę. W jej kuchni nadal stoi mnóstwo słoików i doniczek z ziołami, które coś do niej mówią w zrozumiałym tylko dla niej języku. Salome podzieliła się też z Tintem historią innej kobiety, która jak podaje rodzinna legenda, poznała przyszłego męża w szpitalu, gdzie on był lekarzem, a ona pacjentką. Poruszała się na wózku inwalidzkim, miała na sobie zgrzebną szpitalną koszulę, lecz uwiodła go fascynującą osobowością. Salome zawsze wyobrażała sobie, że tych dwoje dosłownie wpadło na siebie na korytarzu — kapryśny los sprawił, że poetka nagle straciła panowanie nad wózkiem, którego koła podcięły kolana bezradnego w tej sytuacji doktora, jej głowa zaś uderzyła go w klatkę piersiową, tuż pod sercem. Opowiedziała o miłości, o konieczności i o pożądaniu, które doprowadziły do ich ślubu, i o zamożnym domu w Buenos Aires, gdzie się urodziła, choć wcale go nie pamiętała. Teraz w tym domu toczy się życie, z którym ona, Salome, nie ma nic wspólnego — ojciec mieszka tam ze swoją drugą żoną, która przysyła jej pieniądze na Gwiazdkę. Tej pani nigdy nie przyjdzie do głowy, by sprawić jej przyjemność jakimś ładnym sweterkiem albo książką; książkę przysłała tylko raz, i to w dwóch egzemplarzach, po jednym dla niej i dla Roberta — była to praca naukowa ojca z dziedziny neurologii, z podpisem

autora. Swój egzemplarz wrzuciła pod łóżko, gdzie dotąd zbiera niemający względu na osoby kurz, za to Roberto postawił swój na najwyższej półce, skąd błyszczą okładką jak odległa gwiazda. Opisała to wszystko szczegółowo, łącznie z tomikiem poezji swojej matki, *Najszersza rzeka świata*, którym była szczerze zafascynowana. Każdy wers tej książki zdawał się Salome wyjątkowy, jak klucz do tajemniczej komnaty — do wnętrza matki. Niestety, Salomé nie umiała wykorzystać tego klucza, bo kombinacja zamka nieustannie się zmieniała. Matka nadal pisała i jakimś cudem znajdowała nawet czas na wykłady

o poezji w mieszkaniach różnych ludzi w całym Montevideo, co traktowała jako swoisty obowiązek; nie czerpała z tego praktycznie żadnych zysków, ale za to po takim wieczorze wracała zawsze rozpromieniona, wręcz triumfująca. W swoich opowieściach Salomé, ku własnemu zdziwieniu, prezentowała matkę jako ucieleśnienie natchnienia, piękna i elegancji, czyli wszystkiego, czego jej brakowało. Zresztą całe to gadanie

i słuchanie bardzo ją zaskoczyło; miała wrażenie, że historie, które wreszcie wypowiedziała na głos, żyją w niej własnym życiem, poruszają się i oddychają.

W czasie tych rozmów w ciemnościach sprzymierzeńcem Salomé i Tinta było powietrze, które konspiracyjnie otulało ich atramentową czernią i wilgocią. Pewnego razu jego dłoń — szeroka i silna, a jednak nieśmiała — spoczęła na jej dłoni. Siedziała jak zamurowana. Nagle jej ramię zrobiło się bardzo gorące. W pobliżu, za drzewami, fontanna mrucała swoją moką piosenkę.

— Opowiedz mi coś — poprosił Tinto.

— Ale co?

— Coś o sobie.

— Już ci mówiłam o sobie.

— Ale chciałbym więcej.

Ręka — mogła myśleć jedynie o tej wielkiej, ciepłej ręce.

— Nic mi nie przychodzi do głowy — powiedziała.

— Nic?

— Nic.

— Jesteś piękna.

Widziała się rano w lustrze, wiedziała, że nic się nie zmieniło od tego czasu.

— Kłamca.

— Jak możesz?

Myślała, że się obraził, tymczasem on wybuchnął śmiechem. Lubiła ten ochryply śmiech. Między ich dłońmi powstała warstwa potu — jej, jego, może ich obojga. Wszystko gwałtownie falowało, jakby podłączone do prądu, drzewa, duszne powietrze, skóra i wnętrze jej dłoni. Miała ochotę krzyczeć. Na całym świecie nie istniało nic potężniejszego niż właśnie to — dotknięcie, głos, nagła potrzeba, by krzyczeć. Tinto pocałował ją krótko i mocno. Zadał jej nieme pytanie, na które odpowiedziała, wsuwając palce tuż ponad ostatni guzik jego koszuli, przy kołnierzyku, gdzie wiły się gęste kędziory, znacznie miększe w dotyku, niż sądziła.

— Wychodzą z ukrycia. — Eva napreżyła trzymaną w rękach gazetę.

— Tupamaros oficjalnie potwierdzają istnienie swojego ruchu.

— Eee tam. — Abuelo Ignazio lekceważąco rzucił na stół waleta. — Też mi nowina.

Grająca z nim w pokera Salomé wbiła wzrok w swoje karty. Po drugiej stronie saloniku Abuela kołysała się w fotelu bujanym i robiła na drutach, które rytmicznie poszczekiwały. Deszcz bębnił o szyby.

Eva najwyraźniej nie przejęła się uwagą ojca.

— Komunikat przedrukowano w całości. Posłuchajcie: „Sami ustawiliśmy się poza prawem. Jedynie takie działanie jest uczciwe w sytuacji, kiedy prawo nie wszystkich traktuje równo, kiedy nawet ci, którzy je stanowią, stawiają się ponad nim i pozostają bezkarni. Nikt nie może nam dziś odebrać świętego prawa do buntu”.

Salomé pomyślała, że matka czyta jak doświadczony orator. Na zebraniach wszystkie słowa deklaracji były rozkładane na części pierwsze i omawiane aż do znudzenia. Teraz, deklamowane przez mamę, zdawały się świeże, mocne, uroczyste, uzyskiwały nowy wydźwięk. Zastanowiła się, czy osoby, które uczą się u matki pisania poezji, mają takie same odczucia, kiedy czyta na głos ich wiersze. O ile na tych spotkaniach w ogóle odbywają się głośne lektury; Salomé nie wiedziała, na czym konkretnie polegają takie zajęcia.

— Należałoby ich wszystkich wystrzelać — oświadczył Abuelo. — Czy obrabianie banków to też jest ich święte prawo?

Salomé rzuciła na stół cztery damy.

— Aaa! Wygrałaś! — Przesunął w jej stronę muszelki, mocno wyszczerbione, bo przecież od lat służyły za żetony.

Z kuchni dochodził zapach pieczeni wołowej. W pokoju Roberta odezwało się radio. *One day you'll look, to see I've gone* śpiewali Beatlesi.

— To im daje środki do dalszych działań — powiedziała Eva.

— Nie o to pytałem.

— A ja ci odpowiedziałam. Poza tym nigdy nikogo nie zranili.

— A jak twoim zdaniem czują się właściciele banków?

— Jak niby mają się czuć? Ich pieniądze idą na rewolucję, i kropka. A ty co o tym myślisz, *hija*?

*But tomorrow may rain so, I'll follow the sun.*

— Nie zastanawiałam się na tym — odparła Salomé.

— Naprawdę? — Matka świdrowała ją oczami. Kiwnęła głową. Twarz jej płonęła.

— A ty? — Eva zwróciła się do swojej matki.

Abuela Pajarita z niezmaconym spokojem kontynuowała robótkę. Salomé zadała sobie pytanie, ileż to oczek babka wydziergała na drutach przez całe swoje życie. Setki tysięcy, jeśli policzyć choćby sweterki zrobione dla niej.

— Myślę, że nie chciałabym być w takim banku w momencie napadu.

Eva przeciągnęła się leniwie. Upuściła gazetę, która się trochę wygniotła.

— Zdaje się, że zachowują się całkiem grzecznie. Abuelo skrzywił się na widok kart, które przypadły mu

w nowym rozdaniu. Jak zwykle blefował.

— Czasami, *hija*, mówisz tak, że można by pomyśleć, iż jesteś jedną z nich.

— Nawet gdybym była, i tak byś o tym nie wiedział.

— Gdybyś była, nie pozwoliłbym ci przekroczyć progu tego domu.

— Pójdę sprawdzić, co z pieczenią. — Salomé zerwała się od stołu trochę za szybko.

— Przecież dopiero co zaczęliśmy nową partyjkę — zaprotestował Abuelo.

— Nie ma co sprawdzać — włączyła się Abuela.

— Zaraz wracam.

W kuchni Salomé zmusiła się do wzięcia kilku głębokich oddechów. Musi być spokojniejsza i ostrożniejsza. Zajrzała do piekarnika, zastanawiając się, co powiedziałaaby jej matka, gdyby poznała prawdę. „Okłamałaś mnie”, a może „powinnaś była poprosić o pozwolenie” albo „skarbie, nie podejrzewałam, że jesteś tak dzielna”. Abuelo nie miał racji, a Mamá nie należała do Tupamaros. Wiedziała o tym, bo zajrzała pod jej materac i znalazła tam tylko setki niedokończonych wierszy. Bywały takie dni, kiedy wychodziła z domu, w ogóle nie zaścieliwszy łóżka. Poza tym rzucała się w oczy: na demonstracjach szła w jednym szeregu ze związkami, recytowała po kawiarniach płomienne wiersze, publikowała poezje, w których nie brakowało rymów do słowa *liberación* i nieraz całkiem otwarcie nosiła w torebce ulotki. W dodatku — i to był najbardziej przekonujący argument — nie sprawdziła łóżka swojej córki w poszukiwaniu broni. Nie, myślała Salomé, jestem sama, nie dzielimy tajemnicy. W tym domu nie ma nikogo, kto znałby miasto od tej strony co ja, miasto drzwi — wysokich i niskich, ozdobnych i najzwyklejszych, ciemnych i jasnych, odrapanych

i świeżo malowanych. Wiele z nich prowadzi do innych drzwi, za którymi ciągną się przejścia do ukrytych pomieszczeń. Tam mają dostęp tylko wybrani — ci, którzy każdą chwilę czuwania poświęcają krajowi, a w czasie snu pilnują broni.

Są tam. Dziwne stalowe zabawki. Sześć pistoletów i cztery karabiny. Z konieczności nauczyła się odpoczywać na twardych korpusach, nigdy całkowicie o nich nie zapominając. W jej snach zawsze zamieniały się we wzniesienia i góry.

Zamknęła drzwiczki piekarnika i podniosła temperaturę.

Umarł Che Guevara. Była wiosna 1967 roku. Wiadomość dotarła do nich w przepiękny dzień, kiedy niebo miało taki odcień błękitu, że aż chciałoby się je polizać. Od pewnego czasu Che wspomagał partyzantów w Boliwii. Zginął od wielokrotnych postrzałów w klatkę piersiową. Jak twierdził „El País”, padł w boju. Z kolei Orlando utrzymywał, że Che został schwytyany i zabity przez żołnierzy, *bolivianos*, którzy przeszli przeszkolenie u amerykańskich agentów. Podobno odcięli mu obie ręce.

Ich ośmioosobowa grupka siedziała cicho w betonowej jaskini pod podłogą pewnej restauracji. Brakowało tam powietrza, w dodatku to, którym oddychali, śmierdziało starym tłuszczem. Salome zamknęła powieki i natychmiast przed jej oczami pojawiły się dwie potężne, oddzielone od reszty ciała ręce, złożone jak do modlitwy. Były wysoko, starała się ich dosięgnąć. Krew kleiła się jej do obcasów. Podniosła powieki. Tinto siedział bez ruchu i bezgłośnie płakał. Leona miała zamknięte oczy. Anna wyglądała równie poważnie jak zwykle.

Orlando chrząknął.

— Najlepszy sposób, aby oddać hołd Che, to kontynuować walkę — powiedział. Zgolił brodę i wyglądał przez to o wiele młodziej. Pracował teraz na posterunku policji, gdzie nie tolerowano długiego zarostu. — Przecież od początku mieliśmy świadomość ryzyka.

To prawda, znała ryzyko, była zbyt inteligentna, aby nie zdawać sobie z niego sprawy. Wiedziała, że może zginąć albo trafić do aresztu i poznać, czym jest *la Máquina* — piekło elektrowstrząsów. Każda akcja mogła ją zaprowadzić na terytoria, których nawet sobie nie wyobrażała lub nie chciała sobie wyobrazić. To wszystko stało się prawdą już wtedy, kiedy Che żył, miał obie ręce, swój słynny uśmiech i zarażał wszystkich nadzieją. Nie powinna być ani zaszokowana, ani przestraszona — a jednak nie mogła nic poradzić na to, że zalewała ją coraz większa fala strachu. Żywiła tylko nadzieję, że nikt się o tym nie dowie.

Orlando wychylił się ku zebranim. Nie umiała go sobie wyobrazić na posterunku policji ani w żadnym miejscu innym niż piwniczna izba, duszna i ciemna.

— Nic nas nie może oddalić od celu. To my musimy sprawić, aby ideały Che pozostały wiecznie żywe.

— *Hasta la victoria siempre* — rzuciła Anna. Wszyscy, w tym Salome, powtórzyli za nią to hasło. Wiosna zapanowała na dobre. W Parque Rodó stokrotki

wychylały swoje drobne główki na każdym trawniku. Salomé co prawda nie mogła ich widzieć po ciemku, lecz wiedziała, że są wszędzie, zwrócone w stronę czarnego nieba, kiedy obydwoje z Tintem mruczą coś do siebie, popijają mate i się przytulają. Mogłaby z pamięci odtworzyć wygięcie szyi Tinta, wgłębienia obojczyków, kształt szczęki, tyle razy wodziła po nich ustami, w górę i w dół, i znowu w górę, zawsze spragniona, niezaspokojona. Tinto pożerał rękami jej ciało, włosy, kark, piersi, pas, biodra, piersi. Uciszala go, kiedy próbował coś mówić. Nie chciała słuchać jego słów, myśli ani przyrzeczeń, niezależnie od tego, czy mógł, czy nie mógł ich dotrzymać. Słowa to luksus, człowiek nie naje się wierszem ani słodyczami, dlatego wołała, żeby karmił ją swoją skórą, ustami, dłońmi, bo lakie pożywienie pozwalało jej przetrwać cały trudny dzień. Syciła się nim na zapas, by w czasie lekcji, sprawdzianu lub rodzinnej kolacji przypominać go sobie kawałek po kawałku.



Grzeczna młoda panna. Bojowniczką. Miała obowiązek być silna, aby równie dobrze odgrywać obie role. Pożądanie, strach i rozkosz nie mogły się ujawnić, musiała je trzymać na wodzy.

Radości nie okazała nawet wtedy, gdy do domu dotarło zawiadomienie o przyjęciu jej kandydatury na uniwersytet i matka aż piszcziała z zadowolenia.

— Wydział historii! — zawołała Mamá.

— Tak.

— Chcesz zostać historykiem?

— Tak. — Bardzo ją to pociągało; myślała o książkach zebranych w butwiejące stopy, o korytarzach zasłanych broszurami, o poznawaniu wielkich spraw przeszłości i o sobie po latach: o tym, że będzie nowym typem badacza dla nowego Urugwaju.

— *Mija*, to cudowne. W twoim wieku przynosiłam ludziom wino do stolika. Chcę dla ciebie czegoś innego. — Mamá otarła łzy i przycisnęła kopertę do piersi. — Chodź tutaj, *mi amor*, usiądź.

Gdy obie usiadły na kanapie, Mamá otoczyła Salome ramieniem i zaczęła mówić:

— Najpierw pracowałam w sklepie z butami, ale to nie było dobre miejsce. Moje życie poprawiło się, kiedy uciekłam stamtąd i zatrudniłam się w La Diablicie. Miałam trzynaście lat. To były cudowne czasy, kiedy poznawałam innych poetów i odkryłam w sobie poetkę. Potem wyjechałam do Argentyny. Chciałam zmieniać świat, wszystko poznać, wszystkiego spróbować, wszystko zapisać. Oczywiście, moje życie ułożyło się w ciekawy sposób, ale gdybym poszła na studia, to...

Słowa płynęły nadal, lecz Salome słuchała ich z roztargnieniem, bo jej myśli były zajęte tym, co matka powiedziała na samym początku. Kiedy ta zatrzymała się na chwilę w trakcie znanej już Salome historii o młodzieńcu okrutnie pobitym przez policję w Buenos Aires, Salomé spytała:

— Co to znaczy, że „uciekłaś”?

— Jak to: uciekłam?

— Powiedziałaś, że uciekłaś ze sklepu z butami do La Diablity.

— To prawda.

— Dlaczego musiałaś...

— To nie była ucieczka jako taka — odparła sucho matka. — Po prostu zmieniałam pracę.

Zamilkły. Popołudniowe słońce rzucało długi cień.

— Tak czy owak, dzisiaj wieczorem musimy to uczcić — Mamá odezwała się pierwsza. — Wyjdę kupić szampana.

Wstała, sięgnęła po torebkę — i już nie było między nimi rozdźwięku. Salomé odprowadziła ją wzrokiem. Została sama z zawiadomieniem z uniwersytetu. Zaczęła się przyglądać świeżym zagięciom na papierze i sformułowanym tak oficjalnym, że gdy je sobie odczytywała, były ledwie zrozumiałe. Ustawiła kartkę równoległe do podłogi i zaczęła sobie wyobrażać, że jest tak malutka, iż może na niej usiąść i polecieć jak na latającym dywanie, który zawiedzie ją w nieznane krainy. Już wydawało się jej to możliwe, już płynęła w powietrzu, lekko i bez wysiłku.

To uczucie utrzymało się w niej przez cały tydzień, aż do wieczornego spotkania w opuszczonej fabryce, kiedy usłyszała od Orlanda:

— Salomé, przydzielono ci zadanie.

Usiadła gwałtownie. Nie była przyzwyczajona do tego, aby być jednym z punktów w porządku dnia. Zawstydziły ją spojrzenia, które na niej spoczęły.

— Jest stanowisko do objęcia w ambasadzie amerykańskiej. Szukają sekretarki: takiej, która umie pisać na maszynie, tłumaczyć dokumenty i oczywiście dobrze mówi po angielsku. Ta pracownica będzie miała dostęp do rozmaitych kartotek. To zajęcie na cały etat. — Orlando rozłożył ręce. — Uważamy, że masz szansę je dostać.

Zapagnęła zapytać, kto kryje się za tym „my”, jacy to ludzie bez twarzy do spółki z Orlandem orzekli, że może, powinna

i zechce ubiegać się o to zajęcie. Takie pytanie byłoby jednak całkowicie nie na miejscu. Sama powinna się spoliczkować za to, że pomyślała coś takiego.

— Salome. — Orlando wychylił się w jej stronę. Światło lampy naftowej dodawało łagodności jego rysom. — Nasz ruch ma już wystarczająco dużo studentów.

Kątem oka widziała chudą jak szczapa Annę, która chyba tylko czyhała na nerwową reakcję z jej strony.

— Oczywiście — zgodziła się Salome.

Dwa tygodnie później zakwalifikowała się do pracy. Rekrutacja polegała na teście z maszynopisania, z angielskiego oraz na krótkiej rozmowie z Vivianą, kierowniczką sekretariatu. Viviana nosiła okulary w rogowych oprawkach i najwyraźniej miała kłopoty z prawidłową wymową angielskiego *th*. Salome poinformowała ją, że do ukończenia liceum zostały jej dwa tygodnie. Czy mogą państwo poczekać na mnie? Tak, nie będzie z tym problemu, panno Santos. Poczekamy.

Liceum ukończyła w przewidzianym czasie, a na ceremonii rozdania dyplomów uśmiechała się jak pozostałe koleżanki do aparatów fotograficznych w rękach wzruszonych mam i babć oraz wzniosła toast szampanem. Następnego ranka, kiedy leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami, Mamá zapukała do jej drzwi i weszła z tacą, na której były grzanki, świeża mate, a także jedna żółta róża w małym wazoniku.

— To dla mojej absolwentki! Salomé usiadła.

— Coś nie tak?

— Muszę ci coś powiedzieć. — Nagle poczuła się jak mała dziewczynka, która za długo bawiła się guzikami i nie uczesała się na czas. Spuściła nogi na podłogę. — Dostałam pracę.

Mamá spojrzała na nią nierozumiejąco. Salomé przejęła od niej tacę, położyła ją na łóżku i mówiła dalej, siląc się na wesoły ton:

— To świetna robota. Będę sekretarką w ambasadzie Stanów Zjednoczonych.

Matka się zachwiała. Z roztargnienia założyła swój bordowy szlafrok na lewą stronę, widać było szwy.

— A co ze studiami na uniwersytecie? — wycedziła, jakby z trudem znajdowała słowa.

— Nie idę na studia.

— Ale przecież chciałaś!

Salomé zatrzymała wzrok na czerwonym abażurze nocnej lampki. Był stary, zniszczony i na dobrą sprawę należało go wymienić już wiele lat temu.

— Nie za bardzo — odparła.

— Ach tak? Od kiedy?

— Poza tym potrzebujemy pieniędzy.

— Nie możesz zrezygnować z nauki dla dobra rodziny!

— A więc powinnam studiować dla rodziny? — Salome wstała. — A może dla ciebie?

Mamá otworzyła usta, ale nie powiedziała nic, tylko wydała / . siebie jakiś jęk.

— Tyle lat dobrych stopni — odezwała się w końcu. — Jaka przyszłość przed tobą?

Salomé nie mogła jednak rozmawiać z matką o przyszłości, nie mogła jej zdradzić, że ta przyszłość jest już wytyczona, nie mogła przyznać się do bronii pod materacem, do codziennych akcji prowadzonych w ścisłej tajemnicy z jakże wielkim zapalem — właśnie dla przyszłości, dla mieszkańców kraju. Poświęcenie egoistycznej chęci studiowania przez jedną młodą panienkę to w końcu śmieszna cena za postęp. Ruch na pewno ma rację, to błahostka w porównaniu z rewolucją. I zupełnie nie liczy się to, że gdyby mogła, popędziłaby na uniwersytet choćby zaraz, w piżamie, zaszyłaby się w bibliotece i w ogóle by stamtąd nie wychodziła, spałaby na książkach i przepędzałaby każdego, kto próbowałby ją stamtąd wyciągnąć.

— Mamo, posłuchaj: to świetna praca. Dlaczego nie jesteś ze mnie dumna?

Hva wyszczerzyła zęby jak puma. Pierwszy raz w życiu Salome przestraszyła się, że matka ją zaatakuje.

— Jak możesz mówić, że nie jestem dumna?

— Nie z tej pracy.

— Nie podejmiesz tej pracy.

— A właśnie że tak.

— Masz szesnaście lat, Salomé. Jestem twoją matką i mówię ci, że będziesz kontynuować naukę.

Salomé w panice wyobraziła sobie, że Mamá ciągnie ją za włosy do sali wykładowej, a potem pilnuje na korytarzu, aby nie uciekła; wyobraziła sobie utratę pracy w ambasadzie i kompromitację wobec Tinta, Leony, Orlanda, Anny, wobec wszystkich Tupamaros o nieznanym twarzach i wobec ducha Che.

— Wściekasz się tak, bo sama nie skończyłaś żadnych szkół. Natychmiast pożałowała swoich słów. Zrobiło się jej przykro,

bo matka nagle zeszywniała. W niczym nie przypominała już rozjuszonyj pumy. Salomé miała przed sobą zaszokowaną, jakby ogłuszoną kobietę w szlafroku włożonym na lewą stronę. Nawet się nie zachwiała, nie zamrugła ani nie spojrzała na nią. Atmosfera zrobiła się tak gęsta, że Salomé nie odważyła się wziąć głębszego oddechu, dopóki matka nie opuściła pokoju.

Mamá nie wychodziła z łóżka przez trzy dni. Salomé nie odwiedzała jej. Temat studiów wrócił jeden jedyny raz, kiedy poruszyła go Abuela Pajarita.

— Naprawdę chcesz iść do tej pracy?

— Tak — odpowiedziała Salomé, skrobiąc palcem blat kredensu.

— Na pewno?

— Tak.

— Bo wiesz, że mogłabyś iść na studia. Damy sobie radę finansowo.

Salomé ze złością skreśliła ścierkę, jakby chciała ją wyżyć.

— Dlaczego nikt mi nie wierzy?

— Zmieniasz temat — powiedziała ze smutkiem Pajarita.

Salomé pozostawiła to stwierdzenie bez odpowiedzi. Odwiesiła ścierkę na miejsce i odprowadzona wzrokiem babki, wyszła z kuchni.

Pierwszego dnia pracy Salomé wstała o piątej rano, aby mieć czas na staranne upięcie koka, uprasowanie bluzki i wciągnięcie rajstop. Ambasada była labiryntem przestronnych, jasnych korytarzy. Pan Frank Richards, jej szef, przywitał ją miażdżącym uściskiem dłoni. Miał długie baki i był skory do uśmiechu; nad jego biurkiem wisiała trójkątna tabliczka z napisem „Boston Red Sox”.

— Witam, Salomé. — Poprowadził ją do pustego biurka i pokazał gestem, by usiadła. — Wy, Urugwajczycy, kończycie szkołę średnią w tak młodym wieku... Jako szesnastolatek nie miałem nawet bladego pojęcia o tym, co chciałbym robić w życiu. — Wyciągnął papierosy i srebrną zapalniczkę. — Co nie znaczy, że teraz mam. — Oczy robiły mu się wąskie jak szparki, kiedy się śmiał.

Salomé odpowiedziała przyjemnym uśmiechem. Nie będzie tak źle.

Pan Richards przyniósł jej dokumenty do posegregowania, do przetłumaczenia albo przepisania na czysto (wyobraziała go sobie, jak mówi: „Salome, proszę jak najszybciej przekazać to wszystko swojej podziemnej organizacji”). Były to banalne listy pełne żartów, obietnic, próśb o pomoc od amerykańskich obywateli, oficjalne oświadczenia, które niewiele znaczyły. Siódmego dnia jej pracy zmarł prezydent Gestido, którego miejsce zajął dotychczasowy wiceprezydent Pacheco. Do ambasady zaczęła napływać korespondencja od współpracowników Pacheco. Salomé myszkowała w dokumentach Viviany, aby ją przeczytać. Nowy prezydent obiecywał linię polityczną zgodną z interesami Stanów Zjednoczonych. Przyjaźń między obydwoma krajami powinna zostać zacieśniona. Lyndon Johnson nie miał powodów do zmartwienia: rząd będzie tępił plagę socjalizmu.

Dobrze się spisałaś — pochwalił Orlando, przyjmując jej starannie sporządzony, przedzielony przegródkami raport. Salome złapała rozpromienione spojrzenie Leony, która stała po drugiej stronie pokoju w mundurku urzędniczki bankowej.

Salomé była pewna, że nakaz pracy ze strony organizacji doprowadzi ją do rozpacz, tymczasem Leona powiedziała tylko: „Na studia będzie czas później, po rewolucji”. Niezachwianie wierzyła w nadejście nowej ery.

W domu Mamá milczała. Podejrzliwie patrzyła na ciasny koczek Salomé i na jej rajstopy. Odnosiła się do córki jak do nieproszonego gościa, który zasługuje na grzeczne traktowanie, ale jest obcy i właściwie nie wiadomo, czego się po nim spodziewać. Ta dziwna obca dziewczyna pracowała dla Amerykanów, ubierała się w stylu złotej młodzieży i najwyraźniej nie miała nic przeciwko działaniom człowieka, który mienił się prezydentem Urugwaju i w krótkim czasie pozamykał redakcje gazet, wydał zakaz zgromadzeń, zdelegalizował partie lewicowe i opowiedział się za rządami silnej ręki. Salomé miała ochotę krzyknąć: „Mamo, nie jestem taka, jak myślisz, nie popieram cenzury ani nowych zarządzeń i robię w tej sprawie o wiele więcej, niż możesz sobie wyobrazić! Kiedy już wydobędziemy się z tego bagna, o ile kiedykolwiek się z niego wydobędziemy, zobaczysz, jak wielka była moja ofiara i podziękujesz mi”. Nie mówiła jednak nic. Pozwoliła, aby uważano ją za młodocianą urzędniczkę w koku, której jest wszystko jedno i która bezmyślnie pochyla się nad talerzem spaghetti, kiedy jej matka lamentuje nad stanem państwa. Wszystko odbywało się według rytuału, który znała na pamięć: po biadaniach mamy Abuelo mruzczał coś o bezpieczeństwie, Roberto skarżył się na rozłamy na uniwersytecie, a Pajarita wypowiadała zmęczonym głosem jakąś prostolinijną uwagę, w rodzaju „tyle przeżyliśmy, także i to przeżyjemy”, po czym zachęcała, aby każdy wziął dokładkę, bo jedzenia im na razie nie brakuje.

W południe Salomé zwykła jadać sama, na ławce na nieodległym od ambasady placyku. Pośrodku placyku stał kamienny pomnik jakiegoś generała z uniesionym mieczem, cały w gołębich odchodach. Nigdy nie zadała sobie trudu, aby przeczytać tabliczkę informacyjną, nie wiedziała więc, kto to jest. Ilu ludzi — ile tysięcy — walczyło i oddało życie za swój

kraj, przy czym nikt im nie postawił pomnika? Kogo będą uważać za bohaterów, kiedy rewolucja już zwycięży? Nie chcę mieć pomnika, myślała, wystarczy mi świadomość, że w niej uczestniczyłam i kiedy przyszedł czas na zmiany, przyczyniłam się do nich, więc będę mogła powiedzieć swoim wnukom: poczułam, że coś musi się zmienić, i oddałam się cała wielkiej sprawie, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy. Będą mi się przyglądać z zaciekawieniem i dumą i prosić: „Opowiedz nam o tym jeszcze raz”. A ja powtórzę, że walczyłam dla nich, żeby mogły żyć w szczęśliwym Urugwaju, w kraju, w którym każdy może się najeść do syta. Zaczną się dziwić, że kiedyś nie wszyscy mieli dosyć jedzenia. Potem dorosną, postarzeją się i przekażą tę historię wnukom. Salomé pogryzała kanapkę i rozmawiała w myślach z przyszłymi potomkami, a także z miastem: o Montevideo, płaskie, senne, skromne, jedyne miasto, jakie znam, miasto o nierzucającym się w oczy uroku, pełne głodnych ludzi, stolico małego kraju gdzieś na rubieżach świata, jasna i pełna słońca, które oświetla twoje nierówne chodniki... Jej uwagę przyciągnęły dwie starsze panie, które szły pod rękę w stronę wolnej ławki. Miały torebki dopasowane do kapeluszy, a pod tymi kapeluszami kryły się kto wie jakie wspomnienia. Panie posuwały się drobnymi kroczkami, jakby nie wiedziały, co to pośpiech, i były gotowe poświęcić choćby cały dzień na dojście do ławki. Wiatr szeleścił liśćmi, powiewał kołnierzem Salomé i spódnicami staruszek. Spokojne, słodko-smutne miasto. Generał znosił ze spokojem bezczelność gołębi. Słońce grzało ławkę.

Sześć minut do końca przerwy obiadowej. Salomé rzuciła ptakom trochę okruchów.

• • •

Prezydent Pacheco rządził za pomocą dekretów. Nagminnie łamał konstytucję. W sprawie strajkujących związków zawodowych wydał rozporządzenie zezwalające wojsku otwierać do nich ogień i zmuszać do podjęcia pracy; niepokornych umieszczał w więzieniach o zaostrowym rygorze. Prasa pisała o tym



w ogólny sposób, ukrywając w ostrożnych słowach zaledwie aluzje do tego, że są powody do niepokoju. Likwidowano miejsca pracy i likwidacja dotknęła również dziadka Salomé. Spędzał teraz całe dni w domu; rozwalony na kanapie gapił się na jasne mury więzienia, wypełnione więźniami politycznymi, od socjalistów poprzez aktywistów związkowych aż do Tupamaros. Emeryturę miał śmiesznie niską, ale rodzina dawała sobie radę — Eva przynosiła gotówkę z kawiarni, gdzie nadal była kelnerką, Pajarita w dalszym ciągu sprzedawała w sklepie Coco swoje zioła, herbatki i gotowość do wysłuchiwanie ludzkich żali, no i oczywiście Salomé otrzymywała całkiem przyzwoitą pensję. Dzięki temu Roberto, który stał się gwiazdą wydziału biologii, nie musiał opuścić uniwersytetu, a rodzina nie musiała wystawać w kolejkach po chleb, które kłębiły się w różnych punktach miasta.

Miękkość i twardość — te dwa przeciwieństwa zdominowały życie Salomé. Miękkie były usta Tinta, twarde kolby karabinów (już dwudziestu, nowszego typu, łącznie z M-16, użytym ostatnio w Wietnamie), miękki był wiatr, któremu z przyjemnością pozwalała się owiewać, zawsze bacznie sprawdzając, czy nie ostrzega jej przed jakimś niebezpieczeństwem, twarde były stukot jej obcasów na parkiecie w biurze, miękki był głos dziadka, kiedy kolejny raz opowiadał o dawnych czasach, o tajemniczym Urugwaju w kolorze sepii, który już nie istniał, twarde były drzwi kryjówek, za którymi odbywały się tajne zebrania.

Ruch znalazł się w szczytowym momencie rozwoju. Liczba członków niebywale wzrosła; komórka Salomé liczyła teraz jednaście osób. Na spotkaniach zrobiło się jeszcze ciaśniej i jeszcze bardziej brakowało tlenu. Nadszedł 1968 rok, świat drżał w posadach od powstań i rozruchów, do których dochodziło wszędzie, jak donosiła prasa, w całej Ameryce Południowej, w mieście Meksyk, w Czechosłowacji, w Londynie, Paryżu, Wietnamie, Berlinie, Chicago, w Australii i w Japonii. Salome nigdy nie widziała tych miejsc, a jednak była z nimi

związana, bo stanowiła maleńki elemencik gigantycznej sieci, która rozpościerała się na cały glob, oplatając go nicią zmian. Nie dało się umknąć przed tą siecią. Nawet w tak peryferyjnym kraju jak Urugwaj wystarczyło wyciągnąć rękę i człowiek dosłownie czuł w powietrzu tętent rewolucji, która już kłusuje i lada chwila puści się galopem. Przyszedł czas gonitwy, która na pewno wryje się wszystkim w pamięć; przyszłe pokolenia historyków będą o niej pisać w podniosłych słowach — „od tego zaczęło się wyzwolenie”. Ale to wszystko wymaga oddania, ofiary, działania w ukryciu. Inni poświęcają o wiele więcej od niej, jak choćby Orlando, którego nazwisko pojawiło się na liście wichrzycieli poszukiwanych przez policję i który musi żyć w ukryciu. Tupamaros są ścigani i owiani złą sławą. Prasa nie może nawet używać nazwy ich ruchu, dziennikarzom wolno co najwyżej określać ich słowami „przestępcy” lub „terrorysty”. Jedna z gazet napisała o nich „Bezimienni”, po czym jej siedziba doszczętnie spłonęła (budynek płonął z powodu naszego imienia, myślała Salomé), ale nazwa zrobiła karierę. Słysząc ją było w autobusach, na placach, w sklepikach w centrum i nawet przy ladzie z mięsem u Coco.

Bezimienni znowu dali o sobie znać, właśnie obrabowali kasyno.

Działają jak Robin Hood.

Wyciągną nas z tego bagna.

To ci twoi Bezimienni wrzucili nas w bagno, o czym ty w ogóle mówisz, durniu, to oni są największym problemem. To karakony Urugwaju. To więcej niż bohaterowie. Więcej niż rzadkie gówno. Przyniosą temu narodowi wyzwolenie. Pacheco nigdy na to nie pozwoli. Bezimienni są sprytniejsi od niego. Na pewno. I bardziej się o nas troszczą. Nienawidzę ich.

Ja im kibicuję.

Uważaj, tylko nie klaszcz za głośno. Dlaczego nie? A widzisz? Nie jesteśmy wolni! Bezimienni są wolni. Skąd wiesz? To oczywiste.

Nic, co ich dotyczy, nie jest oczywiste.

Sam się ich spytaj.

Aha!

Ja się ich boję, jeśli chcesz znać prawdę.

Chciałbym mieć tyle odwagi, żeby do nich dołączyć.

Chciałbym spotkać jednego z nich, bo zapewniam cię, że miałbym mu wiele do powiedzenia.

Nawet dzieci śledziły bieżące wydarzenia, jak wynikało z tego, co opowiedziała pewnego wieczoru Tía Xhana.

— Posłuchajcie, co się przydarzyło pani Duran — uczy trzecie klasy, obok mojej pracowni. Nie należy do naszych sympatyków, o tym mogę was zapewnić. — Xhana dołała wina do kieliszka Ignazia. — Ale w zeszłym tygodniu poprosiła uczniów, żeby napisali dowolne słowo na literę „t”. No i dziewiętnascioro, podkreślam, dziewiętnascioro, napisało „Tupamaro”. Co wtedy zrobiła pani Duran? Próbowiła doprowadzić do usunięcia z biblioteki szkolnej wszystkich książek o Robin Hoodzie. I wiecie co?

Wokół stołu zapanowało pełne ciekawości milczenie.

— Co? — spytała Mamá.

— Spóźniła się. Wszystkie były wypożyczone. Nawet dzieciaki wiedzą, co się dzieje.

— No i bardzo dobrze — powiedziała Mamá.

Abuelo Ignazio zrobił minę, jakby ziemniak, którego miał w ustach, nagle zrobił się okropnie kwaśny.

— Bezimienni chyba nie są dobrym przykładem dla dzieci? — rzucił.

— A czy represje to dobry przykład? — Mamá potrząsnęła rozpuszczoną czupryną. — Ludzie czepiają się wszystkiego, co daje nadzieję.

Abuelo podniósł oczy ku niebu. Salomé wyobraziła sobie, że oto niebo rozdaje teraz nadzieję — kleisty płyn, który dotąd przechowywano w ścisłym sekrecie. Teraz ten płyn wypływa na ulice, pod koła samochodów, zalewa bruk, przepelnia rynny, sączy się po ścianach jak owsianka z baśni, która kipi i kipi, i nie przestaje wylewać się z garnka. Wino nagle zdało się jej cierpkie.

W grudniu 1968 roku Roberto przeprowił się na drugą stronę rzeki, aby spędzić lato w Argentynie, u ojca. Przedtem z niezwykłą starannością spakował bagaże. Swojej dziewczynie, Flor, powiedział przez telefon: „Oczywiście, że będę za tobą tęsknił, nie bądź niemądra”. Mówiąc to, opierał się o ścianę i patrzył szklanym wzrokiem. Salomé też została zaproszona, ale postanowiła nie jechać. Miała zadania do wypełnienia w ambasadzie. Czasy były brutalne i cudowne, nawet Beatlesi skomponowali piosenkę *Revolution*. Świat przechodził do galopu. Pracy było co niemiara. Poza tym ojciec co prawda zaproponował, aby przyjechała, ale przecież nie pragnął jej widzieć tak bardzo jak Roberta. Ich rozmowy telefoniczne różniły się uderzająco. Przy Salomé ojciec najwyraźniej czuł się skrępowany do tego stopnia, że czasem odpowiadał jej monosylabami. Przy synu ożywiał się, potrafił klarować mu coś przez długie minuty, Roberto zaś słuchał łapczywie, potakiwał powoli, w końcu rewanżował się komentarzem na temat swoich studiów, aluzją do ojcowskich osiągnięć albo wzmianką

o jakimś zjawisku z dziedziny biologii, o którego istnieniu oczywiście wiedział, jakżeby nie, przecież powinien znać takie rzeczy. Mówił, że byłby zachwycony, gdyby miał możliwość poznać naukowców, o których wspominał ojciec, tak wybitnych ludzi, a przy tym jego znajomych. Na samą wzmiankę o nich Roberto rozjaśniał się tak, jak jego rówieśnicy na widok Johna Lennona. Nie, Salomé stałaby się dla nich utrapieniem, a w najlepszym razie zawadą, no bo jak można się czuć w obecności

dziewczyny, która porzuciła naukę i jest ledwie sekretarką — o czym z nią rozmawiać? Kiedy zastanowiła się nad swoimi uczuciami wobec ojca, kiedy przeanalizowała wszystko, co chodziło jej po głowie podczas bezsennej nocy, odkryła całkowity brak emocji, puste, wydrążone miejsce, którego nie miała ochoty niczym wypełniać. Brakowało jej słów, aby to wszystko wyjaśnić matce, ale na szczęście nie musiała tego robić. Ku jej zdziwieniu Eva przyjęła jej decyzję z aprobatą, wręcz z ulgą. Najwyraźniej znacznie bardziej martwiła ją postawa syna, jego widoczny entuzjizm, roztargnienie, jakie okazywał w czasie kolacji, zajęty myśleniem o tym, co powinien z sobą zabrać, a z czego zrezygnować. Eva zносиła to z nienaturalnym uśmiechem, jakby ta przeprawa przez rzekę była ucieczką od niej. W głębi duszy uważała, że Roberto Ignie do ojca jak ćma do świeczki i że jeszcze co prawda wróci do domu, ale w gruncie rzeczy opuszcza go już na zawsze.

Podczas pożegnania Salome stała na nabrzeżu między Evą a Pajaritą, które machały mu bez przerwy, nawet kiedy zwrócony do nich plecami dopiero wchodził na prom. W końcu zatrzymał się, odwrócił, a one nie tylko nie przestały powiewać chusteczkami, ale jeszcze zaczęły stawać na palcach i wołać: *adiós, adiós, llámanos*. Promieniowały taką energią, że mało brakowało, a wzniciłyby pożar. Salomé poczuła ukłucie zazdrości — nie z powodu podróży, ale z powodu tkliwej miłości, którą ujawniło to pożegnanie.

Tego wieczoru spotkała się z Tintem w parku później niż zwykle.

— Mam ich w nosie — mruknęła, przytulona do jego piersi.

— Co ty mówisz? Przecież to twój oj... — urwał, bo jej dłoń leżała już na jego rozporku, którego co prawda nie rozpięła, bo tego nie zrobiła jeszcze nigdy, ale zajęła się rozmową z jego twardym członkiem. — Na wszystko przyjdzie czas — wychrypiał.

Plan związany z Pando został ujawniony członkom organizacji pewnej chłodnej sierpniowej nocy. Orlando przedstawił go z niezwykłym dla niego entuzjazmem. Akcję przewidziano na ósmego października 1969, dokładnie w drugą rocznicę zamordowania Che. Ruch w ciągu jednego popołudnia opanuje całe miasto. W ten sposób zbierze fundusze, broń, a przy okazji pokaże światu siłę urugwajskiej partyzantki.

— Mówimy o dużej operacji militarnej — podkreślił Orlando, głaszcząc się po brodzie, którą zapuścił z powrotem. Odrosła ciemniejsza niż przedtem. — Będzie wymagała zaangażowania wszystkich doświadczonych działaczy. Tinto, Anna, Leona, Guillermo, Salomé: to do was się zwracam.

Salomé nigdy jeszcze nie brała udziału w żadnej akcji, mimo że od lat trzymała karabiny pod materacem i z oddaniem wykonywała zadania szpiegowskie. Nigdy nie wymierzyła w nikogo rewolweru, nie obrabowała banku, kasyna ani klubu strzeleckiego. Poczula się podniecona i zarazem trochę niepewna. Spojrzała na Tinta, który w półmroku mrugnął do niej porozumiewawczo.

W dniach poprzedzających atak na Pando — kiedy jechała autobusem, pisała na maszynie albo zmywała naczynia — ze wszystkich sił starała się opanować ekscytację przyprawioną strachem. Przyjdzie czas, kiedy świat będzie wspominał Pando jako urugwajską odmianę ataku na koszary Moneada, początek nowej ery, moment przełomu. W wyobraźni widziała ich wszystkich — Tinta, Leonę, Orlanda, Annę, Guillerma i dziesiątki nieznanych jej Tupamaros — jak w blasku słońca wzniosą karabiny na jakimś placu z fontanną lub pomnikiem pośrodku, wcale nie po to, żeby strzelać, lecz po to, żeby wyjść z ukrycia i pokazać ludziom swój triumf. Ci zaś padną na kolana na widok broni — oczywiście będą pod wrażeniem przemiany dokonującej się w ich mieście — a ona wtedy zawoła: „Powstańcie, powstańcie, nie bójcie się!”. I wstaną, będą szlochać, tańczyć i krzyczeć z radości.

W wyznaczonym dniu wstała bardzo wcześnie, aby się spakować. Wiele razy wyjmowała i wkładała z powrotem do torby

wszystko, co powinna zabrać: pistolety, ulotki, białą chusteczkę, ładną bluzkę, trzydzieści par miedzianych kajdanków, a do tego teczki biurowe, które miała ułożyć na wierzchu dla niepoznaki. Ubrała się na czarno, tak jak jej polecono. Ręce się jej trzęsły. Usiłowała się uspokoić, powtarzając w pamięci instrukcje. Bezzwłocznie udać się do domu pogrzebowego. Pamiętać, że się jest w głębokiej żałobie. Zachowywać się przekonująco. Zmusić się do płaczu. Woda, pomyślała. Potrzebowała wody i przynajmniej kawałek chleba na obiad.

W kuchni Abuela Pajarita przygotowała już dla niej maté.

— Dzień dobry — powiedziała, podając jej tykwę. Salome przejęła od babki napój, nie zdejmując z ramienia

torby. Gorzka maté orzeźwiła ją i nawilżyła wyschnięte gardło. Wcale nie miała pewności, czy jeszcze wróci do tej kuchni, czy zobaczy jeszcze to światło, słoiki, zioła w doniczkach. Czarne, poskręcane korzonki, których przeznaczeniem było uśmierzyć artretyczne bóle jakiejś staruszki, czyjeś serce lub sumienie, suszyły się na blaszce do pieczenia. Już trzy pokolenia jadły pożywienie gotowane w tej kuchni. To wszystko może zniknąć — lub raczej ona może stąd zniknąć, choć to wydaje się nie do pomyślenia. A jednak wszystko jest możliwe, różne rzeczy zdarzają się w życiu, dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek, wystarczy jedna kula i już nigdy nie nauczy się nazw tych wszystkich roślin w słoikach; nazwy też są czymś przemijającym, na razie żyją w umyśle babki, lecz kto wie, jakie będą ich dalsze losy, kiedy Abuela umrze (co się stanie z zawiniątkami pełnymi ziół, z doniczkami, ze stołkiem w sklepie Coco)? Na szczęście na razie akurat to wydaje się całkowicie nieprawdopodobne. Abuela miałaby umrzeć? Jeżeli to nastąpi, cały dom się zawali, wybuchnie, rozpadnie.

Tymczasem Abuela patrzyła na nią z denerwującą rzeczowością w spojrzeniu.

— Masz czas na grzanekę?

— Niedużo, ale mam.

— Zaraz ci zrobię.

— Ja mogę sa...

— Nie ma żadnego problemu. — Dwie kromki chleba już grzały się na ruszcie. Warkocze babki spływały na jej plecy jak srebrny strumień. Salome miała ochotę zacisnąć na nich dłonie. Miała ochotę wykrzyknąć, że ma osiemnaście lat, że działa w partyzantce i właśnie wyrusza do akcji, więc potrafi zrobić sobie grzanekę. Jednocześnie najchętniej nie robiłaby nic innego, jak tylko jadła grzanki Abueli, co zresztą ją zawstydzalo: czekała ją wielka bitwa, tymczasem ona marzyła o tym, by zostać z babką, w tej zielonej kuchni, w nieśmiałym świetle poranka. Abuela posmarowała grzanekę masłem i patrzyła, jak wnuczka pożera ją wielkimi kęsami.

— Nie usiądziesz?

— Spieszę się do pracy.

— *Ta.* Zobaczymy cię na kolacji?

— Oczywiście — zapewniła ją Salome, która była już przy drzwiach.

Kiedy dotarła na miejsce, w wielkiej sali znajdowało się już ze dwadzieścioro żałobników. Wszyscy młodzi, posępni, w czarnych strojach. Podchodzili kolejno i całowali ją w policzek. Nikt nikomu się nie przedstawiał. W założeniu byli rodziną, dość odległą, ale na tyle bliską, że wszyscy się znali. Zebrali się, aby opłakiwać śmierć Tío Antuñeza, którego ciało mieli przewieźć w kawalkadzie samochodów na cmentarz w rodzinnym mieście. Tupas. Sami Tupas. Dotknięcia ich policzków działały jak balsam; musiała zwalczyć w sobie chęć, by ująć twarz każdego z nich w obie dłonie, przyjrzeć się rysom i je zapamiętać.

Podeszli do niej Orlando z Leoną, którym towarzyszył okrągły mężczyzna o białych włosach.

— Nazywam się Tiburcio — powiedział. — Jestem przedsiębiorcą pogrzebowym. Wyrazy współczucia.

Salome kiwnęła głową. Zaczęła gorączkowo zastanawiać się nad adekwatną odpowiedzią.

— Rozumiem pani smutek — dodał mężczyzna. — Zdaje się, że wszyscy bardzo go kochali.



— To prawda — potwierdziła Leona. Pachniała olejkiem jaśminowym. — To był taki dobry człowiek. Zawsze wspomagał biednych.

— Rozumiem i współczuję — powtórzył z empatią Tiburcio. Tym kuzynów zaczął powoli wychodzić na zewnątrz. Salomé

zrobiła to samo co wszyscy. Na podjeździe pobłyskiwało w słońcu dziewięć czarnych wozów. Na samym przodzie stał karawan; miał otwarte drzwi. Sześciu mężczyzn wniosło do środka trumnę. Na górze wieńce, wewnątrz karabiny. Trudno było to wszystko znieść — wiosenny upał, trumnę na wysoki połysk, wuja, który dał z siebie tak wiele, choć wcale niełożył na biednych, pogrzeb bez nieboszczyka, drewniane pudełko, w którym zamiast kości i ciała złożono broń, i całą tę dziwną, tajemniczą rodzinę, rodzinę Bezimiennych, rodzinę w maskach, oplakującą nie wiadomo co i kogo. Chciałaby poznać tych anonimowych kuzynów, tych młodzieńców w czerni, jednak wcale nie obchodziły jej ich imiona, przyzwyczajenia ani ulubione dania, lecz to, dlaczego poszli za tą trumną, to, co naprawdę ich zasmucało i na czym im zależało. Czy kochali to samo co ona, czy wiedzieli, dlaczego to wszystko robią, i jak, na Boga, radzili sobie ze strachem? Ich twarze o wystających kościach policzkowych zdawały się jej tak piękne w blasku słońca, tak świeże, a jednocześnie poważne. Była w nich jakaś kruchość. Chciałaby uchronić przed niebezpieczeństwem i te twarze, i cały kraj, ich kraj, jej kraj — ale cóż, mogła tylko wypełnić rozkaz i płakać. Płakała tak dobrze, że przedsiębiorca pogrzebowy położył dłoń na jej plecach. Oparła się na niej; zatrzaśnięto drzwi karawanu. Tiburcio też miał wilgotne oczy.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział.

Powiadali do aut, przedsiębiorca zajął miejsce za kierownicą. Salomé jechała w jego samochodzie, razem z Orlandem i dwoma innymi Tupamaros. Opuszczali już Montevideo — ruch był znacznie mniejszy, zabudowę miejską zastępowały pokraczne chatki i pojedyncze stragany z owocami. Niebo rozciągało się nad nimi jak wielki niebieski namiot. Minęli *cantegril* z budami

z blachy i kartonu, w którego okolicy unosił się tak straszliwy zapach, że nie pomogło zamykanie okien. W końcu rozciągała się przed nimi płaska, pusta droga, jak szara wstawka pośrodku zielonych pól. Tiburcio paplał coś bez większego sensu, za to Orlando siedział nieporuszony.

Poprzedzające ich samochody zjechały na bok. Odtąd wszystko działo się bardzo szybko. Przedsiębiorca pogrzebowy wychylił się przez okno.

— Dlaczego oni...?

— Proszę też zjechać na bok — polecił Orlando. Samochód zatrzymał się na pasie awaryjnym. Orlando zrećźnie wyciągnął pistolet.

— Proszę opuścić samochód — rzucił grzecznie. Salomé nie widziała twarzy Tiburcia; usłyszała tylko ostry

świsł powietrza, trzaśnięcie drzwi i szurgot stóp na żwirze. Orlando wysiadł z auta. To samo działo się w pozostałych samochodach — każdemu kierowcy kazano wstać i założyć ręce do tyłu, aby można je było związać drucianymi kajdankami, u następnie zająć tylne siedzenie. Elegancko ubrany żałobnik zajmował jego miejsce za kierownicą i wracał na pas ruchu. Słońce odbijało się w przyciemnianych szybach.

Prowadził Orlando. Tiburcio siedział na tylnym siedzeniu razem z trzymającą na kolanach pistolet Salome. Miał szeroko otwarte oczy.

Przez minutę nie słyhać było żadnego dźwięku oprócz szumu kół na asfalcie.

— Co się, do jasnej cholery, tutaj dzieje? — spytał wreszcie Tiburcio.

— Jesteśmy Tupamaros — wyjaśnił Orlando, nie odrywając oczu od drogi. — Przejeliliśmy te wozy na potrzeby naszej akcji.

— Tupamaros?

— Tak.

— Naprawdę?

— Tak.

Dokąd mnie wieziecie?

— Do Pando.

Tiburcio przejechał od środka językiem po policzkach.

— A nieboszczyk? — zapytał.

— Nie ma nieboszczyka.

Salomé jedną ręką wyjęła z torby ulotkę; drugą cały czas przytrzymywała pistolet.

— „Reżimowi zależy jedynie na tym, aby upokarzać lud pracujący. Jesteśmy robotnikami tak jak wy. Chcemy położyć kres niesprawiedliwości i doprowadzić do tego, aby wszystkim żyło się dobrze” — przeczytała.

Przedsiębiorca patrzył na nią. Miał szare, prawie przezrocyste tęczówki. Salomé zawstydziała się swoich udawanych łez.

— *Pues*, to brzmi sensownie — skomentował.

— Proszę się nie bać — powiedziała Salome.

— Ja miałbym się bać? Was? — Zaśmiał się chrapliwie. — Moglibyście być moimi wnukami.

Pół godziny później jechali już uliczkami Pando, które wyglądały jak namalowane akwarelą. Zatrzymali się na głównym placu. Salomé, Orlando oraz dwóch pozostałych bojowników zawiązali sobie białe chusteczki na przedramionach. Serce Salome biło jak młot. Prawie pierwsza godzina. Na jednej z ławek placu jakaś para jadła w słońcu kanapki. Też mieli na ramionach białe chusteczki. Kilka ulic dalej ustawił się zastęp oddelegowany do ataku na siedzibę policji. Tinto ze swoją grupą czekał koło straży pożarnej. Salomé miała zdobywać wraz z kilkoma towarzyszami El Banco República, okazały budynek, który pysznił się po przeciwnej stronie placu kamiennym murem i drzwiami z brązu. Była tak napięta, jakby jej ciało spleciono z drutu. Tym bardziej poczuła nacisk ciała Tiburcia, który oparł się o nią bezwładnie. Wzięła go pod rękę.

— Pójdzie pan ze mną — wyszeptała. Potaknął, nie podnosząc głowy.

Na plac dotarły kolejne wozy pogrzebowe. Kobieta na ławce odwróciła się w stronę ich samochodu. Spojrzała na chusteczkę Salomé i się uśmiechnęła.

Rozległ się warkot motocykla. Jego kierowca zatoczył kółko, powiewając białą chusteczką. Salomé, czterech Tupamaros z jej samochodu i Tiburcio ruszyli przez plac. Byli w połowie drogi, kiedy dołączyło do nich dwóch żałobników z bronią. Wpadli do banku.

— Niech nikt się nie rusza! — zawołał Orlando, wznosząc karabin.

Kolejka klientów, którzy załatwiali swoje sprawy w porze lunchu, odwróciła się w jego stronę. Jeden z kasjerów wydał okrzyk.

— Nic wam nie grozi! Jesteśmy Tupamaros. Teraz niech wszyscy staną pod ścianą.

Salomé pomogła zebrać ludzi, potrząsając pistoletem. Drugą ręką trzymała Tiburcia pod ramię. Czuła przyływ energii, było jej gorąco. Przedsiębiorca pogrzebowy człapał za nią, spocony i zrezygnowany. Pojawiło się krzesło dla ciężarnej kobiety. Orlando zbiegł do podziemi. Powietrze zrobiło się ciężkie od oddechów, potu i niezadanych pytań.

— Nie bójcie się — powtarzała Salomé do odwróconych plecami ludzi. — Przejmujemy miasto w imieniu ludu. Nic się nikomu nie stanie.

Ciągnąc za sobą Tiburcia, przeszła wzdłuż rzędu, aby rozdać ulotki. Ludzie rzucili się do czytania, więc musiała przypomnieć:

— Ręce na ścianę!

— Ale ja chcę to przeczytać.

— Dobrze. Tylko proszę trzymać ręce na ścianie.

— Jak mogę trzymać ręce na ścianie i jednocześnie czytać?

— Proszę spróbować — powiedziała najpoważniejszym łonem, na jaki ją było stać. Czuła się jak nauczycielka w klasie pełnej inteligentnych, niesfornych uczniów. Podeszła do okularnika w kraciatej koszuli.

— *Gracias* — powiedział, biorąc ulotkę. — *De nada*.

- Jesteście Tupamaros?

— Tak.

— Naprawdę?

— Tak.

Twarz mu się rozjaśniła, rozłożył ulotkę na ścianie i zaczął czytać.

Przez półotwarte drzwi słyhać było kłótnię między starszą kobietą a jednym z Tupamaros.

— Przyszłam tu po swoją emeryturę.

— *Ta, señora*, ale dzisiaj jej pani nie odbierze.

— Niby dlaczego, synu?

— Nie może pani dziś podjąć pieniędzy — odpowiedział, podnosząc głos. — Bank został przejęty przez Tupamaros.

— Tupa... co?

— Tupamaros. Teraz proszę wejść do środka, na ulicach jest niebezpiecznie.

— A jutro dostanę emeryturę?

— Taak. To znaczy nie wiem. Proszę wejść do środka! Chłopak wprowadził oporną staruszkę. Miała surową twarz i nosiła wysoko głowę.

— Po co niby mam wchodzić — narzekała głośno, nie zwracając się do nikogo w szczególności — skoro dziś nie ma wypłat?

Salome podała kobiecie ulotkę, którą ta starannie złożyła we czworo i wsunęła do torebki, patrząc na nią z wyrzutem. Salome szybko przeszła dalej, aby rozdawać druki. Ciągnęła za sobą Tiburcia. Zastanawiała się, jak chłopcom idzie w podziemiu, co się dzieje na ulicy i w siedzibie straży pożarnej. Czowała, że powinna przestać myśleć i skupić się na tym, co robi.

Do sali wpadła z krzykiem kobieta o długich, rozwianych włosach.

— Napadli na Bank Pando! — Spojrzała na rząd zakładników, puste okienka i wzniesiony pistolet Salome. — Co? Tutaj też? — Roześmiała się.

Salomé potwierdziła kiwnięciem głowy i nakazała jej gestem odwrócić się twarzą do ściany i podnieść ręce. Kobieta usłu-

chała, nie przestając się śmiać. Jej włosy podrygiwały jak delikatny czarny jedwab. Salome wręczyła jej ulotkę, z nadzieją, że to ją uciszy. Owszem, należało się cieszyć, że obywatele nie popadają w panikę, lecz z drugiej strony mieli przed sobą uzbrojoną, poważną bojowniczkę, więc z czego tu się śmiać?

— No nie! — zawołała kobieta. — Nie będę tego czytać w ten sposób. O co tu chodzi?

— Tu są opisane nasze cele. To dlatego tu jesteśmy.

— Ach tak? Więc dlaczego tu jesteście?

— Niech pani przeczyta ulotkę. Oni mają rację.

— Po co mam czytać, skoro ona może mi o tym powiedzieć?

— Ona chce doprowadzić do tego, aby wszystkim żyło się dobrze — powiedział Tiburcio, łypiąc na Salomé.

— Naprawdę? I dlatego założyła panu kajdanki?

Drzwi otworzyły się na oścież. Salomé się odwróciła. Odbezpieczyła broń, na wypadek gdyby musiała strzelać, choćby do staruszek albo do jakiejś śmieszki. To był Tinto, cały rozgorączkowany. Przybiegł prosto ze straży pożarnej. Niesforne kosmyki zasłaniały mu oczy.

— To informacja oficjalna! — ryknął. — My, Tupamaros, przejęliśmy Pando! — Wskoczył na ladę i wygłosił płomienną mowę. — Czy czujecie w powietrzu wyzwolenie? Tak, oddychamy nim, jego zapach rozchodzi się po tym niezwykłym kraju, jakim jest nasz Urugwaj, zagubiony klejnot na zagubionym kontynencie, a raczej jakim był Urugwaj, bo teraz ten klejnot się roziskrzy. Nic nas nie może zatrzymać. Urugwajczycy, drodzy obywatele, bracia, siostry, to jest wasza rewolucja, lo do was przychodzi wolność. Cała Ameryka Łacińska będzie wolna. Jest z nami Che, czy słyszycie, jak się cieszy? — Kiedy tak mówił, oczy mężczyzny w kraciastej koszuli zaszklily się, staruszka, która nie dostała emerytury, wydeła usta, nie wiadomo, czy ze zdenerwowania, czy po to, aby się nie roześmiać, a reszta potakiwała, pohukiwała, gwizdała, oprócz paru osób, które zachowały kamienną obojętność. Wszyscy jednak nadal stali z rękami opartymi o ścianę, więc musieli się skręcać, aby

zza ramienia dojrzeć tego zwalistego młodzieńca o spoconej twarzy, dźwięcznym głose i rozczochranych włosach, który stał z rozpostartymi ramionami na zaimprovizowanej mównicy. Z podziemi wyłonił się taszczący worki Orlando i zarządził:

— Idziemy!

Tinto zeskoczył. Skierowali się w stronę drzwi. Na zewnątrz rozległ się strzał —jeden, potem drugi. W banku zapadła cisza.

— Ja sprawdzę — powiedział blady Tupamaro. Szybko był z powrotem. —Na zewnątrz jest policjant. Strzela się z dwoma naszymi.

— Zaczekamy tutaj — oświadczył Orlando z nieporuszoną twarzą.

Czekali. Ciszę sali bankowej rozdzierały odgłosy strzałów. Ktoś zaszlochał pod ścianą. Wyszli, kiedy strzały umilkły. Słońce raziło Salome w oczy. W poprzek ulicy stały trzy wozy pogrzebowe, z których jeden został podziurawiony kulami i miał przebite opony. Obok leżał młody, ciemnowłosy policjant. Jego spodnie były przesiąknięte wilgocią, a dookoła nogi tworzyła się czerwona kałuża.

— Cholera — zaklął Orlando. — Straciliśmy jeden wóz. Teraz będzie nas dwa razy tyle. Ładujcie się.

Salome podbiegła do jednego z wozów, pchnęła Tiburcia na tylne siedzenie, po czym sama wskoczyła do środka, a za nią Orlando. W lusterku wstecznym widziała Tinta wchodzącego do auta stojącego z tyłu. Wyrzuciła przez okno ulotki, które jeszcze jej zostały. Opadły jak wielkie confetti i przykryły asfalt. Miała nadzieję, że wchłoną rozlaną krew policjanta. Ruszyli. Na ulicy za rogiem było pełno ludzi; stali na chodnikach, w bramach, kręcili się po jezdni, powiewali białymi chustkami z balkonów i pozdrawiali ich samochód.

— Kiedy wróćcie?

— Kiedy będzie rewolucja?

— Chcę się do was zapisać!

— Weźcie mnie z sobą!

— Przyjmijcie mojego brata...

- Hej!

— Niech żyje Che Guevara!

Kierowca naciskał klakson, krzyczał przez okno: „Odsunąć się! Z drogi!” i przeklinał pod nosem.

W środku siedziało ich dziewięcioro: Orlando, Tiburcio, Salomé i sześciu pozostałych bojowników, w tym trzech w mundurach miejscowej policji. Ciasnota, zapach potu i duchota były nie do wytrzymania. Tłum zaczął się przerzedzać. Dojechali pod cmentarz na skraju miasta.

— Zostawmy go tutaj — zaproponował kierowca. Salomé szybko, acz ostrożnie zdjęła kajdanki z nadgarstków

Tiburcia. Zdążyła się już do niego przyzwyczaić. Podziękowała mu.

— Uważaj na siebie. — Przedsiębiorca pogrzebowy uścisnął jej ramiona.

— Nic mi nie będzie — odpowiedziała, nie patrząc na niego.

Został sam na zwirowym podjeździe. Okrągły, siwy mężczyzna, który mrużył w słońcu oczy, jakby właśnie budził się ze snu. Salomé chciała jeszcze mu coś powiedzieć, ale drzwi samochodu się zatrzasnęły. Pomachała mu przez tylną szybę. On też pomachał. Jego sylwetka na tle ozdobnej metalowej bramy zmniejszała się, w miarę jak się oddalali.

Wjechali na autostradę. Salome poczuła taki głód, że mogłaby zjeść pokrowiec siedzenia albo nawet pistolet. Chłopcy w mundurach policyjnych byli podnieceni, rozgorączkowani i chaotycznie opowiadali o tym, co się wydarzyło.

— Szkoda, że nie widzieliście, jakie mieli miny ci gliniarze.

— Jednego znalazłem w ustępie, jak sikał. Kawał chłopca. Wyśmiał mnie, ale przestał, kiedy mu zagroziłem bronią.

— Serio?

— No pewnie.

— Na naszej ulicy zatrzymaliśmy ruch, rozrzucaliśmy ulotki i krzyczeliśmy: „Niech żyje rewolucja!”.

Salomé czuła bijącą od nich energię. Zrobili coś wielkiego, zatriumfowali, w dodatku nie ponieśli strat.



Orlando przechylił się ku kierowcy.

— Nie możesz jechać szybciej? — zapytał.

— *Compañero*, przecież wciskam gaz do dechy. Mamy za duże obciążenie.

— No tak...

— Nie złapią nas. Jesteśmy sporo przed nimi. Zanim policja w Montevideo się zorganizuje, wszyscy będziemy już bezpieczni w naszych... każdy u siebie.

Orlando poklepał go po ramieniu i powiedział:

— Po prostu staraj się jechać możliwie najszybciej.

Ten człowiek naprawdę zachowywał się bardzo przyzwoicie.

Znowu byli na obrzeżach Montevideo. Zbliżał się do nich samochód policyjny. Zamarli. Policjanci — tym razem prawdziwi — zlustrowali wzrokiem ich długi czarny wóz, dodali gazu, lecz zobaczywszy na tylnym siedzeniu mężczyzn w mundurach, zwolnili, uznając, że w tym wozie nie może być wywrotowców. Salome zrobiło się słabo. A więc już ich ścigają. Zaczęła odmawiać w myślach na pół zapomniane „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą”. Myliła się co chwilę, jak to dalej szło, no nic, w każdym razie ochraniaj nas, tu, w tym samochodzie, a także Tinta, gdziekolwiek jest, i Leonę, i Annę, i Guillerma, i wszystkich, którzy dziś przywitali się ze mną rano na pogrzebie, wszystkich Tupamaros, którzy w tej chwili uciekają. Niechaj Tiburcio wróci szczęśliwie do domu i ten policjant z przestrzeloną nogą też; proszę, wejrzyj w nasze serca, Święta Mario, Matko, przebacz nam tę przestrzeloną nogę, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę... Tinto, Tinto, opiekuj się Tintem. Krążyli po zakamarkach miasta, aż zaparkowali w małej uliczce za niebieskim fordem, z którego natychmiast wysiadła młoda kobieta z białą chustką na ramieniu i bez słowa otworzyła bagażnik.

Kierowca zaczął przeładowywać do forda worki z bronią i pieniędzmi. Orlando błyskawicznie się przesiadł i położył na tylnym siedzeniu, tak że nie było go widać z ulicy. Salome zadała sobie pytanie, gdzie też szef jej komórki spędzi najbliższą

noc, no i w ogóle gdzie mieszka i czy jego żona ma pojęcie

o tym, kim jest. Wszyscy kolejno odchodzili w innym kierunku, bez słowa pożegnania. Salome zatrzymała się w najbliższej piekarni, gdzie kupiła sześć *empanadas* w sztywnej, białej torebce papierowej. Wiedziała, że nie zdoła zjeść wszystkiego, ale była głodna. Podjechał autobus. Usadowiła się z tyłu i połykając pierożki, obserwowała ulice Montevideo, które stawały się coraz szersze i bardziej ruchliwe. Ubogie domy ustępowały miejsca wysokim budynkom, a kocie łby przechodziły w asfalt. Montevideo, zadbana siedziba miejskiej partyzantki. Miasto gołębi, obsranych pomników i wielkich możliwości. Miasto spoconych, miłych przedsiębiorców pogrzebowych, ukrytej broni i kradzionego drutu miedzianego.

Kiedy dotarła do ambasady, pierwsze kroki skierowała do łazienki. Umalowała usta, przebrała się w świeżą bluzkę, zgmiotła dręczące myśli w ciasną kulkę, tak by nikt ich nie dostrzegł, poprawiła fryzurę. Za cztery trzecia. Dobra, sumienna Salome stawiała się punktualnie do pracy po wizycie u dentysty, na którą zapisała się już kilka tygodni temu. Zajęła swoje miejsce za biurkiem i zaczęła przepisywać list, który leżał na wierzchu małego stosiku. Wkrótce podszedł do niej pan Richards.

— Dzień dobry, Salomé. Jak poszło u dentysty?

— Dobrze, w sumie nie bolało tak bardzo. — Dotknęła niby to obolałego policzka.

— Nie za bardzo w to wierzę — Richards ściszył głos. Salomé zapało dech w piersi. Szef nachylił się, tak że

wyraźnie poczuła zapach palonych przez niego marlboro.

— To niemożliwe, żeby nie bolało u dentysty. Zaśmiała się, trochę za głośno. Richards też się uśmiechnął i wrócił do swojego gabinetu.

Po godzinie do pokoju wpadła Viviana, kierowniczka sekretariatu. Oczy jej błyszczały.

— Słyszałaś, co zrobili Bezimienni?

— Nie. — Salomé podniosła wzrok, siłąc się na obojętną minę.

— No więc zrobili zupełnie szaloną rzecz w Pando...

— Coś takiego!

— Tak, to straszne, ale policja złapała ich w drodze powrotnej.

— Złapali ich?

— W Toledo Chico była strzelanina.

Salomé zaniemówiła, więc Viviana dodała z satysfakcją:

— A myśleli, że są tacy niepokonani.

— Ależ historia! — Salomé zmusiła się do uśmiechu.

— Część z nich zginęła.

— Co ty mówisz?

— Tak podało radio.

— Zasłużyli na to — powiedziała Salomé ze wzrokiem wbitym w swoją maszynę do pisania.

— Jestem tego samego zdania — przytaknęła Viviana i wyszła.

Salomé pobiegła do łazienki i zwymiotowała wszystkie *empanadas*. Reszta popołudnia upłynęła jej jak w gęstniejącej mgle. Po pracy poszła bezpośrednio na spotkanie swojej komórki. Miała ochotę wyjść ze skóry. Tinto nie przyszedł.

Anna zdała sprawozdanie. Była w Toledo Chico. Mówiła płaskim głosem, jakby zwracała się do lampy naftowej. Policja otoczyła oba wozy. Trzech Tupamaros chciało się poddać. Podnieśli ręce i powoli ruszyli w stronę policjantów przez wysoką do kolan trawę. Tamci zaczęli do nich strzelać, a kiedy padli, naszpikowali ich ciała kulami, skopali je, potem jeszcze dołożyli pocisków. Drugi samochód, ten, w którym siedziała Anna, jakoś zdołał uciec. Pierwszy już tam został. Wśród pojmanych był Tinto. Nic nie można zrobić, trzeba czekać na wiadomości.

Salomé nie miała już czym wymiotować, jej wnętrzności były zupełnie puste, jakby nic nigdy nie jadła i już nigdy nie miała wziąć do ust żadnego pożywienia. Po zakończeniu zebrania Leona podeszła do niej z otwartymi ramionami.

— Salome.

- Muszę iść.
- Salome.
- Zostaw mnie.

W kolejce do wyjścia omal nie upadła.

Wieczorem, przy kolacji, nie mogła nawet tknąć jedzenia. Głosy rodziny przepływały gdzieś obok niej. Rozmowa dotyczyła Pando: to wszystko jest szokujące, jedna ze stron posunęła się za daleko, nie, to druga strona przesadziła, śmierć młodych Tupamaros to tragedia, nieprawda, mają za swoje, zamknij się, lo ty się zamknij. Teraz Abuelo Ignazio zwrócił się do niej: „Salome, czemu nie jesz”? Mamá przyglądała się jej jakoś zbyt uważnie, o co chodzi, coś tu nie gra. Roberto na końcu stołu (daleko, bardzo daleko) powiedział: „Wygląda na chorą”. Abuelita przyłożyła rękę do jej czoła: „Chyba masz gorączkę, jutro powinnaś zostać w domu”.

Przeleżała w łóżku cztery dni. Trzęsła się w gorączce, która sprowadzała na nią wizje Tinta rozszarpanego na kawałki — raz widziała jego szerokie usta, a kiedy indziej zgięte kolano, wykręconą rękę albo zmasakrowaną twarz. Łamała w ten sposób niepisane prawa swojej organizacji, bo zgodnie z nimi powinna wstać i pokazać światu pogodne oblicze, nic jej to jednak nie obchodziło, a raczej nie mogła postąpić inaczej. Niedobra rewolucjonistko, spójrz na siebie, taki wyłom w samodyscyplinie to wstyd. Zamknij się, idź do diabła, gdzie on teraz jest, gdzie on jest? Nie chciała ani jeść, ani pić, jednak Abuela odwiedzała ją regularnie w porach posiłków z miską zupy i dzbankiem mocnej herbaty. Mamá spała na podłodze obok jej łóżka, przez co Salomé musiała udawać, że śpi, dopóki oddech matki nie uzyskał wyraźnego, równego rytmu.

— Co się stało? — indagowała ją Eva. Nie pytaj, prosiła ją w myślach Salomé.

— Salomé? Przestań już.

— Czy to z powodu jakiegoś chłopaka? Nie wolno ci o to pytać, mamó.

— Mnie możesz powiedzieć.

— Nie. To nie z powodu żadnego chłopaka.

— Więc dlaczego?

— To tylko gorączka.

— Wygląda na coś więcej.

— Po prostu nie czuję się dobrze. Nie wiem dlaczego.

— Powiedz mi tylko, co mogę dla ciebie zrobić. Możesz się zamknąć. Możesz oddać mi Tinta.

Możesz mnie opluć i nazwać wyrodną córką.

Co wieczór Abuelo Ignazio przychodził śpiewać jej stare kołysanki, których nauczył się w Wenecji, we wczesnym dzieciństwie. Głos mu drżał, nieraz fałszował. Piosenki były po włosku, czyli w języku, którego Salome rzadko miała okazję słuchać. Przywodził jej na myśl wodę i zbłąkane anioły.

— Matka śpiewała mi te piosenki.

— Tak?

— Leczyła mnie nimi z koszmarów sennych. Koszmary? Co takiego mogło mu się śnić?

— Może wyleczą cię z twoich.

Wchodzili i wychodzili ze swoimi herbatami, słowami pocieszenia i piosenkami, ona zaś nie była normalną dziewczyną, lecz potworem w ludzkiej skórze, który pił ich herbatę, słuchał ich śpiewu i udawał senność na materacu przykrywającym broń. Jakaś część niej pragnęła, aby wszystko było tak jak dawniej, wiele lat temu, kiedy nie groziło jej niebezpieczeństwo utraty samej siebie. Wtedy chęć poprawiania świata nie narażała jej na żadne ryzyko — wystarczyło zwrócić się do dziadków albo do mamy po serdeczny uścisk i rozsądną radę w sprawie trudnej pracy domowej albo innych szkolnych problemów. Już nie jest tamtą dziewczynką, w niczym jej nie przypomina, jest złodziejką, która im ją ukradła i podstawiła atrapę. Czwartego dnia zatelefonowała Leona.

— Znalazłam twoją książkę.

Salome leżała oparta o ścianę. Nie miała siły zadawać sobie zbyt wiele trudu.

— Gdzie? — spytała tylko.

— No... wpadła w dziurę za półką na książki. — Leona zawiesiła głos.

— Dziś nie było zbyt zimno, prawda?

Dziura. Pocitos. Wuj Guillerma ma dom w Pocitos, ich komórka miała tam kiedyś spotkanie. W piwnicy była kłapa prowadząca do tunelu. Salome co prawda nigdy nie zapuściła się w głąb, ale wiedziała, że u jego wylotu jest *ratonera*. Pułapka na szczury. Skrytka. Jej zaszyfrowana nazwa to właśnie „dzisiaj jest zimno”.

— Nie, było ładnie i ciepło.

— No dobrze, zobaczymy się później.

— Ok. *Adiós*.

Salomé rzuciła się po ubrania. Wybiegła z domu, zanim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać. Dotarła do domu w Pocitos i zapukała. Otworzył Guillermo. Wręczył jej latarkę i sprowadził do piwnicy. Otworzyła kłapę, po czym zaczęła schodzić po drabinie w cuchnącą ciemność. Poczowała grunt pod nogami. Znalazła się u wylotu niskiego tunelu. Schyliła się i ruszyła przed siebie. Leżał tam, w wilgotnej pieczarze udającej pokój.

— Nie powinnaś tu przychodzić. Sięgnęła po wiadro, mówiąc:

— Zaraz będę z powrotem.

Przeszła drogę w przeciwną stronę, uważając, by nie rozlać zawartości wiadra. Wyplukała je starannie, jakby to mogło usunąć nieznośny zapach. Potem znowu uniosła kłapę i znowu była przy nim. Milczeli chwilę, oddychając tą odrobiną powietrza, jaką dysponowali.

— Nie chciałem, żebyś widziała mnie w takim stanie.

- Ale ja chciałam cię zobaczyć. - W takim stanie?

- Tak. Chciałam cię zobaczyć.

Skrzyżował nogi. Starał się nie robić żadnych grymasów.

- Nie znają twojego nazwiska. Przynajmniej ode mnie się go nie dowiedzieli.

Dotknęła jego dłoni. Wzdrygnął się, a wtedy ona zaczęła się wycofywać.

— Nie — zaprotestował. — Zostań.

Siedzieli spokojnie. Jego dolna warga zadrżała. Salome odwróciła wzrok.

— Salome. Salomé.

Nachyliła się nad jego ramieniem. Z największą delikatnością ucałowała miejsce przypalone papierosem, a potem wszystkie pozostałe rany. Odbyła po jego ciele drogę, którą wcześniej przeszła osławiona *la Máquina*. W tej ciemnej norze kochali się po raz pierwszy. Jej dziewictwo stopniało jak kawałek lodu rzuconego w ogień. Po tylu ostrzeżeniach i pompatycznych deklaracjach wydawało się to tak proste... Wystarczy unieść ramiona i je zarzucić na szyję mężczyzny. Reszta dzieje się sama. Tego właśnie się dowiedziała, tak to zrobiła; zaciskała ramiona na jego posiniaczonym i przypalonym ciele. Wszystko sprawiało mu ból, to było oczywiste, ale za nic nie pozwoliliby jej odejść. Nie spieszyli się. Oplotła jego biodra nogami jak bandażem. Razem przeszli przez ból i ekstazę, jakże do siebie zbliżone. Gdy było po wszystkim, leżeli spoceni, ciasno spleceni, wyczerpani, oddychając z trudem tą odrobiną powietrza, która właśnie wydobyła się z płuc drugiego. Opuszkami palców wodziła po napuchniętej skórze Tinta. W mroku nie widziała jej kolorów, lecz domyślała się zarówno czerwonych oparzelin, jak i białych pęcherzy i fioletowych sińców.

— Jeszcze ich dopadniemy — wyszeptała. Dopiero wtedy Tinto Cassella zaszlochał.

Naród był w stanie wojny. Wszyscy doskonale to wiedzieli. Prezydent ogłosił stan wyjątkowy na czas nieokreślony. Wszyscy *montevideanos* mieli obowiązek siedzieć w domach od dziewiątej wieczorem. Stukot butów wojskowych na brukowanych ulicach, w alejach i w zaułkach budził niejednych starych rodziców. Gdzie wasz syn? Schwytano Orlanda. Salomé stawała

czasami w oknie, by popatrzeć na pobliskie więzienie. To tam przetrzymywano Orlanda wraz z setką innych, nieznanym jej Tupamaros. Próbowała wyobrazić ich sobie za tymi murami. Byli jej nowymi sąsiadami, tak odlegli i tak bliscy. Przechodzili przez ten sam koszmar co Tinto. Ten ogrom cierpienia dosłownie naprzeciw domu, który Abuelo Ignazio zbudował własnymi rękami wiele lat temu. Trudno w to uwierzyć, a jeszcze trudniej przestać o tym myśleć. Czy ból tych ludzi może wniknąć przez okno i wymieszać się z winem pitym przez jej rodzinę do kolacji, z jej oddechami i myślami? Codziennie starannie zaciągała zasłony, co doprowadzało do sprzeczek z matką. Nie chcesz wpuścić światła do domu? Nie chciała. Przy rozsuniętych zasłonach nie mogła oderwać wzroku od więzienia. Jego jasne i estetyczne mury zasłaniały starannie wszystko, co działo się w środku. Salomé nieraz musiała je oglądać, bo matka najczęściej wygrywała batalię o dostęp do światła. Lubiła siadywać przy oknie i pisać. Pisała i pisała, jakby więzienie nic jej nie obchodziło; liczyło się tylko to, że słońce opromienia jego mury, zagląda przez szybę i pada na kartkę. Pisała codziennie, niezależnie od tego, ile godzin spędziła w pracy i jak bardzo była zmęczona. Część z jej wierszy ukazywała się w czasopiśmie, część odczytywano publicznie w salonach Montevideo, lecz wiele z nich przepadało w jej pokoju. Pisała tak dużo, że Salomé wyobrażała sobie, iż sypialnia matki musi zawierać same skrytki, takie jak ta, którą odkryła kiedyś pod jej materacem. Szuflady i szafa na pewno były zapchane zapisanymi słowami, nie mówiąc o zakurzonej przestrzeni między meblami a ścianą. Mamá jednak nigdy nie miała dość. Ciągle chciała pisać i zawsze starała się tak usiąść, aby mieć dużo światła.

Anna przejęła dowództwo nad ich komórką. Była wymagająca. Wyrażała się jasno, rzeczowo i tego samego wymagała od innych. Guillermo stanął na czele innej komórki. Szeregi Tupamaros rozszerzyły się o nowych członków. Akcja w Pando wzbudziła entuzjazm młodzieży tego miasta, która zaczęła szukać możliwości wstąpienia do organizacji. Ugrupowania



studenckie na całym globie wychwalały odważną i mądrą partyzantkę urugwajską, o czym donosiły tajne raporty. Sam Fidel Castro skomentował i pochwalił wyczyn Tupamaros, mówiąc, że „w Urugwaju rewolucja jest żywa i silna”. Salomé wyczuwała ekscytację nowych członków, ich upojenie świadomością, że przynależą do czegoś o wiele od nich większego. Każdy czuł się jak Robin Hood. W końcu Tupamaros byli na ustach wszystkich, nawet Fidela Castro. Salomé miała ochotę nimi potrząsnąć, obudzić ich i obudzić swój mały, prowincjonalny kraj, który mimo całej swojej mądrości tak łatwo ulegał fascynacjom. Była niesprawiedliwa, to prawda. Ci ludzie chcieli dołączyć do Tupamaros nie dlatego, że łatwo im było zaimponować, tylko z innych względów, a poza tym mieli na tyle oleju w głowie, by wiedzieć, czym to grozi. Tryskali nadzieją i determinacją, tymczasem ona czuła się stara i zużyta; wraz z upływem czasu straciła ostrość widzenia.

W Montevideo nastąpiła jesień. Salomé wzięła udział w sprawnym, bezbolesnym napadzie na kasyno, przenosiła góry broni, pieniędzy i mundurów, a także zaangażowała się w organizację ucieczki więźniarek, która przywróciła organizacji kilkadziesiąt członkiń.

— A to ci historia. — Pan Richards pokręcił głową, aż popiół z papierosa, którego trzymał w ustach, spadł na podłogę. — I pomyśleć, że to był taki miły, spokojny kraj...

Salomé nie przerywała maszynopisanania.

— Proszę wybaczyć, że wypowiem swoje zdanie — Viviana zamknęła głośno szafkę na dokumenty — ale to jeszcze wróci. Rebelianci nie mają żadnych szans wobec działań podjętych przez rząd.

Pan Richards spojrzał na swoją oddaną sojuszniczkę. Codziennie rano parzyła mu kawę i wieszala jego płaszcz. Takiej osoby nie można urazić.

— Ma pani rację. Oczywiście. Muszę jednak stwierdzić, że... że ci partyzanci są całkiem sprytni.

Salomé rozjaśniła się, ale nie pozwoliła sobie na uśmiech. Musiała się skupić, miała misję do wypełnienia: znaleźć wszel-

kie możliwe materiały o człowieku, który się nazywał Dan Mitrione.

Zajęło jej to dwa tygodnie. Najwyraźniej jego danych nie trzymano wraz z dokumentami zwykłych obywateli Stanów Zjednoczonych w Urugwaju. Znalazł się dopiero w szufladzie „ściśle tajne”. Jedyne pan Richards miał do niej dostęp, jednak pewnego dnia Salomé udało się wykraść klucz i zrobić jego odcisk w mydle. Dan Mitrione okazał się wysłannikiem — wcale nie najwyższej rangi — Sojuszu dla Postępu, doradcą w sprawach policji. Dawniej komendant policji stanu Indiana, następnie doradca w Brazylii i w Republice Dominikany. Żonaty, dziewięcioro dzieci, w tym sześcioro mieszkających w Urugwaju. Oficjalny adres: Malvín. Specjalista do spraw komunikowania. Salomé znalazła nawet kilka odręcznych notatek jego autorstwa, z których wynikało, że komunikowanie jest pewną formą sztuki, wymaga bowiem wyczucia niuansów, praktyki i precyzji. Stwierdzał też, że szkolenia, jakie prowadzi, przebiegają prawidłowo.

— Dobrze wykonane zadanie. Wnioski z innych raportów zostały potwierdzone — oznajmiła Anna w czasie następnego zebrania, po czym krótko scharakteryzowała Mitrione. Prowadził szkolenia dla policjantów w dobrze wyposażonym studiu w piwnicy swojego domu. Pomieszczenie było dźwiękoszczelne. Do ćwiczeń praktycznych używano żebraków, prostytutek i *cantegrilos*, których doprowadzano siłą na miejsce. Znikali na zawsze.

Słuchając tego, Salomé spojrzała na Tinta. Tego wieczoru nie mieli nawet lamp naftowych, tylko dwa dymiące knoty. Usiłowała uchwycić jego wzrok, ale nie podnosił głowy.

— Co z nim zrobimy? — spytała Leona.

Anna przejechała dłonią po włosach. Była ładna surową, trochę brutalną urodą.

— Oddamy go pod sąd — odparła.

Trzy tygodnie później Mitrione zniknął. Został porwany, jak twierdzili prezydent Pacheco, prezydent Nixon, pan Richards

i nawet Abuelo Ignazio, który czytał o tym w nielicznych niezamkniętych jeszcze gazetach. Za to Tupamaros stwierdzili w swoim komunikacie, że wcale nie został porwany, lecz aresztowany i umieszczony w więzieniu ludowym, gdzie oczekuje na sąd za zbrodnie przeciwko obywatelom Urugwaju.

Był sierpień 1970 roku, lodowata zima, a więc i w więzieniu ludowym panowały nadzwyczaj niskie temperatury. Oskarżonemu podawano gorącą kawę, zaproponowano mu płaszcz. Posiłki dostarczali mu zakapturzeni strażnicy, którzy nigdy nie odsłaniali twarzy. Codziennie rano stawał przed sądem. Żądano od niego wyjaśnień na temat notatek sporządzanych przez urugwajską policję i ambasadę amerykańską, a także fotografii z Santo Domingo. Co przedstawiają te fotografie? Jeszcze raz pana pytamy: co przedstawiają te fotografie? Odpowiadał chłodno, z umiarkowaniem i oględnie.

Salome słuchała jego wypowiedzi, siedząc w sąsiednim pomieszczeniu. Miała całodzienny dyżur. To w końcu zaledwie jeden dzień, nic wielkiego. Kiedy tylko weszła, zaczęła trząść się z zimna. Śmierzący potem i pleśnią pokój oświetlała goła żarówka. Salome tak jak pozostali włożyła kaptur z grubego płótna z otworami na oczy. Cały czas trzymała przy sobie karabin. Ściany celi były od góry do dołu wyklejone gazetami. Słowa zamiast krat, wszędzie słowa, nagłówki, podtytuły. W końcu pytania robiły się coraz krótsze, podsądny zaś odpowiadał monosylabami. Salomé usłyszała jakiś szelest — zawiązywano mu opaskę na oczach, a następnie dwóch zamaskowanych bojowników wprowadziło go do celi, w której siedziała. Usadzili go i przywiązali do krzesła, po czym oddalili się, kiwnąwszy Salomé głową.

Ręce jej skostniały mimo skórzanych rękawiczek. Mitrione miał dość wydatny brzuch, przyprószone siwizną skronie i był chyba wysoki, mimo że przez szpary w kapturze wydawał się stosunkowo mały. Pod brodą wisiało mu wole, na nieogolonej twarzy rosła gęsta szczecina. Miał śmiertelne ciało, sflaczałe, opadające, jakże ludzkie. To właśnie było nie do zniesienia:

to, że ktoś taki jest człowiekiem, a nie zwierzęciem, i że niektórzy mówią do niego „Dan” albo „tato”, inni zaś — ci, których kładł na stole, w końcu też ludzie z krwi i kości — musieli zwracać się do niego w specjalny sposób. Jak się pan kazał nazywać? Jak się pan kazał nazywać? Jednocześnie używał wody i elektrowstrząsów. Docierał do najskrytszych zakamarków ciała. Instruował, jak się posługiwać najwymyślniejszymi narzędziami do zadawania bólu. Salomé nie mogła tego pojąć, nie umiała połączyć tego, co wiedziała, z postacią zwyczajnego mężczyzny zgarbionego na zniszczonym krześle, a jednak musiała to sobie wyobrazić; czuła, że jeśli tego nie zrobi, już nigdy nie zdoła trzeźwo patrzeć na świat. Bolały ją oczy, więc je zamknęła. Wrogu, jesteś tak blisko, bezbronny, z opaską na oczach, aja nawet nie mogę znieść twojego widoku. Co ze mnie za bojownik? Kim jesteś, co w tobie siedzi, w jaki sposób stałeś się Danem Mitrione? Jak obydwójce staliśmy się skostniałymi ludźmi w ciemnej piwnicy, którzy siedzą naprzeciwko, lecz na siebie nie patrzą? Nagle zobaczyła go w wyobraźni stojącego nad nagim Tintem, który skręcał się z bólu i ciężko dyszał. Po chwili znowu był Danem Mitrione i to on ciężko dyszał, wystawiony na jej łaskę i niełaskę. Stała nad nim nachylona i szeptała: „Czy już rozumiesz? Rozumiesz?”. Mitrione się poruszył.

— Czy tutaj jest woda? — spytał.

Salomé nalala mu wody z dzbanka i przytknęła szklanekę do jego wąskich, białych ust. Napił się i powiedział:

— Dziękuję.

— *De nada.*

— Kobieta? — uniósł brwi, zdziwiony. Nic nie odpowiedziała.

— Chyba jesteś bardzo młoda. — Na jego ustach zamajaczył uśmiešek.

— Młodzi też mogą mieć władzę.

— Tak im się wydaje.

— A co ty o tym wiesz? — spytała i natychmiast tego pożałowała.

— Co ja o tym wiem? — powtórzył głosem, który brzmiał prawie słodko.

Salomé spojrzała na tego człowieka. Oczy zasłonięto mu dość niezwykłą opaską — była to bandana w tureckie wzory zabrana z szuflady dziadka Tinta. Chustka El Mago Milagroso. Przyszedł jej na myśl Tinto, jego delikatny dotyk. Pomyślała też o swojej babce i o jej roślinach, o niewypuszczającej pióra z ręki matce, w końcu o dzieciach Dana Mitrione, które przespiały spokojnie każdą noc pod tym samym dachem co ich ojciec, i o szeptach w sali tortur, o spokojnej eskalacji okrucieństwa, o lodowatych oczach policjantów, którzy po prostu nabierali nowych umiejętności.

— Mniej niż trzeba.

— Co to niby ma znaczyć?

— Nic, co by miało jakiegokolwiek znaczenie. — Salomé usiadła z powrotem na krześle.

— O Jezu — jęknął znużony.

Cisza wypełniła zawilgoconą norę. Siedzieli naprzeciw siebie, oddychali tym samym powietrzem. W końcu Mitrione osunął się i zaczął drzemać. Salomé przestała ścisnąć kurczowo broń. Spędziła dopiero dwie godziny wśród tych wytapetowanych słowami murów. Jej myśli poszybowały do Tinta. Do jego szerokich dłoni, które być może rąbią w tej chwili drzewo albo wbijają gwoździe w deskę, albo też trzymają tykwę z mate. Dziś, kiedy o północy spotkają się w samochodzie jego wuja, mimo chłodu zdejmie mu rękawiczki. Zawiną się obydwójce w jej sweter, żeby się rozgrzać. Może w końcu nastanie taki dzień, że rewolucja się dokona (czy to jeszcze możliwe? Dokąd właściwie zmierzają? Ku świetlanej przyszłości czy raczej pędzą prosto w przepaść, z której się już nie wydobędą? Nie, nie wolno tak myśleć), ona i Tinto wezmą ślub w biały dzień, a goście obsypią ich surowym ryżem? Wyzwolenie dla ludu i miesiąc miodowy. A potem spokojne życie — warsztat stolar-

ski, może nawet dzieci — nowa przyszłość dla nowego Urugwaju. Mamá, której nie chce się wierzyć, że dziewiętnastoletnia córka nie ma żadnych adoratorów, przestanie ją ciągnąć za język. Na pewno ktoś się kręci koło ciebie, mówi, po czym rozplywa się nad jej domniemaną urodą, spokojnym usposobieniem oraz inteligencją. Jedyne sposoby na to, aby przestała, to zapytać: „A co z tobą, mamó?”. Reaguje śmiechem — to jej „cha, cha”! — ale przynajmniej wtedy daje spokój. Początkowo Salomé robiła to w ramach samoobrony, nie spodziewała się żadnej odpowiedzi, ale z czasem zaczął ją zastanawiać pewien ton w tym śmiechu, jakaś dźwięczna nuta. No nie, to niemożliwe, to zupełnie nic nie znaczy, tylko dlatego mama czasem jest tak zarumieniona, kiedy wraca od swojej fryzjerki; wszystkie te sztywne fryzury w trudnych czasach; to oczywiście niemożliwe, co jednak miał na myśli Tío Artigas, kiedy w momencie wyjazdu na Kubę powiedział: „Eva, ja cię nie osądzam, naprawdę”. Może chodziło o jej upodobanie do luksusu, a może jednak o coś innego, coś nie do pomyślenia, tajemnicę całkowicie niewyobrażalną. Ludzie nie podejrzewają innych o rzeczy, których nawet nie potrafią sobie wyobrazić, toteż nikt jej o nic nie podejrzewa — chyba że własna córka, bo ona też coś wie o ukrywaniu spraw, które są nie do pomyślenia. Mitrione się obudził.

— Czy nadal tu jesteś? — zapytał.

— Tak.

— Chciałbym wody.

Wstała i przytknęła mu szklanekę do ust. Zaczął chleptać. Woda pociekła mu po brodzie, jak u dziecka. Salomé nie musiała go wycierać, to nie należało do jej obowiązków, ale przytknęła brzeg koszuli do jego twarzy. Mitrione uniósł brodę. Nawet przez materiał czuła jego ostrą szczecinę. Gdy skończyła, zadała sobie pytanie, dlaczego to zrobiła, on zaś kiwnął głową, jakby na znak, że wypełniła swoje zadanie. Wróciła na miejsce.

— Wy, Tupamaros, jesteście inni, niż się spodziewałem — powiedział.

— A kogo się spodziewałeś? Brutalnych terrorystów?

— Oczywiście.

Salomé położyła karabin na kolanach.

— Dobrze sobie.

Mitrione westchnął. Było to długie, ciężkie westchnienie przytłoczonego człowieka.

Przesiedzieli następną godzinę. Salome była głodna. Na dworze na pewno już zaszło słońce. Ciekawe, czy świeci księżyc.

Następne pytanie Mitrione zadał ściszym głosem:

— Czy wy... czy wy zamierzacie mnie zabić?

— Nie chcemy tego.

Przechylił głowę, jakby starał się rozszyfrować, co to znaczy. Detektyw w tureckiej opasce.

— Czy żądania nadal leżą na stole?

Żądania zwolnienia setki Tupamaros, w tym Orlanda, w zamian za życie Mitrione, nadal leżały na stole.

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

— Ach tak. — Skrzywił się, jakby zjadł coś kwaśnego. — Czy mogę dostać papierosa?

Salomé wróciła na jego stronę, włożyła mu do ust papierosa i zapaliła go. Wciągnął mocno powietrze; końcówka rozżarzyła się pomarańczowo.

— Nie zrobią tego — powiedział. — Ja też bym nie zrobił. Tego już było za wiele. Nić kontaktu, która się między nimi

wytworzyła, cienka i lepka jak pajęczyna, stawała się zbyt gęsta.

— W porządku — ucięła Salome. — Koniec z rozmawianiem.

Jego przewidywania się sprawdziły. Pacheco ogłosił, że nie będzie żadnych negocjacji z terrorystami ani zwalniania kryminalistów z więzienia. Wojsko przemierzało ulice ciężkim krokiem. Montevideo było jak bęben, na którym ich buciory wystukiwały rytm. Podchodzili pod drzwi domów, wyciągali z łóżek osoby podejrzane o współpracę z Tupamaros, wołali: „zniszczymy terrorystów!"; w ramach spektakularnej akcji udało im się nawet złapać żyjącego od dawna w ukryciu założyciela

organizacji, Raúla Sendica. Jego uwięzienie zostało celowo nagłośnione, „El País” opublikował mnóstwo fotografii. Salomé w ogóle przestała sypiać. Była przekonana, że jeżeli tylko zamknie oczy, natychmiast obudzi ją tuzin karabinów łomoczących o metalową ramę jej łóżka. To zresztą nie byłoby jeszcze najgorsze. Najbardziej bała się tego, że wyciągną ją z tego łóżka na oczach bezsilnych dziadków, matki i brata, którzy będą stać w piżamach w korytarzu, ona zaś nie zniesie wyrazu ich twarzy.

Godzina policyjna została przesunięta już na szóstą po południu. Jej komórka spotykała się teraz o świcie. Tego dnia zebrali się w składziku, gdzie szczotki i butelki z płynem do czyszczenia podłogi otaczały ich jak ponure strażę.

— Musimy zagłosować — oświadczyła Anna. Wyglądała na zmęczoną, ale makijaż miała nienaganny, by prosto z zebrania udać się do pracy. — Pamiętajcie, to nie może być sentymentalny wybór. Tu nie chodzi akurat o niego. Myślcie w kategoriach politycznych. — Powiodła wzrokiem po zebranych. — A więc?

Héctor, żołnierz w pełnym umundurowaniu, nowy w ich komórce, wypowiedział się jako pierwszy.

— Jeżeli przeprowadzimy egzekucję, prasa będzie rozpisywać się o jego osieroconych dzieciach i biednej żonie. O tym, jacy to jesteśmy okrutni i bezwzględni. To będzie dla nich usprawiedliwienie, aby nas tępić.

- Jeżeli jednak nic nie zrobimy, to co? — odezwała się Leonora. — Uważam, że w ten sposób wyślemy sygnał świadczący o tym, że coś zapowiadamy, ale nie idziemy do końca. A przecież cały świat na nas patrzy. Jakaż ona opanowana, pomyślała Salomé, i dojrzała.

To prawda — zgodziła się Carla, nauczycielka. — Jeżeli okażemy słabość, osłabimy morale wszystkich organizacji na świecie podobnych do naszej.

Tak czy inaczej, nasi wrogowie spróbują to wykorzystać, aby nas złamać.



— I tak starają się nas złamać.

— Co w takim razie postanawiamy?

Toczyła się dyskusja. W końcu treść wypowiedzianych słów przestała docierać do Salome — po prostu wpadały jej do uszu i ginęły w trąbkach słuchowych. Próbowwała się skoncentrować, ale coś ją dusiło w płucach, jakby ściśniętych żelazną obręczą. Nie mogła oddychać; może tak działały bezsenne noce połączone z brakiem tlenu i poranne zebrania w klitkach śmierdzących środkami czyszczącymi. Jej usta przymierały się do tego, aby powiedzieć „tak” lub „nie” same, bez jej udziału. Czuła zawroty głowy, jej umysł błądził gdzieś niekontrolowany, dyskusja zamieniła się w morze dźwięków, z których wynurzał się nieogolony, obwisły podbródek, olbrzymi jak u wieloryba.

— Salomé? — Głos Tinta przebił się jakoś do niej. — Czy ty się dobrze czujesz?

Kiwnęła głową. Wróciła jej ostrość widzenia.

— Twoja kolej — rzuciła sucho Anna. Czasu było mało. —

Tak czy nie?

Chciała powiedzieć „nie”. Anna zmarszczyła czoło.

— Salomé!

Rozejrzała się dookoła. W bladym świetle patrzyło na nią dwanaście par oczu. Za kilka chwil wyjdą z tej pakamery, każdy zajmie się swoimi osobnymi sprawami, ale też każdy poniesie w sobie kawałek tego koszmaru.

— Tak — odparła.

Mieszała sos pomidorowy na kolację — nigdy nie zapomni jego słodko-bazyliowego zapachu — kiedy zadzwonił telefon. Podbiegła, żeby odebrać.

— ¿HOLA?

— Salomé?

— Słucham. — Nie poznała, kto mówi.

— Zimno dzisiaj, prawda?

Nie czuła nóg od kolan w dół. Uspokój się, pomyślała, wiesz, co masz robić.

— Tak — odpowiedziała. — Muszę wyjąć z szafy cieplejszy płaszcz.

— Dobry pomysł.

Wysłuchiwała się w ciszę po drugiej stronie.

— *Bueno. Adiós.*

— *Adiós* — pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Zapach perkoczących na kuchni pomidorów dochodził aż tutaj. Miała wielką ochotę choćby polizać ostatnią łyżeczkę, ale nie było czasu. Błyskawicznie podsumowała sytuację: dziadkowie drzemią, Roberto jest w swoim pokoju, Mamá w saloniku, naprzeciw wyjścia. Chyba za nią nie wybiegnie, ale torebka... W saloniku jest jej torebka, musi ją stamtąd zabrać, a więc powiedzieć, że wychodzi.

Spakowała kilka ubrań, na wierzch wrzuciła teczki biurowe i weszła do salonu. Mamá siedziała na sofie, czytając nie wiadomo który raz w życiu *Don Kiszota*. Z adapteru płynął głos Gardela — stara piosenka o Buenos Aires. Za plecami matki, na ulicy, dąb wyciągał ku czarnemu niebu swe nagie gałęzie.

- Mamo — zaczęła, sięgając po torebkę — przez pomyłkę przyniosłam do domu niewłaściwe dokumenty. Idę do biura, żeby je wymienić.

Co? — Matka położyła rękę na torebce. Salomé niechętnie spojrzała jej w oczy. Matka była ciągle jeszcze piękna, miała ostre rysy, czarne włosy, czerwone usta. Promieniała dyskretnym blaskiem, jak świeca w ciemnościach. Muszę przygotować na rano tłumaczenie. Ale jest godzina policyjna! Na ulicach pełno żołnierzy, to szaleństwo. Nie możesz wyjść.

Salomé spojrzała na swoją torebkę. Matka wczepiła w nią palce jak szpony. Wyobraziła sobie, że zaczynają się z sobą szamotać i padają na podłogę. Kiedy ja muszę.

— Salomé, w taką noc jak ta wszystko może się zdarzyć.

— Tu chodzi o pracę.

— Jakie to ma znaczenie? — Matka poderwała się na równe nogi. -  
Najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo.

Salomé pomyślała, że kocha jej czarne rzęsy, rozgniewane oczy i usta, z których potrafiło popłynąć tak wiele słów (jak balsam, jak iskra, jak brzytwa). Przez ułamek sekundy zdawało się jej, że mogłaby rozpaść się na tysiąc kawałków i zostać w domu jako mały kopczyk u stóp matki. Ale musiała wykorzystać szansę, bo matka nie trzymała już jej torebki. Natychmiast schyliła się po nią i pobiegła ku drzwiom.

\_ Nic mi się nie stanie! — zawołała, otwierając je.

\_ Zostań! — Matka chwyciła ją za nadgarstek.

Salomé się odwróciła. Dzielilo je zaledwie kilka centymetrów, czuła zapach olejku migdałowego we włosach matki; ta zatopiła w niej spojrzenie, mając nadzieję, że znajdzie odpowiedź na swoje niezadane głośno pytania, że wydobędzie z córki choćby jakąś wskazówkę, część tajemnicy.

— *Hija...*

Salomé wyrwała się jej.

— Pilnuj sosu — rzuciła jeszcze i wybiegła. Skierowała się prosto do kryjówki, w której pierwszy raz

kochała się z Tintem. Kłapa w podłodze, drabina, tunel. Zastała tam Tinta, Leonę i Héctora, żołnierza. Kiwnęli sobie głowami na powitanie. Nikt się nie odezwał. Przytuliła się do Tinta, a ten otoczył ją ramionami. Drżała, choć dopiero jego uścisk jej to uświadomił. Uchwyciła się go ze wszystkich sił, przywarła całym ciałem. Wiadro już zaczynało cuchnąć, ale trącała Tinta nosem tak długo, aż wyczuła jego własny zapach.

Zasnęli niespokojnym snem na betonowej posadzce.

Rano jakaś nieznana Tupamara przyniosła im chleb, ser, papierosy, wodę oraz wiadomość: policja znalazła ciało Mit-rione. Ludności nakazano pozostać w domach, zamknięto szkoły i banki, przeprowadzono niezliczone rewizje. Ogłoszono dzień żałoby narodowej, aby uczcić pamięć Mitrione. Aresztowano

dowódczynię ich komórki oraz wielu innych. Muszą pozostać w ukryciu. Dziewczyna wymieniła im wiadro na puste i poszła. Postać Anny, ich dowódczym, zamajaczyła w dusznej kryjówce. Leona wyglądała tak, jakby zamieniła się w figurę z kamienia. Salomé połamała bochenek chleba na kawałki.

— Leono — powiedziała — tak mi przykro.

Leona uniosła odrobinę brwi, aby pokazać, że słyszała. Salomé podała jej chleb i ser, ale przyjaciółka pokręciła przecząco głową.

— Musisz jeść. Wszyscy musimy jeść.

Zjadła. Wszyscy zjedli ten skromny posiłek w słabym świetle jednej latarki. Salomé starała się nie myśleć o domu, o żołnierskich butach, o dowodach winy pod materacem, o przewróconej lampie ani o rodzinie — o swojej rodzinie, o najbliższych. Siedzieli w ciszy równie nieprzyjemnej jak zapach z wiadra. Salomé postanowiła ją przerwać, zwracając się do Leony.

— Słucham? — odpowiedziała tamta.

— Opowiedz nam jakąś historię.

— O czym?

— O twojej rodzinie, o Rosji, wszystko jedno.

Leona spojrzała z niedowierzaniem na nią, na Tinta, który kiwnął głową, na Héctora, który wzruszył ramionami. Poprawiła okulary. Zaczęła mówić. Opowiedziała o swojej prababce Irinie, znanej w całym Perejasławiu z niezwykłego głosu. Kiedy śpiewała, małżeństwa przestawały się kłócić, chorzy odzyskiwali zdrowie i nawet przywiedłe rośliny wracały do życia. Wystarczyła godzina jej ballad, a topił się lód. Pewnego roku jej mąż i sześcioro czy nawet ośmioro dzieci zginęło w pogromie. Przestała śpiewać. Ziemia stała się jałowa, starcy umierali jeden po drugim. Ludzie z miasta zostawiali na jej progu koszyki z owocami i błagali, aby znowu zaczęła śpiewać. Już nigdy tego nie zrobiła, lecz jej ocalała córka odkryła w sobie laki sam dar. Odtąd śpiewała na głównym placu i już nigdy mi i ona, ani dzieci, które potem urodziła, nie cierpiały głodu nawet w najsurowsze zimy. To była babka Leony, którą pa-

miętała z najwcześniejszych wspomnień, jak bardzo lubiła kołysać się w jej ramionach i słuchać starych pieśni.

Kiedy Leona umilkła, zaczęli mówić pozostali. Opowiadali po kolei, a ich historie tworzyły jakby ciepły płaszcz, pod którym mogli się schować zarówno przed całkiem niedawną przeszłością, jak i przed przyszłością; otulał ich materia szerszą i jaśniejszą niż wszystko, co mogli dostrzec z perspektywy miejsca, w którym się znajdowali. Tinto podzielił się z nimi wspomnieniami o czarodziejskich sztuczках dziadków, o spotkaniach swoich rodziców w piekarni, o praprababce z Paysandú, która robiła tak dobre *empanadas*, że *argentinos* nie wahali się przeprowiać przez rzekę do Urugwaju, aby ich popróbować. Szesnaście koni utopiło się z powodu apetytu swoich panów na jej wyroby — była to najszczerza prawda, nawet dzisiaj znaleźliby się w Paysandú ludzie gotowi to potwierdzić. Tak czy owak, prawdopodobieństwo nie miało żadnego znaczenia w miejscu, w którym siedzieli, liczyła się tylko materia wspomnień. Salome podzieliła się z nimi historią rodziny gauczów, w której przyszła na świat jej babka Pajarita, opowiedziała

o drzewie, z którego wkrótce potem dziewczynka się odrodziła,

i o tym, że ona, Salome, jest praprawnuczką z nieprawego łoża José Gervasia Artigasa, o swojej matce, która nigdy, nawet w czasie drugiej wojny światowej, nie przestała pisać wierszy, a wkrótce po wojnie przeprowiała się przez rzekę do Argentyny, i o sprzeciwie matki wobec polityki Peróna, i o powielaczowym druku, który zmusił ją do emigracji, i o ojcu, wybitnym naukowcu, który doprowadził do tego, że pacjentka wstała z wózka inwalidzkiego, a potem się zakochał i ożenił z tą emigrantką--poetką wbrew woli swojej rodziny (mówiąc to, poczuła niespodziewaną sympatię do niego). Potem przyszła kolej na przygody wuja Artigasa, który przemierzył cały kontynent — Brazylię, Andy, Kubę. Minął drugi, potem trzeci dzień. Opowieści czyniły znośniej szym przebywanie w tej norze śmierdzącej ich ekskrementami i wydzielinami ciała. W końcu i Héctor dołożył swoją opowieść. Okazało się, że jego matka była córką

zamożnego *estanciero*, posiadającego aż dwieście akrów ziemi. Jako bardzo młoda dziewczyna zakochała się w stajennym i zaszła w ciążę. Rodzina ją wydziedziczyła, ona zaś wyjechała z ukochanym do Argentyny. Urodziła dziecko na skraju lodowca w Patagonii, skrajnie wyczerpana po dziesięciu dniach wędrówki bez jedzenia. Kiedy się obudziła, jej noworodka lizała sprężysta puma. Krzyknęła, a wtedy drapieżnik podniósł lśniący łeb i zajrzał jej w oczy. Po latach powiedziała synowi, że nagle poczuła dziwną więź ze zwierzęciem i stało się dla niej jasne, że to boży wysłannik. Przez następne dni i miesiące puma polowała dla nich i pomagała im przeżyć na niegościnniej ziemi. Zbliżała się jesień. Puma poprowadziła ich ku północy, a więc z powrotem do Urugwaju. Poszli za nią przez pampę, okolice wiosek, lasy i wzgórza, aż dotarli do rzeki Urugwaj, od której bierze początek ich nacja. Puma zatrzymała się na brzegu. Matka Héctora zaczęła szlochać i prosić, by została z nimi, ale niezwykle stworzenie błyskawicznie zniknęło między drzewami.

Takie opowieści pozwalały im przetrwać przy zdrowych zmysłach, w poczuciu względnego bezpieczeństwa. Aż do czwartego dnia, kiedy w porze, gdy na zewnątrz musiało zachodzić słońce, usłyszeli szuranie ciężkich żołnierskich butów.

## OCHO

Płacze, biadania i tęsknota za słońcem

Dni ciekły jeden po drugim. Salome miała wrażenie, że całe jej ciało przecieka. Betonowa podłoga, na której leżała, była pokryta plamami, lecz nie umiałaby powiedzieć, z której części ciała wylało się coś, co spowodowało to lub inne zabrudzenie. Nie umiała też powiedzieć, czy to dzień, czy noc, niebo czy piekło, czy w pomieszczeniu jest trzech mężczyzn, czy trzydziestu, czy przepaska na oczach jest mokra od krwi, czy od śliny, czy krzyczy na nią ciągle ten sam człowiek, czy już inny, czy ten, który coś nuci pod nosem, to ten sam, czy może też jakiś inny, czy za chwilę czekają kolejne ciosy, czy długi, długi gwałt, czy zawloką do celi z mokrym siennikiem, czy teraz nastąpią obdzierające ze skóry elektrowstrząsy, czy trafi do pokoju z całym arsenałem importowanych tortur — ostatni krzyk mody, i to jaki krzyk — och, ty mój kraju, jak się okazuje, nie jesteś tak zacofany, jak mówią, sprowadziłeś sobie wszystko, co można i czego nie można sobie wyobrazić. Przed niczym się nie cofniesz.

Na początku nie chciała mówić, nic wam nie powiem, wytrzymam, choćby nie wiem co, wytrzymam, ale bezkształtny, niepodzielony na dni czas ciągnął się niemiłosiernie, nie potrafiła już myśleć, było jej za zimno, za mokro, była głodna, naga, oprócz kaptura na głowie nie miała na sobie nic, nie

spała, bo sen był zjawiskiem z tamtego, odległego świata, w którym słońce nadal wstawało i zachodziło; to niemożliwe, to nie może być prawda, to się nie może znowu zdarzyć, nie, i w końcu jej usta otwierały się błagalnie, była odrażająca, brudna, goła, tak mało mogła im powiedzieć, naprawdę, nic właściwie, zdradziła, a to i tak ich nie zadowoliło. Już nie miała nic, co mogłaby ukrywać w swoim ciele, więc poszła na całość, kompletnie się załamała. Nie sądziła, że można załamać się aż tak i przeżyć. Czasami nienawidziła ich rozgrzaną do białości nienawiścią, która paliła ją jak dotyk *la Máquina*. Mogła nienawidzić i Salome, mogła nienawidzić wszystkich i wszystkiego, również tej siły, która sprawiała, że mężczyźni wokół niej poruszali się jak marionetki na sznurku — czyż nie tak było, czy to nieprawda? — a więc mogła nienawidzić tego monstrum wielkiego jak pięćdziesiąt kamienic, które przerastało wszystkie ludzkie istoty i majaczyło złowrogo nad nimi, toczyło pianę i szczyrzyło kły, gotowe jeszcze bardziej złamać załamanych, wyssać krew z więźnia i duszę ze strażnika. Taka ostrość odczuwania pojawiała się jednak tylko przelotnie. Czas nie miał końca, jej ciało nie miało granic, było otwarte, otwarte, otwarte. To niemożliwe, to nie może się dziać naprawdę. Modliła się o śmierć. Pewnego dnia, a może pewnej nocy prawie umarła, skąd mogła wiedzieć, czy to dzień, czy noc, w każdym razie czuła, że śmierć się przyczaiła, śmierć, słodka śmierć, już chwytła ją za skrzydła, tyle że nie wiadomo, skąd wyskoczyły na wierzch jakieś słowa: słowa mamy, linijka z jej poezji, pieprzony wiersz, który przebił się przez głosy tych ludzi i szum silnika elektrycznego. *Mam tylko ciebie, ogniu. Naga podchodzę do ciebie.* Wiersz wybił się, napećniał, zamienił w sznur słów, *tylko ciebie ogniu tylko ciebie ogniu tylko ciebie ogniu tylko ciebie ogniu*, sznur słów, których można się ucześcić, którymi można opleść całe ciało, które można śpiewać w widmowych zakamarkach umysłu.



Podobno przyznała się do popełnienia całej listy przestępstw. Zdjęto jej kaptur, aby mogła podpisać się pod oświadczeniem. Światło raziło jej oczy, skrzywiła się, ale ręce jakoś utrzymały się na stole. Dokument liczył wiele stron, lecz ona zobaczyła jedynie ostatnią. Ktoś powiódł jej rękę ku pustej linijce, która tylko czekała na wpisanie nazwiska. Poniżej umieściła datę. Minęło dziewięć miesięcy.

Została przeniesiona do więzienia dla kobiet, na obrzeża miasta. Słyszała o tym miejscu na zebraniach swojej komórki, ale nie potrafiła powiedzieć, czy przypomina zakład dla mężczyzn w Punta Carretas, bo oczy odsłonięto jej dopiero w celi. Pomieszczenie miało szerokość pryczy, trzy szare ściany i czwartą złożoną z krat. Salomé była ubrana w długą do łydek sukienkę ze zgrzebnej bawełny, bez żadnej bielizny pod spodem. Stała boso na betonie. Strażnik zamknął metalowe drzwi, szczęknęły kraty.

— Żadnych rozmów — rzucił mechanicznie. Z korytarza dochodziły kobiece głosy, szepty, kroki, rozległ się czyjś gardłowy śmiech i natychmiast umilkł.

Znowu miała oczy. Mogła patrzeć, chociaż dzień przynosił zaledwie namiastkę światła gdzieś z głębi korytarza. W celi panował lodowaty chłód. Był maj, zbliżała się zima. Maj, pomyślała, jest maj, ileż to miesięcy mi umknęło, październikowa bryza, upalny styczeń, duszny luty, umiarkowany marzec. Trzymali mnie w miejscu, gdzie nic nie było umiarkowane — nawet nie wiem, co to za miejsce — a to, co oni uważali za umiarkowane, było gorsze niż cała reszta. Podziemny świat. Świat — nieświat. Może wcale stamtąd nie wyszłam? Teraz przynajmniej mogę widzieć i mam cokolwiek: sukienkę, miskę, poduszkę. Zwłaszcza to ostatnie zdawało się jej zaskakujące, poduszka nie pasowała do podziemnego świata.

Mogła siedzieć, stać albo leżeć, jak się jej żywnie podobało. Oszłamiająca wolność. Usiadła na łóżku. Siennik był cienki,

spod spodu wystawały sprężyny. Nie ruszała się. Nie mogła myśleć. Przyniesiono jej miskę z pierwszym posiłkiem — papkę z kukurydzy. Sięgnęła po naczynie, które stało na podłodze, przekonana, że jedzenie ma zostać do niego przelane.

— Chcesz jeść z nocnika czy co? Cofnęła rękę.

— Świnia.

Siedziała z miską na kolanach. Nie była głodna. Nie czuła w ogóle swojego ciała i to ją cieszyło. Nic nie mogło jej dotknąć, ani głód, ani ta minuta, ani też następna. Kukurydzianka była wodnista i blada, ale żółta i ta żółć wyglądała szokująco. To takie dziwne — widzieć jedzenie, zanim trafi do ust. Postawiła miskę na podłodze. Człowiek zaczyna jeść oczami, a ona czuła się już prawie pełna, wręcz przejedzona od samego patrzenia. W korytarzu odezwał się głos kobiety, która mówiła: „Alvaro, Alvaro”. Salomé nie miała ochoty myśleć o Alvaro, kimkolwiek był, ani też o nikim, kto nosił jakieś imię, mieszkał poza tym murami, przeżył wiosnę i lato, które ją ominęły, i funkcjonował w spokojnym, normalnym rytmie tamtego świata, słonecznego świata, i może nawet teraz myślał o niej; nie, takich rozważań nie mogła do siebie dopuścić ani na moment, niech tamten świat zajmuje się swoimi sprawami i niech zostawi ją w spokoju, samą, tak jakby jej nie było. Zresztą nawet nie chce już istnieć, może tu umrze. Gdyby tak po prostu przestać jeść i zamienić się w cień? Już i tak w połowie jest cieniem. Może tak będzie lepiej. W ten sposób zerwie z siebie świerzb razem ze skórą. Na pewno tak będzie lepiej.

Przez kraty wbiegł szczur i natychmiast skierował się do miski z kukurydzianką. Powąchał, zaczął jeść.

— Nie — powiedziała Salomé, zanim w ogóle dotarło do niej, co robi. Szczur podniósł głowę. Miał błyszczące, czujne oczka.

— *Hijo de puta.*

Podniosła miskę z podłogi. Szczur wcale się nie przestraszył, tylko ruszył ku niej, w stronę łóżka.

— Nie — powtórzyła. Nagle poczuła, że mogłaby zabić zwierzę gołymi rękami, zdeptać je, byle tylko obronić swoją własność. Kopnęła szczura tak mocno, że powinien ją ugryźć, tymczasem spokojnie odszedł, tak jakby nie miał o co zabiegać, jakby jedzenie na to nie zasługiwało czy w ogóle cała sprawa nie była warta zachodu.

Spojrzała na miskę z papką. Walczyła o nią, teraz powinna ją zjeść. Była letnia, bez smaku, jednak powoli i sumiennie wkładała ją sobie do ust, myśląc: to moje, bydlaku, moje, i już.

Po jedzeniu zaczęło wracać jej czucie. Wbrew własnej woli znowu stawała się kruchym, mało odpornym receptorem zimna i bólu.

Tej nocy nie zmrużyła oka, przeprowadzając inwentaryzację ognisk bólu w swoim ciele. W swoim ciele. Jeżeli przeznaczone mu było żyć, musiała je żywić i zamykać oczy do snu, kucać przy oddawaniu moczu, kłaść się i wstawać, choć wcale nie miała na to ochoty i już samo myślenie o tym ją wyczerpywało. Nie przychodził jej do głowy żaden powód, dla którego powinna pozostać przy życiu, nie mogła się niczego takiego doszukać. Świat zewnętrzny — jakieś ulice, drzwi i głosy — wydawał się jej nierzeczywisty, ale i mało istotny, a przy tym nieosiągalny. Przeszłość, postrzępioną i pokiereszowaną, przykryła mgła niepamięci. Jeżeli jednak naprawdę była gotowa umrzeć i nie chciała walczyć, dlaczego nie pozwoliła szczurowi jeść? Skąd wzięła się ta chęć, aby go rozdeptać bosymi stopami? Zimno, było jej zimno w ręce i w nogi. Prześcieradło z grubego płótna nie dawało żadnego ciepła. Podciągnęła i objęła dłońmi kolana, aby choć trochę je rozgrzać. Jaka to dziwna rzecz, pomyślała, instynkt życia, też zupełnie jak zwierzę. Ma pazury, zęby, ma swoje tajemnice; żyje wewnątrz nas po cichutku, tak że w ogóle nie jesteśmy świadomi jego obecności, aż pewnego dnia postanawia odejść; wtedy zostaje po nas pusta skorupa albo przynajmniej tak nam się wydaje, do czasu gdy nagle trafiamy na jego trop w najmniej oczekiwanym miejscu, znajdujemy

ślady zębów na duszy; kiedyś chciałam żyć, kiedyś miałam w sobie to pragnienie, właśnie tu, w tym miejscu, zniknęło, ale dzisiaj znowu znalazłam ślad po jego ugryzieniu, więc może jednak jest gdzieś w pobliżu, a nawet jeśli nie w pobliżu, to w każdym razie nie aż tak daleko, aby nie mógł wrócić...

Zasnęła. Śnili się jej postawni mężczyźni stłoczeni w celi.

Minęło pięć dni, w czasie których jadła, kuciała, otwierała i zamykała oczy. Szóstego dnia strażnicy przyszli wyprowadzić kobiety na spacer. Stały rzędem w korytarzu. Jedna z nich ruszyła się zbyt wcześnie.

— Stój! — zawołał strażnik, zresztą niepotrzebnie, bo zanim wydobył z siebie głos, już wycelował w nią karabin.

Kobieta wydała nieartykułowany dźwięk i wróciła do szeregu.

— Teraz maszerować. Spuścić głowy.

Salome spuściła głowę, ale jako że miała do mistrzostwa opanowaną sztukę podglądania, policzyła prycze w mijanych celach — dwu-, cztero-, a nawet sześćoosobowych.

Wyszły na dwór. Przed chwilą chyba padał deszcz, ziemia była wilgotna, a niebo szare i ciężkie od chmur. Nareszcie jednak znalazła się na powietrzu, czuła, że istnieje słońce, mimo że dalekie i stłumione przez obłoki. Och, słońce, słońce, znowu dotykasz mojej skóry, tak się za tobą stęskniłam, sama nie wiedziałam jak bardzo. Zmrużyła oczy, może dlatego, że raziło ją światło, a może po to, aby nie płakać, nie umiałyby nawet powiedzieć dlaczego. Kobiety snuły się powoli w kółko, spuściwszy głowy zgodnie z rozkazem. Te, które ruszały się za szybko lub za wolno, przywracano do porządku uderzeniem kolbą, ale naprawdę niewiele je bito, bardzo niewiele, umiały chodzić, jak należy, i rytmicznie szurać nogami. Przez tę godzinę spacerniaka tworzyły jedno ciało, jeden wielki pierścień, każda kobieta była pojedynczym mięśnieniem całości, uważaj, wyznacz sobie tempo, idź równo, jeżeli będziemy szły do rytmu, strażnicy nie będą nas prześladować za to, że któraś sobie popatrzy ukradkiem na szare sukienki i na szare, zamknięte twarze kobiet,

które nie pokazują żadnych uczuć, nie ujawniają na zewnątrz nic z tego, co w nich tkwi, na tym polega cała sztuka, żeby się maskować. O Boże, ja ją znam, to Anna Wołkowa, wysoka i wymizerowana, zaciśnięta szczęka, pełna godności mina. Na widok Anny wspomnienie świata zewnętrznego uderzyło w Salomé z całą siłą, zanim miała szansę się na to przygotować. Obrazy wybuchnęły w jej głowie, zobaczyła lampy naftowe, zatłoczone kryjówki, pierś Tinta, pot na jego skroniach, warkot samochodów, pootwierane drzwi i okna, półmiski zjedzeniem, fotel na biegunach, oczy matki. Spuściła wzrok, tak by widzieć tylko brzeg szarej sukienki przed sobą. To nie była sukienka więźniarki, lecz jej matki — odwrócona plecami Mamá szła wolno tuż przed nią, na wyciągnięcie dłoni. Nie. Dosyć. Szara, więzienna sukienka, też coś, Mamá nigdy by czegoś takiego nie włożyła, to nie jej sukienka, to nie jej plecy. Ale to naprawdę Anna. Salomé nie przyszłoby do głowy, że nie jest sama w tym miejscu.

Po spacerunku odbył się prysznic, brany czwórkami, bez mydła, w nieogrzewanym pomieszczeniu. Woda obudziła skórę Salomé i skłoniła ją nawet do bezgłośnego śpiewu. Strażnicy byli czujni.

Tę noc przeleżała z otwartymi oczami. Było ciemno, lecz z korytarza dochodziło blade światło żarówki. Zastanawiała się, czy Anna już śpi, czy w tym samym budynku przetrzymywane są też inne kobiety z organizacji. Należę do Tupamaros, nadal jestem jedną z nich, muszę myśleć o swoich siostrach i braciach, o tych, którzy złożyli taką samą ofiarę jak ja i stracili tyle samo co ja, i byli tam, gdzie ja byłam. Nie mnie jedną to spotkało. Ta myśl ją przeraziła. Leona. Tinto. Guillermo. Orlando. Nie chciała o nich wiedzieć, lecz musiała. Musiała odnaleźć Leonę, jeśli tu jest, a także w jakiś sposób porozumieć się z Anną. Nawiązać kontakt, zebrać wiadomości, może nawet dowiedzieć się, jak się stąd wydostać. Owszem, to niemożliwe, ale czy Tupamaros nie robili rzeczy, które wydawały się niemożliwe? Czy nie organizowali już ucieczek z więzienia? Przecież

sama pomagała w sporządzaniu planów. Tylko że to było dawno temu, w czasach gdy policja działała po amatorsku, stosowała tortury bez planu i bez metody. Salomé nie miała oczywiście pewności co tego, jak sprawy wyglądają teraz, lecz chyba wiele się zmieniło. Dziewięć miesięcy. Urugwaj się zmienił, kto wie, jaki to teraz kraj. Nie umiała sobie wyobrazić, co się dzieje za tymi betonowymi murami, nawet nie chciała tego wiedzieć, bo wtedy musiałyby dopuścić do siebie myśl

o pewnym domu w kolorze piasku, który знаła tak dobrze

i który być może jest teraz już dla niej zamknięty. Zamknięty, zamknięty. Zamiast myśleć o tym domu, myślała więc o Leonie, o upartej Leonie z burzą włosów i buzią poważnego dziecka w okularach. Boże, jeżeli oni zabrali ci okulary... Leono, muszę cię znaleźć.

Znalazła ją podczas siódmego spaceru. Szła pięć szarych sukienek przed nią. Żadna z nich nie podniosła oczu, ale Salomé wiedziała, że się zobaczyły i pozdrowiły w takim samym pełnym zrozumienia milczeniu, jakie panowało między nimi w szkolnych czasach. Była wychudzona, odrętwiała, jakby zebrała wszystkie swoje siły życiowe na kupkę i schowała w sekretnym miejscu. W każdym razie miała okulary i żyła.

Dwie koleżanki w pobliżu. To dało jej siłę do tego, aby obudzić się jeszcze bardziej. Tego dnia zauważyła rzeczy, których dotychczas nie rejestrowała. Na przykład strażników: byli to sami mężczyźni — i tylko mężczyźni. Potrafili krzyczeć i bić, ale mieli też momenty nieuwagi, zmęczenia, ochotę na chwilę nieróbstwa, pogaduszki z kolegami. W końcu byli tylko ludźmi, starali się robić, co do nich należy, po to, by przynieść do domu kilka peso. Wydawało się, że czasami ciąży im własna gruboskórność, więc jeżeli więźniarki grały swoją rolę, chodziły w tempie i trzymały spuszczone głowy, to osłabiało ich czujność; nie przejmuj się, dziwki są grzeczne, widziałeś mecz? Podwórze najlepiej się nadawało do nawiązania kontaktu, bo słońce działało też na strażników. Jeżeli przygrzewało dość

mocno i jeżeli byli w dobrym humorze, zdarzało im się zostawiać kobiety samym sobie. Wtedy wystarczało przemyślnie dostosować krok, szurać w sposób jeszcze bardziej ospały niż zwykle, chociaż mniej miarowy, tak aby różnica pozostawała niezauważalna, a jednak pozwalała podejść do wybranej osoby. Pozostałe więźniarki usuwały się, aby zrobić miejsce, zagłuszyć zmianę tempa, ponieważ wiedziały, że następnym razem ty zrewanżujesz się im tym samym.

Salome dotarła do Leony prawie pod sam koniec spaceru.

— *Amiga.* — Było to bardziej westchnienie niż normalnie wypowiedziane słowo, ale Leona ją usłyszała.

— *Amiga.*

— W porządku? — Głupie pytanie. Leona zrobiła trzy kroki.

— Tak. A ty?

— Żyję.

Przeszły jeszcze kawałek. Strażnicy zdążyli już się wyprostować — czas wracać. Nazajutrz Salome znowu podeszła do Leony i razem dreptały w milczeniu. Potem nastąpiło pięć tygodni deszczów, więc nie było żadnych spacerów, tylko siedzenie w środku. W głębi nocy Salome wsłuchiwała się w głos swojego ciała, mówiącego jej rzeczy, których wcale nie miała ochoty słuchać.

Kiedy ziemia wyschła i ponownie wyszły na dwór, Leona dostała się do niej na samym początku spaceru.

— Są wiadomości — powiedziała, zwalniając, bo jakaś szara sukienka starała się ją wyminąć. — Tinto żyje.

Salome nabrała łyk białego nieba. Miała w sobie tyle rzeczy, które musiałaby wykrzyknąć, wyrzucić z siebie, gdyby jednak zaczęła, chyba nigdy by nie przestała.

— Jestem cztery cele za tobą — wyszeptała Leona. — Odezwę się, czekaj.

Salome czekała, aż w trzecią noc po spacerze usłyszała stukanie w ścianę. To nie były szczury, już знаła ich zwyczaje. Te odgłosy pojawiały się seriami — stuknięcia, cisza, stuknięcia,

cisza. Zaczęła je liczyć i wtedy zrozumiała kod. Był prosty: jedno stuknięcie na jedną literę alfabetu. Dwanaście oznaczało „l”, pięć „e”, szesnaście „o”. L-E-O-N-A-D-O-S-A-L-O-M-E.

J-E-S-T-E-M, odpowiedziała i poczekała, aż kobieta w sąsiedniej celi podejdzie pod przeciwległą ścianę i przekaże „J-E-S-T-E-M”. Twarz jej sąsiadki zdradzała silną skłonność do alkoholu; ani jedna noc nie mogła minąć bez jej chrapania. Teraz Salome wyraziła w myślach wdzięczność jej i jeszcze dwu innym, których twarzy nie знаła, za to, że tak cierpliwie przekazują jej wiadomość.

Przywarła plecami do ściany, splótłszy ręce na brzuchu. Znowu: C-H-C-E-M-Y-U-C-I-E-C.

J-A-K, spytała i zaczęła czekać. Palce piekły ją od stukania.

P-R-Z-E-Z-K-A-N-A-Ł-Ś-C-I-E-K-O-W-Y, przyszła odpowiedź.

Salomé pomyślała o przebijaniu się przez pozbawiony powietrza tunel, o brodzeniu w gównie, które będzie opływać jej brzuch, a ten brzuch za kilka tygodni będzie przecież wyglądał inaczej niż teraz. N-I-E-M-O-G-Ę.

D-L-A-C-Z-E-G-O?

Salome wystukała zdanie, które domagało się wypowiedzenia. J-E-S-T-E-M-W-C-I-Ą — mogła nie kończyć, sens był jasny, jednak męczyła palce aż do końca, choć sąsiadka być może wcale na to nie czekała, aby przejść z wiadomością pod drugą ścianę.

Cisza trwała tak długo, że Salomé zaniepokoiła się, czy przypadkiem Leona albo któraś z pośredniczek nie zasnęła. W końcu pojawiły się stuknięcia. D-O-S-T-A-R-C-Z-Y-Ć--C-I-D-R-U-T?

Wiedziała, do czego służą w więzieniu druty do robótek ręcznych, jak głęboko mogą sięgnąć i zlikwidować ciążę, o ile kobieta znajdzie sposób na zatamowanie krwotoku. Dotknęła swojego brzucha. Mogła i może powinna to zrobić, tyle że to coś, co w niej tkwiło, wczepiało się w nią z siłą uporczywego



owada, żywiło się każdą odrobiną jedzenia i domagało się słońca.  
N-I-E.

D-O-B-R-Z-E, brzmiała odpowiedź.

Będzie żyła. Musi żyć. Nie jest pustą skorupą.

Właściwie wręcz odwrotnie: była pełniejsza niż kiedykolwiek, pełniejsza nawet niż w pierwszych chwilach przynależności do Tupamaros, kiedy rozpierała ją chęć, by wykrzyknąć wszystkim ludziom w autobusie swój sekret. Ten, który teraz w sobie nosiła, przywiązywał ją do życia, kazał wyjadać do ostatniej kropli ciekawą zupę, budził potrzebę jedzenia, ruchu, odpoczynku, poduszek, jeszcze większej ilości jedzenia, tak jakby nie była głodna tylko za siebie. Źródło głodu nie miało jednak znaczenia, tak jak nie miało znaczenia przerażające pochodzenie dziecka. Celowo odwracała od tego myśli, ilekroć zawędrowały w tę stronę. Liczyło się tylko to, że była głodna, a przez to bardziej żywa. Chciała mieć prawdziwe ciało i kości, mogłaby zabić za miseczkę lodów, rozszarpać żywcem za talerz *milanesas* zdjętych prosto z patelni, jeszcze skwierczących — oliwa, wołowina, panierka — jak bardzo tego pożałowała, ale nawet jeżeli nikt jej tego nie da, już sam niepohamowany apetyt stanowił wielką siłę. Pozostali Tupamaros szykowali się do wolności, snuli plany, sterowali na odległość sprzymierzeńcami, którzy po drugiej stronie muru ryli tunel, aby uzyskać połączenie z kanałem ściekowym. Nie pójdzie z nimi. Jej przyszłość była trudna do przewidzenia, zresztą ani nie mogła, ani nawet nie chciała niczego przewidywać. Nie patrzyła w przyszłość, obchodziła ją jedynie teraźniejszość. Na spacerunku Leona miała smutną, współczującą wręcz minę dla obciążonej, schwytanej w pułapkę Salome. Gdyby mogły usiąść razem w cieniu eukaliptusa, powiedziałyby jej: „Leona, przestań, jestem w końcu pełna”. Pełna pełnią. To było bez sensu, ale

nie starała się doszukiwać żadnego sensu, była szaloną kobietą, tym bardziej szaloną, że dobrowolnie poddawała się szaleństwu. Pozwalała swobodnie błądzić myślom — one zaś zapędzały się aż do jej matki. Mamo, tak chciałabym cię zobaczyć, cholernie mi przykro, ryzykowałam, ale nie sądziłam, że to kiedykolwiek mi się przydarzy, a już na pewno nie chciałam nic złego zrobić tobie. Nie wiem, co się z tobą dzieje. Teraz dopiero uświadomiłam sobie ten jasny jak słońce fakt, że nosiłaś mnie w brzuchu, dawno temu, w Argentynie, i że czułaś różne rzeczy, i że w końcu się urodziłam, a ty podtrzymywałaś moją główkę, bo sama bym jej nie utrzymała, i coś tam sobie myślałaś, a ja teraz zastanawiam się, co to było. Czy myślałaś o swojej matce i o tym, co się z nią działo, kiedy nosiła cię w sobie, a potem wydała na świat i podtrzymywała ci główkę w tamtym domu, w którym razem mieszkaliśmy? To dziwna rzecz — myśleć o kobiecie, która nosiła cię w środku, kiedy sama masz w sobie coś, co staje się dzieckiem. Nie ma na to słów, żaden język tego nie pomieści. Trzeba by też jakiegoś pojemniejszego sposobu wyrażania, żeby oddać to uczucie, kiedy ostre powietrze wdziera się w płuca, kiedy pojawia się nagle świadomość, że nie ma już ciepłego łona, a za to jest bezbronność i samotność, z którą odtąd trzeba będzie żyć. Ciepło znika, pozostaje tylko w pamięci. W pamięci albo w wymyślanej od nowa historii, którą następne pokolenie kobiet przeżywa w swoim wnętrzu.

Przyszła zima. Zamarzały nawet szczurze odchody. Kiedy padał deszcz, więźniarki rzadziej wyprowadzano na spacer. Salome się rozrosła. Kiedy jej brzuch stał się widoczny mimo luźnej sukienki, strażnicy unikali dotykania go rękami lub końcówkami karabinów. W budynku było już raz niemowlę — mieszkało z matką przez dwa miesiące i bardzo płakało, kiedy ju, bito. Umarło w sierpniowe chłody.

Chciała tego, co było niemożliwe: chronić swoje dziecko jak najdłużej. Wiedziała, że surowe warunki życia i tak nastaną dla niego za wcześnie.

Wystukała przez ścianę:

L-E-O-N-A-P-R-Z-Y-J-D-Ż-P-O--T-E-M-P-O-D-Z-I-E-C-K-O.  
D-O-B-R-Z-E.

Z-A-B-I-E-R-Z-J-E-D-A-L-E-K-O. T-A-K.

P-R-Z-Y-R-Z-E-K-A-S-Z? T-A-K.

Uciekły pod koniec lipca. Salomé leżała w ciemnościach, towarzysząc im myślami w kanałach; grzęzła razem z nimi, razem z nimi się ślizgała, słyszała chlupot nieczystości, popędzała je: prędzej, prędzej, zaraz będzie trochę tlenu, nie zatrzymujcie się, nie poddawajcie się, koncentrujcie się tylko na tym, co was czeka u wylotu. Widziała Leonę i Annę, a także trzydzieści sześć pozostałych Tupamaras przedzierających się przez cuchnący potok. Bez niej. Nienarodzone dziecko kopało ją, uczipione trzewi.

Rano obudziły ją wrzaski strażników. Znajdowali kolejno puste prycze. Jedynym śladem po kobietach były włosy leżące na poduszkach, obcięte za pomocą przemyconych noży. Przewracali pościel na drugą stronę, ale znajdowali tylko te włosy, jak ludzkie organy pozostałe po amputacji.

— *La puta madre* — zaklął jeden — dowódca dobierze nam się do tyłków.

— Ale jak już dorwie te zdziry, to pozawiesza na latarni jak światełka choinkowe — dodał drugi.

— Ja z tym meldunkiem nie pójdę.

— *Mierda*. Napijmy się mate. Pierwszy strażnik zaśmiał się szyderczo.

— Mówię ci, napij się, żeby pozbierać myśli.

Salomé nie ruszała się, oni zaś pili i rozmawiali tonem znacznie mniej pewnym niż zwykle. Miała poczucie dumy i triumfu, a jednocześnie wielkiej samotności po ucieczce Leony i pozostałych więźniarek, z drugiej zaś strony wiedziała, że nie

powinna w ogóle tak myśleć, bo przecież stale towarzyszy jej wygłodniała istotka, która z każdym dniem staje się coraz silniejsza i której nóżki i rączki poruszają się w rytm słyszanej tylko przez nią muzyki — wilgotnej muzyki matczynego łona, pogodnej i lekkiej.

O szczegółach ucieczki z męskiego więzienia, do której doszło we wrześniu, Salome znowu dowiedziała się z podsłuchanej rozmowy strażników, których to zdarzenie zupełnie wytrąciło z równowagi. Sprawa, którą emocjonowało się całe miasto, wyglądała zadziwiająco i wręcz absurdalnie: stu sześciu mężczyzn wydostało się przez kanały w Punta Carretas. Policja tej nocy miała sporo zajęcia: istną lawinę wezwań do nagłych przypadków i bójkę nożowników na odległym końcu miasta. Organy w stojącym obok więzienia kościele grały nienormalnie głośno. Wejście do tunelu znajdowało się pod podłogą u rzeźnika po drugiej stronie ulicy. Na tę wiadomość Salomé dostała ataku śmiechu, którego nie mogła opanować. Strażnik krzyknął: „Zamknij się!”, ale jakoś bez przekonania, w końcu była jedynie wariatką w ciąży. Salomé wiedziała, że po drugiej stronie ulicy jest tylko jeden sklep rzeźnicki. Miała przed oczami jego szyld z obłazącą farbą i gwoździe, na których się trzymał. Zupełnie jakby tam była, wyobraziła sobie siwiuteńkich Coco i Gregoria w identycznych szlafrokach, jak szurając nogami, schodzą do sklepu i widzą otwór w podłodze. Znała każdy centymetr tych kafelków, porysowanych od dziecięcych zabaw jej matki, stołka babki i obcasów kobiet przychodzących po kuracje ziołowe. Czowała zapach mięsa i noży, tyle że ubiegłej nocy ten zapach na pewno był zupełnie inny, gdy pękły kafelki, z głębi wynurzyli się Tupamaros, a wśród nich Tinto, jej Tinto. Kolejno wypełniali sklepik z jego ładami i hakami na mięso, na oczach dwojga starych ludzi. Otrząsali się z nieczystości i wracali do życia, do światła.

Kiedy trzy tygodnie później rodziła, wrócił do niej obraz pękającej podłogi i wyjścia z brudów i ciemności do światła.

Urodziła dziewczynkę, której nadała imię Victoria. Dziecko miało niedowagę, było słabe i cały czas płakało. Nie mogła mu dostarczyć ani tyle ciepła, ani tyle mleka, ile potrzebowało. Miała prawo do tkaniny na pieluchy, ale musiała płacić za nią ciałem, a i tak zawsze dostawała jej za mało.

Mimo tych niedostatków były to jej najlepsze trzy tygodnie w więzieniu. Różniły się znacznie od okresu ciąży — teraz mogła trzymać dziecko, widzieć je, dotykać go i słuchać, a wszystko, czego doznawała, zadziwiało ją. Victoria miała skórę jak brzoskwinia. Jej głos był esencją muzyki, jej zapachy wręcz niewiarygodne i absolutnie doskonałe, nawet te kwaśne i mocne, zwłaszcza te — właśnie dlatego, że były mocne. Trzeba być mocnym. Salomé śpiewała, pierwszy raz od lat, cichutko, pod nosem mruzczała kołysanki: „Śpij, maleństwo, śpij, skarbeczku, żyj, żyj, żyj”. Dziewczynka, krucha i delikatna, rozczapierzała paluszki, zaciskała powieki i zapominała o tym miejscu i o kobiecie, która zrobiła jej ze swoich ramion kołyskę. Nie. Nie. Tak, tak będzie lepiej. Salomé starała się zapamiętać każdy moment, każdy paznokietek, każdy ruch, tak niezdarny i pełen nieskończonej gracji, modląc się o to, aby Leona dotrzymała obietnicy, i zarazem o to, aby o niej zapomniała.

Kiedy Victoria skończyła trzy tygodnie, przyszedł strażnik. Był niemłody i dosyć łagodny, w każdym razie nigdy nie tknął Salomé.

— Dziecko pójdzie na mały spacer — powiedział. — Dostanie prawdziwy chrzest.

Salomé instynktownie zacisnęła ramiona wokół córki, ale drzwi już były otwarte, już odbierano jej dziecko, nie utrzymała go.

— Ma na imię Victoria! — zdążyła krzyknąć, kiedy krata się zatrzasowała.

Następnego ranka obudziła ją rozmowa strażników na korytarzu.

— Słyszałeś o dziecku?

— Nie.

— Ci cholerni Tupamaros wykradli je z ramion babki.

Pory roku zmieniały się, a każda, ledwie nastała, wydawała się śmiertelnie zmęczona. Początkowo Salomé żywiła nadzieję, że Tupamaros przyjdą po nią, że zaaranżują jeszcze jedną ucieczkę i w ten sposób rozszerzą listę swoich wyczynów do trzydziestu dziewięciu kobiet i jednego dziecka. Wyobrażała sobie, że wezmą jakiegoś zakładnika i zażądamy wymiany, a prezydent ugnie się tym razem, albo że nawet wystąpią w jej sprawie do sądu, jako że przecież nie miała procesu, odsiedziała już swoje i to doprawdy powinno wystarczyć, no bo jeżeli nie, to jak długo jeszcze będzie przetrzymywana? Gdyby tak ją stąd wyciągnęli, wróciłaby do świata, do słońca i mogłaby patrzeć na swoje dziecko, dopóki jest dzieckiem.

Tymczasem jednak strumień kobiet płynął w przeciwnym kierunku: do więzienia, wcale nie na zewnątrz. Przybywało ich z każdym miesiącem. Nikt już nie miał pojedynczej celi, wszędzie dostawiano prycze. Kobiety były młode, tak jak ona, i musiały całkiem niedawno poznać, czym jest *la Máquina*. Widywała je, kiedy wlokły się po spacerunku, przy okazji cotygodniowego prysznic lub przy pracy w kuchni czy pralni — w miejscach, do których zaczęto ją dopuszczać. Musiała się dowiedzieć, co takiego dzieje się w tamtym słonecznym świecie za murami, że aż tyle kobiet trafia za kratki. Znalazła strażnika, któremu mogła się oddawać za stare gazety. Miał na imię Ramón, czasami dorzucił jej parę papierosów; nie był taki zły, mógł przecież i tak brać od kobiet to, co chciał, za darmo, ale wolał, kiedy się nie opierały, a jej ciało najwyraźniej się nie buntowało, nawet się nie wzdrygało. Gazety głosiły, że Tupamaros zostali najpierw osłabieni, potem złamani, a wreszcie ostatecznie zlikwidowani. Wyrwani z korzeniami jak chwasty, które rozpleniły się w mieście. Takich właśnie słów używano: „chwasty”, „wyrwać z korzeniami”, „plaga”. Wojsku należała

się wdzięczność za to, że wkroczyło do akcji, wykonało jakże potrzebną pracę i poradziło sobie z zadaniami, którym ani policja, ani prezydent nie potrafili podołać. Zaprowadziło porządek i teraz rządzi ulicą, ulica zaś ma do wojska zaufanie, bo gwarantuje normalność i spokój. Długo wpatrywała się w fotografię dziewięciu generałów otaczających kołem prezydenta. Prezydent Bordaberry siedział niżej niż oni, pochylony, ze skulonymi ramionami i uśmiechem hazardzisty przyłapanego na oszukiwaniu. Generałowie w ogóle się nie uśmiechali. Stali bardzo blisko siebie, ale tak, by się nie dotykać. Gazety zawsze docierały do niej z dwutygodniowym opóźnieniem, więc w momencie, w którym dowiedziała się o zamachu stanu, podobnie jak cała ludność Urugwaju żyła już w dyktaturze. To był w gruncie rzeczy drobny kroczek, zwykła formalność, więc nie powinna się dziwić. Gazeta z datą 28 czerwca 1973 roku głosiła, że poprzedniego dnia prezydent rozwiązał parlament, zamknął budynek i otoczył go wojskiem. Może zresztą było odwrotnie — wojsko otoczyło i zamknęło budynek, a prezydent oficjalnie to ogłosił. Tak, stał za tym, to on wysłał żołnierzy. Wszyscy senatorowie wrócili do domów, cóż mieli robić. Salome wpatrywała się w jego wąskie, zdecydowane usta. „Taka istniała konieczność i tak postąpiono by w każdym innym miejscu na świecie” — powiedział. Uniknięto rozlewu krwi. Akcja przebiegła spokojnie. Było już po wszystkim.

Salome oparła się o ścianę. Jej współtowarzyszka spała albo udawała, że śpi. Przebywała tu dopiero od kilku tygodni. Młoda dziewczyna, całkowicie dezorientowana, jakby nagle musiała odgrywać rolę w jakimś złym filmie, w dodatku bez znajomości scenariusza. Dlaczego ją tu umieszczono? Czy była zbrodniarką, członkinią Tupamaros, dysydemtka, czy tylko miała nieszczęście znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze? Czy teraz, w tym nowym Urugwaju, to się może każdemu zdarzyć? Ach, gdyby tak móc — jak kobiety z dawnych czasów — rwać sobie włosy z rozpacz i żałośnie lamentować w obliczu nieszczęścia. Z całą pewnością naród zasługiwał na

to, bo przecież go złamano, zniszczono zbiorowy sen. Gdybym miała siłę dawnych pokoleń, myślała Salome, i do tego była na wolności, nosiłabym żałobę i rozpaczałabym tak straszliwie, że moje lamenty przerosłyby El Cerro, naszą namiastkę gór, tak aby wszyscy pamiętali o tym, o czym nie wolno zapomnieć. Ale jestem uwięziona i nie mam siły dawnych pokoleń, dlatego muszę zdusić w sobie żale i biadania. To właśnie będzie moją siłą. W dzieciństwie sądziłam, że jestem już kobietą, i uważałam się za wojownika, chociaż to nie była prawda. Z czasem nauczyłam się lepić ze swoich krzyczących myśli pociski i chować je w sobie, tam gdzie nikt ich nie usłyszy ani nie dotknie. Nie pozbędę się swoich lamentów, żalów i elegii.

Obserwowała swoją śpiącą czy też udającą sen towarzyszkę z celi aż do momentu, gdy strażnicy przyszli wyprowadzić je na spacer. Drzwi kolejnych cel otwierały się i zamykały z trzaskiem. Dźwięk, który towarzyszył otwieraniu, był krótki i pospieszny, za to ściany korytarza jeszcze długo powtarzały huk zatrzaskiwanych drzwi. Zimowy deszcz chwilowo ustał i mogła zobaczyć kawałek niebieskiego nieba.

Brakowało jej wszystkiego — jedzenia, ciepła, przestrzeni, powietrza, światła. I tak miała szczęście, bo Raúl, jeśli akurat dopisywał mu humor, przynosił jej dodatkową porcję wody, którą dzieliła się z towarzyszkami z celi. Było ich trzy, co oznaczało wielką ciasnotę. Salome spała na cienkim sienniku rzuconym wprost na beton. Nazywały się Paz, Olga i Marisol. Zarówno Olga, jak i Marisol rzadko się odzywały. Paz, żonę reportera, aresztowano właśnie za to, że była żoną reportera. Miała czterdzieści lat i nie bała się patrzeć strażnikom w oczy. Piła własny mocz — ustawiała słoik na podłodze w zasięgu promieni słonecznych, które przechodziły przez kraty, i przesuwiała go w miarę upływu dnia, do czasu aż sole osiadły i płyn nadawał się do przełknięcia.

— Spróbuj, Salome, to nie takie złe.



Salomé odmawiała.

— Spróbuj swojego, będzie ci łatwiej.

Tydzień później przyznała Paz rację.

Musiały minąć całe miesiące, aby kobiety zaczęły opowiadać sobie swoje historie — powoli, przyciszonym głosem. Impuls mógł nadejść na spacerze, w pralni, pod prysznicem, w celi. Odkrywały je przed sobą podczas nocnego stukania w ściany. Okazało się, że są wśród nich działaczki związkowe, studentki i wykładowczynie szkół wyższych, socjalistki, komunistki, *batllistas*, artystki i dziennikarki. Wiele z nich pozbawiono wolności dlatego, że były czyimiś siostrami, córkami, matkami, narzeczonymi, żonami albo przyjaciółkami. Zabrano je z ulicy, wyciągnięto z łóżek, od kawiarnianych stolików. W nowym Urugwaju każdy obywatel pozostawał pod obserwacją i każdego jakoś klasyfikowano — w zależności od tego, na ile zagrażał porządkowi społecznemu, dostawał kategorię A, B lub C. Tylko ci z literą A mogli się nie martwić o to, że stracą pracę, rodzinę, kontakt ze światem zewnętrznym. Reżym miał pełne ręce roboty. Szeptano, że wielu ludzi uciekło z kraju.

Jeżeli tyłu uciekło i tyłu jest za kratkami, to kto w ogóle został w mieście? Salomé próbowała to sobie wyobrazić. Na pewno życie toczy się dalej, bo musi, w końcu ktoś tam jednak przetrwał, przetrwały też budynki, asfalt i bruk, rzeka tak jak dawniej ciśnie się do brzegów, jak w normalnym mieście pełnym zwykłych spraw. Żadna junta wojskowa nie zdołałaby wybrać całej wody z rzeki ani odebrać ludziom zwykłych spraw. One tam istnieją i cokolwiek by się działo, na pewno jest tam lepiej niż tu. W tamtym świecie Abuela nadal zaparza swoje herbatki, piecze ciasta, trąbią klaksony samochodów i ryczą ich silniki, dzwonią kościelne dzwony, Coco kroi mięso (czerwone, krwiste, przepyszne) w swoim sklepie, w którym naprawiono już podłogę, Mamá zapala papierosa w momencie, kiedy w jej głowie kiełkuje wiersz, Abuelo gra w pokera z gośćmi, Tinto szlifuje papierem ściernym kawałki drewna i może za nią tęskni, może,

kto to wie, Roberto obserwuje przez mikroskop jakieś żyjątka i rozmawia telefonicznie z ojcem, mówią: „jak się miewasz”, „wszystko dobrze”, „muszę ci opowiedzieć o doświadczeniu, które ostatnio przeprowadziliśmy”, Xhana kołysze się do rytmu wybijanego przez Cesara na bębnach, jego ręce są jak szybkie ptaki, Leona zajmuje się czymś, czym zajęłaby się już wcześniej, gdyby na jej drodze nie stała rewolucja, dziewczęta i chłopcy uczą się historii z nowych, tendencyjnie przerobionych podręczników, dzieci wrzeszczą, klaszczą w rączki, uczą się chodzić i mówić *mamá* (a także na kogo należy patrzeć, kiedy się to mówi), tysiące ludzi przyrządzają rano mate, bo co prawda są obserwowani, ale nadal codziennie rano się budzą i krzątają; przecież nie ma wątpliwości, że nadal istnieją mikroskopy, papierosy, dzwony kościelne, bębny, i nawet jeżeli poranna mate jest teraz zaprawiona lękiem, i tak się ją pije i tykwa krąży z rąk do rąk. Chyba że jednak wszyscy wyemigrowali. Jeśli chodzi o Leonę, Tinta, Orlanda i Annę, to całkiem prawdopodobne. Jej rodzina powinna jednak zostać — przynajmniej chciała móc myśleć, że żyją cali i zdrowi w Punta Carretas, choć nie miała pewności, że wszyscy uzyskali kategorię A. Niewykluczone, że związki krwi z członkinią ruchu Tupamaros naraziły ich na niebezpieczeństwo; ale może zdołali wykazać, krążąc po korytarzach różnych urzędów, że ich córka, siostra, siostrzenica i wnuczka nie stanowi już niebezpieczeństwa, że dawno ją złamano. A może nie mają pojęcia, do jakiej przypisano ich kategorii, żyją w strachu i nienawidzą zdrajczyń Salomé.

W niektóre noce śniły się jej niemowlęta unoszące się na wodzie. Pływała między nimi i szukała tylko jednego.

Kiedy indziej, leżąc na swoim cienkim sienniku, przypominała sobie patchworkową kołdrę z dzieciństwa uszytą rękami babki, każdy trójkąt, każdy pasek i kwiatek, każdy kawałek niebieskiej albo zielonej tkaniny. Robiła to dopóty, dopóki nie odtworzyła jej sobie dokładnie i nie ogrzała się w jej miękkich fałdach, dopóki nie powąchała liści, nasion i postrzępionych

łodyg. W wyobraźni unosiła ją ręką i przerzucała przez mur, rozpościerała nad miastem, a kołdra wisiała w powietrzu jak ptak, który bada kierunek wiatru, zanim ruszy w drogę powrotną do gniazda.

Raul zniknął. Na jej oddziale pojawili się nowi strażnicy i już nie była niczyją ulubienicą, nikt nie chciał jej tylko dla siebie. Brali sobie po kolei wszystkie kobiety. Rozdzierali im skórę. Skończyły się gazety.

Mijały lata.

Czas upływał wolno, bardzo powoli, sunął do przodu jak ślimak. Brakowało jej wszystkiego, ale nie czasu, który był wszędzie — niemiłosiernie rozciągnięty, nieskończony, nieubłagany. Szurła butami, wlokąc się za szarą sukienką dookoła spacerniaka, raz i drugi, i trzeci.

Siedziała w więzieniu od ośmiu lat. Czas na zmianę ścieśniał się i rozszerzał jak powietrze w akordeonie — z jednej strony nieskończony, a z drugiej bardzo ograniczony. Człowiek uczy się żyć jak drobina porwana przez strumień sił, na które nie ma najmniejszego wpływu. Nic go nie dziwi, niczego nie oczekuje, przebija się tylko przez ciemne, nieoznaczone na żadnej mapie trasy pojedynczych dni, kurczy się w obliczu mocy, lecz się nią nie przejmuje, właśnie dlatego, że jest zaledwie drobiną. Nie zatone, jest zbyt mały, aby zostały na nim ślady ran, nie stanie nikomu na drodze, nikt nie będzie sobie nim zawracał głowy, nie będzie dla nikogo zagrożeniem. Trwa, nie ściągając na siebie uwagi, aż w końcu świat o nim zapomina. Sam zapomina o sobie. Momenty, w których nawiedza go poczucie istnienia, są dla niego szokiem.

Pewnego dnia 1978 roku wraz z przeschmuglowanymi papierosami trafiła do niej cudowna przesyłka. Paczka jak zwykle

wpadła do kieszeni jej fartucha w pralni. Z pralek unosiła się para, na czole Salome perlił się pot. Strażnicy, którym też było gorąco, wyszli odpocząć na korytarzu. Otworzyła pudełko i znalazła w nim jakąś karteczkę wetkniętą między papierosy. Natychmiast ją wyjęła.

To był rysunek. Przedstawiał drzewo — miało brązowy pień, jak należy, lecz liście były złote, szkarłatne i fioletowe. Zachodziły na siebie, bo narysowała je ręka dziecka. Na dole widniał podpis: Victoria.

Salome powiodła placem po spiczastym V, po grubym pniu drzewa i po kolorowych plamach liści. Była wyjątkowo trzeźwa i przytomna. Miała ochotę wniknąć w ten obrazek, wejść między gałęzie jak jakiś wyliniały leśny zwierz, przyłożyć do swojego ciała ciepłe kolory, zjeść to drzewo, spać na nim, odbyć w przeciwnym kierunku jego trasę, dotrzeć do rączki, która gdzieś tam, w świetle zewnętrznym, wybrała akurat tę kredkę, a nie inną, i jeszcze tę, i tamtą.

Odtąd co noc wspinała się na drzewo i zwiјаła w kłębek w jego gałęziach.

Po dwóch kolejnych latach zlikwidowano kraty w oknach, które zamalowano na czarny kolor, aby nie wpuszczać słońca. W celach zrobiło się ciemno. Nocą Salome podnosiła Paz na barana, a ta wydrapywała paznokciami farbę. Tworzyło się małe kółko, przez które następnego dnia mogło przesączyć się trochę bladego, wytęsknionego słońca z kontrabandy.

Mimo skąpego światła zawijasy liści zachowały swoje kolory: fiolet był fioletowy, szkarłat szkarłatny i nawet złoto, które najbardziej się starło, połyskiwało złotymi smugami. Każda plama koloru była dla Salome pożywieniem, które ją pokrzepiało, ilekroć na nie spojrzała. Nie dałoby się znaleźć potężniejszego antidotum na truciznę więziennego świata niż te ślady kredek. Wystarczało jej tylko pomyśleć o ręce, która je zostawiła, o jej miękkim kształcie.

Zacząła się nowa dekada, która dla więźniarki nie była niczym więcej niż niezapisaną tabliczką czasu. Za murami nadal żyło miasto i trwał cały świat. Do kraju nieśmiało przenikały wieści z zagranicy. Urugwajczycy na emigracji przemówili. Organizacje praw człowieka zwróciły uwagę na to państwo, przeprowadziły rozmaite badania. Urugwaj pobił światowy rekord: najwięcej więźniów w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Władze oczywiście nie ogłosiły oficjalnie tego wyczynu, ale zaczęto się nim interesować za granicą, wszędzie tam, gdzie ukazywały się w prasie komentarze na temat smutnego rekordu — co prawda nie na pierwszych stronach, już raczej w dolnym rogu kolumn międzynarodowych. To i tak wystarczyło, aby zaniepokoić juntę. Zareagowała projektem nowej konstytucji, która zezwalała między innymi nachodzić nocą domy cywilów, nadawała bardziej formalny status władzy wojskowej, zakazywała działalności związków zawodowych, niektórych partii politycznych oraz strajków. Mury więzienia pulsowały od szeptów i stuków. W ten sposób, nocą, Salome dowiedziała się z długich zakodowanych komunikatów, że planowane jest głosowanie nad projektem konstytucji.

— Dlaczego? — zapytała ściany. — Dlaczego dopuszczają do głosowania?

Dostała w odpowiedzi cały zestaw przypuszczeń: dlatego że to samo zrobił Pinochet w Chile, dlatego że są pod ostrzałem opinii światowej, dlatego że pozują na prawowitą władzę, dlatego że chcą pokazać, iż naród ich popiera, dlatego że naród jest za bardzo zastraszone, sterroryzowany i przetrzebiony — dysydenci przecież wyjechali — żeby odrzucić projekt.

Były w błędzie. Głosowanie się odbyło, a dwa tygodnie później między murami zapanowała euforia. Naród zagłosował. „Nie”.

Salome wyobraziła sobie znękanych *montevideanos*, jak przemykali po ulicach i kulili się w domach na wieść o tym zbiorowym „nie”. Większość tak właśnie zagłosowała, ale nie obgadała tego z sąsiadami, kolegami z pracy, rodziną ani

w ogóle z kimkolwiek, toteż kiedy rozległo się powszechne „nie”, nie indywidualne, lecz złożone z tysięcy ukradkowych, niezidentyfikowanych głosów, byli zaszokowani jego siłą.

To był wyłom w fortocy. Stąd czerpała nadzieję. Śliską nadzieję, na której można było pojechać w przyspieszonym tempie albo ponieść klęskę.

W największym sekrecie obchodziła swoje trzydzieste urodziny. Całymi tygodniami planowała ten wieczór. Udało się jej zaoszczędzić miskę wody i tuzin przemyconych zapalek. Czekala do późnej nocy, aby mieć pewność, że towarzyszki z celi głęboko śpią. Wzięła miskę z wodą, która była zimna i gładka, i ostrożnie postawiła ją na swojej pryczy. Nie uрониła ani kropli. Zapaliła zapalke i schyliła się nad miską. Zobaczyła swoje odbicie w czarnej otoczce. Przyjrzała się kobiecie na tafli, a ta odwzajemniła się jej bacznyim spojrzeniem zapadniętych oczu. Zapalka się zwęgliła, zapaliła nową. Twarz kobiety nadal unosiła się na wodzie. Salome obejrzała jej wychudzone policzki, cienkie włosy, usta mocno zaciśnięte z przyzwyczajenia i oczy, oczy, oczy. Chciała ją poznać lub przynajmniej porządnie się przyjrzeć tej nieznaney twarzy, która kryła w sobie długą historię i z której rysów można było wiele wyczytać. Trzydzieści lat. To wydawało się niemożliwe, Salome nie umiała sobie uzmysłowić tej liczby, aleją czuła jak jakiś rodzaj obecności, a może jako zapach unoszący się w powietrzu. „Salome” — wyszeptała, a wtedy kobieta na wodzie też poruszyła wargami. Zapalka się wypaliła, lecz zostało ich jeszcze kilka, po to by wpatrywać się w te oczy i usta i nie mówiąc nic, mówić „Salome, Salome”.

Dwa miesiące później oznajmiono, że ma odwiedziny. W kapturze i kajdankach doprowadzono ją do rozmównicy. Kiedy znowu mogła widzieć, zobaczyła po drugiej stronie szklanej szyby matkę ze słuchawką przy uchu. Nagle posiwała — chociaż może wcale nie tak nagle, minęło przecież ponad dziesięć lat. Krótsze niż dawniej włosy subtelnie otaczały warstwami jej twarz. Wyglądała na zmęczoną i jednocześnie znać było po

niej napięcie. Jak zawsze miała usta pociągnięte czerwoną kredką. Salomé szukała w jej twarzy wyrazu potępienia, ale niczego takiego nie znalazła.

— Mamo! — Podniosła słuchawkę po swojej stronie.

— *Hija!* — Matka dotknęła szyby.

— Proszę trzymać ręce przy sobie!

— *Sí, señor,* przepraszam. — Matka natychmiast podporządkowała się nakazowi władzy, nie próbując nawet polemizować z jego absurdalnością.

Salomé pomyślała, że odpowiedziała w taki sposób, jakby sama była więźniarką. Mamá patrzyła na jej twarz, szyję, uszy i oczy, jakby szukając swojej córki w kobiecie, którą widziała. Usta jej się wykrzywiły. Salomé spuściła wzrok.

— Tak strasznie dużo czasu — rzekła Mamá.

— Tak.

— Próbowałam zdobyć pozwolenie na odwiedziny. To trwało.

— Dziękuję. — Najchętniej powiedziałyby: „Przykro mi, że mnie widzisz w takim stanie”, ale nie było możliwości, aby Mamá zobaczyła ją w innym. Zdobyła się więc tylko na: — Przykro mi.

Mamá odpędziła te słowa ruchem ręki.

— Dobrze się czujesz?

— Tak.

Kłamstwo było oczywiste, lecz Mamá przyjęła je z ulgą.

— My też.

— Jak Abuela?

— W porządku.

— Abuelo też?

— Tak.

— A Roberto?

— Bardzo dobrze. Jest w Stanach Zjednoczonych. Salomé spojrzała zdziwiona. Nie przypuszczała, że będzie musiał uciekać.

— Dostał pracę w Kalifornii, jeszcze w siedemdziesiątym pierwszym roku.

— Rozumiem.

— Jest wykładowcą. U Flor też wszystko dobrze, ich córeczka jest zdrowa.

— Mają córkę?

Mamá kiwnęła głową i wycedziła:

— Lubi rysować, szczególnie drzewa.

W niewietrzzonej rozmównicy było gorąco. Salomé złała się potem.

— Z zielonymi liśćmi?

Mamá spojrzała na strażnika, ale ten gapił się obojętnie w jakiś punkt.

— Nie. We wszystkich kolorach: czerwone, bordowe, żółte. Salomé brakowało tchu.

— Twoja bratanica wydaje się szczęśliwym dzieckiem. Salomé brakowało tchu.

— Niczego jej nie brakuje.

— Ach.

Mamá patrzyła przez szybę z uchylonymi ustami. Ręce opierała spokojnie o metalowy stół. Miała zadziwiająco gęste rzęsy i to wydało się Salomé niezwykle pocieszające: nieważne, jakie burze przetaczały się przez świat, nieważne, że przybywało im obu lat, jej matka codziennie rano tuszowała rzęsy, tak aby były długie i czarne, a jej spojrzenie wyraziste.

— Została minuta — oznajmił strażnik.

Mamá zacisnęła pięści. Odwróciła się w stronę strażnika, a potem ku Salomé.

— Wrócę. Mam pozwolenie na jedną wizytę w miesiącu. Wracала regularnie co miesiąc, na te kilka bezcennych minut

w rozmównicy. Salomé szykowała przed każdymi odwiedzinami zestaw pytań — o to, jak wyglądają ulice, jak coś smakuje, jak ludzie się zachowują, co się dzieje w Kalifornii. Czasu było zawsze za mało, a rozmowy odbywały się oczywiście w obecności jednego lub nawet dwóch nadzorców, więc dostawała fragmentaryczne, cząstkowe, zaszyfrowane odpowiedzi. Dowiedziała się, że dziadkowie dożyli osiemdziesiątki w zadzi-



wiająco dobrym zdrowiu. Że Tía Xhana i Tío César wyjechali, aby zamieszkać „razem z ojcem Xhany”. Że od śmierci Coco Abuela Pajarita potajemnie leczy ludzi w swojej kuchni, Abuelo zaś wysiaduje całymi godzinami w oknie, patrzy na więzienie i na dęby. Że nigdy nie zabrakło im jedzenia, między innymi dzięki kopertom, które przychodzą ze Stanów. Że Roberto pracuje w San Francisco, mieście słynnym z mostu, który nazywa się złotym, chociaż w rzeczywistości jest czerwony. Że uczelnia Roberta nazywa się Stanford, a on prowadzi badania nad przepoczwazaniem się owadów — matka wyjaśniła, że chodzi o moment, kiedy wydobywają się z kokonów, co wiąże się z wydzielaniem dużych ilości jakiejś wyjątkowej substancji. Że brat ma ładny niebieski dom i dwa aparaty telefoniczne do jednej linii, co jest bardzo praktyczne, kiedy razem z Flor dzwonią na Boże Narodzenie do Urugwaju. Jego córeczka, jedynaczka, jest żywym dzieckiem, lubi rysować kredkami, jeździć na wrotkach i ma tyle lalek, że nie można ich zliczyć. Mamá przyniosła zdjęcie, które strażnicy pozwolili jej przyłożyć do szyby. Ukazywało dziewczynkę o brązowych oczach i włosach ozdobionych dwiema żółtymi kokardami, najwyraźniej dobrze odżywioną, ładną jakąś trochę bolesną urodą, uśmiechającą się w ramionach gigantycznej Myszki Miki. W tle majaczył niebieski zamek z bajki.

Tej wiosny Victoria, bratanica Salome, mistrzyni jazdy na wrotkach, skończyła w dalekim kraju dziesięć lat, a w czasie uroczystości urodzinowej mówiła „proszę”, „dziękuję”, „tort urodzinowy” i „mamusiu” w obcym, dalekim języku.

Personel więzienny dostał rozkaz usunięcia czarnej farby z okien i zastąpienia jej zielonymi ekranami z akrylu. Już nie dało się ich wydrapać, toteż w ciągu dnia kobiety spowijała ponura zielonkawa poświata. Wyglądały jak ciężko chore albo jak stworzenia z innej planety, które nie wiadomo po co pojawiły się w dusznej atmosferze ziemskiej.

Powoli przenikały do nich wiadomości ze świata zewnętrznego. W murach fortecy pojawiły się nowe pęknięcia. Z wygnania wrócił pewien polityk. W Montevideo doszło do najprawdziwszego protestu. O ósmej wieczorem pogasły światła w domach, kwadrans później zaś ludzie zaczęli niemiłosiernie hałasować, bo każdy w ciemnościach swojej kuchni tłukł w garnki. W powietrzu wisiało słowo „wybory” — powtarzano je z ust do ust w pralni, na spacerniaku, wystukiwano wieczorami. Salome myślała o juncie, o starzejących się generałach — widziała ich siedzących przy stole, leżących w łóżkach, spacerujących po plaży w Punta del Este. Byli zirytowani męczącym zadaniem sterowania państwem, zirytowani oznakami własnej słabości. Marzyły im się pieniądze, odpoczynek, nagie biusty tancerek. Pragnęli zrzucić z siebie brzemię sterowania niewdzięcznym narodem w świecie, który ich nie lubił. Gdyby tak dopuścili do wyborów...

Salome nadal przygotowywała się do wizyt matki — szykowała pytania i gromadziła energię do tych spotkań. Niekiedy rozmawiały tak łapczywie, że się wzajemnie zagłuszały — obie naraz słuchały, naraz mówiły i żadna nie chciała ustąpić, tak pilno im było się wygadać. Kiedy indziej siedziały spokojnie, mimo że do końca zostało jeszcze trochę czasu, zbliżały ręce do szyby, markując dotyk, i każda patrzyła gdzieś w przestrzeń. Nawet to milczenie było wypełnione obecnością matki. Fakt, że tu przychodziła żywa, z krwi i kości, stanowił dowód na to, że inny świat nadal istnieje.

A jeżeli rzeczywiście, dumiała Salomé, leżąc na pryczy, nie spędzi całego życia za kratkami, jeżeli nie jest jej przeznaczone umrzeć wśród tych szarych murów, jeżeli reżim się zmieni, a ona znowu będzie mogła kiedyś iść ulicą — to co? Tutaj otacza ją ciemne pudełko celi wypełnione ciężkimi oddechami kobiet, tutaj ma pryczę, na którą może się zwalić wieczorem i rozpaść się na kawałki, stracić kontrolę nad mięśniami, opróżnić umysł ze smętnych godzin dnia, a co tam ją czeka? Tutaj jest żywa, oddycha, chodzi, liczy godziny do następnych od-

wiedzin matki, podporządkowuje się rozkazom strażników, wyobraża sobie swoje ręce w trakcie zawiązywania żółtych kokard na brązowych włosach albo zajęte krojeniem krwistego befsztyka, albo trzymające książkę w saloniku starego domu — czuła wręcz gładkość tych wstążek, chłód noża, ciężar książki. Jest żywa, ale ile w niej tego życia? To właśnie było zasadnicze pytanie: jaka część jej samej bezpowrotnie zniknęła, wymazana przez mijające godziny i lata, w jakim stopniu zmatowiała, wyblakła? Przez większość dnia nie mieszkała w swoim ciele, była pyłkiem, okruszyną dryfującą na powierzchni godzin. Tylko późną nocą, w całkowitych ciemnościach, kiedy rozpadała się na kawałki, wynurzało się jakieś jądro, coś, co jeszcze było nią. Niewątpliwie jednak zmieniała się w ciągu tych długich lat — kim zatem się stała? Kim się stanie, kiedy już przekroczy bramę? Kto tam ją przyjmie? Na wolności nie będzie drutu kolczastego, będą za to ludzie, których kiedyś знаła i którzy zapewne zmienili się przez lata, słońce, świeże, ciepłe jedzenie, a także dziesiątki drobnych decyzji do podejmowania każdego dnia. Zastanawiała się, jak to zniesie. Zastanawiała się, jaki będzie smak wolności.

Kolejny rok, 1984, różnił się od poprzednich. Przypominał kota, który budzi się ze snu i powoli przeciąga. Podnosił się ostrożnie, rozglądał, przeżył grzbiet. Na listopad zapowiedziano pierwsze od trzynastu lat wybory.

W końcu nastał listopad.

Junta przegrała. Wygrał niejaki Sanguinetti. Uśmiechał się do jakże licznych kamer, powtarzał słowo „demokracja”, ścisnął dłonie ludzi w mundurach. Odbyła się bezkrwawa zmiana. Trudno było w to uwierzyć, Salome zaczynała mieć nadzieję, potem karciła się za nią, bo nadzieja jest niebezpieczna, człowiek się zapala i robi się bezbronny, a przecież wszystko może się zdarzyć, generałowie mogą jeszcze zmienić zdanie, zabić nowego prezydenta i jego rodzinę, więc lepiej niczego sobie

nie obiecywać. Mimo wszystko nie potrafiła się opanować, bo jednak zaszły zmiany, zupa była cieplejsza, kasza kukurydziana gęstsza, kobiety jakoś głośniej stapały po betonie, strażnicy snuli się osowiali, Mamá promieniała po drugiej stronie szyby jakby chciała powiedzieć: „On cię wypuści, zobaczysz, wydobędziemy cię stąd”. Salome chciała w to wierzyć w końcu zdawało się, że wszyscy dookoła w to wierzą, wszystkie kobiety w szarych sukienkach nosiły wyżej głowy, ona też już nie była taka jak przedtem, jej ciało przebiegały dreszcze, wyobrażenia wolności pojawiały się nieproszone — obrazy ulic, po których można się przechadzać, niebo, które można pić, chleb który można kroić na grube pajdy. Te obrazy stale ją nawiedzały i nie pozwalały spać.

Sanguinetti, nadal żywy i rzeczywisty, objął urząd w marcu. Po tygodniu dwóch strażników zaczęło otwierać cele, choć było jeszcze za wcześnie na spacerki.

— Ty. Ty. Wy cztery. Ty.

Salome i większość jej sąsiadek jak zwykle uformowała na korytarzu szereg. Czekały. Salomé spojrzała na Paz. Strażnik zakaszłał i powiedział:

— Prezydent podpisał wczoraj ustawę. Panowała cisza jak makiem zasiał.

— Ta ustawa gwarantuje amnestię dla wszystkich więźniów politycznych.

Paz skuliła ramiona.

— Za pół godziny zostaniecie zwolnione.

Paz się zakołysała. Któraś z kobiet jęknęła. Nikt nie kazał jej milczeć.

Salomé nie miała prawie nic do spakowania — oprócz swojego ciała i szarej sukienki posiadała jedynie wyblakły rysunek drzewa. Wsunęła go do majtek i oparła się o ścianę celi, próbując ją zobaczyć taką, jaka rzeczywiście jest; przeżywała sen, w którym cela powinna stać się już tylko wspomnieniem. Olga płakała, Marisol wpatrywała się w jakiś punkt. Paz trzymała każdą z nich za rękę i przemawiała do nich

pogodnym tonem, którego Salomé nigdy u niej nie słyszała. Sama czuła się lekko, jakby zaraz miała opuścić swoje ciało, precyzyjnie się przez kraty i podryfować aż do nieba, do błękitu, wyżej, coraz wyżej, aż do punktu, od którego zacznie się spadanie — opadnie powoli na jakiś fragment miasta, biały, zielony lub w innym kolorze, ale na pewno nie szary. W dowolnym kolorze, byle nie szarym. Strażnicy wrócili i poprowadzili kobiety w szeregu, który od razu zaczął rozdzielać się na buntownicze grupki; nie bały się kary, już nikt nie mógł ich ukarać. Szły przez kolejne korytarze z rzędami krat i długimi, gołymi murami z betonu, aż znalazły się w ponurym, szarym pomieszczeniu, którego Salomé nigdy nie widziała. Tabun kobiet podpisał pospiesznie papiery; lgnęły do siebie, zbierały się w spokojne, rozmawiające szeptem grupki, lecz z czasem zaczęły mówić głośniejszym głosem, popatrywały na drzwi, podchodziły do nich, przystawały, aż w końcu napały, by wydostać się na zewnątrz, na słońce. Światło dźgnęło skórę Salomé. Dzień był rześki, jesienny, pora zachodu słońca, które kładło się nad Montevideo, zstępując z niezmiernego nieba.

Podeszła do bramy więziennej. Od ulicy napierał na nią tłum ciał, twarzy i rozpostartych ramion. Rozglądała się i rozglądała, aż w końcu je zobaczyła: czekały z tykwą mate, broniąc się łokciami przed tymi, którzy mogli je popchnąć: Abuela i Mamá.

## NUEVE

### Liście eukaliptusa

*Monte. Vide. Eu.* „Widzę górę” — powiedział jakiś człowiek miliony lat temu, a miasto zaczęło samo się wymyślać. Teraz znowu musiało to zrobić: powstać, odchrząknąć i spluć, przetrzeć oczy po koszmarze, który przeżyło. Salome siedziała przy oknie w saloniku i obserwowała maleńki wycinek miasta: drzewa, kobiety na stopniach kościoła, samochody, które musiały zwalniać na kocich łbach, podczas gdy z ich odbiorników dochodziły melodie amerykańskich piosenek. Siwowłose kobiety na stopniach kościoła były posępne i patrzyły z dezaprobatą na rockandrollowe auta. Wiatr kołysał wysoko liśćmi dębów. Spędzała przy tym oknie całe dni. Nie wychodziła z domu. Mogła, gdyby tylko zechciała, była wolna, lecz przestrzeń wolności okazała się dla niej zbyt wielka. Świeże powietrze ją przerażało, nie potrafiła oddychać, jeśli było go za dużo, zresztą nie musiała wcale wychodzić, w domu miała aż nadto wszystkiego. Potrzebowała tygodni, aby przyzwycząić się do klamek u drzwi i do kontaktów — pamiętasz, jak to się robi, przekręcasz, kiedy tylko chcesz, pstrykasz i gasisz, przechodzisz do innego pokoju. Wspomnienia spadały na nią ze ścian, wyskakiwały nie wiadomo skąd. Niektóre należały do niej, inne chyba nie, niektóre były prawdziwe, inne wymyślone. Wy-

chylały się z każdego mebla, z każdego zakurzonego kąta. Każdy przedmiot, nawet widelec, lustro lub taca, nie mówiąc o fotografiach, niósł z sobą mnóstwo historii. Łyżeczka opowiadała o tych niezliczonych razach, kiedy wędrowała do ust krewnych Salomé. Na mnie stał zegar — mówił mahoniowy stolik — który wybijał godziny, kiedy rodziła się twoja matka. Pamiętam każde słowo wypowiedziane w tym pokoju po zmroku — mruczał abażur. Miałaś pięć lat, kiedy zdarzyło się to lub tamto — dorzucała szafa. Salomé potrafiła godzinami przysłuchiwać się tym szeptom, które dawały jej wytchnienie od tego, co rozbrzmiewało w jej wnętrzu — od „Zamknij się!” wykrzychanego przez strażnika, od nocnych jęków obcej kobiety, od głosu, który mówił jej, że już nie należy do tego miasta, że jest jak ten mężczyzna z bajki, który zasnął pod drzewem i obudził się po latach w zupełnie zmienionym świecie, kompletnie zagubiony. Nie jestem zagubiona — wmawiała sobie. Znam to miejsce i ono mnie zna, to mój dom.

\_ Nie martw się o pieniądze — powtarzała Mamá. — Daj sobie czas. Niczego nam nie brakuje.

Nie brakowało im niczego, bo mieli koperty od Roberta i napiwki zebrane przez mamę pracującą dwa razy w tygodniu w kawiarni, a także wizyty sąsiadek. Kiedy siedem lat temu Coco zmarła na raka, Pajarita spróbowała odłożyć swój koszyk do lamusa, lecz kobiety uparcie pukały do jej drzwi, nie zważając na godzinę policyjną, omijały zrećznie patrole i nadal domagały się od niej ziółek i porad na strzykające stawy, na słabnącą lub zbyt dobrą pamięć, na dziwne bóle w okolicy bioder, na serce, które dokucza od czasu, gdy dzieci zniknęły nie wiadomo gdzie albo wyemigrowały, na tęsknotę za uwięzionym mężem, na strach przed więzieniem, na sztywność rąk, na wykręcone usta, na zgubione klucze, na nocne poty, na wstydlive żądze, na napady paniki i na przyływy takiej wściekłości, że mąż musi się chować, jeśli nie chce oberwać garnkiem. Abuela Pajarita nikogo nie odsyłała z kwitkiem. Prowadziła pacjentki do kuchni, słuchała ich cierpliwie, a potem sięgała

do któregoś ze swoich słoików. Jej kategoria jako obywatelki spadła z A do B z powodu tych ukradkowych wizyt, a może też z powodu wnuczki lub publikacji córki. Nie przejmowała się tym, jak wynikało z jej opowieści. Miała osiemdziesiąt sześć lat. Palce jej drżały, ale się nie myliły. Eva pomagała jej nieraz, zastępowała jej ręce. Salomé obserwowała niekiedy, jak matka i córka, obie posiwiące, zajmują się jakąś kobietą o zapłakanej lub, przeciwnie, zamienionej w kamień twarzy, najczęściej jednak chowała się przed gośćmi w swoim pokoju albo w saloniku, w którym Abuelo Ignazio królował na sofie jak na tronie. Miał dziewięćdziesiąt jeden lat, był cały pomarszczony i zadziwiająco silny; w czasie jednej i tej samej rozmowy jego umysł potrafił kilkakrotnie przechodzić od zadziwiającej ostrości kojarzenia do stanu kompletnego rozmiękczenia. Godzinami mógł rozprawiać o żółtych apaszkach, o gładkości i połysku materii. Narzekał na żonę, że je przed nim chowa. Był przekonany, że Salomé nie było z nimi przez jakiś czas, bo wyjechała w góry. Eva uprzedziła ją o tym w autobusie, którym jechały z więzienia.

— Początkowo nie chciał w ogóle o tobie rozmawiać. Nie przejmuj się tym, muszę ci po prostu o tym powiedzieć. Udawał, że nie słyszy twojego imienia. Potem, w osiemdziesiątym pierwszym, tak, to było chyba w osiemdziesiątym pierwszym, zaczął mówić o jakichś górach, że są wysokie, strome, zasypane czystym śniegiem. Salomé musi być tam bardzo dobrze, skoro jeszcze nie wróciła. Nie wiem, czy naprawdę w to wierzył, czy sobie wmówił. Mamo, co ty sądzisz?

Pajarita spuściła głowę i spojrzała na swoją rękę ściskającą rękę Salomé. Dwie chude dłonie wstrząsane drganiami autobusu.

— Jedno i drugie — odpowiedziała.

— Trzeba się z tym pogodzić — stwierdziła Eva. Salomé pogodziła się z tym bez trudu. Abuelo Ignazio wstał, kiedy weszła do domu. Była zaskoczona szybkością ruchu.

— Salomé. Wróciłaś!

Potaknęła i uśmiechnęła się do niego.

— Jak ci się podobało w Alpach?



Nie była pewna, co powinna odpowiedzieć. Ucałowała go trochę niezręcznie. Pachniał mydłem i octem z lekką domieszką potu.

— Nie marzłaś tam?

— Marzłam.

— Było dużo śniegu?

— Dużo.

— Ale pięknie, prawda?

Zaczął poklepywać ją po plecach, jeżdżąc rękami w górę i w dół, w górę i w dół. Dom wypełniał aromat pieczeni wołowej, rozgrzanego piekarnika i ziół, których nie potrafiła nazwać — posiłek został przygotowany na jej powrót, pachniał niebiańsko, a nawet lepiej, pachniał wspaniałą zwierzęcą siłą.

— Powiem ci prawdę, Abuelo. — Salomé słyszała matkę, która już rozkładała talerze w kuchni. — Tutaj bardziej mi się podoba.

Abuelo spojrział z niedowierzaniem. Salomé poczuła, że jest wyczerpana, że zmęczenie osiada na jej ramionach jak ołów.

Byli dla niej aż za dobrzy, naprawdę — i dziadkowie, i matka. Za dobrzy, za delikatni. Nie zdążyła powiedzieć, że jest głodna, a jedzenie już czekało na stole. Przepędzali ją z kuchni, kiedy chciała posprzątać po posiłku. Wygladzali jej kołdrę, kiedy nie patrzyła. Nigdy jej nie budzili, niezależnie od tego, jak długo spała, chyba że krzyczała w środku nocy. Wtedy, jeśli nie zbudziła się sama, do rzeczywistości przywracały ją dotyk matki, jej ręce w ciemnościach, ramiona obejmujące głowę, zapach perfum wynurzający się z jej dekoltu. Mamá szeptała: „ciiicho, ciiicho”, kołysała ją i tuliła, jakby córka miała cztery, a nie trzydzieści cztery lata. To było okropne, upokarzające, tym bardziej że tak mocno tego łaknęła. Udawała wtedy, że śpi, rano zaś udawała, że niczego nie pamięta. Za dnia i Salomé, i Mamá unikały nieraz swojego wzroku. Wspólnie paliły papierosy, wspólnie siedziały i czytały, ale nie patrzyły na siebie. Mówiły tylko o czasie teraźniejszym: o tym, że jest gorąco, że wieje wiatr albo że mży, że mięso się marynuje, że chyba zagotowała się już woda na mate i że ktoś puka, na pewno

jakaś klientka do babki. Salomé dostawała oczywiście do picia różne gorzkie napary, które połykała bez słowa trzy razy dziennie. Fakt, że nikt o nic jej nie pytał, przyjmowała z ulgą. Niewiele miała do powiedzenia, bo to, co tkwiło w jej gardle, nie nadawało się do wymówienia. Jej matka nadal była jak labirynt, zagadkowa, pełna meandrów. Miała sześćdziesiąt lat i w dalszym ciągu potrafiła nagle wyjść z domu w jakieś nieznane miejsce, rzucając mgliste wyjaśnienie. W więzieniu skrytość staje się drugą naturą człowieka. Salomé była ciekawa, jak tutaj, w świecie zewnętrznym, przebiegał upadek dyktatury, czy naród sam nie stworzył sobie w pewnym sensie warunków więziennych. Może Mamá też przyjęła takie zachowania jak ludzie przetrzymywani za kratkami. Salomé zastanawiała się również, czy matce kiedykolwiek przyszło do głowy wyemigrować, na przykład pojechać do syna, a jeżeli tak, co ją zatrzymało w Urugwaju. Co lub kto. Na pewno rodzina — matka, ojciec, kuzynka, bracia, uwięziona córka — ale może istniał jeszcze inny, ukryty powód. Kiedy była sama, spotykała się z matką na stronicach książki *Najszersza rzeka świata* autorstwa Hvy Firielli Santos. Tomik zawierał kilka erotyków, które zdaniem Salomé nie zostały chyba zainspirowane przez jej ojca. *Urodziłam się po to, by cię dotykać, by oddać za to życie.* Pożerała wers za wersem, zagłębiała się w nie, chciała czegoś więcej niż tylko czytania: chciała skurczyć się do tego stopnia, aby wpełznąć pomiędzy słowa i pomyszkować wśród liter, zbadać sekrety A, wspiąć się na konary Y i podsłuchać jej szepty, ześliznąć się po wygięciach S, wkroczyć do środka O, słowem, dotrzeć do tego, co stanowiło esencję matki. Marzyła o tym jeszcze wtedy, kiedy była dzieckiem — teraz znowu pragnęła chłonąć biel między czarnymi znakami.

Nastała zima. Deszcze stale smagały Montevideo. Salomé nadal nie wychodziła z domu, co wydawało się logiczne, skoro na zewnątrz było tak zimno i mokro. Pomagała babce gotować zupy, *puchem*, piec chleb. W czasie gotowania słuchały radia, rockowych piosenek z importu oraz optymistycznych wiadomo-

ści o odbudowie, o rychłym powrocie wygnańców, o tworzeniu nowych miejsc pracy, o bezrobociu, o ujawnianych powoli przypadkach tortur, o których ciągle jeszcze nie mówiło się otwarcie i za które nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności, nawoływań do tego, aby żyć przyszłością. Salome wbrew swojej woli myślała o generałach, o strażnikach i o wojskowych. Myślała o samolotach przywożących do ojczyzny emigrantów, wśród których mogli być Leona, Tinto i inni, i jeszcze raz Tinto, Tinto. Minęło tyle lat. Piętnaście. Gdziekolwiek jest, zapewne ułożył sobie życie, nie ma więc najmniejszego powodu, by myśleć teraz o jego twarzy, zapachu, umięśnionych ramionach, o wielkim ciele tulącym ją w ciemnościach. Zakotwiczył się jednak w jej umyśle, więc stale z nim żyła, jakby został zamrożony w czasie. Sięgała po jego młode ciało swoimi młodymi dłońmi, które były zuchwałe, giętkie, ufne i otwierały się z radością. Już nie będzie tamtą dziewczyną, nawet gdyby jakimś cudem Tinto wkroczył tu i okazałoby się, że wcale się nie postarzał. A jednak uparcie o nim myślała. Nie umiała tego zmienić. Spokojna aura babki sprawiała, że podczas wspólnego gotowania wspomnienie Tinta wracało wręcz automatycznie. Jeszcze jedna myśl towarzyszyła jej bez przerwy — myśl o aparacie telefonicznym stojącym tuż obok i o rozmowie, na którą ciągle nie mogła się zdecydować. Ta rozmowa będzie kosztowała fortunę i była warta fortunę. Miałaby się połączyć z ładnym, niebieskim domem w Kalifornii i usłyszeć głos Victorii. Victoria, Victoria, daleka, utracona dziewczynka, która niepokojąco szybko urosła. Jak brzmi twój głos, Victorio? Usiłuję go sobie wyobrazić, ale odpływa ode mnie i zmienia tony; tak bardzo się boję i tak bardzo pragnę poznać brzmienie twojego prawdziwego głosu. Tylko że słuchawkę najpierw odbierze Flor albo Roberto — i co ja im powiem? Lepiej już poczekać. Zwykle dzwonią na Boże Narodzenie. Poczekaam.

Radio mówiło o zmuszonej odbudowie kraju.

We wrześniu, kiedy wiosna osuszyła ulice, Salome pierwszy raz wyszła z domu i ruszyła na długi spacer przez miasto. Montevideo. *Monte. Vide. Eu.* Miasto ech. Miasto znoszonych

butów i zmęczonych twarzy. Miasto niszczących werand zalanych słońcem. Czuła ból z powodu tych znajomych ulic, spokojnych alejek, wzruszających kocich łbów, a także z powodu tego, jak wszystko się zmieniło — okna często były zabite deskami, z drzwi pozłaziła farba, sklepy pozamykano, budynki niszczały, asfalt popękał, szyldy wyblakły. Na balkonach stały donice pełne zwiędłych badyli, które zapewne w końcu rozkwitną, a z pustych kawiarni dochodził soczysty, bogaty i jakże ulotny zapach grzejącego się na ruszcie chorizo. Jeszcze nigdy jej miasto nie było tak puste. Nieliczni przechodnie przemykali jak duchy, które dopiero co wróciły z krainy umarłych. Poszła przez Barrio Sur w stronę rzeki, mijając po drodze dawny dom Xhany. Na brzegu miało się wrażenie, że miasto rozsnurowało gorset i wreszcie swobodnie oddycha. Usiadła na nawisie, nad skałami i wodą — mulistą, brązową, zmarszczoną, rozpostartą aż po horyzont, wyznaczającą granicę Urugwaju i początek reszty świata. Wodziła po niej wzrokiem, a wiatr owiewał jej skórę. Jakiś mężczyzna przeszedł obok, zwolnił, po czym przystanął w odległości paru kroków. Nie musiała odwracać głowy, aby wiedzieć, że on też poznał, czym jest *la Máquina*. Wyczuwała to w jego wewnętrznym rozedrganiu, niewidocznym gołym okiem, które jednak dla niej było oczywiste. Mężczyzna przechylił się w dół, patrząc na wodę. Miał złamane, sklezione taśmą maskującą okulary. Salomé zadała sobie pytanie, czy ona też tak wygląda, czy też jest jakby obdarta ze skóry, przezroczysta dla innych. Przez ułamek sekundy miała ochotę rozpostrzeć ramiona, podbiec i otoczyć go nimi jak dziecko, ojej, zrobiłaś sobie krzywdę, chodźże tutaj, co się stało z twoimi okularami — tylko przez ułamek sekundy, bo zaraz pomyślała, że najchętniej uciekłyby od niego; ty mnie nie znasz, ja nie znam ciebie, nie mamy z sobą nic wspólnego. Nie ruszyła się. On też nie. Trwali w ciszy, osobno, jakby obwąchiwali się z daleka, i tylko patrzyli na rzekę, w której załamywały się promienie słońca.

Wracała tam nieraz, zawsze sama. W takich momentach próbowała przedstawić sobie to, co straciła. Straciła mnóstwo

rzeczy, tak jakby wpadły do rzeki, aby już nigdy nie wynurzyć się z głębin. W końcu nawet kręgi na wodzie znikają po pewnym czasie. Zaczynasz się zastanawiać, czy to, co straciłaś, kiedykolwiek istniało i dlaczego nadal stoisz na suchej ziemi. Przede wszystkim jednak zachwyca cię to, że rzeka cały czas płynie, ty zaś obserwujesz ją z boku, a nie od spodu, w płucach masz powietrze, nie muł, wbrew wszystkiemu oddychasz i dano ci kolejny dzień po to, aby kontemplować ten spokojny bezkres wody, która nie odsłania niczego, zupełnie niczego, ale płynie, pulsuje, życie trwa w niej tak, jak trwało w tobie przez te wszystkie lata; może zresztą rzeka nie ukradła tego, czego szukasz, może szukasz w niewłaściwym miejscu, w końcu rzece też nie było łatwo przetrwać, nie traktowano dobrze tej niewinnej, zbuntowanej wody; nie, to nieprawda, każdy, kto się zbuntował, stracił niewinność, a ci, którzy byli naprawdę niewinni, umarli.

Zawsze chodziła tylko w kierunku zachodnim. Okolice Parque Rodó, Palermo, Barrio Sur, Ciudad Vieja — tam mogła poruszać się bezpiecznie. Na wschodzie rozciągała się inna część miasta. Gdyby tam się zapędziła, mogłaby dojść do Malvín, gdzie mieszkał Dan Mitrione i gdzie nadal mogą żyć jego dawni poplecznicy. Jeszcze dalej znajdowały się Punta Gorda i Carrasco — dzielnice wielkich willi, zadbanych trawników, żywopłotów, basenów w ogrodach, pięknej porcelany na stołach i bezkarnych właścicieli tych dóbr. Byli całkowicie wolni, mogli obudzić się rano, strząsnąć z siebie resztki snu, cokolwiek im się śniło, ucałować żonę, włożyć świeże cywilne ubranie, jako że mundury wyszły już z mody, powiedzieć: „Kochanie, idę wyprowadzić psa” albo: „Kochanie, idę zaczerpnąć świeżego powietrza” i wyjść, oddychać, spacerować po wschodnim skraju La Rambli. Szli zaczerpnąć publicznego, dostępnego dla wszystkich powietrza. Dlatego poruszała się tylko w kierunku zachodnim. W Punta Carretas skręcała w prawo, potem szła wzdłuż ciasno zabudowanych odcinków La Rambli, czyli najstarszą częścią promenady. Budynki pochodziły jeszcze z zeszłego wieku, bezwstydne mieszczki w staro-

świeckich ozdobach, godne, skore do plotek i zupełnie nieprzejmujące się tym, co kobieta, która je mijala, mogła sobie pomyśleć

o ich rozmowach. Lepiej było w ogóle nie zapuszczać się myślami na wschód. Salome skupiała się na zachodniej części miasta, na wodzie i na sobie samej. Była jak żarłoczne zwierzę, polowała na coś, czego nawet nie znała z imienia, a jednak krążyła milcząco po mieście i nasłuchiwała, tropiąc niewidoczne ślady. W dobre dni miała wilczy apetyt, który szalał w jej żyłach; ten pierwotny głód musiała odziedziczyć po przodkach, był on tą siłą, która sprawiała, że całe pokolenia pracowały w pocie czoła, rozmnażały się

i walczyły o przetrwanie, to on zmuszał jej pradziadów i dziesiątki wcześniejszych pokoleń do tego, aby przeć do przodu. Ona też pozostawała w jego władzy. Ale nie codziennie. Zdarzały się jej dni wielkiej słabości — nie mogę wstać, dzień jest pustą dłonią, która zaczyna się wokół mnie zaciskać, wszystko wydaje się ciężkie, jakby było z ołowiu, moje ramiona, nogi, co mnie tak dusi, ach, to obrazy, których nie mogę przegnać z głowy, i gorące powietrze mojego pierwszego lata wolności, nie mogę się ruszyć, ale muszę, trzeba wyszorować zęby, nie zawsze mogłam szorować zęby. Próbowала się przemóc. Potem następowały łatwiejsze dni, kiedy wstawala i szła zobaczyć rzekę.

Roberto zatelefonował na Boże Narodzenie. Każdy mógł potrzyonać słuchawkę tylko przez chwilę, rozmowa kosztowała fortunę.

— Halo?

— Salome? — Głos brata był cienki i odległy, przytłumiony przez szumy.

— To ja. Co słysząc?

— Wszystko dobrze. Och, Salome, cieszę się, że cię słyszę.

— Ja też.

— Flor nas słucha przy drugim aparacie.

— Dzień dobry, Salome — powiedziała Flor, która też miała cienki głos i była tak daleko.

— Wesołych świąt — wtrącił Roberto.

— Dziękuję. Dla ciebie też.

— Czy u ciebie wszystko... w porządku?

— Tak.

Przerwa, trzaski w słuchawce.

— Czy chciałabyś przywitać się z Victorią?

— Ach, tak — odparła Salomé, starając się, aby zabrzmiało to jak najbardziej obojętnie.

— Viki, chodź, rozmawiam z Salomé — zawołał jej brat, po czym dodał, trochę dalej od słuchawki: — Z Salomé, twoją cicią.

Szuranie i dziewczęcy głos:

— Halo?

— Victoria?

— *Sí. Hola, Tía Salomé.*

Mówiła po hiszpańsku niepewnie, z amerykańskim akcentem. To nie był głos dwu, trzy- czy nawet sześciolatniej dziewczynki. Miała piętnaście lat. Nie wydawała się zbyt wesoła, lecz jej głos był dźwięczny mimo trzasków na linii, był czystym kryształem, którego Salome za nic nie chciałaby uszkodzić.

— Czy macie ładne święta?

— Tak.

— Co dostałaś w prezencie?

— Zestaw stereo.

— Ojej!

— Ale chciałam motocykl.

— Chyba jesteś za młoda na motocykl?

Nie spodobało się to Victorii, która odpowiedziała niechętnie:

— No taaak.

Salomé pomyślała, że w ciągu kilku sekund wyrobiła sobie opinię staroświeckiej ciotki. Chciała to jakoś naprawić.

— Cóż, życzę, abyś dostała wszystko, czego pragniesz. Niekoniecznie w tej chwili, ale w ogóle, w życiu. — Za jedyną odpowiedź musiały jej starczyć trzaski na linii. — Jesteś tam?

— Tak. — Znowu trzask. — Dziękuję.

Salome umilkła. I tak trwało to za długo, więcej niż minutę. Abuelo Ignazio czekał obok na swoją kolejkę.

— Wiem, że rozmowa dużo kosztuje, wobec tego podaję ci pradiadka, dobrze?

— Poproszę.

— Kocham cię — powiedziała jeszcze Salomé i szybko przekazała słuchawkę.

Kryształ. Smutny kryształ. Tygodniami słyszała w sobie jego dźwięk.

Pewnego dnia, pod koniec lata, zatelefonował Orlando. Właśnie wrócił do Urugwaju. Pierwszy raz w życiu rozmawiała z nim przez telefon.

— Salomé?

— Słucham.

— Bogu dzięki. Mówi Orlando.

Pomyślała o gęstej brodzie, spokojnych oczach, ciemnej skrytce i o wiadrze, do którego wszyscy się załatwiali.

— Gdzie byłeś?

— W Hiszpanii. Dopiero co wróciłem.

— Do Montevideo?

— Tak. Mieszkam u matki. Posłuchaj, słyszałem o tobie...

— Dziękuję za telefon — przerwała mu z zamiarem odłożenia słuchawki.

— Salomé, poczekaj. Czy możemy się spotkać i wypić razem mate?

Milczała chwilę. Z kuchni dochodziła audycja radiowa.

— Kiedy? — spytała.

— Kiedykolwiek. Może w czwartek?

Spotkali się w Parque Rodó, na ławce koło szemrzącej fontanny. Pod stopami zauważyła ciągle te same kafelki ze wzorem przedstawiającym owoce granatu, smoki, fruujące ryby. Błękitny, stary, mitologiczny świat. Orlando przekroczył czterdziestkę. Jego starannie przystrzyżona na brzegach broda była teraz poprzetykana srebrnymi nitkami. Miał zniszczoną twarz człowieka, który albo spędził wiele lat na słońcu, albo ciężko pracował, albo też ciężko



pracował w słońcu. Wyrósł mu brzuch — za dużo grillowania na plaży o drugiej nad ranem, jak sam wyjaśnił ze śmiechem.

— A więc podobało ci się w Hiszpanii?

— Tak. Ale tęskniłem za Urugwajem. Chciałem wrócić do siebie.

Salomé przekazała mu tykwę z mate.

— Cieszę się, że cię widzę, Salomé.

Wiedziała, że wygląda co najmniej równie staro jak on, jeżeli nie starzej, choć kiedy się spotkali, on był już mężczyzną, ona zaś zaledwie uczennicą. Lata zamknięcia odcisnęły się na jej skórze. Kiedy się uśmiechała, nie otwierała ust, aby ukryć brakujące zęby.

— Mówię szczerze, Salomé. Twój duch przetrwał. Wzruszyła ramionami.

— Martwiłem się o ciebie — powiedział. — Wszyscy się martwiliśmy.

Wiatr bawił się zielonymi czuprynami drzew.

— My... to znaczy kto?

— Ja, Tinto, Anna, Leona.

Salomé poczuła się jak ugodzona strzałą.

— Masz z nimi kontakt?

— Owszem.

— Gdzie mieszkają?

— W Meksyku. Od siedemdziesiątego trzeciego roku.

— Ach tak. — Znowu, wbrew woli, pojawił się w jej myślach Tinto: jego włosy, tors, ręce, które prawdopodobnie wyidealizowała przez te lata. Zdawało się, że smok u jej stóp się uśmiecha. — Czy myślisz, że oni też wrócą?

— Nie sądzę. Chyba się tam zakorzenili. — Orlando dołał wody do mate.

— Rozumiem.

— Salomé — powiedział łagodnie. — Tinto i Anna się pobrali. Czekała na dalszy ciąg zdania: „ale nie z sobą”.

— Mają troje dzieci.

Smok na kafelku parsknął szyderczo. Zasłoniła go butem.

— Leona wykłada na uniwersytecie.

Powinna się cieszyć w imieniu Leony i każdego z tych ludzi, którzy utrzymali swoje zęby, nie rozminęli się ze swoim czasem, wychowywali swoje dzieci, wyglądali prawdopodobnie na tyle lat, ile rzeczywiście mieli, zwiedzili obce kraje, pożenili się, pokończyli studia, wykładali na uczelniach, uczestniczyli w nocnych przyjęciach na plaży. Anna była tak surowa, za ostra dla Tinta, kobieta nóż, pewnie każde jej dotknięcie siekało go na kawałki. Chyba że się zmieniła. Chyba że zmienili się wszyscy i wszystko.

— Salome?

— Co?

Orlando wyciągnął rękę z tykwą. Przejęła ją od niego. Przypatrywała się jej chwilę, zanim się napiła.

— Nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć.

— No ale znalazłeś sposób.

— Myślałem, że chciałabyś wiedzieć.

— Może i chciałam.

Znowu zapadła cisza. Wiatr nadal igrał z liśćmi, wyginał upstrzone słońcem blaszki. Fontanna rzewnie płakała.

— Trzeba nadal działać — odezwał się w końcu Orlando.

— Dlaczego?

— A dlaczego nie?

— Nie potrzebuję litości.

— To świetnie się składa. Nie planowałem się litować. Spojrzała na niego. Kręcił korkiem od termosu.

— Długo byłem za granicą. Moja żona została w Barcelonie, zresztą już nie jest moją żoną. Pomyślałem, że po prostu skontaktuję się z dawną koleżanką.

Odtąd dwa razy w tygodniu pijali razem maté. Potrafdi siedzieć w ciszy przez długie minuty. Orlando był człowiekiem, /, którym łatwo się milczało. Cały zanurzał się w spokoju, w którym myśli kołyszają się monotonicznie jak boje na wodzie. Nigdy do niczego się nie wtrącał. Miał szczery uśmiech, który zdawał się uśmiechem starszego człowieka. Czasami siedzieli w parku, a czasami spacerowali po La Rambli, patrząc, jak słońce kładzie pomarańczową głowę na wodzie i na skałach.

Kiedy nadeszła zima, spotykali się w kawiarniach albo w swoich domach. Matka Orlando była sympatyczną, przysadziłą wdową w wiecznie przyprószonym mąką fartuchu. Odwiedzając Salomé w domu, Orlando zawsze cierpliwie wysłuchiwał wywodów Abuela Ignazia i dyskutował z Abuelą Pajaritą, która jeszcze nigdy nie spotkała człowieka znającego się w takim jak on stopniu na roślinach. Kwitował jej pochwały wzruszeniem ramion, ot, trochę zajmowałem się ogrodnictwem w Hiszpanii, nie za wiele wiem, a ta kora to do czego służy? Przed laty Salomé trzymała go z dala od swojego domowego życia, należał do jej sekretnej świata, toteż dziwnie się czuła, kiedy ta znajomość została ujawniona, a Orlando żartował z jej babką i wkładał nos do jej słoików. No ale w końcu żyli w nowym Urugwaju, więc wszystko mogło się zdarzyć — ludzie, którzy wcześniej nigdy by się nie spotkali, teraz się poznawali i utrzymywali kontakty. W saloniku, przy popołudniowej mate, Orlando dyskutował z Evą o polityce, o stanie nowej demokracji, o tym, że prezydent doprowadził do wzrostu eksportu, czy słyszałaś jego wystąpienie, tak, bardzo się chwalił spadkiem bezrobocia, ale przecież ono nie spadło dzięki temu, że jest więcej miejsc pracy, tylko dlatego, że eksportujemy siłę roboczą — Urugwaj czy cy opuszczają teraz kraj w poszukiwaniu pracy, owszem, racja, a jako że emigranci polityczni nie wracają masowo, jedna piąta ludności jest rozproszona po świecie. Eva kiwała głową w zamyśleniu. Dlaczego tacy jak ty nie wracają? A do czego mieliby wracać? Ja miałem szczęście, bo moja matka tu została, ale popatrz tylko na nasz kraj. Gromady żebrzących dzieci na ulicach. Tak, wiem, przecież nieraz widuję po zachodzie słońca te wozy ciągnięte przez wychudzoną szkapę i ludzi, którzy zbierają śmieci, żeby zabrać je do *cantegril*. Wszyscy o tym wiedzą, to coś okropnego. Masz rację, to okropne, tak jak okropny jest widok starszych mężczyzn, którzy sprzedają na ulicy znoszone ciuchy i bilety na loterię i udają, że nie są lekarzami ani prawnikami, ani inżynierami, którzy oddaliby nie wiem co, żeby zarobić jedno peso. Też ich widuję. Wszyscy ich znają. Prezydent może nam mydlić oczy, ale my i tak wiemy, jaka jest rzeczywis-

tość. Eva napełniła tykwę wodą. Masz rację, *sí*, masz rację. Co będzie z tym krajem? Eva była zasmucona, skupiona, poważna. Od powrotu z więzienia Salomé ani razu nie zdołała porozmawiać z matką o polityce. Był to temat zbyt blisko związany z tym wszystkim, co dotyczyło przeszłości i pozostało niewypowiedziane. Obecność Orlanda ułatwiła im porozumienie, stworzyła naturalną płaszczyznę do rozmów, w których można było mówić

o żebrakach, bezrobociu i prezydentach, ale nie wchodzić do cel więziennych, do których nikt nie miał ochoty wracać.

Wiosną Orlando zaczął wydawać lewicowe piśmiśko. Już w grudniu pomagała mu w tym Salomé. Redakcja znajdowała się na strychu domu należącego do jednego z dawnych Tupamaros. Na całe umeblowanie składały się biurko, krzesło, dużo półek i uszkodzona kanapa. Pracy było niewiele, może na pół etatu, w dodatku Salomé wykonywała ją bezpłatnie, lecz było to dla niej dobre zajęcie. Sprawdzała rzetelność danych, robiła kopie, tłumaczyła zagraniczne źródła. Najgorętszym tematem okazały się prawa człowieka, jako że ujawniono nowe zeznania i nowe dowody, łącznie z faktem, że w Argentynie doszło do zaginięć urugwajskich emigrantów. Tam jednak powstała komisja do spraw badania popełnionych zbrodni, w Urugwaju zaś nie było mowy o żadnej komisji czy procesach; nawet nie próbowano upamiętnić ofiar, a prezydent zapowiedział amnestię dla członków dawnej junty i wezwał naród do tego, aby uwolnił się od przeszłości i żył przyszłością. Klóciło się to z powszechnymi nastrojami, w ludziach bowiem te tematy budziły emocje i chcieli o nich rozmawiać. Salomé nie potrafiłaby sama pisać o tych rzeczach, brakowało jej werwy i jadowitości, mogła jednak poprawiać błędy gramatyczne, likwidować nadmiar wykrzykników, dodawać przecinki i pauzy tam, gdzie porwany ferworem pisania autor o nich zapomniiał. Wygladzanie niedopracowanych tekstów działało na nią kojąco.

Dzień po Bożym Narodzeniu, po kolejnej niezręcznej rozmowie telefonicznej z Robertem, Flor i Victorią, Salomé otrzymała kopertę z miasta Meksyk. Jako nadawcę wpisano: La

familia Cassella y Wołkowa. Z grubości koperty można było sądzić, że oprócz listu zawiera jedną lub dwie fotografie. Salome trzymała ją przez tydzień na toalecie, nie otwierając jej. Codziennie rano budziła się wściekła, ze świadomością, że list leży tuż obok i że zaraz go zobaczy. Była na siebie wściekła za tę wściekłość. Walczyła. Otwierała oczy, kierowała wzrok na ścianę, na drzwi, na sufit. Wstawała z łóżka zmęczona. W końcu w Nowy Rok wyrzuciła kopertę.

Może jednak nie zawsze tak będzie. Ta myśl otwierała się w niej powoli i ostrożnie jak kartka z szokującą wiadomością, którą ktoś zgniótł w rękę. Może jednak moment budzenia się rano nie zawsze będzie bolesny. Mijały pory roku. Po dwóch latach picia herbatek przygotowanych przez spracowane ręce babki Salomé spokojniej sypiała. Nadal budziła się zrana potem, ale przestała krzyczeć, i to było dobre, chociaż brakowało jej (nigdy by tego nie powiedziała głośno) nocnych wizyt matki, jej szeptów i jej zapachu w ciemnościach. Sajeszcie takie sprawy, dla których warto otwierać rano oczy. Na świecie jest coś więcej poza cierpieniem. Zaczęła od tego, że powtarzała sobie to zdanie: „Na świecie jest coś więcej poza cierpieniem”, aby wstać z łóżka — wstań, wstań, przynajmniej umyj zęby. W końcu zostało jej kilka zębów, widziała je w lustrze łazienki, a skoro już były, dlaczego ich nie używać? Dlaczego ich nie zatopić w miękkiej tkance dni: spędzać popołudnia na grze w karty i picciu mate z dziadkiem i matką, a poranki w kuchni z babką — splatać jej włosy w warkocze, przycinać rośliny przy akompaniamencie radia, wsłuchiwać się w jej czułe, pełne siły milczenie i promieniujące ciepłem, niewypowiedziane zasoby pamięci. Abuela nadal wgryza się w materię życia i Mamá także. Siedzi tu, aby grać z córką w karty, rezygnuje być może z bardzo ważnych dla niej rzeczy, pisze wiersze, kiedy na patelni smaży się, a czasem nawet przypala cebula.

— Salomé — powiedziała kiedyś, zeskrobując zwęglone resztki — nigdy nie jest za późno, żeby zacząć od początku.

— Wiem. Nie przejmuj się, posiekam cebulę — odpowiedziała jej zbyt szybko.

— Jestem o tym przekonana.

Salomé pochyliła się nad deską do krojenia.

— Wiem.

Trzy dni później poszła do redakcji na strychu i usiadła obok Orlanda na krzywej kanapie. Po paru chwilach obydwójce zsunęli się na sam brzeg. Zaczęli razem jeździć po mieście, zbierając podpisy przeciwko ustawie o puszczaniu w niepamięć win byłego reżimu. Pukali do drzwi, zaglądali w twarze Urugwaju, dzień dobry panu, chciałam prosić o podpis, zmusiłam się do wyjścia z domu po to, aby się z panem spotkać. W niektóre wieczory Orlando przekonywał ją, aby została i pozwoliła się wyciągnąć na drinka.

— Tylko na jednego — prosił.

Wiedziała równie dobrze jak on, że w Urugwaju jeden drink to tylko przenośnia, że o trzeciej nad ranem noc jest jeszcze młoda i chociaż życie jest krótkie, noce trwają długo.

— Tylko na jednego — mówiła.

Chodzili do barów, w których stały okrągłe stoliki i dużo świeczek. La Diablita była jej ulubionym z powodu pianina, które brzmiało tak, jakby nigdy nie tknęła go ręka stroiciela. Spotykali się z przyjaciółmi Orlanda — naszymi przyjaciółmi, zwykł mawiać — dawnymi komunistami, socjalistami i Tupamaros. Teraz już nie należeli do odrębnych obozów, lecz byli częścią szerokiej, demonstracyjnie zjednoczonej lewicy. Niektórzy przeszli przez emigrację, inni przez więzienie, część doświadczyła jednego i drugiego. Wszystkich łączyło stare, nieziszczone marzenie, wszyscy byli jak uczniowie po Ukrzyżowaniu, pili za następny dzień, kiedy jeszcze nie skończył się poprzedni. Dużo mówili, palili, pili za wiele wina, to znaczy dokładnie tyle, ile było potrzeba, aby przeszłość spadła na stół jak żetony do pokera.

Byłem tam.

A ja tam.

A ja nie byłem i chcę wiedzieć. Powiedz mi. Nie.

Proszę, powiedz. Tam było tak... Zawsze się zastanawiałem. Raz jeden chciałem. I ja też.

Teraz, kiedy o tym mówisz. I za co. Ale także...

Nie podpuszczaj mnie. Już zacząłeś. To prawda. Próbowiałem kiedyś. I ja też.

Nigdy o tym nie mówiłem, nigdy.

Spróbuj dzisiaj.

Dzisiaj...

Wracała do domu nad ranem i rozmyślała w łóżku o ich historiach i o swojej historii, wyobrażała sobie kręte drogi, które jej rodacy przemierzali przez całe lata, wyobrażała sobie czyjś dom w Hiszpanii, bar w Australii, pewną rodzinę w Meksyku, pewną dziewczynkę na plaży w Kalifornii, w kalifornijskim samochodzie — dopóki sen jej nie zmorzył i nie zaczęła śnić o ciemnych jeziorach, oceanach, o Victorii unoszonej przez tratwę, którą ona starała się dogonić. W innych snach była sama w ciemnym pokoju i nagle okazywało się, że Victoria jest przy niej, widziała jej sylwetkę, ale nie twarz, więc mówiła do córki: „Zapal światło, bo źle cię widzę”, lecz gdy rozbłyskało światło, Victoria znikwała, znikał też pokój, a wokół niej tańczyły cienie przeszłości, natarczywe, żądające dla siebie świadków, przestrzeni i światła.

Do tego wszystkiego było jeszcze miasto. Montevideo. Żyła i podnosiła się rano po to, aby je zobaczyć. Nie знаła innych miast, na pewno nie było najbardziej imponujące ze wszystkich, ale za to jedyne w swoim rodzaju, co potwierdzali wszyscy, którzy wrócili z Paryża, Nowego Jorku, Caracas, Sydney czy Salerno. Zresztą jakie znaczenie mogło mieć to, co mówili?

To było jej miasto, włóczyła się po nim o trzeciej po południu i o trzeciej nad ranem, snuła się ulicami, przesuwała palcem po szybach, wciągała w nozdrza zapachy z cudzych kuchni, skręcała to w lewo, to w prawo, kierując się impulsem. Była wolna. Mogła pójść tam, dokąd chciała. Najczęściej jednak wracała nad wodę. Szła wzdłuż La Rambli, wpatrywała się w księżyc nad rzeką. Tam zawsze byli ludzie, czy to w dzień, czy w nocy; spacerowali z termosem mate pod pachą, niespiesznie, z czegoś się śmiali, coś sobie opowiadali. Zapewne niejeden z nich stracił krewnych, którzy wyemigrowali gdzieś daleko, niejeden został bez pracy, ich kochankowie budzili się z krzykiem, bo w dalszym ciągu prześladowała ich *la Máquina*, niejeden też pewnie marzył o tym, by zamieszkać w Stanach Zjednoczonych, ale żyli tutaj. Wielu wyjechało. Przez lata obywatele byli poddani działaniu siły odśrodkowej, która jakby rozciągała granice kraju i rozrzucała ich po świecie. A jednak wystarczy spojrzeć — niektórzy się ostali, Urugwaj nadal istnieje, chociaż nie taki sam jak przedtem. Już nigdy nie będzie sielankową krainą, którą stworzył kiedyś prezydent Batlle. Jest, jaki jest: już nie tak niewinny, w jakiś sposób pomniejszony, skarłowaciały, zraniony — przez jego krwawiące rany wypłynęło tylu ludzi, a teraz ich oplakuje, zarówno zabitych, jak i tych, którzy wyjechali — lecz jednocześnie jakby wzmocniony cierpieniem, dojrzałszy, twardszy, mądrzejszy, lepiej znający siebie. Ten kraj ma bijące serce, nadal ma swój lud. Salome przyglądała się tym, którzy ją mijali, z niektórymi nawiązywała rozmowę. La Rambla była dla każdego, każdemu odsyłała echo jego kroków i wszystkich prowadziła wzdłuż rzeki.

Pewnej nocy Orlando pocałował ją na brzegu. Zrobił to delikatnie, jego język był miękki jak woda.

— Chodź ze mną do domu — wyszeptał. „Phhh” zaszumiały fale na skałach.

Salome nachyliła się ku niemu. Pachniał piżmem i wełną.

— Nie mogę ci wiele ofiarować.

— Niczego nie chcę. Do diabła z ofiarowywaniem. Po prostu chodź do domu.



Tej nocy zachowywała się jak zdziczała kocica, istniały tylko jej głód i jej pazury.

Victoria dorosła. Stała się młodą kobietą. Salomé usłyszała to w jej głosie w wigilię Bożego Narodzenia 1988 roku. Nie powinno to jej zaskoczyć — taki był naturalny, niemożliwy do uniknięcia bieg rzeczy, w końcu dotyczyło to każdego, lecz mimo wszystko omal nie zgmiotła słuchawki w ręce.

— Victoria? To naprawdę ty?

— *Sí, Tía.*

— Skończyłaś liceum.

— Tak, teraz studiuję.

— Jesteś zadowolona?

— W zasadzie tak. W Nowym Jorku jest zimno.

— W takim razie na pewno się cieszysz, że wróciłaś do domu.

— Tak.

— Jakie przedmioty będziesz zdawać pod koniec roku?

— Jeszcze nie wiem. — Trzaski na linii. — Jak sytuacja w Urugwaju?

— Bardzo dobrze. Może byś nas odwiedziła?

— Chętnie.

Ta zdecydowana odpowiedź zaskoczyła Salomé, która od razu powiedziała:

— Ja też bym się bardzo ucieszyła. — Ależ była pazerna. Każda minuta rozmowy kosztowała fortunę, powinna już dawno przestać i przekazać pozostałym słuchawkę. — Tutaj zawsze jest dla ciebie miejsce.

— Naprawdę?

— Naprawdę — potwierdziła Salomé. Znowu trzaski. — Dobrze, lepiej podam ci prababcie, zanim narobię sobie kłopotów. Wiesz, że z nią nie ma żartów.

— No to się żegnam — zachichotała Victoria. — Wesołych świąt.

— Wesołych świąt.

Salomé przekazała słuchawkę Pajaricie i pobiegła do swojego pokoju. Głos Victorii odbijał się od pustych ścian. „Naprawdę?”. Nie potrafiła jednoznacznie określić, co wyrażał ton dziewczyny, więc przez moment wydawało się jej, że brzmiała w nim szczerą radość albo tęsknota, a może nie tyle tęsknota, ile zaskoczenie, by po chwili uznać, że reakcja Victorii była podyktowana jedynie grzecznością. Wiedziała, że jej korzenie sięgają jakiegoś małego, odległego kraju, który opuściła jako dziecko i którego zupełnie nie pamiętała. Wychowała się pośród namiastek: od czasu do czasu jadła *empanadas*, mówiła z amerykańskim akcentem po hiszpańsku, w domu pewnie był odbojnik do drzwi zrobiony z ametystu, na ścianach wisiały skórzane obrazki przedstawiające gauczów i fotografie domów rodzinnych jej rodziców, którzy z rzadka opowiadali jej starannie wybrane historie o tym, jak to dawniej bywało, a ukoronowaniem wszystkiego był coroczny telefon. A może nawet i to nie. Może czuła się jak roślina odcięta od korzeni. Może tęskniła do tego miejsca, łaknęła go — a może wcale nie. Może Roberto i Flor są mistrzami zapominania i wychowali Victorię tak, by nie dbała o tego rodzaju rzeczy. Tylko że dziewczęta nie zawsze postępują zgodnie z życzeniami rodziców, kto jak kto, ale ona, Salome, coś o tym wie. Całe to zapominanie jest wyczerpujące, wymaga skomplikowanych, choć niewidocznych łamańców umysłu — i jaki z niego pożytek? Co właściwie powinna zrobić, gdyby nie była tchórzem? Jest przecież okropnym, naprawdę okropnym tchórzem. W pokoju panował taki spokój. Obok łóżka znowu leżała nieotwarta koperta, kolejna kartka noworoczna z Meksyku. Długo się jej przyglądała, w końcu wzięła ją do ręki i powiodła palcem po brzegach. Nie, nie otworzy. Cztery razy odkładała i brała z powrotem białą prostokąt, aż w końcu go rozdarła. Kartka była reprodukcją autoportretu Fridy Kahlo, na którym widać jej otwarte serce i krew ściekającą na suknię. Na odwrocie napisano:

## *Droga Salomé*

*Mamy nadzieję, że masz się dobrze. Jeśli chodzi o nas -to znaczy naszą trójkę i dzieci — wszystko w porządku. Cacho ma teraz 10 lat, Ernesto 7, Salomé właśnie skończyła 6. Jesteśmy wdzięczni losowi za dobre zdrowie, za nasz skromny dom i za warsztat stolarski. W tym roku Leona dostała nominację — została tytularnym profesorem historii. Uczciliśmy to tradycyjnym urugwajskim asado, ku uciechu przyjaciół Meksykanów.*

*Często o Tobie myślimy. Propozycja, abyś do nas przyleciała, jest nadal aktualna. Mamy nadzieję, że pewnego dnia się zgodzisz i odwiedzisz nas tu, w Meksyku.*

*Serdecznie Cię pozdrawiamy*

*Leona, Tinto, Anna, Cacho, Ernesto i Salome*

Przeczytała kartkę siedem razy. Ręce się jej trzęsły. Spojrzała ponownie na reprodukcję na odwrocie, włożyła kartonik do rozerwanej koperty, wyjęła go, przyjrzała się obrazowi i znowu, i znowu, i znowu. *Mamy nadzieję, że. Propozycja, abyś. Salomé właśnie skończyła.* Chciało się jej wymiotować. Chciało się jej śmiać. Miała ochotę zdemolować pokój. Żyła w szklanej klatce, a świat poza tą klatką oddychał innym powietrzem niż ona. Miała ochotę stłuc wszystkie szyby, a jednocześnie wolała siedzieć w zatechłej atmosferze klatki. Nie teraz, jeszcze nie, a jednak, tyle rzeczy czeka tam po drugiej stronie. Wstała, przeszła do korytarza. Z saloniku dobiegał głos dziadka, opowiadającego jakąś niestworzoną historię o człowieku, który nocami budował łódź. Słyszała też śmiech babki, potrafił jeszcze rozśmieszyć swoją dziewięćdziesięcioletnią żonę, to niebywałe, żeby w tym wieku mieć takie zdrowie. Drzwi do pokoju matki były uchylone. Weszła bez zastanowienia. Zorientowała się, że jest sama. Otworzyła szafę, a właściwie jej ręce, które wcześniej od mózgu wiedziały, co się dzieje, zrobiły to same. Nie musiała już wchodzić na krzesło, aby sięgnąć do półki, na której nadal stało tamto ciężkie pudełko. Rozłożyła klapy i zaczęła wyj-

mować wszystko, co było w środku: swoje dziecięce buty, półbuty Roberta, mokasyny, znoszone tenisówki, czerwone kalosze, białe skórzane pantofle, które zapewne włożyła do pierwszej komunii, białe lakierki od chrztu. Z każdego buta wystawały trzy liście eukaliptusa jak spiczaste języki, niektóre połamane — to ona złamała jeden, ale który, nie pamiętała, nie przypomni sobie, już za późno, aby to sobie przypomnieć; buty walały się po podłodze jak pokonane wojsko. Nie zmieniły się. Nadal pokazywały jej język.

Usłyszała kroki. Mamá stała na progu. Popatrzyły na siebie. Mamá wydała jakiś dźwięk, który mógł być kawałkiem słowa.

— Zawsze się zastanawiałam — odezwała się Salome — po co to wszystko trzymasz.

Mamá wahała się przez chwilę. Miała na sobie uroczystą bluzkę z czerwonego jedwabiu, dopasowaną kolorem do szminki. Jej włosy spinały dwa srebrne grzebienie. Usiadła na podłodze obok córki.

— Ja też — powiedziała.

— Zawiodłam cię.

— Nie.

— Oczywiście, że tak.

— Przestań.

— Myślałam, że sprawy inaczej się potoczą...

— Wiem.

— Musiałaś mnie znienawidzić.

— Nie — odparła matka, której twarz wyrażała bezbrzeżny smutek.

— Jak to możliwe?

Mamá nachyliła się ku niej. Pachniała olejkiem różanym.

— Och, Salome, Salomé.

Salomé popatrzyła na rozrzucone buty. Matka chwyciła ją mocno i spazmatycznie zapłakała. Całe lata niewypowiedzianych słów wydobywały się z niej w szlochach, wylatywały chmarami jak kurz z trzepanego dywanu, a Salomé poczuła, że to jest prawdziwe, że matka nie ma do niej żalu i nigdy go nie miała, i to ją zawstydziło. Odkryła jeszcze coś innego i to

odkrycie okazało się męczące, ostre, nieprzyjemne: już nigdy nie będzie kobietą, którą była lub mogła być, i co więcej, jeżeli chce żyć, musi zabić tamtą kobietę, tu, natychmiast, na tej podłodze, musi zabić kobietę, którą mogła się stać, ale którą już nie będzie. Musi to zrobić, bo oto inna kobieta czeka, aby się nią stała, jeszcze nią nie jest, dopiero się w nią zmienia. Uścisnęła mocno matkę i pozwoliła jej szlochać, patrząc sponad jej ramienia na sznurowane półbuty, mokasyny i tenisówki, które tylko niemo się gapiły, wyciągając eukaliptusowe języki. W końcu matka się uspokoiła. Nadal tuliły się do siebie.

— Mamo...

— Tak?

— Jestem zmęczona.

— Możesz iść odpocząć...

— Jestem zmęczona ukrywaniem, sekretami.

— Możesz mi wszystko wyznać.

— Chciałabym poznać Zolę. Matka zeszywniała.

— Chcesz się uczesać?

Salome dotknęła jej siwych włosów i powiedziała:

— Musisz ją bardzo kochać. Milczenie.

— Mam nadzieję, że jest dla ciebie dobra.

— Owszem, jest — odparła matka tak cicho, że prawie bezgłośnie.

Salomé rysowała kółka na jej włosach.

Zolá okazała się zadbaną panią po sześćdziesiątce. Miała lśniące białe włosy. Jej mieszkanie wyglądało jak bombonierka z brzoskwiniowego marmuru, luster i złociń. Podjęła Salome mate i talerzem *bizcochos*. Salomé usiadła na pluszowej kanapie obok okna na całą wysokość pokoju, skąd roztaczał się widok na zabudowania schodzące ku rzece i na niebo. Jeszcze nigdy w życiu nie znalazła się tak wysoko.

— Dziękuję, że przyszłaś odwiedzić taką staruszkę jak ja — odezwała się z uśmiechem Zolá. Miała na sobie niebiesko-fioletową suknię, sznur pereł, była mocno umalowana. — Nie krępuj się. Pytaj.

— O co?

— O co chcesz.

— Jak poznałaś moją matkę?

— Nie powiedziała ci?

— Nie.

— Dawno temu, w dzieciństwie. Spotkałyśmy się ponownie, kiedy wróciła z Buenos Aires.

— Jak długo jesteście...?

— Trzydzieści trzy lata.

Salomé obserwowała, jak gospodyni dolewa wody do tykwy.

— Czy ją ko...

— Bardzo.

— Aha.

— Kto by jej nie kochał?

Salomé prawie że rozchyliła usta w uśmiechu i prawie że zapomniała o swoich brakujących zębach.

— Nie wiem, nie wyobrażam sobie. Zolá podała jej mate, mówiąc:

— Cieszę się, że mogę cię poznać. Salomé upiła łyk.

— I cieszę się, że widzę cię w jednym kawałku. Wysączyła przez słomkę cały napój, do samego końca, aż

między liśćmi na dnie zagulgotało powietrze. Wyobraziła sobie matkę, która przychodziła tutaj w czasie, kiedy jej córka siedziała w więzieniu, aby płakać, całować albo wygrażać niebu, bliższemu z wieżowca niż z poziomu ziemi. Sanktuarium Zoli, jej dom. Najmilszy z sekretów. Na zewnątrz zachodzące słońce zniżało się powoli nad wodę, rzucając błyski na tafłę. Z jednego z dachów wzbiła się w powietrze mewa.

— A czy ja jestem w jednym kawałku?

— Mnie o to pytasz?

— Dlaczego nie? — Salomé oddała Zoli tykwę.

Zolá znowu dołała wody i się napiła. Odstawiła tykwę. Długo studiowała Salomé. Miała ciemne, prawie raniąco przenikliwe oczy. Jedyne oczy w tej tak mocno upudrowanej twarzy nie były zamaskowane.

— Pozwolisz, że umyję ci włosy?

W czasie mycia Salomé jakby przestała podlegać prawu ciężenia. Zalały ją zapachy olejku różanego i migdałów, którymi tak często emanowała matka. Kiedy była dzieckiem, wydawały się jej tajemnicze i wykwintne. Ręce, które dotykały jej głowy, były lekkie i zwinne jak rybki. Przemykały między włosami, muskały jej nagą i bladą skórę, to było wręcz nieznośne, ten dotyk bolał przez swoją łagodność, nienawidziła go, wzdrygała się z jego powodu, ale kiedy palce się cofnęły, powiedziała: „Nie, proszę jeszcze” i wróciły. Nie miała pojęcia, co takiego z niej spadło do tej wody, jakież to strupy pękły i zmieniły się w męty i brudny osad, lecz nagle leżała naga, z naciągniętą skórą, a jakiś męczyzna gwałcił ją i ryczał przy tym ze śmiechu. Oddychaj, Salomé, oddychaj. Co za delikatne ręce. Podniosły jej głowę, jakby była niemowlęciem, które samo nie potrafi tego zrobić. Róże i migdały wniknęły w jej skórę.

Zolá owinęła jej głowę w świeży, ciepły ręcznik.

— Nie wstawaj. Odpręż się.

Salomé straciła poczucie czasu. Kiedy otworzyła oczy, Zolá czytała na kanapie. Słońce było niżej i zaglądało teraz prosto do pokoju.

Zolá podniosła wzrok i spytała:

— Jak się czujesz?

— Nie chciałam ci się narzucać.

— Nie narzucasz się. Może zostaniesz na kolacji?

— Muszę jeszcze dokądś pójść — skłamała.

— Na pewno dobrze się czujesz?

— Lepiej niż dobrze. Nie wiem, jak ci dziękować.

— To łatwe. — Zolá się uśmiechnęła. — Po prostu jeszcze tu wróc.

Wróciła w następnym tygodniu. Chciała obciąć włosy. Zolá przyjęła ją z otwartymi ramionami, miednicą ciepłej wody i ostrymi nożyczkami. Ciach, ciach — stare, rozdwojone kępki spadały na podłogę. Po tym strzyżeniu poszła do Orlanda i przez siedem godzin płakała (Orlando o nic nie zapytał, tylko najpierw otarł jej twarz dłonią, potem koszulą, potem ręcznikiem i przytulił ją, a pachniał przy tym jak leśne poszycie). Nazajutrz zbudziła się dopiero o czwartej po południu, z zeszywniałym kręgosłupem, zmęczona, otumaniona, jakby spowita gęstą mgłą.

Kiedy przyszła na następne strzyżenie, miała w torebce długopis i papier. Poszła potem do Parque Rodó, gdzie zamierzała usiąść na ławce, którą zwykli dzielić z Tintem, lecz ławka była już zajęta przez jakąś czule splecioną parę. Ich wzajemny zachwyt był aż nadto widoczny. Salome trzymała się z daleka, choć musiała z sobą walczyć, by nie podbiec do nich i nie powiedzieć: „My robiliśmy to samo, ale nie w pełnym słońcu, tylko pod osłoną nocy, mieliśmy tak wiele spraw do ukrycia, przepraszam, może przeszkadzam?”. Byli młodzi, ani nie mogli, ani nie chcieli myśleć o parze, która spotykała się przy tej ławce dwadzieścia lat wcześniej. Salomé zbliżyła się do fontanny i usiadła naprzeciw. Woda unosiła się, opadała i szumiała w płynnym języku, którego nie potrafiła przełożyć. Popatrzyła na zielone korony drzew. Długo trzymała w rękach papier i długopis, aż w końcu napisała tych kilka słów do rodziny Cassella y Wołkowa: dziękuję za wiadomości, byłoby mi miło skorzystać z waszego zaproszenia, może w przyszłym roku.

Po trzecim strzyżeniu sama wypila w swoim pokoju butelkę wina, patrząc na księżyc siedzący w gałęziach dębu za oknem. O drugiej w nocy, kiedy miała pewność, że wszyscy domownicy śpią, podeszła do telefonu w korytarzu. Wybrała numer. Sygnał był długi i obcy.

- Halo? — usłyszała głos brata.
- Roberto, mówi Salomé.
- Co? — najwyraźniej się przeraził. — Która jest u was godzina?
- Mam nadzieję, że cię nie budzę.



- Oczywiście, że nie. Właśnie skończyliśmy kolację.
- To dobrze.
- Wszystko w porządku?
- Tak, przykro mi. Nikt w rodzinie nie umarł.
- Aha. To dobrze.
- Chciałabym z tobą porozmawiać o Victorii. Trzeszcząca cisza.
- Chciałabym jej powiedzieć. Znowu cisza.
- Roberto?
- Jestem. Telefon dużo kosztuje. Oddzwonię. Odłożyła słuchawkę.

Zaczęło się czekanie. W korytarzu

odbywał się taniec cieni; przez otwarte drzwi widziała okno swojej sypialni i dąb na ulicy. Widziała też siebie, dziewięcio-latkę, która wpatruje się w to drzewo i pierwszy raz w życiu postanawia złamać narzuconą przez matkę zasadę. Zadzwieczał telefon, odebrała natychmiast.

— Roberto?

— To ja. Flor też jest na linii.

— *Hola*, Salome — przywitała się Flor, jakoś cierpko, ale może to wrażenie było wywołane jakością połączenia.

— *Hola*, Flor. Jak się masz?

— Dobrze, dziękuję.

— A więc — odezwał się Roberto — przemyślałaś to?

— Sądzę, że tak.

— Słuchaj, ja tylko...

— Przepraszam, Roberto, przepraszam cię. Nie odkładaj słuchawki.

— Nie odkładam. Nie bądź śmieszna.

Salomé spróbowała wyobrazić ich sobie w ich ładnym domu, z naczyniami czekającymi w zlewie na to, aby je umyć po kolacji. Zmusiła ich swoim telefonem, by usiedli w gustownych fotelach przy osobnych aparatach i wymieniali spojrzenia w poprzek pokoju. Nie wiadomo dlaczego uczeplił się jej obrazek brata ubranego w pizamę z Kaczorem Donaldem.

— Dlaczego teraz? — spytał. Salomé zamknęła oczy.

— Dlatego że jest wystarczająco dorosła. Dlatego że jestem jej to winna. Dlatego że wreszcie mogę to zrobić. — Zapadło tak długie milczenie, że w końcu zapytała: — Czy jeszcze tam jesteście?

— Jesteśmy — odpowiedziała Flor. Salomé przygryzła wargi.

— Nie myśl, że nie zastanawialiśmy się nad tym — zapewniła ją Flor.

— Uhm.

— Ale chcieliśmy z tym poczekać.

Salomé spodziewała się, że doda na koniec: „ponieważ jesteśmy jej rodzicami”.

— Daj nam chwilę — poprosił Roberto.

— Oczywiście — powiedziała Salomé. Rozległ się trzask odkładanej na bok słuchawki. Gdzieś, kilka tysięcy kilometrów stąd, dwoje ludzi przeszło właśnie do kuchni albo do przedpokoju, albo na werandę z tyłu domu, aby szeptem się naradzić, zastanowić i przedyskutować pewne sprawy. Linia telefoniczna wydawała mechaniczne trzaski. Po jej stronie słuchawka była mokra od potu. Zadziwiająca jest realność oddalenia, zadziwiające, że dociera do niej głos brata przebywającego tak daleko, w nieznanym jej miejscu, które on uważa za swoje i w którym wychowuje swoją córkę. Jej córkę. Ależ pokręcone to ich drzewo genealogiczne. Patrzyła w głąb swojej sypialni, na okno i na dąb za szybą, z jego wygiętymi ku górze gałęziami i nielicznymi liśćmi, które się ostały.

Minęło pięć minut. Sześć. Siedem. Miała już zamiar odwiesić słuchawkę. Pomyślała o koszcie każdej sekundy milczenia. Coś zaszeleściło i obydwójce wrócili.

Pierwszy przemówił Roberto.

— Salomé?

— Tak?

— Dziękuję, że poczekałaś.

— Daj spokój.

— Posłuchaj: nie rób tego przez telefon.

— Proszę — włączyła się Flor. — Połączenia są fatalnej jakości. Brzmisz teraz tak, jakbyś była w generatorze prądu.

— Pomyśleliśmy — przejął głos Roberto — że mogłabyś napisać do niej list. Napiszesz w nim wszystko, cokolwiek uznasz za stosowne. Będziemy przy niej, kiedy go przeczyta. To jest rozwiązanie chyba najbliższe sytuacji, w której powiedzielibyśmy jej to wszyscy razem.

Salome oparła się o ścianę. Poczwała zimno w plecach.

— Salomé? Jesteś tam? — zaniepokoił się Roberto

— Tak.

— Co o tym sądzisz?

— Dobrze. Cieszę się. *Gracias*.

— *De nada*.

— To może trochę potrwać, zanim napiszę.

— Nie szkodzi — powiedział jej brat.

— Nie szkodzi — zapewniła ją Flor. Wszyscy troje wsłuchiwali się w trzaski na linii.

— Już późno dla ciebie — rzekł Roberto. — Chyba powinnaś iść spać.

— Dobrze, *hermano*. Dobranoc, Flor.

— Dobranoc, Salomé.

— Dobranoc, Roberto.

— Dobranoc.

Napisanie listu okazało się znacznie trudniejsze, niż sądziła. Jedno niewłaściwe słowo wystarczało, aby zmarnować całe przedsięwzięcie, ale za to właściwe słowa najwyraźniej potrafiły dokonywać cudów — zamykały kółka otwarte wiele lat temu, może nawet tak stare, że Salomé nie zdawała sobie sprawy z tego, że w ogóle istniały. Zaczynała list kilkadziesiąt razy, stale od nowa, szukała właściwego tonu, właściwego zagajenia, szukała swojego głosu. Niekiedy zapominała, do kogo się zwraca.

Droga Victorio, mam nadzieję, że zdołasz mi przebaczyć. Nie, tak jest źle.

Droga Victorio, muszę Ci wyznać straszną prawdę.

Droga Victorio, muszę Ci wyznać szokującą prawdę.

Droga Victorio, oto, jaka jest prawda.

Droga Victorio, co to jest prawda? I kto decyduje o tym, co jest szokujące, a co nie? Są takie dni, kiedy czuję się zaszokowana faktem, że żyję. Ale nie to chciałam Ci powiedzieć, a więc...

Droga Victorio, na pewno się zastanawiasz, kim jestem.

Droga Victorio, jestem Twoją matką, to brzmi dziwnie, pozwól, że Ci wytłumaczę.

Droga Victorio, kocham Cię, Boże, jak ja Cię kocham, lecz wiem, że mnie znienawidzisz. Za długo już żyję, nienawidząc samej siebie — to nie doprowadziło mnie donikąd — a że dźwigać tę nienawiść jest czasem zbyt trudno, niekiedy po prostu zdejmuję z siebie ten ciężar. Właśnie robię to w tej chwili, to wydaje się chorobliwie proste, lecz takie nie jest, ale poczekaj, poczekaj, to nie do tego listu...

Droga Victorio, Twoje poczęcie nie było ładne, ale zasługujesz na to, by wiedzieć.

Droga Victorio, przykro mi. Twoje poczęcie było rozdętym, brutalnym koszmarem, który nadal mną wstrząsa do szpiku kości. Ty jednak jesteś moim najlepszym dziełem — czyż to nie paradoksalne? Czy Ty w ogóle znasz słowo „paradoksalny” po hiszpańsku? Może potrzebujesz słownika, aby je zrozumieć? Nigdy tego nie przeczytasz, nie pozwolę Ci na to, ten brulion do niczego się nie nadaje.

Droga Victorio, proszę, przeczytaj ten list do końca, nie wyrzucaj go.

Droga Victorio, piszę na wypadek, gdyby korzenie były dla Ciebie ważne.

Droga Victorio, korzenie mają zasadnicze znaczenie. Każdy z nas zaczyna się już długo przed tym, zanim się urodzi.

Droga Victorio, nie słuchaj kłamstw na temat swoich korzeni. Ludzie nieraz wymądrzają się na ten temat, lecz nasze korzenie

nie determinują tego, kim jesteśmy. I nie pozwól nikomu mówić Ci, co masz myśleć. Jezu, teraz to ja Ci mówię, co masz myśleć.

Droga Victorio, posłuchaj: zostałam w więzieniu trzynaście lat po to, aby móc cię urodzić.

Droga Victorio, Twoje kolorowe drzewo pozwoliło mi przeżyć. Czy pamiętasz je? Dlaczego niby miałabyś je pamiętać? Było cudowne, piękne, różnobarwne. Dawałam się kołysać tym kolorom, marzyłam o nich, oddychałam nimi.

Droga Victorio, muszę Ci coś powiedzieć, ale nie wiem jak.

Droga Victorio, proszę, wierz mi, nie piszę po to, by zrujnować Twoje życie. Już dosyć narujnowałam, a teraz jestem gotowa — naprawdę, całkowicie gotowa — robić co innego: budować, mieć nadzieję, tworzyć coś nowego, słuchać, wędrować, dziwić się, widzieć, tak, przede wszystkim widzieć.

Droga Victorio, jaki jest Twój ulubiony kolor? Czy w końcu dostałaś ten motocykl?

Droga Victorio, żałuję, że pozwoliłam, by minęło tak wiele czasu. Bardzo żałuję.

Droga Victorio, chciałabym Cię poznać, lecz nie jestem pewna, jak to zrobić. Zastanawiam się, co to znaczy: poznać kogoś. Zastanawiam się, co to znaczy poznać samego siebie. Oto ja: prawie czterdziestoletnia kobieta, która nie ma pojęcia, co to znaczy poznać samą siebie, a przecież nie wydaje się to skomplikowane; Sokrates mówił o tym w bardzo zwięzły sposób wieki temu, a jednak my, współcześni ludzie, kręcimy się w kółko jak pies za własnym ogonem i nie umiemy dotrzeć do tego, co w nas siedzi. Może Ciebie to nie dotyczy. Może ty znasz siebie, a ja chcę poznać Ciebie i pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Droga Victorio, tak bardzo żałuję, że nie znałam Cię, kiedy byłaś dzieckiem.

Droga Victorio, czy nie mogłabyś znowu mieć pięciu lat? Tylko na jeden dzień?

Droga Victorio, co się ze mną dzieje w tych listach? Co Ty ze mną robisz, co robisz dla mnie? Znajduję słowa, których nie spodziewałam się kiedykolwiek napisać. Kiedy się budzę,

w moim łóżku leżą pogniecione kartki. Kiedy piszę, zatracam się w myślach o Tobie. Jest ich tak wiele. Myśli, myśli, same myśli, z wrzaskiem pchają się na papier, krzyczą, rozpychają się, nawet sobie nie wyobrażasz, co się wtedy dzieje. Boję się, że nie zdołasz ich usłyszeć z całą wyrazistością. Boję się, że ich nie zrozumiesz.

Droga Victorio, w Twoim wieku spałam na karabinach. Mam nadzieję, że Ty tego nie robisz.

Droga Victorio, nie miałabym Ci za złe, gdybyś spaliła ten list. Ale mam nadzieję, że tego nie zrobisz.

Droga Victorio,

Droga Victorio,

Droga Victorio.

Przez całą zimę i wiosnę, aż do grudnia, Salomé wkładała zapisane stronice do kolejnych pudełek.



Wiosną umarł w Hawanie Tío Artigas. Xhana przysłała rodzinie fotografię przedstawiającą ziemny grób i tablicę z wyrytym na niej bębniem. Dożył, jak napisała w liście, pięknego wieku dziewięćdziesięciu czterech lat. Po otrzymaniu tej wiadomości Pajarita jakby odcięła cumy, które łączyły ją ze światem. Przestała zajmować się swoimi ziołami, które stopniowo zwiędły w doniczkach. Pierwszy raz od sześćdziesięciu lat nie przyjmowała pacjentek. Prawie nie opuszczała fotela na biegunach — nie wstawiała ani do posiłków, ani wtedy, kiedy ktoś pukał do drzwi. Eva i Salomé przynosiły jej jedzenie na tacy i karmiły ją na zmianę, po łyżeczce. Nie była ani bardzo smutna, ani chora, lecz nieobecna, jakby dawała się unosić jakimś prądem z zaświatów. Prawie nic nie mówiła. Eva błagała, żeby zjadła jeszcze trochę, jeszcze jeden kęs, tylko jeden. Ignazio siadywał obok, przerażony, i mruczał coś po włosku, potrząsając jej ramieniem.

— Papá, przestań nią trząść. Daj jej odpocząć.

— Po czym ma odpoczywać? Przecież tylko patrzy przez okno.

— Pozwól jej na to.

Ignazio nadal potrzasał żoną, która ani nie stawiała mu oporu, ani nie odrywała oczu od okna.

— Papá.

— Dobrze, już dobrze.

Salomé obserwowała babkę wpatrującą się w mury więzienia po przeciwnej stronie ulicy. Dęby kładły na nich swoje długie cienie. Wyrosła tu, w tym sąsiedztwie, podobnie jak Mamá. Nigdy by nie uwierzyła, że cokolwiek może się zmienić w tej scenerii, a jednak zmiany zapowiedziano już na przyszły rok. Stanie tu największe w Urugwaju centrum handlowe, pełne lśniących sklepów z lśniącymi towarami, na wzór amerykański. Zewnętrzny mur więzienia, jak z bajkowej fortecy, zdecydowano zachować. Kupujący będą wchodzić przez bramę, którą przywożono więźniów, ale sam budynek penitencjarny zostanie zburzony. Na jego miejscu powstanie nowa konstrukcja, nienaznaczona piętnem przeszłości. Klimatyzacja będzie tłoczyć do środka świeże powietrze, znikną ślady przykrych rzeczy, zapanuje czystość i połysk. Salomé redagowała właśnie zjadliwe komentarze: „Nowy typ więzienia dla nowych czasów; czyste szaleństwo; oto, czym naprawdę powinniśmy się zająć; kto ponosi winę; pamięć jest bolesna, lecz zapomnienie jeszcze boleśniesz". Abuela Pajarita najwyraźniej już ani niczego nie pamiętała, ani nie musiała zapominać, a może pamięć złała się w niej w jedno z niepamięcią. Wpatrywała się całymi dniami w mur więzienia, jakby nic więcej się nie liczyło, jakby wszystko było w nim zapisane w idiomatycznym języku światła słonecznego i cieni.

Kiedy przyszedł lekarz, posłusznie pozwoliła osłuchać się stetoskopem. Stwierdził, że ma słaby puls, co w jej wieku nie powinno dziwić, ale że ogólny stan zdrowia jest dobry. Przepisał jakieś tabletki i zalecił wypoczynek.

W grudniu Pajarita zostawiła fotel bujany i okno, by przenieść się do łóżka. Dni były długie i wilgotne. Salomé zbierała pot z jej kruchego ciała. Myła ją powoli i delikatnie, starannie

docierała w zagłębienia między fałdami skóry. A więc to jest twoje ciało, to są twoje tajemnice, materia starości. Abuela nie otwierała oczu. Jej ciało poddawało się bez oporu rękom wnuczki. Miała skórę cienką jak papier, można było przez nią zobaczyć cień własnej ręki. Salome zadawała sobie pytanie, czy dożyje wieku, w którym i jej skóra stanie się równie przywiedła i cienka. Życzyła sobie tego. Dotarło to do niej w momencie, kiedy mydliła biodra babki: chcę pozostać na tym świecie aż do czasu, gdy moje kruche biodra okryją się pomarszczoną skórą i będą bolały, a nawet cuchnęły moczem, dopóki ktoś ich nie umyje, ale to mi nie będzie przeszkadzać, bo i tak chcę żyć.

W trzecim tygodniu w domu zaczęły się wizyty rodziny — wszystkich wujów (Bruna, Marca, Tomasa) i ciotek Salomé (Mirny, Raquel, Carloty), a także ich dzieci (Eleny, Raúla, Javiera i Félix, czyli wszystkich, którzy zostali w Montevideo) z żonami oraz dziećmi. Wszyscy chcieli zobaczyć Pajaritę, zamartwiali się, tłoczyli w korytarzu, chcieli jakoś pomóc. Salomé biegała tam i z powrotem z kwiatami, które trzeba było włożyć do wazonu, i bez przerwy zmywała naczynia. Na Wigilię znalazło się tylu chętnych do rozmowy z Robertem, że nie zdążyła zamienić słowa ani z nim, ani z Flor lub Victorią. Nie zmartwiło jej to zbytnio, bo i tak nie czuła się jeszcze gotowa. Pajarita siedziała na tronie z poduszek, na zmianę rozglądała się dookoła i zamykała oczy. Kiedy tylko opuszczała powieki, rozmowy zamieniały się w szepty, aby pozwolić jej się zdrzemnąć.

Trzeciego dnia po Bożym Narodzeniu córka Javiera, Clara, przyniosła Pajaricie jej ostatni posiłek, zwykłą *empanadę* z wołowiną. Sama ją zrobiła według przepisu Pajarity, ale dodała do mięsa szczyptę cynamonu, co było drobną innowacją rodem z kuchni libańskiej, wprowadzoną przez jej prababkę Marię Chamoun. Clara kroїła jedzenie na małe, jak najmniej spieczone kawałki, po czym nadziewała je na widelec. Pajarita długo międlīła je w ustach. W pokoju panowała cisza. Salomé przyglądała się od progu, jak wodzi wyblakłymi oczami po wszystkich członkach swojej dużej rodziny. Spojrzała na córkę, na



meża, którego opuszczona szczeka nadawała mu wygląd porzuconego szczeniaka, znowu na córkę, wreszcie na samą Salomé. Była w tym spojrzeniu zadziwiająca intensywność, Salomé mogłaby przysiąc, że nagle zza starej powłoki wyjrzała Pajarita w sile wieku, Pajarita jako młoda dziewczyna, a nawet jako dziwne, legendarne dziecko o czarnych, szeroko otwartych oczach, zdziwionych tym pokojem.

— Ach — westchnęła Pajarita i zamknęła powieki.

Jej serce przestało bić we śnie.

•••

Ignazio nalegał na gondolę, jak przystało na prawdziwy wenecki pogrzeb. Synowie usilnie się starali wybić mu to z głowy — gondole są niepraktyczne, dokąd niby ta gondola miałaby zawieźć trumnę w ich mieście, poza tym jego żona nie pochodziła z Wenecji. Ignazio miał na wszystko odpowiedź. Owszem, nie pochodziła z Wenecji, ale należał się jej od niego chociaż drobny gest. Trumny nigdzie nie trzeba wieźć — można ją przycumować przy brzegu, otoczyć, popłakać, porozmawiać przy niej, a potem zanieść na cmentarz. Nie muszą wcale kupować gondoli, bo on ma w głowie projekt, zbudują ją, już on im powie, jak to się robi.

Wszyscy wiedzieli, że to szaleństwo, ale nie chcieli z nim walczyć. Był zboliałym, starym człowiekiem z zaczerwienionymi oczami, kto wie, ile mu życia pozostało. Kiedy dni są policzone, najlepsza chyba rzecz, jaką można zrobić, to pogrążyć się w szaleństwie. Salomé mówiła sobie, że rozpacz żałoby potrzebuje ujścia. Jej własny żal rósł jak zimna i słona morska fala, piętrzył się i wylewał. Był większy od niej, od domu, od miasta, pędził, porywał ją, był oczyszczającą siłą zdolną umyć cały świat. Wiedziała, że nie zginie, jeżeli zacznie coś robić własnymi rękami, więc dlaczego nie zająć się przybijaniem gwoździ, piłowaniem, noszeniem desek? Kiedy zaczęła, nie potrafiła się już zatrzymać. Gondola nabierała kształtów w garażu wuja Bruna. Trwało to trzy dni i trzy noce.

Trzeba było nosić materiał, podawać posiłki, wbijać kołki, ocierać łzy, przycinać, piaskować i wyginać drewno, wypełniać wszelkie instrukcje dziadka, który siedział w fotelu bujanym, złożony na kolanach artretyczne dłonie. Pył przenikał wszystko: ubranie Salome, jej oddech i skórę. Mamá przygotowała tkaninę do wyścielenia—delikatny żółty jedwab. Wreszcie łódź była gotowa.

— Brakuje wiosła — stwierdził Ignazio.

— A po co wiosło?

— Nie róbmy wiosła.

— Przecież nie będziemy wiosłować.

— Nie ma gondoli bez wiosła! — warknął Ignazio. Zrobili wiosło. Na bokach łodzi wyrzeźbili ornamenty: liście,

krzyże, gałęzie winorośli, ryby, księżycy, noże, grubo ciosane anioły, jeszcze mniej subtelne postaci mitologiczne (Ignazio bardzo nalegał), złożone w nieprzyzwoitych pozach, a także wielokrotnie powtórzoną literę V, która wyciągała ramiona jak ptak w locie.

W Nowy Rok 1990 rodzina poniosła gondolę wraz z trumną nad rzekę. Zrobili to o świcie, aby nie zwracać na siebie uwagi. Kondukt liczył dwadzieścia sześć osób, wszyscy byli w czerni. Wstające słońce rzucało pierwsze promienie na schody tuż nad plażą. Za plecami mieli miasto, które po części jeszcze tańczyło na rozmaitych balach, a po części spało, marząc o nowej, lepszej dekadzie.

Gondola osiadła na wodzie. Salomé pomogła wujom umieścić w środku trumnę. Żałobnicy przyglądali się temu ze spokojem. Ktoś zakaszłał.

— *Bueno* — powiedział Abuelo. — Kto chce zacząć? Marco pierwszy opowiedział o swojej matce, ojej sile ducha

i o mocowaniu się z życiem w czasach, kiedy musiała zabierać małych synów do pracy w sklepie u rzeźnika. Mirna podkreśliła cierpliwość Pajarity, to, że potrafiła ze spokojem i mądrością tłumaczyć różne zawiłości życia i nauczyła ją, swoją synową, jak być matką. Clara opowiedziała historię ostatniej *empanady*, którą wszyscy znali, bo przecież byli przy tym, ale zupełnie

im to nie przeszkadzało. Eva przeczytała wiersz napisany przed laty w Argentynie, wiersz o chorej kobiecie, która ma wizję swojej matki — matka ukazuje się między konarami niezwykłego drzewa i ta wizja ratuje chorej życie. Salome przestała słuchać. Słowa nakładały się na siebie, ale dzięki temu traciły zwykłe znaczenia, a za to zyskiwały nowe. Salomé spoglądała na postaci w czerni, potem na rzekę. Miała za sobą kilka bezsennych nocy, lecz wyczerpanie wyostrzyło jej świadomość, która kroila powietrze jak nóż, by odsłonić kolejne warstwy czasu. Nagle rysował się przed nią wyraźny obraz przeszłości. Mogłaby przysiąc, że na rzece jest pełno ludzi, którzy przeprawiają się w tę i w tamtą stronę: młody chłopak na statku z Włoch, młoda poetka w drodze do Buenos Aires, Artigas, Pajarita — zmarli i duchy żyjących, przedstawiające ich takich, jacy kiedyś byli. Wzdychali, nasłuchiwali głosów z ładu, wychylali się, kołysali, patrzyli smętnie lub z nadzieją, spieszyli ku brzegom. Popędzali wodę, aby szybciej ich niosła, a ta woda bez nich nie byłaby sobą. Na wodzie przewyciężali przeszłość, śmierć i smutek. Nie dobijali do brzegu, lecz zdawało się, że w samym ich dążeniu jest jakaś piękna tajemnica. Ostatecznie umilkły wspominki i zapadła cisza. Żałobnicy zaczęli niepewnie popatrywać po sobie. Owiewała ich lekka bryza.

Ignazio powiódł wzrokiem po zebranych. Wyglądał jak swoja własna kopia z papieru.

— Chciałbym na chwilę zostać z nią sam. Wahali się.

— Przejdźcie wszyscy tam, pod schody, żebym was nie słyszał. Odeszli, aczkolwiek niechętnie. Zbili się w gromadkę przy

schodach. Wyglądali jak wielka czarna plama na piasku. Bruno wyjął tykwę do mate. Salomé usiadła na stopniu i zamknęła oczy. Pod powiekami nadal miała wizję tłumu na rzece, lecz widziała i siebie siedzącą na brzegu, rzut kamieniem od wszystkich tych zjaw. Nadal tu jesteśmy, mówili, ona zaś odpowiadała: ja też tu jestem. Zaglądała im w oczy, patrzyła na ich oblane niebieskozielonym światłem twarze.

Uniosła powieki, słysząc ruch i pokrzykiwania wujów. Nie rozumiała słów, ale widziała, że biegną ku rzece, rozkładając ramiona jak niezdarne ptaszyska. Gondola zniknęła — nie, nie zniknęła, została zepchnięta na wodę i właśnie odpływała, unosząc trumnę i Abuela, który odwrócił się do brzegu plecami. Wiosłował zawzięcie, z zaskakującą siłą, jak maszyna. Dziewięćdziesięciopięciolatek, który postanowił uciec z ukradzionym skarbem, pirat z trumną-skrzynią na kosztowności. Jego dzieci i wnuki wrzeszczały ile sił w płucach, aby wrócił, wskakiwały do wody w ubraniach, niektórzy rzucili się w pław, lecz starzec wiosłował jak szalony, skąd w nim tyle sił, co za skurczybyk, co za wariat, nie ma drugiego takiego na świecie, w takim tempie dopłynię za chwilę do Argentyny, dotrze do Atlantyku, wróci do Wenecji albo też uchwyci się trumny i zatone razem z nią. Salomé także pobiegła na brzeg, zrzuciła buty i weszła do wody, która była zimna, głaskała ją, przesączała się przez jej spódnicę, wysuwała białe języki piany i układała z nich wieniec wokół jej kolan, przenikała ją dreszczem niewidocznych prądów. Te języki, tak miękkie i delikatne, kiedy działały razem, w masie, potrafiły wyrzeźbić linię brzegową. Czarny materiał spódnicy unosił się na wodzie jak wielkie koło, a Salomé razem ze wszystkimi przywoływała dziadka z powrotem, lecz w duchu krzyczała: „Wiosłuj, wiosłuj!”, krzyczała z powodu jego szaleństwa, z powodu kobiety w trumnie, duchów na rzece, ich wszystkich, którzy zostali, aby żyć tu, na brzegu, z powodu miasta, Montevideo, najbardziej płaskiego z tych wszystkich miast na świecie, które odważyły się wziąć swoją nazwę od góry. Woda ożywiła się w porannym słońcu i raziła oczy. Ignazio był już tylko ciemnym punktem w oddali. Salomé zagłębiła palce nóg w piasku, oczy zatopiła w horyzoncie. Była przeraźliwie głodna, wiedziała jednak, że zanim sięgnie po jedzenie, zanim się prześpi, zanim jej spódnica zdąży wyschnąć, chwyci papier i długopis, by napisać list, bo już wreszcie znalazła słowa, od których powinien się zacząć. Victo-rio, skarbie najdroższy, to trwało tak strasznie długo.

## Podziękowania

Jakkolwiek książka ta jest fikcją literacką, w znacznej części opiera się na wydarzeniach historycznych. Przed jej powstaniem przeprowadziłam szeroko zakrojone prace badawcze, podczas których sięgnęłam do licznych źródeł pisanych i nie tylko. Wyjątkowo cennych informacji dostarczyła mi praca *The Tupamaros* Marii Ester Gilio oraz zbiory miejskiego archiwum fotograficznego w Montevideo. Wiele zawdzięczam również Evelyn Rinderknecht Alaga — kiedy wracałam z Urugwaju do siebie, obdarowała mnie na drogę całą stertą książek z poza-ginanyimi rogami, które zawierały istne perełki.

Potężnym wsparciem okazała się dla mnie rodzina. Moi urugwajscy kuzynostwo, Andrea Canil i Oscar Martínez, nie tylko ciepło mnie przyjęli i ofiarowali miejsce w swoim domu, ale i spędzali ze mną długie noce na dyskusjach o historii i kulturze Urugwaju, przy których popijaliśmy mate albo *grappa miel*. Tía Mary Marazzi była moją pierwszą czytelniczką i już dawno temu dała dowód wiary we mnie, latami nosząc w torebce jedną z moich dziecięcych prób literackich. Germán Martínez podsycał moje nadzieje i pragnienia dotyczące przyszłości Urugwaju. Wielu innych krewniaków z Argentyny, Stanów Zjednoczonych oraz z Francji dostarczało mi przez długie lata pisania zachęty i inspiracji. Wszyscy oni mają miejsce w moim sercu: Cuti, Guadalupe i Mónica López Ocón, Daniel, Claudio i Diego Batlla, Ceci, Alex i Megan De Robertis, Cristina De Robertis, a także Margo Edwards oraz Thomas Frierson, Jr. — fakt, że wymieniam ich na końcu, nie ma nic wspólnego z hierarchią ważności!

Pragnę wyrazić wdzięczność mojej nadzwyczajnej agentce literackiej, Victorii Sanders, za jej dalekowzroczność, przedsiębiorczość i oddanie, a także Benee Knauer za zrozumienie i wsparcie. Dziękuję Carole Baron z wydawnictwa Knopf za talent, pasję i edytorską finezję. Moja brytyjska wydawczyni Susan Watt wniosła do tej książki spostrzeżenia, za które również jestem jej głęboko wdzięczna.

Podziękowania niechaj przyjmą również: Shanna Lo Presti — bez jej zachęty i przyjaźni nigdy nie zdołałabym skończyć tej pracy, Carlos i Yvette Aldama — za mądrość i za to, że otwarli przede mną wiele wspaniałych drzwi, Micheline Aharonian Marcom — za doprowadzenie mnie do krynicy, Daniel Alarcón — za niezachwianą hojność, Joyce Thompson — za właściwe słowa we właściwym momencie, wreszcie Jill Nagle — za to, że mogłam skorzystać z jej pomysłowości. Wiele osób czytało kolejne wersje lub fragmenty tej książki na różnych etapach jej powstawania, zarówno w ramach warsztatów pisarskich, jak i przyjacielskich kontaktów. Każdej z nich, a zwłaszcza Natalii Bemal, Hanie Gerjuoy, Denise Mewbourne i Luisowi Vera dziękuję za czas, uwagę i komentarze. Jestem wdzięczna niezrównanemu Mills College, tamtejszym wykładowcom i utalentowanym kolegom ze studiów, dzięki którym znalazłam żyzne podglebie, możliwość wzrostu i dokonywania odkryć.

Książki tej po prostu by nie było bez mojej żony, Pameli Harris, która nadała słowom „wiara” i „wsparcie” nowy, płomienny wydźwięk. Nikt nie wierzył w tę książkę bardziej od ciebie, nikt nie wniósł więcej radości i przygód do mojego życia. *Niewidoczna góra* należy do ciebie tak samo, jak do mnie czy kogokolwiek innego.

Wyrażam też wdzięczność wobec swoich przodków za ich życie i za historię każdego z nich. Nie ma na świecie cenniejszego dziedzictwa.